Beata Obertyńska

W DOMU NIEWOLI

BEATA OBERTYŃSKA
(MARTA RUDZKA)

W DOMU NIEWOLI

Posłowiem opatrzył Adam Szostkiewicz

Tym, którzy tam zginęli i giną…

SZLAK ODBYTY PRZEZ AUTORKĘ

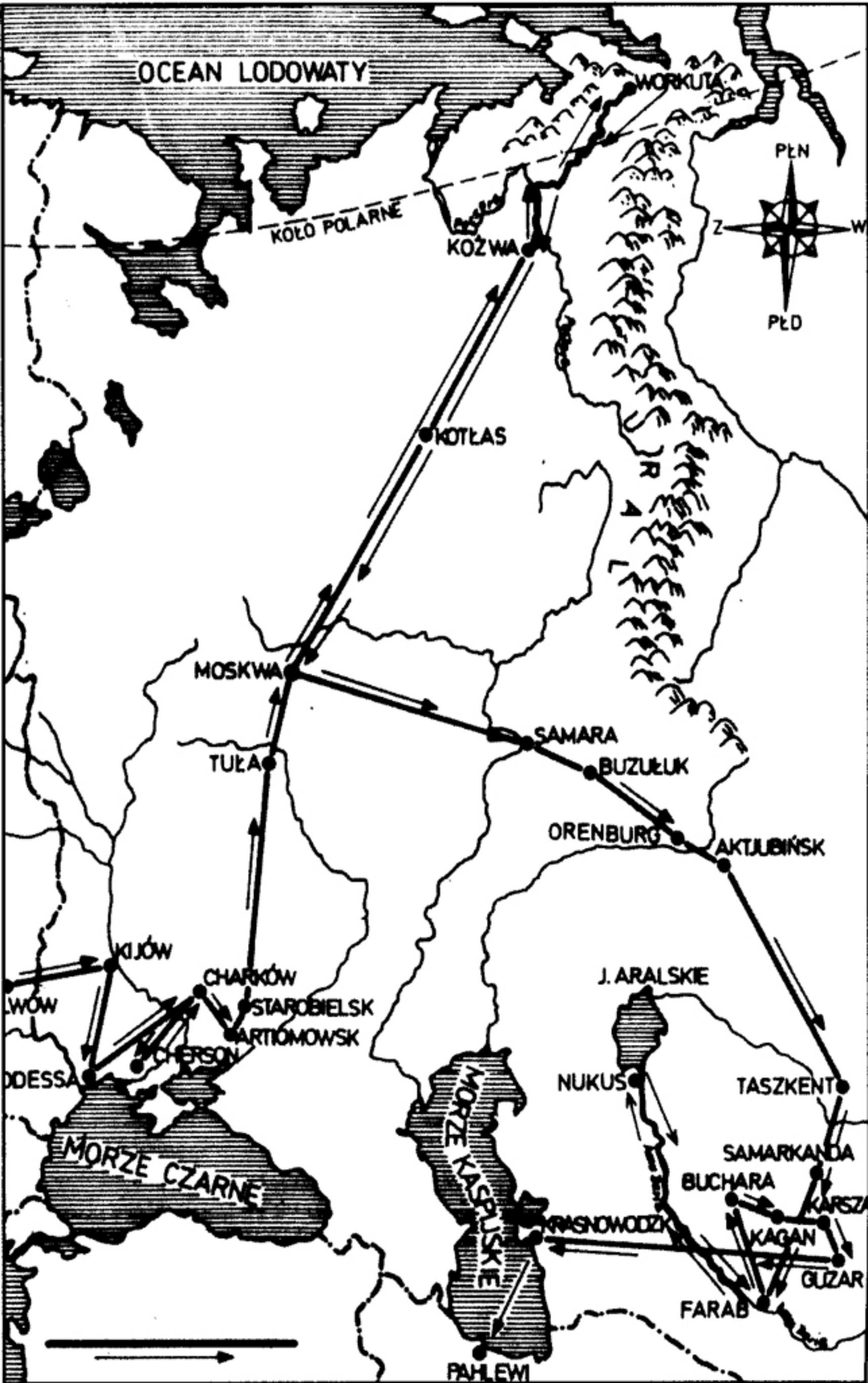
OCEAN LODOWATY
WORKUTA
PŁN
Z
W
PŁD
KOŁO POLARNE
KOŻWA
KOTŁAS
MOSKWA
TUŁA
SAMARA
BUZUŁUK
ORENBURG
AKTJUBIŃSK
KIJÓW
CHARKÓW
STAROBIELSK
ARTIÓMOWSK
CHERSON
ODESSA
J. ARALSKIE
NUKUS
TASZKENT
SAMARKANDA
BUCHARA
KRASNOWODZK
KAGAN
GUZAR
FARAB
PAHLEWI
MORZE CZARNE
MORZE KASPIJSKIE

PROLOG

Pogoda ku końcowi lata 1939 była złota i spokojna, jakby na urągowisko wszelkiej okropności wojny, która szła, która była tuż, której złowrogi powiew czuło się w powietrzu od dawna.

Ostatnie dni sierpnia spędzam u siebie na wsi, borykając się z rozłażącym się pod rękami gospodarstwem. Rządca powołany. Z fornali zostało już tylko kilku, wojsko zarekwirowało konie i wozy. W dodatku nie mam w tym wszystkim żadnej wprawy. Dopiero od śmierci mego męża prowadzę majątek sama. Przedtem tyle było innych rzeczy, które mnie pociągały. Pisanie, teatr…

Noc z 29 na 30 sierpnia mija mi w spichlerzu, gdzie w szalonym pośpiechu waży się i ładuje na auta sprzedany właśnie rzepak. Noc jest gorąca, cicha. Spichlerz pachnie nagrzanymi deskami i kminkiem, który wymłócony, czeka po ciemku swojej kolei, na gorącym pięterku nad nami. Świerszcze cykają jak oszalałe.

A potem dzień – dzień utopiony w nieruchomej pogodzie, bez chmurki, bez szelestu. Błąkam się po domu o otwartych na oścież oknach i drzwiach, nie mogąc o nic zahaczyć rąk. Po co? To i tak koniec. Nadchodząca wojna będzie straszniejsza od tych, które już mam za sobą. Prędzej czy później piekielny podmuch każdej z nich umiał roznieść w puch ciszę i bezpieczeństwo takiego wiejskiego dworu. Za mojej pamięci dwa razy przewalała się tędy historia. I tak cud, że ocalały dotąd te kochane, białe ściany, zanurzone po siwy, łamany czub gontowego dachu w zieleń otaczającego je parku. Za każdym tylko razem, gdy wody opadły, zastawaliśmy dom wydrążony i pusty jak zjedzony przez robaka orzech. Kto wie, jak będzie tym razem. Może zastanę tu kiedyś tylko zwały gruzów i zielony las pokrzyw i łopuchów? Wojna ma być straszna

i długa. Po co się łudzić.

Nie mam siły żegnać się przytomnie z tymi kątami. Ot – wychwytuję jeszcze ten czy ów drobiazg i tkam go w rozdziawiony na środku mego pokoju kuferek. Dziś wieczór wyjeżdżam do Lwowa. Może jeszcze zdążę wrócić, a może już nie. Część rzeczy, dywanów, makat, obrazów wywiozłam już wcześniej do miasta. To, co zostaje, to, co musi zostać – przepadnie. Bezradnie wracam wciąż przed bibliotekę. Znajome szeregi kolorowych grzbietów, które umiałabym z zamkniętymi oczyma rozpoznać dotykiem jak ślepiec klawisze. Ratować książki? Jak?

A potem jeszcze ogród.

Zastygł w słońcu jak mucha w bursztynie i nie ma pojęcia, co go czeka. Jak te nasturcje kwitną tego roku! Aleja grabowa też nie wie jeszcze, że to jej ostatnia jesień. Obie o tym nie wiemy. Idę jak chłodną, cienistą nawą zielonego kościoła.

Sad bardzo wyraźnie zaczyna już pachnąć jabłkami.

Pod niski zachód wyjazd autem sprzed omotanych dzikim winem kolumienek dworu.

Wzruszenie? Nie. Kompletny zamróz wszelkich uczuć – nic tylko oczy – dwie niezawodne soczewki, i pamięć – nieubłaganie czuła klisza.

Siedzę w głębi auta, a przede mną chlupocze dwadzieścia pięć litrów mleka w bańce i pachnie słodko bukiet olbrzymich słoneczników, wrzuconych mi w ostatniej chwili do wozu.

Mleko i słoneczniki. Tak mnie pożegnał dom.

I tak mnie pożegnał pokój świata, który miano niebawem utopić w ludzkiej krwi.

Nazajutrz, w piątek, 1 września, pierwsze niemieckie bomby spadły na Lwów.

– To nasze ćwiczenia – zatelefonował mi ktoś zaraz po wybuchu. – Bomby? Wykluczone! Nie było przecie wypowiedzenia wojny!

A potem już nalot za nalotem.

Wyraźny, kobiecy głos z małego głośnika ustawionego w hallu oznajmia raz po raz znad schodów:

„Uwaga – uwaga! Nadchodzi… nadchodzi”.

Potem syrena i srebrne, śmiercionośne ptaki na tle błękitnego nieba. Grzechot dział z cytadeli i wybuchy.

Wojna już w całej pełni.

Broni się Westerplatte. Broni się Hel.

Cała zachodnia granica w ogniu. Komunikaty podają nazwy miejscowości położonych coraz głębiej w kraju.

Front gnie się w rozpaczliwej obronie, jak czyjś żelaznym uściskiem powoli łamany kręgosłup.

Czarne zwały dymów wstają znad miasta. To pali się dworzec na Podzamczu i składy spirytusu na Żółkiewskim Przedmieściu.

Z okien na piętrze widać cały Lwów jak w głębokim talerzu. Nie ma krzty wiatru. Dymy stoją w powietrzu jak zaczarowane.

O Lwów uderza fala uchodźców. Tu, na Wschodzie, bezpiecznie. Z Sowietami mamy przecie pakt o nieagresji.

Gościńce pono zawalone wozami, autami, ambulansami. Sieką je z góry bezkarne niemieckie samoloty. Zniżają się nad same oszalałe strachem, unieruchomione przez ścisk, pełznące drogami rzesze – i prażą! Po drogach zatory ludzkich i końskich trupów. Dużo zepsutych, porzuconych aut. Ludzie starają się jechać nocami, a dnie przeczekiwać w lasach, rowach, kartofliskach.

Wszystkie pociągi ewakuacyjne są po drodze bombardowane.

Willa nasza jest pełna. Piętro zajęli uchodźcy z Poznańskiego i zakopiańscy górale, oficyny Żydzi i śląscy powstańcy. Razem około 60 osób.

Przyjeżdża też moja siostra. Pod bombami już wywiozła ze wsi

czworo dzieci, a szwagier mój część archiwum i zbiorów. Dwie fury tylko. Reszta została.

Naloty nie ustają. Niepodobna dzieci zapędzić do schronu w suterenach. Rozłazi się to spod rąk, bo „chce zobaczyć". Zwłaszcza Wojtek. Gdy tylko usłyszy syrenę, wypada do ogrodu. Szaleństwo z tym chłopcem! Hanusię przekupił dopiero kociak, którego wolno jej zabierać razem. Cóż to za wiek błogosławiony! Ona ma najróżowsze, najzłocistsze dwa lata, kot parę głupich tygodni. Świat się wali, bomby lecą – oni w schronie bawią się gałką z papieru…

Z frontu coraz groźniejsze wiadomości.

Pogoda jest nieustannie.

Coraz częściej widuje się w śródmieściu puste miejsca po domach, które znikły. Po prostu jakby kto ząb ze szczęk wyjął. Tylko ulica zawalona gruzami i szkła po kostki. Czarne, oślepłe jamy okien gapią się nie wiadomo gdzie.

Niemcy są już pod Jarosławiem.

W drugiej połowie września, w najczarniejszej chwili, kiedy nasze oddziały biją się na rogatkach Lwowa, nagle – jak grom z tego niemiłosiernie czystego nieba – spada na nas niewiarygodna wprost wieść!

Sowiety przekroczyły wschodnią granicę!!!

W bezbronny, ku pierwszemu wrogowi twarzą obrócony kraj, kraj łamiący się w nierównej, śmiertelnej walce, leją się oto wszystkimi drogami, walą polami na przełaj jak brudna, znienacka narastająca powódź!

Złamali pakt! Pogwałcili umowę! Podcięli broniącej się Polsce nogi z nagła i podstępnie, swój zakrzywiony sierp wbijając w jej plecy, a młotem zadając zbójecki cios w głowę – od tyłu!

I idą – idą – idą.

O Lwów uderza nowa fala uchodźców. Ze wschodu tym razem.

Półżywe ze zmęczenia, półprzytomne ze zgrozy rzesze. Przeważnie inteligencja. Ci wiedzą, co ich czeka. Uciekają autami, wozami, rowerami, piechotą.

Wąski pas niezajętych terenów kurczy się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Wyślizgują się nim ku rumuńskiej i węgierskiej granicy, którzy nie mogą – którzy nie powinni – zostać. Mój szwagier też.

Z ostatnim przypływem uchodźców dobija do Lwowa kuzynka mego męża, a mój przyjaciel i druh serdeczny, z mężem i dziećmi. Uciekli dwoma furami. Najstarszy syn w wojsku.

– Miejsce? Oczywiście! Dla was by nie było! Ile was razem?

– Osiem sztuk, w tym sześcioro dzieci. Ale to nic. Będzie więcej Aniołów Stróżów pod dachem. Nic się nie martw! Niech się Pan Bóg martwi!

Cudowny człowiek z tej Kasi! Zaraz mi lżej, kiedy i ona blisko!

Radio nie podaje już komunikatów. Nie wiemy nic prócz tego, że bomby lecą, granaty gwiżdżą, karabiny maszynowe szczekają po rogatkach. Wodociągi miejskie rozbite. Są już tylko uliczne studnie. Elektrownia jeszcze czynna. Z cytadeli nad naszymi głowami zieją dzień i noc armaty takiego kalibru, że ziemia jęczy i szyby dzwonią. Szklany dach nad hallem zsiekany odłamkami. Szkło zgrzyta na schodach jak rozsypana sól.

Hanusia przy kamiennej ławce pod jesionem bawi się w słońcu lalką. Wojtka naturalnie nie ma.

Aż pewnego dnia – cisza. Cisza straszniejsza od dotychczasowego huku. Rozumiemy ją dobrze. To wojsko opuściło cytadelę.

Na jej bezbronne składy żywności rusza ława najuboższej ludności.

Ciągną po bruku połcie słoniny, wory z tytoniem, cukrem, mąką. Niech biorą! Niech wezmą wszystko, do ostatniego ziarnka. A to, czego nie zdołają wziąć – niech zniszczą! Niech spalą! Niech w składach nie

zostawią nic!

A potem fale potopu zamykają się nad nami.

Trzy dni i trzy noce miasto brzęczy i trzęsie się od sowieckich tanków, które zalewają – puste jak wymiótł – ulice. Na rogatce witała je tylko delegacja Żydów komunistów z kwiatami.

Samo miasto chłonęło je w martwym, zastygłym milczeniu. Zrazu nic. Głusza. Naloty ustały.

Po ulicach krążą sowieckie patrole. Po dwóch. Szynel koloru błota, żądło bagnetu, a na czapce, jak rozpryśnięta kropla zastygłej krwi – mała czerwona gwiazda.

Czekamy. Zrazu nic. Głusza.

Wreszcie pierwsza wieść.

Dyrektor Miejskich Zakładów Elektrycznych został zastrzelony przez NKWD, które już nadciągnęło za wojskiem. Przyszedł rano o zwykłej porze do biura, ale już nie wyszedł. Wynieśli go.

Nie wierzymy. Za co?

Na murach pojawia się rozporządzenie: oddać broń. Białą i palną. A potem drugie: oficerowie służby czynnej, cała policja i żandarmeria ma się stawić o oznaczonej godzinie na Bernardyńskim placu. Dla rejestracji.

Stawili się. W mundurach, z odznakami. Oficerowie, pułkownicy, generałowie. Otoczyło ich ukryte w bocznych ulicach wojsko, rozbroiło, załadowało na auta.

Tych wywieziono w głąb Rosji najpierwszych…

Katyński lasek pod Smoleńskiem był pewnie zielony jeszcze o tej porze roku.

Daleki katyński lasek, przyszły świadek masowego mordu…

Nowe rozporządzenie podrywa naszych zachodnich uchodźców na piętrze. Władze sowieckie, w porozumieniu z Niemcami, pozwalają im wracać do domów.

Na dwa dni ma być otwarta ta nowa niemiecko-sowiecka granica. Piętro się wyludnia, ale za to oficyna puchnie od nowej fali pchających się „do raju” Żydów.

Dwa razy otwierano tej jesieni most pod Przemyślem. Kto chciał, mógł wtedy przejść bez trudności. Później trzeba się było przekradać „na zielono”.

Z listopadową falą odpływa też mąż Kasi. Mężczyznom po sowieckiej stronie powietrze stanowczo nie służy. Jako oficerowi rezerwy, jako uczestnikowi walk z dwudziestego roku może mu będzie bezpieczniej tam. O ile w ogóle jest gdzie teraz bezpiecznie na świecie.

Zdajemy sobie sprawę, że jak na gust naszych wschodnich okupantów, dom nasz jest stanowczo zbyt „burżujski”. Trzeba go przecharakteryzować na chama.

Wynosimy na strych meble, lustra, świeczniki, obrazy. Zwijamy dywany i chodniki w hallu. Zasłania się starymi gazetami szyby bibliotek, nie czyści się podłóg, nie myje się okien. W serwantce zamiast serwisu Augusta III parę pustych flaszeczek, kilka przez dzieci naniesionych szyszek, kurz.

Nad ogołoconym hallem zostaje tylko ogromny na całą ścianę obraz Bassano *Arka Noego.* Z tym kolosem nie ma absolutnie co zrobić. Musi nas dalej kompromitować.

Chleb można dostać już tylko w ogonku. Na wszystkich ulicach szare smugi godzinami do muru przypartych ludzi czekają… czekają… czekają… Zdobycie bochenka chleba to pół dnia czekania. Na szczęście dzieci u nas pod dostatkiem. Dla nich to polowanie na chleb jest sportem. Kto wypatrzy lepszy ogonek, kto prędzej zdobędzie chleb, czyj bochenek większy? Wylatują o świcie, wracają w południe.

Sklepy przeważnie zamknięte. Nie wiem, czy na rozkaz władz, czy ze strachu, czy z powodu braku towaru. Idą złote i ruble. Po równym kursie.

Najgorsza bieda z opałem na zimę. W całej willi ogrzewanie centralne, a węgla w piwnicy tyle co nic. Na sowiecki nie ma pono co liczyć. Trudno. Chodzę po ogrodzie i wydaję wyroki śmierci na przyjaciół szczęśliwego dzieciństwa – na domowe drzewa. Śląscy powstańcy, którzy nie mogli wrócić „pod Niemca", pomagają mi je rąbać.

Sowiecka milicja już czynna.

Pewnego dnia zjawia się u nas nowy rejonowy milicjant. Miejski płaszcz, beret z gwiazdą i karabin. Twarda, sucha, sympatyczna nawet twarz. Niewątpliwie czeski akcent utopiony nieporadnie w rosyjskim. Rekwiruje dla siebie jeden z pokoi na piętrze.

– Tu nie ma pieców, tylko kaloryfery – próbuję go jeszcze zrazić. – Węgla brak. Dom będzie w zimie nie do opalenia.

– *Niczewo*. Mnie zimno niestraszne – i zwycięski, zjadliwie bolesny jakby uśmiech fanatyka. – W Hiszpanii było zimniej. W górach, w śniegu po pas. *Niczewo*.

To był nasz pierwszy przymusowy lokator.

Nazwała go Hanusia. Wszystko nierozumiane – jak szmer w wodociągu, cień w kącie, obce kroki na schodach – wszystko trochę straszne, trochę niesamowite, a przecie ciekawe – określała jednym swoim własnym, nic nieznaczącym słowem: „habicha". Od pierwszej chwili sowiecki milicjant był dla niej habicha też. I tak już zostało. Nikt z nas nie nazywał go już potem inaczej.

Czech. Półinteligent. Ideowiec. Ochotnik hiszpańskich walk. Komunista zaprzysięgły na śmierć i życie. Pracował w fabrykach „Škody". Zarabiał paręset koron miesięcznie. Miał wszystko i wszystko rzucił. Dla sprawy! Walczył, głodował, marzł. Jest gotów dalej walczyć, marznąć, głodować. Umysł jak rozłopotany na wietrze transparent z komunistycznym sloganem. Głowa trzeszczy od doktryn, serce buzuje hasłami „Szczęście mas", „Szczęście ludu", „Szczęście proletariatu".

Pod wszystkim zaś niedotłuczone komunizmem, zdrowe przywiązanie do ojczystego kraju. Nad wszystkim dech zapierająca nienawiść do Hitlera. Poza tym – dobre, proste, uczciwe chłopczysko, przynoszące dla Hanusi zdobyte w ogonku cukierki…

Oto pokrótce Habicha.

Zaczynają się aresztowania. Czasem w obławie na ulicy, częściej jednak nocami, po domach. Carskim, wypróbowanym sposobem.

To trochę tak jak z bombą. Niepodobna przewidzieć, na kogo spadnie. Reguły żadnej. Wyłapują doktorów, profesorów, kolejarzy, studentów, nauczycieli, harcerzy, urzędników, księży, kupców. Właściciele wszystkich większych firm już siedzą. Towar zarekwirowany. Sklepy zamknięte.

A potem „plebiscyt”!

Wynik z góry przesądzony: w komisji zasiadają tylko ich ludzie. Kontroli z naszej strony żadnej. Do tych „mężów zaufania” zaufania właśnie nie ma nikt. Wiadomo. Podadzą potem cyfry, jakie sami zechcą.

Mało kto zresztą się tym przejmuje. Wiemy, że wedle międzynarodowych praw żaden plebiscyt nie jest ważny, póki wojska którejkolwiek ze stron znajdują się na danym terenie. Miasto jeży się od wrogich bagnetów, a tajność głosowania więcej niż problematyczna. Głos jednak musi oddać każdy, czy chce, czy nie. Jeśli kto sam do jedenastej w nocy nie zgłosił się w lokalu wyborczym w dniu plebiscytu, przynosili mu urnę do domu. Wtedy już trudno mówić o „tajności”, bo otrzymaną kartkę musiał w ich obecności albo przekreślić, albo rzucić taką, jaką ją otrzymał. Istna komedia, nie plebiscyt!

Wiemy o tym, ale dla osobistej satysfakcji unieważniamy głosy, jak się da. Na niektórych kartkach poszły pono do urny dość zwięzłe, niedwuznaczne propozycje, czynione Stalinowi.

Po całej tej perfidnej komedii władze ogłosiły oficjalnie, że zgodnie

z jednogłośną wolą ludu okupowane tereny – nie, przepraszam, oswobodzone tereny! – zostają z tym a tym dniem przyłączone do Związku Socjalistycznych Republik Rad jako Zachodnia Ukraina!

Zima spada na nas wczesna jak nigdy. Mrozy w listopadzie takie, że ziemia brzęczy.

Opału mamy tylko garstkę. Tyle co do kuchni.

Udaje mi się cudem kupić dwa małe żelazne piecyki. Wybija się dziury w ścianie – tak po prostu, bez komina, w ogród – i pali przeważnie papierami. Papierów pod dachem dość. Niektóre nawet lepiej spalić. Na pół godziny robi się w pokoju cieplej. Na ogół jednak temperatura – w nocy zwłaszcza – nie mija czterech stopni powyżej zera.

Habicha ma noc w noc służbę na ulicy. Wraca rano siny i skostniały. Mundury dla milicji jeszcze nie nadeszły. Musi mu wystarczyć letni płaszcz i idea!

W salonie na piętrze jest już drugi przymusowy lokator. Żyd. Komunista. Pracuje w warsztatach kolejowych. Tak jak Habicha przyszedł pewnego dnia i oświadczył, że będzie mieszkać. Raczej spokojny, nieszkodliwy na oko człowiek. Nie ma go całymi dniami. Wraca dopiero na noc.

A potem śnieg. Obfity, głęboki, puszysty. W hallu robi się ciemno, bo szklany dach zawalony śniegiem. Pozatykałam jeszcze w jesieni wybite szyby deskami, a że jest mróz i domu się nie opala, na razie jakoś nie kapie.

Woda w łazienkach zamarzła. Siostra moja ma ręce tak odmrożone, że jej skóra pęka na każdym zgięciu. Dzieci chodzą okutane jak cebule. Hanusia drepcze po domu w mojej pelerynce z popielic, która jej sięga do ziemi. Wygląda jak puszysty, futrzany dzwonek o różowej gębusi i strasznie niebieskich oczach.

W sam dzień Wilii, z godziny na godzinę, bez jakichkolwiek uprzednich

zapowiedzi, władze odmawiają nagle ważności złotemu polskiemu. Dotąd, na równi z rublem, był monetą obiegową. Ludzie zostają bez grosza. Wszystkie oszczędności są już jedynie garstką bezwartościowych świstków. Żaden urząd ich nie zmienia. Żaden sklep nie przyjmuje.

Zaczynamy sprzedawać rzeczy.

W pierwszych dniach stycznia siostra moja dostaje listowne wezwanie do banku. Nieopatrznie zaraz po wybuchu wojny złożyła w sejfie całe srebro, biżuterię i rodzinne papiery. Wraca po kilku godzinach ze zwitkiem tychże właśnie papierów i kilkoma miniaturami w kieszeni. Reszta została urzędowo zarekwirowana na rzecz sowieckiego skarbu.

Aresztowania trwają w dalszym ciągu. Każdy dzień przynosi nowe nazwiska. Lista rośnie. Nikt nie wie, co się dzieje z tymi ludźmi.

Po pewnym czasie ustala się jedno: Zamarstynów, dawne polskie wojskowe więzienie, jest najgorszy. Zza tych murów nic nie przesiąka na zewnątrz. Do więzienia Świętej Brygidy, czyli do Brygidek, można się jeszcze jakoś dobić. To znaczy można raz na miesiąc oddać dla więźnia paczkę z bielizną i dostać jego własnoręczne pokwitowanie. Z Zamarstynowa czy na Zamarstynów – nic.

Władze wiedzą – i my wiemy – że całe to pozornie uległe miasto pokryła z nagła sieć tajnych polskich organizacji. Coś niby naczynia krwionośne zatajone pod skórą. Wiedzą – i my wiemy – że nie wszystkich oficerów wyłapano. Są powielacze, na których drukuje się wysłuchane w tajemnicy i wbrew zakazowi alianckie komunikaty. Są kolporterzy, którzy te świstki roznoszą. Są ludzie podrabiający dokumenty, dowody osobiste, kartki meldunkowe. Są wydeptane dróżki, z postojami, z noclegami, którymi przekradają się ku węgierskiej granicy wszyscy, którzy chcą do naszego wojska. Do Francji! Są kurierzy i kurierki chodzący przez granicę tam i z powrotem. Raz zjawia się na parę godzin pod dachem strzępek jedwabiu, mały jak dłoń. Wkradł się do kraju wszyty pod

podszewkę czyjegoś płaszcza. Druk na nim czarny, wyraźny, choć drobny jak mak. *Rozkaz gen. Sikorskiego do wojska. Dnia tego a tego. Angers.* I podpis. Czasem, po czyimś wyjściu, znajduję na biurku świstek bibułki z najnowszym alianckim komunikatem.

Ach! Te alianckie komunikaty! Londyn. Paryż. Boże dobry! Trudno powiedzieć, czego się po nich spodziewamy. Że jednak spodziewamy się czegoś, to pewne! Oczywiście. Wiemy. Ani Anglia, ani Francja nie mogą ruszyć zaraz. Muszą się przygotować. Na szczęście mają czas. Do wiosny Hitler nie uderzy. Czas jest. Francja ma linię Maginota, a Anglia to przecie potęga! Czujemy je obie za sobą. Liczymy na nie. Ufamy im. Niech się tylko raz zacznie, niech no się tylko ruszy na Zachodzie.

Jesteśmy jak ktoś wrzucony do głębokiej studni, kto ma na szczęście pewność, że przyjaciele o nim wiedzą. Trzeba się tylko czepić sztywniejącymi z wysiłku rękami śliskich ścian naszej studni i przetrwać, przetrwać. Byle do wiosny!

Całym naszym pokrzepieniem i radością jest Finlandia! Dzielna Finlandia, której pomaga mróz!

W te same, dla Finlandii tak opatrznościowe mrozy, mrozy dochodzące teraz i u nas do kilkudziesięciu stopni, zaczynają nagle rugować ludzi z mieszkań. Po prostu: won na ulicę! Na ich miejsce sprowadzają się sowieckie komandiry z żonami i dziećmi.

W mieście panika. Nikt nie jest pewny dnia ni godziny. Dziś oni, jutro my. O różnych porach dnia i nocy widuje się na ulicach ludzi z tobołkami pościeli, ludzi z walizkami, ludzi pchających dziecinne wózki pełne kuchennego naczynia, ludzi ciągnących na saneczkach swoich chorych. Zrozpaczeni, zaśpieszeni, bezdomni, o oszronionych biało wąsach i brwiach, cali w obłokach zziajanych oddechów.

Perspektywa zostania na ulicy z taką ilością dzieci, w ten mróz w dodatku i bez pieniędzy, jest gorsza od choroby. Jak maniak stoję teraz

całymi dniami w oknie i patrzę w bramę. Idą czy nie idą? Wyrzucą czy nie wyrzucą?

Przychodzili. Kazali się oprowadzać po domu. Pytali. Sprawdzali. Żądali meldunkowej książki. Do dziś nie wiem, co nas uratowało. Czy brak pieców w całym domu, czy dwojąca się w oczach ilość dzieci, które się zresztą rozmnożyły! Siostra Kasi – Basia – z mężem, przyjaciółką i pięciorgiem dzieci musiała opuścić zajmowany dotąd dom. Przyszli do nas. Jest zatem o tyle więcej Aniołów Stróżów pod dziurawym dachem.

Może to one właśnie pomogły dobrym ludziom od nas ze wsi przywieźć nam raz i drugi trochę zapasów. Ode mnie ostatecznie blisko jeszcze, ale od nich i od mojej siostry to spory szmat drogi końmi czy koleją. Choć wedle sowieckiej propagandy jedliśmy podobno chłopskie dzieci na śniadanie, choć szczuliśmy chłopów psami i na kolanach kazali się im czołgać od bramy – dzielą się z nami wszystkimi, czym mogą, przywożą drzewo, mąkę, mleko, groch. Nocą, świtem, chyłkiem – jak kradzione. Wiedzą dobrze, co ryzykują. Nic tak nie rozwścieczа Sowietów, jak twierdzenie czy zeznania chłopów, że między dworem a wsią panowały przyjazne stosunki. Dlatego tak oni, jak my musimy się kryć z tą pomocą.

Wszędzie po wsiach rządzą już Komitety. Wszystko przeszło na własność państwa.

Mój dom splądrowany. Meble wywieźli zaraz po wkroczeniu, książki oblali naftą i spalili na gazonie. Aleja grabowa wycięta. Teraz rąbią park.

Ogonki pod sklepami coraz dłuższe i coraz uciążliwsze. Mróz aż trzeszczy. Ludzie odmrażają ręce, nogi, uszy. Właściwie dwa tylko rodzaje sklepów są otwarte: rządowe piekarnie i rządowe sklepy z alkoholem. Przy tych ostatnich zwłaszcza częste bójki i awantury. Ludność jeszcze nie nabrała wprawy. Jeszcze nie umie stać cierpliwie i pcha się na grandę. Trudno się może i dziwić. Mróz aż dusi.

Miasto zmieniło twarz. Jest obce. Nie to samo.

Poprzezywano ulice. Nie ma znajomych sklepów. Coraz więcej sowieckich futrzanych czap, szyneli, kaloszy, wysokich butów i chustek na głowie. Kapelusze znikły prawie bez śladu. Z ostrożności. Umyślna mimikra z tłem. Wszyscy, o ile możności, ucharakteryzowani są na szumowiny. Ich ludzi poznać od razu. Zwłaszcza kobiety.

Wielkie pono rozczarowanie wśród tych napływowych, że nie ma tu ani jednej odwszalni. Niby to duże miasto, a takich koniecznych kulturnych urządzeń brak! U nich co innego. Każde najmniejsze nawet miasteczko ją ma.

Zegarki wykupili wszystkie od razu. Widziałam jednego, jak paradował przez Pasaż Mikolascha z dużym, kuchennym budzikiem u pasa. Inny znów miał się skarżyć właścicielce mieszkania, że nigdy nie może dobrze umyć rąk, bo woda z muszli za prędko ucieka, kiedy pociągnie za łańcuszek. W teatrze pojawia się raz jakaś komandirsza w strojnej, jedwabnej nocnej koszuli. Kupiła ją już tu jako suknię. Najpiękniejszą suknię, jaką w życiu miała. Mnożą się żarty i dowcipy na ten temat.

Spotykani na ulicach sowieccy żołnierze zachowują się bardzo poprawnie. Robią wrażenie poważnych i surowych. Tylko wygląd ich na ogół dość niewojskowy. Zgarbieni, rozchełstani, zmięci. Niektórzy ciągną za sobą pasmo mocnej, lichej perfumy. Nie spotkałam nigdy pijanego. Można bezpiecznie wracać samej późnym nawet wieczorem przez miasto. Nie zaczepiają nikogo. Mijają ludzi jak powietrze. Często widuje się na ulicach wyższych nawet wojskowych z okutanym w kocyk niemowlęciem na ręku. Obok żona. Gruba, ciężka baba w chustce lub białym berecie na głowie.

Kościołów nie zamknęli. Nałożyli na nie tylko olbrzymie podatki. Ofiarność parafian jest wprost niewiarygodna. Księża chodzą przeważnie po cywilnemu; bo wyłapują ich pod byle pozorem.

Większość klasztorów tylko rozpędzili. W Sacré-Cœur mieszka balet z Kijowa. Zakonnice, przebrane po świecku, muszą im usługiwać, gotować, sprzątać. U karmelitanek – szpital. Jedynie szkoły benedyktynek i urszulanek jeszcze się jakoś trzymają. Oczywiście program nauk przycięty ściśle do okoliczności. Żadnej nauki religii, żadnej historii. W obu szkołach stoi na czele żydowsko-komunistyczna komisja.

Władze urządzają dla młodzieży przymusowe antyreligijne mityngi. Jest wykład, a potem dyskusja. Postawa dzieci wspaniała. Na jednym z mityngów wykładowca rzuca sali pytanie:

– Gdzie wy widzicie tego waszego Boga? Gdzie on jest?

– W niebie.

– Ot i nieprawda! Jestem lotczykiem. Latałem nieraz wysoko, bardzo wysoko, pod samo niebo. I oglądałem się. I żadnego Boga nie widziałem.

– Trzeba było spaść i zabić się. Zaraz by Go pan zobaczył!

To autentyczna odpowiedź czternastoletniego chłopca.

Choć rzecz jest przez władze bardzo źle widziana, nieraz, na najwcześniejszych mszach świętych spotyka się po kościołach sowieckich żołnierzy. U wejścia. W kąciku. Nieśmiało. Czapka z gwiazdą leży obok na podłodze, a duże, ciężkie ręce piszą po szynelu niewprawne, prawosławne krzyże.

Było też kilka cichych ślubów wśród tych z kijowskiego baletu.

Chyłkiem najczęściej, w tajemnicy przed mężem, żony komandirów przynoszą proboszczom dzieci do chrztu. Jednego z nich budzi w nocy dzwonek. Otwiera. W drzwiach szynel. Jest pewny, że to aresztowanie. Nie. Chodzi o spowiedź. Odbyła się nocą, w pustym zamkniętym kościele.

Mamy nowych lokatorów. Narzuconych oczywiście. W zamian za żelazny piecyk do swego zakutego mrozem pokoju obiecał Habicha szmatławemu blacharzowi z przedmieścia – mieszkanie. Teraz o mieszkanie równie prawie trudno jak o taki żelazny samowarek. Dostał

piecyk, zatem musi dać pokój. Sprowadza nam całą rodzinę w sam środek domu.

Wejście jest jedno, hall jeden i jedna łazienka na piętrze. Smród cebuli i para wędrują po klatce schodowej. Piorą bowiem i gotują w pokoju. Uważam jednak, że mogliśmy w tych warunkach gorzej trafić. Blacharzowa i dzieci są ciche, taktowne. Blacharz tylko to obleśny, fałszywy Żyd, mający w powierzchowności coś ze spłoszonego karakona. Poza swoim zawodowym zajęciem pełni jeszcze wysoki urząd w jakimś Rad-Komie, Kom-Radzie czy innym takim niewiadomym nowotworze.

Każdy, kto się sprowadza, musi być natychmiast zameldowany. Melduję więc lojalnie całą rodzinę blacharza.

Tych, którzy owinięci w baranice nocują czasem w składzie rupieci, którzy wślizgują się nocą, a wychodzą brzaskiem, nie melduję oczywiście nigdy. Nie bardzo zresztą byłoby jak. Ludzie ci mają dla nas tylko pseudonimy. Nazwisk ich nie znamy. To nie jest ważne. Najważniejsze, żeby ich ani Habicha, ani blacharze, ani ten z salonu nie wypatrzyli przypadkiem. I żeby przyszła potem kartka z Węgier czy z Rumunii: „Serdeczne pozdrowienia" i podpis: „Brat", „Babcia", „Violetta", „Synek", „Węgorz", jak tam wypadnie.

Niestety, nie wszyscy piszą. Wielu wsiąka.

Gdzieś w końcu stycznia czy w początkach lutego Habicha oświadczył, że wyjeżdża na parę dni na prowincję. „W teren" się to nazywa. Mrozy takie, że paraliżuje wprost płuca. Dali mu wreszcie granatowy, ciepły płaszcz, buty i czapkę milicjanta. Podziwu godne jest jego zaparcie się siebie, z jakim znosił dotąd bez słowa buntu czy goryczy te psie warunki pracy. Sprawa poborów milicji nie jest jeszcze uregulowana. Wiemy, że całymi dniami chodzi bez jedzenia, że całymi nocami patroluje po ulicach. Kaszle wprawdzie, aż się w hallu rozlega, ale to nic. To wszystko dla „szczęścia mas". Niech mu będzie. Pojechał.

Nim wrócił, wiedzieliśmy już wszyscy, gdzie jeździł i po co!

Władze zarządziły bestialski wywóz polskiej ludności ze wsi i osiedli na całym zajętym terenie! Wiadomości, które nadchodzą, włosy wprost podnoszą na głowie. W ten wściekły kilkudziesięciostopniowy mróz wywożą całe wsie! I znów nie wiadomo, czemu te, a nie tamte. Z tych, na które padnie los, wyganiają całą ludność; ładują do pociągów i wysyłają w głąb Rosji. Niepodobna opisać wrażenia!

Jesteśmy wszyscy zrozpaczeni, chorzy, rozbici. Niedobitki tych pogromów kryją się po miastach i miasteczkach.

Po paru dniach Habicha wraca. Jest zielony, do siebie niepodobny, roztrzęsiony, tak prawie jak my. Widać, że coś się w tym człowieku dzieje, że coś w nim kipi, buntuje się. Wreszcie wybucha.

Jeszcze jedna taka ekspedycja – a zwariuje! To ponad ludzkie siły! Te wyjące, czołgające się u nóg kobiety, ta rozpacz bezbronnych, oszalałych trwogą, nocą zaskoczonych ludzi. Mróz. Sanie przed chatami. Wyganianie całych rodzin z domów, odrywanie czepiających się progu chaty rąk. Piekło! Piekło! Wszystko, co człowiek musi wytrzymać sam, to nic, to nic. Ale patrzeć na te dzieci, których nie ma w co odziać na to zimno, na te małe broniące się, krzyczące dzieci.

– Ja nie mogę, no nie mogę patrzeć, jak dzieciom dzieje się krzywda… – mówi z rozpaczą i widzę, jak mu mięśnie szczęk drgają konwulsyjnie pod skórą. – A tu stój i patrz, jak taki chłop – bieda z nędzą po prostu… bieda z nędzą… owija dzieci w słomę, bo w co je wszystkie naraz odzieje na ten mróz, i tka je w skrzynię… no taką z wiekiem, drewnianą skrzynię na rzeczy, ciasno, jedno koło drugiego jak słoiki w siano, i w tej skrzyni dopiero – na sanie! Ten krzyk, ten płacz, ten strach… Nie mogę… no nie mogę… Rozumiecie?!

Rozumiemy…

W jakiś czas potem Habicha popada w niełaskę. Nie dowiedzieliśmy

się nigdy za co. Może równie szczerze jak nam, opowiadał jeszcze innym o tym wywozie, choć wątpię. Dość, że z końcem lutego czy w początkach marca dostaje rozkaz natychmiastowego wyjazdu, gdzieś aż za Ural do fabryki. To degradacja i kara. Chłopczysko chodzi jak strute, rozgoryczone, ale milczy. Żal nam go bardzo. Komunista, bo komunista, głowa ciasna, bo ciasna, ale z kościami poczciwy człowiek. Wbrew wszelkiej oczywistości wierzy dalej w cały ten swój komunizm. Pojedzie… Będzie pracować. Do upadłego. Aż mu krew spod paznokci pójdzie. Dla dobra mas. Dla wszystkich wyzyskiwanych i nieszczęśliwych. Dla ubogich i bezdomnych.

Ostatni punkt programu wprowadza w życie bez zwłoki, niestety!

W przeddzień wyjazdu wraca z nocnej służby z nowym lokatorem. Tym razem to uliczna dziewczyna. Spotkał ją zziębniętą pod jakąś latarnią, a że nie miała gdzie spać, zaproponował jej pokój, który miał jutro opuścić.

No i Habicha pojechał – a Lolka została! Skaranie Boże, nie Lolka. Bezczelny ludzki śmieć, cham spod najczarniejszej gwiazdy, ścierka nie wiadomo jakich rynsztoków! Udaje Rosjankę, udaje, że nie rozumie po polsku, a strzyże uszyma, plącze się nam pod wszystkimi drzwiami i słucha. Hall, jak się rzekło, jest wspólny, wejście jedno i schody jedne. W dodatku cytadela z wojskiem pod bokiem. Lolka nie traci czasu. Cały dzień i całą noc przyjmuje gości. Interes prosperuje… Klucz od wchodowych drzwi musi być na noc u mnie, bo ja odpowiadam przed władzami, by nikt niemeldowany nie nocował. Skutek jest ten, że parę razy na noc budzi mnie walenie w drzwi albo, co gorsze, w okno i rozkaz:

– *Chaziajka! Atkrojtie warota!*

Cóż mam robić? Wstaję potulnie i puszczam Lolce gościa. A potem czekam. Dzwonię zębami z zimna i śpiącości i czekam. Łapię się na tym, że pasę – że pieszczę wprost – myśl marzeniami o własnoręcznym biciu

Lolki! Tak! Rózgą na gółkę! Dwadzieścia pięć – a mocno! Cóż by to była za rozkosz!

Ale Lolka gwiżdże! Gwiżdże przeciągle! Wie, że jako proletariusz jest bezkarna, że cokolwiek by zrobiła, ona będzie miała rację, nie ja… Wolno jej wszystko. Nawet kraść! Zaczyna mi w mieszkaniu wyłupywać zamki u szaf i wynosić rzeczy. Prawie się z tym nie kryje. Jawnie, popod nos. Z rozpaczy ryzykuję zadanie się z władzami. To dość niebezpieczne zwracać na siebie uwagę. Ale trudno! Mam już dość! Niech się dzieje, co chce. Idę do prokuratora. Idę do komisariatu. Składam zeznanie. Rewizja znajduje w jej kuferku moc pokradzionych nam rzeczy. Prostytucja zresztą też oficjalnie zabroniona jest w Rosji. Nareszcie! Radość w domu od strychu po piwnicę! Lolkę zabiera milicja!

Wróciła po dwóch dniach, jeszcze bardziej pewna siebie i zwycięska. Jakiś komandir zeznał, że to jego narzeczona i że to tylko on do niej chodził. Zwolnili ją z honorami! O ukradzionych rzeczach – ani słowa. Widocznie narzeczonym komandirów wolno kraść. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak puszczać i wypuszczać dalej tych jej przygodnych, zmieniających się parę razy na dobę narzeczonych.

Sama nie wiem, jak sobie radzimy, ale radzimy sobie jakoś. Moja poczciwa pokojowa, choć nie mam pieniędzy, by jej stałą pensję płacić, nie chciała odejść i została. Została też stara gospodyni. Prócz piętnaściorga naszych dzieci jest jeszcze dwoje dzieci rządcy. Razem około trzydziestu osób, które gniotą się w przeważnie nieopalonych pokojach. Z tego trzeba wyżywić wspólnymi siłami około dwudziestu trzech. Każdy przetrwany dzień – jest cudem! Każdy posiłek – tajemniczym rozmnożeniem chleba!

Wszystkie starsze dzieci chodzą do szkół, a wolne od nauk godziny spędzają po ogonkach. Najstarsze sprzedają rzeczy. Spławia się je na ulicy, w pasażu, na rynku. Całkiem po prostu, jak handełes[1]. Staje się np.

[1] żydowski uliczny handlarz starzyzną

z kołdrą na ramieniu i butami w ręce, a potem czeka na nabywcę. Robią tak zresztą wszyscy. Na tzw. Krakidałach moc znajomych. Tylko tam można także coś nabyć. W sklepach pustki. Są tylko rządowe, komisowe sklepy, ale te skupują właśnie wszystko, co się da. Tam nikt z nas nie chodzi. Ceny urzędowe, więc półdarmo.

Najstarsza córka Kasi sprzedaje na dworcu kanapki. Robi to zresztą moc dziewcząt w jej wieku. Zdobywa chleb, zdobywa końską kiełbasę, a potem cały dzień gania z kanapkami po dworcu. Wieczorem wraca skostniała, ale dumna, bo zarobiła parę rubli, za które jutro kupi znów chleb i kiełbasę i znów poleci na dworzec. Dość szybko jednak władze zabroniły tej „jawnej spekulacji”!

Mąż Basi naprawia buty. Wcale przyzwoity warsztat urządził sobie w pokoju. Skóry wprawdzie nie ma, ale od czegóż skórzane kuferki. Tnie więc kuferki i łata dzieciom podeszwy. Z czasem dochodzi do takiej wprawy, że przyjmuje zamówienia z miasta. Każdy tylko skórę musi przynieść sam. Z zamówieniami zresztą też trzeba uważać. Wykupienie w urzędzie patentu i nabycie prawa do uprawiania jakiegokolwiek rzemiosła sięga jakiejś zawrotnej sumy. Nie pamiętam jej dokładnie, więc nie podaję. To tylko wiem, że użycie na ten cel wszystkich pieniędzy, jakie są pod dachem, jeszcze by wymaganej taksy nie pokryło. Trudno… Musi nasz szewc ryzykować. Ostatecznie zawsze można powiedzieć, że to dla swoich, dla siebie. To wolno.

Choć wiemy, że rzecz jest najsurowiej ścigana i zakazana przez władze, dwa razy w tygodniu mają dzieci w domu naukę religii. Nie tylko nasze, bo dobiega jeszcze kilkoro z miasta. Są dwie grupy. Starsza i młodsza. Na wszelki wypadek rozkłada się w czasie lekcji gry i zabawki na stole…

Ksiądz Władek jest młody i niebotycznie wysoki. Jest profesorem teologii w duchownym seminarium, ale teraz, dla władz – tylko laborantem

w instytucie bakteriologicznym. Ma dwa doktoraty, dwadzieścia kilka lat, duże zimne ręce i wielkie gorące serce. Kiedy zaczyna wykład, jasne, dziecinne, niebieskie oczy ciemnieją mu od rozszerzonych źrenic. Mówi wolno, wyraźnie, w skupieniu. Wie, że mówi do dzieci, nie do kleryków. Te same wielkie, nieśmiertelne prawdy trzeba mu mieścić w zupełnie innych, pomniejszonych słowach.

Osobno, poza godzinami religii, przygotowuje Jagusię do Pierwszej Komunii Świętej. Mała jest chora od lat i przeważnie leży. Uważne, milczące, wielkookie dziecko, znoszące z anielską cierpliwością przewlekłą chorobę, a naprzeciw niej ogromny, wpółzgięty przy białym łóżeczku on – przyszła ofiara bestialskiego mordu, dokonanego w półtora roku później przez Niemców na 22 profesorach uniwersytetu, zaraz po zajęciu Lwowa.

Zima się wreszcie przełamuje. Mrozy popuściły. Przychodzi odwilż…

Dach w hallu kapie jak najęty. Wdrapuję się sama na dach i spycham topniejący śnieg z pochyłych, szklanych tafli. W hallu robi się znowu jasno.

Sama nie wiem, jakim cudem przetrwaliśmy tę zimę. Prawda i to, że szafy i kuferki wysprzedane do czysta. Ostatnio poszła jedna z maszyn do pisania i dywany. W rządowym komisowym sklepie, bo na takie rzeczy kupca znaleźć dość trudno.

Nadchodzą nakazy płatnicze za podatki. Uśmiech i wzruszenie ramion. Jak? Skąd? Proporcja mniej więcej taka: asekuracja była dawniej trzydzieści kilka złotych. Dziś jest ponad tysiąc rubli.

Aresztowania coraz sroższe. Ludzie są jednak bardzo nieostrożni! Za dużo gadają. Wpada jedna organizacja po drugiej. Na szczęście w każdej system trójkowy. Zna się i widuje tylko trzy osoby w każdej. Po domach ciągle rewizje. Ludzie zaangażowani nie nocują przeważnie u siebie. Często w ten sposób można uniknąć aresztowania.

Jeszcze przed wyjazdem powiadomił nas Habicha o konieczności posiadania sowieckiego paszportu. Każdy, komu go odmówią, będzie natychmiast wywieziony w głąb Rosji. Musimy więc mieć paszporty.

Ohydne uczucie! Starać się o coś, czego się nie chce, czego się człowiek wprost brzydzi, co mu jest wrogie i nienawistne… Perspektywa jednak przymusowej podróży w głąb „raju" robi swoje. Ostatecznie to tylko formalność. Narzucona, wymuszona formalność. Dzieciom do lat szesnastu wystarcza na szczęście legitymacja szkolna. My jednak musimy mieć paszporty. Wydają je albo na kilka miesięcy, albo na rok, albo na pięć lat, wedle własnego uznania, zależnie od tego, czy dany osobnik nie wzbudza podejrzeń i czy jest politycznie czysty.

My nie jesteśmy czyści. Należymy do tzw. klasy posiadającej. Wiemy, że musimy łgać. Zeznać prawdę byłoby jednoznaczne z natychmiastowym aresztowaniem. Burżuj to gorsze od złodzieja, od mordercy, od oficera nawet! Będziemy kręcić. Na szczęście mamy czym zamydlić oczy.

Paszporty wydają w porządku alfabetycznym, ulicami. W samym Wielkim Tygodniu przychodzi kolej na naszą ulicę. Sto papierków, ileś tam fotografii i pieczęci – wreszcie przesłuchanie.

Za stołem enkawudzista. Smagła, lisia trochę, uważna twarz i szynel zarzucony na opaszki. Pierwszy raz mam zaszczyt stać tak oko w oko z przedstawicielem rządzącej Rosją wszechwładnej organizacji: dawna Czeka. Dawna GPU. Dziś NKWD. Diabeł jeden…

– *Kak familia?*

– Tak a tak.

– *God rożdżenia?*

– Ten a ten…

– Kim był wasz ojciec?

– Inżynierem.

– *A wy gdie rabotali?*

– W teatrze.

– Macie dowody?

– Mam… – i kładę przed nim na stole legitymację ZASP-u, dyplom Szkoły Dramatycznej i kilka papierów stwierdzających, że występowałam w teatrze.

– *Czto to takoje ZASP?*

– Związek Artystów Scen Polskich…

– Związek Artystów Scen Polskich… – parska kpiącym uśmiechem. – *Wot* i skończyła się ta wasza burżujska Polsza! Skończyły się wasze pańskie związki! *Tiepier* będą artyści scen sowieckich. *Charaszo, nu charaszo…* – przegląda uważnie papiery. – *A muż wasz gdie rabotajet?*

– Ja nie mam męża.

– *Czto? Bez muża? Tak… wot… sama?*

– Sama.

– *Eto nie charaszo… Wam muża nada… da, żeńszczynie nada muża… Czesnoje słowo… Nada… da…* – przygląda się moim dołączonym do podania fotografiom. – *Wot dramaticzne lico… Wy nawiemo lubili dramaticzne role. Mnie tieatr oczeń interesujet… da… ja sam rabotał w tieatrie. A wy ruskije sztuki grali tu kiedy – a*?

– Czasem. W przekładach…

– *I wy toże grali? A w czem naprymier?*

– W *Rewizorze z Petersburga* Gogola – przypominam sobie na szczęście…

– *Rewizor…* Znam, znam… *Rewizor z Petersburga, nu smatry…* Tak wy grali rosyjskie sztuki w Polsce. *Prawilno, prawilno… Uwidim.* Zgłoście się *zawtra…*

No i „zawtra” wydali nam te, szantażem w nas wmuszone, sowieckie paszporty. Mnie jako aktorce, siostrze mojej jako malarce, Kasi jako nauczycielce. Wszystkim na przeciąg pięciu lat. Do marca 1945… Uff!

Wracam powoli oschłymi już po roztopach ulicami do domu. Właściwie udało się… Rzecz do ostatniej chwili była dość wątpliwa. Powinnam się cieszyć… Cóż, kiedy nie mogę. Ciągnie się za mną uczucie niesmaku i przygnębienia. Ta mała książeczka koloru błota ciąży mi w kieszeni jak kamień. A nade mną wiosna i zmierzch… Niebo jeszcze jaskrawe, choć ulice już pełne przyziemnego zmroku. W dalekich drzewach na cytadeli jedna wilgotna gwiazda wtrzepana migotem między czarne gałęzie…

Jest Wielki Piątek…

Kwiecień. Pierwsze dni kwietnia. Czyjeś urodziny. Jest u nas kilkanaście osób z miasta. Wyjątkowo pogodny nastrój. Są nawet piosenki przy gitarze…

Wtem – dzwonek.

Dzwonek. Któż o tak późnej porze? Pewnie gość Lolki. Za szybą wejściowych drzwi płaska, kwadratowa twarz, cywilny płaszcz i nisko na oczy nasunięta czapka.

– Do kogo?

– Do was. *Atkrojtie*.

Pod światło ulicznej latami widzę w nawilgłej ciemności ogrodu do muru przylepione i zjeżone bagnetami sylwetki.

Dom otoczony jest przez NKWD…

Aresztują Kasię. Nie mamy pojęcia za co?

Wstępna indagacja, osobista rewizja, rewizja jej kuferków, rzeczy i naszego wspólnego pokoju. Brama obstawiona. Nikomu nie wolno wyjść. Zatrzymują wszystkich, których zastali tu przypadkowo, co robią zresztą zawsze. Przesłuchają wszystkich po kolei. Potem nikomu nie wolno już ruszać się z poszczególnych pokoi.

Kasia jest spokojna, opanowana, tylko strasznie zmęczona. Dwie poprzednie noce spędziła w tłoku, w wagonie. Jeździła na prowincję po żywność dla dzieci. W torbie, z którą wróciła, znajdują istotnie trochę

fasoli i dwie główki kapusty.

Trwa to i trwa bez końca. Nikt nie wie, czemu tak długo trwa. Nerwy napięte do ostateczności. Na coś czekają. Na auto czy na innego, wyższego śledowatela? Ten pierwszy, w cywilnym płaszczu zarzuconym tylko na mundur, siedzi w naszym pokoju i nie spuszcza z Kasi oka. A wtedy dzieje się coś, czego do dziś nie mogę zrozumieć… Kasia kładzie się po prostu na swojej kanapie i usypia! Głęboko, spokojnie, naprawdę…

Siedzę półprzytomna na brzeżku własnego tapczanu, patrzę i oczom nie wierzę… Widzę na kwadratowej twarzy tamtego też wyraz zdumienia, niedowierzania, zaskoczenia. To chyba pierwszy i jedyny wypadek, by mu aresztowany zasnął tak pod rękami. Cóż za nerwy, cóż za wolę ma ta kobieta!

Godziny płyną. Kasia śpi. Niech śpi. Bóg jeden wie, co ją czeka. Bóg jeden wie, kiedy będzie mogła znowu spać i ile sił i przytomności będzie jej trzeba podczas śledztwa! I chyba dlatego Bóg, który wszystko wie, pozwala jej spać tak spokojnie, głęboko, sycąco.

I nie zbudziła się ani na dudnienie auta, ani na chlast bramy, ani na wejście rosłego, ciężkiego jak byk cywila w czapce i wysokich butach. Dopiero kiedy oślepiający strumień światła elektrycznej latarki zalał jej z bliska twarz, otworzyła zmęczone oczy.

Nie pozwolili jej pożegnać się ani z siostrą, ani z dziećmi, ani z nami. Nie pozwolili jej wziąć nic – nawet koca. Poganiając brutalnie, wyprowadzili pod bagnetami o godzinie piątej nad ranem…

Dudnienie ciężarowego auta słyszało się długo w ulicy…

Jesteśmy uwięzieni w domu na przeciąg 48 godzin. Domowi i wszyscy goście, których tu zastano. Nikomu nie wolno wyjść. Każdego, kto o niczym nie wiedząc, zadzwoni do nas, puszczają wprawdzie podstępnie, jak do łapki na myszy, ale już nie wypuszczą przed jutrem. Złapano w ten sposób jedenaście osób. Przesłuchiwano wszystkie.

Kilka innych, najbardziej może kompromitujących, odegnały dzieci przez okno, na migi…

Dom zatem pełen szyneli i błękitnych czapek. Pilnują nas na dwie zmiany. Jedni czuwają, drudzy śpią. Gdzie popadnie. Na fotelach, kanapach, schodach. Po kilku koło siebie, bądź jak… Ciężkie, sztywne postacie w fałdzistych płaszczach. Sen ich zaskoczył w najdziwniejszych, niewygodnych, przypadkowych pozach. Jest w nich jakaś ciężka, prymitywna tępota, zwalistość, niezgrabstwo…

– Jak uśnięci na straży żołnierze przy grobie Chrystusa na starych drzeworytach… – mówi moja siostra.

Otóż to właśnie! Żywcem!

W moim pokoju dyżurują na zmianę wyżsi oficerowie NKWD. Czasem któryś z nich kładzie się z buciorami na kanapie i śpi. Drugiego zabawia Lolka. A jakże! Zwietrzyła jucht i wpakowała mi się do pokoju jak do siebie. Na biurku porozlewana herbata, lepkie szklanki, tłusta gazeta z końską kiełbasą, a na fotelu kwiki, rżenia, szamotanie… Ja się nie liczę. Mnie nie ma. Przedmiot. Rzecz… Siedzę tak dzień i całą drugą noc na brzeżku własnego tapczana. Pod koniec już mi się we łbie mąci… Nie wiem, czy to prawda, zmora, czy zły sen. O spaniu ani mowy. Nie tylko z powodu tej pareczki tuż obok… Zbyt wielkie nerwowe napięcie. Zbyt gorączkowa pogoń i ustawiczne szukanie myślą Kasi po niewiadomym, które ją wchłonęło. Gdzie? Za co? Co jej grozi? Śledztwo? Katownia? Zamarstynów czy Brygidki? Czy już się zaczęło? Czy już ją mogą bić? Czy się jeszcze trzyma? Czy jest jeszcze przytomna?

– *Puskaj! Paszoł!* – odkopuje się Lolka na fotelu. – *Smatry kakoj! Zwier, nie czełowiek…*

Zaczynają płynąć dni, dni jak po pogrzebie.

Dziewczynki z tłumoczkiem bielizny wystają teraz godzinami pod murami więzień. Jedna na Zamarstynowie, druga na Brygidkach. Nie

mamy przecież pojęcia, dokąd zabrali Kasię.

Basia lata po prokuratorach. Każą przyjść jutro, pojutrze, za tydzień. Idzie. Daremnie. Nic i nic, i znowu nic.

Ksiądz Władek odprawia jedną mszę świętą za drugą.

Jest niespełna dwa tygodnie po aresztowaniu Kasi.

Wracam późnym wieczorem do domu. Ulice wyściela lepka, biała jak wata mgła. Ludzi nie widać prawie całkiem. Za to całą jezdnię zawaliły nieprzeliczone szeregi czarnych wojskowych aut. Od Politechniki, popod kościół św. Marii Magdaleny, przez całą ulicę Potockiego, aż do poczty. Stoją martwe, puste, bez świateł, jak nagle wyrojone, niewiadome, wrogie owady. Po co ich tyle?

Po co?

Tej samej nocy następuje wywóz ludności cywilnej z miast.

Wieś już załatwiona. Teraz kolej na miasta i miasteczka, jednej nocy na wszystkich zajętych terenach, od razu.

Reguły znowu żadnej. Niepodobna dojść, czemu ci, a nie tamci, i czemu nie wszyscy? Przypadek? Los? Loteria? Paszport nie uratował nikogo.

Co działo się tej nocy we Lwowie, tego niepodobna opisać. To trzeba było przeżyć, by dać wiarę.

Jakaś dziewczynka, nieprzytomna ze strachu, wyskakuje z drugiego piętra na bruk. Łamie obie nogi. Enkawudziści wnoszą ją na rękach do czekającego przed bramą kamionu. Inni taszczą materac ze sparaliżowaną staruszką. Miasto dudni od szalejących po ulicach aut. Łomotanie w bramy. Wyważanie drzwi. Krzyki. Płacz.

Jednym pozwalają brać ze sobą wszystko, co kto uniesie. Innym, tym zwłaszcza, których już brano nad ranem, wolno ledwie coś zarzucić na siebie. Chodzi o to, by skończyć przed ranem. Zbrodniarze zawsze unikają dnia.

Nieprzeliczone tysiące – inteligencji tym razem – deportowano w ten sposób w głąb Rosji.

Nad nami dopełnia się chyba cud! Nie wzięto od nas nikogo, choć całą noc wywozili i naszą ulicę.

Nazajutrz miasto wygląda jak wymarłe. Jakby je zaraza wydusiła. Ostatnie kamiony z wyłapanymi ludźmi przekradają się bocznymi ulicami.

Rodziny, płacząc, dobijają się do mieszkań wywiezionych krewnych. Niektóre mieszkania opieczętowane przez NKWD. Inni nie mają odwagi pójść sprawdzić na drugą ulicę, czy kto z ich bliskich ocalał w tej nowej Nocy św. Bartłomieja.

W kościele tłumy. Ludzie leżą krzyżem i płaczą.

Zaczynamy żyć na spakowanych kuferkach. Każdej chwili może przyjść przecie nowa fala wywozów. Nie wszystkich wyłapano. Trzeba być gotowym.

Ja znoszę ten okres najgorzej. Mam znowu bzika. Stoję całymi dniami przy oknie i czekam. Budzę się w nocy i nasłuchuję. Wieczór zwlekam z rozbieraniem się, bo nuż zadzwonią. Każde mijające bramę auto przeprowadzam po ulicy oszalałym biciem serca.

Siostra moja spokojna, aż dziwnie. Systematycznie wybiera i pakuje dziecinne rzeczy, robi zapas lekarstw dla chorej Jagusi. O nią oczywiście największy strach. Mała to czuje i milczy. Nie pyta o nic, tylko wodzi za matką paciorami dużych, granatowych oczu. Łapię w nich czasem trwożny, wyczekujący wyraz na odgłos czyichś szybszych kroków na schodach. Poza tym nic. Prosty, skupiony słupek w białym łóżeczku za siatką.

Całe tygodnie takie. O Kasi w dalszym ciągu nic.

I przyszedł wreszcie ów jeszcze jeden wywóz, tyle że ofiarą padają tym razem sami uchodźcy. Na tych powodzią wojny przypadkiem naniesionych tu ludzi, na tych nieszczęśliwych rozbitków, którzy tyle

już gorzkiej poniewierki znieśli i przeżyli – wali się oto najcięższy z dopustów: deportacja!

NKWD ma tym razem zadanie bardzo ułatwione. Miesiące już naprzód rejestrowali wszystkich bieżeńców z zachodu, niby to celem odesłania ich na „tamtą stronę" do domów i rodzin. Brali nazwiska, dane, adresy, obiecując, że gdy tylko sprawę uzgodnią z Niemcami, każdy dostanie wezwanie i będzie mógł legalnie i bez trudności wrócić w rodzinne strony. Podstęp się udał. Mieli do wywozu gotowe spisy, listy i adresy.

A mimo tego całe trzy doby trwa obława. Jest ciepło. Jest czerwiec. Ludzie kryją się po ogrodach, parkach, laskach, na strychach, w pakach ze śmieciem.

Trzy dni ładowali na auta połapanych i wywozili. Nowe tysiące, nowe dziesiątki tysięcy niewinnych, zrabowanych krajowi ludzi; a przed nimi bezosobowy, zachłanny Potwór Przestrzeni, który ich łyka, wsysa i rozpuszcza bez śladu w Niewiadomym.

A potem jeszcze jedna klęska.

Upadek Francji! Ów nagły, katastrofalny, niespodziany upadek Francji!

Ciemno nam w oczach mimo pogody i lata.

W lipcu mnie aresztują.

CZĘŚĆ PIERWSZA
PRZEZ WIĘZIENIA

Rozdział I
BRYGIDKI

Nie chcę nazywać tego przeczuciem, bo z reguły nie miewam żadnych, to pewne jednak, że na dobrych parę dni przed aresztowaniem obsiadł mnie jakiś obcy mi niepokój i nie mogłam sobie miejsca znaleźć.

Nie bardzo wiedząc dlaczego, postanowiłam nagle pewnego dnia spalić wszystkie papiery, którym pragnęłam oszczędzić ewentualnego dostania się w niepowołane, wrogie ręce. Żelazny piecyk w moim pokoju rozhuczał się mimo lata jak za najlepszych zimowych dni. Bardzo to dziwne uczucie niszczyć tak za żywa swoje „pośmiertne papiery", patrzeć, jak ogień oskrzydla i topi te – od lat gromadzone, strzeżone i kochane – listy, pamiątki, fotografie; wychwytać jeszcze ostatni raz wzrokiem na zwijających się płomienistych kartkach jakieś lepiej pamiętane zwroty, strzępki zdań, wreszcie samo niknące na zawsze pismo. Mimo całej żałości i roztrzęsienia, w miarę jak się to wszystko węgliło i przestawało być, czułam coraz wyraźniej, że je zabezpieczyłam nareszcie, że nie mogłam znaleźć dla tych pamiątek pewniejszego schronienia nad czysty płomień i własną pamięć. Tam mi ich już nic – nawet NKWD – ani sprofanować, ani odebrać nie potrafi.

Samo aresztowanie nie zaskoczyło mnie znienacka. Dano mi znać w tajemnicy, na dobrych parę godzin naprzód, że NKWD zainteresowało się moją osobą.

Jedyną zatem rzeczą, którą mogłam próbować jeszcze zrobić, było ukryć się gdzieś poza domem. Nie mówiąc nikomu o niczym, wyleciałam do miasta szukać wśród znajomych kogoś, kto by mógł i chciał przyjąć mnie na mieszkanie, a potem zameldować pod zmienionym nazwiskiem i za fałszywymi papierami. W godzinę później miałam już dwie

najpoczciwsze propozycje. Ludzie bez zająknienia pomagali sobie, nie dbając o możliwe konsekwencje. Jedna z tych poczciwych, uczynnych dusz widziała mnie wtedy pierwszy raz w życiu.

– Niech pani nawet nie wraca do domu, tylko zaraz idzie ze mną. To bezpieczniej – radzi mi nawet.

Jakże jednak mogę to zrobić? W domu o niczym nie wiedzą. Będą się niepokoić, czekać. Nie! Wrócę tylko na chwilę, powiem co trzeba, wezmę parę koniecznych drobiazgów i zaraz będę z powrotem.

Już to od tego, co komu pisane, nikt się jeszcze widocznie nie wykręcił! Dosłownie bowiem w chwili, kiedy wchodziłam w ogrodową furtkę, spotkałam się w niej nos w nos z dwoma bolszewikami w cywilu.

No a potem już bardzo prędko poszło. Krótka indagacja i rewizja w moim pokoju. Nie wiem, jak sobie dziękować, żem spaliła moje papiery! Wszystko odbywa się grzecznie, dość pobieżnie i bardzo głupio. Ani jednej na przykład z pięciu szuflad mego biurka nie tknęli nawet. Zabierają natomiast rachunki za wodę i światło (!). Biorą mój paszport i każą mi się zbierać. Pozwalają mi wziąć ze sobą, co bym chciała. Prócz teczki z rzeczami do mycia nie biorę jednak nic. Opada mnie prześmieszne uczucie najdoskonalszej obojętności wobec rzeczy, takiej, jaką dla wszystkiego co materialne odczuwać muszą – wyobrażam sobie – umierający. Nic i wszystko – ma nagle tę samą wywietrzałą, nieistotną wartość. Ktoś z domowych wtyka mi w teczkę trochę chleba i cukru. Nie wiem, dlaczego nie biorę pieniędzy. Sprzedałam ostatnio znów dywan i pieniądze miałam. Pomyślałam natomiast o nożyczkach. Gdyby mi przyszło siedzieć, wolę mieć krótkie włosy. Ktoś próbuje jeszcze dowiedzieć się od nich, dokąd mnie biorą. Uśmiech. Wzruszenie ramion i coś w ten sens, że to może być tylko przesłuchanie, że może dziś jeszcze wrócę, żeby się nie przejmować itd. Ja jednak wiem swoje i wcale się nie łudzę.

Spisują protokół. Po przeczytaniu każą go podpisywać mnie i

świadkom. Jest tam między innymi stwierdzenie, że nic w czasie rewizji nie zostało ukradzione. Przez nich istotnie nie zostało. Potwierdzam to własnoręcznym podpisem. Ale mnie udaje się za to ściągnąć przy tej okazji i ukryć w fotelu odłożony już do zabrania paszport. Nie mam pojęcia, po co to robię. Chyba na złość. Pokwitowali w protokóle jego konfiskatę, więc nie będą mogli haczyć o to nikogo.

Pozwalają mi się pożegnać. W ogóle nie są tacy brutalni jak ci, którzy brali Kasię. Ponieważ mam na sobie tylko letni płaszcz, ktoś już w hallu wtyka mi w ręce, siłą prawie, koc. Wychodzę pierwsza. Oni za mną. Jest już ciemnawo i deszcz widocznie kropił, bo chodnik do bramy mokry.

O parę numerów niżej czarna limuzyna. Mówiący po polsku szofer w haftowanej mycce na łbie, z różnymi przytykami na temat „jaśnie pani", która jedzie do kurortu – stały zresztą i uprzykrzony już potem ich dowcip – z drwiącym przekąsem otwiera drzwiczki. Jeden siada przy mnie, drugi obok szofera.

Z kierunku jazdy staram się odgadnąć, dokąd mnie wiozą. Zamarstynów? Łąckiego? Brygidki? Niespodzianie stajemy przed gmachem Miejskich Zakładów Elektrycznych na ulicy Pełczyńskiej. Puszczają mnie do hallu o obstawionych striełkami schodach i drzwiach. Tu czeka już, tak jak ja, dwóch młodych ludzi i jedna kobieta. Siadam i zaczynam czekać. Nie wiem jeszcze, że będzie to trwało do następnego dnia w południe.

Po dwóch godzinach podają mi szklankę herbaty i chleb. Zdaje mi się, że zrobił to na własny rachunek ten, który mnie aresztował, bo najpierw zapytał mnie, czy mam pieniądze, a mimo żem ich nie miała, przysłali mi to jedzenie z bufetu.

Pod dużym zegarem dwa martwe słupy z bagnetem zmieniają się co dwie godziny. Czasem na stoliku dyżurnego przy drzwiach zabrzęczy telefon. Różne typy w mundurach i po cywilnemu plączą się po hallu. Jest

też dużo kobiet. Pewnie ich urzędniczki. Każdy, wchodząc i wychodząc, pokazuje dyżurnemu małą czerwoną legitymację.

Powoli ruch w gmachu zamiera. Schody przyćmione. Miasto cichnie. Rozścielam koc na ławce, kładę się i próbuję spać. Ale nie zasypiam. Nie czuję ani zmęczenia, ani senności. Wstaję. Chodzę. Odmawiam różaniec, który znalazłam w kieszeni płaszcza. Dyżurny nie spuszcza z nas oczu. Nie wolno mi podejść bliżej tamtych. Około północy kobietę zwalniają. Zostajemy w olbrzymim hallu, troje aresztowanych, dyżurny i warta pod zegarem. Palę papierosy. Siadam. Znowu się kładę i znowu wstaję. Całą noc tak.

Wreszcie dzień. Dyżurny pozwala mi pójść do toalety i umyć się. Wszędzie okna są drobno okratowane, a dostęp do nich z zewnątrz silnie zadrutowany.

Około południa podchodzi do mnie jakiś mężczyzna w białym tenisowym ubraniu i każe mi iść za sobą. To mój śledczy. Jest zupełnie przyzwoitej powierzchowności, rudawy, o ciemnych, uważnych oczach. Nie ma wcale takiego chamowatego wyglądu jak oni wszyscy. Nie mówi po polsku, ale mnie rozumie. Słyszałam potem, jak się komuś przedstawiał przez telefon. Zamiast nazwiska miał numer – o ile pamiętam 603 – widocznie ci z NKWD w miejsce nazwisk mają w czasie urzędowania swoje numery.

Pierwsze przesłuchanie trwa ze dwie godziny. Z początku nie mogę nic wykombinować. Nie zarzuca mi jeszcze nic, tylko pyta, pyta, pyta. O całą rodzinę do pradziadków i prababek, przy czym spisuje moje zeznanie. Pod sam koniec wreszcie pyta mnie, dlaczego przy paszportyzacji podałam się za aktorkę, a jestem burżujem i posiadam ten a ten majątek ziemski. Robię naiwną i zdziwioną.

– Dlatego, że przy paszportyzacji pytano mnie, gdzie rabotałam. Nikt mnie nie pytał, co posiadam. A ponieważ rabotałam w teatrze, na

co przedłożyłam dowody, zeznałam zgodnie z prawdą, że jestem aktorką.

Nie odpowiedział mi na to nic, tylko się kpiąco uśmiechnął kącikiem ust… Nie wiem, czy nad moją głupotą, czy przewrotnością! Odczytał mi potem głośno protokół i kazał podpisać. Podpisałam. Potem sprowadził mnie znów do hallu, gdzie czekałam do następnego dnia w południe. Na szczęście miałam jeszcze kawałek chleba i trochę cukru. Tej nocy to już spałam, skulona na ławce, bo byłam zmęczona i głodna. Tamtych dwóch już nie było.

Nazajutrz około dwunastej śledczy zjawia się znowu i prowadzi mnie do naczelnika.

Siedział za stołem ogromny, opasły, o twarzy tak obrzękłej, że mu prawie oczu nie widać. Musiał mieć krótki wzrok, bo mrużył te zapuchłe powieki w sposób niecierpliwy i nerwowy. Pyta opryskliwie i już z góry jest zirytowany odpowiedzią. Wpiera we mnie między innymi, że już od czasu ich wkroczenia jeździłam skrycie na wieś i buntowałam fornali przeciw ich reżymowi. Także chce ze mnie wydobyć nazwiska chłopów, którzy mi przywozili prowianty i drzewo, o czym dobrze – jak mówi – wiedzą, bo widziano przed moim domem fury ze wsi. Zaprzeczam oczywiście, bo w domu od wybuchu wojny istotnie nie byłam, a jeśli chodzi o fury, to twierdzę, że nie były to wcale moje fury, tylko jakieś podmiejskie, chłopskie, które mi przywoziły kupione drzewo. Naczelnik nie wierzy. Wścieka się. Podskakuje na krześle i widzę, że furia go dusi.

– Kiedy wy byli ostatni raz w majątku?

– 31 sierpnia 1939 roku.

– A co wy tam robili tego 31 sierpnia 1939 roku – a?

– Sprzedawałam rzepak.

– A potem wy już nie jeździli?

– Nie. Potem już nie jeździłam…

– *Wriosz!* – huknął nagle pięścią w stół i zaczął bełkotać jakieś

zarzuty, które tylko piąte przez dziesiąte rozumiałam. W rezultacie jedno w kółko: byłam, buntowałam, jeździłam, wiedzą, mają dowody… Trwa to jakiś kwadrans, nie dłużej. Okna są otwarte. Miasto szumi. Wzgórza Kadeckiej zielenieją laskami, a dołem, ulicą przecieka ciągle wojsko i ryczy *Katiuszę*. Jestem bardzo głodna i, ku własnemu zdumieniu, wcale się jakoś nie boję tego obrzękłego Mongoła przed sobą.

Nr 603 sprowadza mnie znowu na dół i każe czekać. Nie mam już ani papierosów, ani chleba. Jeszcze tylko parę kostek cukru. Dwie zjadam, resztę chowam, bo nie wiem, jak to wszystko długo jeszcze potrwa. Trzeba coś mieć w zapasie.

Około czwartej po południu Nr 603 woła mnie znowu. Zaczyna się wszystko od początku. Te same pytania i te same odpowiedzi. Nie wiem po co. Chyba by sprawdzić, czy odpowiedzi brzmią zgodnie z poprzednimi. Ktoś mu ciągle przeszkadza. Odwołują go. Telefon na biurku ciągle brzęczy. Ja czekam. Jestem zmęczona i głodna. Ręce mi drżą i zimno mi mimo lata. Wreszcie przyprowadzają mu kogoś widać ważniejszego ode mnie na śledztwo, bo każe mi wyjść na korytarz i tam czekać. Jestem już tak zmęczona, że nie namyślając się dłużej, kładę się na ziemi pod ścianą i zasypiam. Zmierzcha już, kiedy mnie budzą. Każą mi iść znów na dół do hallu. Zjadam znowu dwie kostki cukru, zwijam się w kłębek na ławce i znowu śpię.

O drugiej w nocy śledczy znowu prowadzi mnie na górę. Gmach jest cichy i ciemny prawie całkiem. Niektóre tylko pokoje oświetlone. Widocznie gdzieniegdzie toczą się jeszcze śledztwa. W biurze, prócz Nr. 603, czeka jeszcze jakichś dwóch innych. Jeden z nich to ten, który mnie aresztował. Coś gadają, piszą. Mnie już nikt o nic nie pyta.

Wiem, choć mi tego nie mówią, że jadę już teraz do więzienia. Uświadamiam sobie, że mam tylko letni płaszcz i płytkie trzewiki, a mogą mnie wysłać na białe niedźwiedzie, jak to się u nich żartem mówi…

Więc pytam śledczego, czy nie mogłabym dać kartki do domu z prośbą o trochę bielizny i ciepłych rzeczy. Odpowiada grzecznie, jak zawsze, że tam, dokąd jadę, dadzą mi wszystko, czego potrzeba, zatem kartka taka jest zbyteczna.

Noc jest pogodna i wygwieżdżona, kiedy wychodzimy na dwór. Miasto śpi. Na ulicach ani żywej duszy. Ten sam szofer w haftowanej mycce na głowie i ten sam dowcip o kurorcie przy drzwiczkach. Po ulicach poznaję, że wiozą mnie na Brygidki. Kamień spada mi z serca. Strasznie bałam się Zamarstynowa.

Żelazna brama, wysoki próg i świadomość, że przestępuję go oto na Bóg wie jak długo. Czarna sień, przeciąg, jakiś zaspany sołdat na zydlu. Prowadzą mnie do dyżurki.

W małym jak sionka pokoiku – ścisk. Aż czarno od aresztowanych. Pierwszy też raz widzę tu dziewczynę w szynelu. Młoda jest, nawet niebrzydka, tylko strasznie chamska i bez przednich zębów. Drab w niebieskiej czapce pod gołą żarówką sprawdza moje papiery. Powiada, że mam oddać wszystkie cenności. Prócz pustej papierośnicy, różańca i teczki z rzeczami do mycia nie mam nic. Każe mi to wszystko oddać do przeglądu. Zabiera nożyczki, nóż, pusty pulares, zakrętkę od pasty do zębów, różaniec. Proszę, żeby mi go oddał. Nawet nie odpowiada. Potem zarządza osobistą rewizję.

Dziewczyna w szynelu odprowadza mnie w wąski korytarzyk przy dyżurce i rozbiera do naga. Kiedy jej próbuję tłumaczyć, że może należałoby zamknąć drzwi, podrzuca łopatkami i mówi, że tędy i tak muszą chodzić i że *niczewo*. Istotnie. Ma rację! *Niczewo*! Wstydzić można się tylko – ludzi.

Przede wszystkim odrywa mi gumy od podwiązek. Potem wyciąga gumę z reformów. Krzyżyka przypiętego do staniczka nie zauważa o dziwo, choć przeszukała inne rzeczy obrąbek po obrąbku. Wszystko, co

ze mnie zdejmuje, rzuca po kolei na brudną, zaplutą podłogę. Nie wiem dlaczego. Mogła wszystko kłaść na zydlu w kącie. Widocznie to też należy do obysku.

Przez cały czas trwania rewizji odchodzi przez otwarte drzwi ożywiona rozmowa z tym drabem spod żarówki. Mało rozumiem, dość jednak, by być zadowolona, że rozumiem tak mało! Od czasu do czasu przechodzący obok nas sołdat albo ją uszczypnie, albo klepnie, za co – po rżącym wybuchu śmiechu – zostaje przez nią kopnięty w siedzenie. Dziewczyna ma najwyżej osiemnaście lat, śliczną cerę i ładne oczy, ale jest w jej młodości coś równie opacznego, jak w tym jej bezzębnym uśmiechu. Widać, że wcale nie chce mi dokuczyć. Odrabia swoje obojętnie, mało co myśląc o tym. Myślą za nią raczej jej wprawne palce, obmacujące obrąbki i szwy. Nie znalazłszy niczego, każe mi się ubierać. Dość to żałośnie wygląda. Pończochy lecą, reformy lecą… człowiek nie wie, co ma trzymać najpierw. Dziwnie deprymujące uczucie! Nie boli mnie zabranie pamiątkowej papierośnicy, a za podwiązkami chce mi się płakać! Proszę ją, żeby mi dała jeszcze na chwilę nożyczki. W cieniu korytarza, na oślep gryząc małymi nożyczkami głowę, jak popadnie, tnę włosy równo z karkiem i uszami. Dziewczyna dziwi się i po dziecinnemu żałuje włosów. Pyta mnie, po co to robię. A ja dobrze wiem po co…

Następuje teraz ważna chwila wręczenia mi kwitancji na moje cenności. Więc: nóż, podwiązki, różaniec, pulares i teczka. Czy mi papierośnicę zapisał – nie wiem. Po rosyjsku nie czytam i nie wiem, jak się co nazywa w dodatku. Przypuszczam jednak, że nie. Była to jedyna rzecz, która wyglądała na wartościową, choć wartość miała tylko dla mnie. Mniejsza z tym. I tak wiedziałam, że jest to czcza formalność i że żadnej z tych rzeczy nie zobaczę więcej.

Po wypełnieniu jakiegoś papieru idę z drabem w szynelu na oględziny lekarskie. Prowadzi mnie czarnymi podwórzami, między kanałowe ścieki,

przez jakieś sienie i przejścia, do małej, słabą żarówką oświetlonej salki. Nad stołem zaspana Żydówka w białym fartuchu. Pytania dość pobieżne, badania żadnego, jakaś kartka i prowadzą mnie dalej.

Brygidki są bardzo rozległe. Nie widzę tego, tylko czuję. Noc jest czarna, gwiazdy bardzo wysoko. Dziwnie inaczej odczuwa się smak powietrza, gdy się jest aresztowanym. Czarna zieleń mijanych żywopłotów rozczula – nie wiem czemu. Tyle tylko widzę, ile łapie w rozkołysany zasięg światło małej, niesionej przez dyżurnego latami.

Wreszcie nieduży budynek, pod samym murem, śpiący w progu dyżurny, jakiś oddany mu przez tamtego papier, korytarz i zgrzyt klucza w zamku mojej pierwszej w życiu celi. Na drzwiach białą farbą wypisana trzynastka.

Mała celka, mimo nocy, jest jasno oświetlona. Dwa łóżka pod każdą ścianą, wąski przesmyk między łóżkami, wysokie okno w głębi – i już! Ach, nie! Jeszcze stolik i wiadro. Czuć wilgoć, stęchłą słomę i śledzie. I jeszcze coś czuć. Tuż przy drzwiach stoi coś – co jest nakryte starą ścierką. Drzwi zamykają się z trzaskiem i zgrzyta w zamku klucz.

Na łóżkach pod oknem, zbudzone moim wejściem, siedzą dwie panie. Tamte dwie albo się nie zbudziły, albo udają, że śpią. Jest ich cztery na cztery łóżka. Ja jestem piąta.

Oczywiście pytania: skąd? kiedy? za co? od kiedy? One wszystkie siedzą za usiłowanie przekroczenia granicy. Trzy szły do siebie na niemiecką stronę, jedna uciekała od Hitlera. Bardzo poczciwie pytają mnie, czy nie chcę chleba? Papierosów niestety same nie mają, a miejsce zrobią mi koło siebie. Zsunie się dwa łóżka i będziemy spać we trzy na dwóch.

Przy ciągłym, trwożnym oglądaniu się na głazok we drzwiach wypytują mnie gorączkowo o sytuację na świecie. Siedzą już przeszło miesiąc i nic nie wiedzą, co z wojną. Podciągając opadające pończochy,

mówię im o upadku Francji. Za chleb dziękuję, bo ze zmęczenia nie jestem wcale głodna. Rozkładam koc na zsuniętych łóżkach, zdejmuję co nieco z siebie i kładę się. Po dwóch nocach spędzonych na ławce w hallu zdaje mi się, że nigdy jeszcze tak wygodnie nie leżałam. Pytam o wszy. Są. Oczywiście są i pluskwy też. Ale nie tyle, by nie dały spać.

Kładę się. Zamykam oczy. I nagle – ku najwyższemu zdumieniu – natykam się w sobie na cudowny, podwodny spokój!

Co się stało? Skąd to uczucie głębinnego zadowolenia, ulgi, bezpieczeństwa? I olśnienie: przestałam się bać – przestałam się bać – przestałam się bać nareszcie! Jakby kto prąd wyłączył. Jest we mnie cicho i spokojnie, jak mi już dawno nie było. Nie ma Lolki. Nie ma czekania na *wywóz*. Nie ma strachu przed aresztowaniem! Cóż to za cudowne uczucie!

Zasypiam też prawie natychmiast, mimo kroków na korytarzu, światła i smrodu. Była to bezsprzecznie moja pierwsza tak spokojna i beztroska noc od wkroczenia bolszewików do Lwowa!

W trzynastce, na tzw. Specu, trzymali mnie tylko tydzień.

Dostaję tu drewnianą łyżkę i malowaną rosyjską miskę. Czuć to wszystko śledziem i od wieków nie było myte gorącą wodą. Towarzyszki moje zapewniają mnie jednak, że ostatnio jadła z tego całkiem zdrowa Ukrainka, która niedawno poszła do celi. Dobrze. Mniejsza z tym. Jem stęchły pęcak na siłę, jak lekarstwo, nie oddychając nosem.

Czas zapełniamy sobie, czym się da. Gadaniem przede wszystkim. Dwie moje towarzyszki są nauczycielkami. Jedna Polka, druga Ukrainka. Na trzecim łóżku Żydówka z Łodzi. Chuda, żółta, wynędzniała. Płacze i stęka, bo jej zabrali dwoje małych dzieci do dziecińca. Męża jej aresztowali też. Uciekali spod Hitlera „do raju”, pełni zapału i wiary w ten raj. Cóż, kiedy i to okazało się przestępstwem. Biedna Szwarc ma stałą czkawkę po pęcaku i dużo śpi, żeby się jej mogły śnić dzieci. Oprócz czkawki ma jeszcze pierzynę, ale śpi na gołym sienniku, bo jej piernata

szkoda. Na ostatnim łóżku gruba, krępa wiejska dziewczyna, bosa, w wytartym serdaku. Tę też capnęli na granicy, ale ona szła znów na tamtą stronę, i to z jakimiś papierami rzekomo. Tak mi przynajmniej szepce pani Stefania, która z nią dłużej siedzi. Hania udaje głupszą, niż jest. Mówi do nas tylko po rusku i, milcząc, przysłuchuje się naszym rozmowom. Ma niespotykanie śliczne, rasowe ręce o długich, niespotykanie brudnych paznokciach.

Wszystkie ściany naszej celi pełne wydrapanych w tynku podpisów… Imiona, nazwiska, daty przesłuchań, czasem wiek, adres… Znajduję jedną znajomą. W celi tej siedziała niedawno Dozia. Znałyśmy się dziewczynkami, a potem spotykałam ją w teatrze czy w Radio, gdzie była spikerką. O aresztowaniu jej słyszałam jeszcze w kwietniu. Pytam, co to za cyfry wyskrobane obok jej nazwiska. To paragraf, z którego jest oskarżona. 54/XIII. Tajna organizacja. Wpadła pewnie razem z którąś z nich.

Prawiła, czyli zapstrzona przez muchy tablica z przepisami obowiązującymi w tiurmie, wiszą nad stołem. Próbuję z nudów sylabizować te obce, nienawistne litery. Oczy błąkają się po niezliczonych krwawych śladach rozgniecionych na murze pluskiew… Zamknięty mur, który zacienia z bliska nasze okno, jest mi książką z obrazkami. Czego tam nie ma? Napad na rokokową karocę, jakaś ogromna gęba o uprzykrzonym wyrazie i bez jednego oka, Hefajstos przy kowadle, gęś… Na zardzewiałym haku i zzieleniałych zaciekach zawiesza człowiek na całe godziny swe bezmyślne zamyślenie. Potem wraca do karocy, gęsi, Hefajstosa…

Codziennie mamy krótki spacer na małym, wtopionym w mury podwórku. Syk szeptów za mijanymi deskami zabitych okien chodzi za nami w kółko… Kose oczy strielka chodzą za nami też, czujne, pełne nieustępliwej nienawiści. Mijane po sto razy te same, znajome już potem

kępki trawy, kamyki, plwociny. Słychać tramwaje. Nad nami wysokie niebo i obłoki. Czasem ptak…

Dni płyną bardzo powoli.

Pewnego popołudnia dostajemy nową towarzyszkę.

Wchodzi jak we śnie, dźwigając duży, zasobny tobołek. Jest młoda, ma najwyżej dwadzieścia lat. Bardzo porządnie ubrana. Nie mówi nic, tylko siada na brzeżku najbliższego łóżka i patrzy w okno dużymi, błękitnymi oczyma. Na żadne pytanie nie odpowiada. Nic z tego, co się dzieje, nie znajduje w niej oddźwięku. Nie je nic. W ogóle nie odwraca głowy na zgrzyt klucza i wejście dyżurnego, który jej tka w ręce miskę i każe brać zupę.

Na klapie jej tobołka odczytujemy wyhaftowane granatowo jej nazwisko. Zadajemy jej jeszcze kilka okolicznościowych pytań. Nic. Jak do ściany. Orientujemy się wreszcie, że biedactwo nie jest normalne. Patrząc w nieokreślony punkt za oknem, skubie powoli chusteczkę…

Później, o wiele później, dowiedziałam się, że to była żona adwokata z Krakowa, którą razem z mężem złapano na granicy. Dostała pomieszania zmysłów. Z czasem stan jej się pogarszał. Zdeklarowała się mania religijna. Podobno umarła…

Ale to było o wiele później. Wtedy siedziała bez ruchu i skubała pracowicie chusteczkę. Widziałam ją tylko parę godzin. Potem ją od nas zabrano.

Nie było to zresztą jedyne pomylone stworzenie, jakie trzymano wtedy na Specu. Na piętrze, gdzieś nad nami, siedzi ktoś, o kim można powiedzieć, że ładnie, po rycersku zwariował. Wyskakuje biedaczysko na okno i krzyczy na całe Brygidki:

– Zanieście mojej żonie bukiet białych róż!

Aż dziwnie pomyśleć tu – w tej wilgotnej norze, wśród smrodu, wszy i paskudztwa – że były w ogóle jakieś białe róże na świecie. Trzeba dopiero

oszaleć, aby je sobie przypomnieć…

Ostatniego lipca staje niespodzianie w drzwiach korpuśny, wyższy od dyżurnego nadziratiel, i w celę pada pierwszy raz to tak dobrze mi potem znajome:

– *Dawaj, wsie s wieszczami* – co znaczy, że mamy się zbierać, bo nas przenoszą gdzie indziej. Ja wieszczy nie mam prawie żadnych, więc zawijam w ręcznik mydło, szczoteczkę i grzebień, łapię ową cuchnącą śledziem malowaną miskę i z łyżką w ręce staję gotowa do drogi… Szwarc ciągnie worek z piernatem, reszta, co tam która ma swojego, i ruszamy za korpuśnym.

Po dobrych kilku godzinach kolejnego czekania w jakichś przejściowych, jak się to nazywa, celach, podwórzach i korytarzach zostajemy wreszcie z grupą kilkunastu obcych kobiet przeniesione do innego bloku, do celi 21.

Wyobrażenie więzienia kleiło mi się w myśli od dzieciństwa z trzech zasadniczych pojęć: ciemność, samotność i podwodna cisza. To zatem, co się na mnie rzuciło w chwili, kiedy przestępowałam próg mojej nowej celi, było tak niespodziane, że doznałam wprost szoku!

Wrzask – wrzask zbity, jednolity, wrzask bez oddechu, wrzask niepodobny już wcale do wrzasku, a raczej do jakiejś gęstej, napierającej zewsząd galarety, przed którą cofasz się bezwiednie, odruchowo, jak przed falą nagłego smrodu! To się po prostu nie da powiedzieć, co za wrzask i co za powietrze! Ogromna, mroczna cela kotłuje się od półgołych, rozmamłanych kobiet, stłoczonych tu tak ciasno, że w pierwszym błysku spojrzenia zatracają się ludzkie kształty, a zostaje tylko wał rozwrzeszczanej, mrowiącej się, popielatej miazgi.

Z miazgi tej wybija się niespodzianie głośno przez kogoś wykrzyknięte moje imię. Patrzę – Dozia! Pruje się przez zbity tłum gąb i ciał w moją stronę, coś mówi, czego nie słyszę, dopada mnie i ciągnie za rękaw w

głąb celi. Cóż to za ulga i radość zobaczyć ludzką, znajomą twarz w tym obcym, ryczącym stadzie! Oszołomiona, półgłucha, ląduję wreszcie na sienniku wąskiego żelaznego łóżka pod zielonym piecem…

I tam to, pod tym piecem, na łóżku o wygniecionym sienniku, przesiedziałam w Brygidkach całe cztery miesiące.

Cela Nr 21 jest duża, wysoka, o trzech zabitych deskami oknach, które rzekomo wychodzą na ulicę. Od ścian, nogami na celę, stoją szeregi wąskich, tak ciasno zsuniętych łóżek, że między żelazne ich kanty ledwie kolano się mieści.

Środek celi to wielki, zbity czworobok jeszcze ciaśniej zestawionych łóżek. Jest ich 10 w czterech rzędach, czy 8 w pięciu. Te, które je zajmują, aby się dostać do wewnętrznych rzędów, muszą deptać innym po siennikach.

Na 130 kobiet, które tu zastaję, mamy tylko 80 legowisk. Były też krótkie okresy, kiedy nas tam siedziało tylko 90, ale były także inne, gdy stan celi dochodził do 180 kobiet! Jasne więc, że na każdym łóżku gniotą się co najmniej dwie osoby, a i na takie drugie miejsce na sienniku trzeba czasem czekać tygodniami.

Ja mam zupełnie wyjątkowe szczęście! Dozia zdążyła już złapać po celach świerzba. Wobec zaraźliwości tego paskudztwa przysługuje jej prawo osobnego łóżka. Proponuje mi więc miejsce sublokatora na swoim sienniku. Cudownie! Osiadam więc na jej łóżku i dzięki temu nie walam się po podłodze jak dziesiątki innych.

Dostał się nam chyba najspokojniejszy kąt celi, ten blisko pieca właśnie, gdzie zgrupowały się przeważnie same polityczne i granicznicz ki – osoby, które nigdy dotąd nie miały z więzieniem nic do czynienia, a które obecnie pod byle pozorem za to aresztowano, że przynależą do zamożniejszej warstwy społecznej, tej, którą Sowiety – wytępiwszy doszczętnie u siebie – postanowiły z kolei wytępić i na okupowanych

terenach Polski.

Jeśli chodzi o polityczne, te z organizacji, to ostatecznie jakiś pozór prawny aresztowania ich może mieli. Zarzut jednak „bezprawnego przekroczenia granicy", przy którym np. każdemu zarzuca się szpiegostwo – to już tylko nikczemny, perfidny pretekst, mający jedynie na celu wyłapanie i uwięzienie możliwie największej ilości Polaków. Owe graniczniczki to w większości wypadków uchodźczynie, osoby, które wojenny podmuch rozniósł po całej Polsce i którym z nagła wyrosła niemiecko-sowiecka granica zagrodziła powrotną drogę do domów i rodzin. Nie znając innego wyjścia, nie zdając sobie często sprawy, czym to u Sowietów grozi, rzuciły się do przechodzenia granicy na zielono – a skutek był ten, że większość ich osiadła za to na więziennym sienniku. W najlepszym razie czeka je teraz wyrok trzech lat i przymusowa praca w łagrach.

Mimo wielkiej ilości tych więziennych nowicjuszek, tej nieobytej z celą inteligencji, zatrważająca większość zamkniętych tu kobiet to tzw. pospolite. Same złodziejki, paserki, prostytutki itd. Posadzono je jeszcze za polskich czasów. Wojna zastała je na Brygidkach i z Brygidkami przejęli je Sowieci. Część ich zwolnili pono zaraz po wkroczeniu, reszcie wznowili śledztwo i stopniowo wypuszczają je teraz na wolność. Moc ich jednak siedzi jeszcze po celach. Na 21 zaległy pierwsze rzędy łóżek wzdłuż przejścia i cały wrzask, pisk, zgiełk, kłótnie, śpiewy i bójki – im właśnie mamy do zawdzięczenia. Pospolitym więzienie nie jest nowością. Czują się tu u siebie, na własnych śmieciach i na właściwym miejscu, podczas gdy my jesteśmy intruzami. Zaznaczają to na każdym kroku.

Z przekąsem nazywają nasz kąt ulicą Legionów, a o sobie mówią z pewnego rodzaju dumą i wyższością:

– My to złodziejki, a wy co?

Istotnie! Co my? Garstka skazanej na zagładę inteligencji, nieumiejącej

jeszcze siłą zdobywać miejsc, bić wszy, wymyślać dyżurnym ani pchać się na grandę po drugą porcję zupy – w ogóle frajerki, jak nas nazywają z pogardą.

Gdyby to wszystko razem nie było takie męczące, może by ta przedziwna, niespotykana mieszanina nastręczała wyjątkowej okazji do ciekawych obserwacji i studiów. Mam tu przed oczyma dosłowny przekrój całego społeczeństwa, począwszy od różnorodnego typu złodziejek, prostytutek, dzieciobójczyń i paserek – poprzez wszystkie szczeble socjalne – po czcigodną, siwą matronę włącznie! Cóż, kiedy ten wrzask, ten nieustający, piekielny wrzask tak człowieka ogłupia, że w ogóle przestał myśleć.

Choć cela jest duża i wysoka, powietrze w niej straszne! Na świecie sierpień, upał, okna zabite deskami, a na cuchnących starą słomą siennikach poci się w ścisku sto kilkadziesiąt bardzo zdawkowo i bądź jak mytych kobiet. W dodatku, w jednym z kątów królują dwa wysokie, blaszane baniaki. Zaraza nie baniaki! Pokrywy ma to nieszczelne, a dna tak przeżarte, że wiadoma zawartość sączy się spod nich dzień i noc, wsiąka długimi zaciekami w obrzękłe już deski i zieje trucicielskim smrodem na milę! Przekleństwo każdej celi – paraszka! Najzjadliwszy – jakże miłosierny właściwie towarzysz wszystkich uwięzionych – kibel!

Tuż obok paraszek stoi drewniana umywalnia z dwoma miednicami, o które toczą się bardzo zacięte kłótnie i bójki na celi. Kto takiej miednicy dopadnie, pierze w niej, co mu się żywnie podoba, a ponieważ wody u nas z reguły brak, kiedy i tobie wypadnie przeprać chustkę czy bluzkę, nie masz nawet czym miednicy tej po poprzedniczce wypłukać.

Z wodą ogromne trudności. Wodociąg na trzecim piętrze często się psuje i sądni, kiedy woda jest na wagę złota. W zasadzie dostajemy jej cztery konewki dziennie. Na nas wszystkie! Łatwo sobie wyobrazić, co dzieje się na celi, kiedy starosta rozdaje ją do garnuszków i misek.

Starostą jest jedna z nas, wybrana większością głosów na naczelniczkę kamery. Ona jedna ma prawo konferować w naszym imieniu z dyżurnym przez głazok, ona wyznacza miejsca nowo przybyłym, ona wzywa lekarza, pilnuje porządku przy pobieraniu posiłków i ona odpowiada przed władzami za jakiekolwiek naruszenie więziennych przepisów. Po każdej grubszej awanturze korpuśny każe nam z reguły zmieniać starostę.

Kiedy się zjawiam na 21, starostą jest Halina; młoda, złapana na granicy medyczka. Mówi płynnie po rosyjsku, więc jej łatwiej od innych wydębić coś dla nas u dyżurnych. Odebrali jej przy rewizji wszystkie grzebyki i szpilki. Gęste wijące się włosy leżą jej stale na ramionach jak złotopłowy puch. Szła przez granicę bez rzeczy, bez kuferka, w żółtym, przejrzystym jak błona, gumowym płaszczu. Często w tym płaszczu właśnie, zarzuconym na różową, jedwabną kombinację, pełni z powagą swoje starościńskie obowiązki. Jest wtedy żywcem podobna do chrupkiego, złotego karmelka z różową nadzianką.

Przebieg dnia, z małymi zmianami, jest następujący:

Pobudka, czyli po rosyjsku *podjom* – podrywa nas o godzinie drugiej rano. Puszczanie poszczególnych cel do umywalni musi się zacząć tak wcześnie, bo do tej samej uborny chodzą się myć męskie i żeńskie cele na całym piętrze.

Umywalnia, do której nas prowadzą wszystkie równocześnie, nie ma na pewno więcej nad 4 metry na 2 i pół. Ciemna, ma małe okratowane okno, blaszane koryto, a nad nim cztery krany. Jeden z kranów był przez cały czas zepsuty. Nora ta jest równocześnie klozetem. Pod krótszą ścianą widnieją w mroku trzy okrągłe dziury w betonie.

Dziury owe, prócz wszystkiego innego, są także więziennym telefonem. Dosłownie! Kiedy w nie głośno i z bliska krzyknąć, jest się słyszanym w takiej samej betonowej dziurze na niższym piętrze. Można czasem zdobyć w ten sposób wiadomość o kimś swoim.

Jedną z dziur, w tym właśnie celu, blokuje u nas co dzień Maria Maksymowna, rosyjska Żydówka, która w czasie rewolucji uciekła z mężem do Polski i tu osiadła. Teraz ją Sowieci złapali i zamknęli. Nic nie wie o mężu i co dzień, z tym samym niepokojem, pyta o niego na oślep cuchnącej, kloacznej ciemności. Kobieta to stara już, utleniona na słomę, a tak monstrualnej, chorobliwej tuszy, żeśmy ją sobie po cichu nazwały Potworem. Pamiętam, że kiedy ją zobaczyłam pierwszy raz przy takiej rozmowie z kloaką, nagą, zwisłą chlapowistym cielskiem nad sam zapaskudzony beton, myślałam, że zwariowała! Później, wiedząc już, o co chodzi, starałam się tylko nie patrzeć w ten kąt, bo doprawdy można było samemu zwariować z obrzydzenia!

Na jakiekolwiek względy wygody i higieny nie ma tu ani miejsca, ani czasu. Nie ma go oczywiście i na wstyd. W ciasnej, ohydnej tej ubikacji, w przeciągu pół godziny musi się umyć i załatwić 130 czy 180 ciasno zgniecionych kobiet. Nie ma żadnego gwoździa ani haka, na którym by można powiesić zdjęte do mycia ubranie. Jedna więc drugiej na zmianę piastuje je na rękach. Ścisk niewiarogodny! Jeśli się trafi lepszy jakiś dyżurny, pozwala nam czekać kolejką w wąskim przedpokoju, co zawsze trochę odciąża samąż ubikację. Ale są i tacy, którzy nas zamykają w umywalni i wypuszczają dopiero, gdy wszystkie są gotowe.

Stale mokra podłoga jest grubo wysypana chlorem. Po krótkiej już chwili zaczynamy się krztusić i oczy łzawią się nam niemożliwie. Powietrze tu tak straszne, że stale zbiera się na wymioty. Wszystko aż lepkie od brudu. Ściany – które są gazetką więźnia – zapisane we wszystkich kierunkach. Litery najczęściej wyskrobane szkłem, ale widziałam też napisy kałem. Wobec tej ilości osób, a tylko trzech dziur w betonie, niektóre załatwiają się po prostu na podłogę, pod nogi innym. Chlor w końcu tak zaczyna dusić, że słabsze mdleją. Czasem dyżurny pozwala je wynieść na korytarz, częściej jednak trzeba je położyć na

betonie pod ścianą i czekać, aż reszta skończy.

Przy samym korycie ścisk nie do opisania! Niektóre przy myciu piorą, nie dbając, że reszta czeka. Zawsze straszny o to wrzask, kłótnie i wyzwiska. Ale jakże się dziwić? Na celi rzadko kiedy jest woda, a zarząd więzienia nie bierze bielizny do prania. Któż by ją zresztą dał? Zatem jakoś wyprać trzeba.

Każda, skończywszy mycie, stara się jeszcze raz dopchać do kranu, żeby wziąć ze sobą na celę garnuszek wody na zapas. Nigdy nie wiadomo, czy woda wieczór i nazajutrz rano pojawi się na naszym piętrze. Kubek ten musi często wystarczyć do mycia i picia na całą dobę. I najdziwniejsze, że wystarcza!

Po powrocie z umywalni starosta celi odbiera od dyżurnego cukier i chleb. Chleb zwala się w bochnach na stół, długi, drewniany stół pod ścianą, na którym w nocy śpi kilka zawszonych złodziejek. Dlatego też blat stołu obraca się w czasie śniadania spodem do góry. Teraz następuje dzielenie chleba jakimś kawałkiem ukrywanego na celi żelaza. Noża oczywiście posiadać nam nie wolno, ale chleb na 130 pajek podzielić musimy same. Toteż te, które na ochotnika pomagają staroście w tym krajaniu, mają ręce całe w pęcherzach. Chleb bywa różny. Czasem jest gliniasty i surowy, tak że zalepia zęby jak ciasto, kiedy indziej znów wypieczony i zupełnie smaczny. Tyle że go mam zawsze za mało! Mówią mi, że na wagę wypada po 800 gramów dla każdej. Cukier znów dzieli się pudełkiem od zapałek. Jedna porcja to zawartość takiego pudełka.

Po rozdaniu chleba i cukru cała cela ustawia się w ogonek od drzwi, kołem, między wszystkie łóżka, aż do okien. Dyżurny otwiera drzwi i chochlą nalewa każdej podchodzącej do progu gorący *czaj* w podstawiony garnuszek czy miskę. Nie mam pojęcia, co to było. Że nie herbata, to pewne. Miało kolor słabej kawy, smaku nie miało żadnego, ale było zawsze bardzo gorące. Aby osłodzić garnuszek, trzeba było zbierać cukier

z dwu dni. Inaczej nie czuło się go wcale.

Po śniadaniu prowierka. Wszystkie musimy siąść na łóżkach, a korpuśny z dyżurnym liczą nas. Trwa to zawsze bardzo długo, bo ciągle się mylą i nigdy im się stan nie zgadza. Zaczynają więc od początku. Korpuśny liczy sobie, dyżurny sobie. Znowu źle! Umieją tak kilka razy. Złoszczą się. Czasem każą nam stawać na łóżkach, żeby im było łatwiej. Z rzędów pospolitych ktoś im proponuje drwiąco, żeby zdjęli buty i liczyli też na palcach nóg. No, wreszcie doliczyli się i poszli.

Po prowierce sprzątanie. Codziennie dwie inne dyżurne wyznacza się spomiędzy nas. Dyżury idą kolejką, po łóżkach.

Pierwszym obowiązkiem jest wyniesienie rano parasz, wtedy gdy cała cela idzie na oprawkę do umywalni. Kubły są z nocy tak pełne i tak ciężkie, że nieść ich żadna z nas nie próbuje nawet. Ciągnie się je więc tylko po podłodze. Ale ponieważ podłoga jest nierówna, a ucha bardzo krótkie, jest niepodobieństwem wprost nie zachlapać sobie przy tym rąk. Z czasem nie robiło to już żadnego wrażenia, zwłaszcza że parasze te trzeba było jeszcze wyszorować i wypłukać w środku.

Czymś, co się szumnie nazywało miotłą, a było kilkoma szmatą związanymi patykami, zamiatało się najpierw celę, a raczej tylko meander przesmyków między łóżkami. Co się pod łóżkami działo, to już nikogo nie obchodziło! Dość było roboty i z tym. Niedopałki papierosów, głowy ryb, łupy z cebuli i czosnku, zaschnięte chlasty pęcaku, włosy… Potem trzeba było te przesmyki szorować. To było już bardzo obrzydliwe. Oślizłe, o skisłym zapachu strzępy ścierek płukało się daremnie w gęstej jak zupa wodzie, pełnej po krótkim już czasie błota, włosów, ości i kaszy. W dodatku pospolite urządziły sobie pewnego rodzaju sport z kopania wtedy w siedzenie czołgających się przy ich łóżkach politycznych i graniczniczek. Bez różnych zjadliwych uwag na temat „jaśnie pań” nie obyło się też nigdy.

Najgorszą częścią podłogi do mycia są deski wokół paraszek. Trzeba dobrze nad sobą panować, żeby nie zemdliło człowieka. Kubły były stanowczo za małe na tę ilość osób, a zwyczaje różnych naszych współtowarzyszek – szerokie. W ogóle kwestia tych parasz to była nasza zmora! Dzięki nieszczelności pokryw w straszliwy sposób zatruwały powietrze, a następnie ustrzeżenie się przed tym, aby zawartość ich nie opryskała nieszczęsnego, muszącego z nich korzystać człowieka – prawie niemożliwe. Więźniarek zaś, które zupełnie jawnie przyznawały się do wenerycznych chorób, było wśród pospolitych zawsze kilka.

Około godziny jedenastej puszczają nas zazwyczaj na *progułkę*, czyli na spacer. Przez 15-20 minut, zależnie od humoru dyżurnego, krążymy parami po dużym już tym razem podwórzu, między trzypiętrowymi murami. Chłód tu zawsze, wilgoć i cień. Na podwórze wychodzą z wszystkich stron okratowane lub siatką zabite okna cel.

W chwili pojawienia się nas na podwórzu, w niektórych oknach na piętrze robi się biało od płochliwych męskich twarzy, niknących w chwili, gdy dyżurny odwraca się w ich stronę. Aby przeszkodzić jakiemukolwiek porozumieniu, każą nam w czasie spaceru mieć ręce założone na plecach i nie wolno nam podnosić głów. Ale za plecami dyżurnego nikt tego nie przestrzega. Wszystkie chyłkiem obserwują okna. Wiemy, że Janka ma tam brata, a mama Rybakowa męża. Rózi przywidział się jej mąż. Nie jest pewna. Przy następnym okrążeniu może lepiej zobaczy.

Ja, choć na szczęście nikogo nie wypatruję, podnoszę też czasem głowę, bo do burych, odrapanych murów lepi się tam w górze słońce. Przy szarzyźnie i monotonii ścian suszące się na oknach miedzianozłote, malowane miski – rodzone siostry mojej – lśnią wzdłuż krat jak olbrzymie, nieruchome chrabąszcze, zbytkowne, ozdobne, bogate – nie wiadomo po co takie właśnie. Może to dzięki temu kontrastowi tak je dobrze zapamiętałam.

Dyżurny, spostrzegłszy najmniejszy znak, spojrzenie czy ruch skierowany ku tym oknom, piekli się, wrzeszczy, a czasem przerywa za karę spacer i zapędza nas z powrotem do celi. Za podniesienie przez jedną z nas kawałka szkła na podwórzu cała kamera nie chodziła przez tydzień na *progułkę*.

Przed końcem spaceru wolno nam trzepać koce i wybić w nich wszy, które tu lepiej widać niż w mrocznej celi. Dlatego też koce zabieramy zawsze z sobą. Jeśli chodzi o zażycie ruchu, spacer taki nie daje nam absolutnie nic. Tempo tego sennego krążenia jest zbyt powolne. Tyle że się łyknie trochę świeżego powietrza.

Nigdy chyba smród w celi nie wydaje się nam tak okropny, jak po powrocie z dworu. Wtedy dopiero uświadamia sobie człowiek w całej pełni, czym dzień i noc oddycha.

Obiad ma przebieg podobny do śniadania. Kolejką, pod drzwiami, pobieramy trochę czegoś gorącego. Czasem jest to zupa, zasypana stęchłą często kaszą – pęcakiem przeważnie – czasem źle zgotowanym, robaczywym grochem, czasem znów liśćmi kapusty. To jest ze wszystkiego najlepsze. Bywa też rybna zupa, ale wtedy chodzimy głodne i chce nam się pić. Co drugi, trzeci dzień dostajemy też suchą, wędzoną rybę. Jedną na dwie osoby albo dwie na trzy. Gorzej, gdy dają tiulki, mokre, cuchnące jakąś zakazaną marynatą, srebrzyste śmiecie, przy których więcej smrodu, ości i plucia niż jedzenia. Tiulki te są prawdziwym postrachem celi. Niektóre z pospolitych, nie mogąc zjeść od razu swojej porcji, trzymają to paskudztwo w misce pod łóżkiem, a wtedy do normalnego smrodu celi dołącza się jeszcze tamten: psującej się rybnej marynaty.

Między obiadem a kolacją puszczają nas jeszcze raz do uborny. Zwykle już to wieczorne mycie nie jest takie straszne, bo idzie nas o wiele mniej niż rano. O ile jest woda na naszym piętrze, wolno jej nam nabrać do konewek.

A potem jeszcze kolacja. Dosłownie taka sama jak obiad. Czasem tylko, poza normalną chochlą, jeśli zostanie coś na dnie kotła, dyżurny z łaski dodaje dobawkę. Wtedy istne piekło umie się rozpętać pod drzwiami. Najczęściej kończy się wzajemnym tłuczeniem się pospolitych miskami po głowie i zatrzaśnięciem przez dyżurnego drzwi. Owych misek i garnuszków, które należą do inwentarza celi, nie wystarcza nigdy dla wszystkich. Kto nie ma swojej posudy, musi czekać, aż się czyjaś miska zwolni i pójdzie obiegiem dookoła.

Od godziny dziewiątej wieczór obowiązuje zasadniczo cisza na celi. Normalnie jednak kamera milknie dopiero między godziną 11 a 12 w nocy. Ciszy zatem na całą dobę mamy trzy godziny. Władze są bezsilne. Trzeba by po sto kobiet dziennie sadzać do karceru. Nie ma innego wyjścia. Dyżurni udają, że nie słyszą, świadomie nie zaglądają w głazok i czekają cierpliwie, aż wrzask sam ustanie. Światła nie gasi się nigdy. Do rana zapstrzona żarówka bez klosza kisi się nad tym pobojowiskiem kobiet rozmamłanych, półgołych, śpiących stosami gdzie popadnie: na stole, na podłodze, pod drzwiami, pod piecem, pod paraszką.

Pluskwy żrą… Z nastaniem zmroku, a potem mimo światła ściany, wszystkie drewniane półki nad łóżkami, łóżka i nasze koce – roją się dosłownie od rączych, zaspieszonych, bezczelnych pluskiew. Bijemy je butami na ścianie, wypalamy zapałkami w łóżkach, zgarniamy garściami z półek. Daremny trud. Pluskwy były tu przed nami i będą po nas. Szkoda butów i zapałek!

Wszy mamy dawno. Już po pierwszej nocy na Specu tłukłam je ze wstrętem jeszcze i bez przerwy. Na 21 robię to już obojętnie i z rutyną. Biją je zresztą wszystkie, które nie wyzbyły się jeszcze burżujskich przesądów. Zajęcie jak każde inne. Pospolite tylko poddają się biernie tej pladze i kpią ukradkiem z tamtych, które podjęły tę bezsilną, daremną, śmieszną walkę…

Na całe szczęście cela – samorzutnie jakoś – podzieliła się na różne grupy. Pod pierwszą i drugą ścianą na lewo od drzwi rezydują polityczne i co czyściejsze graniczniczki. Środek – najlepszy, bo najdalszy zapluskwionym ścianom i najjaśniejszy, bo tuż pod żarówką – to coś w rodzaju dobrowolnie stworzonego getta. Rozłożyły się tu same prawie Żydówki, przeważnie bogata „granica" i „spekulacja".

Spekulacja to, na równi z granicą, nowy typ stworzonego przez Sowiety przestępstwa. Każdy handlarz, sklepikarz czy kupiec stał się z chwilą ich wkroczenia czymś o wiele gorszym w ich pojęciu od złodzieja. Wyłapują ich też wszędzie po miastach i miasteczkach i zamykają. Takimi to „zbrodniarkami" właśnie zapychany jest ciasno środkowy czworobok łóżek.

Tu rozłożyła się także chuda Szwarc. Ma dalej czkawkę, ale za to wypuściła z worka piernat, rozdęła go nad sobą wysoko i drzemie w nim dalej godzinami, mizerna, żółta, ale świadoma szacunku, jaki zdobywa dla niej pasiasty obłok jedynego na celi piernata.

Wzdłuż trzeciej ściany, tej z oknami, mieszczą się wiejskie i miejskie Ukrainki. Jest kilka inteligentek, kilka zakonnic, kilka nauczycielek. Te siedzą jako polityczne. Reszta, przeważnie ze wsi, za granicę.

Pod czwartą wreszcie ścianą i wzdłuż przejścia do paraszek rozłożyły się pospolite.

Oczywiście, był to podział tylko z grubsza przestrzegany, a zrobił się sam z siebie, dzięki temu, że każda ściana, z każdego przychodzącego na celę transportu, wyłapywała swoje i brała je między siebie.

Jeżeli chodzi o wzajemne odnoszenie się ścian, to trzeba stwierdzić, że na ogół, przy usilnej dyplomacji, panowały zupełnie poprawne stosunki. Z każdą ścianą można było wyjść, byle lawirować i nie dopuszczać do zadrażnień. Cudownym środkiem na łagodzenie wszystkich tarć okazał się np. – humor. Pospolite mają zresztą bardzo wrażliwe jego uczucie.

Nic ich tak nie podnieca, nie jątrzy i nie prowokuje, jak nieprzystępność i obrażanie się, a nic tak nie rozbraja i unieszkodliwia, jak uśmiech i żart. Toteż prócz dowcipów i owego żartobliwego kopania w czasie mycia podłogi nie napastowały nas prawie nigdy, chyba sprowokowane wyniosłością czy nietaktem jakiejś niewyczuwającej sytuacji „paniusi", bo i to się, niestety, zdarzało.

Gorzej było natomiast z wewnętrznymi tarciami w poszczególnych grupach. Owa ściana pospolitych to jedno piekło nieustającego wrzasku, wyzwisk, bijatyki, kradzieży – przeplatane śmiechem, tańcem, płaczem i napadami histerii. Męty społeczne, z którymi się człowiek w tej formie i z tak bliska pierwszy raz w życiu stykał, ukazały się ogłupiałym oczom w całej, niczym niezłagodzonej prawdzie! Rozwydrzenie pomieszane z bezprzykładnie dobrym sercem. Wyuzdanie z dziecinną naiwnością. Cynizm z pewnego rodzaju romantyzmem. Moralność widziana jak w krzywym lustrze. Snobizm i kasty. Kasiarka uważa się za coś o całe nieba lepszego od kieszonkowej. Mała Jadźka z Hyclowskiej Góry patrzy jak w tęczę na kapeluszową spod latami. Obserwuję je wszystkie z rozbawionym, nienasyconym, niezdrowym wprost zaciekawieniem, bo jako żywo nigdy jeszcze takiego nagromadzenia szumowin nie widziałam z bliska, nie stykałam się z nimi tak bezpośrednio i nie miałam pojęcia, co to za ciekawy, swój własny, bardzo ekskluzywny i bardzo wysoko nosa drący świat… Typy a typy!

Taka Capowa, na przykład… Trzydzieści trzy lata życia spędziła na raty po więzieniach. Ma obecnie 48 lat. Zwykle tak się urządzała, aby pod zimę dostać się do Brygidek za jakąś drobną kradzież. Byle do wiosny. Za polskich czasów nie było tu wcale tak źle.

– Pluskwy być byli… – powiada – ale z nas każda jedna miała swoje łóżko i siennik, i prześcieradła. I jeść też dawali dobrze… nie mogę powiedzieć… Słoninę, mięso – bo chleb to nawet nie mówię. Tu, na

tej celi, byli warsztaty. Kto chciał, to się uczył kilimów. W niedzielę to my zawsze szli na nabożeństwo do kaplicy! A jakże czysto poubierane, zaczesane, wszystko jak należy. I czystość tyż była insza. Dopiero teraz, jak te cholery przyszły i jak nas tu nawaliły jak gnoju, to takie świństwo, że niech Bóg broni… Ale dawniej… Gdzie… gdzie…

Jednym słowem, była zupełnie zadowolona z pensjonatu, w którym z reguły spędzała swoje bezdomne zimy. A teraz opowiada rozmarzonym głosem skupionym dokoła jej łóżka, pełnym podziwu początkującym złodziejkom, jak to się jej żyło i wiodło „za tamtej wojny". Miała białego lisa i w czasie inwazji rosyjskiej mieszkała u George'a. Teraz śpi wprawdzie na więziennym barłogu obok paraszki, ale przywiązała sobie do rogu poduszki strzęp lila wstążki, lila strzępem związuje więzienną koszulę pod brodą, a ponieważ ma łeb z powodu wszy golony na nulkę, owija głowę białą szmatą i wtyka kokieteryjnie kłak starych wyczesków po obu stronach twarzy i nad czołem. Chce być ładna w łóżku. Dawny, zawodowy nawyk. To nic, że za parę papierosów myje za dyżurne podłogę pod paraszką. To nic, że wyjada resztki z cudzych misek, że żebrze o zaśliniony, cudzy niedopałek. Najważniejsze, że miała kiedyś białego lisa, mieszkała u George'a i okradła raz rosyjskiego generała.

Ton ścianie pospolitych nadaje jednak Krzywa Jóźka, stwór niewiadomego wieku, ułomny, o bladej cerze, bezrzęsych oczach i twarzy goyowskiego karła. Miedziana grzywa prostych, niesłychanie gęstych włosów zwisa jej aż na ramiona. Przeważnie siedzi na łóżku, w rozchełstanej na chłopięco płaskiej piersi więziennej koszuli, poważna, godna, niepodnosząca głosu. Z niewiadomych nam bliżej powodów jest tu autorytetem. Krzywa Jóźka umie uciszyć najbardziej zażartą kłótnię bez krzyku. Umie w niedzielę zabronić zbyt wyuzdanych piosenek, położyć kres żartom i przycinkom skierowanym w stronę „ulicy Legionów". Krzywej Jóźce nie można dać niedojedzonej zupy czy niedopalonego

papierosa. Można ją poczęstować jak damę. I przyjmie to jak dama. Ręce ma małe, białe, piegowate, dziecinnie kruche, ale w zawodowej złodziejskiej robocie pono niezawodne. Ma też famę niezrównanej kochanki. I siedzi za kochanka, którego nie wydała policji. Dyżury za nią robią inne. To się rozumie samo przez się…

Obok niej Mańka. Wydra, jakich mało. Wielokrotnie karana złodziejka. Jest smagła jak cynamon, mocna, o powidlano czarnych włosach, lśniących jej grubym warkoczem na karku. Ma bluzkę z pomarańczowego, spełzłego atłasu, oczy czarne, inteligentne, skrzące się łajdackim sprytem i zajadłością. Chce wyjść z więzienia, choć na „jedne pół godziny", żeby zabić bratową, która jej odbiła kochanka. Więcej jej czasu na to nie trzeba. Potem wróci i mogą ją wtedy skazać na śmierć. Mniejsza o dziecko, które kocha do szaleństwa. Czasem ktoś z rodziny przyprowadza je pod więzienie. Przez szpary między deskami można jednym okiem widzieć stąd skrawek ulicy. Złodzieje na wolności znają to miejsce, a to, co tu siedzi, to przeważnie stali bywalcy Brygidek. Zatem na ów róg naprzeciw okien przyprowadzają jej czasem dziecko. Wtedy Mańka szaleje! Wyskakuje na okno, obija się o nie, wali głową w kratę, szuka okiem szerszej szpary, śmieje się, skomli… Ma w takich chwilach coś z giętkiej, rozżartej pantery w klatce. Wreszcie zaczyna krzyczeć, wołać dziecko po imieniu. Inne odciągają ją siłą, uciszają, trwożnie oglądając się, czy głazok zamknięty. Mańka pada wtedy twarzą na siennik i płacze, aż pomarańczowy jedwab bluzki pęka w szwach na jej szlochających, w kabłąk wygiętych plecach.

Albo taka Ślepa Zośka? Kiedy miała dwanaście lat, brat w bójce wybił jej oko. Potem już tłukł ją, kto chciał. Strasznie lubiła być bita. Robiła wszystko, aby ją brano do karceru i katowano. Dyżurnych potrafiła doprowadzić do białej gorączki. Umyślnie. Nim ją zabrali, walczyła jak lwica. Czerwona, rozżarta, półgoła – kopała, tłukła, waliła ich, aż

jęczało. Ale i w niej jęczało też. Często dopiero kaftan bezpieczeństwa dawał jej radę. Odnosili ją po paru dniach w gorączce, nieprzytomną, posiniaczoną, plującą krwią. Raz myślałyśmy, że się jej już nie odratuje. Z ust toczyła pianę, oczy miała w słup, ręce i nogi wykręcone jakimś stężałym skurczem. Ale pierwsze jej przytomne spojrzenie i pierwsze wybełkotane słowa – to były przekleństwa, groźby i wyzwanie rzucone do nowej walki dyżurnym. Nie mogła żyć bez awantur. Musiało się zawsze coś wokół niej dziać. Musiała być ośrodkiem ogólnego zainteresowania. W średnich wiekach byłaby się na pewno włóczyła z bandą wędrownych skoczków i kuglarzy. Jak powietrza do oddychania potrzeba jej było poklasku i publiczności. Dzień cały była zazwyczaj spokojna. Odsypiała przeważnie nocne awantury. I karcer. Pod wieczór dopiero coś ją zaczynało nosić. Przebierała się jak czupiradło, smarowała sadzą z pieca, wyłaziła na stół lub na okno – umyślnie na wprost wizyterki – i śpiewała. Z miską, miednicą lub turbanem z ręcznika na głowie, w staniczku tylko i figach, bosa, krępa, o zwalistej budowie niekształtnego pachołka, tańcząc, wykrzykiwała jakieś szlagiery z drąga, najohydniejsze piosenki, często własnej kompozycji, okraszone w dodatku najbardziej wyuzdanymi gestami i mimiką. Rytm miał nad tym stworzeniem władzę jakąś tajemną, której nie mogło się oprzeć. Słuch miała doskonały, poczucie komizmu znakomite, a improwizowała z łatwością najlepszego konferansjera. Nas nie zaczepiała nigdy. Cała jej furia i twórczość skupiły się na dyżurnych, do których – jako do władzy, chcącej kłaść tamę jej wybuchowej pomysłowości – czuła nienawiść żywiołową, a objawiającą się w sposób, na jaki takie stworzenie stać. Nienawiść do bolszewików, którzy – zdawałoby się – powinni byli zjednać sobie przede wszystkim takie pospolite, objawia się u Zośki w każdym słowie i na każdym kroku. Prawda i to, że zbiega się to u niej z nienawiścią do wszelkiej władzy, do wszelkiej zwierzchności, do wszystkiego, co chce narzucić jej

wybujałej indywidualności jakikolwiek przymus, rygor czy ograniczenie. A mimo to wyczuwa się w tym niedobitym, zajadłym dziecku lwowskiej ulicy instynktowne, nieuświadomione może nawet, obronne zjeżenie się wszystkiego, co w nim polskie, w stosunku do tych nieproszonych dobroczyńców proletariatu, tych „parszywych czubaryków", jak ich zawsze nazywa, tych „hyclów", „draniów", „łajdaków".

– Kto ich tu prosił? Ja może? Żeby ich smród wydusił! Żeby w kanale pozdychali! Kochać ich będę! Właśnie! Bać się ich będę! A jak nie – to co?

Owo „a jak nie, to co?" jest stałą jej odpowiedzią na wszystko.

– Wywiozą cię, Zośka.

– A jak nie, to co?

– Pójdziesz do karcu.

– A jak nie, to co?

Kiedy jej każą iść do karceru, między jednym kułakiem w zęby a drugim sapie dyżurnym, bezczelnie i irytująco: „A jak nie, to co?" – póki jej tchu nie braknie, póki jej nie obezwładnią… Cudowna, jedyna dewiza życiowa dla takiego łopucha spod mostu, który się nie chce dać zadeptać i który każdej chcącej go unicestwić przemocy krzyczeć potrafi spod kopyt to swoje zwycięskie, chwaściane, niedobite: „A jak nie, to co?"… Istotnie! Nic!

A potem taka Malwina. Żydówka. Żona kasiarza światowej sławy, jak twierdzi z dumą. Siedzi, bo w ich mieszkaniu został zastrzelony enkawudzista czy enkawudzista kogoś u nich zastrzelił. Nie pamiętam… To już zupełnie inna klasa. To elita. Sylwetka pierota z kanapy. Chodzi w jedwabnej piżamie w granatowe pasy, z rękami w kieszeniach, zgrabna, lotna. Jest ślicznie zbudowana. Elf i apaszka w jednym ciele. Za to twarz ma płaską, mopsowatą, o rozkudłanej wokół niej chyrze źle uczesanej lalki. Słownik najplugawszy, jaki słyszałam z kobiecych ust w więzieniu.

Przeszła nawet Mańkę, a to nie byle co! Mówi ładną polszczyzną, z krakowskim akcentem. Inteligentna jest i podkształcona. Jest – albo udaje, że jest – w ciąży. Takie mają w pierwszym rzędzie prawo do dobawek, bo są, jak się to mówi w więzieniu, podwójne. Rządzi się jak szara gęś. Wszyscy boją się jej plugawego ozora. Jest w stałych konszachtach z innymi celami. Ma często grypsy od męża, który siedzi na innym bloku. Nikt nie wie, jak to robi. Należy do wielkiej ferajny i wszyscy złodzieje są na jej usługi. Jest często wzywana do naczelnika. Dlatego mówi się o niej, że jest kapusiem i wszystko donosi władzom. Wyzwiska ma tak pomysłowe, takie niespodziane kombinacje w propozycjach i taką różnorodność w określaniu dość nam już spowszedniałych czynności i lokali – że to wprost imponujące! Czasem obie z Dozią łapiemy się na tym, że szkoda nam, że nie ma tego jak notować. Malwina się nigdy nie powtarza. Choćby chciała, nigdy dwa razy tego samego nie wymyśli. Są to zatem unikaty. Inna rzecz, że jestem przekonana, iż ołówek by się zakrztusił, gdyby kto próbował napisać to, co ona wykrzykuje na całą celę od najwcześniejszego rana do najpóźniejszej nocy. Głos ma donośny, przeraźliwy i doskonałą dykcję. Ją słychać zawsze w każdej kłótni i bójce, tak jak pawia słyszałoby się w najgłośniejszym nawet rozhoworze ptaków.

Nasza ściana cichsza, spokojniejsza. Siedzimy w grupkach na łóżkach i gadamy. Z patyczków wyciągniętych z miotły robi się druty, pruje stare włóczki i przerabia. Któraś ma igłę. O tym mówi się zawsze szeptem, żeby jaki kapuś nie usłyszał. To skarb taka igła, ale skarb, za którego posiadanie można się jak nic dostać do karceru. Nici wyciąga się z ręczników, namydla, skręca i tym się szyje.

Kwitnie też przemysł robienia różańców z chleba. To bardzo żmudna robota. Najpierw trzeba chleb rozmiesić w palcach, potem porobić miniaturowe kuleczki, potem igłą kuleczki te poprzedziurawiać. Muszą dobrze przeschnąć, nim się je zacznie nawlekać. Nitka jest gruba, dzieli

się i często przecina kulki. Ale potem, gdy raz zaschną, stają się twarde jak drzewo. Co dzień modlimy się wspólnie. Siadamy w grupkach po dziesięć na jednym łóżku i szeptem odmawiamy, jakie która pamięta modlitwy. Proboszczem naszym – jak ją żartem nazywamy – jest Stasia, blada, ledwie po zapaleniu stawów snująca się po celi dziewczyna, która wszystkie niezmienne części mszy świętej umie na pamięć, dzięki czemu co tygodnia urządzamy sobie coś w rodzaju niedzielnego nabożeństwa. Trzeba się z tym bardzo kryć, bo można dostać jak nic dobawkę drugiego paragrafu za religijną propagandę. Wszystko, co się odbywa wspólnie i nosi charakter jakiejkolwiek zbiorowej akcji, jest wzbronione i uważane za przestępstwo.

Poza tym kwitnie mania opowiadania sobie wszystkiego, co kto pamięta. Powieści, nowele, filmy, ciekawe zdarzenia historyczne. Na tym polu Dozia jest fenomenem! Umie opowiadać powieści stronę po stronie z dosłownymi dialogami. Bajki – to znowu mój resort.

Uczymy się też wzajemnie różnych pieśni i piosenek – cichutko, ledwie nucąc melodię, bo na celi śpiewać nie wolno, a nasza ściana z zasady unika awantur z dyżurnymi. Pospolite mają rację! Straszne z nas frajerki. Staramy się zawsze, o ile możności, stosować do obowiązujących tu przepisów. Bo one na przekór zakazowi śpiewają na całe gardło, kiedy chcą i ile chcą… I tu znowu odkrycie. Cóż to za kopalnia, co za nieprzebrane morze cudów z zakresu bezimiennej, brukowej twórczości. Teksty najczęściej nie do powtórzenia, pełne złodziejskich, gwarowych terminów, komicznie naiwne, rzewnie sentymentalne, a przecie rojące się od sugestywnych, oryginalnych zwrotów i określeń. Capowa jest istną skarbnicą! Umie ich mnóstwo, tych zwłaszcza, które urodziło więzienie, a wychowała cela, i które, na równi z pluskwami, zdają się kryć w tych ścianach, kątach, szparach – od pokoleń. Niektóre z nich to wprost arcydzieła, jeśli chodzi o prymitywne, a do głębi przejmujące odtworzenie

ponurych uczuć i nastrojów więźnia czy skazańca. I znowu nie możemy odżałować z Dozią, że nie posiadamy tu ołówka ani papieru. Cóż by to był za osobisty repertuar! Na pamięć zaś, ze słyszenia tylko, trudno się nam ich uczyć, bo po pierwsze – jest ich mnóstwo, po wtóre – pospolite, o ile lubią się popisywać przed całą celą, płoszą się i milkną niespodzianie, gdy tylko zauważą, że się któraś z nas przysłuchuje z inną jeszcze intencją nad samo „artystyczne" użycie. Pamiętam, że kiedy raz poprosiłam Ślepą Zośkę o nauczenie mnie jednej z tych piosenek, Krzywa Józka mrugnęła na nią nieznacznie, a mnie odpowiedziała z karcącą prawie stanowczością:

– Po co się pani tego uczyć? To takie… nasze… z ulicy…

Do dziś nie mogę więc odżałować, że mi umknęło tyle tych niezrównanych, jedynych w swoim rodzaju utworów! Ale *Balladę o pięknej hrabim i apaszu* wykułyśmy przecie z Dozią na pamięć, bo to już był taki klejnot, żeśmy go obie postanowiły ocalić dla potomności! Nie zapomnę nigdy namaszczenia i powagi, z jakim Capowa, niezrównana *diseuse'a*[2] naszej celi, oparłszy się malowniczo o ścianę, zaczynała, nosowym od przejęcia głosem a klasycznie po łyczakowsku:

A był un synem zhańbiony panny, a ojca nie znał un wcali.
Chodził dość częstu nad brzeg Sykwanny (sic!)
i opowiadał swy żali…

Miłosny dramat, po wielu krew w żyłach mrożących, a nieświadomie przekomicznych zwrotkach, kończył się tak:

Płyni Sykwanna, wody swy toczy,

[2] Artystka sceniczna, której produkcje piosenkarskie zawierają utwory o różnym stylu z pogranicza sztuki lekkiej i poważnej, zaś ich interpretacja wymaga często stylu „mówionego"; dizeza

nikogu drogi ni pyta…
Niech już hrabini, choćby uroczy,
ni kocha żaden bandyta…

Jeśli chodzi o piosenki naszej własnej ściany, to najpiękniejszych uczy nas Ela. Ela, o której wiemy, że siedzi pod fałszywym nazwiskiem, że jest harcerką, działaczką, jedną z czołowych peowiaczek, w ogóle najgorszym typem zbrodniarza wedle sowieckich pojęć. Gdyby ją odszyfrowali, nie byłaby na pewno tu, tylko na Zamarstynowie, gdzie trzymają grube ryby. Na szczęście nie wiedzą, kogo capnęli. Siedzi za czystą granicę, bez przemytu i szpiegostwa nawet! Siedzi w podartym więziennym kabacie o metalowych guzikach – niektóre z nas otrzymały tu polskie jeszcze, więzienne uniformy – zawsze tak samo spokojna i miła, i nucąc nam coraz to nowe i coraz ładniejsze piosenki, robi sweter na patyczkach z miotły. Mieszka na jednym łóżku z drobną jak japońska laleczka, chorą na płuca Sławką, aplikantką znanego w mieście adwokata. Nie mamy jeszcze pojęcia, że ten kruchy koliber za pracę w bojowej organizacji dostanie za parę tygodni wyrok śmierci, zmieniony jej potem w drodze łaski na 25 lat ciężkich robót. Sławka często mówi o mamie, ukochanej, najlepszej mamie, i prosi mnie, żebym jej wymyśliła bajkę o „Błękitnookiej tęsknocie”… Wątpię, żeby i tym razem chodziło o mamę. Często, po jakimś silniejszym ataku kaszlu, zakwita jej na poduszce z worka niewątpliwa plama świeżej krwi… Sławka mówi: „Znowu ten dziwny krwotok z gardła”, a myją upewniamy, że to na pewno z braku świeżego powietrza w kamerze.

– Dlaczego mówicie zawsze „w kamerze”? – załamuje ręce pani generałowa Iza. – Dlaczego mówicie „*czaj*” zamiast „herbata”, i „*podjom*” zamiast „pobudka”? Nie rozumiem, jak można dobrowolnie kaleczyć tak język polski? I czemu zawsze „na celi” zamiast „w celi”? To są wszystko

naleciałości. Tego należy unikać.

Generałowa ma na pewno rację. Tego należy unikać. Cóż, kiedy się to robi jakoś samo z siebie, przez osłuchanie. Człowiek stanowczo ma w sobie coś z papugi. Powtarza tak, jak słyszy. Zresztą cała ta rosyjsko-więzienna terminologia, te wszystkie: *ławoczki*, *progułki*, *oprawki*, *dobawki*, *kojki*, *doprosy* i *kamery* są nam prawie równie obce jak to, co wyrażają. Używając ich, nie czujemy wcale nielojalności w stosunku do ojczystego języka. (Pozwalając sobie i w dalszym ciągu na używanie tych obcych, przez więzienny dialekt często w dodatku zniekształconych słów, autor robi to świadomie, celem wierniejszego odtwarzania obrazu).

Często jednak pani Iza jest innego zdania i trochę się nami gorszy. Wysoka, o wspaniałym orlim nosie, siwych, w ramkę ściętych, prostych włosach i orlim, przenikliwym spojrzeniu, ma w sobie coś ze starego korsarza. Brakuje jej tylko kolczyka w jednym uchu, czerwonej chustki i pistoletów za pasem. Aresztowano ją razem z mężem generałem, o którym od chwili zamknięcia niczego nie wie i strasznie się tym martwi. Podziwu godna jest jej postawa wobec władz, spokój i opanowanie. Mimo szarego więziennego kabata, gołej szyi, drewnianych więziennych trepów i owego dość osobliwego, korsarskiego wyglądu jest niesłychanie dostojna. Inna rzecz, że sam wzrost i rysy pomagają jej do tego. O całą głowę góruje nad tłumem, mimo lat trzyma się prosto jak świeca i mimo upału nie jest nigdy rozmamłana jak my wszystkie. Wszystkie też dolegliwe niedogodności naszego bytowania znosi z budującą, bezosobową jakby wyższością i hartem, nie skarży się nigdy, nikogo sobą nie zajmuje, a zagadnięta, umie zawsze wszcząć rozmowę o rzeczach o sto mil odległych od naszej zawszonej, plugawej teraźniejszości. Od pani Izy należałoby się nam uczyć, jaki *savoir-vivre* obowiązuje damę w bolszewickim więzieniu. Bez żartów.

– Dlaczego pani zdjęła bluzkę i siedzi tylko w kombinacji? – Jej

więzienny kabat bowiem jest aż po brodę zapięty zawsze na wszystkie guziki.

– Bo upał. Przecie roztopić się można.

– A czy w domu, u siebie, w upały chodziła pani kiedy w samej kombinacji?

– Nie. Nie chodziłam. – I nagle wiem dokładnie, jak głupio musiała się czuć Ewa, kiedy sobie pierwszy raz uświadomiła własną nagość.

Tuż obok mnie na łóżku leży w kwiecistym szlafroku Janka i płacze. Janka bardzo często płacze. Trudno się nawet dziwić.

– Wy wszystkie wiecie przynajmniej, za co was posadzono – mówi spod łokcia, którym zakrywa różową od płaczu twarz. – A ja siedzę dosłownie przez pomyłkę, przez głupi przypadek.

Tak. Janka siedzi przez przypadek, przez złośliwy zbieg okoliczności. Na tej samej ulicy o dwa numery wyżej mieszkała sekretarka partii socjalistycznej, znana działaczka i jakaś gruba ryba, nazywająca się dosłownie tak samo jak Janka. Już dawniej, przed wojną jeszcze, były z tym kłopoty, bo im listonosz stale mieniał listy, dzięki czemu wiedziały o sobie wzajemnie. Obecnie, kiedy tamta zwiała, NKWD uznało widać, że na jedno wyjdzie, kiedy posadzą jej Bogu ducha winną imienniczkę! No i nasza „wybitna działaczka polityczna” siedzi już sześć miesięcy i płacze. Jakże bo nie ma płakać? Bolą ją stale zęby – których nikomu tu nie leczą – coś jej się porobiło z gruczołami – należałoby je naświetlać – a przede wszystkim boli ją serce z tęsknoty za dzieckiem, które zostało w domu.

– Bo żeby za coś, żebym wiedziała, że za coś… Ale polityka… – powtarza żałośnie spod łokcia, a my wierzymy wszystkie – tak jak od sześciu miesięcy nie chce uwierzyć jej śledczy – że Janka a polityka to trochę tak, jak jaskółka a budżet Stanów Zjednoczonych. Wszystkie jej zainteresowania ograniczały się do męża, kołyski, doskonałych przepisów kuchennych i cygańskich romansów w najlepszym razie. Te

to właśnie romanse cygańskie są i dziś całym jej pokrzepieniem. Głos ma zupełnie ładny, świeży i słodki, ale nie ma widocznie pojęcia, że go naprawdę szkoda dla takich ckliwych, salonowych szlagierów. Wstyd może przyznać, ale bez zająknienia wolę piosenki Capowej od tych, które mi godzinami nuci na łóżku obok zapłakana „socjalistka" *malgré elle*.

Na szczęście jednej rzeczy nauczyłam się tu już dawno. Oto umiem ów obłędny, niegasnący wrzask, który z początku doprowadzał mnie do desperacji, czy choćby nucenie takich szablonowych kiczów pod bokiem – zmienić sobie w doskonałą ciszę. Niepodobna wytłumaczyć, jaka jest technika tej przemiany, jak się ją przeprowadza, jak się do niej dochodzi. W przybliżeniu, opowiedziane, wyglądałoby to tak: w grząskiej jak galareta, opornej, rozłopotanej wrzawie celi drąży sobie człowiek – czy wytapia sobą – wnękę, trochę większą od niego samego, i wtedy znajduje się raptem jakby w hermetycznie zamkniętym jaju. W jaju tym jest już cicho, bezpiecznie i samotnie. Można sobie myśleć, można się modlić, można spać. Człowiek robi się jakiś dośrodkowy, wewnętrzny. Nie wiem, jak to opisać. Przypuszczam jednak, że gdybym nie była na czas wpadła na ten cudowny sposób, byłabym w piekielnym wrzasku owych czterech miesięcy w Brygidkach oszalała chyba.

I tak mi tu jakoś powoli mijają dnie i tygodnie.

Dokuczają nam tylko plotki. Tyle kobiet siedzi tu razem bezczynnie, że niepodobna bez tego! Czymś trzeba czas zapełnić. Ponieważ z łatwo zrozumiałych względów nie każdy podaje się za tego, kim naprawdę jest, kwitnie zwyczaj dopowiadania sobie i rozszerzania szeptem tych z palca wyssanych informacji jednych o drugich. Więc ta jest na usługach NKWD. Tamta to z całą pewnością szpieg gestapo. Inna udaje mężatkę, a wcale nią nie jest. Ta znów przeciwnie: jest zamężna, a podaje się za pannę, i to pod nazwiskiem swego długoletniego kochanka. Ta wsypała na śledztwie całą organizację. Inna żyła z enkawudzistą. Ta opowiada, że szła

przez granicę z ważnymi papierami, a wszyscy wiedzą, że szmuglowała lekarstwa. Ta wcale nie jest nauczycielką. Była gdzieś gospodynią. I tak w kółko, aż do obrzydliwości!

Mamy zresztą jedną specjalistkę od wymyślania i rozszerzania takich „pewnych" wiadomości. To jest już u niej zupełnie chorobliwe. Zza pieca, siedząc nieruchomo na swoim barłogu jak pająk na pajęczynie, oprzędła misterną siecią swych matactw nas wszystkie i potrafiła pół celi ze sobą poróżnić. Robi to zresztą genialnie! Skupia też wokół siebie zaprzedane sobie zupełnie słabsze indywidualności, na które – do chwili ich przejrzenia – ma wpływ zupełnie niesamowity i wysoce szkodliwy. Jedna z nich, pamiętam, miedzianowłosa Mariela, bliska była czegoś podobnego do czarnej melancholii, ale się ją na czas spod wpływu tej pajęczyny wyciągnęło. Kobieta to była niemłoda już, wysoka, chuda, o czarnych przenikliwych oczach i dziwnie bolesnych brwiach. Stale chora, nie wstaje prawie z siennika. Siedzi nieruchomo za piecem i działa. Dużo nam krwi napsuła.

Tak by zatem mniej więcej wyglądała nasza ściana.

Mnóstwo czasu zajmuje nam bicie wszy, a zwłaszcza wyczesywanic głów. Trzeba to zrobić systematycznie i co dzień, a czasem i dwa razy dziennie, bo po każdym transporcie wszy coraz więcej. Gęstych grzebieni jest tylko trzy i te chodzą kolejką po łóżkach. Każde stanie po obiad czy kolację to automatyczne nabieranie na siebie cudzego robactwa. Po każdym nowym transporcie – nowa inwazja. Potem znów trochę przycicha, ale pilnować się trzeba stale.

Co jakiś czas odbywa się rewizja na celi. Wypędzają nas wtedy na korytarz, wszystkie, co do jednej, nawet chore, a w celi zostaje kilkunastu dyżurnych. Podczas gdy oni rozkopują nasze sienniki, rozpruwają piernaty, wyrzucają na podłogę i łóżka zawartość naszych tobołków, krają pajki chleba itd., dziwczur w szynelu przeprowadza na nas osobistą

rewizję. Nigdy nie można przewidzieć, co tym razem przyjdzie jej na myśl ci odebrać. Te same rzeczy, które już parokrotnie ocalały nam przy poprzednich rewizjach, tym razem zostają ci odebrane. Guziki, tasiemki do podwiązywania pończoch, paski od swetrów, spinki do jaśka… Mój krzyżyk, który wszyłam sobie w płaszcz, nie został jeszcze wymacany… Ale zawsze każda rewizja coś zakazanego wynajdzie.

Na celi żniwo bujniejsze. Zabierają wszystkie patyczki z miotły, wszystką sprutą włóczkę, wszystkie z pudełek od zapałek zrobione karty do kabały, szkiełka, sznurki – a nie dajże komu Boże cień ołówka czy papieru. Za to jak nic karcer! Do furii także doprowadzają ich nasze różańce. Kpią, że widocznie za dużo dostajemy chleba, skoro wystarcza go nam na takie głupstwa.

Cela po rewizji wygląda jak pobojowisko. Łóżka stoją blisko siebie, więc rzeczy wymieszane – moje, twoje, jeszcze czyjeś. To tylko muszę stwierdzić, że prócz wyżej wymienionych cenności, nigdy nam nic z naszych worków nie zginęło, choć były u niektórych rzeczy bardzo pokuśne dla tych dzikusów, których lada strzępek jedwabnej bielizny czy cieńsza para pończoch wprawić umiała w podziw i zdumienie…

Z końcem sierpnia dostaję pieniądze i pierwszą przesyłkę z domu. Trochę bielizny, druga bluzka, poszewka – z której robię sobie worek na rzeczy – chustki do nosa, sweter i pokrajane w kawałki mydło. Wszystkie mydła dochodzą nas pokrajane. Szukają, czy w mydle nie ma grypsu.

Boże! Cóż to za radość taka peredacza! Myślę, że podobnie odczuwają dusze czyśćcowe modlitwę żywych. Ktoś o nas pamięta! Ktoś trafił na nasz ślad! Ktoś o nas myśli.

Przesyłki dla więźniów przyjmuje się w porządku rosyjskiego alfabetu. Mniej więcej wiemy już, kiedy w miesiącu idzie jaka litera. Straszna to żałość, gdy się nic nie dostanie, a jeszcze większa, gdy za karę wstrzymają w całej tiurmie na ten dzień przyjmowanie paczek. Płaczą

wtedy wszystkie na tę samą literę i muszą czekać cały miesiąc na powrót swojej bukwy. Inna rzecz, że i ta paczka, która dochodzi, bywa z reguły oblana łzami.

Upały straszne. W celi ani krzty powietrza. Sam nieruchomy smród. Getto leży prawie kompletnie gołe, nie zadając sobie trudu okryć się, gdy wchodzi dyżurny. Pospolite w figach tylko i staniczkach. Cała cela łopocze szmatami, bo każda z nas wachluje się bądź czym, zła, zziajana, opłynięta potem. Skutek żaden, ten chyba, że muchy, od których aż czarno, odpędza się tym od siebie. Zupę stawiałoby się „na zimno" – cóż, kiedy te muchy właśnie! Gorącego zaś pić niepodobna.

O wodę coraz trudniej. Raz dochodzi na tym tle do grubszej awantury. Zaczęło się od tego, że nam przez trzy dni z rzędu nie dano wody do mycia. Czwartego nawet do picia jej nie ma. Prosimy przez starostę celi, aby nam pod strażą pozwolono zejść na niższe piętro, gdzie pono woda jest, i nabrać jej do konewek. Dyżurny – jakiś wyjątkowy pies – odmawia. Zaczyna się bunt. Wrzeszczymy, walimy w drzwi. Na komendę powtarzamy rytmicznie: „My – chcemy – wody!". Słyszą nas męskie cele nad nami i obok nas. I tam zaczyna się ruch. Walą w drzwi i krzyczą, tak samo rytmicznie jak my: „Dać – wody – kobietom". Nasz dzielny starosta, Halina, najbardziej narażona, bo ona przede wszystkim odpowie za to, krzyczy razem z nami i wykłóca się z dyżurnym przez głazok. Władze są wściekłe. Niczego z reguły tak się nie boją jak krzyku, zwłaszcza tu, gdzie ulica tak blisko. Na celę wpada ośmiu dyżurnych i dwóch korpuśnych. Nie pytając o nic, na chybił trafił wybierają, kto im pod rękę wpadnie, i siłą ciągną do karceru. Oczywiście Halinę przede wszystkim. Wzięli wtedy około ośmiu kobiet, w tym kilka, które w ogólnej demonstracji nie brały wcale udziału. Na znak protestu trzy czwarte celi siada i nie rozbiera się do następnego rana. Dyżurni się złoszczą, wrzeszczą, grożą, każą się zaraz kłaść. My żądamy wypuszczenia tamtych.

Wróciły dopiero po dwóch dniach. Halinę zatrzymali dłużej. O ile dobrze pamiętam, całe cztery dni. Część tego czasu spędziła w piwnicy pod kaplicą, w samej bieliźnie, bo jej resztę rzeczy odebrali. Zaziębiła się wtedy i kaszlała tygodniami.

Starostą zostaje po niej Cesia, Złota Cesia, najmilszy, najwaleczniejszy starosta, tkwiący bosymi nogami w olbrzymich drewnianych trepach, w sukienczynie w kwiatki, z głową w puchu świetlistych włosów, zwijających się samorzutnie i z własnej pilności w dzwoneczki rozkołysanych wokół twarzy loków. Cesię kochają wszystkie ściany. Cesi nikt nigdy nie zarzucił, że niesprawiedliwie dzieli chleb czy cukier. Cesia zawsze, o każdej porze dnia i nocy, jest na usługi chorym. Cesia odstępuje swą pajkę innym, twierdząc, że nie jest głodna. Cesi słucha i Zośka, i Jadźka, i ten półgłupek, Barbarka. Cesia wydębi dla nas wszystko u dyżurnych swoim matowym, słodkim głosikiem, tą swoją upartą, ofiarną dobrocią, stukającą sto razy na dzień w szkiełko judasza. Cesia już taka jest. To trudno. Każdemu chce pomóc, każdemu usłużyć, każdego pocieszyć. Obecnie ceruje właśnie skarpetki dla generała, na wypadek, gdyby się pani Izie udało wyprosić u naczelnika widzenie się z mężem, a także szyje jej worek na rzeczy i zdobywa już z reguły codzienny garnuszek wody. Umie, prawie ze łzami w oczach, prosić mnie o dorobienie końca w smutnej bajce, bo nawet w bajce nie może znieść, aby ludziom było źle. Cesia sama jest jak z bajki…

Co miesiąc mamy *ławoczkę*, czyli więzienny sklepik. Kto ma pieniądze – nie w ręce oczywiście, bo przysłane więźniowi ruble zostają u nich, a on dostaje tylko kwit – może sobie kupić cebulę, śledzie, bielszy chleb, czosnek, cukier, zapałki i papierosy. Celi nie wietrzy się nigdy! Powietrze zmienia się leniwie, wysysane szparami w deskach, i to dopiero przy nocnym chłodzie. Pręgi słońca wdzierające się o zachodzie w naszą celę są błękitne i mętne od dymu tysiąca ohydnych, dzień i noc

kopconych papierosów. Kiedy zaś dodam jeszcze, że w *ławoczce* kupuje cela przeciętnie 80 kg czosnku – c z o s n k u !!! – i 100 kg cebuli, czy potrafi sobie kto wyobrazić, w jakim smrodzie się wędzimy?!

Co drugi dzień na korytarzu przyjmuje siostra. Trzeba się najpierw zgłosić u starosty. Ona podaje dyżurnemu ogólną cyfrę potrzebujących pomocy chorych, a potem on wywołuje te chore na korytarz.

Tam siedzi z małą apteczką jakaś taka w białym fartuchu i ordynuje. Wacik, którym smarowała właśnie czyjś rozjątrzony wrzód, wtyka na powrót do słoika, by nim za chwilę smarować inny wrzód komuś innemu. Rąk nie myje nigdy. Nożyczek nie dezynfekuje… Daje proszki, które trzeba zażyć przy niej i papierek zaraz zwrócić. Łyżeczka dla wszystkich ta sama, szklanka też. Maść na świerzb, gorzka sól, hipermangan (czyli w ich medycznym języku: morgancówka), jodyna i lapis, ów zjadliwie zielony płyn, którym maże się u nich wszystko – oto komplet lekarstw. Jedynie przy pędzlowaniu gardła zmienia watę na patyczku.

Czasem, gdy mniej zgłoszeń z naszej celi, proszą się na korytarz także zdrowe. Siostra ma nożyczki! Możemy sobie poobcinać paznokcie, które – nie wiem, co to za śmieszny objaw – nigdy chyba nie rosły nam tak prędko jak w więzieniu. To bardzo irytuje i przeszkadza. Gdyby nie te wypady na korytarz do siostry, miałybyśmy wszystkie promieniste od paznokci dłonie niczym chińskie księżniczki!

Jeśli któraś z nas zasłabnie na celi, można się po paru godzinach doprosić lekarza. Ostrożnie podchodzi wtedy do łóżka, ze wstrętem zagarniając biały fartuch, bada bardzo pobieżnie i o ile możności z daleka, po czym się szybko ulatnia. Wcale mu się nie dziwię! Ja bym się też ulotniła, gdybym mogła… Czasem obiecuje przysłać lekarstwo, czasem przyrzeka, że gdy się zwolni miejsce na *bolnicy*, przyjdą po chorą, najczęściej jednak nic nie mówi i wychodzi. Inna rzecz, że histeryczki psują bardzo interes tym, które są chore naprawdę. Zbyt często wzywa się

lekarza do jakiejś tarzającej się po sienniku, wrzeszczącej wniebogłosy, w pałąk wygiętej awanturnicy, która po bójce z innymi, zbita przez nie na kwaśne jabłko, w ten efektowny sposób finiszuje…

Przez cały czas, dniem i nocą – ale najczęściej nocą – wywołują od nas kogoś na śledztwo. Zjawia się korpuśny z kartką i zabiera wezwaną, która wraca czasem po paru godzinach, czasem po kilku dniach dopiero. Ze strachu przed kapusiami, których pełno na celi, zazwyczaj szczegóły śledztwa trzyma się w tajemnicy. O ile jednak można się zorientować, śledztwo na Brygidkach nie było tym, czym na Zamarstynowie. Prócz zamykania w karcerze, prócz słownego ranienia w człowieku najświętszych uczuć religijnych i narodowych czy godności własnej – nie słyszałam, aby kogo bito czy katowano – prócz Ślepej Zośki, oczywiście, ale ta już sama chciała. Mam też podejrzenia co do jednej Ukrainki. Wracała ze śledztwa po kilku dobach, zanosząc się od płaczu, ale nigdy – mnie przynajmniej – nie mówiła, co się z nią działo. Nikt też nie wie, co się działo z pewną piękną, chmurną dziewczyną, która nikła też na doby całe. Ta, wróciwszy, nie płakała – nie był to zresztą typ skłonny do łez – ale już pod koniec mego tam pobytu jawnym było, że jest w ciąży. Opowiadano mi potem, że urodziła córeczkę i że ją na bolnicy więziennej odwiedzał często jej śledczy. Ale to są tylko podejrzenia. Marusia mogła płakać ze zdenerwowania, a ta mogła – tak jak Zośka – sama chcieć. Jeśli chodzi o moje osobiste doświadczenia, to muszę zeznać, że nie spotkałam się ze strony śledczego z żadnym grubiaństwem. Nikt mnie nie bił, nikt mi nie ubliżył. W karcerze nie byłam ani razu.

Ale byłam za to na bolnicy!

W końcu sierpnia czy w początkach września dostałam grypy. Przyszła siostra, a ponieważ miałam wysoką gorączkę, kazała mnie zabrać z celi. Jedynie temperatura decyduje tu o tym, czy kogoś uznają za chorego, czy nie. Bez gorączki nie było nawet po co zgłaszać dyżurnemu czyjegoś

zasłabnięcia.

Proceder jest taki: dyżurny cię wywołuje. Prowadzi do tej małej salki z Żydówką w chałacie. Tam już taki ścisk, że aż ciemno. Wszystko, co tu czeka, ma wysoką temperaturę. Jedna z czekających zemdlała wtedy, pamiętam. Jeśli masz gdzie, to siadasz, jeśli miejsca zajęte, stoisz – bo cóż masz robić? Trwa to godzinami. Żydówka w fartuchu ma czas. Nie śpieszy się. Baraszkuje z doktorami, odwołują, wraca. Jest wolną grażdanką, pewnie komunistką, więc nie będzie się przejmować tym, że te zakluczone kontrrewolucjonery z nóg lecą. Wreszcie przychodzi kolej na ciebie. Pyta, co cię boli, zagląda do gardła, bada puls, mierzy gorączkę, daje kartkę i odsyła do kąpieli. Cokolwiek by ci było, kąpać się musisz. Łazienka zimna, brudna, woda w tuszu ledwie letnia. W stawach cię łamie, w oczach ci czarno – ale nic – kąpiesz się, dzwoniąc zębami. Po wykąpaniu się musisz jeszcze pół godziny czekać, nim kto po ciebie przyjdzie. Oczywiście jesteś w tej łazience zamknięta na klucz – bo jakże? I czekasz. Właśnie tu, w tej zimnej piwnicy, na betonowej podłodze, obok kupy brudów zebranych widocznie z łóżek szpitalnych do prania. Wreszcie zjawia się jakaś inna, w fartuchu – w bardzo brudnym fartuchu – i z więzienną bielizną. Twoją zabiera do składu i daje ci numer. Potem ci każe iść za sobą.

Idziemy… W niektórych przejściach zatrzymuje cię i musisz czekać, twarzą przyparta do ściany. Widocznie prowadzą korytarzem kogoś, kto nie ma być widziany. Dziękuj Bogu, że to sierpień! Gorzej będzie tym, którzy będą odbywać tę drogę w zimie. Po korytarzach przeciąg, na schodach przeciąg. A ty masz wysoką gorączkę albo dreszcze, jesteś mokry, bo wytrzeć się po kąpieli nie było w co, i wleczesz się tak na maślanych nogach dalej.

Wreszcie jesteś na właściwym piętrze. Puszczają cię do małej celki, w której łóżek jest tyle, że ostatnie stoi nogami na progu. Trzeba przez

nie przełazić. Przełazisz. Na wskazanym ci łóżku – co za radość – prześcieradła! Brudne, bo brudne i wyglądają na używane, ale może nie są. Może tylko tak źle wyprane. Mniejsza z tym. Kładziesz się wreszcie, dzwoniąc zębami, oślepły od bólu głowy, czując wszystkie łamiące stawy. Zamykasz oczy… Boże! Jak cudownie! Jest CISZA! Nie słyszysz wrzasku 130 bab! Nie słyszysz plugawych, bezwstydnych słów! Nie widzisz zakazanych twarzy, nie patrzysz na bójki i na pląsy umazanej sadzą Zośki. Mniejsza z tym, że tuż obok ciebie leży matołek-żebraczka, plująca na złość innym dokoła siebie, i że wszy łażą jej po poduszce. Nie ogolili jej biednego, głupiego łba i we włosach naniosła ich na celę. Najważniejsze, że nikt nic nie gada, że w ogóle mało kto się odzywa. Jest nas tu tylko osiem, w tym kilka poważnie chorych.

Obok mnie, z drugiej strony, leży Kalmuk, biedna, nieszczęśliwa Helena Kalmuk, odesłana tu z Zamarstynowa. Ma twarz tak obrzękłą, że jej oczu nie widać, ostatnie stadium gruźlicy i miazgę z nerek. Ledwie mówi. Kiedy musi wstać, czepia się łóżka i ścian i ledwie sunie, wpółzgięta z bólu. Młodą, znaną w świecie sportowym lekkoatletkę, długoletniego członka POWK, odesłali po śledztwie z Zamarstynowa ludzką ruiną, strzępem, kaleką. O śledztwie jej opowiadano mi potem potworne, trudne wprost do powtórzenia rzeczy, ale od niej samej wiem tylko o tych uszkodzonych w czasie tortur nerkach, więc tylko to notuję. Umarła wkrótce potem.

Na drugim łóżku pani Nieduszyńska. Siwa, około pięćdziesięciu kilku lat kobieta. Nie znała czy nie chciała podać adresu brata, który chcieli od niej wydobyć na śledztwie. Też na Zamarstynowie. Umarła w krótki czas potem.

Dalej Helena Żak, złapana na granicy. Wracała z bratem do rodziny. Śliczna, osiemnastoletnia dziewczyna o twarzy Brygidy Heim. Jest w ostatnim stadium suchot. Dostała zapalenia płuc w bani czy w karcerze –

nie pamiętam. Nie przetrzymała zimy.

Za nią Rosjanka, żona komandira, postrzelona w głowę w czasie zagadkowego morderstwa innego komandira. Ma twarz naiwnej dziewczynki i wygląda najwyżej na kilkanaście lat. Opowiada całe zajście dość bałamutnie. Twierdzi, że była tak pijana – rzecz działa się w rowie – że nie wie ani kto kogo zastrzelił, ani kto postrzelił ją. Oprzytomniała dopiero w więziennym szpitalu. Teraz ją leczą przed rozprawą.

Na łóżku przy drzwiach majaczy młoda Ukrainka. Ma kompres na oczach i widać jej tylko spieczone gorączką, dziecinne naiwne usta. Nikt do niej godzinami nie podchodzi. Przynieśli ją na noszach i zrzucili w łóżko. Kompres dała jej któraś z nas.

Doktorów mamy różnych. Jeden to Żyd ze Lwowa, reszta oni. Naczelnik bolnicy jeden jedyny wygląda na człowieka i po ludzku traktuje chorych. Ten lwowski Żyd boi się własnego cienia i z samego strachu jest bardzo dla nas opryskliwy. Trzeci doktor to wstrętny typ, dandys na bolszewickim sosie, królewsko obojętny cham z nieodłącznym papierosem przetaczanym z jednego kąta ust w drugi. Widziałam, jak nie wypuszczając go z ust, mrużąc oko, bo mu dym podmiatał twarz, badał i osłuchiwał chorą. Do najstarszych kobiet przemawia drwiąco per „krasawico”, a z młodszymi pozwala sobie na dowcipy takie, na jakie tylko takiego typka stać.

Lekarek jest kilka. Jedna Żydówka ze Lwowa. Wszystkie pełnią swoje obowiązki z bezosobową obojętnością, żona naczelnika zwłaszcza. Ma się wrażenie, że nie słyszy niczego, co się do niej mówi czy o co się ją prosi. Jest duża, ciężka, ciemna. Grubych kostek sięgająca spódnica wyziera spod białego fartucha. Głowę okręca lśniącymi jak smoła warkoczami. Twarz ma świeżą, ładną, pełną wyniosłej, dalekiej obojętności. Do chorych się prawie nie odzywa.

Sprzątać i zmywać podłogę musimy tu co dzień same. Robią to te,

które są zdrowsze. Parasze – wynosimy też. Prócz grypy mam jeszcze coś z gruczołem tarczycowym i okropnie mnie teraz przy dźwiganiu boli szyja. Ponieważ jednak należę do zdrowszych – nie ma rady. Baseny chorym podkładamy także my, bo siostra zjawia się rzadko.

Wikt lepszy trochę niż na celi. Dają pszenny grysik, więcej cukru, trochę mleka, grudkę masła i – co ze wszystkiego najważniejsze – surowe jarzyny! Jeden cudowny, błyszczący pomidor udało mi się przemycić na celę, dla tamtych.

O sposobach leczenia trudno mi cokolwiek powiedzieć. Sama, na ten mój gruczoł i bicie serca, dostałam tylko brom. Co brały inne, nie wiem. To tylko pamiętam, że przed zapisaniem lekarstwa wracz[3] pytał zawsze, jaki kto ma paragraf. Obawiam się, że nie bez szkodliwych dla siebie następstw podawał człowiek uczciwie swój. *„Wrah naroda”*, czyli paragraf 54/XIII, nie ma przecie prawa do należytego leczenia. Lepiej być u nich złodziejem!

Na bolnicy byłam wtedy tylko tydzień.

W 21 duże zmiany. Przybyły dwa transporty i taki jest ścisk, i taki wrzask na celi, że na płacz się zbiera. Zamiast Cesi starostą jest Malwina, ta żona kasiarza. Nie ma już prawie przejść między łóżkami. Wszystko zaległa warstwa ciał.

Dozia na bolnicy. Minęłyśmy się. Wzięli ją ciężko chorą na czerwonkę. Na jej miejsce dostaję do łóżka zawszoną Żydóweczkę z Rawy Ruskiej. W życiu nie widziałam takich wszy jak te, które przyjeżdżały z Rawy. Pęcak niczym! Coś kolosalnego!

Pod piecem leży jakaś pani. Nie, nie leży, tylko siedzi skulona, z kolanami pod brodą, bo nie ma miejsca na nogi. Pytam: kto to? Szepczą mi: generałowa X. Ta mała, czarna, którą Urszula wyczesuje właśnie,

[3] ‘lekarz’ (co zamawia chorobę, jak rus. wracz, ‘lekarz’, od wrat’, ‘mówić, kłamać’)

to jej pasierbica, Basia. Nie ma chyba piętnastu lat. Obie złapano na granicy. Siedziały z początku w Rawie Ruskiej. Nikt ich nie chce wziąć na łóżko, bo mają potworne wszy. Nad Basią zlitowała się Urszula i doprowadzają do porządku. Pani X trwa w stanie zupełnego otępienia i, milcząc, patrzy przed siebie pięknymi jasnymi oczyma. Pańskość jej i godność doprowadza pospolite do szału, z Malwiną włącznie, która jako starosta celi odmawia im prawa do łóżka. Przy tym pani X bardzo źle słyszy. To zdaje się specjalnie złości i bawi tamte. Jest też dlatego stale celem najordynarniejszych zaczepek i kpin. Na swoje szczęście mało co z tego słyszy, a przede wszystkim niczego nie bierze do siebie. Kiedy ją któraś z bliska zaczepi, kiedy wprost do niej zwróci się z jakimś chamskim dowcipem, najgrzeczniej w świecie pyta z uśmiechem, z jakim zwracała się pewnie do swoich gości w salonie: „Przepraszam… Nie dosłyszałam… Że co?”. Głos ma uprzejmy, matowy, tak samo jak spojrzenie. W apatii jej jednak jest może jeszcze coś innego. Trudno to nazwać słowami. Robi wrażenie ogłuchłej czy ogłuszonej moralnie. Musiała przejść bardzo ciężkie rzeczy i załamała się. Załamanie to objawia w sposób harmonizujący z jej wykwintną powierzchownością. Nie skarży się, nie płacze, nie walczy z napastującym ją chamstwem, nie zdobywa lepszego miejsca. Siedzi godzinami bez ruchu i patrzy tępo przed siebie. Najgorsze jednak, że z tej chorobliwej obojętności nie walczy prawie zupełnie z robactwem. Przechodzi wreszcie specjalną dezynfekcję i wtedy dopiero udaje się nam zdobyć dla niej u Malwiny łóżko. Drugie po mojej lewej. Tyle że oczy pani X zostają tak samo tępe na łóżku, jak były pod piecem. Ma się wrażenie, że nic do jej świadomości nie dociera. Któregoś dnia skarży się od rana na potworny ból głowy i oczu. Nie chce jeść. Ponieważ gorączki nie ma, dyżurny nie chce wezwać siostry. „Nie bojsia… Generalsza nie zdechnie!” – odpowiada tym, które dla niej proszą o doktora. Po dwóch dniach pani X traci przytomność. Jęczy, rzuca

się. A wszystko bez gorączki. Widzimy wreszcie, że jej sztywnieje szyja i że leży wyprężona, jakby nastąpiło porażenie kręgosłupa. Wtedy już zaczynamy walić w drzwi i na siłę wołać doktora. Zaczęło się wołanie około piątej po południu, a żona naczelnika, ta z warkoczami, przyszła dopiero późno w noc. Przestraszyła się, zobaczywszy chorą. Pyta o przebieg choroby. Bada latarką reakcję źrenic, której już nie ma. W chwilę potem wzięto panią X na noszach z celi, a zaraz potem przyszli po jej rzeczy i siennik do dezynfekcji. Nazajutrz rano dowiedziałyśmy się, że umarła. Daty nie pamiętam. Mógł być koniec września lub początek października. Szeptano o zapaleniu opon mózgowych. Prawdy jednak, jak to u nich zawsze, nie powiedziano nikomu, nawet Basi. Małą miano zabrać do zakładu dla małoletnich. Nie wiem, czy do tego doszło.

Bardzo różnie znoszą ludzie więzienie. Jedni się załamują, drudzy krzepną. Nie myślę tu oczywiście o złodziejkach, bo te są z więzieniem obyte z dziada pradziada. Na ogół jednak lepiej znosi je inteligencja. Prostsze umysły łatwiej się mącą – biorąc rzecz procentowo oczywiście. Bo wariują i te, i te, tylko te proste kobiety, łapane teraz po ogonkach, na granicy, za brak paszportu czy za inną tego rodzaju zbrodnię – nie czując swojej winy, więc i słuszności tego zamknięcia, trudniej się z nim godzą, zwłaszcza że je uważają za pewnego rodzaju hańbę. Tego uczucia żadna spod naszej ściany nie zna. Może nawet wprost przeciwnie! Po cichutku, na dnie serca, każda z nas jest trochę dumna z tego, że też siedzi… Te proste jednak, wiejskie kobiety buntują się, szarpią i załamują psychicznie.

Pewnie, że niektóre z nich sadzano już pomylone, jak taką Barbarkę na przykład. Chodzi to w długiej, zgrzebnej koszuli – jedynym, co posiada – obnosząc na niej bezwstydnie po celi i wszystkich *progułkach* ślady swej kobiecości, boso, z krótko obstrzyżoną głową, i ciągle się śmieje… Do siebie i do każdego. Do zupy i własnych nóg. Siedzi jako germański

szpion[4].

Marusia jednak oszalała już przy nas. Była to wiejska dziewczyna, lat najwyżej dwudziestu, o drobnych rysach, błękitnych oczach i naiwnym wyrazie jakiejś sierotki z bajki, z którą się jednak żaden królewicz nie ożenił. Leżała na sienniku, tuż pod drzwiami, dosłownie, jak groch przy drodze. Nikt nie wiedział, za co siedzi. Ona prawdopodobnie też. Nie odzywała się do nikogo, nikomu w drogę nie wchodziła. Jeśli ją było życzliwie zagadnąć, odpowiadała ze spuszczoną głową i nerwowo drgającymi kącikami ust. Ale zaczepiona umiała się rozgadać na całą celę, rozkrzyczeć, jakby ją ze skóry obdzierano, cienkim, przenikliwym głosem, na jednym tonie i na jednym oddechu. Stałą jej postawą była – obrona. Zawsze pazurami do świata! W każdym człowieku zbliżał się do niej silniejszy od niej – wróg! I tak pewnie było od dziecka. I pewnie od dziecka całą jej obroną był ten jazgot jaskrawy, bez tchu, którym powtarzała wtedy w kółko jedno i to samo zdanie, jak popsuta płyta. Potem milkła i siedziała znowu na swoim barłogu, potulna, umiejąca się uśmiechnąć nieśmiało pod czyimś życzliwym spojrzeniem.

Aż raz, nad ranem, zbudził nas głos Marusi. Cała cela leżała jeszcze płasko na siennikach, a na jednym z nich, sama jedna nad pobojowiskiem śpiących ciał, stała Marusia, rozogniona, z błyszczącymi oczyma, i zaciskając drobne pięści, wyzywała kogoś od ostatnich, klęła, odgrażała się, opędzała łokciami. Nienawiść, płacz i rozpacz tętniły w jej cienkim głosie, nienawiść bezsilna i wzruszająca swym bezsensem, trafiającym oto – w próżnię! Jakieś wypominania, jakieś dobijania się o swoje prawa. Wielką rolę w jej życiu musiała odegrać bezprawnie odebrana jej przez kogoś chustka, bo chustka ta wracała w krzyku tym ciągle i ciągle migała widać przed jej roziskrzonym wzrokiem jak czerwona, w szał ją wprowadzająca płachta. Od tego wybuchu nie można się już było w ogóle z

[4] potocznie: szpieg

nią dogadać. Daremnie Złota Cesia przykucała przy jej barłogu, daremnie przemawiała do niej cierpliwie i długo, daremnie, tłukąc olbrzymimi trepami, znosiła jej cukier i chleb. Marusia stała się rzeczą. Rzeczą żartą przez wszy i przez jakąś rozszerzającą się na jej chudym ciele skórną chorobę, zasmarowywaną bezmyślnie przez siostrę tym czymś zjadliwie zielonym jak bilardowe sukno.

A druga, której przytomność nie wytrzymała wyzwolin spod pańskiego knuta, to była baba niemłoda już, ale bardzo piękna jeszcze, czarna i rosła jak jodła, przywieziona tu gdzieś aż spod rumuńskiej granicy. Barany polazły jej poza słupy graniczne. Pognała za nimi i zziajana wracała z powrotem. Tu chwycili ją ojcowie ludu i posadzili. Kobieta ta zostawiła w zamkniętej chacie na połoninie dwoje małych dzieci. Kiedy ją przyprowadzili na celę, wyła dzień i noc, czołgała się na kolanach za dyżurnymi, całowała ich po rękach, tłumaczyła, prosiła, przeklinała, mdlała. Jej tragiczna, dostojna twarz, okolona pasmami roztarganych włosów, cierpła taką rozpaczą, taką męką, takim nasileniem bólu, że nawet dyżurni mieli dla niej łagodniejszy ton i zapewniali ją, że pójdzie niedługo na wolu. Ale czas płynął i nikt jej nawet na przesłuchanie nie wzywał. A młodsze dziecko miało rok, a starsze pięć i nikt prócz niej nie wiedział, że zostały same, bo ją wzięli wprost spod granicy do tiurmy. Wreszcie założyła głodówkę. Nie wiem, czy znała ten tiuremny sposób wymuszenia czegoś na władzach, ale fakt, że przez jedenaście dni nie wzięła niczego do ust. Nikt jej nie mógł namówić ani na łyk herbaty. Osłabła wreszcie tak, że wstać nie mogła. Albo leżała na twarzy, w przejściu do drzwi, albo siedziała pod stołem, ogromna, koścista, nieruchoma, jak rzeźba, dziwacznie pod tym stołem poskładana, bo miejsca tam było mało, a ona rosła jak juhas. W nocy podpełzała do drzwi. Jak znękane zwierzę obwąchiwała szpary, suwała ręką po zamku – dużą, spracowaną ręką, podobną do wypłukanego z gliny korzenia – skomląc z cicha i poskrobując deski… Czasem znajdowało się

ją rano skuloną tak pod drzwiami. Jakaś łączność między nią a światem została przerwana. Nie odzywała się do nikogo, nie odpowiadała na pytania, nie wiła się już u nóg dyżurnym. Wyganiana siłą na *progułki*, spełzała potulnie ze schodów, trzymając się ściany, doczołgiwała na środek podwórza i waliła się tam na ziemię, twarzą i rękami… I tak leżała, póki jej znów siłą nie zagnali do celi z powrotem. W żadnej rzeźbie, w żadnym dziele sztuki nie widziałam takiej potęgi tragizmu, takiego majestatu bólu, jaki miała w ruchach i wyrazie ta nieszczęśliwa, prosta kobieta spod rumuńskiej granicy. Wywołali ją pewnego dnia – a raczej wyprowadzili z celi, bo nie wiedziała, że do niej mówią, i powlokła się za dyżurnym jak ślepa. Jeśli ją nawet zwolnili, to wpadła pewnie pod pierwszy tramwaj, z braku sił, nieznajomości miasta i pomylenia…

Bóg jeden wie, co się z nią stało – z nią i z tymi dziećmi zamkniętymi w pustej chacie na połoninie – i jeden Bóg ma sposoby na sprawiedliwe pokaranie tak bezmyślnych zbrodni!

O niektórych, które wywołują z celi, wiemy już naprzód, że idą na wolność. Są to oczywiście wyłącznie pospolite. Wtedy każda z nas stara się do niej dopchać, dać adres rodziny, nauczyć, co ma powiedzieć, o co prosić, kogo zawiadomić. Pamiętam dobrze dwie takie szczęśliwe. Pierwsza to była Krzywa Józka, ten goyowski karzeł. Obiecała przyjść pod więzienie w czymś czerwonym, jeśli dobra sytuacja polityczna na świecie. Przyszła istotnie w parę dni później, w białej sukni, z czerwoną kokardą, bukietem czerwonych kwiatów, prowadząc za rękę dziecko z czerwoną krawatką pod brodą! Wtajemniczone o mało nie oszalały z radości! Dziś nie umiem odszukać w wypadkach dziejowych tej dobrze biało-czerwonej sytuacji w jesieni 1940 roku – ale wtedy ta nadzieja, to pokrzepienie, które przecisnęły się do nas szparami zabitego okna, strasznie dużo nam dały! Poczciwa Krzywa Józka! Miałyśmy potem dowody, że obeszła wszystkie podane adresy z wiadomościami o nas.

Drugą, która wyszła wtedy na wolę, była ta beznoga spod okna. Nawet imienia jej nie pamiętam, tylko ulgę, gdy znikła z celi. Siedziała za przemyt. W protezie, która stała zawsze w głowach jej łóżka, podczas gdy ona sama na jednej, silnej nodze obskakiwała jak kulawa kawka całą celę dokoła – szmuglowała lekarstwa. Była zboczona. Prześladowała hałaśliwie i bezczelnie wszystkie młode dziewczęta albo wodziła za nimi ponurym wzrokiem, spod niskiego, niechlujną grzywą zakrytego czoła. Unikały jej wszystkie jak zarazy, tak że musiała się wreszcie zadowolić baraszkami ze starą Capową. Ta brała wszystko na wesoło, dawała się jej huśtać na jedynym kolanie, tłamsiła się z nią na barłogu, kwiczała, piszczała, rechotała, wreszcie, gdy już i jej było za dużo, dawała tamtej po łbie, otrząsała się jak kura i odchodziła do siebie na barłóg. Tę wywołali pewnego dnia i poszła sobie na wolność, razem z protezą i zboczeniem.

Na miejsce tych, które odchodzą, pakują nam do celi moc nowych. Czasem są to świeżo właśnie połapane ofiary, czasem takie, które po całych już miesiącach siedzenia, z niewiadomych nam nigdy powodów zostały przeniesione z innych więzień na Brygidki.

I tak to pewnego razu zjawia się u nas młoda Ukrainka Olga prosto z Zamarstynowa! Pierwsze, co robię, przepycham się do niej i pytam, czy nie spotkała przypadkiem Kasi. Olga chwyta mnie niespodzianie za rękę.

– Pani zna panią Katarzynę?! – wykrzykuje po rusku i widzę, że jej ładne oczy skrzą się życzliwą radością. – Któż by na Zamarstynowie nie znał pani Kasi? Toż to nasz anioł, nasz opiekun, nasza matka! To pani jest może tą kuzynką, u której ją aresztowali? I u pani zostały dzieci?! Jak ona strasznie się o nie niepokoiła! Kiedy przyszła wiadomość o tych wywozach – w kwietniu – pewna była, że jej dzieci wywieziono też… A o panią… jak się ona o panią też bała!

Nie potrzebuję pytać – mam zresztą gardło ze wzruszenia zapchane jak watą – bo Olga mówi sama, dużo i szybko, a ja słuchałam jak przez

tętniącą, mętną wodę…

Śledztwo miała potworne! Oskarżona z trzech paragrafów. Pierwsze przesłuchanie trwało całą dobę. Trzymali ją na stojąco, twarzą do ściany. Na celę przyszła tak zbita, że nie było na niej od stóp do głowy zdrowego miejsca. Cała była koloru śliwki od sińców i wynaczynień krwi pod skórą. Ratowały ją, jak mogły. Okładały mokrymi ręcznikami. Nie było jej po prostu jak położyć na łóżku, tak była skatowana! Ale trzymała się cudownie! Trudno pojąć, skąd brała te siły. Nazajutrz drugie przesłuchanie. Bito ją znów kijami, żelaznymi kijami i linią, po całym – straszliwie po pierwszym śledztwie obolałym – ciele. Odnieśli ją nad ranem. I tak cztery razy pod rząd, co nocy brano ją do tej katowni „na żelaznych schodkach". Tylko ci, co przeszli przez Zamarstynów, wiedzieli, co te schodki znaczą. Tam była cela tortur.

– To się nie da powiedzieć, co ona przeszła – mówi Olga. – Kiedy ją w nocy wywołali na te śledztwa, my wszystkie, Polki i Ukrainki, modliłyśmy się cały czas. Tak nam jej strasznie było żal. Takie to przecie wątłe, szczupłe i pomyśleć – matka siedmiorga dzieci! Mnie po prostu trudno mówić o tym. A jak nas podtrzymywała. Jak nas uczyła, jak się mamy bronić. Przed każdym przesłuchaniem każda z nas szła do niej jak do adwokata na poradę. Takiego człowieka ze świecą szukać – naprawdę. Nie mają żadnych dowodów i dlatego tak ją biją. Potem, po tych pięciu pierwszych śledztwach, miała długą pauzę. To się trochę wygoiła. Bo to była jedna rana… jedna rana… I wie pani – mimo wszystko – ten jej humor! Aż pojąć trudno. Zawsze taka równa, pogodna, uśmiechnięta. I uczyła nas potem. Dawała nam lekcje francuskiego. I bajki, i historie nam opowiadała! Śliczne! Nigdy, nigdy nie zapomnę pani Kasi! To cudowny, kochany człowiek. A tak się modlić jak ona to żadna z nas nie umiała. Strasznie mi było żal, jak mnie przenieśli na inną celę. Jakby mnie *wid rodnyj maty widłonczały. Bih me*.

Ona sama, Olga, miała także bardzo ciężkie śledztwo. Też była bita, też męczona. Cały ten pobyt na Zamarstynowie wspomina jak piekło. Gdy przyjdzie noc, cały gmach krzyczy, jęczy, wyje. Bo śledztwa zawsze w nocy. Mężczyźni nigdy prawie nie wracają z nich o własnych siłach. Odnoszą ich pobitych i skatowanych do nieprzytomności. Ukraińców męczą, zdaniem Olgi, jeszcze chyba gorzej niż Polaków. Dużo też księży siedzi na Zamarstynowie. Raz – pamięta – porobiły sobie różańce z chleba. Wiedziały – więźniowie mimo wszystko wiele wiedzą – że wtedy, gdy one idą na *progułkę*, w jednej z parterowych uborni myje się męska cela i że jest tam wśród nich także ksiądz. Udało im się cudem zbliżyć do okienka i poprosić go o poświęcenie różańców. Choćby sto lat żyła, nigdy tego nie zapomni. Przez kratę wysunęła się ręka – bezkształtny ochłap, krwawa miazga nie ręka – i nakreśliła krzyż nad kuleczkami z chleba.

Czas płynie. Mijają tygodnie i miesiące.

Upały słabną, noce robią się coraz zimniejsze. Coraz częściej pada deszcz i zabija przez deski do celi. Coraz głośniej przebąkuje się o wielkim transporcie w głąb Rosji.

Wreszcie raz, w nocy, zjawia się u nas korpuśny z plikiem wielkich, żółtych kopert w ręce i wywołuje kilkanaście z nas. Każe się zbierać. Daje pół godziny czasu. Więc płacz, pośpiech, żegnanie się, pakowanie mokrych jeszcze z prania rzeczy. Dziś one – jutro my. Zaczyna się okres strasznie targający nerwy. Każdy zgrzyt klucza, każde wejście korpuśnego – to nowy przypływ strachu i czekania z zapartym tchem, czyje nazwiska padną. Raz wywołują Irkę bez matki. Matka, chora na serce, rozpacza, płacze, nie chce córki puścić samej, błaga o posłuchanie u naczelnika. Mdleje. Wreszcie naczelnik godzi się, aby jechały razem. Był to jedyny wiadomy mi wypadek, kiedy prośba odniosła pożądany skutek. Dlatego to notuję.

Choć nas na celi ubywa, miejsca nie ma ani o cal więcej. Wciąż

napływają nowe. I to coraz gorsze szumowiny. Cela jest jednym piekłem. Zaczynają dołączać do naszych pospolitych importowane złodziejki i prostytutki rosyjskie. Siedzi też z nami jedna urzędniczka NKWD, kobieta-śledczy, aresztowana za jakieś niedopatrzenie w urzędowaniu. Bardzo poczciwie idącym na śledztwo radzi, jak się mają bronić. Dwie żony komandirów siedzą już też. Grube, ordynarne baby w czarnych wieczorowych sukniach z *crêpe-satin*, białych beretach i kaloszach. Ale ze wszystkiego najgorsze są te ich małolatki spod ciemnej gwiazdy! Nasze poczciwe Jadźki z Hyclowej Góry to naiwne dzieci w porównaniu z nimi – takie to rozwydrzone, bezczelne, wyuzdane, zaczepne i zdeprawowane. Jesteśmy już teraz w kompletnej mniejszości i czujemy to dobrze na własnej skórze. Zaczynają się coraz gorsze kradzieże. Coraz jawniejsze forytowanie swoich, z naszą szkodą. Nasz kąt jest teraz stale celem najróżniejszych szykan. Przewodniczy im siedemnastoletnia Lena, Rosjanka, dziewczynisko ogromne, o kosych oczach i szczerbatym uśmiechu, jak pies rozżarta na „burżujów". Pastwi się nad nami bezkarnie, ku radości innych, jej podobnych. Skarży i kapuje. Raz – pamiętam – w okresie najliczniejszego dopływu owych rosyjskich elementów właśnie zgasło nam raptem światło. Coś się popsuło w przewodach. Chwila ciszy, potem wrzask nie do opisania, a następnie od kąta małolatek posypały się w stronę pieca gradem: głowy ryb, miski, nadgniłe cebule, a nawet drewniane więzienne trepy! Jeden z nich zranił panią Izę, pamiętani. Wreszcie dochodzi do wielkiej awantury. Któraś z nich doniosła władzom, że na celi przechowuje się złoto i broń! Tego im się dwa razy nie powtarza! Zjawia się sam naczelnik. W swojej obecności każe nam wszystkim opuścić celę, zostawiwszy worki. Nie jest to tym razem zwykła rewizja, bo prowadzą nas na bolnicę. Tu rzecz się wyjaśnia. Rewizję przeprowadza tym razem lekarka, gruntownie, do ginekologicznego przeglądu włącznie. Pod względem higienicznym to było jedno horrendum! Rozebranym do

naga, każą nam się kłaść kolejno na tej samej ceratowej ławce – świerzby po wrzodach, wrzody po ropnych wysypkach, wysypka po chorobach wenerycznych – i ta sama lekarka, nie dezynfekując rąk, bada pod rząd sto kilkadziesiąt kobiet!

Na celi tymczasem zrywano deski, szturchano w piecu, grzebano w paraszach, po czym – o dziwo! – wyszorowano i wymyto karbolem całą podłogę. Wyniesiono tylko na ten czas łóżka i sienniki i nie wróciły już więcej na celę. Kiedy nas, po paru dniach przetrzymania w innym bloku, puszczono na 21, dosłownie własnym ciałem suszyłyśmy tę podłogę, leżąc pokotem wprost na mokrych deskach. Jest listopad! W celi brak szyb i te, które śpią pod oknem, budzą się rano sproszone pierwszym, mokrym śniegiem. Od razu też kilka idzie z grypą na bolnicę, ze mną włącznie.

Nie byłam jeszcze całkiem zdrowa, kiedy mnie w parę dni po powrocie na celę wywołali do transportu. Mnie i kilka innych.

Jest między nimi także Bronisława Przystajko, która przeszedłszy przez Zamarstynów, została po ciężkiej chorobie przeniesiona na Brygidki.

– Sama nie wiem, jak ja ten Zamarstynów wytrzymałam – mówiła mi nieraz. – Przecie mnie aresztowali w parę miesięcy po wyjściu ze szpitala, gdzie przeleżałam przeszło rok na ciężki wrzód w żołądku. Jakieś niesamowite siły daje Pan Bóg człowiekowi.

Tak, trzeba mieć niesamowite siły i być w dodatku takim dzielnym człowiekiem jak ona. Brała jako żołnierz czynny udział w zeszłej wojnie, należała do LOK, była działaczką, społeczniczką. Oczywiście takich się dzisiaj tępi bez litości.

Kiedy ją wywołują razem z nami do transportu, ma właśnie bardzo ciężki absces[5], wysoką gorączkę i ruszać się nie może. Korpuśny – mały,

[5] otorbiony zbiornik ropy, często spowodowany zakażeniem bakteryjnym; ropień

szykowny, o skośnych oczach dzikiego kota – każe jej wstawać i iść. Próbuje więc dźwignąć się z podłogi, ale nie może. Tłumaczy, że jest chora, że nie ujdzie kroku. Nic nie pomaga. I póty się piekli, wrzeszczał, tupał i wyzywał, póki się nad nią nie zlitowała jakaś mocna jak chłop lwowska przekupka, nie wzięła jej na plecy i – jęczącej z bólu – nie zniosła z trzeciego piętra wniz. Tam jednak wezwany doktor uznał, że chora nie nadaje się do transportu, i zabrano ją na bolnicę.

Trzy razy jeszcze zmieniałam na parterze transportowe cele, nim mnie ostatecznie wywołali, tym razem już naprawdę do wyjazdu. Mnie i pięć innych. Kiedy stanęła w progu ze znajomym plikiem kopert w ręce młoda lwowska Żydóweczka, zajęta w NKWD, i kiedy spytałam, czy to już do samego transportu – bardzo nieznacznie i bardzo ostrożnie skinęła powiekami. Zdawało mi się, że widzę w jej oczach bezradne, przestraszone współczucie, zażenowanie i coś jakby prośbę o przebaczenie jej tego, że ma do czynienia z tymi przeklętymi żółtymi kopertami.

Kiedy zażądałam wydania mi moich cenności – dla próby raczej, bo nigdy nie wierzyłam w ich oddanie – odpowiedziano mi, że rzeczy te idą i tak za nami. Jakkolwiek raz jeszcze, po zakończeniu śledztwa, prosiłam o pozwolenie napisania do domu o ciepłe rzeczy, nie pozwolili mi napisać wprost. Śledczy obiecał, że sam pójdzie i powie. Czy był – nie wiem, w każdym razie wyjeżdżałam w głąb Rosji na początku zimy w letnim płaszczu, w płytkich trzewikach i w ręczniku na głowie! Na szczęście miałam – ów w ostatniej chwili wetknięty mi w hallu – koc!

Gotowa do wielkiej podróży stoję przy drzwiach, piastując w poszewce z poduszki całe swoje mienie. Kilka kawałków bielizny, drugą bluzkę, pończochy, mydło, szczoteczkę do zębów i grzebień. To wszystko. Ach, nie! Mam jeszcze garnuszek. Dostałam go od jednej z Ukrainek, która miała dwa. Powiedziała, że mi go daje z wdzięczności za bajki, którym się lubiła przysłuchiwać. Jednym słowem coś w rodzaju autorskiego

honorarium! To skarb, taki własny garnuszek. Przywiązałam mu do ucha szmatkę, żeby mi go kto przypadkiem nie zamienił, i strzegę jak oka w głowie. Wzięłam też chyłkiem ową drewnianą, malowaną miskę. Nie bardzo wiem, czy mi jej przy rewizji nie odbiorą, bo to kazionne[6] dobro. Zobaczymy. Może się przecie uda.

Może mi się także uda nie rozpłakać się. Nie chcę! Nie chcę też za żadne skarby uczuć tego, co się dzieje. Puszczam świadomość płytko po nawierzchni rzeczywistości, nie pozwalam myśli patrzeć ani przed siebie, ani wstecz. Ważne jest tylko to, aby niczego nie zapomnieć, aby się z wszystkimi pożegnać, aby porządnie pozapinać guziki. Nie! Żadnych wzruszeń! To lepiej dla mnie i dla tych, którym się dzieje ta sama krzywda co mnie. Nie chcę zresztą, aby te pachołki z bagnetami przy drzwiach wiedziały, jak nam w tej chwili jest. W porządku. Wzięłam już wszystko. Zdaje mi się, że możemy iść.

Na dworzec wiózł nas tzw. czarny woron, więzienne auto bez okien i światła, stłoczonych jak śledzie w beczce i wpółzgiętych. Dach budy jest tak niski, że stanąć w niej niepodobna. Mężczyźni i kobiety razem. Nastrój dobry. Nie płacze nikt. Wszyscy wierzymy, że każdy z nas wróci. Prędzej czy później – ale wróci! Na pewno!

Pamiętam brudny, zbezczeszczony ich obecnością kochany lwowski dworzec, od strony nieznanego mi wejścia, i podkasaną naszą babinę, myjącą okna. Kiedy zobaczyła konwój, bagnety i nas – zaczęła płakać.

A potem mokra śniegowa kasza z błotem pod nogami, plątanina szyn – i wagon.

[6] żartobliwie: państwowy, skarbowy

Rozdział II
W sowieckich hurmach

Jedziemy za tak zwaną reszotką.

Jest to normalny wagon trzeciej klasy, w którym środkowa ściana, dzieląca korytarz od przedziałów, jest siatką z grubych, żelaznych prętów. Okna, nawet te najmniejsze – zakratowane. Po korytarzu stale chodzi striełok z bagnetem. Powietrze straszne, bo żadne okno się nie otwiera, a cały wagon kopci machorkę, tak że jest gęsto od dymu. We wszystkich innych przedziałach jadą mężczyźni. Wagony nieogrzewane. Zimno jest bardzo, ale miejsca mamy dość. Można siedzieć, a nawet skulić się z nogami na ławce. Nie wolno nam tylko głośno mówić. Widocznie boją się porozumienia między przedziałami. Nie wolno nam wiedzieć, kto jedzie razem, skąd i za co. Na drogę dali nam chleb i śledzie. Do ubikacji puszczają tylko o oznaczonych godzinach. Wody nie ma żadnej.

Dokładnie w cztery miesiące od momentu aresztowania mnie mijam granice Polski.

Od Tarnopola już śpię, bo nie chcę przeżyć tej chwili na jawie. Cudowna rzecz – taki sen! Świadomość, jak łódź podwodna, pogrąża się w błogiej, błogosławionej niewiedzy i przestaje pojmować. W nocy dokucza mi zimno, ale kulę się ciaśniej i prędko zasypiam znowu.

Budzi mnie dalekie, obce ryczenie syren.

Stalowe niebo nad olbrzymią pustką krajobrazu podmoknięte jest już wyraźnie malinowoburą zorzą. Musimy mijać właśnie jakieś fabryczne osiedle, ale nie widać nic – prócz pustki. Syreny tylko wyją długo i strasznie, głusząc w tej największej tiurmie świata i historii *podjom* nowego dnia!

Rosja!

Teraz dopiero uświadamiam sobie, że przecie gdzieś głęboko we mnie, już nawet po aresztowaniu, taiła się jeszcze nadzieja, że mi to przecie zostanie oszczędzone, że mnie to cudem ominie, że nigdy nie będę zmuszona przekroczyć granic tego ponurego kolosa, którego samo imię było mi zmorą od lat! A oto wloką mnie w jego znienawidzoną, zatajoną głąb, jak rybę w sieci, bo siatką leży na mnie – na moim kocu, na moich rękach, na wszystkich i wszystkim dookoła – cień drobnej kraty więziennego wagonu.

Trudno! Trzeba się głęboko zaciągnąć siłą i uporem i – wytrwać. Z podobnym uczuciem lęku i odrazy, przy gotowości zniesienia wszystkiego, co je czeka, wchodzą – wyobrażam sobie – pokutujące dusze do czyśćca. Potępienie i rozpacz zaczyna się dopiero tam, gdzie nie ma nadziei.

W Kijowie jesteśmy nazajutrz około południa.

Czarny woron przewozi nas na teren tiurmy. Pod murem, na przejmującym wichrze trzymają nas bez jedzenia do nocy. Siąść nie ma gdzie, bo stoimy rzędem w błocie. Chodzić dla rozgrzewki nie dają, można więc tylko dreptać w miejscu. Na stronę puszczają dopiero wtedy, gdy zbierze się dwadzieścia osób. Dostajemy striełka, który nas pod bagnetem prowadzi do szopy w sadzie.

Ale za to nie ma siły ludzkiej, która by nam zabroniła gadać! Po miesiącach przecie pierwszy raz stykamy się pod tym murem z więźniami z innych cel i tiurm. Zatem pytania: skąd i za co, i z kim kto siedział? I co słyszał o wojnie? Nastrój jak zawsze i mimo wszystko dobry. Każdy wie, że chodzi o to tylko, by przetrzymać.

Od czasu do czasu podjeżdża pod mur czarny woron i wysypuje dalsze partie więźniów. To jest prawdopodobnie powodem tego naszego czekania. Chcą w głąb tiurmy puścić dopiero cały transport, który widocznie jest duży.

Pod noc dopiero ruszają nas spod muru.

Jestem tak zziębnięta, że rąk ani nóg nie czuję. A mam przecie płaszcz i koc. Inni i tego nie mają. Żelazna brama rozdziawia się przed nami i połyka nas więzienie.

To kolos ta kijowska tiurma![7] Podwórza, dziedzińce, korytarze, mury, bramy, sklepione sienie i znowu dziedzińce, korytarze, podwórza. Pędzą nas pod jakiś budynek i zatrzymują. Wiatru się tu już nie czuje, tylko zimno idzie od brukowanego kamieniami podwórza. Wywołują nas nazwiskami. Zatem strach, aby nie rozdzielono nas z tymi, z którymi jedziemy ze Lwowa. Nigdy się nie wie, co zdecyduje o doborze takiej grupy. Może istotnie tylko przypadek i kolejność byle jak złożonych kopert z aktami, które idą razem z nami transportem. Ale nie! Na szczęście nie rozdzielają nas, tylko wywołują razem z nami całą moc innych. Są Rosjanki, rosyjskie Żydówki, Ukrainki, a wszystko z różnymi paragrafami. Razem do dwudziestu samych kobiet, bo tu już nas oddzielono od mężczyzn. Prowadzą nas w korytarz tak wąski jak korytarz w pociągu i pocięty tak samo małymi drzwiczkami jak te do przedziałów. Żołnierz zatrzymuje się przed jednymi z nich, otwiera je w zupełną ciemność i zaczyna strasznie na coś wrzeszczeć. Nie wiemy, o co chodzi. Po chwili z czarnych drzwiczek wychodzi jakiś łach ludzki, wyglądający na matołka, o dużej głowie i obłąkanej twarzy, cały w szmatach i dygoczący z zimna. Żołdak wrzeszczy, a to się trzęsie i skrzeczy. Do opróżnionej klatki każą teraz wchodzić nam. Wchodzimy jak do grobowca. Przestrzeni najwyżej 2 na 2 metry. Zamiast okna mały otworek pod samym sufitem, światła tyle, ile pada od słabej żarówki z korytarza, póki drzwi otwarte. Uderza nas na wstępie smród niedwuznaczny wcale! Ten biedny matołek musiał, nie wychodząc, siedzieć tu długo już – i działać! Podłoga jest betonowa i betonowe ściany. Wszystko ocieka wilgocią i cuchnie ludzkimi odchodami. I do tej to ohydnej, zimnej klitki wtłaczają siłą dwadzieścia

[7] więzienie, areszt

zziębniętych, zmęczonych, głodnych kobiet! Podnosi się wrzask, prośby, płacz. Sołdat kolanem dociska drzwi, zamyka nas i odchodzi.

Z początku stoimy wszystkie, bo żadna z nas nie wie w tej kompletnej teraz ciemności, w co siądzie czy w co postawi swój tobołek. Czujemy pod nogami oślizły beton i wdychamy wiadomy smród. Po pewnym jednak czasie zmęczenie robi swoje. Pierwsze siadają rosyjskie baby, najobojętniejsze na wszystko, do wszystkiego nawykłe i ze wszystkim tym pogodzone. Hanusia Dubiak, Ukrainka, jadąca z nami od Lwowa, dziewczyna naprawdę jak dąb – uciekła z przymusowych robót w Donbasie. Złapali ją i posadzili – jest poważnie chora. Ma wysoką gorączkę i kaszle, aż jej w piersiach dudni. Rozściela na mokrym betonie jedyne, co ma – swój aksamitny kubraczek – i kładzie się skulona, półprzytomna z gorączki. Po godzinie całą zapaskudzoną podłogę zalega już stos obojętnych ze zmęczenia kobiet. Nie na wszystkie jednak jest w tej ciasnocie miejsce, a nawet nie ma go na obie nogi równocześnie. Ja na przykład muszę stać dosłownie raz na jednej, raz na drugiej nodze, trzymając w dodatku mój tobołek w rękach. Od ściany ciągnie zimno przenikliwe. Jestem głodna, zmęczona i zziębnięta do szpiku kości. Po trzech godzinach zaczynamy się buntować. Walenie w drzwi nie odnosi żadnego skutku. Cały zresztą korytarz o nieprzeliczonych celkach wali już od dawna w drzwi, krzyczy, wyzywa, klnie. Korytarz jest długi i niski. Pogłos w nim niesie się dziwnie stłumiony i mylący. Na niewidziane ma się wrażenie, że korytarz ten nie ma dna i że najdalsze krzyki i dudnienia dochodzą z jakiejś nierealnej już odległości. Wrażenie wprost niesamowite. Ze zmęczenia szumi w uszach, a ciemność pływa i pulsuje przed niewidzącymi niczego oczyma.

Rosyjskie baby, w przekonaniu widocznie, że w tiurmie można już szczerze mówić, zaczynają się zwierzać. Jedna siedzi za kawałek drzewa, który podniosła przy tartaku. Druga za to, że sprzedała kupiony na kartki

materiał drożej, niż zapłaciła sama. Trzecia w ogóle nie wie, za co siedzi. Mówią spokojnie, prawie obojętnie, jakby o kimś trzecim. Opowiadają o głodzie i nędzy. O strasznych podatkach. Wzdychając, czasem nazywają Boga. Potem milkną i drzemią. Otępienie zupełne. Nie wierzą już ani w ratunek, ani w odmianę. Bierność i rezygnacja. Wszystko zaś przy akompaniamencie nieustępliwego walenia naszych w zamknięte drzwi, pięścią, butem, jak się da. Nie zjawia się jednak nikt.

Dopiero po pięciu może godzinach, a więc głęboko w noc, zgrzyta klucz, na progu staje szynel i pozwala grupkami po pięć iść pod strażą do klozetu.

Ktoś, kto nie widział takiej ubikacji, nie potrafi sobie nawet w przybliżeniu odtworzyć pojęcia o jej ohydzie. Nas to już nie przejmuje. Tuż obok betonowych dziur ciecze w brudną, zbitą muszlę umywalni woda. Spieczone pragnieniem i głodem pijemy ją, jak która może, albo czerpiąc dłonią, albo podstawiając usta wprost pod zaśniedziały kran. Szyby są wybite i zimny przeciąg ze śniegiem hula tu na przestrzał. Żołdak wali w drzwi, popędza nas niecierpliwie i każe szybciej wracać do sobaczki. Tak bowiem nazywają w kijowskiej tiurmie te przeklęte betonowe celki. Są one czymś w rodzaju szufladek, w których przetrzymuje się więźnia, nim jego papiery przejdą przez wszystkie biura i urzędy i nim go skierują na dłuższy pobyt do któregoś z bloków i do którejś z cel.

Nigdy chyba noc nie była taka długa i taka straszna! Przestałam ją całą, oparta grzbietem o mokry beton ściany, zmieniając co jakiś czas drętwiejącą nogę. Wreszcie w małym okienku pod sufitem jawi się – świt. Ale od świtu do tego, by coś z nami zrobili, mijają jeszcze ze trzy długie godziny. Jestem u kresu wytrzymałości fizycznej. Nie mam sił na pełne uświadomienie sobie tego. Z głodu i zimna nie czuję już ani zimna, ani głodu. Wreszcie zgrzyt klucza, drab w błękitnej czapce i owo wszystko wyrażające, sławne bolszewickie: „Dawaj!”. Wleczemy się podwórzami,

sieniami, dziedzińcami i dowiadujemy się wreszcie, że prowadzą nas do bani.

Kijowska bania była najlepszą ze wszystkich, jakie potem widziałam w Rosji. Ogromna, jasna sala. Podłoga i ściany z jasnokawowych kafli, mnóstwo tuszów, kurków, dobre ścieki, a nawet kabinki do rozbierania się! Kąpie się równocześnie co najmniej sto kobiet. Wody gorącej, ile chcesz. Dają spory kawałek mydła, watę i sabadylę na wszy.

W każdej takiej więziennej łaźni panuje zawsze wrzask jak w klatce podrażnionych papug. Wszystkie myją głowy, więc twarzy nie widać nikomu spod zamydlonej skorupy włosów. W kłębach pary, w srebrzystych promieniach z wysoka bijących tuszów kotłuje się stado ciał bez oblicza. A woda szumi i baby wrzeszczą, a pogłos od sufitu podwaja cały ten matowy od gorącej pary rwetes. Człowiek puszcza sobie na grzbiet srebrny ukrop, a jest tak przemarzły i skostniały, że wcale gorąca nie czuje. Cała sala wygląda niesamowicie. Jakiś sabat czarownic czy zły sen. Robi ci się słabo trochę od gorąca i pary, wszystko kręci się przed oczyma i nie wiesz, czy to prawda, czy przywidzenie. Przywidzeniem też w pierwszej chwili wydaje ci się postać w szynelu, błękitnej czapce, która zjawia się na dnie tej dymiącej, rozkłębionej ciałami przestrzeni! Wrzeszczy coś, czego nikt ani nie słucha, ani nie może słyszeć, bo w bani zbyt wielki szum, pogłos i krzyk. Nowicjuszki piszczą i zawijają się w ręczniki, ale to ginie w ogólnej goliźnie i obojętności. Wchodzili tak i wychodzili, ile chcieli. Kogoś szukali albo udawali, że szukają, zawsze z tym samym skutkiem. Nikt na nich nie zwracał uwagi.

Wreszcie tusze milkną. Sala robi się nagle niesamowicie cicha, a kobiety rozebrane z pary i białych strumieni wody jeszcze bardziej gołe, niż były przed chwilą. Rozprażone gorącem, wszystkie z mokrymi głowami, okręconymi tylko też mokrym ręcznikiem, wychodzimy z łaźni na dwór. Prowadzą nas wszystkie przez duży dziedziniec, każą wejść w

niski, zimny korytarz i oczywiście znowu czekać.

Dowiadujemy się, że teraz przegląd lekarski. Dobrze. Niech sobie będzie. Już nam wszystko jedno. I to nas nie przejmuje, że w jakiejś ciasnej salce rozbierają nas znów do naga i że znowu podczas tego wchodzą szynele, i że znowu jest ceratowa ławka, i znowu ginekolog. Nic to już nikogo nie obchodzi. Dają nam zastrzyki. Nikt nie wie jakie i przeciw czemu. Mniejsza z tym. Byle się to wreszcie skończyło, byle już można zamknąć oczy i położyć się bądź gdzie, bądź jak i wypocząć – wypocząć – wypocząć!

Ale do końca daleko jeszcze. Po badaniu, które trwa tak długo, póki całej setki nie przeglądną, nie zaszczepią i nie zapiszą – następuje z kolei rewizja. I trwa – póki od pierwszego obrąbka pierwszej do ostatniego obrąbka ostatniej wszystkie łachy stu bab nie zostaną obmacane przez grube, rubaszne Sowietki w uniformach. Te znają swoją robotę i mają rutynę! Znajdują wszystko – z moim biednym krzyżykiem włącznie. Wyprały go, wyśmiały, zaczęły nim żegnać wszystkich dookoła, udając błogosławiącego popa, bić na żart pokłony, mamrotać niby-modlitwy, a potem rzuciły go między tasiemki, guziki, podwiązki, sznurki i szpilki do włosów.

Wreszcie – naprawdę wreszcie, bo przyjechałyśmy wczoraj około południa, a teraz jest już zmierzch – puszczają nas do celi w bloku kwarantanny, na tzw. *karantin* – na szczęście tylko nas pięć ze Lwowa. Hanusia Dubiak została wzięta do szpitala. Nie wiem do dziś, co się z nią stało.

Cela jest pusta. Ma tylko czystą drewnianą podłogę i wysokie okno. Walimy się na ziemię jak kłody i teraz dopiero w całej pełni odczuwamy zmęczenie. Pierwszy raz od zaaresztowania mnie płaczę. Trzymał się człowiek, jak mógł, znosząc wszystko, jak szło po kolei, aż go nareszcie zmogło. Zdaje mi się także, że mi ten mój biedny krzyżyk dogodził. I

te baby kreślące nim dla drwin powietrze, i ten ich śmiech, i ta własna bezsilność – bezsilność wobec przemocy i chamstwa!

Niestety tylko przez pierwsze dni byłyśmy w tej celi same. Potem zaczęto pchać do nas coraz więcej nowych. Robi się tak ciasno, że można spać tylko na boku. Z Polek tylko dwie czy trzy – reszta Żydówki albo Rosjanki. Jednej z tych Rosjanek nie zapomnę póki życia. Jedyny okaz dawnej inteligencji, z jakim się w tiurmach zetknęłam. Takiej delikatności, takiej dobroci, takiej słodyczy i takiej uczynności nie spotyka się często nawet w normalnych warunkach. Siwiutka jak gołąb, chuda, drobna, a schludna wyjątkowo, myślała tylko o tym, jak by której z nas usłużyć, co by której odstąpić, którą by nakryć swoim pledem, której by swój koc podścielić. Miałyśmy wrażenie, że chce nam nagrodzić choć w części to, co nas ze strony Rosji spotkało. Bo ona kocha Rosję, ale tę dawną, prawdziwą, którą dobrze pamięta – nie tę dzisiejszą, związaną, zbezczeszczoną, cierpiącą tak samo w niewoli, jak ona sama i my! Siedzi za „religijną propagandę". Wie, że będzie skazana. Wie, że nie zobaczy już dzieci i wnuków. Wie, że nie przetrzyma więzienia. Nikogo jednak sobą nie zajmuje. Modli się, klęcząc, całymi nocami, wtulona w róg celi jak strzępek uczepionej tam pajęczyny.

Jedzenie w porównaniu z lwowskim o całe nieba lepsze. Chleb smaczny i sporo go. Pluskiew też mniej. Dyżurni jacyś grzeczniejsi, prawie życzliwi. Kobiety mimo wszystko traktowane są w tiurmach lepiej. Jeśli zaś chodzi o mężczyzn, mam prawo przypuszczać, że im było o wiele gorzej niż nam. Miałyśmy zresztą naoczny tego dowód.

Raz, kiedyśmy były w ubornie, usłyszałyśmy straszny krzyk i rwetes na korytarzu. Bieganie, jęki, szamotanie się czy dźwiganie czegoś, wreszcie wołanie przez telefon o wracza. Dyżurny, chcąc widocznie mieć nas w czasie całej awantury na powrót w celi, otworzył drzwi i – zasłaniając coś sobą – kazał jak najprędzej wracać w kameru. Poszłyśmy

prędko, nie tak prędko jednak, by nie chwycić spojrzeniem tego, co tak usilnie starał się przed nami ukryć.

Pod drzwiami karceru leżał człowiek i patrzył w sufit. Szeroką, krwawiącą szczeliną otwarty miał brzuch i poderżnięte gardło. Żył jeszcze, bo widziałam zdyszaną pracę żeber pod chudą skórą, ale twarz bezkrwista, woskowa wyrażała taką obojętność, jakby obie te straszne rany wcale do niego nie należały. Nie wiem zresztą, czy był przytomny.

Widocznie czasem przecie udaje się więźniom przechować i ukryć przed rewizją nóż, brzytwę czy szkło. Najczęściej jednak kawałek szkła. Gdy im już za ciężko, próbują skończyć z sobą, jak ten nieszczęśnik wtedy. Za każdy samobójczy zamach na celi czy w karcerze odpowiada dyżurny, własną wolnością nieraz.

Na *progułkę* puszczają nas w kwadratowe podwórze otoczone wysokim murem. Mamy samo niebo nad sobą, bez okien i ponurych ścian wokoło. Zimno tylko bardzo. Śnieg prószy. Zżarte przez chlor podeszwy nie chronią nogi przed zimnem zmarzłej ziemi i bruku. Z wysokiego gołębnika striełok z bagnetem obserwuje nas kosymi oczyma Huna.

Po powrocie z przechadzki, zbite pod jedną ścianą w ciasną grupkę, skracamy sobie czas różnymi zabawami. Więc: zgadywanie słowa, przysłowia, wyliczanie „kto prędzej” sławnych ludzi o nazwisku na tę samą literę… Czasem (tu dopiero spotkana i poznana) Irka, asystentka profesora archeologii ze Lwowa – opowiada nam o swoich pracach na terenie Polski, o sposobach rozkopywania kurhanów, dużo o Biskupinie. Tak nam jakoś mijają godziny do zmroku. O zmroku bowiem zaczyna się piekło!

Karantin jest olbrzymi… Zamknięty czworobok kilkupiętrowych bloków – patrzących nieprzeliczonymi oczyma okien w rozległe podwórze – ma pod każdym oknem, na zewnątrz, na ścianie, wypisany czarną farbą numer porządkowy każdej celi. Widziałyśmy to, idąc na

progułkę. Numer taki jest niejako adresem, który służy setkom więźniów do wzajemnego wywoływania się na rozmowy. Widzieć się nie mogą, ale słyszą doskonale. W dzień jeszcze względny spokój; za to z nastaniem zmroku, przez całą noc, do białego rana, krzyżują się nad tym podwórzem krzykiem prowadzone rozmowy między męskimi a żeńskimi celami. Dotąd miałam sposobność przekonać się, na co stać plugawy babski ozór w kłótni czy w piosence. To jednak, czego musiało się wysłuchiwać tu, przechodzi ludzkie pojęcie! Najbezwstydniejsze określenia, propozycje, przechwałki, wspominki, szczegóły i tęsknoty wychrapywane przez kraty i deski, wycia, skomlenia, czułości, przekleństwa, wyzwiska – wszystko! Wywołane okno jest czasem na drugim końcu podwórza. Najplugawsze więc zdanie bywa powtarzane dziesiątki razy, coraz głośniej, coraz dobitniej, póki z właściwego okna nie nadleci podobna odpowiedź. Cienkie głosy małolatek i nieletnich chłopców plączą się i krzyżują z chrapliwym basem zwyrodnialców nad przestrzenią tego upiornego podwórza, którego rozległość odgaduje się dopiero po zmatowiałych i rozpłyniętych w dali rykach. Tuż pod naszą celą siedzi widocznie jakiś maniak. Cały wieczór i całą noc powtarza jedno i to samo, monotonnie, żałośnie, płaczliwie, jakby świat zbiegł mu się w pomylonym umyśle do jednego już tylko pragnienia, jednej potrzeby, jednego popędu. Słowa te są zresztą jakby syntezą wszystkiego, co się tu słyszy. Zgłodniały samczy instynkt tych morderców, zbrodniarzy, bandytów i matołków chrypi obłędnie ku tamtemu zgłodniałemu instynktowi takich samych jak oni samic. Świadomość pobliża, a niemożność dobicia się do siebie wzajemnie wprawia ich w szał, w rozpacz, w determinację. Szukają ulgi przy pomocy słów… Użycie tu słowa „zezwierzęcenie” ubliżałoby zwierzętom. Żadne zwierzę nie potrafi tak zbezcześcić swojej zwierzęcości, jak w tej otchłani plugastwa, ohydy i zbrodni zbezczeszczone zostało człowieczeństwo. Myślę, że ptaki przelatujące tędy muszą padać, zatrute cuchnącymi

wyziewami nagromadzonych tu uczuć i słów! My jednak cały wieczór i całą noc wędzimy się w tych oparach. Uszy nie mogą przestać słyszeć. Myśl nie może przestać pojmować. Jesteśmy od tego chore już po prostu. Nie śmiemy sobie w oczy patrzeć. Udajemy, że nic, że nie rozumiemy, co niestety jest nieprawdą, bo już na Brygidkach, dzięki rosyjskim małolatkom, miałyśmy możność osłuchania się z mnóstwem tych zwrotów i terminów. Usypia nas to i budzi. Za oknem, nad oknem, pod oknem, blisko, daleko, w dole, w górze. Jesteśmy zewsząd objęte tym plugawym piekłem, zalane, zalepione śluzem chorobliwie wyuzdanych słów, utopione w czymś, co poniża, znieważa, kaleczy twoje – Bóg wie po co aż tu ze sobą przywleczone – człowieczeństwo, a czemu bronisz się daremnie bezsilnym, w więzienny tobołek wgniecionym płaczem…

W Kijowie byłyśmy tylko dwa tygodnie. Była dwa razy bania i jeszcze jedna noc spędzona w sobaczce. Wreszcie w pierwszych dniach grudnia na noc – transport.

Dostałyśmy na drogę chleb – piernik nie chleb – świeży, ciepły jeszcze i świetny. Mówiłyśmy sobie, że to od świętego Mikołaja…

I znowu jazda za reszotką, i znowu czarny woron, znowu stanie godzinami pod jakąś ścianą, znowu bania, rewizja i dawaj w kameru…

Z Odessy została mi w pamięci zupełnie mimo grudnia nieogrzewana, ciemna, wilgotna cela o betonowej podłodze, na której leżały zbutwiałe sienniki z garstką stęchłych plew. Marzłyśmy tam potwornie. Na dworze mróz aż parzy! Szparami małego okienka dmie przejmujący ziąb. Śpimy ubrane, we wszystkim, co która ma. Stawy łamią całą noc, o rozgrzaniu się nie ma mowy do rana.

Pierwszy raz w miejsce dyżurnych mamy tu kobiety. Jedne gorsze od mężczyzn, burkliwe, brutalne i złe, inne łagodne i względne. Na szczęście jesteśmy tym razem same w celi. Tylko nasza lwowska piątka.

Dziwne, jak to cela wiąże i łączy ludzi! Nawet takich, którzy w

normalnych warunkach mało by mieli wspólnego. Jak szybko taka zupełnie przypadkowo przez los sprzęgnięta grupka stapia się w śmieszną małą całość, której poszczególne komórki zamiast „ja” zaczynają myśleć „my”. Choć dobór piątki jest, jak się rzekło, dość przypadkowy i mieszany, teraz – kiedy nas już razem wywieźli z kraju, kiedyśmy się zżyły i oswoiły z sobą – niczego się tak nie lękamy, jak rozdzielenia! Nie! Za żadne skarby nie chcemy, by nas rozłączono!

Jest nas zatem tylko pięć w tej odeskiej celi. Pani Wójtakowa, ja, panna Wanda, Julia i Grażyna. Wymieniam nas wedle starszeństwa. To nic, że między panią Marią i mną a taką Julią i Grażyną na przykład jest duża różnica wieku. To nic, że prócz jednej panny Wandy próżno by mi szukać jakichś stycznych, jakichkolwiek wspólnych z resztą celi zainteresowań czy tematów. To wcale nie jest ważne. I są na to sposoby. Jeśli się nie ma z kim mówić – to się milczy. Jeśli się nie chce słuchać – to się myśli. A jeśli już i myśleć się nie da, zaczyna się po prostu mówić o tym tylko, co wszystkie tamte obchodzi. W ciasnocie, w zamknięciu, w tym ustawicznym siedzeniu sobie w nosie, człowiek ma tylko jedną drogę: musi pogodnie i z dobrą wolą rezygnować z tego, że „chciałby inaczej”, a to, że jest „tak”, przyjmować z myślą, że mogłoby być o wiele gorzej. Potem już łatwo. Aż zabawnie, jak łatwo.

Pani Maria Wójtakowa to wspaniały typ lwowskiej mieszczki, jednej z tych, której praprababki, gdy przyszło co do czego, lały smołę i ukrop na łeb różnym Turkom i Tatarom z murów broniącego się miasta. Ma lat pięćdziesiąt kilka, reumatyzm, domek z ogródkiem, uczciwe poglądy na życie i język nie od parady. Brak jej natomiast wykształcenia i kilku zębów, które jej wybito na Zamarstynowie. Trzymali ją tam dwa tygodnie w lochu, którego ściany pokrywała gruba warstwa lodu, głodzili, ale prócz tych zębów właśnie nie wytłukli z niej niczego.

– Myśleli, że na dumą natrafili! Że mnie zastraszą. Akurat! Chcecie

– mówię – bijcie! Wy tylko to umiecie, wy psy parszywe, wy czorcie syny… A jakże. Tak im prosto do oczu mówię. Co niby mam se żałować? A oni nic i nic tylko: gdzie organizacja? Właśnie. Już się narychtowałam. Mówię: jaka organizacja? – Ty nie strugaj duraka – mówi on – tylko gadaj! Na co do ciebie te kontrrewolucjonery, czy jak tam, tak często chodziły? Na co? Gadaj! – Na pierogi – mówię – na pierogi z kartoflami. Bo ja miałam taką niby stołówkę… A on jak się nie weźmie przeklinać, jak mi zacznie familię po kątach rozstawiać – to już i mnie cholera wzięła. On do mnie: ty suko! ja do niego: ty hyclu. I pewnie. Sukę złapał, to i hycel… On do mnie: ty stara, pani wie co – a ja jemu: choć stara, tobym cię jeszcze nie chciała. I my se tak rozmawiali. On do mnie po rosyjsku, ja do niego po polsku. To jak mnie potem wziął tłuc, tom choć wiedziała za co…

Taka była pani Wójtakowa.

Druga z naszej piątki to panna Wanda, nauczycielka, polonistka. Z tą najłatwiej mi się porozumieć i znaleźć ją i mnie obchodzące tematy do pogaduszek czy dyskusji. Trzecia z nas, Jula, pół Polka, pół Ukrainka, jest żoną bogatego rzeźnika z Tarnowa. Ją po raz drugi wywożą już oto w głąb Rosji. Pierwszym razem, złapana na granicy, została po kilku miesiącach zwolniona z Kijowa. Wróciła do rodziny pod Przemyśl i tam ją znowu capnięto, kiedy się po raz wtóry wybrała do męża i synka, na „niemiecką stronę”. Obecnie znam już wszystkie mądrości tego synka, wiem, na co chorował, wiem, co najchętniej jadał i jak go wszyscy znali i podziwiali w Tarnowie. Jula ma dużo wrodzonej inteligencji. Cichą tragedią jej życia było to, że się nie mogła kształcić. Lubiła zawsze książki i choć od wczesnej młodości musiała zarabiać na życie, sporo wie i sporo z czytania pamięta.

Grażyna, najmłodsza z naszej celi, chodziła do zawodowej szkoły szycia i kroju. Wpadła z tą samą organizacją, w której pracowała pani Wójtakowa. Nie bardzo się w tym wyznaję, ale pani Maria ma z nią jakieś

swoje porachunki z tych czasów. Choć czasem dochodzi między nimi do przykrych, nie całkiem przez nas rozumianych przycinków na ten temat, pani Wójtakowa opiekuje się Grażyną jak córką.

– Co to się dziwić. Młode to i durne – wzdycha czasem, owijając swoim starym pluszowym płaszczem nogi śpiącej obok niej dziewczyny. – Po co było takie dzieci wciągać do roboty?

Jak się więc rzekło, niewiele, prócz tej ciemnej, mrozem zakutej celi, zostało mi w pamięci z Odessy.

Wiem jeszcze, że szczepili nam tam ospę. Nie przyjęła się żadnej. Ja natomiast dostaję jakiegoś zjadliwego wrzodu w nosie: mam gorączkę, boli mnie to i narywa. Siostra mówi: „*Eto projdiot*".

Wrzód był w okresie najwspanialszego rozkwitu, kiedy nas wywołali do transportu. Na noc, jak zwykle.

Wszystkie jazdy za reszotką były tak do siebie podobne, że ich w pamięci nie rozróżniam. Tak samo ciasno – po 20 kobiet w przedziale, tak samo duszno – żadne okno się nie otwiera, a cały wagon pali machorkę, tak samo puszczają nas o oznaczonych porach do ubikacji, ten sam brak wody i wszędzie to samo trwożne, ostrożne naszeptywanie o doznanej krzywdzie, nędzy, ucisku i przemocy – tych okutanych w szmaty sowieckich więźniarek, wsiadających i wysiadających na różnych stacjach po drodze. Bo tiurmy są wszędzie! Jak Rosja długa i szeroka, wzdłuż wszystkich linii kolejowych czyhają na ludzi te wrogie, nienawistne, nienasycone mury, łykając swój żer dniem i nocą, jak rok długi. Na każdej prawie stacji staje w drzwiach szynel i błękitna czapka i poprzez dym i smród wywołuje nazwiska tych, którzy z tego transportu zostać mają w mijanej właśnie tiurmie. Słychać łomot odsuwanych drzwiczek przedziału, wybiegają z nich spłoszonym truchtem jakieś okutane, zgarbione – jak bojące się kija psy – postacie i nikną na buchających parą schodkach. Każdy jest przy tym liczony. Trzy razy. Pierwszy raz, najgłośniej, przez dyżurnego przy

przedziale. Drugi raz, już ciszej, przy samych drzwiach na dwór, a trzeci, już zupełnie głucho, głosem zbłękitniałym w otwartej przestrzeni, przez tego, który na dworcu odbiera transport. Takie potrójne echo, coraz dalsze, coraz bardziej rozpłynięte, coraz bardziej nierealne. Trwa to czasem bez końca. Kobiety wychodzą zawsze ostatnie.

Nie wiemy nigdy, dokąd nas wiozą i jak długo jeszcze pojedziemy. Dyżurni mają zawsze te same odpowiedzi: „Zobaczysz" albo „Tam jedziesz, gdzie trzeba", albo „Do kurortu", albo „Nie twoje dieło". Najczęściej jednak nie odpowiadają wcale. Wreszcie nauczyłyśmy się i my nie pytać. Stajemy, zawsze gdzieś światami, poza dworcem. Po wypluciu nas przez pociąg musimy iść trójkami, plątaniną szyn, bajorami, błockiem, śniegiem, między wagony, popod wagony, po rozmiękłych nasypach, osypiskach żużli – a wszystko w pośpiechu, bez tchu, popędzane, zziajane, obszczekiwane przez psy i popychane bagnetami. Nie ma tu nikt względu ani na starość, ani na zdrowie. Młode muszą gnać, a stare i chore dopędzają je ile sił, jeśli nie chcą być zwymyślane od ostatnich. W transportach tych widuje się często kobiety ciężarne lub matki z niemowlętami na ręku. (Dziecko urodzone przez więźniarkę jest „wolne" i tylko przez jakiś czas pozwalają matce mieć je przy sobie). Wszystkie są tak samo popędzane bez miłosierdzia. Jeśli się komu urwie czy rozwiąże szmata, przytrzymująca resztkę buta, nie wolno nikomu stanąć ani się schylić, ani poprawić niczego.

A potem czarny woron, zupełna ciemność, przekleństwa, smród i cudze robactwo. Powietrza w takiej hyclowskiej budzie ani krzty. Nie wiemy nigdy, co to za miejscowość. Na ogół zresztą wszystko nam jedno, bo tiurmy wszędzie do siebie podobne.

Tym razem to Charków.

Stoimy dziurawymi butami w tającej śniegowej kaszy do nocy. Więzienie ogromne, rozległe. Wielka peresilnaja tiurma. Tu zwozi się

więźniów z olbrzymich obszarów, segreguje, kończy śledztwa, zasądza i rozsyła po różnych pomniejszych tiurmach albo już do łagrów.

Patrzymy na nieprzeliczone tłumy więźniów spędzonych w to rozchlapane podwórze. Cóż to za straszny młyn – taka tiurma! Miele tę ludzką plewę, przesypuje, zgarnia znów, miażdży, rozciera. Nikt z nas nigdy nie wie, dlaczego dzieje się z nami to czy tamto. Dlaczego czekamy i na co? Czemu nas przepędzają spod jednego węgła za drugi, czemu nas raptem zgniatają wszystkich razem do jednej ciasnej ubikacji po to, by nas z niej w chwilę potem znów na podwórze wypędzić? Transport, który z nami przybył, jest widać ogromny. Od mężczyzn aż czarno. To nie są mężczyźni. To ludzkie strzępy, ludzkie łachy, oberwańcy, nędzarze. Im nie wolno czekać stojąc, tak jak nam. Muszą siedzieć w kucki, szeregami, po czterech w rzędzie, na ziemi, bez względu na błoto czy wodę. Nie wiem dlaczego tak. Strasznie to przykry widok. Zwłaszcza gdy się te czwórki formują. Każdy z nich jak pies z podkulonym ogonem dobiega do swego miejsca i kuca. Gdybyż choć człowiek miał pewność, że nie ma wśród nich Polaków! Na oko jednak sądząc, wszystko to ich ludzie. O zbliżeniu się i zapytaniu, czy są wśród nich i nasi – ani mowy! Draby w szynelach krążą wokoło i patrzą. Z daleka zaś trudno poznać. Zmrok zresztą coraz gęstszy. Nad nami, na murze, zapalają się światła. Żarówki bez klosza uczepione wysoko na ceglanej ścianie. Widać przy nich wyraźnie polatujący z deszczem śnieg.

Polek jest w tym transporcie tylko kilkanaście. Reszta – rosyjskie śmiecie. Mnóstwo małoletnich prostytutek. Jedną z nich zapamiętałam wyraźniej od innych. Chude, wyciągnięte, a blade jak pęd piwnicznego kartofla. Płaszcz na tym kusy o za krótkich rękawach. Na głowie – aż do połysku wytłuszczona – wojskowa pilotka, na nogach kalosze. Stworzenie to przygląda mi się uważnie i z bliska, obchodzi dookoła, dotyka koca, płaszcza. Zagląda, jaka podszewka.

– Wy z Polski? – pyta w końcu. Kiwam głową, że tak. – A to was oswobodzili! – wybucha ironicznym śmiechem, i taką nienawiść do tych „oswobódzicieli” słyszę w jej tonie, że aż mi lżej! A ona, rzuciwszy kilka szybkich spojrzeń dokoła siebie, dodaje nagle ciszej, już bez ironii, a z wyrzutem tylko:

– A my tak czekali! My tak wierzyli, że wy nas przyjdziecie oswobodzić!

Wreszcie ogromny transport kobiet spod muru rusza do bani.

Proceder kąpania transportu jest w każdej tiurmie taki sam. Zmieniają się tylko warunki, zależnie od wielkości więzienia. Rozkład budynku łaźni też zawsze jednakowy. Zasadniczo trzy ubikacje. Pierwsza i ostatnia mniejsze, sama łaźnia największa. W pierwszej – nieszczelnymi drzwiczkami tylko odgrodzonej od dworu – każą się nam rozbierać do naga. Każda z nas dostaje metalowe kółko, na które ma nawlec rzeczy i oddać je do pieca. Prócz butów. Któż jednak ma tu buty? Chyba my, bo cała Rosja chodzi w kaloszach. Nikogo to nie przejmuje, że przy piecu, który często mieści się w tej samej ubikacji – a jest tylko wysoką ladą odgrodzony od nas – zajęty jest z reguły mężczyzna. Stado gołych bab, ciągnących za sobą swój szubrawy przyodziewek, przegniata się do tej lady. Odchodzą żarty, umizgi, piski. Element jest przecie bardzo rozmaity, z przewagą najgorszego. W małej sionce, dzielącej łaźnię od dezynfektora, stoi prześcieradłem nakryta ławka, a przy ławce sowiecka baba w fartuchu, z maszynką do golenia w ręce. Zaczyna się wrzask i pisk, i płacze, i awantury. Najzażarciej bronią się wstydliwe, starsze wiejskie kobiety i w żaden sposób nie chcą się kłaść i poddać przepisowi. Nie ma jednak rady. Baba goli cały transport pod rząd, tą samą maszynką i na tym samym prześcieradle. Potem dopiero puszczają nas do łaźni.

Kijowska była wyjątkiem. Wszystkie inne, przez które nas przewlekano, były tak straszne, niechlujne i prymitywne, że trudno to

opisać, a jeszcze trudniej żądać, by ktoś dał wiarę!

Nie ma przeważnie szyb i z chwilą, gdy się wyjdzie spod tuszu, lodowaty strumień powietrza – jest przecie grudzień – owiewa człowieka mokrego, rozparzonego, o dymiącej jeszcze po umyciu głowie. Ścieki są popsute i tak zalepione odwiecznym mydłem, że woda nie schodzi i pod koniec każda z nas stoi po kostki w cudzych brudach, w które zresztą załatwiają się w czasie kąpieli, jawnie i bez żenady, różne półidiotki, nieletnie prostytutki i inne, pozornie tylko ludzkie stworzenia. Ponadto póki się wszystkie nie wykąpią i nie wypiorą łachów, reszta musi czekać, dzwoniąc zębami i owijając się rozpaczliwie w mokry ręcznik, o ile go która ma. Czasem bania jest tak mała, a transport tak liczny, że pod jeden tusz pcha się kilkanaście kobiet równocześnie. Jedna odtrąca drugą, zaczynają się kłótnie, wrzaski, przekleństwa. Te, które mają jakieś wrzody, wysypki, świerzb czy ropnie, są wtedy paniami sytuacji, bo każda zdrowa odsuwa się od nich ze wstrętem i robi im miejsce dobrowolnie. Odsunąć się jednak w takim tłoku prawie niepodobna. Człowiek jest maglowany, gnieciony i popychany przez jakieś – mniej lub więcej obrzydliwe – ciała o mniej lub bardziej podejrzanych wyrzutach i ranach. A wszystko w pośpiechu, nienawiści jednych do drugich, w mydle, parze, oślizłości i zmęczeniu.

Dopiero gdy wszystkie tusze umilkną, otwierają się z klucza drugie drzwi, umieszczone naprzeciw tych, przez które nas wpędzono do łaźni. Wtłaczamy się do trzeciej, ostatniej ubikacji, mającej połączenie z dezynfektorem. Zazwyczaj jest to kompletna lodownia, gdyż drzwi prowadzą wprost na dwór, a pieca nie ma żadnego. Na środku, na ziemi – a w wyjątkowych wypadkach na deskach umyślnie na ten cel tam położonych – garbi się stos rozparzonych łachów. Metalowe kółka są tak gorące, że ich wprost tknąć nie można. I teraz następuje straszna chwila, kiedy na ten wzgórek rzuca się tłum gołych, rozpychających się kobiet

i rozkopuje go, szukając swoich rzeczy. Oczywiście wszystkie szmaty wysuwają się przy tym z poszczególnych kółek i mieszają jak groch z kapustą. Najohydniej zapaskudzony cudzy przyodziewek leży skłębiony na ziemi razem z jedynym, co posiadasz, przy czym wyciąganie swego płaszcza czy bluzki komuś spod mokrych, a już zabrudzonych nóg jest rzeczą prostą i zwyczajną. Czasem drugą pończochę znajdujesz dopiero wtedy, gdy się już wszystkie ubrały, o ile jej któraś z Sowietek nie zabrała zamiast szalika na szyję, bo i to bywało. Najwięcej kradzieży zdarza się w czasie tego ubierania się właśnie. Komuś – pamiętam – zginęła jedyna spódnica, czym zarząd bani wcale się nie przejął, mówiąc, że na to nikt nie poradzi. Na palenie i niszczenie w piecu naszych ostatnich rzeczy też widać rady nie było. Któraś dostała raz ataku serca na widok spalonego na brązowo, jedynego ciepłego swetra, jaki posiadała.

Tym, co na tych dezynfekcjach nie ucierpiało nigdy naprawdę, to były właśnie gnidy i wszy! Po chwilowym ogłupieniu od gorąca przychodziły szybko do siebie i zaczynały na nowo. Kto zatem dzięki systematycznemu biciu robactwa wytępił je w swoich rzeczach – o ile to w tiurmie, a zwłaszcza w transporcie, jest w ogóle możliwe – ten w dezynfektorze nabierał obcego tuzinami. Do pieca szło zatem z reguły wszystko tylko po nowe wszy. Twierdzenie to nie jest ani żartem, ani przesadą.

Po kąpieli, jak zwykle, dłużąca się w nieskończoność – rewizja. Stoimy w długim szeregu na korytarzu, a kilku żołnierzy przetrząsa nasze rzeczy. Wysypują wszystko z worków na zaplutą, zadeptaną podłogę, łażą buciskami po wypranej z takim trudem bieliźnie. Nie zabierają już nic, bo wszystko, co można było wziąć, wzięli nam dawno, więc po co to wszystko? Trzymam się resztką sił. Czuję gorączkę, głowa boli mnie nieprzytomnie, wrzód w nosie narywa. Mam tylko jedno pragnienie: położyć się byle jak, byle gdzie i zamknąć łzawiące się od bólu oczy…

Wreszcie skończyła się i ta forma udręki. Zbieramy nasze rzeczy,

pakujemy je skłębione do worka i wleczemy się za dyżurnym na piętro. W ledwo uchyloną szparę jakichś drzwi, które – pamiętam – dziwnie opornie otwierają się w głąb celi, każe wchodzić mnie pierwszej. Wchodzę i robi mi się czarno w oczach! Cela jest tak zapchana, że drzwi, choćby chciały, nie mogły się szerzej otworzyć. Dosłownie od samego progu nie ma gdzie nogi postawić. W dodatku na celi podnosi się taki wrzask sprzeciwu, taki grad wyzwisk i przekleństw sypie się w naszą stronę, że człowiek odruchowo oczy mruży i chce się cofnąć, wyjść, uciec… Właśnie! Cofnie się kto! Dyżurny całą siłą pchnął jeszcze tamte cztery tak, że ja, która szłam pierwsza, nie mając gdzie drugiej nogi postawić, walę się po prostu na skłębione na podłodze więźniarki. Słyszę za sobą zgrzyt klucza i wiem już, że żadne prośby ani sprzeciwy nie pomogą, że w tym piekle ciasnoty, wrzasku i niechęci wypadnie się nam męczyć jeden Bóg wie jak długo.

Pamiętam, że ze zmęczenia, rozpaczy i bezsilności rozpłakałam się wtedy. Czułam się naprawdę chora. Gorączka i roztrzęsienie z powodu tego strasznie dokuczliwego wrzodu w nosie, wreszcie zmęczenie naprawdę nad siły odebrało mi resztę odporności.

– Niech się pani uspokoi… To tylko w pierwszej chwili takie straszne. Myśmy też myślały z początku, że nie wytrzymamy. A ja już cztery miesiące tu siedzę… – odzywa się ktoś nagle poczciwie, a co najważniejsze po polsku.

Więc są w tym zbiorowisku wrogich rosyjskich bab i nasze także! Boże! Co za szczęście! Tak. Jest ich nawet sporo… Tu i tam podnoszą się z ziemi, przepychają ku nam, a odebrawszy nam tobołki z rąk, zapraszają między siebie. Jedna odstępuje mi poczciwie skrawek swego miejsca i widząc, że się ledwie na nogach trzymam, każe mi się zaraz kłaść, o ile to można tak nazwać. Pytają, czy mamy chleb, biorą tamte z naszej lwowskiej piątki w swój kąt, wykłócają się za nas z Rosjankami o miejsce.

Wreszcie leżę skulona z zamkniętymi oczyma i jest mi wszystko

jedno, że depczą po mnie jak po trawie, że nie ma mowy o wyciągnięciu zmęczonych nóg, że przez okno o wybitych szybach śnieg z wiatrem zawiewa do celi… Czuję walenie w skroniach i ból szarpiący całej głowy, która pęka od tego nieszczęsnego nosa i szumu celi.

Ta moja pierwsza charkowska cela była raczej duża i jasna, bo oba okna nie do samej góry zabite były deskami. Ile nas tam leżało, nie wiem, ale na pewno o połowę za dużo! Gnieciemy się w czterech rzędach, nogami ku sobie. Miejsca jest tak mało, że nogi leżących naprzeciw mnie zachodzą na moje i sięgają mi do połowy uda. Pech chce, że nogi te należą do wyjątkowo wściekłych rosyjskich bab, ziejących nienawiścią do Polek i inteligencji, świadomych w dodatku naszej na celi mniejszości i żadnej opieki u władz. Kopią mnie więc i umyślnie walą na mnie na jawie i we śnie brudne po powrocie z uborny, bose nożyska i starają się mi dokuczyć na każdym kroku. Bose są prawie wszystkie. Skoro się musi już deptać po innych, lepiej to robić nieobutymi nogami. Wszystkie przedziwne przedmioty, które ludzie w Rosji zwykli nosić na nogach, zdejmowało się tu zaraz w progu i rzucało na wspólny wzgórek pod stół, obok cieknącej, nienakrytej paraszki. Na stole tym, dosłownie tuż nad cuchnącym baniakiem, stoi bak z wodą do picia, ale to nikomu nie przeszkadza. Ani tym, które piją, ani tym, które korzystają z kibla. Na tym samym zresztą stole, tuż za bakiem, szczęśliwa ze zdobytego miejsca, gnieździ się skulona we czworo jakaś zakarpacka dziewczyna. Tu także, nad tą odkrytą paraszką, dzieli na stole nieumytymi, brudnymi rękami chleb i cukier dla nas tzw. Iwan, baba stara, istotnie do mężczyzny podobna, w płóciennych spodniach, zgrzebnej, po wierzchu wyrzuconej koszuli, bosa, o długich zawszonych włosach… Cukier jest słodki mimo to. Chleb mimo to upragniony!

Z niegasnącego ani na chwilę zgiełku, o jakichś oznaczonych, a im tylko wiadomych godzinach dźwigał się niespodzianie z kilku punktów

celi śpiew prawosławnych monaszek, śpiew ciężki, poważny, cerkiewny, rozkładający się na powietrzu w powolnych, kadzidlanych jakby kłębach. Monaszek było kilkanaście. Siedziały cały dzień bez ruchu, nie biorąc w życiu celi żadnego udziału, martwe, o twarzach spopielałych, wygasłych i tępych oczach. Niektóre robiły wrażenie naprawdę już umarłych… Mówiono mi o nich, że prócz herbaty i cukru nie jedzą niczego, w co mi o tyle trudno wierzyć, że niektóre z nich siedziały tu już dziesięć lat! Nie lękały się ani karceru, ani bicia, ani łagrów. Wszystkiemu, co się z nimi działo, poddawały się biernie, bez słowa oporu – ale uporu ich żadna siła ludzka czy diabelska też przełamać nie mogła. Cokolwiek bądź działo się na celi, one o oznaczonych, a nie wiem po czym rozpoznawanych godzinach dźwigały się na klęczki, twarzą ku ścianie, i nie bacząc na kpiny, zgiełk, wrzask dyżurnych czy najbardziej nieokiełzane gry na celi, zaczynały regułą im nakazane modlitwy. Ich monotonny, woskiem i kadzidłem pachnący śpiew budził nas przed brzaskiem i usypiał o północy. Coś tak dziwnego szło od tego śpiewu, coś tak mocnego w swej bezsile, że nawet czasem – korząc się przed tym Czymś, nieznanym wielu z nich, a wielu ledwie pamiętanym – cela cichła onieśmielona i spoważniała. A śpiew dymił ciężkimi zwałami melodii monotonnej, ponurej i mrocznej, powagą słów zdeptanych w tym nieszczęsnym kraju, modlitwą, którą chyba tak jawnie, tak odważnie, tak uparcie i tak wytrwale jedynie w tiurmie jeszcze te półobłąkane, niedobite monaszki wołać umiały o ratunek do zapomnianego Boga. Przedziwne, dojmujące wrażenie!

Z celi tej pamiętam jeszcze wgniecioną w kąt pod wieszadłem jakąś kobietę, która założyła głodówkę, chcąc wymóc na władzach puszczenie jej do zabranego do szpitala dziecka. Nie jadła absolutnie nic i już ledwie się ruszała. Pertraktował z nią dyżurny, raz nawet przyszedł sam naczelnik, drobny, szczwany lisek, w olbrzymiej futrzanej czapie, i coś jej gadał, obiecywał, tłumaczył, prosił. Nigdy nie mogłam dojść, jak

się przedstawia sprawa tych tiuremnych głodówek. Dlaczego, jeśli kto odmówi przyjęcia chleba i zupy, robi się z miejsca taki ruch i tyle gadania o tym? Co władzom na tym zależy? Fakt jednak, że zależy. Tyle że nie na tym, aby więzień jadł, tylko aby oficjalnie przyjął pożywienie. Może go potem nie tknąć, byle nie zgłosił przez korpuśnego, że głoduje. Moja baba pod wieszadłem nie wymogła postem nic, tylko jej po prostu dano znać pewnego ranka, że dziecko umarło. Tarzała się pół dnia we łzach, darła włosy i krzyczała, a w południe kazała sobie dać podwójną porcję rybnej zupy i przestała mówić o dziecku.

Dnie i noce dłużyły się tam strasznie. Mimo wybitych szyb powietrze było duszne i ciężkie, w dzień gwar nieustający, a w nocy bezsilna walka nóg, ociężałych snem i pragnących się choć na chwilę wyprostować. Budziłam się nieraz przywalona do pasa zapaskudzonymi nogami rosyjskich bab, które nie mogąc w osypisku zabłoconych szkrabów pod stołem znaleźć swoich, najczęściej szły na oprawkę boso. Skutek był ten, że ty byłaś rogóżką, w którą sobie potem nogi te wycierały.

Raz – pamiętam – około północy ruch nagły zrobił się na celi. Pokazało się, że o tej porze właśnie przyszła kolej na naszą celę, aby szła do ławoczki. Sklepik charkowski był najzasobniejszy ze wszystkich, które widziałam w tiurmach. My, ostatnio przybyłe, nie mogłyśmy kupić nic, bo pieniądze nasze za nami nie nadążyły. Ale widziałam, co kupowały inne. Więc była tam słonina, cukier, cukierki, czyli tzw. *konfiety*, *alberty*, ryby, kiszone ogórki, papierosy, chleb, cebula, wreszcie – ze wszystkiego najważniejsze – korespondencyjne kartki! Zasądzone, te, którym już ogłoszono wyroki, dostają na pół godziny ołówek i wolno im pisać do domu! Nocy tej nikt nie spał na celi. Rwetes radosny trwał do *podjom*u. Było ogólne częstowanie się kupionymi przysmakami, oglądanie, co kto nabył, gorączkowe pisanie kartek, wyrywanie sobie ołówka, śmiechy, podniecenie.

A na świecie mróz. Mróz coraz silniejszy. Ruszyło ich widać sumienie. Na celę wchodzi chłop stary, okutany w watowe ciepłości, w zniszczonej, spłowiałej czapie. Broda i wąsy kłapią mu od sopli. To więzienny szklarz. Przyszedł po puste okienne ramy.

– *Did Moroz! Did Moroz!* – kwiczą półgołe baby i obskakują go hałaśliwą gromadą.

A chłopisko dzwoni soplami jak siwy, uśmiechnięty mors i mruży poczciwe słowiańskie oczy pod brwiami białymi od mrozu niczym przydrożne bodiaki. Did Moroz to u nich tyle, co nasz święty Mikołaj. Odebrali mu tylko aureolę, infułę i purpurowe rękawiczki, a dali w zamian fufajkę, kłapouchą czapkę i watowe briuki. Pewnie. Wedle stawu grobla.

W drugiej połowie grudnia – pamiętam – wywieziono nas do Chersonia. Przyjechałyśmy na stację późnym popołudniem. Śnieg był głęboki i sypki od silnego mrozu, a wiatr przejmujący przewiewał nas do szpiku kości. Nie ma tym razem czarnego worona. Idziemy wszystkie piechotą. Prócz nas pędzą jeszcze sporą grupkę kobiet w ostatnich dniach i tygodniach ciąży, które jadą na słabość do chersońskiej bolnicy, i kilka innych z owiniętymi w szmaty noworodkami. Te znów po odbytym właśnie połogu wracają na powrót do tiurmy.

Eskortują nas psy i dziesięciu sołdatów. Aby ominąć miasto, gnają nas zamiejskimi wertepami, bez drogi, śniegiem, na przełaj. Mam na sobie tylko letni płaszcz i płytkie, rozłażące się półbuciki. Po krótkim już czasie mam nogi do kolan zakute w skorupę z lodu. W spadające z pięt trzewiki nabija mi się śnieg coraz grubszą warstwą, tak że idę już z piętą ponad butem i coraz mi trudniej nie zostawić w zaspie trzewika. Przystanąć jednak, aby ten lodowy korek wytrzepać czy wybić – nie wolno. Gdy tylko która zwolni kroku, tresowane psy zajadlej obszczekują konwój. Śliczne, mądre wilczury, o cudownie białych kłach i lśniącej sierści, psy, do których człowiek wcale nie czuje ani nienawiści, ani żalu, raczej

współczucie tylko, że – „nie wiedząc, co czynią” – tak gorliwie pełnią tę narzuconą im rakarską służbę. Coraz częściej któraś z ciężarnych kobiet pozostaje w tyle; nie mogąc nadążyć, coraz częściej te z niemowlętami proszą eskortę, żeby albo pozwolili odpocząć, albo zwolnili kroku. Odpowiada na to szyderczo-wesołe: „Pabystrej, paweselej, diwczata”. Spieszno im widać, bo zmrok coraz gęstszy, a tiurmy, w bezkresie zbliżającej się nocy, ani śladu jeszcze.

Nie umiem sobie dziś zdać sprawy, ile kilometrów nas tak gnali. Może to nawet nie było aż tak daleko, jak się człowiekowi zdawało. Ale to wiem, że pod koniec rękami musiałam sobie pomagać, gdy przyszło nogę z głębokiego śniegu wyciągać, tak mięśnie drętwiały ze zmęczenia i sforsowania. Ręce miał człowiek skostniałe, gardło suche, a usta spieczone, którymi ja, nie mogąc oddychać chorym nosem, łapałam wiatr i dech jak zdychająca ryba. I jeszcze gdyby nie to tempo przeklęte! Nigdy nie zgadnę, do czego i po co potrzebny był im ten pośpiech. Przecie sami konwojenci musieli być zziajani. W pustym polu gonił nas tylko wiatr, więc nie uciekało się przed niczyim wzrokiem. Tempo takie przez krótki odcinek miasta, kiedy nieliczni, pod murem przemykający przechodnie oglądali się ukradkiem na prowadzoną grupkę więźniów, było może zrozumiałe. Ale tu? No trudno. Widocznie jeszcze jedna forma dręczenia zakluczonych.

Wreszcie któraś z matek oświadcza, że nie ma siły dalej iść, że niech ją i dziecko zastrzelą a nie pójdzie! Dziwnie potulnie i bez awantur tym razem jeden z konwojentów wziął jej z rąk szmatławe zawiniątko i niósł je aż do tiurmy sam.

I pamiętam jeszcze, kiedy nam przyszło w pewnym punkcie znowu przeciąć gościniec – w bardzo już gęstym, śniegiem ledwie rozjaśnionym zmroku doleciały z wiatrem ku nam idące dźwięki muzyki, a w chwilę potem natknęliśmy się na mijający nas – pogrzeb. Na gołych saniach

jechała trumna, przyrzucona poczerniałą w zmroku czerwoną płachtą, a za saniami szła nieliczna grupka zakutanych ludzi. Za nimi, na drugich saniach, sunęła dęta orkiestra. Rytmiczne, nosowe pochrząkiwania trąb rwały się i nikły w bezmiarze tej zamiejskiej, wiatrem rozmiatanej nocy, jakieś zbyt bohaterskie, zbyt pochopne, jakieś po prostu ni w pięć, ni w dziewięć w stosunku do tej trumny na gołych saniach i kilku zgarbionych postaci. Spędzono nas na skraj gościńca i tak powoli minęły się w żelazistym pustkowiu te dwa w przeciwnym kierunku sunące pochody: sowieckich więźniarek, gnanych na połóg do tiurmy, i tego jakiegoś zasłużonego widać nieboszczyka, wiezionego w trumnie – na wolność. Chwila ta została we mnie jako ponura, czerniejąca kilkoma plamami na śniegu synteza dzisiejszej Rosji i jako taka trwa we mnie do dziś.

Fronton chersońskiej tiurmy robi wrażenie wspaniałego empirowego pałacu. Ogromne, gonne kolumny i wyniosły tympanon fasady wyłoniły się z kłapciastego śniegu, który zaczął kurzyć pod koniec naszej drogi. Przeraźliwie tylko jasne gruszki żarówek, pouczepianych gdzie popadło, drewniane gołębniki ze striełkami i omoty kolczastego drutu szpecą piękno i dostojność linii tej imponującej budowli, kryjącej za białymi plecami frontonu i bocznych skrzydeł rozległe skupiska więziennych bloków, rozsuniętych tylko tu i tam wysoko omurowanymi dziedzińcami.

Po kilku godzinach zwykłych formalności prowadzą nas – już znowu tylko nas pięć ze Lwowa – do tzw. czerwonego bloku, na czwarte piętro. Cała klatka schodowa omotana jest grubą siecią, która ma uniemożliwić więźniom ewentualne rzucenie się z pięter. Siatka ta robi wrażenie grubej, zakurzonej pajęczyny. W tiurmie cicho jak makiem zasiał.

Mała celka, do której nas puszczają, jest do połowy wysokości pomalowana na czarno. Mieszczą się w niej ledwie trzy łóżka, jedno na całą szerokość celi, dwa pod bocznymi jej ścianami wzdłuż. Na łóżkach czarne sienniki. Podłoga też czarna. Ma się w pierwszej chwili wrażenie

trupiarni. Miejsca tyle, że się ledwie można obrócić. Przy drzwiach kaloryfer. Płaskie, wysokie okno i wysoko nad drzwiami zakurzona żarówka. To wszystko. Czuć rozparzony zaduch od wieków niewietrzonej celi, słodkawy, znajomy smrodek sienników i starej machorki. Przede wszystkim jednak czuć – upał!

I upał ten miał być najgorszym utrapieniem naszego czteromiesięcznego pobytu w Chersoniu. Poza tym chersońska tiurma była najmożliwszą ze wszystkich, w których siedziałam.

Po pierwsze było nas znowu tylko pięć. Następnie jedzenie – zwłaszcza po charkowskim – bardzo dobre i sporo go nawet. Mamy kasze maszczone słonecznikowym olejem, jarzynowe zupy, a nawet czasem biały makaron! Dyżurni nie odmierzają porcji. Możemy brać, ile która chce. Dostałyśmy tu porządne, głębokie, czyste miski i łyżki cynowe. Luksus wprost! Spacery co dzień i długie. Uborna duża, o czterech kranach, względnie czysto utrzymana, tyle że bez szyb, więc zimno i śnieg zabija do środka. Myjemy się w lodowatej wodzie, obłokach pary, którą dymimy jak kadzielnice. Mróz bowiem trzyma tęgi, a my rozparzone w upale celi jak żużle. Co drugi dzień uprzejma, czyściutka, jaskrawo wymalowana siostra obchodzi korytarze z apteczką. Dentysta urzęduje w głębi klatki schodowej i rwie zęby. Raz na tydzień milczący, stary sołdat o nieruchomej twarzy trupa wypala pluskwy w łóżkach. Zawsze puka w judasza i zawsze tym samym monotonnym głosem pyta poufnie przez drzwi:

– *Diwczata. Kłapy u was jest’*?

Nie. Kłapow bardzo mało. Nawet wszy wytępiłyśmy zupełnie. Kąpiel co 10 dni obowiązkowa, od której tylko doktor może dać zwolnienie. Sama łaźnia dość brudna i prymitywna, ale kąpiemy się same, bez stu innych bab jak dotąd. Dwa razy w miesiącu dostajemy mydło, na Nowy Rok zaś – nie, tego upominku nigdy nie zapomnę! – po jednej kartce

korespondencyjnej z pozwoleniem napisania do domu! Nadeszły też za nami pieniądze i możemy w ławoczce kupować kiszone ogórki, wędzone ryby, cebulę i papierosy, więc w porównaniu z innymi tiurmami chersońska jest – rajem!

Tylko ten upał – upał – upał!

Cela maleńka, okna zabite na głucho. Jedynie w czasie, kiedy jesteśmy na oprawce, zostawia dyżurny – i to nie każdy – drzwi uchylone na korytarz. Korytarz zresztą też jest duszny i niewietrzony nigdy. Poza tym nie ma znikąd dopływu świeżego powietrza. A kaloryfer szaleje. Bez przerwy – dzień i noc – bucha od rur gorąco duszne, suche, oszałamiające! Łóżko nasze przytyka do samych rur. Śpimy z panną Wandą „w króla" i ja mam głowę właśnie po ich stronie. Oszaleć można! Na płacz się zbiera! Siedzimy we wszystkim najlżejszym, co która posiada, zziajane, z wypiekami. Żyły mamy z tego upału tak rozdęte, że niczym sine postronki oplatają nam ręce do ramion. Tętna walą w skroniach dzień i noc, a kiedy po powrocie ze spaceru stajemy w progu celi, mamy wrażenie, że gorąco i smród nie wpuszczają nas do środka. Trzeba się w to wgniatać jak w gorącą gumę. Po świeże powietrze idziemy – dosłownie – do klozetu. W ciągu dnia jakoś się te biedne płuca przyzwyczajają i dostosowują i człowiek przestaje zdawać sobie sprawę, czym i z jakim trudem oddycha. Jest tylko ciężki i osłabiony, spać mu się chce bez przerwy – czego i tak w dzień nam nie wolno – i rusza się jak mucha w mazi.

Nie bardzo zresztą jest się gdzie ruszać. Przesmyk między łóżkami i krok od kaloryfera do paraszki to cała nasza promenada. Toteż przeważnie siedzimy albo leżymy na łóżkach. Śpi nas po dwie na jednym, z tym że Julia, która sypia sama, nie ma za to siennika, tylko kocem nakryte deski.

Porządek dnia normalny. *Podjom, oprawka, prowierka*. Korpuśny liczy nas co rana, czy się która nie rozgotowała w tym upale. Potem śniadanie, a między śniadaniem a spacerem wspólny głośny pacierz.

Słyszymy dobrze, że judasz w drzwiach kłapie często i że nas przy tym obserwują. Do tego dawnośmy nawykły. Na ogół nie robią nam o ten pacierz żadnych wstrętów. Czasem tylko któryś z dyżurnych roześmieje się drwiąco albo zrobi jakąś złośliwą uwagę. Pamiętam, jak jeden, po dłuższej chwili słuchania pod drzwiami, stuknął w szybkę i powiedział kpiąco:

– Módlcie się, módlcie! Zobaczycie, czy wam wasz Pan Bóg otworzy bramę tiurmy.

Z jakąż radością powiedziałabym mu dziś: „A widzisz!".

Dostajemy tu igły i nożyczki, które przy wieczornej prowierce korpuśny od nas odbiera. Korpuśny, tępe, dobroduszne człowieczysko, obchodzi w asyście dyżurnego przed nocą wszystkie cele i sprawdza znowu, czy jesteśmy. Nas dość łatwo policzyć. Wystarczy okiem rzucić. Niemniej przez cztery bite miesiące pyta nas z tym samym urzędowym namaszczeniem:

– *Skolko?*

– Pięć.

– Pięć, ile: *piat'*?

– Pięć.

– *Poczemu nie piat'?*

– Bo to nie po polsku.

– *Haj wam budiet* pięć.

Dialog ten należał już potem do rytuału prowierki. Odbywał się zresztą bez śladu uśmiechu z jego strony, a nas właśnie śmieszyła ta jego powaga bardziej, niżby bawił śmiech. „*Pakojnoj noczi…*" – dodawał zawsze na końcu i wychodził. Przedtem jednak odbierał od nas pod rachunkiem igły i nożyczki, dzięki którym mogłyśmy się w ciągu dnia obszyć i obcerować, jawnie już teraz, za wszystkie czasy. Nici dają nam tutaj też, tylko nie na szpulkach, ale w krótkich kawałkach. Chodzi, zdaje się, o

to, aby uniemożliwić ewentualnie spuszczanie tzw. paraszutów do okien niższych cel na piętrze. Te paraszuty są ogólnie w tiurmie praktykowanym sposobem porozumienia się między piętrami. Cele przesyłają sobie w ten sposób papierosy, grypsy, a czasem mieniają między sobą odzież. My tego nie uprawiamy. Nie mamy nikogo swego na dolnych piętrach.

Wiemy natomiast, że Polacy siedzą na naszym. Nie mamy możności porozumienia się z nimi wprost, ale od czegóż uborna? Wprawdzie po każdej oprawce dyżurny chodzi po klozecie i starannie zaciera na ścianach wszystkie napisy, nie tak starannie jednak, aby się przecie czegoś nie odszukało. Grażyna znalazła w ten sposób podpis kogoś znajomego i zaczęła się igłą w lakierze, drobniutkimi literami prowadzona korespondecja, która trwała aż do wyjazdu mężczyzn. Jakimś cudem nikt tego nie wypatrzył. Udzielamy więc sobie wzajemnie wiadomości o wojnie, zupełnie (jak się potem okazało) fałszywych. Bo wedle nich już w styczniu 1941 r. Turcja była w wojnie, Japonia ruszyła na Rosję, a Ameryka biła się od dawna… Takie małe, w lakierze skrobane literki, które z uborny jednej z nieprzeliczonych w Rosji tiurm wydawały niewybuchłe wojny, głosiły niezaistniałe konflikty, narzucały z kącika nad paczką więziennych śmieci swą niecierpliwą strategię wszystkim dyktatorom świata! Dziś – kiedy wstecz na to patrzę – wydają mi się żałośnie śmieszne te z palca wysysane wiadomości, którymi się cele dzieliły między sobą. Wtedy jednak były nam pokrzepieniem na całe tygodnie.

Pewnego razu, ku wielkiej, tajonej naszej radości, zobaczyłyśmy, że we wszystkich korytarzach nad oknami umocowują czarne story. Pośpiech, z jakim dyżurny przepędzał nas obok drabiny i wrzeszczał, żeby się nie oglądać, utwierdził nas tylko w przekonaniu, że wojna widocznie zbliża się w nasze strony i że liczą się z możliwością nalotów – skoro przygotowują zaciemnienia. Oczywiście nikt z nas nie precyzował, czyje to bomby miałyby być, ale sama ich możliwość obiecywała ruch w

interesie, a tego życzyłyśmy Rosji z samego dna serca! Ten czarny klot[8] dał też mężczyznom do myślenia i małe literki w ubornie wśpiewały nazajutrz w czarny lakier nadzieję i radość!

O tym, że Polacy siedzą na tym samym piętrze, miałyśmy niestety sposobność przekonać się w inny jeszcze, mniej radosny sposób. Raz zaskoczył nas nagły tumult jakiejś awantury na korytarzu. Krzyki, bieganina, trzaskanie drzwiami! Wreszcie z hałasu tego wydźwignął się rozpaczliwy męski głos, wołający po polsku o ratunek. Odgłos bójki i szamotania stawał się coraz wyraźniejszy. Coś przewalało się w naszą stronę. Kłąb walczących ludzi, z tupotem nóg, głuchymi razami pięści czy kopania, zbliżył się do naszego bocznego korytarzyka. Nad wszystkim zaś górował ów rozpaczliwy, zdyszany, młody głos, wzywający pomocy. Wszystkie cele wzdłuż głównego korytarza zaczęły walić w drzwi i wołać o naczelnika. A nieszczęśnik ów, poprzez zziajane sapania kilku starających się go widocznie obezwładnić dyżurnych, charczał z coraz większą rozpaczą:

– Puść! Puść! Konstytucja! Gdzie konstytucja! Ratunku! Na pomoc!

Przewaliło się to popod naszą celę, potem słyszałyśmy zgrzyt klucza w niedalekich drzwiach, po czym kłąb walczących wtoczył się do pustej celi obok. I tam dopiero zaczęła się rozprawa zajadła, zapamiętała, przerywana przeraźliwymi krzykami katowanego człowieka. Aż doszedł nas odgłos głuchy, jakby głowa czyjaś całym rozmachem grzmotnęła o kant łóżka czy szafki, krzyk urwał się w pół tchu i nagła cisza zaległa piętro. Nigdy chyba tak bolącego dudnienia serca nie czułam w sobie, jak podczas tej ciszy właśnie.

Wieczorem, przy prowierce, korpuśny, jakiś przyjacielski dziś i potulny, powiedział nam, niby mimochodem, że ciężką mieli dziś

[8] bawełniana tkanina z silnym połyskiem

przeprawę z jednym sumaszedszym[9].

Trzy razy byłam świadkiem takiej „ciężkiej przeprawy" w Chersoniu. To, że człowiek, słysząc je, sam sumaszedszym się nie stał, to cud! Pierwszy i jedyny raz wtedy byłam tak blisko tego katowania naszych, przez które tyle, tyle tysięcy mężczyzn i kobiet przeszło w Rosji! Czasem, w nocy, słyszymy także dochodzące nas przez jakieś dziesiąte mury dalekie spazmy i krzyki kobiet, ale te już nie robią wrażenia. Zbyt wiele więźniarek widziałam z bliska przy takiej robocie i wiem, co umieją urządzać naprawdę bez powodu. Nie darmo cztery miesiące siedziałam na 21!

Chersońska tiurma była jedyną, w której dawano nam książki. Raz na tydzień zjawiał się młodziutki – bo chyba kilkunastoletni – przystojny Żydek w mundurze NKWD, z naręczą książek i pism pod pachą. Żywot Lenina, żywot Stalina, żywot Marksa, historia partii, sprawozdania ze zjazdów, konferencji itd. Tego oczywiście żadna z nas nie miała ochoty czytać i te książki leżały sobie w szafce, czekając na Żydka w szynelu. W pismach jednak były czasem zupełnie dobre nowele i opisy, tak że kilka takich zeszytów – ilustrowanych w dodatku – przeczytałyśmy z ciekawością. Jula umie czytać po rosyjsku i ona czyta nam głośno. Rozumiemy wszystko. Pamiętam, że dali nam też jedną książkę Wandy Wasilewskiej, przełożoną z polskiego na ukraiński, książkę napisaną z niezaprzeczonym talentem, pełną jednak tak idiotycznych, tendencyjnych, przesadzonych bzdur o Polsce, że trudno ją było brać na serio.

Prócz malowanej siostry z nieodzownym białym beretem i apteczką – mamy jeszcze dwóch doktorów. Jeden stary, mały, o sumiastym wąsie, pamiętający jeszcze na pewno carskie czasy – dziś wbity z mundurem enkawudzisty w biały, tak ciasny fartuch, że rąk do boków przytulić nie może – ma truskawkowy nos, a na nim grube powiększające szkła

[9] sumaszedszij – wariat

i patrzy spode łba poczciwie i po ojcowsku. Czasem robi wrażenie przepłoszonego i niepewnego siebie. Na jego widok przypomina mi się zawsze ów Koszałek-Opałek z *Sierotki Marysi* Konopnickiej. Bawi nas jego płochliwy sposób bycia i te olbrzymie oczy zza szkieł. Drugi, Żyd, też dobroduszny i poczciwy jakiś, podobny jest do piegowatego tapira.

– *A lochki u was zdorowe?* – pyta nas zawsze przed badaniem. Bardzo głupie pytanie! To raczej my miałybyśmy prawo je stawiać. Cóż my wiemy o naszych biednych płucach? Tyle chyba, że się męczą od miesięcy dzień i noc, pompując to okropne upalne powietrze. Tapir stuka, puka, bada nas zawsze jednakowo pobieżnie i zawsze jednakowo zaleca nam dużo ruchu na świeżym powietrzu. Idiota!

Pani Wójtakowa jest jednak chora naprawdę.

– Het mi nogi pokręciło – powiada. – Drze mnie, że niech Bóg broni!

I prawda. Nie może wcale stanąć. Zapalenie stawów czy reumatyzm?

Nie wiadomo… Dość, że ma nogi jak kłody i gorączkę. Po nocach nie może spać, jęczy. Zmizerniała bardzo, a jej łyczakowska werwa przygasła. Prosi o przeniesienie do bolnicy. Nie ma miejsca. Trzeba czekać, aż ktoś wyzdrowieje albo umrze. Pani Wójtakowa czeka cierpliwie, ale w końcu ma dość. Zakłada głodówkę. Ignoruje korpuśnego przy prowierce. Nie wstaje, gdy on wchodzi, co należy do przepisu. Rudzielec się piekli. Ona nic. Siedzi na swoim sienniku pod oknem, podparła ręką brodę i patrzy na niego oczyma niby to naiwnymi, a tak pełnymi kpiącego lekceważenia, że tamten ze skóry wyskakuje. Wrzeszczy, że zamiast do bolnicy pójdzie do karceru, że to, że tamto. Ona z całym spokojem – na złość mówiąc mu „pan”, bo nic ich tak nie irytuje – prosi, żeby jej wszystko drugi raz powiedział teraz po polsku, jako że ona po rosyjsku ani w ząb. A wszystko bardzo grzecznie, tylko z tą zjadliwą ironią w oczach. Ale niechże się drzwi za Rudzielcem zatrzasną, pani Wójtakowa odzyskuje nagle zwykłą swadę.

– A żeby tych psów przeklętych tak samo jak mnie pokręciło! Wstawać mu będę! Jeszcze czego! Na widok takiego drania – wstawaj! Nogi mi popuchli, że do paraszy nie dojdą, a tu przed takim osłem – psiakrew – zrywaj się, panie… Akurat! Bodajś pękł, hyclu parszywy!

Chyba ze dwa tygodnie trwała ta walka o bolnicę. Pisała do naczelnika podanie, robiła głodówkę – inna rzecz, że fikcyjną – bo ją podkarmiamy z naszych sutych porcji – wreszcie oznajmiają, że już miejsce jest, ale nie ma noszy i musi na bolnicę przejść piechotą. Co to kogo obchodzi, że się chora w ogóle ruszać nie może. Skończyło się na tym, że Jula z Grażyną zrobiły z rąk koszyczek i zniósłszy ją z czwartego piętra przez dziedzińce, znów na piętra, odstawiły do szpitala. Po paru tygodniach wróciła zdrowsza, ale bardziej niż kiedykolwiek rozżarta i nieubłagana. Klęła doktorów i siostry, bo nie leczyli jej wcale, tyle że wikt miała lepszy trochę.

Pamiętam też, że nam w Chersoniu dawali znowu jakieś zastrzyki. Oczywiście, ponieważ w tiurmie wszystko jest tajemnicą, nie powiedziano nam, jakie i po co. Przypuszczam, że były to te same, które robiono nam w Kijowie, a że pauza między jednym a drugim była widocznie zbyt krótka, po zastrzyku tym dostałam nagle jakiegoś szoku. To było strasznie przykre, bo mimo wysokiej gorączki byłam zupełnie przytomna i nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Coś zaczęło mną miotać po łóżku, coś, czego – mimo rozpaczliwych wysiłków – opanować nie mogłam. Kiedy – aby mnie unieruchomić – Jula z Grażyną siadły mi na nogach, biłam rękami, a kiedy ręce wetknęłam pod siebie, by uniemożliwić te zwariowane młyńce, głowa sama rzucała mi się w prawo i w lewo jak oszalały cep. Nie mam pojęcia do dziś, co to było, ale pamiętam własne przytomne przerażenie i strach, że mi to już zostanie na zawsze. Wezwany w nocy Koszałek-Opałek dał mi brom czy coś podobnego, poczciwie mnie zapewniał, że to minie, że to po zastrzyku tylko. Mimo bromu kołysało mnie tak razem z

łóżkiem do białego rana, tyle że coraz wolniej, coraz słabiej, aż usnęłam.

Mija styczeń, luty, nadchodzi marzec. Powietrze na *progułkach* staje się jakieś jedwabistsze, słodsze, pachnące odwilżą i wiatrem. Kwadrat podwórza, po którym chodzimy, otoczony jest bardzo wysokim murem z drobnych, żółtawych, porowatych kamyczków. Takie same kamyki wyścielają dno podwórza, pociętego ciemniejszymi pasami betonowych chodników. Po tych chodnikach wolno nam ganiać parami, tam i z powrotem.

A nad nami jest niebo. Coraz wyraźniej wiosenne, coraz bardziej turkusowe. Wrony je plamią w leniwym przelocie, przysiadają czasem na więziennym murze, zamyślone, szkliste, po czym podrywają się ciężko i odlatują. Rynny kapią. Dyżurny zdjął już kapce i kożuch i paraduje w samym szynelu. Tylko striełok w gołębniku, wysoko nad murem, gdzie większy widać przewiew, tkwi w szubie futrzanej, nieruchomy, pękaty, jak figura w przydrożnej kapliczce. Ów szpikulec bagnetu, który mu sterczy nad głową, mało ma tylko wspólnego z kapliczką.

A człowiek chodzi sobie tam i z powrotem, zawraca, ujdzie tych kilkanaście kroków chodnikiem, znowu zawraca i znowu ta sama monotonia ruchu i ta sama monotonia znanych już do znudzenia pęknięć i dziur w betonie. Wiem, bom porachowała oczyma, ile białych porcelanowych papużek siedzi rzędem na słupie telefonicznym, ile kominów ma to szare domisko, któremu tylko czub dachu widać znad muru. I wiem jeszcze, że gdy silnie zmrużę oczy, cały mur i całe podwórze robi wrażenie wybrukowanego czaszeczkami niemowląt, bo żółtawe, porowate kamyki, pełne plam i cieni, gapią się na człowieka martwymi jamkami oczodołów, zieją pustką nosów, uśmiechają się zakamarkami dziurawych policzków. Bardzo przykre i niesamowite złudzenie.

Ale zaraz nad tym makabrycznym murem jest niebo, otwarte, błękitne, i możesz sobie w błękicie wypłukać oczy po tamtym przywidzeniu. I

możesz łykać wiatr – pachnący przestrzenią i tającym śniegiem, i czujesz, że słońce jest już ciepłe, i słyszysz, jak rynny kapią. Są to chwile, kiedy człowiek jest całkiem szczęśliwy małą, niewymagającą szczęśliwością, pełną dobrej woli i wdzięczności za ten błękit, za ten powiew, za tę cudownie obojętną wieczystość wiosny, która przechodzi sobie nad wszystkim górą i robi to, że się człowiekowi on sam i wszystko inne staje takie błahe, maleńkie, przemijające – nieważne. Patrzy na swoje własne szmatławe nogi jak na coś obcego. Swój własny cień – tak zabawnie niepodobny, dzięki kocowi na grzbiecie, a ręcznikowi na głowie – obserwuje jak cudzy i wtedy przychodzi na niego taka chwila, kiedy bezosobowością swoją, tym roztopieniem się w słonecznej bezmyślności i monotonii, staje się nagle po jakiemuś tak cudownie wolny i nieuchwytny. Czasem plączą mu się po głowie wiersze, o których wie, że nigdy nie zostaną napisane, czasem się modli, wreszcie ogarnia go senność ociężała, błoga, uśmiechnięta. Gdzieś daleko, poza obrębem tiurmy, pieją wiosenne koguty.

Jakże straszny jest potem powrót do celi! Jakże popielate i umarłe godziny od południa do chwili, kiedy mętna żarówka zabłyśnie znów nad drzwiami i kiedy będzie można znów czymś ręce zająć. Gadamy, milczymy, czasem nucimy ukradkiem. Mamy z panną Wandą lekcje francuskiego i niemieckiego. Znów opowiadania, znów bajki, byle godziny płynęły.

Dali nam tu szaszki, czyli warcaby. Szachy bowiem są zbyt inteligentną grą dla więźniów, którzy mają obowiązek baranieć przecie w tiurmie. Ale od czegóż chleb? Grażyna zrobiła prześliczne figury z miękuszki i gramy po kryjomu, kiedy wiemy, że lepszy dyżurny na korytarzu. Raz o mały włos nie poszłyśmy wszystkie za te szachy do karceru. Skończyło się jednak tylko na ich konfiskacie. Potem Grażyna zrobiła drugie. Te zostały pewnego dnia w obłędnym pośpiechu utopione w paraszce. A potem były inne. Mieszkały w kaloszu pod łóżkiem.

Szerokie okno naprzeciw mnie, okno o szybach małych, pełnych skaz i pęcherzyków, stało mi się najcudniejszą książką z obrazami. Niektóre z tych obrazów tak pamiętam, że mogłabym je narysować dziś. Szybki te tym były jeszcze osobliwe, że całkiem inne rzeczy widywałam w nich w dzień, pod słońce, a inne o zmroku czy wieczór, przy świetle. Bardzo lubiłam te moje przypadkowe szklane obrazki.

Czasem woła nas dyżurny do mycia i sprzątania korytarza lub uborny. Dodać należy – bo nikomu by to pewnie na myśl nie przyszło – że jest to w ich przekonaniu dowód wyjątkowego wyróżnienia. Raz kazano nam sprzątać opuszczone przez mężczyzn cele. Nikt sobie nie może wyobrazić, jak wygląda taka opuszczona cela! W czasie sprzątania byłyśmy w niej zamknięte na klucz, a przed wypuszczeniem nas przyszła taka ich baba i przeprowadziła na nas gruntowną osobistą rewizję. Nie mam pojęcia, o co im chodziło? Co mogłyśmy wynieść z tych cel? Chyba wszy.

Z tą babą od rewizji łączyła mi się zresztą największa radość, jakiej doznałam w Chersoniu. Jako skutek owej noworocznej kartki nadeszła dla mnie paczka z domu! Mój Boże! Nikt, kto nie siedział w więzieniu, kto nie miał tylko jednej rozleciałej koszuli, jednej pary rozłażących się pończoch i trzewików, nie może sobie wyobrazić, czym taka paczka jest! I jeszcze jedno: dostaję tym samym wiadomość, że moi są na miejscu! Że ich nie wywieźli! Nie aresztowali! Stałam na rozmiękłych kolanach, oparta grzbietem o mur, kiedy owa baba od rewizji wyjmowała kawałek po kawałku, rewidowała, czy nie ma czegoś zakazanego, jakiegoś ukrytego listu czy znaku – i sprawdzała wedle załączonego spisu, czy wszystko jest. Całym wysiłkiem wstrzymywałam łzy na widok tych znajomych głupich łaszków, tak pieczołowicie, tak serdecznie przez czyjeś bliskie, uczynne ręce pakowanych. Domowe ręczniki, poszewki, moja rodzona bielizna, kochany pomarańczowy sweter, trzy pary trzewików w kolorowych woreczkach, szytych – pamiętam – na

podróż do Lizbony, bluzki, spódnica, letnie suknie, szlafrok, pończochy, prześcieradła, chustki do nosa. Cała wyprawa po prostu! A wszystko czyściutkie, wyprasowane, pachnące domem. Pomyśleli poczciwie także i o worku więziennym na rzeczy. Ma najmodniejszy tiuremny fason, jest z mocnego lnianego płótna, ma ucha do niesienia i troki do sznurowania. Są szmatki na łaty, spory płacheć perkalu i gumowe błotki. Ale radość ze wszystkiego największą sprawiła mi jedyna niepotrzebna rzecz, którą znalazłam w tej przesyłce. Była to chustka japońska, jedwabna, koloru kości słoniowej i mandarynki. Przyjechała ongiś do mnie wprost z Tokio. Trzy jednokołowe, kolorowe wózki otrząsają na jej tle zawieruchę kwiatów i jakichś obcych, przelewających się przez ich brzegi pnączy i gałązek. Prosiłam ojej przysłanie – nie wiem po co, ale po to chyba, by mieć przy sobie choć jedną rzecz ładną i niepotrzebną. Ot i mam ją!

Jest jakiś instynkt tajemniczy, który zawsze powiadamia więźnia o zbliżającym się transporcie. Nie wiem, skąd się bierze pierwsza plotka, bo przecie nie widujemy nikogo. Widocznie przychodzi sama z siebie, z powietrza. Nagle, od pewnego ranka, nikt nie ma już spokoju. Zaczyna się gorączkowe przygotowywanie rzeczy do drogi. Pierze się bieliznę, kończy szycia, a każdy zgrzyt klucza w zamku przyprawia o szybsze bicie serca. Bo człowiek mimo wszystko przyzwyczaja się nawet do takiej czarnej celi, tego czarnego siennika, do rysunku kraty, po której się tyle nawędrował oczyma, do zacieków na suficie, do obrazków w szybach. Przy tym nigdy nie wiadomo, dokąd nas powiozą i czy nie będzie gorzej.

Od pierwszych dni marca wietrzymy transport. Każdy z nich jest zresztą poprzedzony szeregiem snów – tych idiotycznych, proroczych, tiuremnych snów, w których: pierogi, nici, czesanie włosów, wkładanie butów, otwarta brama, kościół czy zielone jabłka są niezawodnym dowodem bliskiego wyjazdu. I jakkolwiek wiara w te sny, a co gorsze, skwapliwe, obowiązkowe, nieruchome, maniackie wprost opowiadanie

ich sobie wzajemnie natychmiast po zbudzeniu doprowadzały mnie zawsze do szału – już to pani Wójtakowa z Julą wiedzą coś o tym – muszę przyznać ze wstydem i wzruszeniem ramion, że w tych butach coś naprawdę jest. Każdy nowy etap mojej drogi bywał poprzedzony snem, w którym w tej czy innej formie brały zawsze udział buty. Inni wierzyli w pierogi i zielone jabłka. Mnie ku własnemu zdumieniu zmusiły po prostu do uwierzenia w – buty!

Nie pamiętam już dziś, co się naszej piątce śniło tego marca w Chersoniu, ale coś takiego musiało się chyba śnić, bo oto najpierw wywołano Grażynę, w trzy dni potem pannę Wandę, a około 20 marca, ku rozpaczy Julii, która sama zostawała teraz w celi, panią Wójtakową i mnie. Przeprowadzono nas z czerwonego bloku do jakiegoś innego, do tzw. transportowej celi, gdzie zastałyśmy niespodzianie, ku wielkiej uldze i radości, kilka znajomych z Brygidek. Okazało się, że siedziałyśmy tu równocześnie od miesięcy już, niczego o sobie nie wiedząc. Jest między innymi pani Iza. W Chersoniu spotkała się z mężem i udało się jej oddać mu wycerowane skarpetki i papierosy, które dla niego od Lwowa już zbierała. Obecnie zagryza się na nowo, bo generał, bardzo ciężko chory, leży tu na bolnicy. W dodatku rozłączono ją w którymś z transportów ze Złotą Cesią, oddanym jej zawsze tak samo opiekuńczym duchem, i stary Korsarz, choć trzyma się dzielnie jak zawsze, sposępniał i zmizerniał bardzo.

Z nowych poznaję tu panią Walerię, złapaną na granicy urzędniczkę naszej ambasady w Berlinie i żonę urzędnika kolejowego z Łucka, kobietę młodziutką, drobną, a zgrabną jak lalka. Od pierwszej chwili bardzo mi ta Mała Władzia do serca przypadła, a i ona także tak się ufnie do mnie przygarnęła, jakbyśmy się dobrze i od dawna znały. Prócz dawnych znajomych i tych nowo poznanych czeka tu z nami na transport kilka Ukrainek i trzy czy cztery Żydówki. Jedna z nich, Hinda,

zasługuje na osobną wzmiankę. Ponieważ los złączył mnie z nią na długie miesiące, miałam sposobność dobrze ją poznać i zapamiętać. Było to stworzenie młode, silne, niebrzydkie i inteligentne po swojemu, ale tak zaślepione w komunizmie, tak zaprzedane jego idei, że nic z tego, co się z nią działo i na co patrzyła w Rosji, nie potrafiło jej zachwiać. Była żoną krawca z Łodzi i złapali ją na granicy, kiedy uciekała spod niemieckiej okupacji. Posadzili ją oczywiście, posądzając jak zawsze o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Jakkolwiek wszędzie, na każdym kroku zaznaczała swoje przekonania, jakkolwiek głosiła na prawo i lewo, że już w Polsce siedziała za komunizm, jakkolwiek nienawidziła nas prawie na równi z władzami, nic jej to a nic nie pomogło. Była traktowana jak my wszystkie i jak nas wszystkie wywieziono ją oto do Rosji. Ją jednak i to zachwycało! Świadczyło przecie o ostrożności i rozumie sowieckich władz. Lepiej, żeby ona zgniła niewinnie w kryminale, niż żeby się choć jeden germański szpion przesączył przez granicę. Zgrzeszyła, zawiniła, chcąc się nielegalnie dostać na stronę rosyjskiej okupacji, zdradziła ideę, bo należało mimo wszystko zostać pod niemiecką okupacją i działać – zatem słusznie i sprawiedliwie postąpili, zamykając ją! Na każdym też kroku podlizywała się dyżurnym i władzom, zgłaszała się z zapałem do pracy w kuchni, na korytarzu, w ubornie, wygłaszała tyrady na temat roboczego ludu i tego, że zawsze służyć chce Sojuzowi. W ogóle była nie do wytrzymania! Bardzo szybko nauczyła się po rosyjsku. Ze złośliwą intencją, mówiąc i do nas, posługuje się tym językiem. Nie skarży się nigdy. Nigdy nie jest ani zimno, ani głodno, ani brudno, wszystko tu jest mądre i wspaniałe! Odsiedzi z radością wyrok, a jeśli pragnie, aby nie był zbyt surowy, to tylko dlatego, bo jej szkoda czasu, sił i zdrowia, które by mogła lepiej zużyć, pracując dla komunizmu na wolności. Polski nienawidzi całą duszą. Opowiada, gdzie może, różnym rosyjskim Żydówkom i babom, jak to u nas źle i ciężko było Żydom,

jak byli prześladowani, jaką cierpieli nędzę i inne tego rodzaju bzdury. Stałość jej przekonań, upór, wytrwałość i pracowitość musiały budzić, mimo antypatii, szacunek dla jej charakteru, z drugiej jednak strony jej zaślepienie, opaczne komentowanie niezaprzeczenie oczywistych faktów i prawd, upieranie się, że białe jest czarnym itd., pozwalały wątpić o jej rozumie i rozsądku, przy czym robiły z niej najnieznośniejszego, najbardziej irytującego i męczącego towarzysza… Tamte dwie pętające się przy niej Żydóweczki były raczej nijakie. Jedna, Salcia, szczupła, głupiutka i ładna, jest z zawodu manikiurzystką, druga, Toba, ruda jak marchew, mała, pękata i śmieszna, miała stragan z jarzynami na jednym z przedmieść Warszawy. Nazywałyśmy ją sobie Rudą Panterą.

Chersońska tiurma była jedyną, która co do strzępka oddała nam zatrzymane na kwitancję rzeczy. Nie brakowało nikomu nic. Kiedy dyżurny, w nadmiarze gorliwości, chciał którejś z nas zatrzymać odebrane jej przy rewizji medaliki, naczelnik nie tylko kazał mu je zwrócić, ale w naszej obecności porządnie sklął dyżurnego. Komuś, kto widział, z jaką specjalną furią tępili wszystkie dewocjonalia, fakt ten wyda się może trudnym do uwierzenia. Zachodzę w głowę, jakim cudem tak uczciwy człowiek, jak ten chersoński naczelnik, ostał się na tym stanowisku? Miejscem każdego ludzkiego naczelnika, który przyzwoicie traktuje więźniów, nie głodzi ich i przestrzega ich praw, jest przecie w Rosji z reguły – łagier. Tak przynajmniej wynikało z opowiadań, których nasłuchałyśmy się po kątach cel i w czasie jazd za reszotką, więc może to ogromne człowieczysko o twarzy buldoga i głowie krągłej jak bilardowa kula siedzi już dziś w więzieniu? Nie można wiedzieć.

Pod koniec marca, w pluchę i błocko, ruszyłyśmy piechotą ku dworcowi. Od czterech miesięcy jestem pierwszy raz znowu w otwartej przestrzeni. Świat wprawdzie jest brudny, poplamiony liszajami niezeszłego jeszcze śniegu, a droga błotnista i rozciamkana, ale za to wiatr

syczący mijanych wierzb pachnie przedwiośniem i dalekością. Dalekość ta huczy żałośnie w telefonicznych słupach.

W wagonie jak zwykle ścisk, zaduch, smród, zbieranina. Przedział nabiera po drodze ludzi i po drodze ich wypluwa. Całą noc ruch, pośpiech i przesypywanie, przegniatanie się tych nędzarek bezimiennych, których droga, raz tylko jeden, na krótko, krzyżuje się oto z naszą, które wchodzą nam w życie jednymi a wychodzą drugimi drzwiami więziennego wagonu. Nazajutrz około południa wyganiają z przedziału i nas. Co? Znowu Charków! Nie chcemy oczom wierzyć. Charków? To straszne.

Niestety Charków naprawdę. Z czarnego worona wyrzucają nas na to znajome już, rozległe podwórze, na którym już raz stałyśmy tyle godzin. A potem to samo. Sienie, korytarze i izby, w których nas przetrzymują z nikomu niewiadomych powodów.

Jedną z tych izb specjalnie wyraźnie pamiętam, tak jak ją pewnie pamięta każdy, kogo przez Charków przewlekli. Jest to ubikacja długa, dość wąska, tylko bardzo wysoka. Podłoga z przegniłych, zabłoconych, ruchomych jak klawisze desek. Nie ma tu żadnego okna, tylko jedna słaba żarówka nad drzwiami. Cała zaś powierzchnia ścian, gdzieś aż pod sufit, zapisana tysiącami nazwisk. Nigdy nie zgadnę, dlaczego władze nie zacierają ich tutaj. Zacierają je wszędzie: w wagonach, w ubornie, w celach. Z tej izby zrobili jakiś rezerwat osobliwy, bo widzę tu daty jeszcze z czasów tamtej wojny! Napisy drobne i ogromne. Mazane farbą, ołówkiem, igłą, nożem, wyskrobywane w wilgotnym tynku czym się da. Prócz nazwisk są tu jeszcze podawane paragrafy i wyroki, pytania, pozdrowienia, czułości. Ten a ten: lat 25. Ta a ta lat 8. Lat 5. Lat 15. Pismo sztubackie przy bardzo wyrobionym. Litery nasze przy rosyjskich. Dziwny, upiorny, cichy zgiełk tych ścian, niemy, splątany ich krzyk, ten rozpaczliwy wysiłek zostawienia po sobie śladu, znaku – robi strasznie przykre i dojmujące wrażenie.

Dlaczego jednak władze pozwalają na to, skoro im zawsze tak bardzo zależy na tym, aby każdy więzień znikł jak kamień w wodzie – w tej ich brudnej, mętnej, tajemniczej wodzie? Nie rozumiem.

A potem zwykły proceder, prosty, ale bardzo trudny do wytrzymania: sprawdzanie nazwisk, przegląd lekarski, rewizja, bania, wreszcie dawaj za dyżurnym do celi…

Nie na piętro tym razem i nie do tej celi z monaszkami. Prowadzi nas w jakiś boczny blok, w tunele korytarzy, popod przejrzyste drabiny żelaznych schodów. Korytarze zdają się nie mieć dna, są brudne, ciemne. Zza niezliczonych drzwi po prawej i lewej dochodzi z cel gwar i wrzask, i pisk jak z klatek w menażerii. Aby ułatwić dyżurnym rozdawanie posiłków, każde drzwi od celi mają tu mały kwadratowy wykrój z klapą, która z zewnątrz przytrzymana jest zasuwką. Zasuwkę tę, przez uparte kołatanie w ochełtaną deskę, umieją więźniarki otrząsnąć tak, że ku furii dyżurnych, raz po raz błyska w ciemnym korytarzu jasny kwadrat jednej z takich bezprawnie opadłych klap. W ciasnym otworze pojawiają się twarze rozwydrzonych małolatek, wyzywających od ostatnich słowami, których się na szczęście nie łapie wszystkich, ale których sam ton jest jedną obelgą i jednym plugastwem. Nie ma w tiurmie straszliwszego żywiołu nad te małolatki właśnie! Nikt, kto tego z bliska nie widział, nie może sobie wyobrazić, do jakiego stopnia rozpasania i rozbestwienia dojść może takie młode stworzenie. Rozpiętość lat między 12 a 16. Małe to przeważnie, przedwcześnie zgniłe i zdeprawowane, często bez zębów, anemiczne, skrofuliczne i robaczywe jakieś jakby od kołyski. Nic z nikogo nie robi sobie taki jak czupiradło korkiem czy sadzą upaprany stwór, rozebrany najczęściej do fig i staniczka, o wytatuowanych sino rękach, nogach i pośladkach.

Opowiadała mi raz później jedna taka, jak one się tatuują. Otóż kładą na blaszanej pokrywce – od pudełka na przykład – kawałek gumy

(najczęściej ze starego kalosza), podgrzewają, póki nie zrobi się z tego smrodliwa, lepka maź, a potem w mazi tej umoczoną igłą wykluwają w skórze gęsto, miejsce przy miejscu, jakieś imię, obrazek, deseń czy datę. W ukłuciach tych tyle się tego czarnego paskudztwa dostaje pod skórę, że wreszcie zaczyna przez nią sinawo przeświecać. I tak można zobaczyć czasem u nich kotka z piłką dosłownie na siedzeniu, kotwicę czy gwiazdę na udzie, różę czy inny kwiat na plecach, wreszcie imię przyjaciółki czy ukochanego nad przegubem. Która jest gęściej zapisana, ta miała widocznie bujniejsze przeżycia. Tatuowanie jest więc niejako puncą wartości towaru. Bardzo zawistnym okiem patrzą na to młodsze, które nie zarobiły sobie na tak chwalebne świadectwo pracy. Małolatki takie są tym groźniejsze, że stanowią klan, zwartą, świadomą bezkarności bandę, której pobyt w tiurmie jest rzeczą zwyczajną i wcale niestraszną. Na każde wyzwisko znajdzie każda na odlew gorsze. W bezwstydzie gestu nie prześcignie ich nikt. Wrzask i kwik ich wydźwignie się zawsze ponad najbardziej wściekły głos dyżurnego, piskliwie, dziecinnie, histerycznie. Wolą oni podobno pilnować całego piętra cel niż jednej takiej klatki z małolatkami. Toteż i teraz widzę, jak dyżurny doskakuje do tych bezprawnie tu i tam opadających klap, zwłaszcza że przechodzi właśnie wzdłuż cel nowy transport, którego nikt widzieć nie powinien. Chcąc jakby roztłuc orzechy głów wysunięte z otworu, zatrzaskuje klapy z rozmachem i z całej siły. Dziki wybuch śmiechu za klapą – i w tej samej chwili stuk gdzie indziej opadłego kwadratu, i znowu tłok ohydnych twarzy w ciasnym wykroju, i znów plucie, grad wyzwisk, drwin, zaczepek. Widocznie zabawa taka trwała już od dłuższej chwili i zrozpaczony dyżurny wezwał na pomoc jakąś grubą rybę. Może to był korpuśny, może nawet jakiś jeszcze wyższy dygnitarz, nie wiem. Mam przylepioną jakby do pamięci, w kabłąk furią zgiętą sylwetkę tego Żyda.

Charczy coś w otwór wykroju, żyły krwią mu nabiegły i szyja rozdęła

się wysiłkiem, bo stara się przekrzyczeć nieopisany rwetes, jakim ku niemu zieje wnętrze celi. Doskakuje, tupie, wali pięścią w drzwi i czuje się, że purpurowy szał bezsilnej złości zadławi go za chwilę i zaleje. Zalało go jednak coś zgoła innego! Oto przechodząc chwytam błyskiem spojrzenia niedwuznaczny, żółtawy chlust, którym tryska niespodzianie otwór okienka prosto w te rozżarte, na wierzch pasją wyduszone ślepia, na baranią czapkę, rubaszkę, buty, i widzę jeszcze, jak zadławiony, umilkły w pół słowa dygnitarz otrząsa się ze wstrętem jak pies, pluje, prycha, kaszle. Takie są małolatki!

Wąska cela, w którą nas puszczają, mieści się na samym prawie końcu korytarza. Dwa rzędy nogami ku sobie leżących więźniarek wypełniają ją tak szczelnie, że znowu nie ma jak wejść. A wejść nas tu musi siedem. Baby podnoszą wrzask – czemu się zresztą nie dziwię, nie chcą nas puścić, klną, wołają dyżurnego. Ale dyżurnego, jak zwykle w takich chwilach, już nie ma. Pchnął nas i zamknął drzwi. Możemy sobie teraz oczy wydrapać o miejsce. Nikogo to nie obchodzi.

Stoimy więc, z trudem utrzymując równowagę. Miejsce znalezione na jedną nogę jest bardzo daleko od miejsca znalezionego na drugą. Kiedy którąś z tych nóg wypadnie przestawić, wyszarpywać ją trzeba jak z bagna. Buty trzymamy w ręce. Musiałyśmy je zdjąć na progu, bo niepodobna z błotem włazić na leżące. Toteż teraz wyczyniamy nimi przedziwne, rwane ruchy w powietrzu, szukając daremnie równowagi.

Tym razem nie rozpłakałam się. Przeciwnie. Z bezsilnej rozpaczy zaczęłam się śmiać. To naprawdę strasznie śmiesznie wyglądało. Siedem okutanych łachmaniarek, rozkraczonych w najdziwaczniejszy sposób, potykających się, chwiejących, kłaniających się jakby uniżenie nie wiadomo komu. Ogromna postać naszego Korsarza, malutka Władzia z główką jak makolągwa, ja w moim kocu i turbanie na głowie, wreszcie wszystkie tamte, wijące się w tych przymusowych, gimnastycznych

przegibach – to było coś w swej rozpaczliwości tak komicznego, że niepodobna się było nie roześmiać. I ten mój głupi śmiech uratował wtedy sytuację. Cała cela parsknęła także śmiechem i lody pękły. Zaczęły się posuwać, zgniatać jeszcze ciaśniej, żeby nam zrobić cień miejsca. Myślę, że wprawne oko rosyjskich bab oceniło też należycie mój koc. Noce były jeszcze zimne, okno dla braku powietrza musiało być otwarte, zatem sąsiadka mająca takie wspaniałe okrycie miała też pewną wartość.

I tak się to oto stało, że znalazłam się na drugim końcu celi, pod oknem, wgnieciona między dwie młode Rosjanki, z których jedna zwłaszcza wydała mi się od razu sympatyczna, bo mi przypomniała moją wierną, poczciwą pokojową. Nie było rady, trzeba było za miejsce zapłacić. Rozścieliłam więc ów pokuśny koc na całą szerokość i leżało pod nim tej pierwszej nocy, prócz mnie, sześć bab, z których wszystkie, w zamian za tę sąsiedzką usługę, napuszczały mi weń wspaniałych tiuremnych wszy. Okazuje się, że nic na tym świecie za darmo!

Zbieranina tu wyjątkowa. Prócz Rosjanek są Tatarki, Uzbeczki, Cyganki i Żydówki. Bardzo przykro wspominam ten pobyt. Ciasnota straszna, brak powietrza, brud, wszy, świerzb, wrzody, dziurawa paraszka. Jedzenie też pod psem. Rozdają je przez ową klapę w drzwiach, w nieumytych po innych więźniach metalowych kociołkach. Pewność, że są niemyte, zyskałam pewnego dnia, znalazłszy na dnie takiego kociołka – słówka angielskie! *To eat, to sleep, to speak, one, two, three, four, five*. Te niespodziewane, czytelne, okrągłe literki były jak nagłe pozdrowienie z dalekiego, otwartego świata, tego świata, od którego w dodatku spodziewaliśmy się wszyscy pomocy i ratunku! Widocznie, z braku papieru, więźniowie zapisywali sobie słówka na kociołkach. W ogóle więźniowie umieją sobie radzić. Przy bliższym poznaniu metalowe te kociołki, przechodzące kolejno przez wszystkie cele i wszystkie piętra, okazały się po prostu listonoszami! Mikroskopijnymi literkami

wyskrobywano na nich igłą różne imiona, zapytania i odpowiedzi, które szły obiegiem po tiurmie i szukały adresata. W Chersoniu np. rzecz taka byłaby nie do pomyślenia. W charkowskiej peresylnej tiurmie panowała na ogół większa swoboda i mniej na takie rzeczy uważano.

Z celi na *progułkę* nie możemy wychodzić wszystkie. Zawsze któraś z nas poświęca się i zostaje, aby pilnować rzeczy. Wiemy zbyt dobrze, ile złodziejek siedzi między nami. Zresztą tylko w tym czasie, kiedy się cela opróżni, można ją jako tako posprzątać. Co dzień inne mają dyżur. I dopiero kiedy ruszy się gromada zalegających szczelnie podłogę kobiet, uświadamia sobie człowiek, w jakim brudzie i śmietniku żyje!

Dno celi to beton. Na tym betonie stoją drewniane ramy, podobne do tych, które się stawia pod tusz czy przy wannie, aby woda ściekała – tyle że te są długie na całą celę. Kiedy się przy sprzątaniu uniesie lepki róg siennika, płoszy się całe roje stonóg, żyjących gromadnie w cuchnącym, wilgotnym śmieciu, uzbieranym między drewnianymi szczeblami. Czego tam nie ma! Głowy ryb, gnijące, zapleśniałe resztki cebul i okruszyny chleba, jakieś mętne, z gęstego grzebienia razem z łupieżem i gnidami zdarte wyczeski, kłaki, ości, brudne – lepiej nie dochodzić jakie – szmaty i waty. Oto sprężyny naszego posłania. Na to przychodzą teraz sienniki. Koców tu nie dają – chyba kto ma swój. Leży się więc po prostu na gołych, pełnych gruzłów, guzów, patyków i kurzu, porozpruwanych workach. Materiał jest mocny, czarny, a mimo tej czarności znać, że się oń ocierały od lat wszystkie możliwe brudy i obrzydliwości świata.

Świerzby, wrzody, liszaje, różne ropy, krew, plwociny, cały nanoszony z uborny na nogach brud, błoto, rozlane zupy i rozmazane kasze – złożyły się na ten ohydny zawiły palimpsest, którego lepiej nie odczytywać! A co ze wszystkiego najzabawniejsze – i rozczulające do pewnego stopnia – to fakt, że ten nieszczęśliwy więzień – dzięki jakiemuś tajnemu układowi z samym sobą – nosi w sobie niczym nieuzasadnione

poczucie, że ten skrawek siennika, na którym przespał choćby jedną noc, jest najczyściejszy w całej celi! Pojęcia nie mam, na mocy jakich ustępstw i porozumień między wrodzonym wstrętem a okolicznościami staje ten – zbawienny dla więźnia – układ. Tyle wiem, że każde moje miejsce na każdym takim – zawsze przecież równomiernie brudnym i wstrętnym – sienniku stawało mi się po pewnym czasie naprawdę mniej obrzydliwe. Może to ten znajomy tułaczy worek, stojący jak poduszka w głowach, ta strzeżona jak skarb malowana miska, te bezcenne błotki, trzymane dlatego właśnie tak blisko siebie? A może wreszcie nieuświadomiona pewność, że wszystko, co można było zebrać z tego czarnego łacha, zostało już przez naszą skórę i ubranie zebrane i że nam na razie nic nowego z jego strony nie zagraża? Nie wiem.

Sprzątanie celi jest dość wątpliwej jakości. Nie mamy ani zmiotki, ani szczotki, ani śmieciarki. Więc tak, jak owe nieprzeliczone niechluje przed nami, strząsamy śmiecie pod sienniki, wychodząc z założenia, że przy tej ilości trochę ich mniej czy trochę więcej naprawdę już nie gra roli.

Mała Masza, jedna z dwóch małolatek, na które już nie było miejsca w tamtych małpich klatkach, bardzo usłużnie ofiarowuje się zawsze, że zrobi za nas dyżur, i wypycha nas na *progułkę*. Nie ma głupich! Wiemy dobrze, co się kryje za tą uczynnością. Chytra sztuka z tej małej, czarnej, jak pisanka tatuowanej Maszy! Dobierała się już raz do worka pani Izy, ale jej na czas przeszkodziłam. Już to w ogóle pani Iza nie miała szczęścia do małolatek! Raz, pamiętam, nie mogąc się dopchać do kranu w ubornie, przyzostała tam jeszcze chwilę po naszym odejściu. Dyżurny, myśląc, że wróciłyśmy już wszystkie, otworzył klatkę małolatek, na które przychodziła po nas kolej pójścia do uborny. Biedna pani Iza wróciła po długiej chwili z rozwichrzonym włosem, z rozerwanym kabatem, roześmiana, ale i przerażona równocześnie. Opowiadała, że gdyby jej dyżurny nie był obronił, byłyby ją tam odarły ze wszystkiego! Rzuciły się na nią z

piskiem, zaczęły ją trącać, targać, szturchać, wydarły jej ręcznik i mydło – w ogóle miała wrażenie, że ją na kopytach rozniosą. Nieopisanie straszny i bezkarny jest ten klan małolatek! I wielka szkoda, kiedy się między nie – dzięki swojemu wiekowi tylko – dostanie np. takie stworzenie, jakim była ta druga małolatka z naszej celi. Nazywała się Marusia. Robiła wrażenie zupełnie jeszcze niezepsutego, pogodnego dziecka. Chuda, wyrośnięta, o źrebięco długich odnóżach i ciemnoorzechowych, inteligentnych oczach, miała krótko ostrzyżoną głowę i plątała się między babami, niczym smukły, wesoły chłopiec. Złapano ją na dworcu jako trampa i posadzono. Nie miała jeszcze na sobie żadnego tatuażu i mimo swoich bezdomnych czternastu lat robiła wrażenie nierozbudzonego, czystego dziecka. Bardzo się bała przeniesienia jej do tej dzikiej celi obok, co jej niestety nie minęło. Kiedy się tam zwolniło miejsce, zabrali ją pewnej nocy i przypuszczam, że dziś, dzięki budującemu przykładowi tamtych, jest już taka sama jak wszystkie tiuremne małolatki.

W celi tej spotkałam jeszcze drugie sympatyczne młode stworzenie. Bladą Ninoczkę z Odessy. Dziewczyna to była szczupła, smukła, miała na sobie sukienczynę z czarnego klotu i nosiła pretensjonalne, z trudem co wieczór zakręcane, siwe od gnid loczki. Brata jej, który był sławnym lotczykiem, zastrzelili za rzekomy spisek. Ninoczka była rzadko w tiurmie razem z nami sadzanym okazem dzisiejszego ich inteligenta. Interesowała się literaturą i sztuką, pytała ostrożnie o stosunki panujące w Polsce, o to, czy lud naprawdę był przez panów celowo niedopuszczany do szkół, czy to prawda, że był głód, brak wszystkiego. Na to, jako najlepszy argument, wyciągnęłam z worka całą bieliznę, trzy pary butów, pończochy, letnie suknie itd. – i zaczęła się propaganda poglądowa. Nie raz i nie dwa razy zresztą stosowałyśmy ją w tej formie. Była zawsze najbardziej przekonywająca. Darowałam też Ninoczce jedną parę jedwabnych pończoch – nie miała bowiem żadnych – na co po dość długiej chwili

zażenowanego bronienia się oświadczyła mi przez łzy, że aby dostać pierwsze w życiu jedwabne pończochy, musiała widocznie przyjść do tiurmy. Na pożegnanie, ku najwyższemu memu zdumieniu, pocałowała mnie niespodzianie w rękę.

Zupełnie innym typem dzisiejszego inteligenta była pewna spotkana tam wtedy nauczycielka. Nie wiem, za co siedziała, w każdym razie robiła wrażenie zażartej komunistki, przy byle okazji wychwalała reżym, na każdym kroku kłuła w oczy swoją wyższością, kulturą i wykształceniem, a nas – Polki – traktowała z reguły z lekceważeniem. Pamiętam, jak raz, wykrzykując na całą celę o zgniliźnie burżujskiej Polski, o niewiarygodnym jej zdziczeniu i braku podstawowych nawet zasad wszelkiej etyki – jako szczyt rozpasania i zepsucia zacytowała fakt, że w którymś z lwowskich kin są pono na ścianie nagie tańczące figury! To jednak, że we wszystkich baniach w czasie kąpieli kobiet pętają się mężczyźni, że (o czym się zresztą dowiedziałam później) w baniach męskich obsługa bywa z reguły kobieca – nie gorszyło jej jakoś, o dziwo! To było w porządku. To nie było ani gorszące, ani przewrotne. Natomiast nagość w rzeźbie czy obrazie – obrażała jej człowieczeństwo… Cytuję to jako dowód niezdolności samodzielnego myślenia tych ludzi i jako próbkę jakości owej zdobytej przez rosyjskie masy „kultury”.

Przez celę naszą – jak zresztą przez wszystkie takie wspólne cele – przepływa strumień zmieniających się wciąż więźniarek. Bywają godziny, kiedy przed napływem nowych jest nawet trochę więcej miejsca. Można wtedy nogi wyciągnąć i na wznak, nie zaś kantem, się położyć. I są to chwile, kiedy można także swobodniej w celi porozmawiać. Więźniarki przysiadają się do nas kolejno i zaczyna się lękliwe a skwapliwe naszeptywanie. To zresztą bardzo typowy objaw w tiurmie. W gromadzie są lojalne, prawomyślne, wielbiące reżym. Powtarzają wyuczone frazesy, śpiewają ich pieśni. Kiedy jednak zdarzy się sposobność posłuchania

którejś z nich osobno, na uboczu, cichaczem, ze słów najczęściej bardzo prostych, nawet nie zawsze zabarwionych nienawiścią, wieje bezmiar takiej rozpaczy, że aż się straszno robi. Niektóre z nich – starsze zwłaszcza – czekają na coś. Nie umieją wprawdzie powiedzieć, co by to miało być – przewrót? wojna z Niemcami? – wszystko jedno co, byle coś, co by ich wyzwoliło, co by ich wydobyło spod prasy, która z nich krew i duszę wyciska. Pamiętam dobrze ową małą prostytutkę spod muru. Ta powiedziała wprost, że spodziewano się ratunku od Polski. Inne nie precyzują niczego, ale za każdym ich słowem – prostym, nieuczonym, żałosnym – tai się wyglądanie wyzwolin, majaczy czekanie na upragniony, niewiadomy cud. Padają takie domyślniki: „To już niedługo". „Niech no się raz coś zacznie". „Niech wojna potrwa". „Tak dalej być nie może". Coś się tym nieszczęśnikom marzy, roją o czymś, czego nikt nie śmie nazwać po imieniu. Polityczny kataklizm? Dziejowe trzęsienie ziemi? Co bądź, choćby diabeł – byle się rozkruszyły mury tego wielkiego więzienia, tej jednej olbrzymiej tiurmy, jaką się dziś dla nich stała Rosja. Stworzenia, które z nami siedzą, to nie żadne zbrodniarki, a w każdym razie przeważająca ich część nimi nie jest. Powody, dla których je zamknięto, są często niewspółmierne do kar i wyroków. Nie na wołowej, ale na mamuciej skórze nie opisałby nikt przykładów. Parę takich faktów przylepiło mi się wyraźniej do pamięci. Może przytoczone pojedynczo nie dadzą pojęcia o tym, z czego sobie człowiek zdaje jasno sprawę, słuchając ich setkami.

Więc na przykład: Młoda dziewczyna prowadzi z ramienia jakiegoś tam sojuzu sklep z nasionami. Jest osobiście odpowiedzialna tak za pieniądze, jak i za towar. Dostaje w sklepie ostrego ataku ślepej kiszki. Telefonuje do zwierzchnika, żeby natychmiast przysłał zastępstwo, bo ją zaraz zabiera pogotowie. Czeka, wijąc się z bólu. Karetka była raz i odjechała, bo zastępstwa nie ma, a ona nie może zostawić sklepu samego.

Telefonuje więc znowu, że nie może dłużej, że wobec braku zastępcy zamyka sklep i jedzie prosto na stół operacyjny. W karetce jest już ledwie przytomna. Choruje ciężko i długo. Po wyzdrowieniu aresztują ją i wytaczają jej proces o cały domniemany zysk ze sklepu, który by mógł być, a którego nie było przez owo bezprawne zamknięcie. Oddanie sklepu zresztą nie nastąpiło formalnie, zatem ona jest też odpowiedzialna za kradzież i nadużycia popełnione w nim podczas jej choroby. Zostaje skazana na 5 lat, bo nie ma pieniędzy, aby szkodę pokryć. Zwróci ją zdrowiem i bezpłatną pracą w łagrze.

Drugi przykład: Kobieta pracuje w stołówce, gdzieś w małym miasteczku. Bieda aż piszczy. Mąż w tiurmie. Mieszka z jednym dzieckiem, bardzo daleko, tak że aby na czas do pracy stanąć, musi dzień w dzień wychodzić z domu o czwartej rano. Wraca o północy. Pracuje tak dwa lata. Zdarzyło się, że jej dziecko zaniemogło. Po całym dniu pracy, zmęczona do upadłego, musi owe cztery godziny wypoczynku poświęcić czuwaniu. Nad ranem jednak, siedząc na krześle, usypia. Staje do pracy z półgodzinnym opóźnieniem. Traci miejsce i dostaje dwa lata.

Trzeci przykład: Ma kobieta troje dzieci. Pracuje na nie sama. Mąż umarł. Wychodząc do pracy, zostawia młodsze pod opieką czternastoletniego syna. Pod nieobecność matki chłopiec zamknął dzieci w chałupie i poszedł się ślizgać na staw. W zamkniętym domu wybucha pożar. Dzieci wprawdzie ratują, ale dom idzie z dymem. Matka dostaje 5 lat ciężkich robót za „niedostateczną opiekę nad dziećmi". Cóż za ojcowska, wnikliwa dbałość o tych przyszłych niewolników! Za parugodzinną niedostateczną opiekę matki skazywać je na pięć lat braku opieki czyjejkolwiek!

I dziwić się potem, że tiurmy pełne takich małolatek.

I jeszcze jeden przykład: Młoda kobieta jest palaczem na kolei. Lubi swój zawód i pełni go gorliwie i chętnie. Ma na utrzymaniu niedołężnych

rodziców i drobne rodzeństwo. Jej praca jest jedynym źródłem utrzymania całej rodziny. Zima jest sroga, a opału brak. Palaczka nabiera w kieszenie kombinezonu trochę miału wymiecionego z lokomotywy. Dostaje 5 lat.

Spotkałam taką, która siedziała za garść gwoździ ukradzionych w fabryce; z niezliczonym zastępem biednych wiejskich bab, które za niezapłacenie nadmiernych podatków wpakowano do tiurmy; z takimi, które aresztowano za to, że znalazłszy lepiej płatną posadę, rzuciły poprzednią. Bo tego w Rosji nie wolno. I tak dalej, i dalej… bez końca.

Jak Rosja długa i szeroka, nie ma rodziny, w której by ktoś nie siedział. Jak dobrze pójdzie, to i kilku jej członków naraz. Pójście do więzienia jest równoznaczne z rozbiciem rodziny. Tak mąż, jak żona skazanego są automatycznie przez prawo uznani za wolnych. Zaraz po ogłoszeniu wyroku mogą wstępować w nowe związki małżeńskie. System ten jest niesłychanie prosty i rozumny. Państwo zyskuje miliony nieopłacanych, bądź jak żywionych robotników, a życie na tak zwanej wolności nie doznaje żadnego zahamowania. Zasądzeni uważają to za zupełnie proste. W ogóle niepojęta jest bierność ich młodego pokolenia. Starsi pamiętają jeszcze dawne czasy, więc zdobywają się niekiedy na jakieś słowa buntu, goryczy, sprzeciwu i nadziei, wszyscy jednak nowi, dzisiejsi ich ludzie nie przypuszczają nawet, że może gdzieś być inaczej! Wierzą święcie, że wszędzie życie jest tylko uciskiem, wyzyskiem, zmęczeniem, że wszędzie jest nędza i głód, kartki, ogonki, łagry, a człowiek zawsze tylko szczwanym roboczym zwierzęciem.

Wprzęgnięci w czarny kierat pracy dla Sojuzu, który przeważnie frazesami płaci za trud i pracę, zziajani pogonią za kęsem chleba dla wiecznie głodnego żołądka, karmieni objętościową paszą mityngów, a faszerowani propagandą w książkach, filmach, teatrach, afiszach, szkołach i gazetach, nie mają wprost przytomności, tchu, czasu na własną myśl, która by im może podszepnęła wątpliwość, czy cały ten zabroniony

im, niedostępny, szkalowany kapitalistyczny świat jest naprawdę o tyle gorszy od tego zachwalanego wbrew wszelkiej oczywistości, znanego im, komunistycznego świata? To wprost nie do pojęcia, jak można było tak olbrzymi obszar, jakim jest Rosja – tak odizolować! Ogół o normalnym życiu innych krajów nie ma najmniejszego wyobrażenia. Zresztą nie uwierzyłby… Pełne sklepy? Kraj bez łagrów? Możliwość wyjazdów za granicę? Praca dla siebie? Swoje własne, prywatne, pogodne i bezpieczne życie? Nie! To wszystko przerasta pojęcia szczęśliwego, wolnego obywatela ZSRR! Jest przecie tylko ponura, bezradosna, rzadko dająca zadowolenie praca, a więc praca-koszmar, której utrata równa się głodowej śmierci. To wszystko.

Jedyną jaśniejszą stroną ich życia jest ta pośpieszna, byle jaka, niewybredna, dopadkowo pełniona „miłość" i to byle jakie, łamanymi sztukami zdobywane, zawsze jednakowo skąpe jedzenie! Ponad wszystkie inne uczucia, do których człowiek jest zdolny, wydźwignął się tu obłędny, niewiarygodny, zabobonny wprost strach, dzięki któremu nawet w rodzonych dzieciach, w mężu i żonie widzi tu każdy tylko denuncjatora. Ponure wnętrza tiurm i rozległe przestrzenie łagrów są dnem, o które prędzej czy później musi uderzyć życie każdego obywatela Związku. Oni na to się przecież rodzą! Chyba dlatego, aby dostarczyć łagrom żywego roboczego mięsa, kładą władze taki nacisk na przyrost ludności. Dlatego chyba tyle piszą i krzyczą o opiece nad matką i dzieckiem. Dlatego chyba tak bezwzględnie karzą niedozwolone zabiegi. Zabicie nieurodzonego dziecka równa się przecie jego ucieczce z tiurmy! Bo w Rosji naprawdę ma się wrażenie, że tylko z tego punktu widzenia przedstawia życie ludzkie jakąkolwiek wartość. Łagry, przymusowe prace w kopalniach, tundrach i tajgach – oto jak gdyby cel!

Są – na pewno są – i tacy, którzy żyją dziś w Rosji dostatniej niż przed przewrotem. (Nie mówię tu o samych rządzących sferach czy o

NKWD – bo to się rozumie samo przez się). Jest wśród ogółu na pewno wielu takich, którzy na dzisiejszym ustroju zyskali, i to zyskali dużo. Mogą się kształcić, wybijać, zdobywać stanowiska, mogą wychodzić na ludzi, co by im dawniej było, z tych czy innych względów, trudne lub zgoła niemożliwe. Korzyści tych wybranych jednak nie stoją w żadnym stosunku do tego, co stracili tamci, tak jak ich liczba jest niewspółmierna z dziesiątkami milionów bezbronnych, uciskanych gorzej niż kiedykolwiek rzesz. Bo rzesze, których firmą szafuje się perfidnie na prawo i na lewo, bo czarne robocze masy, proletariat, chłopi, w ogóle całe bezimienne mrowie Rosji męczy się w tej hermetycznie zamkniętej kaźni, jak nie męczyło się chyba nigdy.

Trzeba sobie tak tylko pogadać z nimi zmroczkiem, na uboczu, by drugi nie słyszał – i to nie o naszej zawszonej, więziennej teraźniejszości, bo z celą godzą się łatwo i biernie, ale o tej widzianej ich oczyma i opłacanej ich krwią, wywalczonej dla nich przez komunizm „wolności" właśnie!

Niech nikt, kto tego z bliska nie widział, nie wyobraża sobie, że po tiurmach siedzą tylko zbrodniarze, więźniowie polityczni i rozwydrzone małolatki. Nie, Rosja ma tak nieprzebrany zapas ludzkiego materiału, o który nie dba i z którym może wyrabiać, co chce, że na finezyjne sortowanie nie myśli tracić czasu. Zgarnia do tiurm pod byle pozorem wszystko! Starzy, chorzy i słabi, przesiani przez śledztwa, więzienia i transporty, odpadają automatycznie, a to, co się na tym złowrogim sicie zatrzyma, staje się w sumie olbrzymią, bezpłatną, najtańszą siłą roboczą, jaką zna świat, siłą niebronioną w praktyce przez żadne prawa boskie czy ludzkie, siłą, którą można zmusić do takich robót i którą można zalać te połacie kraju, gdzie dobrowolnie nie zgłosiłby się do pracy – mimo nędzy – nikt. Jakość i wydajność pracy – przy tej ilości rąk – gra rolę minimalną. Mało stu ludzi – da się tysiąc. Mało tysiąca – pójdzie milion,

i jeszcze się opłaci. To wszystko staje się człowiekowi jasne i zrozumiałe, kiedy tak słucha i słucha tych szeptem zwierzanych historii, z których – jak z poszczególnych kosteczek – lepi się przed oczyma całokształt tej upiornej mozaiki. Ci wszyscy dziennikarze, artyści, pisarze i dyplomaci, którzy entuzjazmują się dzisiejszą Rosją, wierząc, że znają jej prawdziwą twarz, tę, którą widzą zahipnotyzowane strachem czarnorobocze masy, są naiwni. Oni widzą i wiedzą to tylko, co władze chcą, by im było znane, a najbardziej pozornie szczere i poufne wypowiedzi ludzi na wolności nigdy obcemu nie wyjawią prawdy!

I dopiero niebacznie – wierząc zapewne, że żywa noga już stąd nie wyjdzie – pozwolono nam, Polakom, zobaczyć z bliska całą miażdżącą maszynerię ich ustroju i my już wiemy! Nie wiemy tylko, co zrobić, aby się dowiedział, aby uwierzył, aby na czas zrozumiał cały cywilizowany świat, że wszystko, co od nich wysyłane jest na zewnątrz, że wszystko, co od nich się wie i słyszy o Rosji, jest wytworem genialnie bezczelnej propagandy, jest bezprzykładnym kłamstwem i blagą, udrapowaną przewrotnie w szlachetne hasła i teorie! Tiurma dopiero – gdzie ma się sposobność słyszenia szczerych nareszcie wypowiedzi i zeznań tysięcy przedstawicieli tej właśnie warstwy, o której prawa walczy rzekomo rosyjski komunizm – jest odkrywką, która unaocznia prawdziwe złoża i warstwice gigantycznej, przechodzącej ludzkie wyobrażenie tragedii, jaką przeżywa już trzeci dziesiątek lat ten wiecznie przez kogoś ciemiężony, uciskany, wyzyskiwany, czarnoroboczy rosyjski naród!

Biedny car Iwan Groźny. Jakże pobladł, jakże zmalał, jakże znaiwniał jego krwawy cień w historii tego strasznego kraju!

Pod koniec naszego pobytu w Charkowie przybywa jakiś olbrzymi transport. Jak musi być liczny, tego najlepszym dowodem jest to, że zaległ wszystkie kilometrowe korytarze tiurmy.

Cele są przepełnione, a jakoś nie wpadli jeszcze na pomysł układania

w nich ludzi warstwami.

Leżało to pokotem na zabłoconym betonie, w przeciągu, prawie po ciemku, bo korytarze nie mają okien. Dużo wśród nich Polek. Zbliżyć się jednak nie pozwalają, pędzą nas tylko do uborny wąskim przesmykiem między dwoma pod ścianami leżącymi rzędami. Zwieziono je wszystkie z różnych tiurm do charkowskiej, skąd pewnie rozesłane zostaną po łagrach. Raz tylko jeden udaje się nam nawiązać z nimi dłuższą rozmowę przez zabite deskami okno naszej celi w czasie ich *progułki*. Mam tym razem szczęście. Dwie z nich siedziały razem z Kasią na Zamarstynowie. Opowiadają to samo, co Olga. Straszne śledztwo, katownia, niebywały hart i trzymanie się. Czy ją wywieźli – nie wiedzą. Zostały zabrane stamtąd wcześniej. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jednak musi już być dawno w Rosji. Całą zimę odchodziły z Zamarstynowa transporty…

Dla mężczyzn z tego nowego eszelonu nie ma już w ogóle miejsca w tiurmie. Trzymają ich na dworze w błocie, na wiosennej plucie, w wysoko omurowanym dziedzińcu, tym właśnie, na który wychodzi nasze okno. Nie widzimy ich więc, tylko słyszymy dzień i noc rozmlaskane w błocie kroki, bo im nie wolno stać, a usiąść nie mają gdzie. Chodzą więc w kółko, pilnowani przez pokrzykujących dyżurnych, jak potępione jakieś dusze. Noce są jeszcze zimne i pada drobny, wnikliwy deszcz. Ku wielkiej naszej uldze nie słyszymy polskiego języka. Pocieszamy się więc, że nie ma wśród nich naszych.

Kroki te człapały jeszcze pod oknem, kiedy w sam Wielki Czwartek wywołano do transportu wszystkie Polki, które były w celi. Zostawiłyśmy w niej na ścianie podpisy czytelne, jeden pod drugim w dwóch rzędach, zamknięte ramką głęboko w tynku wydrapanego rowka… Wyglądało to zupełnie jak pamiątkowa tablica na zbiorowym grobie…

No, a potem ręcznik na głowę, worek na grzbiet, błotki, koc i *dawaj s wieszczami…*

Z Artiomowska została mi w pamięci sieczka podobna do wszystkich tamtych. Tyle że tym razem nie kąpali transportu, o jedną zatem udrękę mniej… Poza tym wszystko jak zawsze: ścisk, smród, deptanie po sobie, bójki o miejsce, brak powietrza. Pamiętam tam jedną Cygankę śpiewającą cygańskie romanse i jej niski, gardłowy głos, pełen naprawdę mogącego działać czaru. I kaszę jaglaną z ogórkami, i tępe, szklane oczy nałogowej onanistki, leżącej tuż obok mnie. I cóż jeszcze? To chyba, że Mała Władzia zamieniła u którejś z bab swoje śliczne wężowe pantofelki i śniegowce na stare buciory z cholewami, i to wreszcie, że nas do transportu wywołali po czterech dniach, o godzinie trzeciej po południu, a wzięli dopiero o czwartej nad ranem. Siedziałyśmy skulone na własnych tobołkach, jedna dosłownie na drugiej, bo nas spędzono przed wyjazdem z kilku cel do jednej. Czekałyśmy więc, siedząc przeszło dwanaście godzin.

Ale i to wreszcie minęło i po całodziennej jeździe za reszotką wyrzucił nas pociąg nocą na małej stacyjce w szczerym polu.

Na czole budynku duży czarny napis:

Starobielsk…

Rozdział III
STAROBIELSK

Czekanie jest jednym z podstawowych zajęć więźnia. Czy w celi, czy w transporcie, gdziekolwiek go losy rzucą – czeka. Czeka, najczęściej stojąc albo siedząc na własnym tobołku. Godzinami. Nikt mu nigdy nie powie, na co czeka ani jak długo czekanie to potrwa. Jest to jakiś chroniczny, nieuleczalny jego stan, pozornie nieszkodliwy, a przecie męczący nad wyraz.

Czekamy więc na stacji. Noc jest daleka, ciemna. Wiatr dmie zza węgła i druty jęczą nad głowami. Ale zimno nie jest. Czuje się już wyraźnie w powietrzu smak kwietnia. Czeka nas kilkanaście. Wszystkie te, które ruszono razem z Chersonia. Ktoś mówi, że pewnie czekamy na woron. Może być. Równie dobrze jednak mogą nas tu tak potrzymać parę godzin, czy do rana choćby, a potem pognać piechotą.

Wiemy, że Starobielsk nie jest już, w ścisłym tego słowa znaczeniu, tiurmą, tylko zamkniętym łagrem i że mieści się na obszarze dawnego klasztoru prawosławnych monaszek.

W rozległej ciemności jawią się wreszcie niskie, białe rogi macających drogę reflektorów. Zatem jadą po nas. Nie pójdziemy piechotą. Oczywiście Hinda zachwyca się świetną organizacją. Lora jest duża, rozklekotana. Włazimy na nią skwapliwie, gotowe nawet dla świętego spokoju przyznać Hindzie rację.

Jedziemy – od niepamiętnych czasów pierwszy raz – nie w zamkniętej budzie czy wagonie, tylko otwartym autem. Noc jest wiosenna i powietrze jest wiosenne, ale obce w smaku i zapachu. Mijamy jakieś martwe, trwożnie obok drogi przycupnięte domki. Wszędzie cisza i pustka. Nigdzie nie czuje się życia ni człowieka. Nasze wsie, nawet śpiące, umieją

być ciepłe i zamieszkane. Tu z każdego zakątka wieje smutek i martwota, Hinda mówi: „Bogaty kraj…”, a ja myślę: „Bodajbyś w nim na zawsze została, kiedy ci tak pachnie…”.

Wreszcie baniata cerkiew na wzgórzu. Gościniec wije się tak, że raz mamy ją z lewej, raz z prawej strony. Czasem znika na długie chwile. Za każdym wynurzeniem się jest większa i większa. Rośnie, garbi się, rozbija na mniejsze kłębki bań. Teraz widać już okrągło wybałuszone okna. Czarne oczywiście. W miarę jak podjeżdżamy, cerkiew olbrzymieje, aż staje nad nami ogromna, cienista i martwa.

Starobielski łagier to zatrzęsienie domków i domeczków, rozsypanych w sadzie. Dno sadu jarzy się elektrycznymi gruszkami, które rosną na niskich słupach. Dziwne wrażenie robi ten od spodu podświecony sad o bielejących koślawych pniach. Jakieś opaczne, wiosenne Zaduszki.

Po formalnościach, tych samych co zawsze, puszczają nas do pustej kancelarii, gdzie mamy czekać do rana. Śpimy, a raczej męczymy się zwinięte na naszych wieszczach. Rano widzę, że mysz wygryzła mi dziurę w worku na chleb. Zły znak! Myszy głodne, więc pewnie ludzie też.

Istotnie. Głód był zasadniczą cechą naszego pobytu w Starobielsku. Ze wszystkich dotychczasowych postojów tu dawał się nam najdotkliwiej we znaki.

Cela, do której – po dwunastu dniach kolejnego przepędzania nas po różnych blokach – puszczają nas nareszcie, jest duża i robi wrażenie podzielonego tylko przepierzeniami na trzy części klasztornego refektarza. Może trochę na refektarz za niska, ale czymś takim musiała być za dawnych czasów. Dziś jest tu ciasno i ciemnawo od dwupiętrowych nar[10], biegnących wzdłuż ścian i okien.

Wąskie przejście między narami tłoczy się w tej chwili od naszej nowo wpędzonej grupy. Ogarnia nas rozpacz. Nary są szczelnie zapchane,

[10] prymitywne łóżko do spania; prycza

zamieszkane, wrogie… Gdzież się tu pomieścimy my? Trudno jednak. Trzeba próbować. Zaczyna się, tak dobrze nam już znana, dotkliwie przykra walka o miejsce. Na kojkach podnosi się szum sprzeciwu. Każda krzyczy, że ciasno, że nie chce, żeby iść gdzie indziej. To zawsze bardzo gorzka chwila dla tych nowych. Jakże się komu siłą pchać na siennik? Jakże, wbrew nieukrywanej niechęci i złości lokatorek, sprowadzać się komuś w tę ciasnotę?

Kiedy tak stoję bezradnie, szukając oczyma jakiejś znajomej twarzy, jakiegoś życzliwego spojrzenia, czuję, że mnie ktoś od tyłu trąca w ramię. Oglądam się i widzę na górnym piętrze nar – ruchem owych chimerek z paryskiego Notre Dame oparte o brzeg kojki łokciami – dwie młode, nieznajome mi osoby.

– Niech pani do nas przyjdzie. U nas jest miejsce – mówi jedna z nich, o żbiczym, jak mech zielonym spojrzeniu, podczas gdy druga nie mówi nic, tylko patrzy na mnie z wyżyn swojej kojki błękitnymi oczyma. – Prędko! Niech pani włazi na górę, żeby kto inny nie zajął. My chcemy mieć tutaj panią – przynagla energicznie pierwsza i ciągnie już moje worki. – To bardzo dobra kojka. Blisko okna, jasna. I nie ma u nas wszy…

Jestem im niezmiernie wdzięczna za okazaną gościnność, ale jeszcze się waham. Chciałabym mieć bliżej Małą Władzię. Cóż, kiedy i ona jedno tylko miejsce zdobyła, i to w drugim kącie celi, na parterze pod oknem. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak przyjąć gościnę tych obcych, uprzejmych pań…

Bardzo mi śmiesznie dziś tak o nich pisać! Trudno mi uwierzyć po prostu, że był w moim życiu kiedykolwiek okres, gdy Helena z Marysią były mi obce i nieznajome! Zabawnie, jak to człowiek niczego naprzód nie odczuje i nie przewidzi… Nie wiedziałam, że włażąc wtedy na tę kojkę, wspinam się naprzeciw mocnej, oddanej, prawdziwej przyjaźni, którą miałyśmy znaleźć wszystkie trzy na tym wspólnym sienniku w

Starobielsku.

Siedzę wreszcie na górze i – szczęśliwa z otrzymanego miejsca – zaczynam się rozglądać po okolicy. Teraz dopiero, kiedy się wszystko trochę uspokoiło i osiadło, widzę, jaka moc znajomych. I z więzień, i z transportów, i z wolności jeszcze. Po prostu kawałek Lwowa! Jest Złota Cesia i pani Stefania, ta z trzynastki na Specu, jest Bronia Przystajko, jest owa, uratowana ze szponów pajęczycy zza pieca, miedzianowłosa Mariela i wiele, wiele innych.

Jak we wszystkich sowieckich więzieniach mieszanina tu jak na dolinie Jozafata. W trzech połączonych ze sobą celach siedzi nas chyba ze dwieście! I kogo tu nie ma? Polki, Rosjanki, Rumunki, Węgierki, Ukrainki z Polski i te z Zakarpacia, Żydówki – wszystko! Wszystko też gada równocześnie, wszystko się kłóci, śpiewa, a jak dobrze pójdzie – bije i wyzywa od ostatnich. Taka jest zwłaszcza pierwsza kamera, gdzie z kilkoma wyjątkami zgrupował się najgorszy, najwrzaskliwszy element. Celę środkową, najmniejszą, zajęły Żydówki. Na pryczach dmą się piernaty złapanych na granicy bogatych uchodźczyń z Węgier, Rumunii, Austrii, obok takich samych jak Szwarc, zawiedzionych, ubogich, wyłapanych przez Sowiety na granicy stworzeń, które się spodziewały znaleźć tu schronienie. No i można powiedzieć, że je znalazły! W tej też celi, między Rudą Panterą i dumą Salcią, rozłożyła się nasza ideowa Hinda i jest zachwycona intelektualnym poziomem celi.

Trzecią, ostatnią kamerę, a zwłaszcza jej górne piętra, zajęły przeważnie Polki.

Mieszkam zatem na piętrze, na drugiej kojce od drzwi, koło Marysi i Heleny. Kojką nazywa się tutaj pewną przestrzeń na narach, przestrzeń odciętą z dwóch stron na kant postawioną deską. Przegródka taka ma mniej więcej metr dwadzieścia na metr osiemdziesiąt, a muszą się w niej zmieścić trzy osoby. Każda kojka ma jeden duży siennik i trzy koce.

Poduszką jest własny worek z rzeczami. Nasza prycza trafia właśnie na ścianę z oknem, tak że światła jest dość. Szybki są wprawdzie z zewnątrz zasmarowane wapnem, abyśmy nie mogły widzieć jakiegoś zabłoconego zaułka. Przez to porysowane jednak w wielu miejscach bielmo widzimy go i tak.

Im bliżej poznaję moje bezpośrednie sąsiadki, tym bardziej je lubię. Helena siedzi za zbrodnię *„pomieszczykostwa”*. Ma prócz tego jeszcze jakiś dodatkowy paragraf za „propagandę religijną”. Ratowała i żywiła księży po rozpędzeniu w jej powiatowym mieście klasztoru jezuitów. Z zawodu jest agronomem. Zarządzała majątkiem ojca, borykała się z gospodarstwem, użerała z trudnościami. Jej bezprzykładna, niedobita energia wyżywa się na razie w obowiązkach starosty celi, ale to wszystko mało. Bardzo ciężkie śledztwo i trzy miesiące ciemnicy o chlebie i wodzie nie złamało jej ani fizycznie, ani duchowo. Helena jest obecnie jak młody, szalony wicher zamknięty w ciasnej skrzyni. Bezrobocie i brak przestrzeni, do której od dziecka nawykła, to najgorsza kara, jaką jej mogli wymyślić.

Skrajnym jej przeciwieństwem wydaje się Marysia. Jest jak kłębuszek jedwabnego puchu, którym by ktoś owinął szczerozłote, rozumne i gorące serce… Z usposobienia – a może z wyrobienia – jest najbardziej opanowanym, taktownym stworzeniem, jakie znam. Przy całej prostocie, pogodzie i wdzięku jest bardzo zamknięta i swoja własna. Dużo wody upłynie, nim dowiem się od niej czegoś o jej osobistych sprawach, nim poznam z opowiadań oboje rodziców, męża, dom. Z zawodu jest pianistką. Umie słuchać jak nikt i jak nikt milczeć. To mi zwłaszcza dogadza, bo gadam przecie jak najęta. Bardzo nam dobrze razem.

Już to w ogóle ten kąt celi wyjątkowo nam się udał. Naprzeciw, na górnych kojkach, odgrodzone od nas jedynie wąską rozpadliną przejścia, mieszkają dwie Cesie: Złota i Różowa, zaś tuż obok nas, na kojce pod

ścianą, dwie Długie Krystyny i Danusia. Świetnie się dobrały. Wszystkie trzy są smukłe i wysokie tak, że kiedy śpią, trzy pary bosych stóp sterczą z nar nad przejściem. Wszystkie siedzą za „organizację". Dłuższa z dwóch Krystyn dostała niedawno z domu farby i szkicownik. Musiała osobno prosić naczelnika o pozwolenie. Zezwolił, żądając jednak, aby mu co jakiś czas przedkładała wszystko, co narysuje, do cenzury. Nie wolno jej też z natury malować ani krajobrazów, ani budynków. Odchodzą więc różne natury martwe, jak tiulki w mojej drewnianej misce, gałązka kwitnącej gruszy w garnuszku, portrety lub ilustracje do opowiadanych przeze mnie bajek i historii. Wymalowała też śliczną talię kart do gry na denkach pudełek od zapałek. Druga Krystynka wyczynia lalki i maskotki ze szmatek i pomysłowe pantofle na kojki. Siedzimy bowiem wszystkie bez butów, które jak w meczecie, na progu nar zostawiane, czekają grzecznie szeregiem na podłodze. Danusia – trzecia z tej kilometrowej trójki – jest niewyczerpaną kopalnią nowel i powieści, które opowiada z dosłownymi dialogami, jak ongiś Dozia na Brygidkach.

Dom prowadzimy otwarty. Schodzą się u nas na bajki, na plotki, na kabałę, na brydża. Przychodzi więc Bronia Przystajko, którą widzę tu pierwszy raz od Lwowa. Swoim świetnie skrojonym zielonym kostiumem, silnie posiwiałym czubem i szykowną krawatką odbija jaskrawo od rozmamłanego tłumu. Wygląd jej, ruchy i sylwetka – tą właśnie staranną, szykowną innością – do furii doprowadza zawsze tych w błękitnych czapkach, a wśród więźniarek zdobywa jej tytuł Księcia, idący za nią przez wszystkie więzienia. Prócz kostiumu ma jeszcze futro – szeroki zasobny reglan, podbity kangurami – futro, które też na nerwy daje dyżurnym. Ci nazywają ją znów Archirejem. Zjawia się u nas czasem neurasteniczka Henia, z Weltschmerzem, z ciekawym talentem malarskim i niespotykanym bogactwem ciągle komuś opowiadanych, niezwykłych sercowych powikłań.

Czas zatem mamy szczelnie wypełniony, bo ciągle coś nowego dzieje się na naszej kojce.

Na ogół rygor w Starobielsku o wiele lżejszy niż wszędzie dotąd. Wolno nam jawnie posiadać igły, nici, lusterka czy ołówki, nie odbierają tasiemek, nie odrywają gum – o ile je która aż tu dowiozła. Jedynie papieru mieć nam nie wolno. Szkicowniki Długiej Krystyny są zupełnym wyjątkiem.

Dyżurni mężczyźni znikli tu prawie bez śladu. Są na ich miejsce kobiety. Mamy ich kilka. *Naczalnica* to dziewa rosła, ciężka i ordynarna na ich kulturny sposób. Chodzi w perkalowej, długiej do kostek sukni i czarnych, bawełnianych pończochach. Na głowie o splecionych na drobnych rurkach w barana włosach purpurowy tym razem beret. Dotąd bywały tylko białe. Twarz hoża, oczy skośne i jaskrawo ukarminowane usta.

Druga to baba przedwcześnie zwiędła, zła i popielata, o małej głowie okręconej białą chustką ciasno – jak na staroświeckich rysunkach główka aptecznej flaszeczki papierkiem. Na nogach spadające z pięt kalosze. Przeważnie milczy, ale gdy się rozgdacze, jej monotonny, jaskrawy głos słychać pewnie po wszystkich blokach. Z niewiadomych powodów nazwałyśmy ją sobie Matka Tiulki.

Sama Tiulka to stworzenie podobne w sylwetce do swej rzekomej matki, tyle że je rozsadza bardzo już późna ciąża. Chodzi odziana w ciasną rurę zrudziałego pluszowego płaszcza. Twarz ma niebrzydką, o bladych, gorzkich w wyrazie, zawsze niedomkniętych ustach. Jest nijaka. Ni zła, ni dobra. Wygląda na strasznie zmęczoną i pewnie nią jest. Od brzasku do późnej nocy gania po celach, jest ciągle na nogach, ciągle się śpieszy. Jeżeli nie krzyczy na nas jak tamta, to chyba dlatego, że jej wszystko jedno ze zmęczenia. Takie przynajmniej robi wrażenie.

Potem jest jeszcze Pola, kobieta koścista, ogromna i bardzo schludna.

Mówi się o niej po cichu, że była monaszką. Odbywa któryś tam rok zamkniętego łagru.

Ambulatorium mieści się w małym, białym domeczku niedaleko cerkwi. Prócz ruskiego wracza i siostry urzędują tam dwaj nasi zakluczeni lekarze. Czysto tu i porządnie. Pachnie lakier i lekarstwa, lśni nikiel dentystycznych narzędzi. Ale gdy przyjdzie co do czego, okazuje się, że niczego tu właściwie nie ma. Ot – morgancówka, bilardowy lapis, ichtiolowa maść, trochę waty i bandaży. Nasi lekarze są przepłoszeni i niepewni. Czasem wymownym gestem, poza plecami tamtego, tłumaczą swoją bezradność. Nie mogą właściwie nic. Spod długiego fartucha wyzierają im łatane, postrzępione spodnie i gołe nogi, tkwiące w rozłażących się, polskich jeszcze trzewikach.

Na bolnicę brano z celi tylko kogoś z wysoką gorączką, ale jak był leczony, nie wiem. Wiem natomiast, że mnie nie leczono wcale, choć bardzo by się to było przydało. Od samego prawie przyjazdu do Starobielska zaczęłam cierpieć na jakąś niewiadomą wysypkę. Swędzi mnie całe ciało obłędnie, drę się na jawie i we śnie, nie wiem już, na który bok się położyć. Lekarz mówi: awitaminoza, a ponieważ różne jej formy widziałam już po tiurmach, godzę się z tym imieniem i drapię się dalej jak parszywy pies. Już to w ogóle nasza kojka zaczyna niedomagać. Marysia ma piodermię na obu rękach. Strasznie bolące, białe, nabrane wodą bąble, które palą jak ogień, póki się ich nie przekłuje, a przekłute ranią się i nie goją tygodniami. Nie może się sama ani umyć, ani ubrać, ani niczego koło siebie zrobić. Siedzi cierpliwie na kojce, piastując dwie lalki obandażowanych dłoni, a po powrocie z opatrunku robi się jej słabo z bólu. Raz nam nawet zemdlała po pełnej werwy i pośpiechu perewiazce sowieckiego eskulapa.

Wszy, nabrane w transportach i w Charkowie, wybiłyśmy tu doszczętnie. Należy już do rzadkości pojawienie się jakiej. Zdarza się to

jeszcze czasem po zbyt długim i zbyt stłoczonym czekaniu na otwarcie rano drzwi i wypuszczenie nas do uborny.

Ach! Ta niezapomniana, starobielska uborna! Przybytek ohydy, bezwstydu i naszej udręki! Jest to szopa długa na kilkanaście metrów, od strony sadu prawie zupełnie otwarta. Za nią zielona młaczka, porosła szuwarem i kwaśnymi trawami, a jeszcze dalej rząd starych topól, których przejrzyste jeszcze kołtuny gałęzi obsiadły gęsto – gnidy wiosennych drzew – gawronie gniazda i jemioły.

Szopa jest niska i przewiewna. Środkiem jej biegnie rów głęboki, a nad rowem chybotliwe deski z wąską szczeliną pośrodku. Deski te – o ile nie są załamane – są tak sprężyste, że trzeba dobrze się trzymać, aby nie stracić równowagi, gdy ktoś drugi na nie wchodzi. Po prostu złowroga huśtawka nad kloacznym dołem! Wszystko zaś razem zalane, zamazane, upaprane chlorem i czymś innym oczywiście, jest tak śliskie, że każdy nieuważny krok grozi wywróceniem się.

Do tej uborny puszczają nas raz przed świtem, drugi raz po obiedzie. Ustawiają nas pod blokiem w czwórki, skąd pod groźnym spojrzeniem zakarpackiego ciućmoka, który z urzędu pomaga Poli, maszerujemy w sad. Im bliżej jednak celu, tym trudniej utrzymać porządek. Już mniej więcej od połowy drogi szeregi mieszają się, łamią, wreszcie wszystkie prawie puszczają się galopem w stronę szopy. Robi się to czasem na złość Zakarpackiej, czasem dla żartu, często dla zażycia ruchu, ale głównie pośpiech ten to ma na celu, że te, które pierwsze szopy dopadną, mogą sobie wybrać lepsze miejsce. Tylko ten, kto to przeszedł, rozumie i pojmie te finezje! Które miejsce jest suchsze od innych, z którego jest się z głębi sadu mniej widzianym, gdzie deski mniej się chwieją i w który kąt zwykło chodzić Zakarpacie. To są sprawy niesłychanej wagi w tych okolicznościach, zwłaszcza gdy się wie, że w chwilę potem cała szopa będzie już szczelnie zapakowana!

Resztki wstydu, delikatności i estetyki utopić nam kazano w tym rowie! Z sadu, pełnego pracujących mężczyzn, widać nas tu jak na dłoni. Ale czyż więzień ma prawo do jakichkolwiek ludzkich uczuć i względów? Nie. Przez cały czas Pola, Tiulka czyjej matka chodzą wzdłuż szeregu, przystają nad nami, popędzają, poganiają, złoszczą się. Oprócz zakarpackiego czopa mamy bowiem przy tej czynności zawsze jakąś wyższą władzę. Sterczy tu pewnie po to, aby przeszkodzić i zapobiec zostawianiu listów w szparach desek, pod deskami, za beczką z chlorem, za belkami, gdzie się da. Do tej samej uborny pędzą co rana wszystkich mężczyzn. Jest to jedyne miejsce, gdzie się nasze drogi zbiegają, więc taka tajna korespondencja na to żałosne, kloaczne *poste restante* ma tu pewne widoki powodzenia. Nie o same zresztą listy chodzi. Przesyłki zostawia się czasem też. Czasem pajkę chleba – najcenniejszy dar przy starobielskim głodzie – pudełko z zapałek pełne cukru, machorkę… To zostawiają kobiety. Od mężczyzn w zamian przychodzą krzyżyki i medaliki, niektóre zupełnie nawet ładnie rzeźbione w kości, wyciągniętej z zupy, takież pierścionki i broszki. Mimo szpiegowskich spojrzeń zakutanej baby, mimo drobiazgowej rewizji szopy po każdej naszej bytności, przecie niektóre z tych rzeczy docierają do właściwych rąk. Zaszywa się to wtedy w podszewkę płaszcza, w watę zarękawka, w obrąbek sukni, aby je ustrzec przed rewizją. Bo rewizje co jakiś czas przeprowadzają na celi i tutaj. Nie są już może tak zachłanne jak tamte w więzieniu, bo nam więcej wolno tutaj posiadać, ale nie cierpimy tych rewizji, po których kojki nasze wyglądają jak zryte przez całe stado dzików.

Na szczęście nieczęsto urządzają nam takie przyjemności. Co dwa tygodnie mniej więcej.

Raz tylko, pamiętam – 30 kwietnia – zaskakuje nas niezwykła, nadprogramowa rewizja. Odbierają nam wszystko, cokolwiek ma na sobie cień czerwonego koloru. Od troczków, na które zakręcają sobie

niektóre z nas włosy na noc, do czerwonych nitek, czerwonych pasków – aż śmieszne! Nie wiem, jakich socjalistycznych demonstracji obawiali się na 1 maja, dość, że musieli się czegoś obawiać, skoro tak dalekowzroczne zarządzenia zostały w związku z tym dniem wydane. Wzięli też z celi na osobny blok cały „element wywrotowy". Poszła więc narwana Wala i nieobliczalna Rysia i Staszka, rozwrzeszczana przemytnica z Katowic, i kilka jeszcze z pierwszej kamery. Dopiero gdy ów drażliwy dzień spokojnie przeminął, wróciły i one, i wszystkie czerwone troczki, szmatki, nitki. Niebezpieczeństwo zostało szczęśliwie zażegnane.

Z wszelkiego rodzaju praniem, myciem i piciem sprawa jest dość skomplikowana. Wodę dostajemy raz na dzień, wieczorem Zakarpackie przynoszą ją do schodów w olbrzymich baniakach, które trzeba już potem samemu przydźwigać na celę. Robią to dyżurne, do których, jak zwykle, należy także wyniesienie rano pełnych wiader z kąta – paraszki bowiem się skończyły, są tylko nienakryte wiadra – wyszorowanie podłogi i pozamiatanie celi. Wodę kolejno na kojki rozdaje starosta z równym prawie namaszczeniem, co zupę i *czaj*, bo woda ma dla nas bodajże większą od nich wartość. Kazionna, otrzymana tu do użytku spora jej rynka wystarczyć musi do mycia, picia, zmywania posudy i prania. Do bani prania brać i nie wolno, i nie warto. Woda tam przeważnie zimna i tak jej mało, że często nie ma czym mydła z siebie zmyć. Zatem prać musimy w celi. Mamy dwie obite miednice. Stoją w kącie na stołku. Do mycia trzeba sobie rano zamawiać kolejkę długo naprzód. Do prania też. Brudne mydliny okazały się przy bliższym poznaniu niesłychanie cennym nabytkiem po poprzedniczce. Mydła mamy bardzo mało. Łakomimy się zatem na cudze mydliny. Oczywiście są i w tym pewne finezje. Np. mydliny po praniu Różowej Cesi mają największy zawsze popyt. Cesia jest schludna i czysta jak szop pracz. Ma zresztą jeszcze polskie mydło i nie żałuje go nigdy.

Strych mamy na środku celi pod sufitem. Całe festony kolorowych i białych łaszków schną w ciepłym przeciągu, zaś w nocy bielizna ta zasłania miłosiernie wiszącą tuż nad nami żarówkę. Nieodmiennie każda rewizja zdziera nam sznurki i wyrywa gwoździe – nieodmiennie, w chwilę potem, znajdują się jakimś cudem nowe i znów cały sufit bieleje od tych girland wilgotnych…

W południe, kiedy okna pełne są słońca, kiedy niedawno wyszorowana podłoga lśni mokrymi deskami, a nieprzeliczone pary najrozmaitszych butów czekają równo wzdłuż nar – cela nasza ma wygląd jasny, pogodny i czysty. Gdyby kto o tej porze zaglądnął do nas, a nie wiedział, że to więzienie, może by nawet nie poznał, na co patrzy. Każda kojka żyje swoim własnym życiem, każda z siedzących tu kobiet, posprzątawszy „mieszkanie", sama umyta i uczesana, zajęła się już tym czy owym. Wiele z nas śpi, korzystając z tego, że w dzień, gdy nie wszystkie trzy leżą w przegródce, jest w niej o wiele więcej miejsca.

Naprzeciw naszej kojki, trochę na prawo, mieszkają Ukrainki. Co do ich przekonań politycznych żadna z nas nie ma ani złudzeń, ani wątpliwości. Odzywają się do nas wyłącznie po rusku i wiemy, że jak kanie dżdżu czekają zwycięstwa Hitlera. Wszystkie cztery to córki albo żony ruskich księży. Bardzo porządne stworzenia. Nigdy ze strony tych czterech właśnie nie spotkała nas żadna przykrość. Przeciwnie. Były taktowne i koleżeńskie. Co sobie myślą, co czują, czego pragną i o co się godzinami, twarzą ku sobie zwrócone, modlą wspólnie po cichu – to już ich sprawa. W to nie ma nikt prawa wglądać. Wolno mi jednak – w imię słuszności i prawdy – stwierdzić tu, że musiałyśmy w nich szanować godne i pełne charakteru zachowanie się wobec sowieckich władz, poprawność i uprzejmość w stosunku do Polek i to nawet, żeśmy je musiały lubić za ich uprzejmość i delikatność.

Ot, ta pierwsza z brzegu, ta drobna, zgrabna – to Ola. W swojej

haftowanej sukienczynie z lnianego płótna, o lekko skośnych oczach młodej sarny i kalinowych ustach – jest śliczna. Lubi do nas przychodzić na bajki, a ja znów lubię je opowiadać, kiedy ich słucha z przejęciem i bez tchu, jak dziecko. Druga z rzędu, Marusia – ta z warkoczami po kolana, i tamta, czarna jak ożyna, chora na serce Irka – nie chodzi nigdy z wizytami. Owinięte jednym kocem odmawiają godzinami różaniec albo haftują z dwóch końców jedną i tę samą serwetkę. Czwarta z nich tylko, Paraskiewia, nie jest ładna, ale mam wrażenie, że najinteligentniejsza z nich wszystkich. Twarz ma mizerną, trójkątną, a oczy – o charakterystycznym u Rusinów wyrazie kwaskowatego sprytu i nieufności – szowinistki i ideowca. Jej pewno najtrudniej nałamać się do tych dyplomatycznie poprawnych stosunków z nami. Nigdy też, bez koniecznej potrzeby, nie zwraca się do nas, ale kiedy się zwróci, jest grzeczna i zawsze taktowna.

Nie o wszystkich Ukrainkach, które z nami siedzą, mogę to powiedzieć. Po większej części sprawy narodowościowe były u tych innych tylko dodatkiem, sednem zaś rzeczy klasowa nienawiść do inteligencji, jako też były to przeważnie dziewczęta niewykształcone i ze wsi. Ale zdarzają się też wśród nich typy ćwierć-, pół- czy trzy ćwierci inteligentek i te – swoją nienawiścią do wszystkiego, co polskie – porządnie nam nieraz życie truły. Jedna taka, znajoma mi jeszcze z Brygidek, siedzi teraz na pierwszej kamerze. Mimo pewnego obycia jest najbardziej gruboskórnym, chamowatym typem, jaki sobie można wyobrazić. Na każdym kroku ćwika nam w oczy jesienną klęską Polski, w ironiczny sposób wykpiwa wszystko, co nasze, i umie wrzeszczeć na wszystkie trzy kamery, że woli zgnić w bolszewickim więzieniu, niż być kiedykolwiek w Polsce. Ulubionym jej zajęciem w dodatku jest łapanie much i obrywanie im skrzydeł. Jej brunatne, jakby sokiem śliwkowego kompotu nasiąknięte oczy, przyglądają się potem z lubością, jak okaleczone w ten sposób wędrują bezradnie po ścianie. Niechlujna jest też i żarłoczna. By zdobyć

kartofel z baniaka, potrafiłaby się dopuścić podłości. Pamiętam ją, jak na bolnicy w Brygidkach jeszcze wypijała chyłkiem mleko, przeznaczone dla kilku ciężej chorych. W ogóle typ wstrętny i nikczemny. O czterech jednak popadiankach z przeciwka mogę powiedzieć tylko samo dobre.

I mamy tutaj jeszcze trzeci, najliczniej może reprezentowany odłam Ukrainek – tych dzikich, z Zakarpacia. Są to wszystko dziewczęta zupełnie nieokrzesane, prosto z lasu i połonin, których cień nawet żadnej cywilizacji nie tknął jeszcze dotąd, ale które już dawno zatruć zdołał – od wschodu ku nim wiejący – wiatr komunistycznej propagandy. Kiedy we wrześniu Sowiety napadły Polskę, wszystkie te siedzące dziś z nami Cyle, Zinki i Maryjki, z matkami, ojcami i braćmi ruszyły im radośnie na spotkanie, ani śniąc, co je za to czeka. Zwabiono je bujdami o szczęściu roboczego ludu, o świetnych warunkach pracy, o dobrobycie, zarobkach. Nie przekradali się chyłkiem przez granicę. W biały dzień, całymi wsiami, prowadząc ze sobą cały swój dobytek, szli w szeroko, po bratersku otwarte ramiona sowieckich tiurm. I tak to same, z własnej idiotycznej woli, wlazły Sowietom pod kopyta. Niczym kierdel głupich, niepilnowanych owiec. Jakże się tym razem opłaca propaganda! I ta sieć zastawiona na ludzi wzdłuż całej południowej granicy Polski! Na ludzi i na ich dobytek, bo krowy, konie, owce i kozy, które te dzikusy ze sobą przywiodły, przeszły oczywiście też na własność państwa. We wszystkich tiurmach po drodze spotykałam już Zakarpacie. Dziewczęta to zdrowe, młode, silne jak konie, nieokrzesane i głupie. Wspaniały materiał do łagrów! Noszą aksamitne, kolorowe, złotymi guziczkami obszyte gorsety, białe koszule o bufiastych rękawach i pstre, silnie marszczone spódnice. Ciekawam, jak się będą czuły po łagrach w burych, watowanych fufajkach, kiedy im się te właśnie ładne łaszki zedrą z czasem. Już dziś z każdego ich słowa zieje złość i rozdrażnienie, ale ponieważ myśleć nie nauczył ich nikt – wszystko się w nich ogranicza do niespodzianych odruchów, impulsów i wniosków

jak kulą w płot. I tak np. zawiedzione, uwięzione, wystrychnięte na dudka dyszą nieukrywaną nienawiścią do inteligencji i, mszcząc się na niej za to, czego im komunizm nie dotrzymał, rade by nas wszystkie w łyżce wody utopić. Miały przecież dostać odebrane „panom" ziemie, dwory, bydło i same stać się od razu takimi, jak oni. Tymczasem – coś nie wyszło. Przejawy, które w ich tępych, nieokrzesanych, zabałamuconych umysłach złączyły się z pojęciem znienawidzonego burżuja – jak wykształcenie, obycie, delikatność, formy, zatem to wszystko, czego niepodobna nikomu odebrać i ze zrabowanym mieniem przywłaszczyć sobie, dlatego właśnie, że się to okazało niemożliwe – stało im się nienawistne i wrogie. Czując za sobą plecy władz, te wszystkie Cyle, Zinki i Maryjki tępią w nas i prześladują to wszystko, co nas od nich odróżnia, jakkolwiek jest to tym właśnie, czego nam najbardziej zazdroszczą, począwszy od nawyku i potrzeby codziennego mycia się, a skończywszy na, dość żałosnych zresztą, próbach wstydliwego zaszycia się w najciemniejszy kąt w ubornie.

Progułkę mamy co dzień. W południe godzinę prawie wolno się wietrzyć nam i naszym kocom. W opustoszałych celach zostają zazwyczaj dwie stare wiejskie kobiety, w cudownie haftowanych koszulach i białych podwikach wokół brunatnych twarzy. Jedna z nich ma gruźlicę i krztusi się po nocach na dolnym piętrze nar, druga ma znów wole i astmę. Milczą i siedzą koło siebie bez ruchu całymi dniami, tuż obok wiadomych wiader w kącie. O brzasku jedynie, kiedy cała cela jeszcze śpi, zwlekają się obie na podłogę i bijąc pokłon za pokłonem, twarzą zwrócone ku oknu, modlą się żarliwie i długo.

Jesteśmy więc na progułce. Lekko pochyła, rozległa płaszczyzna podwórza między więziennymi barakami razi blaskiem i nieruchomym skwarem. Słońce o tej porze dopieka już porządnie. Toteż *progułka* ta jest tylko jednym wielkim zmęczeniem. Kto wyjdzie z celi, do której wolno mu dopiero wrócić po godzinie, ten musi już chodzić bez ustanku

w szerokim, sennym kole. Nie wolno ani przystanąć w upragnionym cieniu kilku drzew pod murem, ani zbliżyć się do studni, ani usiąść na schodkach. W tej samej bowiem chwili Pola, Tiulka czy ta w czerwonym berecie zgania nas i każe dalej krążyć. Słońce praży. Piasek razi.

Zakarpacie i Rumunki uprzyjemniają sobie czas szczerzeniem zębów do więźniów pracujących w sadzie. Jakkolwiek mamy wszystkie obowiązek udawać, że żadna żadnego nie widzi – takich nie upilnujesz! Wszystkie już mają jakiegoś „swego", do którego iskrzą się na dalekość, któremu jutro podrzucą pajkę chleba w ubornie, a który pojutrze przyśle im tą samą drogą pierścionek z kości czy krzyżyk. Ani Pola, ani Tiulka, ani naczalnica nie zdołają stanąć w poprzek sile, która ciągnie ku sobie ich wygłodniałe oczy, uśmiechy i tęsknoty. Jest przecie wiosna. Brzosty pod murem zapluły się już całe trzęsidłami lepkiego kwiatu, a gawronie gniazda w topolach pełne są miłosnego bulgotu i trzepotów… Jakże się więc dziwić im, tym od roku przeszło więzionym juhaskom z połonin? Jedna z nich zwłaszcza, w białym, haftowanym rumuńskim serdaku, o głowie ciężkiej od ciasno splecionych, masnych warkoczy, chodzi jak błędna. Obnosi po *progułkach* uśmiech bezwiedny, lśniący różowością dziąseł i szeregiem drobnych, ostrych zębów. Ma w spojrzeniu utkwionym w sad taki napór, taką czujność, taki mus instynktu, że przestaje się w niej czuć człowieka, a widzi już tylko wspaniały okaz młodego, wietrzącego drugie – zwierzęcia.

Gdyby człowiek nie był taki znudzony i taki śpiący od tego krążenia i słońca, może zdołałby się dopatrzyć czegoś zabawnego w tym jedynym w swoim rodzaju korsie. Bo cóż to za kopalnia typów!

Oto Ilona w pstrej piżamie, w balowych pantofelkach na wysokim korku, a obok niej Ziutka, mała, czarna, w żółtej balowej sukni i białych tenisówkach. Taką złapali na granicy i taka zresztą jedzie od Lwowa. Obie wyglądają jak z rysowanego sekretarza. Opowiadają coś sobie

ustami pełnymi śmiechu i słońca, a ja zachodzę w głowę, jak się mogą porozumieć, skoro jedna mówi po węgiersku, a druga po polsku tylko.

Tam ruda Toba wisi komuś amikalnie u ramienia i wgaduje w niego na pewno swoją wykwintną, warszawską polszczyzną z Nalewek poufne krytyki Hindy. Siedzi tamtej w nosie cały boży dzień, na krok się z jej kojki nie rusza, a potem obgaduje, ile wlezie. Ale Hinda nie dba. Wyniosła, inteligentna Hinda. Stoi tam oto pod barakiem w swojej kusej, jedynej, jaką posiada, sukni, tkwiąc gołymi nogami w cholewach wysokich butów, i czaruje złapanego w przelocie enkawudzistę. Przyparła go gadaniem do muru i jest ponętna i kobieca, i lojalna, i zasłużona, w ogóle – Hinda! Różowy paciuszek, Giga – o której się mówi po kątach, że wolała tzw. lekki chleb od innego – mizdrzy się opodal, przeglądając się w szybie baraku, i stara się za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę korpuśnego. Ona tak zresztą zawsze. Byle się który pokazał.

Tam Krystynka w bluzce uszytej niedawno z prześcieradła, w sandałach o drewnianej podeszwie, zgrabna i smukła jak efeb, odbywa z Heleną godzinę francuskiej konwersacji. Widocznie celem zażycia ruchu biegają przy tym obie, jakby je ktoś gonił czy jakby się dokądś ogromnie śpieszyły. Te drewniane sandały Krystynki to dzieło warkoczastej Mani, tej, która z rękami w kieszeniach zbyt obszernych męskich spodni spaceruje tam oto samotna, jak obrażony, ponury parobczak. Nie licują tylko z jej wyglądem te cienkie, bardzo długie warkocze, które okręca wiankiem wokół głowy. Dziwne stworzenie z tej Mani. Cały worek wypakowany ma narzędziami. Jak zdołała przez wszystkie rewizje przewieźć je aż tu – zostanie jej tajemnicą. Zrobiła sobie w celi pod oknem warsztat stolarsko-krawiecki i cały dzień – a co gorsza całą noc – potrafi stukać, krajać, wiercić. Z początku cela się buntowała. Prosiła o ciszę, groziła skargą. Mania spuszczała tylko niżej ospowatą, płaską twarz nad zaimprowizowane kowadło i tłukła bez słowa dalej.

A tam Ciotunia i pani Władysława. Dwie wykwintne, zupełnie po miejsku odziane damy spacerują pod rozpiętą parasolką, niczym w Badach po deptaku. Pewnie skarży się jedna drugiej, dlaczego to ją właśnie coś podobnego spotkało, że ona, którą „mąż przez całe życie na rękach nosił", że ona, która „przecież w Warszawie" itd.

Ta mała – to Jossika, Węgierka, do Marii Vetsery podobna Żydóweczka. Jest fenomenalną kabalarką. Całe ogonki czekają czasem przy jej kojce na swoją kolej. Nie prosiłam jej nigdy o wróżby, ale nieraz służyłam jej za tłumacza. Mała mówi tylko z węgierska łamaną niemiecczyzną. Jedną z jej wróżb pamiętam do dziś. Oto powiedziała Różowej Cesi, że jeszcze tej jesieni wyjdzie na wolność. Było to w maju czy w czerwcu 1941 r. Wszystkie wzruszyłyśmy ramionami. Jakieś duchy zresztą powiedziały to także komuś innemu jeszcze. Bo nie tylko kabała, ale i seanse spirytystyczne kwitną u nas na celi. Zakonspirowane, emocjonujące, śmieszne, na serio brane seanse. Było tam kilka dat śmierci Hitlera, była dokładna data końca wojny – w ogóle czego tam nie było? Seanse te urządza się zazwyczaj późno w noc, na kojce pod nami, ale tylko nieliczne i biorące rzecz poważnie bywają dopuszczane do tych tajemnic z zaświatów. Jest to więc godzina duchów, warkoczastej Mani i szczurów. Bo szczury oczywiście są. Zawsze w więzieniu są szczury. Wiedziało się o tym od dzieciństwa, z bajek. Ale bajką okazało się, że to takie straszne. Ot… smyrga coś po tobie we śnie, coś ci chleb spod głowy wygryza, coś czasem mydło zje czy rynkę z półki zwali. Spłoszone, chlapnąć umie ciężko na brzuch z piętra kojki i – tyle wszystkiego.

Jednego z tych szczurów właśnie obserwują w czasie *progułki*, przejęte zaciekawionym wstrętem, nasze małolatki. Bo i my mamy tu małolatki. Są to na granicy połapane i poaresztowane w Polsce dziewczęta poniżej lat szesnastu. Jest ich tu w tej chwili niewiele: sześć czy siedem wszystkiego. Mimo nawoływań Poli zbiły się w grupkę i patrzą. Pod

murem głodna kocia kończy właśnie zażartą walkę ze wściekłym kłębkiem futrzanego mięsa. Dziewczynki piszczą i zakrywają oczy, ale w naszym monotonnym życiu widocznie i taki obrzydliwy spektakl nie jest do pogardzenia. Małolatki te zostały dawno od nas oddzielone i umieszczone osobno. Spotykamy się z nimi tylko na *progułkach*. Dają im pono trochę lepiej jeść, mają gazety, książki, a czasem przychodzi do nich na przyjacielskie pogawędki jakiś enkawudzista. Gada o komunizmie, o konstytucji, o wolnej miłości, o nieślubnych dzieciach. Małe znosiły wszystko cierpliwie, póki nie przyszła kolej na religię. Wtedy postawiły się okoniem i musiano ten punkt programu z pogadanek wykreślić.

W czasie naszej *progułki* wynoszą czasem także – z innych cel, ale na to samo podwórze – półumarłe monaszki. Niosą je w kocach jak zwłoki, kładą pod ścianą w słońcu i zabierają po godzinie na powrót. Straszne, wychudzone, przez muchy obsiędzone nieumarłe trupy! Nie wiemy, czy to dawne monaszki starobielskiego monasteru, czy też zwiezione tu z innych tiurm? Te są na wykończeniu i nie mają siły śpiewać jak charkowskie.

Hasłem końca *progułki* jest zazwyczaj pojawienie się w głębi zabudowań roznoszonych przez więźniów olbrzymich baniaków z zupą. Porywamy wtedy nasze wietrzące się na drzewach i płocie koce i wracamy skwapliwie na kojki, aby czekać upragnionej godziny karmienia.

Nikt nie wie, jak jesteśmy głodne! Rano herbata ze szczyptą cukru i cienka kromeczka czarnego chleba. Chleb ten rozdzielają nam zawsze wieczorem i trzeba iście heroicznego zaparcia się siebie, aby go nie zjeść natychmiast – całego. Krajemy więc przezornie otrzymaną pajkę na trzy części i zakazujemy sobie jak najsurowiej tykać ich poza godzinami posiłku. Po prostu kurczowo staramy się o nim zapomnieć! Na obiad bywa chochla gorącej wody z kilkoma pomidorami i łyżką krup oraz dwie – dosłownie dwie – stołowe łyżki płynnego grochu, zaś na wieczór znowu chochla pomidorowej lub – co straszniejsze – rybnej zupy! To wszystko.

Można więc sobie łatwo wyobrazić, jak jesteśmy głodne. Z baniaka, nim przyjdzie na naszą celę, pilnujące nas zakarpackie grzmoty wyławiają systematycznie cały mizerny gąszcz. Jeśli się jednak znajdzie jeszcze w zupie jakiś nadgniły kartofel, istne piekło rozpętać się umie na celach, kto go dostanie.

Tej zaś, do której los się uśmiechnie, parę dni z rzędu wypieka się potem oczy, jej i staroście – bo do tego nieszczęsnego starosty należy dzielenie tej codziennej lury. Niektóre próbują sobie radzić na własną rękę. Po celach kwitnie handel zamienny. Chusteczka do nosa – jedna pajka chleba. Jedwabna koszula czy prześcieradło – 5 do 8 pajek chleba i kilka porcji cukru. Wypłata oczywiście trwa tygodniami, na raty. Czasem udaje się komuś zamienić coś z zasądzonymi z bloku obok, które dostają trochę więcej chleba od nas. Ale to są już łamańce i trzeba wielkiego sprytu, by przeprowadzić taką transakcję za plecami Poli czy Tiulki. Choć chleb jest najczęściej czerstwy i Bóg jeden wie, gdzie go te zasądzone przechowywały, jest zawsze cennym nabytkiem, którego zazdrości cała cela. Toteż zazwyczaj robi się to w tajemnicy ze strachu przed kapusiami, których tu pełno, i po to, żeby innym nie psuć krwi. Mamy też specjalistki, które żerują na ludzkich nałogach. Ileż to pajek tego biednego chleba wymancono od namiętnych palaczek za machorkę czy papierosy!

Przypuszczam, że z ogólnego głodu właśnie wzięła się też ogólna psychoza na temat kuchennych przepisów. Dyktują je sobie wszystkie, zapisują chemicznym ołówkiem na zmoczonych szmatach i wszywają pod podszewki na jakieś upragnione, cudowne „potem”. „Weź kwartę słodkiej śmietanki, 6 jaj, pół funta deserowego masła i ćwierć kilo cukru”… A tu kiszki marsza grają, czuje się nieustanną pochyłość myśli ku tej stronie kojki, w której leży ów zapomniany chleb. Zjadłoby się go razem z żałośnie obszernym teraz woreczkiem. Na obiad będzie pewno rybna zupa, a na kolację cuchnące marynatą tiulki.

Mamy czasem i niespodziewane sensacje na celi. Sprawa zaczęła się tak: Marzenka – stworzenie młode i niepozbawione wdzięku, Czeszka, oszpecona paraliżem części twarzy, który jedną połowę uśmiechu umiał jej gdzieś aż pod ucho podciągnąć – przyniosła raz Bóg wie jak wytrzaśniętą gazetę! Marzenka to w ogóle numer! Jeżeli chodzi o jej zawód, podejrzenia nasze wahały się między kuchennym blatem a latarnią. Ale to nic. Marzenka jest zabawna i jak się rzekło, ma wdzięk. Mówi śmieszącą nas węgiersko-rosyjską, z czeska łamaną polszczyzną, lubi śpiewać niskim, zardzewiałym głosem miłosne piosenki, zna tysiące przepisów kuchennych i ma duży zmysł humoru. Taż więc Marzenka zdobyła jakimiś swoimi chodami strzępek starej gazety. Gazety nie widziałyśmy już od niepamiętnych czasów. Ale ponieważ wiemy dobrze, że jest to zbrodnia, niechybnie karana karcerem, kryjemy się z jej posiadaniem przed ogółem celi. Bo co to można wiedzieć? Diabeł nie śpi.

Nie spał istotnie. W pierwszej kamerze, na kojce koło drzwi, mieszkała kreatura, jedna z tych, o których się słusznie mówi: szkoda, że je święta ziemia nosi. Wyglądała na stróżową bardzo obskurnej kamienicy, choć pretensje miała ogromne. W danych osobistych, ku wielkiej naszej radości, zeznała, że ma „dwa lata doktoratu". Kradła zawodowo chleb i cukier innym, kapowała z lubością władzom, donosiła jednej, co powiedziała o niej druga, jednym słowem „błogosławieni pokój czyniący". Otóż jakoś na drugi dzień po owej gazecie Marzenki Kazia – bo Kazia jej było – poprosiła o posłuchanie u naczelnika, a w godzinę po jej powrocie wzięto do karceru Marzenkę. Sprawa jasna jak słońce: Kazia zakapowała. I Marzenka znikła na trzy dni z celi. Wróciła trzeciego dnia spokojna, po swojemu krzywo uśmiechnięta i usiadła grzecznie na swojej kojce, czekając na śniadanie. Po śniadaniu poprawiła włosy, obciągnęła suknię i swoim lekkim, tanecznym krokiem skierowała się ku kojce Kazi. Bez jednego słowa wdrapała się na piętro i tam, bez

jednego słowa, zaczęła bić. Biła długo i systematycznie. Potem zeszła, obciągnęła suknię, poprawiła włosy i swoim lekkim, tanecznym krokiem najspokojniej wróciła do siebie. Niech sobie gada kto co chce, latarnia nie latarnia, rzecz była załatwiona z klasą.

A na świecie maj… Powietrze w celi pozieleniało od bliskich drzew. Nad kojką Krystyny wąska, na sznurkach zawieszona półeczka jest ołtarzykiem majowym. Mały obrazek Matki Boskiej między dwoma pęczkami byle jakiej zieleninki, zdobytej pod pozorem malarskich studiów z natury. Codziennie wieczór odmawia się chórem litanię, dołączoną teraz do tamtych, zwykle przez nas i przedtem odmawianych modlitw. Gwar w getcie przygasa taktownie na ten czas. Władze wiedzą dobrze o tej głośnej, wspólnej modlitwie. Parę razy widziałyśmy skradającą się popod okna błękitną czapkę korpuśnego. Niech sobie. Niech wiedzą, że prócz ich pieczołowitej opieki czujemy jeszcze nad sobą – inną.

Dnie są już długie, świty złociste i świeże. Pod małym budynkiem bani wysypały się czeremchy. Tyle że nie pachną po polsku. To, co od nich zalatuje, jest inne od tego, czego się człowiek od czeremch od dzieciństwa nauczył spodziewać. Może to zresztą i lepiej. Parę kroków od szopy z uborną zakwitła pierwsza jabłoń! Nigdy tej kościstej Poli nie przebaczę, że mi nie pozwoliła do niej podejść. Przecie to były dwa kroki! Jabłoń miała smukły, bielony pieniek i mocno różowe, ledwie rozpękłe kwiaty. Biedna jabłoń! Jakie to musi być straszne rosnąć na zawsze w Rosji! Nigdy bym tu nie kwitła!

Kwitnąć nie kwitnę, ale że mnie za to żywcem świerzb zjada – to pewne! Bo to świerzb, nie żadna awitaminoza! Pewnie charkowski, od czarnych sienników. Niech sobie doktor gada, co chce, niech mnie dalej maże tym czymś jak bilardowe sukno – ja wiem swoje! W nocy, kiedy się ciało trochę pod kocem i od ciasnoty rozgrzeje, zaczyna się istne szaleństwo drapania! Tego naprawdę niepodobna opanować. Człowiek

zaciska zęby i drze się do krwi, żałując, że nie ma zgrzebła czy tarka. Ma wtedy wrażenie, że leży w jakimś palącym płynie, że go otula swędzące do obłędu prześcieradło ognia. W dzień jestem zła i nieznośna. Opadają mnie przygnębienia i ponure myśli. Posądzają mnie o załamanie się wewnętrzne, a to tylko ten wściekły, przeklęty, zewnętrzny świerzb! Nie mogę już ani siedzieć, ani leżeć. Dochodzi w końcu do tego, że całe ciało mam pokryte archipelagami obłędnie swędzących ranek, które każdy ucisk i każde ciepło rozdrażniają do niemożliwości!

Wtedy to zrozumiałam dokładnie, co znaczy „drapać się z rozpaczy po ścianach". Jedyna bowiem pozycja, w której z końcem tego starobielskiego okresu mogłam jeszcze wytrzymać, to była tzw. świeca. Kojka jest wysoko, a sufit niski. Mogę więc, na karku tylko oparta, zaprzeć się stopami o sufit i całe ciało dźwignąć w ten sposób na powietrze. W tej pozycji spędzam całe godziny. Trudno! Wiem, że Ciotunia cierpi z tego powodu. Wiem, że ujrzawszy różowe spodnie mojej piżamy znów pod sufitem, zamienia z panią Władysławą porozumiewawcze, pełne politowania spojrzenie, które mówi wyraźnie: „Czegóż innego można się po aktorce spodziewać?". A tylko Marysia z Heleną wiedzą, że ta biedna, ekscentryczna aktorka łazi po suficie nie w pogoni za oryginalnością!

Czasem zdarzają się u nas wielkie, niespodziane radości. Marysia ma kartkę z domu! Krystyna dostała list od matki! Są na miejscu! Żyją! Mają ich adresy! W ślad za listami paczka żywnościowa… Pierniki, prawdziwe domowe pierniki, cukier, kakao. Krystyna płacze. Z radości, a i z żałości także. Czego sobie to biedne matczysko musiało odmówić, aby jej tyle pyszności przysłać! Płacze i rozdaje pierniki po całej celi.

Pani Władysława uzyskuje nareszcie pozwolenie widzenia się z bratem. Trudno to zresztą nazwać widzeniem się, bo brat jej jest od lat niewidomy. Ale ponieważ był oficerem, złapali go i wywieźli. Przypadkiem dowiedziała się, że i on siedzi w Starobielsku. Parę tygodni

czekała na załatwienie jej podania, aż wreszcie pozwolili.

Widujemy czasem przez okna na dalekim podwórzu całe kolumny odjeżdżających i przyjeżdżających mężczyzn. Wiemy, że długie, drewniane baraki w sadzie są ich pełne! Wiemy, że ogromna cerkiew jest ich pełna też. Podobno ponad 1500 dusz. Teraz to jeszcze pół biedy, ale w zimie zamarzali w niej chyba dziesiątkami. Grube mury i żadnego słońca, a kilka prowizorycznie zbudowanych piecyków czyż mogło dać radę takiej zakutej mrozem przestrzeni? Czasem, w drodze do ambulatorium, widujemy z daleka niedobitki tego zimowego okresu. Skóra i kości. Wszystko żółte, rozkaszlane, zgarbione i zarośnięte. Grzeją się rzędami na schodkach cerkwi, apatyczni, nieruchomo zapatrzeni w jakiś punkt w powietrzu. Nad nimi cerkiew – ogromna, cienista, bąbląca się od kopuł, wytrzeszczona oknami bez szyb, brudna, odrapana. A za cerkwią sad i wiosna, która przetacza się ślepo i słonecznie po tych upiornych datach, którymi historia będzie kiedyś dzieci straszyć, ta historia, o której ci uwięzieni nie wiedzą prawie nic, a która pisze się przecie ich krzywdą, ich męką i ich krwią, a pieczętuje krecimi kopczykami ich grobów za obozem.

Tak. My tu naprawdę nie czujemy dziejowej chwili. Jest czerwiec 1941 roku. Data ta miała już wypieki na twarzy i straszne rzeczy ważyły się w powietrzu. A u nas – nic! Ot – będzie kartofel w zupie czy nie będzie? Pożre się Raciszewska z Kazią o nożyczki czy nie pożre? Będzie brydż czy nie będzie brydża?

Wreszcie, ani rozumiejąc jeszcze, co za wicher daleki trąca niespodzianym powiewem i nasze stojące bajorko, uczułyśmy i my – historię!

Transport przyszedł tak nagle, że go nie zdążyły poprzedzić tym razem sny o butach, zielonych jabłkach czy pierogach.

Późnym wieczorem, w niedzielę, w połowie czerwca staje w drzwiach

celi naczalnica, dziwnie jakoś zdenerwowana i zaśpieszona, i pada niespodzianie: *„Dawaj wsie s wieszczami”*.

Co dzieje się w celi po takich słowach – trudno sobie wprost wyobrazić! Urwanie głowy! Kij w mrowisku! Muchy w ukropie! Pośpiech, zdenerwowanie, płacz, szukanie rzeczy, zrywanie ze sznurów suszącej się bielizny, pakowanie worków, przypuszczenia, domysły. Dokąd? Po co? Dlaczego? Czy wszystkie razem, czy znowu nas porozdzielają? Zaśpieszone latamy po celach w pogoni za pożyczonymi drutami, nożyczkami, igłą. Nary kłębią się od trącających się w tej ciasnocie kobiet – a naczalnica stoi w tym oszalałym mrowisku i krzyczy, i pogania, i popędza… Wreszcie nary chłodne nagle i chude po zniknięciu worków i sznury, ogołocone z rzeczy – zostają same, a stłoczony zakalec kobiet, tłumoków, worków i powiązanych sznurkami walizek przegniata się ku wyjściu.

Noc jest cudownie ciepła i gwieździsta. Na rozległym podwórzu jasne, elektryczne lampy na wysokich słupach powtykały głowy w szmaragdową zieleń liści i poplamiły piasek postrzępionym cieniem. Przypomniały mi się nagle wszystkie Planty, Pratery i Targi Wschodnie. Od bardzo dawna człowiek nie widział już takiej czerwcowej nocy inaczej, jak przez kratę. Bez względu więc na okoliczności – a może na żałosny im przekór – ucieszył się nią po dawnemu, do dna.

Nie wywieziono nas jeszcze tej samej nocy, przeniesiono tylko do innego bloku, bliżej cerkwi. W dwu okropnych, ciasnych celach, w brudzie i smrodzie przemęczyłyśmy się do brzasku.

Cały następny dzień trwa mi w pamięci obrazem oślepiającej, dusznej od upału patelni, na której smażymy się od godziny 5 rano do 7 wieczorem. Spędzono nas w ciasną przestrzeń bocznego dziedzińca i stałyśmy tam stłoczone, znajdując ledwie obok własnych nóg miejsce na własny tobołek, oślepione blaskiem, osłabłe z upału i głodu. O trzeciej

rano dostałyśmy chochlę lury – to wszystko na cały dzień. Nigdzie ani skrawka cienia, nigdzie niczego, na czym by przysiąść można. To ostatnie mniej mnie osobiście dotyka, bo siedzieć nie mogę i tak. Mój świerzb zupełnie szaleje w tym upale. Stoję cały dzień, trzymając na wyprężonych nad głową rękach ciągle zwilżane prześcieradło. Wydaje mi się, że mi lżej oddychać w takiej wilgotnej budzie.

Nie mamy pojęcia, na co czekamy, bo pozornie nic się jakoś z nami nie dzieje. Może być, że w tych wszystkich domkach i domeczkach, pod którymi kręci się tyle błękitnych czapek, nieprzeliczone stosy żółtych kopert z aktami wędrują po różnych stolikach, są sortowane, wybierane, rozdzielane wedle nikomu z nas nieznanych zasad; że się tam losy nasze ważą i decydują, że na niejednej kopercie, noszącej już całą litanię przemęczonych dotąd miejscowości, zjawia się w tej chwili pierwszy raz ta nazwa, która już będzie w życiu niejednego z nas – ostatnią! Ale tego wszystkiego nie widać. Domki mają wygląd dobroduszny, ot – jakieś leśniczówki, rządcówki czy plebanki, bo nawet dzikie wino strzępi się niektórym na ganeczkach.

Jak okiem sięgnąć – wszystkie podwórza, drogi, trawniki, ganki i schody zawalone już są więźniami. Trochę dalej, pod cerkwią, tłoczą się mężczyźni. Widocznie ich też wywożą. Szare mrowie tych nędzarzy pokrajano na oddziałki, z których każdy pilnowany jest przez kilku żołnierzy. U nich zawsze ostrzejsza dyscyplina. Bo nas nie pilnuje pozornie nikt. Chyba upał i słońce.

Około południa na jednym z ganeczków pojawia się niespodziewanie ktoś, kogo w myślach nazywałam odtąd „ten starobielski szatan”. Był to mężczyzna wysoki, lat najwyżej trzydziestu, smagły, o kruczych, bujnych, w tył odrzuconych włosach. Rubaszka na nim czarna, lśniąca i czarne, wysokie buty. Gdyby siedem grzechów głównych mogło mieć jedną twarz, twarz ta nie byłaby inna od tej, która zawisła tam, wysoko nad nami,

w rażącej, nieruchomej ciszy południa. Głęboko osadzone oczy – oczy jaskiniowca i pomyleńca – w połączeniu z bruzdami wyrafinowanego okrucieństwem uśmiechu robiły z tej martwej maski jakiś złowrogi symbol tych sił, których bestialskiej przemocy doświadczyliśmy niestety wszyscy. Nerwowy tik, przemykający lewym jego policzkiem, narzucał wrażenie, że sama materia otrząsa się w nim konwulsyjnie pod naporem nagromadzonego w tym człowieku zła… W asyście kilku dygnitarzy, sam przez nich traktowany jak dygnitarz, zszedł z ganku i zbliżał się ku nam powoli, wgniatając w piasek koniec czarnej laski. Paraliżem widocznie tkniętą nogę wyrzucał przed drugą z trudem i złością, jak coś obcego, nienawistnego, z czego się jednak otrzepać niepodobna. Ogromny, zgarbiony, robił wrażenie kogoś, w kim wyjątkowe siły żywotne walczą z jakąś podgryzającą je nieuleczalną chorobą. Nade wszystkim jednak górowało w nim zło. Uczułam to niezbicie, kiedy zobaczyłam z bliska te jego oczy, oczy maniaka i zboczeńca. Spojrzenie ich zmroziło nas zresztą wszystkie mimo upału. Wrzawa ucichła, a on kulał między nami jak doświadczony gospodarz, oceniający na oko snopy przed młóceniem. Ile potu, ile krwi, ile męki wydusić da się z tej stłoczonej czeredy pojmanych niewolników? Miało się wrażenie, że ten jego sadystyczny uśmiech czuje już na wargach słodki posmak śmiertelnego cierpieniem miodu, po jaki wyprawiał oto nas – roboczy ludzki owad, wyrojony dziś tak licznie z więziennych uli starobielskiej pasieki.

Do piątej po południu stoimy wszystkie razem w owym podwórzu. Od piątej zaczynają nas przepędzać z kąta w kąt. Z tych przetrząsań i przesypywań, przy których wywołują nas po nazwisku, wiemy już, że to formują grupy do transportu. Zaczyna się płacz, rozpacz, żegnanie. Jakże się dziwić? Człowiek przecie zżywa się w takiej celi łatwiej, prędzej i serdeczniej niż na wolności. A przy tym myśl, że ten sam przypadek, który mnie rozłączył z tymi, co mi są bliskie, może mnie pchnąć samą jedną

między tamte wrogie istoty, od których się roi podwórze – przerażała naprawdę! Te wszystkie półdzikie zakarpackie dziewczęta okazywały nam zawsze tyle nienawiści, że perspektywa zostania z nimi sam na sam, na Bóg wie jakie losy i czasy, włosy strachem podnosiła na głowie. Toteż z zapartym tchem czekałyśmy wtedy, do której grupy nas włączą. Człowiek stoi niby spokojnie, a każdy nerw w nim dygocze jak w skazańcu przed wyrokiem. Nie wiem, czy ktoś, kto tego nie przeszedł, może się wczuć w taką chwilę. Bo choć się trzymasz, jak umiesz, chociażeś się zaciął, zaparł i postanowił wszystko znieść, co na ciebie przyjdzie – jesteś już bardzo zmęczony i – co tu dużo gadać! – boisz się panicznie tej jakiejś wielkiej, strasznej Niewiadomej, którą masz przed sobą. To jakoś tak, jakby ktoś o spętanych rękach i nogach czekał na chwilę, kiedy go zepchną w wodę. Jednym mocnym pchnięciem w plecy.

Najpierw zabrali mi Marysię i Helenę.

Potem zaczęli przyłączać do mojej grupki wszystkie Cyle, Zinki i Maryjki, których najbardziej się bałam. W ostatniej już prawie chwili – ku łatwo zrozumiałej uldze i radości – dodano nam Małą Władzię, Złotą Cesię i kilka innych Polek. Nie będę więc całkiem sama z tym zakarpackim kierdelem!

Pierwsi spod cerkwi ruszyli mężczyźni.

Szli czwórkami, w oddziałach, po kilkudziesięciu. Idąc ku bramie, musieli nas mijać z bliska. Słońce było już nisko, kurz spod nóg wstawał tumanami. Szli w mętnym blasku wprost pod słońce. Starzy i młodzi, chorzy i kaleki. Cywile w miejskich, wymiętych płaszczach, żołnierze w wystrzępionych, rozchełstanych, odartych z guzików mundurach. Dźwigając na ramieniu toboły z powiązanych sznurkami kilimów – szli rumuńscy chłopi; ci z Zakarpacia w krótkich serdakach, haftowanych koszulach i rzemykami pookręcanych nogach; Ruscy w dziurawych fufajkach, w rurach watowych spodni, w wyleniałych futrzanych

pilotkach; nasi chłopi w kożuchach, półgołe dziady, studenci, księża. W niektórych czwórkach wleczono kogoś pod ręce. W innych po dwóch spoconych więźniów taszczyło jeden ciężki tobół, biegnąc zdyszanym truchtem, nieporęcznie, bokiem… Tu i tam przekuśtykał ktoś o kulach, indziej ktoś macał laską piasek przed sobą, ekstatycznie zapatrzony w niewidziane słońce… A wszystko w pośpiechu, w przepłoszeniu, w lęku, nadążające zdyszanym kłusem za innymi, gnane, popędzane, dławione kurzem i gorącem.

Płynęło to i płynęło przed oczyma jak szara, brudna woda – nie wiem – ale chyba dłużej niż pół godziny. Z początku cedziło się przez natężoną uwagę wszystkie zbiedzone twarze po kolei. Każdej chwili przecie mógł człowiek spostrzec kogoś swego. Ale pod koniec nie dały mi już patrzeć: i słońce, i kurz, i łzy. Niepodobna wprost opisać słowami, co to za widok przejmujący. Ta przemoc człowieka nad człowiekiem, to poniżenie, ta poniewierka, ten przepłoszony, uległy psi kłus tracących dech z wysiłku, a strachem przez brata-człowieka poganianych ludzi! Nie. Lepiej nie patrzeć, to zbyt straszne. Zresztą idą tak szybko i tak są do siebie podobni, że choćby tam nawet był ktoś swój, wątpię, czybym go dziś poznała.

A potem ruszyły kobiety.

Powietrze było już tak mętne od wzbitego tysiącem tamtych stóp kurzu, że szło się jak w gorącej, niskim słońcem prześwietlonej mgle. I teraz dopiero, kiedy mi przyszło po całym dniu stania w upale, bez chwili odpoczynku i bez jedzenia, gnać naprzód w tym kurzu po kostki, zdałam sobie sprawę, jak bardzo mnie pobyt w Starobielsku wyczerpał i osłabił. Worek ugniata mi świerzbowaty grzbiet, w płytkie trzewiki nasypany piasek żre stopy i ociera pięty, a wyschnięte usta łykają tumany krztuszącego pyłu. Oczywiście gnają nas, jakby się paliło.

Po pewnym czasie zaczynam ustawać. Nie mogę. No już nie mogę. Konwojent z psem i bagnetem tuż za mną, złości się, przygaduje coś z

furią o paniach w kurorcie, o spacerach po Warszawie i o tym, że w łagrze nabiorę sił. Poczciwa pani Stefania, ta ze Speca i Mała Władzia pozostają umyślnie za mną w tyle, abym nie ja sama była narażona na jego krzyki i uważki. Jestem już jednak tak zmęczona, że mi naprawdę wszystko jedno. Po prostu czarno mi w oczach.

To zawsze tak. Kiedy jest już tak ciężko, że chyba nie może być gorzej, kiedy człowiekowi się zdaje, że padnie z wyczerpania, przychodzi nagle ulga.

Po godzinnym może gnaniu nas gościńcem wpędzili nas nagle – pewnie dla skrócenia drogi – na łąki.

A jest już dobrze po zachodzie. O daleki horyzont wspierają się jeszcze resztki wszelakich złotości, a od wilgotnej trawy cienisty chłód wieje nam po zmęczonych nogach. Cóż to za ulga! To się nie da opowiedzieć. Kurz został za nami, a od dalekości przejrzystej, soczyście zielonej, idzie ku nam świeżość dobroczynna i miłosierna. Pachnie miodunką i macierzanką. Człowiek patrzy z radością na pociemniałe nosy swoich zniszczonych trzewików, z których wieczorna rosa zmyła oto kurz, i zaraz mu jakoś lżej oddychać. Zupełnie tak, jakby i płucom było nagle łatwiej pracować, odkąd buty błyszczą.

Czwórki zmieszały się już dawno, a teraz rozlały po tej zieloności radosnej. Nie ma siły ludzkiej, która by je znowu zagnała w zwarte stado. Konwojenci się złoszczą. Niech sobie. Co nas to obchodzi? Pachnie przecie miodunka i macierzanka, i daleki, czerwcowy świat. Psy – wcale niestraszne tym razem – poszczekują sobie wesoło i stały się w tej otwartej przestrzeni roztargnione i wszystkim innym raczej zajęte niż nami. Choć jestem tak zmęczona, że ledwie nogi wlokę, mam nagle głupią ochotę rzucić któremuś z nich patyk czy kamień. Niechby mi go odniósł z powrotem, jak ongiś moja wesoła, mądra Aza. Niechby się choć szarpnął który na linewce, na złość konwojentowi z bagnetem.

Oddal była już dobrze mroczna, kiedyśmy się nareszcie przywlokły na stację. Spędzają nas daleko za dworcem na długi pas trawy wzdłuż toru i tam – znowu porozgamianym w poszczególne grupy – każą czekać.

Na torze puste bydlęce wagony. Niekończący się szereg czarnych pak na ludzi. Doliczyłam się siedemdziesięciu dwóch. Dalszych nie sposób już rozeznać. Zlewają się w czarny, wydłużony ogon na szynach.

Od strony lokomotywy ładują już mężczyzn. Spłoszone krzykiem konwojentów poszczególne grupki podrywają się raz po raz z trawy i rzuca ją do czarnych drzwi wagonu. Nie ma ani drabiny, ani deski, ani stopni, a poziom wagonu jest prawie na wysokości twarzy. Trzeba się wspinać, jak kto może, po kim może, byle prędko, byle wleźć pierwszym, bo wtedy zdobędzie się lepsze miejsce. Ludzie depczą po sobie, spychają się wzajemnie, biją, wdrapują, spadają, wdrapują znów. Wiemy, że nas za chwilę czeka to samo. Niechby się więc raz zaczęło. Przejść przez to, wytrzymać, a potem zwalić się w jakiś kąt z poczuciem, że ma się znowu parę dni bez przeprowadzek przed sobą! Tyle już wiemy, że kiedy transport jest tak liczny jak ten dzisiejszy i kiedy nie wiozą nas za reszotką, jazda na pewno będzie długa.

No, w końcu kolej na nas. Zadudniła trawa, zachrzęścił żwir. Stado dopada wagonu. Zajadła walka toczy się w milczeniu, jakby chodziło o życie, walka, która u wyjścia z płonącego domu byłaby może zrozumiała. Cudze toboły tłuką cię po karku, ktoś depcze ci po palcach, ktoś cię spycha z góry, ktoś podważa od spodu, dusi, tratuje, a pchać się musisz razem, bo półkole pilnujących nas przy wsiadaniu konwojentów zaciska się coraz bardziej.

Pierwsze wrażenie, które nas opada – to brak powietrza. Pociąg czekał chyba na torze cały dzień i upał prażył deski. Nie zdążyły ostygnąć. Gorąco jest jak w piecu. I ciemno jak w piecu. W czarności tej roi się od złych, zaśpieszonych, zziajanych kobiet, chcących zdobyć najlepsze

miejsce, a niemających pojęcia, gdzie tego najlepszego miejsca szukać po omacku.

Jak ćma ciągnąca do światła, wdarłszy się do wagonu, rzucam się w stronę jedynej jasności, jaką w tej nocy spostrzegam. Tuż nad podłogą bieleje resztką dnia nikła szpara pod zamkniętymi drzwiami wagonu, naprzeciw tych rozsuniętych. Tam walę się z moim workiem na podłogę, gotowa bronić do upadłego zdobytej szpary. Udaje mi się wykrzyczeć ze ścisku i ciemności Małą Władzię i posadzić ją koło siebie. No! Uważam, że się cudownie udało! Teraz tylko trzeba pilnować, żeby nas inne nie zadeptały, a potem jakoś się to ułoży. Może nawet dadzą nam latarnię.

Połowa kobiet nie miała jeszcze miejsca i tłoczyła się z tobołkami na środku wagonu, kiedy ze zgrzytem i dudnieniem zaczęli konwojenci z zewnątrz zasuwać drzwi. Wrzask, pisk, płacz. Miano nam dać przecie prowiant na drogę, światło i wodę. Właśnie! Słyszymy zakładanie sztab, trzask kłódek i wiemy już, żeśmy oto pochowane żywcem w tym czarnym, gorącym grobie bydlęcego wagonu na jeden Bóg wie jak długo!

Po omacku natyka się ktoś na beczkę pod ścianą. Jest woda! Ciepła, bo ciepła, i nie wiadomo kiedy nalewana, ale niemniej woda! Jeśli do picia okaże się jutro zbyt brudna, będzie można ręce umyć. Jest to jedyna pomyślność, jaka nas spotyka.

Godzinę jeszcze czy dwie staliśmy, nie ruszając. Jeszcze po wszystkich zaplombowanych wagonach wzdłuż całego pociągu przeszedł złowrogi łomot ogromnych młotów, opukujących deski podłogi, dachu i ścian. Sprawdzają widać, czy nie odbito której. Musiały się zdarzać ucieczki nawet z zaplombowanych wagonów.

Wreszcie daleki, zdławiony gwizd lokomotywy, wstrząsające szarpnięcie i – w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – ruszamy.

Rozdział IV
TRANSPORT NA PÓŁNOC

Otrząsany czarną czkawką podrygów, kołysany głuchym dudnieniem desek i ścian, wagon powoli przestaje się kłębić, wreszcie cichnie.

Próbujemy spać. Mimo zmęczenia to, w czym się myśl pogrąża, nie jest zupełnie podobne do snu. Na długie chwile człowiek wtapia się w huk i rytm, w twarde kołysanie się nocy, ale nie może zgubić przytomności, nie może przestać wiedzieć – że jest. Rozmazane zmęczeniem otępienie – oto stan, w którym się męczy.

Z tępoty tej wyrywa go czasem zatrzymanie się pociągu na jakiejś niewidzianej stacji albo – co straszniejsze – oszołamiające, niespodziane grzmotnięcie młota w deski. Czasem słyszy się te uderzenia już z daleka, jak idą jeszcze po innych wagonach, i wtedy można się na to przygotować. Ale gdy zaskoczą znienacka, gdy tuż pod tobą czy tuż nad tobą walnie coś z całej siły w deski – o które, nie daj ci Boże, opierasz w dodatku głowę – masz wrażenie, że się w kawałki rozpryśniesz. Dotkliwy ból wibruje przez chwilę w całym ciele niczym dźwięk w instrumencie. Poderwany ze snu jednym rzutem, spocony nagle jak mysz, siedzisz potem długą chwilę w ciemności, nim oszalałe bicie serca znów się w tobie wygładzi. Ciężki tupot kroków po dachu wagonu nie jest już tak dotkliwy, zwłaszcza dla tych, które – jak ja – leżą na podłodze. Te młoty jednak wspominam jak zmorę.

Wreszcie dnieje. Wysoko pod sufitem jawią się zakratowane okienka. Jest ich cztery. Cóż, kiedy z pierwszym przydechem dnia zrywa się też na równe nogi wrzask w wagonie. Teraz też widać dopiero, ile nas tu napakowano!

Wnętrze wagonu jest jak wnętrze ciemnej paki, pociętej szeregiem

półek. Na każdej półce gniecie się osiem kobiet, ciasno jak sardynki w puszce. O tym, aby na półce takiej usiąść – ani mowy! Najwyżej można, na brzuchu leżąc, podeprzeć brodę rękami. Wczołganie się w taką przegródkę jest mozolną akrobacją. Nie ma ani schodków, ani drabinki. Te z nas, które nie zdobyły miejsca na piętrach, leżą pokotem na podłodze. Razem jest nas 80! Sowieckie bydlęce wagony są wprawdzie nieco większe od naszych, niemniej – ciasnota nie do opisania. Bardzo mało światła wciska się przez okienka. Przewiewu nie ma żadnego. Wagon jest pełny nieruchomej duszności i mroku.

Zakarpacie zdobyło górne półki i panuje nad okolicą. Cyla z Zinką mieszkają wprost nade mną. Czuję to namacalnie na własnej głowie, bo mi na nią zmiatają całe śmiecie.

Gorsze jednak okazało się sąsiedztwo z mojej lewej. Wybierając miejsce wczoraj wieczór po ciemku, nie dostrzegłam instalacji, umieszczonej tuż obok tej pokuśnej szpary nad podłogą. Jest to coś niby tuba gramofonowa, cieńszym końcem wypuszczona w krajobraz, a przykryta od góry deską o kwadratowym wykroju wielkości zaledwie kliszy 9 na 12! Chyba dlatego, aby się która z nas nią nie wyśliznęła! Cały dzień i całą noc tuba jest w użytku. Pierze się nad nią i myje też. Nie wszystko, co powinno trafiać w otwór, trafia weń w istocie. Przeważnie rozpryskuje się na desce i rosi dookoła. Trudno się wdawać w szczegóły, ale sytuacja więcej niż tragiczna! Ponieważ woda w beczce okazała się stara jak świat, Złota Cesia – jednogłośnie przez wagon wybrana starostą – pozwoliła ją brać do mycia i prania. Pranie to jest od świtu do nocy zażartą walką. Tratowanie po leżących, rozpychanie się, wrzask, chlapanie na prawo i lewo. Leżę na moje nieszczęście między beczką a tubą i wszystko to odbywa się dosłownie na mnie.

Polek jest tu zaledwie kilka. Przeważnie węgierskie Żydówki, parę Rosjanek i – co ze wszystkiego najgorsze – całe prawie Zakarpacie!

O jakiejś niewiadomej godzinie, na jakiejś niewiadomej stacji słyszymy kołatanie kłódek, chlast odsuwanych sztab i w szparze rozepchniętych drzwi jawi się płaski pysk konwojenta, wzywającego starostę. W chwilę potem błękitny kubraczek i złoty, przeciągiem rozwiany czub są już pode drzwiami. Cesia wciąga kolejno do wagonu cztery wiadra jaglanej kaszy i dwa wiadra kwaśnej, surowej kapusty, trochę cukru w worku i chleb. Dają nam też zawarkę. Są to kolby niewiadomej, słodkawej, na twardo ubitej sieczki, w której przeważają suszone malinowe liście i wiśniowe, drobno pocięte szypułki.

Następuje teraz burzliwe dzielenie jedzenia. Jedna drugiej krupki liczy, jedna drugiej nos tka w miskę i każda oczywiście drze się, że ją pokrzywdzono. Kończy się na tym, że Cesia, dla świętego spokoju, oddaje swoją porcję tej, która najgłośniej krzyczy. Razem z miską i podwójną porcją kaszy wdziera się taka na swoją półkę, a inne Zinki i Cyle żałują, że to nie one najgłośniej krzyczały. Kasza jest postna, ale za to kapusta kwaśna i soczysta, więc ostatecznie uważamy, że nie jest najgorzej. Malinowej zawarki nie ma w czym zaparzyć, zatem gryziemy ją na sucho, co ma i tę dodatnią stronę, że garsteczka tego niewiadomego śmiecia na dłużej nam w ten sposób wystarcza.

Z wodą od pierwszego dnia trudności. Cesia – wymownie, jak tylko ona umie – domaga się, aby nam dano świeżej, prosi, tłumaczy, pokazuje zieloną od osadu, zgniłą zupę z dna beczki, ale konwojent odmawia, mówiąc, że oni sami wiedzą, kiedy się woda należy, że na tej właśnie stacji eszelon za krótko stoi, że na następnej itd. Cesia nie chce ustąpić. Wgniata się, jak złoty orzech, między siłą zasuwane drzwi i jeszcze prosi, jeszcze błaga. Daremnie! Trzask kłódek – chlast sztab i pociąg znowu rusza. Wstrząs jest zawsze tak silny, szarpnięcie tak nagłe, że te, które wtedy stoją, walą się jak długie na podłogę. Z wszystkich misek i garnuszków bezcenna, na zapas schowana woda wychlupuje się jak na komendę.

W miarę jak się południe zbliża, upał w wagonie wzmaga się coraz bardziej, wreszcie robi się gorąco jak w piecu. Duszne, pokostem pachnące, drzewne gorąco! Wszystko – rozebrane do naga – wachluje się szmatami, spocone, złe, półżywe z braku tchu. Na płacz się zbiera. Ma się ochotę krzyczeć, pięściami w rozpalone deski tłuc z bezsilnej rozpaczy i złości. Straszliwe sąsiedztwo z mojej lewej daje się w tym gorącu coraz bardziej we znaki memu nosowi. Choćbym chciała zmienić miejsce, nie mogę już tego zrobić, bo każdy skrawek podłogi jest szczelnie zarośnięty warstwą gołych, spoconych ciał. Nie pozostaje mi nic innego, jak leżeć capkiem, twarzą ku podłodze, ustami przy opatrznościowej szparze. Zysk podwójny: nie muszę widzieć tego, co się dzieje bez przerwy tuż obok mojej głowy nad tubą, i zdaje mi się, że oddycham czyściejszym powietrzem. Szpara jest szeroka na palec. Widzę przez nią – pędem w galaretowatą jakby miazgę roztarty – żwir na torze i rytmicznie przelatujące smugi progów. Czasem sypie mi się w oczy drobny, kolący miał, ale czasem zawiać też umie miłosierny, rzeźwiejszy powiew od otwartej przestrzeni. Niestety w żadnej pozycji nie mogę wytrzymać długo. Mój świerzb odchodzi od zmysłów! Podłoga koło mnie jest brudna, zalana wodą i czym innym, tak że koc zwijam na dzień, nie chcąc, by zamakał. Leżę więc obłędnie swędzącym, rozranionym ciałem na twardych deskach, przykrytych tylko wąskim paskiem w kilkoro złożonego prześcieradła. Nie. Nie leżę właściwie, tylko wiję się jak robak na gorącej blasze, szukając jakiejś znośnej pozycji.

A wagon szumi jak ul.

Na jednym końcu Żydówki śpiewają *Maskwa maja* (ach, ta niezawodna, konsekwentna Hinda!), na półkach Zakarpacie huka jak z jednej połoniny na drugą, niżej nagie, lśniące od potu kobiety, o sinych, obrzękłych twarzach, trzepocą szmatami bez przerwy, dołem kłótnie, śmiechy, deptanie po sobie, walka o wodę, o tubę, rozmowy, wreszcie

płacz.

To chlipie pomylona Gruenwald. Siedzi sztywno, jak rzecz, pod ścianą, a z jej przerażonych, sarnich oczu kapią jej w podołek nieścierane łzy. Ma w sobie coś z nieoswojonego zwierzątka i dziecka. Jej ładny profil, o naiwnie krótkiej górnej wardze, ginie w rozstrzępionym kołtunie krętej, czarnej grzywy, która chodzi – dosłownie chodzi – od wszy! Nie zna żadnego ludzkiego języka. Ani węgierskie, ani rosyjskie, ani nasze Żydówki nie mogą się z nią porozumieć. Zagadnięta, kuli się, cofa pod ścianę i jeszcze głośniej płacze. Znamy ją dobrze z pierwszej kamery. Ona i jej starsza siostra były postrachem Starobielska. Sypały wszy jak z sita. Mówiło się o nich, że mogą idąc, podkulić obie nogi, a wszy będą za nie dalej same iść. Teraz tę starszą siostrę wsadzili do innego wagonu i to pomylone stworzenie ginie bez niej ze strachu i bezradności.

O świecie Bożym my, te z podłogi, nie wiemy nic. Zakarpackie opanowały okna. Wisi ich przy każdym po trzy równocześnie, wobec czego w wagonie jest jeszcze mniej światła i powietrza. Ja, osobiście, nie mam najmniejszej ochoty wyglądać oknem. Taką dławiącą nienawiść czuję do wszystkiego, co tutejsze, że nawet krajobrazu znać nie chcę… Niechże już będzie tylko brudne, łuszczące się popękaną farbą wnętrze wagonu, deski półek nade mną i te bose, błotem zarosłe nożyska Cyli i Zinki, sterczące mi nad głową. Staram się leżeć, o ile możności, na prawym boku, plecami do tuby, ale długo i na tę pozycję świerzb mi nie pozwala.

Noc robi się w wagonie bardzo wcześnie. Przeważnie po ciemku już dostajemy kolację. Czasem konwojent stawia na chwilę latarnię na podłodze i wtedy Cesia, ze swoim olbrzymim cieniem do spółki, rozdziela nam zimny kit z wiaderek.

A kiedy się już wagon ułoży do snu, kiedy całodzienny gwar przygaśnie, a miarowy huk bliskich kół rozkołysze już na dobre sen w

człowieku, niespodzianie, na jakiejś stacji, wpada do wagonu prowierka. Kilku żołnierzy z latarniami depcze po nas jak po snopach, świeci z bliska w twarz i liczy – liczy – liczy i nigdy nie może się doliczyć. Każą więc złazić wszystkim z półek, tym z podłogi wstawać co do jednej, ustawiają nas w rząd i wtedy, wycierając buciska w nasze biedne, rozesłane już na noc koce i płaszcze, rachują nas znowu od początku. Czasem dzieje się i to zaraz z wieczora, czasem głęboko w noc, a czasem nad ranem. Tak – żeby uprzyjemnić życie! Widocznie owo przeklęte opukiwanie ścian po i kilka razy na noc i ciągłe spacery po dachu nie wystarczają!

Tak to mniej więcej wyglądały nasze dnie w tym transporcie. Oczywiście mniej więcej tylko… Niepodobna bowiem odtworzyć słowami; wszystkiego, co się składało na okropieństwo tego okresu. Słowo „upał”, choć znaczy to, co znaczy, nikogo nie może zmęczyć. Słowo „smród” – nie cuchnie. Słowo „wrzask” – nie rozsadza głowy. Ścisk nie jest spocony ani zziajany, ani zły. Ale trwać w upale, smrodzie, wrzasku i ścisku, i w dusznym półmroku w dodatku, przez całe dwa tygodnie – to było naprawdę straszne! Ja może specjalnie mam prawo źle transport ten wspominać. Wytrzymać moje sąsiedztwo z lewej przez jedną choćby godzinę byłoby już dostatecznie ciężko. A ja leżę pod tą tubą dzień i noc, dobę po dobie. Ktoś, gdzieś powiedział raz: „Nie wytrzymałbym, gdybym wiedział, jak to zrobić…”. Ja nie wiedziałam też – i pewnie tylko dlatego wytrzymałam.

Wodę zawdzięczamy wyłącznie odważnemu uporowi Cesi. Każdorazowe jej zdobycie – to walka naszego starosty z konwojentami. Jeśli nam wodę dawali na stacjach z dworcowych studzien, była czysta i świeża.

Ale potem skończyły się dworce ze studniami i czerpali ją z rowów i młak przy nasypie. Piło się ją bez zająknienia, bo upały straszne, obezwładniające wprost. Kto zamiast pić wolał się umyć, moczył w

wodzie szmatkę i rozcierał nią na spoconym ciele brud i sadze. To jednak doprowadzało Zakarpackie do szału. Nie chciały zrozumieć, że ów przydzielony każdemu garnuszek wody był jego własnością i każdy miał prawo robić z nim, co chciał. Raz – pamiętam – owa Cyla, zwierz nie człowiek, zaczęła tłuc po głowie swoim zawszonym kabatem panią Adę – wyniosłą, wzgardliwą, szykowną panią Adę – kiedy podeszła ze swoim garnuszkiem do tuby, aby się umyć. Kabat, prócz wszy, miał jeszcze metalowe guziki i jeden z nich trafił panią Adę w oko. Dziki wybuch śmiechu na półkach i ogólna radość z poskromienia „burżujki" zakończyły zajście.

Raz znów – pamiętam – kiedy w czasie największych upałów przez dwa dni z rzędu odmawiano nam wody, wybuchnął bunt w wagonie. Jak wtedy w Brygidkach. Ile nas było, zaczęłyśmy ze wszystkich sił walić w ściany i krzyczeć. Nie przypominam sobie już dziś, czy to było na stacji, czy w szczerym polu, dość, że pociąg wtedy stał. W okamgnieniu cały nasz wagon otoczyła chmara eskorty z bagnetami. Było ich chyba kilkudziesięciu. Uczepiona okienka, zachrypnięta od krzyku Cesia, zaczęła ich prosić o wodę, a wreszcie grozić, że póty nie przestaniemy hałasować, póki jej nie dadzą. Nie wiem dlaczego wobec krzyku byli zawsze tacy bezradni i ustępliwi? Wprawdzie pienili się, wrzeszczeli, składali się do Cesi z karabinów, grozili karcerem, nowym paragrafem itd. Jednak – żadnej z tych gróźb nie wykonali. A Cesia, wiejąc na przeciągu złotym czubem i pertraktując z nimi najgrzeczniej w świecie, schowaną za siebie ręką dyrygowała równocześnie kocią muzyką wagonu. I nie ustąpiła! Dali nam wtedy kilka wiader cuchnącej wody z rowu, ale mniejsza z tym. Najważniejsze, że postawiłyśmy na swoim i że woda, choć niemożliwa do picia, wystarczyła każdej do odświeżenia twarzy i starcia sadzy z brudnych rąk.

Raz tylko jeden w czasie tego strasznego transportu umyłyśmy się

wszystkie naprawdę. Niebo samo urządziło nam tym razem banię. Po jakimś zabójczym upale przyszła nagła czerwcowa ulewa. Urwanie chmury po prostu! Mimo ciasnoty okienek deszcz zalał nam wagon w okamgnieniu. Te, które leżały pod ścianą, z wrzaskiem porwały swoje rzeczy i zbiły się w kłąb na środku wagonu, gdzie przez dziurawy dach deszcz pokapywał tylko nieszkodliwie, a w twarde chlusty skosem od okien bijącej deszczówki pchać się zaczęły inne, jak pod tusz. To było cudowne! Razem z głową, na oślep, zachłannie, radośnie – poddawał się człowiek siekącym strugom deszczu, łapał go rękami, ustami, spragniony i nareszcie ochłodły. I choć noc po tej burzy trzeba było przespać na obrzękłej wodą podłodze, choć mi worek zamókł i z kilku dni uzbierany cukier zmienił mi się w lepką papkę w szmateczce, błogosławiłam tę kąpiel.

Pewnego dnia, na którymś z postojów, prócz wiader z kaszą dostajemy, jako dodatek, i starszą Gruenwald na śniadanie. Udało się jej widocznie uprosić naczelnika eszelonu, aby jej wolno było przesiąść się do wagonu, w którym jechała jej obłąkana siostra. Mamy więc obecnie dwie największe wszarki na własność. Istna klęska. Już i tak co dzień tłuc trzeba robactwo, siane po trochę przez niektóre. Wszczynamy akcję ratowniczą. Od siostry, która z ubogą apteczką obchodzi co parę dni wagony, wybłagała Cesia trochę nafty i sabadylę. To już dużo, ale jeszcze nie wszystko. Następują pertraktacje ze starszą Gruenwald – wiedźmą kudłatą, brodatą, ale jak na to wcale potulną i pełną najlepszej woli – o gruntowne wybicie wszy i gnid w ich łachach i – co najważniejsze – o ostrzyżenie obu zawszonych głów.

Raciszewska ma nożyczki! Skarb nie nożyczki! I mało tego, że je ma, aleje pożyczy. Tak jest! Pożyczy! Niech szlag trafi obie Gruenwald razem z ich wszami! Jak Boga kocha, nikomu nigdy nożyczek nie pożycza, ale tym razem da! Mogą sobie ludzie szczekać, że Raciszewska to ordynarna

baba, mogą sobie nią parszywe pyski wycierać, a ona nożyczki da! Taka jest Raciszewska!

Cóż z tego jednak, że Raciszewska była taka?! Kiedy przyszło co do czego, młodsza Gruenwald zaczęła się drzeć wniebogłosy, schowała głowę w dłonie, przyparła ją do ściany, kopała, gryzła, biła i ryczała, jakby ją kto przynajmniej ze skóry odzierał. Daremnie starsza Gruenwald – która dla przykładu dała się ostrzyc pierwsza – swój ogolony, pełen strupów kokos chyliła nad tamten, kudłaty jeszcze i zmierzwiony, daremnie naszeptywała coś przekonywająco w zatkane obu rękami uszy tamtej, żadne perswazje nie pomogły. I wtedy cały wagon uznał jednogłośnie, że operacja musi się odbyć na siłę. Pełna bohaterskiego zaparcia się siebie, smukła, böcklinowska Fela, dobrawszy sobie jeszcze dwie Węgierki do pomocy, zgłosiła się na ochotnika jako wykonawca tego zabiegu.

Nigdy w życiu postrzyżyn tych nie zapomnę. Widzę do dziś mroczne wnętrze wagonu z twardą jak napięte struny smugą słońca między okienkiem a podłogą, cudownie białą, świetliście rudą Felę, nagą, jak ją Pan Bóg stworzył, z tym tarzającym się u jej kolan, nieszczęsnym ludzkim kłakiem, broniącym się srebrnym błyskom nożyczek. Zawszony Samson i ruda Dalila! Kiedy je walka pchnęła czasem na moment w strumień światła, słońce rozpryskiwało się na śnieżystym grzbiecie Feli i w całym, mrocznym dotąd, wagonie robiło się nagle jasno od odblasku jej nagości. A kiedy wtaczały się w cień, wagon równie szybko klęsł jakby, kurczył się i mroczniał, tak jak mroczniała, malała i gasła nasza płomiennowłosa Dalila. I długo się w tym więziennym wagonie, w strudze słońca, w zaduchu i gorącu kłębiły zażartą walką – światło i mrok, rozsądek i obłęd, piękno i ohyda – a wszystko o wszy!

Potem, po zwycięstwie, kiedy młodsza Gruenwald gołą, nieszczęsną, pomyloną głowę tkała konwulsyjnie siostrze w podołek – zawszony kołtun, z największym wstrętem zebrany z podłogi, został wyrzucony

oknem w nieznaną przestrzeń, gdzieś już bardzo daleko na północy, tam gdzie niewidziany krajobraz powoli przelewać się zaczynał – w tajgę.

Tak nam przynajmniej mówi warkoczasta Mania. Wydłubała sobie dawno szeroką szparę w desce i leżąc na półce, nie odlepia płaskiej twarzy od ściany. Wiemy też od niej, że zatrzymywaliśmy się z początku na wielkich stacjach, ale przeważnie nocą. Twierdzi, że przez Moskwę przejechaliśmy też, ale że teraz skończyły się już miasta i pociąg całymi dniami wlecze się tajgą.

Upały zelżały, a zamiast gorąca wagony nabierają w siebie wszystkimi szparami – komary! Chmury, tumany, obłoki komarów. Bezsilna z nimi walka męczy może bardziej od wachlowania się w czasie gorąca. Cały wagon chlasta, klaska i chlapie, bo bijemy te przeklęte komary z rozpaczą i złością na twarzach, nogach, rękach, szyi.

Powoli zaczynamy wciągać znów na siebie ubranie. I z powodu tych komarów, i z powodu coraz chłodniejszych nocy. Co jednak najdziwniejsze, spostrzegamy po pewnym czasie, że nocy tych właściwie nie ma! Coś się z nimi porobiło. Jest tylko niekończący się dzień, potem długi zmrok, a potem znowu jasno. Musimy więc być już wysoko na globusie i zaczynają się owe białe noce, które znam z nazwy i opowieści. Mania mówi, że nie widać nic, tylko mokradła i nędzne, tkwiące po kolana w wodzie, przejrzyste zagajniki. Czasem zrywa się z krzykiem, że nasi pracują w lesie! Co żyje, rzuca się wtedy do okien i szpar. Wzdłuż toru, w ukośnych smugach dymu, ciągnącego się od gęsto porozrzucanych ognisk, pracują mężczyźni przy nasypie. Tu i tam miga nam czasem spłowiały, wymięty żołnierski płaszcz, czasem nasza wojskowa czapka. Twarzy nie widać. Wszystko ma nakomarniki z czarnej siatki. Zgarbieni, obdarci, oparci na łopatkach, patrzą na sunący nad nimi pociąg. Niektórzy machają ku martwym, zaplombowanym wagonom. Takie same wagony przywiozły tu kiedyś ich samych. Te więc, sunące teraz powoli nasypem, mogą dziś

równie dobrze wieźć znowu ludzi z Polski. Na wszelki wypadek kiwają do nas ręką, coś krzyczą, może się uśmiechają – tyle że każdy uśmiech zostaje w nakomarniku. W głębi za nimi, na bagnistym gruncie, na skraju mizernego lasu widać czasem świeżo pobudowane baraki. Godzina nad nimi niewiadoma. Niepodobna rozeznać po świetle, która to część doby.

Zresztą zatraciłyśmy już dawno rachubę czasu. Orientujemy się już tylko po kaszy. Kiedy nam ją dają cieplejszą, jest już widocznie – nazajutrz. Bo tylko ranna kasza bywa ciepła. Wagon nie milknie już teraz wcale. Trwa w nim niegasnący ani na chwilę gwar. Każdy robi sobie noc, kiedy chce, tyle że coraz trudniej spać. Sen nam się zupełnie znarowił. Nie dość było tego wrzasku, nie dość ostukiwania wagonów, świerzbu, komarów, wszy – teraz jeszcze ten niesamowity, ustawiczny dzień. Strasznie to męczy i rozstraja.

W dodatku coraz częściej zaczyna tutaj padać deszcz. Przez dziurę w dachu kapie mi wprost na worek. Teraz to już zupełnie nie mam gdzie uciekać. Ohydny odór amoniaku bucha od wiecznie mokrych desek podłogi obok mnie, tu deszcz – tam beczka. Siedzę skulona z workiem na kolanach i opędzam się rozpaczliwie komarom.

Wreszcie – a mógł to być jakiś ósmy czy dziewiąty dzień naszej jazdy – nagle w szczerym polu wywołują kilka z nas z wagonu. Z Polek idzie tylko szykowna pani Ada, Kazia z Kulikowa i ja. Reszta – Żydówki i Marzenka z krzywą twarzą. Mała Władzia, ku mojej i jej żałości, zostaje. Nie wiemy, jak zwykle, dokąd nas biorą, i jak zwykle, zdumiewa nas potem bezsens ich poczynań. Z niedocieczonych do dziś powodów przenoszą nas tylko o kilkadziesiąt kroków dalej, z bydlęcego wagonu za ową reszotkę. Jest to, jak wiadomo, zwykły wagon trzeciej klasy, tyle że okratowany i mający trzy piętra półek do leżenia. Po co to robią? Dlaczego? Nie wiem. Nikt nie wie. Oni sami pewnie też.

Pcham się więc korytarzem, mijając poszczególne pełne kobiet klatki.

Niczyjej twarzy nie mogę rozeznać, bo za skośną, grubą kratą mrok prawie zupełny, jako też szyby w przedziałach zabite są deskami. Nagle w jednym z nich zakotłowało się niespodzianie, ktoś woła mnie po imieniu i widzę – Helenę! Roześmiana, ucieszona, zdążyła krzyknąć – nim mnie kolba pchnęła dalej – że ona i Marysia jadą w tym samym transporcie. Cóż to za pomyślność radosna! Nie miałam przecie pojęcia, w którą stronę ruszyły ze Starobielska. A tu raptem – znów razem! Cudownie! Ku wielkiej uciesze pakują mnie w przedział tuż obok tego, w którym jedzie Helena, tak że możemy do siebie krzyczeć. Pokazuje się, że jest tam także Długa Krystyna i ta miła popadia z warkoczami, i kilka innych jeszcze, tak że cały korytarz, ku furii strielków, aż szumi od rozmów.

Dowiaduję się, że wiele wagonów z naszego eszelonu zostało po drodze odczepionych i poszło gdzie indziej, bardziej na wschód. Moc jednak z pierwszej kamery zostało i jedzie razem. Helena opowiada mi także ze śmiechem, że ją z bydlęcego wagonu przenieśli tu niby jako do karceru. Wycięła taką awanturę którejś z Żydówek za obrazę Polski, że ją postanowiono ukarać. I ukarali ją tym, że ją z potwornych warunków przenieśli w o tyle znośniejsze! Idioci! To przykre tylko, że Marysia została teraz sama. Ale to chyba na krótko. Już pewnie niedługo będziemy u celu.

Mam miejsce na półce pod samym sufitem. Zamiast przeklętej tuby – lampa bez palnika i klosza jest moim najbliższym sąsiedztwem. Mam wybłaganą na którejś ze stacji gałąź obcego krzaka i opędzam się od komarów, aż mi ręce więdną. Okna na korytarzu są pootwierane i widzę z wyżyn mojej półki pocięty w kratę świat. Zmora nie świat. Kilometrami, milami tajga – i nic. Przestrzeń opuszczona przez Boga i ludzi. Młaki, bajora, oparzeliska, torfy, karłowate laski, a wszystko utopione w bagnach i w białych, nijakich nocach, i w białych, nijakich dniach. Czasem jakiś potępieńczy obóz pracujących skazańców. Komary muszą ich tu jeść

żywcem. Wszędzie widać owe ratownicze, kudlące się dymem ogniska i wszyscy mają głowy omotane czarną siatką. Czasem na dnie płytkiego lasku migną z brzozowych pniaków poukładane sągi lub na świeżych jeszcze trzaskach bielejące baraki. A potem znowu godzinami nic, tylko bagna i mokradła. Naprawdę zmora – nie kraj! Już lepiej zamknąć oczy albo patrzeć na mętny odblask ponurej zieleni, sunący do góry nogami tuż nade mną, po brunatnym lakierze sufitu.

Po dwóch dniach od ciągłego leżenia na deskach – usiąść tu u mnie na górze nie sposób! – zaczynają mnie bardzo boleć kości. Tym sobie przynajmniej tłumaczę zmęczenie i uczucie coraz większego rozklejenia.

Ot i nie było rady! Trzeba sobie było uciąć na tej półce pod sufitem grypę jak się patrzy, z oślepiającym bólem głowy i łamaniem wszystkich stawów. Długa Krystyna, w przedziale obok, ma zresztą grypę też. Już taka jakaś passa przyszła na nasz wagon.

Nie pamiętam, czy była u nas siostra. Ostatnie dni podróży rozgotowały mi się w pamięci jak papka. Wiem tylko, że były roje much i komarów i Wilma – ta przewieszona przeze mnie młoda węgierska Żydóweczka – która, znalazłszy szparę w deskach tuż nade mną, całe godziny spędzała na rozmowach z mężczyznami za drugą ścianą. Męczyło mnie to wtedy do płaczu, ale trzeba było i to wytrzymać.

Wreszcie, w dwa pełne tygodnie po wyjeździe ze Starobielska, każą się nam wyładowywać. Jest mi tak słabo, że ledwie z półki się zwlekam.

Jesteśmy w lesie. Buda zamiast stacji, parę szałasów, jakaś szopa. Wszystko razem nazywa się Kożwa. Pod lasem czeka lora na nasze wieszczy. My same mamy iść kilkanaście kilometrów piechotą. Wagony wyrzucają kolejno swoją żywą, zaśpieszoną nadziankę. Ruch, gwar, zamieszanie. Jedne się już znalazły, inne się jeszcze szukają. Helena poleciała po Marysię. Krystyna leży jak długa na tobołkach, ja kulę się na swoim – jak półtora nieszczęścia – i ani ręką, ani nogą. Jedna tylko pani

Ada – która chronicznie niedomaga – domaga się za to bardzo energicznie u jednego z konwojentów, aby nam, chorym, pozwolił wleźć na lorę. Po długich targach wdrapujemy się wszystkie trzy na stos rozlatujących się tobołków – i jazda! Zdrowe mają nadążyć piechotą.

Dzień jest wyjątkowo pogodny i ciepły. A może to noc? Nie można wiedzieć. Nie czuje się jednak czerwca w powietrzu. Nachylenie świata też jakieś jesienne. Tylko obłoki podobne do naszych. Białe, twardo ubite, ciągnące leniwie Bóg wie dokąd.

Lora gramoli się najpierw leśną drogą, burczy, furczy, ale jakoś lezie. Potem wydostajemy się na coś, co by się u nas nazywało haniebnym zrębem. Mizerne, rzadko rozrzucone świerczki o paru wypierzonych, wyrywających się w jedną stronę gałęziach, krzaki jałowca czy czegoś bardzo do jałowca podobnego, koszlawe, rachityczne brzózki, a dołem wrzos i wysokie, łykowate kępy borówek. Gdzieniegdzie dygocze liśćmi zieleń wilków wokół srebrzącego się w słońcu starego kikuta po wyłamanej osice. To wszystko.

Droga jest grząska, głębokimi koleinami wtarta w głuchą, próchnistą ziemię, pełną strupieszałych ścięgien korzeni, na których auto potyka się co chwilę, waży na boki, podskakuje. Krystyna leży z zamkniętymi oczyma i rękami złożonymi jak nieboszczyk. Wydaje się jeszcze dłuższa niż zawsze, pewnie dzięki granatowym narciarskim spodniom. Wiatr nawiewa jej czasem włosy na twarz. Jest zbyt zmęczona, by je odgarnąć. Zaczyna być ciepło.

Od kierowcy w nakomarniku dowiadujemy się, że to wcale jeszcze nie jest kres naszej podróży. Tu będzie tylko krótki postój i oględziny lekarskie. Jeszcze dziś wieczór mamy być załadowane na wodę.

– Na jaką wodę?

– Szeroką – pada obojętna odpowiedź spod czarnej siatki i wiemy już, że – dobrze widać wytresowany – konwojent nie powie nic takiego, po

czym mógłby się więzień w przybliżeniu choćby zorientować, gdzie jest i dokąd go powiozą.

Dobijamy wreszcie do obozu.

Płaska, wypalona słońcem polana bez śladu drzew bieleje od rozrzuconych szeroko namiotów i baraków. Cały obóz omotany kolczastym drutem na wysokość dwóch metrów i wszędzie gołębniki ze strielkami. Nie puszczają nas jednak poza ogrodzenie. Tuż przed bramą każą złazić i czekać. Kładziemy się na workach w pełnym słońcu i czekamy. Pewnie dopiero gdy reszta transportu nadejdzie, zaczną się te oględziny lekarskie, dadzą nam jeść i będzie bania. Brudne jesteśmy okropnie.

Nic podobnego! Nie było bani, nie dali nam jeść, a oględziny lekarskie ograniczyły się do bardzo zdawkowych pytań lek-poma, który bez żadnych lekarstw, ale za to z opaską na ramieniu obchodzi szeregi na ziemię zwalonych, zziajanych, wymęczonych marszem i słońcem niewolników.

Ale rachowali nas za to do zachodu. Transport jest ogromny. Od mężczyzn aż szaro. Jest ich chyba ze cztery razy więcej niż kobiet. Siedzą teraz szeregami jak zawsze i są też liczeni bez końca. I dopiero kiedy się dorachowali wszystkich, pognali nas piechotą ku rzece.

Zachód wcale tu nie jest podobny do zachodu. Ogromna, spłaszczona kula o zawściągniętym, złagodniałym blasku toczy się wzdłuż horyzontu i nie ma ochoty zapaść. Światło idzie nisko, po nogach, a cienie ścielą się na niebywałą dalekość.

Wleczemy się szeroko rozciągniętym wężem. Jesteśmy już tak daleko od świata, że nas nie pilnują. Eskorta mniej liczna. Nie ma też psów. Tylko dalekość. Stąd już nie ucieknie nikt.

Gliniaste wąwozy o nawisach wrzosistej darni, opustoszałe zręby, koszlawe jałowce i jakieś obce krzaki – wreszcie kwaśna, ostrymi trawami zarosła, jasnozielona łąka z rzuconym w bagno wąskim pomostem

rozmlaskanych desek – i rzeka.

Na jej spokojnej, szklistej powierzchni leży ciężko kadłub olbrzymiego korabia. Kształtu to nie ma żadnego. Drewniana paka o płaskim dachu, opasana wokół wąskim pomostem. Z brzegiem łączy ją tylko długa, własnym ciężarem łukowato wygięta deska.

I teraz zaczyna się zabawa! Na tę tańcującą, sprężystą deskę bez poręczy i bez progów – każą nam wchodzić po kolei. Woda pod nią aż granatowa od głębokości. Deska gnie się pod samą powierzchnię i skacze. Niektóre przeprawę tę traktują po sportowemu, inne jednak zaczynają płakać, bronić się i uciekają od brzegu. Jedne na serio, inne dla zabawy. To przecie doskonały żart uganiać się tak z konwojentami! Ach! To Zakarpacie! Cyla, rżąc na całe gardło, zaszyła się w co najgęstsze krzaki. Zaraz jej jeden poszedł szukać.

Jest nas tu około 350 kobiet. Ładowanie więc trwa bez końca. Korzystając z niespodziewanej zwłoki, zamiast czekać bezczynnie na swoją kolej, niektóre wyciągają z worków brudy i piorą je pośpiesznie, stojąc po kolana w wodzie. Nie wiadomo przecie, jak długo podróż potrwa i czy będziemy miały na barży łatwy dostęp do wody. Są nawet takie, które się kąpią. Woda jest miękka i łagodna w dotknięciu. Tak niedawno jeszcze miałyśmy jej tylko kubek na dobę! Cudownie więc, że jej teraz – tyle! I to jeszcze jest cudowne, że rzeka ta pachnie całkiem tak samo, jak pewna kochana, daleka rzeka mego dzieciństwa. I ma tak samo pawio-zieloną, migotliwą toń, i sunie tak samo między dwoma siwymi od żwiru brzegami. Byle nie spojrzeć dalej, jak tylko po ten drugi właśnie, popielaty brzeg!

Na kładce popisy akrobatyczne trwają w dalszym ciągu. Raciszewska klnie się na wszystkie świętości, że nie pójdzie. Nie po to – psiakrew – dojechała tutaj żywa, żeby się miała utopić w tej ich cholerskiej rzece! Szkoda jej ścierwa dla sowieckich ryb! Jak Boga kocha – nie pójdzie! I

trochę się jej nie dziwię. Baba jest olbrzymia, ciężka i ma krótki wzrok. A tu trzeba sunąć boczkiem, wolniutko, z workiem na grzbiecie, po wąskiej na stopę, giętkiej desce, która każdy najostrożniejszy krok rozprowadza na całą swą długość, wesoło i sprężyście.

Szczęście, że ciągle jest zachód! Słońce węszy z bliska po horyzoncie za miejscem, w którym wreszcie zdecyduje zapaść.

W samym korabiu jest duszno i mroczno. Nie ma tu żadnych okien i światło wciska się jedynie przez drzwi. Dopiero wszedłszy, zdaje sobie człowiek sprawę – co to za kolos! Pięć niebotycznych pięter z wąskim przesmykiem pośrodku. Choć nas jest tyle, korab robi wrażenie pustego. Pierwszy raz mamy dość miejsca.

W jednym tylko kącie ścisk jak przy kataryniarzu z małpą! To ten obiecany przegląd lekarski. Lek-pom rozdaje tam lekarstwa. Wszystkie momentalnie są chore. Na zapas. Rozchwytują bandaże, maści, proszki, watę. Nim chore się docisną, nie będzie już waty, proszków, maści ani bandaży. Świetne nitki robi się przecie z bandaża! Daremnie Cesia walczy o przejście dla tych, które naprawdę potrzebują zmiany opatrunku, przecięcia nabranego wrzodu, zakropienia oczu. Dziki kłąb zachłannych na wszystko, co tylko zdobyć można, kobiet pod byle pozorem ogałaca i tak ubogą apteczkę ogłupiałego od wrzasku lek-poma. Chcę z początku prosić go o aspirynę i zapytać, czy nie ma maści na świerzb, ale widząc, co się dzieje, wolę się drapać, niż przepychać przez tratujące się po głowach zakarpackie stado. Jakąż straszną rzeczą staje się w gromadzie – człowiek!

Znając już mamy los tych, które leżą na dole, wdrapuję się z Marysią, Heleną i Małą Władzią na najwyższe piętro, pod sam dach. Tu nam przynajmniej nikt nie będzie niczego na łeb sypał! Dostanie się tu nie było wcale łatwe. W sosnowych słupach tkwią z rzadka gwoździe i parę ochełtanych łat. Nie byłoby czego zbierać, gdyby się kto w dół stąd zwalił.

Trzeba się więc mocno czepiać zalepionych żywicą słupów, zwłaszcza że worek na plecach ciągnie wstecz jak żywy.

No, wreszcie jesteśmy szczęśliwie na górze. Trzęsę się cała z wysiłku i wiem, że muszę mieć gorączkę. Mniejsza z tym. Jest nareszcie przestronnie! Od niepamiętnych czasów będzie się można położyć wygodnie, na wznak czy na boku, jak kto woli, i podkulić kolana, co dotąd było od miesięcy niedościgłym marzeniem. I nikt nie będzie mi chuchał w kark ani ja nikomu. Nie ma blisko Zakarpacia, nie ma tuby. Cudownie! Rozpakowujemy manatki, wyciągamy garnuszki, rozścielamy koce. Jakże błoga jest świadomość, że znowu przez dłuższy czas nie będą nas ganiać z miejsca na miejsce! W olbrzymim korabiu gwar kilkuset głosów zgubił się jakoś i zmatowiał, jak w lesie. Mam tuż za głową pachnące żywicą deski, które miejscami żarzą się oto rubinem prześwietlonych słońcem sęków. Nie! Naprawdę nie mamy prawa się skarżyć. Jest cudownie. Za chwilę mają nam dać jeść, a potem będzie można spać – spać – spać. Strasznie jestem zmęczona i słaba po tej grypie.

Nie zdążyłyśmy jeszcze zjeść zimnej kaszy, kiedy w mrocznej rozpadlinie przejścia między piętrami jawi się taki w niebieskiej czapce i każe się nam zaraz przenosić z rzeczami na inną barżę.

Nie wiem, czy ktoś, kto tego nie przeszedł, uwierzy, gdy powiem, że są chwile, kiedy rozkaz taki jest po prostu – ciosem! Leżę z zamkniętymi oczyma, z walącym sercem i czuję, że mi się do gardła pcha dławiące łkanie. Ale i to wiem, że nie będę płakać. Trzeba tylko przeczekać tę pierwszą chwilę i powiedzieć sobie na zimno, że mi łzy nic a nic nie pomogą i że tak czy tak, muszę wytrzymać wszystko. Ostatecznie to nie są żadne tortury. Nikt mnie nie bije, nikt się nade mną nie znęca. Trzeba się tylko zwlec, spakować rzeczy, przywiązać do grzbietu i jakoś zleźć spod tego sufitu po ochełtanych gwoździach i łatach. Gdybyż tylko sił więcej! Blisko rok więzienia, głód w Starobielsku, ten bydlęcy transport,

którego okropieństwa niepodobna nikomu opowiedzieć, wreszcie grypa – nadszarpnęły mi zdrowie i siły gruntownie. Nie ma po co kryć tego przed sobą. Na samą myśl o karkołomnej drodze, która mnie teraz czeka, pocę się ze strachu i osłabienia jak ostatnia mysz, bo spaść z pięter nie mam najmniejszej ochoty. Mnie też jeszcze trochę szkoda. Jak Raciszewskiej!

I znowu 350 bab na rozhuśtanej desce, i znów komedie, płacze i histerie. A potem trzeci raz to samo przy wsiadaniu na drugą barżę. Pokazało się, że nas było za mało i że im nie było warto takiej półpustej, olbrzymiej arki wlec z nami na północ. Czemuż tylko nie pomyśleli o tym wcześniej? Łamanymi sztukami ładować korab, po godzinie – łamanymi sztukami rozładować go znowu po to, by bez jakiegokolwiek względu na umęczoną czeredę z nóg lecących niewolników wpędzać ich do innego.

Kiedy dostajemy się wreszcie na tę inną, mniejszą barżę, jest już wyraźny zmrok. Słońce się gdzieś podziało na chwilę, ale tylko patrzeć, jak w tym samym prawie miejscu, gdzie zapadło, ukaże się znowu. Bardzo podejrzana sprawa. Zupełnie jakby ich było dwa. Myślę, że gdyby Kopernik był stąd obserwował ruchy ciał niebieskich, byłoby mu się na pewno wszystko pomieszało.

Nasza nowa barża jest nie tylko mniejsza, ale podzielona jeszcze na pół przepierzeniem z desek. Jedną połowę korabia zajmujemy my, drugą mężczyźni.

Fortuna kołem się toczy. Dwa razy jednego dnia los rzadko się do kogo uśmiecha. Zdobywam miejsce tuż przy schodach, pod najniższym piętrem nar, na podłodze. Jednym słowem: „Kto się wywyższa, będzie poniżony”. Marysię i Helenę tłum wepchnął w inny niestety kąt barży. Mam z jednej strony Małą Władzię, a z drugiej Raciszewską. Ciemno tu u nas pod narami, ciasno, a tak nisko, że ledwie można usiąść. Nie mam jednak siły przejmować się tym na razie. Potem się będę martwić. Teraz chcę tylko zamknąć oczy i spać – za wszelką cenę spać! Nic mi nie

szkodzi i ścisk, i śmiecie sypiące się na nas z górnych pięter, ani nagły chłód ciągnący od dna barży, ani świerzb, ani wszy, ani komary. Zawijam się z głową, półżywa ze zmęczenia, i śpię.

Barża ruszyła tak cicho i podstępnie, że nie czułam nawet, kiedy odbiliśmy od brzegu.

Dwa tygodnie wleczono nas tak tą wodą na północ.

Rano dostawałyśmy surową rybę i gotowaną wodę z rzeki. Czasem na kolację była kasza. Ta surowa ryba to paskudztwo oślizłe, cuchnące jakimś organicznym smrodkiem, zalepiające palce na szkliście i łuskowato. Drewnianą łyżką tego nie pokrajesz. Musisz drzeć zębami, choć ci się z palców wyślizguje jak żywe. W dodatku nie wszystkie żołądki ją znoszą. Zaczyna się istna epidemia biegunki. Zamiast chleba dają nam teraz suchary. Trzy duże suchary na dobę. To strasznie żmudna robota zjedzenie takiego suchara. Najpierw trzeba go połupać na drobne kawałki. Jest tak twardy, że mamy od tego łamania dosłownie pokaleczone ręce. Potem – albo się te kawałki moczy w kipiatku, albo tłucze na jeszcze mniejsze i godzinami mamle w ustach, nim się taki kamień na tyle rozmiękczy, aby go pogryźć można. Dziąsła i podniebienie po paru dniach mamy w strzępach. Padło też wtedy ofiarą wiele zębów, tych biednych, kruszących się jak wapno, przez szkorbut ochełtanych zębów. Surowizny nie dają nam już żadnej. Trochę cukru i malinowa zawarka. To wszystko.

Największy jednak skweres o tytoń. Nałogowe palaczki po ścianach się drapią. Tytoń jest na wagę złota. Od wyjazdu ze Starobielska nie było przecież ławoczki, więc choćby tam kto jeszcze jakie ruble miał, i tak niczego nie kupi. Teraz więc, po miesiącu blisko podróży, w którejkolwiek stronie barży zażarzy się rudy punkcik, wszystko, co żyje, ciągnie ku jego szczęśliwej właścicielce i patrzy jej w zęby jak głodny pies. Bez śladu żenady żebrze jedna u drugiej o jeden dymek, zamawiają kolejkę, wydzierają sobie z ust ten mokry, zrudziały knypeć starej gazety

ze szczyptą tlejącej w niej machorki, wydłubanej razem ze śmieciem z dna czyjejś – często obrzydliwej – kieszeni. To bardzo przykry widok. Utarło się niepisane prawo, że nie wolno nikomu odmówić. Ktokolwiek przyjdzie, ma prawo pociągnąć. To już jest i obrzydliwe, i bardzo nierozsądne. Wszystkie wiemy doskonale, co to za wrzody ropią się Lence na łydkach, dlaczego Kohut Kaśka ma chrypkę i jakie zastrzyki brała pono w Starobielsku Ilona. Nałóg okazuje się jednak silniejszy od rozsądku. Niektóre, bardziej przewidujące, porobiły duże zapasy, ale się z tym kryją przed innymi jak ze zbrodnią. Taka Raciszewska na przykład. Wiem, bo leżę obok niej. Ma kilka sporych paczek machorki i trochę papierosów. Aby nikt jednak do niej na żebry nie chodził, sama chodzi po prośbie, gdzie może, ostentacyjnie zamawia się wszędzie na dymek i wszystkie swoje humory zwala na brak tytoniu. Zysk podwójny: oszczędza swoją machorkę i nie wyjawia tajnej trafiki.

Zimno zaczyna nam doskwierać coraz bardziej. Niskie, wilgotne zimno. My zwłaszcza, które śpimy na podłodze, musimy się owijać, w co się da, bo kostniejemy po prostu we śnie. O świerzbie nie wspominam, bo to już nudne. Mam go ciągle.

Ponieważ dzień jest nieustanny, zaraz po kolacji i po odśpiewaniu przez Polki wieczornych modlitw zamyka się ciężkie drzwi nad spadzistymi schodami i wnętrze barży pogrąża się w sztucznej nocy. Gwar przycicha, dudnienie desek ustaje, ale za to cała dzieląca nas od mężczyzn ściana zaczyna syczeć od szeptów.

Od pierwszej chwili między oboma połowami barży zostaje nawiązany kontakt. Ponieważ po obu stronach element bardzo rozmaity – i te kontakty są różne. Na przykład Cesia zorganizowała zaraz szwalnię i pralnię dla naszych. My mamy igły, nici i więcej mydła. Różne biedne skarpety z dziurami jak pięść zostają wciśnięte na naszą stronę, skąd po dwóch dniach wracają za deski czyste i wycerowane. Łata się koszule, szyje

woreczki na chleb, ceruje wytarte łokcie i przyszywa zebrane po kweście guziki. Niektóre z nas odnajdują przypadkiem za ścianą krewnych czy znajomych. Czasem tylko wieść o kimś swoim. Oczywiście wszystko to dzieje się w najgłębszej tajemnicy przed władzami. Co pewien czas wpada wprawdzie do nas inspekcja i piekli się, jeśli kogoś złapie bliżej ściany, ale ponieważ miejsca jest tak mało, że leżymy wprost jedna na drugiej, nie sposób dowieść, która znalazła się blisko deski z musu, a która z własnej woli. Miejsce przy ścianie na całe godziny wydzierżawia się tym, które zdążyły już porobić za deskami znajomości, albo takim, które mają tam kogoś swego. Polityka aż szumi. Wiadomości o wojnie przecierają się szparami, jak przez sito, z jednej strony na drugą. Wśród mężczyzn jedzie jakiś fenomenalny jasnowidz. Wszystko, co dotąd powiedział, spełniło się co do dnia. Ostatnia jego wróżba mówiła o jakiejś wielkiej, korzystnej zmianie, która zaważy decydująco na naszych losach. Cudownie! Niech żyje jasnowidz! Cesia, chcąc wykorzystać dobry nastrój, organizuje zbiórkę tytoniu dla mężczyzn. Z tym gorzej. Łatwiej znaleźć taką, która zaceruje skarpetkę, niż taką, która wyrzeknie się papierosa. Za szczyptę machorki mężczyźni oddają chleb, ręczniki, prześcieradła, mydło. Cesia zwalcza jak lew ten handel zamienny, przemawia do sumienia, serca, honoru. Daremnie!

– W gębę bym sobie napluła, gdybym odmówiła – mówi Raciszewska, ważąc w ogromnej łapie ogromną kostkę mydła. – Mydła mam do ciężkiej cholery. Tylko dźwigaj potem. Cóż, kiedy chłop skomli, żeby wziąć choć za jednego papierosa. Dam dwa. Niech wie, że ze swoimi jedzie…

A zaraz w chwilę potem:

– A to przeklęta wydra z tej Staszki! Nowiuteńkie prześcieradło tak od biedaka wymańcić. I za co? Za pół paczki śmierdzącej machory. A jak ja mu wczoraj dawałam całą – to idiota nie chciał. Za pół tobym nawet, jak Boga kocham, nie miała sumienia brać. Ale widzi pani, jakie to ludzie są.

– Widzę, pani Raciszewska…

Z nastaniem ciszy i sztucznego zmroku zmienia się jednak nastrój pod ścianą. Ustaje handel mydłem i tytoniem. Zaczynają się szepty, tłumione śmiechy, westchnienia. Od niepamiętnych czasów można tu pierwszy raz tak swobodnie i z bliska pogadać z mężczyznami. Ściana od góry do dołu, poprzez wszystkie piętra, ciemnieje od płasko do desek przypartych postaci, niczym plaster w ulu, zalepiony pszczołami.

Na górnych piętrach, gdzie gnieździ się Zakarpacie i gdzie urzęduje szampańska Marzenka, więcej kwików i prychania niż westchnień i słów. Gadało się potem nawet o odbitych tam na górze deskach, ale nie wiem, czy to prawda. Im niżej, tym sentymentalniej. Wilma – nabrawszy widać wprawy wtedy, nade mną, w wagonie – czaruje przez deski jakiegoś pesymistę, mówiąc mu, że życie mimo wszystko jest piękne, a ludzie tylko pozornie tacy źli. Trochę dalej inna zapewnia szparę, że wierzy w przeznaczenie i wędrówkę dusz. Tłusta, rozgrymaszona Trusiowa, babsko w niebezpiecznym wieku i zawszonym kożuchu, nieodklejająca nosa od desek jak dzień długi, sklamrzy teraz po ciemku o swojej tęsknocie za mężem, choć jej do pięty nie dorósł i choć miała z nim piekło, nie życie. Na osiemnasty jej było, kiedy ją rodzice wydali do Barszczowic. I za kogo? Za żandarma! Ją! „Pan rozumiesz, co to mogło być za życie w Barszczowicach”. I tak dalej, i dalej. Dochodzą mnie tylko urywki. Śmieszne i irytujące, rzewne i głupie. Tych z górnych pięter na szczęście nie słyszymy. Najlepiej jednak słychać komary, od których cała ciemność wibruje jak wnętrze własnej głowy po chininie. I tak usypiasz.

Budzi cię nieodmiennie przeraźliwy skrzyp ciężkich drzwi nad schodkami. Nie pamiętam, by którekolwiek drzwi na świecie umiały tak przeraźliwie miauczeć. Zwisały krzywo z zawiasów i tarły całym spodem o wyślizgany próg. Leżę tuż przy schodach i prosto w ocknięte tym skrzypem, ogłupiałe oczy wlewa mi się światło białego dnia. Po chwili

powtórny skrzyp, grzmot schodków i cisza. Ktoś wrócił z uborny. Po kojkach wszystko leży i nie rusza się. To pewnie jeszcze głucha, słoneczna noc. Zaciągam koc na głowę i próbuję prędko spać dalej. Właśnie! Jeszcze nie zdążyłam zamknąć oczu, kiedy znów ośli kwik drzwi i znów chlust światła pod koc. To znowu ktoś wyszedł. Czekam więc. Łudzę się, że gdy wróci, będzie jeszcze miejsce na krótkie post scriptum spania. Niestety – tak jak i mnie – drzwi pobudziły już nasze słowiki.

– Żeby cię szlag jasny trafił, kudło przeklęta – niesie się w ogólnej ciszy głos Raciszewskiej. – Już to nie mogło, bydlę takie, pięciu minut dłużej potrzymać…

– Fe! Jak to niełądnie dzień takimi brzydkimi słowami zaczynać, pani Raciszewska…

– Panno Cesiu, jak Boga kocham, kiedy mnie zaraz jasna cholera trafiła na taką! Żeby tak na nikogo względu! Wszystko jeszcze śpi…

– Guzik kto śpi już teraz… – spada na nią, jak jastrząb, z górnego piętra zachrypnięty głos przemytnicy z Katowic. – Zostaw pani skrzypieć drzwi, a sama stul – taką a taką – mordę, bo to gorsze od wszystkiego. Rozpuściła tę parszywą jadaczkę na cały regulator i szczeka!

Tak wyglądają nasze przebudzenia. I cały dzień potem taki.

Mycie się jest połączone z niebezpieczeństwem [dla] życia. Mamy tylko jedno wiadro i tym wiadrem czerpie się wodę z rzeki. Pomost jest taki wąski, że się na nim z trudem dwie osoby miną. Nie ma żadnej burty ani żadnej poręczy. Spadzista, wiecznie mokra deska i rzeka. Nie wolno nam barży obchodzić dookoła. Mamy wyznaczony pewien odcinek tylko, z dziobem barży włącznie. Na 350 kobiet, które się chcą tu umyć i oprać, jest to śmiesznie mało. W dodatku na tym samym odcinku mieści się uborna.

Jest nią otwarta, płytka buda, zawieszona wstecz nad głębią. Wspiera się tylko o brzeg barży dolną krawędzią i własnym ciężarem. Pochyloną

lekko w tył przytrzymuje jedynie obejmująca ją wpół stalowa linka. Kiwa się to i kołysze, gdy tam wejść. Z dachu barży władza w szynelach obserwuje nas przy tym bez żenady, ale i bez śladu zainteresowania. My – zakluczone – jesteśmy w ich oczach bydłem. Całe szczęście, że oni w naszych – tym samym. To niesłychanie ułatwia różne nieporęczne sytuacje.

Zdarzają się jednak i takie rzadkie chwile, kiedy na pomoście jest nas mniej. Zwłaszcza dziób barży bywa czasem pusty. Na niskim, omotanym grubą liną słupku przysiadasz wtedy szczęśliwy, przymykasz oczy i odpoczywasz po wrzasku i zaduchu.

Woda pod słońce lśni leniwie i pełznie ciężko, bezszelestnie. To olbrzymie rzeczysko to Peczora. Płasko rozlana między dalekimi brzegami dyszy srebrzystą łuską silnego prądu, z którym płyniemy wprost na północ. Trzy szeregiem spięte barże ciągnie po niej mały, na brązowo pomalowany parowy stateczek. Mikrus ten chodzi w zakosy po rzece i tłucze wściekle wodę o zdyszanych, nerwowych obrotach. Cały też brzuch zanurzony ma stale w pianie.

Oba brzegi rzeki to tajga. Z daleka tajga robi zupełnie inne wrażenie niż ta, przez którą sunie się pociągiem. Rzekłbyś – zbity, rudawy mech ciągnący się precz, jak okiem sięgnąć, po obu stronach wody. Woda jest szklista, świetlista i migotliwa – tajga nieruchoma i martwa. Raz tylko jeden w czasie całej drogi dostrzegłam w gęstwie ślad życia: rudą, samotną kroplę ogniska, położonego w mech na skraju lasu. Poza tym bezmierna pustka – i nic.

Czasem, gdy brzegi rzeki zmieniają się w wysokie, gliniaste urwiska, tajga umie gdzieś wstecz odpłynąć, cofnąć się, stracić. Wtedy nad płową zboczą jawi się na tle nieba jakieś ubogie przemysłowe osiedle, składające się z kilku niskich, starą blachą obitych budynków, kilku rudych od rdzy, drutami powiązanych kominów i czarnych fałd węglowego miału. Ludzi

nie widać nigdzie. Muszą być, ale ich nie widać. Zwierząt żadnych. Wsi żadnych. Bezbarwna martwota i smutek. Straszny, naprawdę straszny kraj.

A woda lśni pod słońcem i astmatyczny stateczek tłucze krótkimi skrzydełkami mięsistą jej zieloność, zmieniając ją w biały puch. Czasem mijają nas jakieś inne, tak samo szeregiem ciągnione barże. Wtedy oba stateczki zamieniają przeraźliwie radosny, urywany wzruszeniem ryk. Tępe echo uderza w tajgę jak w filc – i przepada.

Na tzw. noc zatrzymujemy się najczęściej przy brzegu. Barże podjeżdżają tuż pod liściaste nawisy wilgotnych zagajników, skąd rzuca się I na nas popielata chmura komarów i zapach czeremchy, która właśnie kwitnie. Zagajniki te są zupełnie martwe. Nie słyszałam żadnego ptaka. Prócz metalicznego szumu komarów i lepkiego mlaskania wody o brzeg – cisza zupełna.

Brzeg jest obstawiony strażą i nikomu nie wolno wysiadać. Z każdej barży wyznacza się tylko kilku mężczyzn i ci pod strażą idą do najbliższego żywnościowego punktu po prowiant. Ów najbliższy punkt jest czasem tak daleko, że czekając ich powrotu, stoimy przy brzegu wiekami. Wracając, ledwie się wloką biedacy. Mam w oczach taki sunący po wysokim brzegu pochód zgarbionych sylwetek, gnących się pod ciężarem olbrzymich worów. Drobny kłus zgiętych w kolanach nóg i napięcie grzbietu świadczą wyraźnie, że gonią resztami sił. Za nimi ciężkie postacie w długich po kostki szynelach i cienkie żądła bagnetów na tle żelazistego nieba.

Życie towarzyskie kwitnie i tu, jak w Starobielsku.

Chodzi się „po chałupach” z wizytami. Marysia z Heleną mieszkają wysoko, na najwyższym piętrze. Są tam i obie Długie Krystyny, i Danusia. Tyle że karkołomne wdrapanie się na górę jest połączone z nieodzownym upapraniem się w żywicy zalepiającej słupy nar. Prócz tego gwoździe i kanty nieheblowanych desek czyhają tam podstępnie na resztki mojej

spódnicy.

Tej starej, brązowej, poczciwej spódnicy nie mogę – przyznaję – wspomnieć bez wzruszenia. Ukradli mi ją w parę miesięcy później, gdy stała się kompletnym już łachem. Ale i wtedy na barży była raczej tylko wspomnieniem odzienia. Cerowana wszerz, wzdłuż i w poprzek różnokolorowymi nitkami wszystkich więziennych koców, popodkładana darowanymi szmatkami, jest już tak przetarta, że prześwieca pod światło jak organdyna i sama nie wiem, jakim cudem trzyma się jeszcze na mnie. Opada mi wprawdzie do połowy bioder, choć ją ciągle zwężam, przesuwając największą jej paradę, której mi wszystkie zazdroszczą – cztery rogowe guziki, nie wiem dlaczego niewydarte mi przy rewizjach. Mam jednak długi, pstry od kolorowych cer sweter, więc tej nadprogramowej pauzy między bluzką a pasem na szczęście jakoś nie widać. O wypraniu jej – ani marzyć. To byłaby jej ostatnia godzina. Noszę ją więc brudną, siwą od kurzu, cętkowaną od plam i lepką od historii powszechnej. Tę nową, granatową, którą przysłano mi z domu, chowam na jakieś nieodgadłe „potem". Włożyłam ją dotąd tylko raz jeden w Starobielsku, razem z nowymi trzewikami – sobie samej na imieniny. Teraz, kiedy w nocy ziąb przenikliwy nie daje mi czasem spać, narzucam ją na plecy jak peleryną i trochę mi wtedy cieplej. Pończochy drą się strasznie. Nie ma ich czym cerować, więc wciąga się dwie podarte pary i nićmi z bandaża czy koca zszywa pracowicie jedną z drugą, na nodze. Rzadko kiedy dziury wypadają w tych samych miejscach, więc w ten genialny sposób ma człowiek znów na pewien czas z dwóch dziurawych par – jedną caluteńką. To tylko nudne, że po takiej pomysłowej fuzji wyprane bardzo długo schną. Z bielizną jeszcze nie najgorzej. To całe szczęście. Mam jej dość na zmianę, tylko mi obrzydła ilość szwów, które dwa razy dziennie trzeba przepatrzyć i oczyścić. Nie miałam dotąd pojęcia, ile kilometrów zakładek, obrąbków i wszytek nosi człowiek na sobie!

Zgłębiłam już wszystkie zwyczaje i upodobania wszy. Istnieje typ obrąbków, którego nie lubią, i takie, za którym giną! Wiem już, że wolą brązowy sweter od pomarańczowego. Kołnierz jest najulubieńszym miejscem ich samotnych spacerów, natomiast ogniska rodzinne zakładają z reguły w rękawach. Inna rzecz, że mogę mówić o szczęściu. Mając głowę stale czymś owiniętą z powodu newralgii, uchroniłam się, jak dotąd, od wszy we włosach. Plaga ta, prześladująca inne, jest chyba gorsza od wszystkiego, zwłaszcza wobec braku własnego gęstego grzebienia. Mam jeszcze i tę dogodność, że nie odróżniam swędzenia świerzbu od swędzenia wszy. Unikam zatem owego gorączkowego zdzierania z siebie ubrania co parę minut, na które cierpią inne, chcące złapać jeszcze wesz na gorącym uczynku. Robię uczciwie prowierkę rano i wieczór, a jeśli mnie skóra pali w czasie dnia, kładę to na karb świerzbu i nie uganiam się po sobie za poszczególnymi wszami przez cały dzień, jak tamte.

Nie ja jedna zresztą mam tu świerzb. Jest go dużo na barży. Nikt się z nim nie kryje i nikt się go nie boi. W warunkach, w jakich żyjemy, dziwnie szybko wyrabia się fatalizm. Jeśli się mam zarazić, to się i tak zarażę. Śpimy ciasno jedna przy drugiej, tak że trudno mówić o jakichkolwiek środkach ostrożności. Trzeba wszystko zdać na los. Na szczęście Lena z wrzodami na nogach, zachrypnięta Kohut Kaśka i Ilona śpią zawsze z dala od nas. Świerzb jest dziecinną igraszką w porównaniu z wszystkim, co nam tu grozi.

Bardzo się jeszcze podle czuję po tej grypie. Leżę więc przeważnie w mojej budzie pod narami i opowiadam sobie bajki. Czasem chodzę na bajki do pani Stefanii, tej ze Speca, która rezyduje na pierwszym piętrze na prawo, a czasem do Marysi i Heleny.

One ślicznie mieszkają. Wprost naprzeciw cały dzień otwartych drzwi. Świat sunie w nich leniwie srebrem rozmigotanej rzeki, którą płyniemy teraz pod prąd i która się już nazywa Ussa. Peczora została

daleko za nami. Kiedy się w tę wodę długo a bezmyślnie zagapić, ma się wrażenie, że lekkie pudło barży stoi nieporuszenie w miejscu, a świat za otwartymi drzwiami jest cały tylko płynną, bezszelestną, rozmruganą srebrzystością. Z wysokiego piętra nar nie widać bowiem ani nieba, ani drugiego brzegu, bo je ścinają czarną linią niskie odrzwia. W dodatku całe drewniane podniebienie arki drga i pełga chybotliwą morą refleksów płynącej słońcem wody. To trochę tak, jakby się widziało na własne oczy wibrowanie dźwięku w mrocznym, wydrążonym wnętrzu instrumentu. Bardzo to ładne.

Prawie tak samo wolno jak ta woda płyną nam niemające końca, w białych nocach utopione dni. Najgorsze, że nie ma się czym zająć. Połatałam sobie spódnicę, pocerowałam łokcie swetra i pozszywałam pończochy. Odkąd mężczyźni zza desek zaczęli na naszą stronę przepychać suchary i cukier za łatanie i pranie bielizny, Cesia wstrzymała przyjmowanie naprawek.

– Wolę, żeby byli obdarci i brudni niż głodni – mówi i ma rację. Więc choć w tej dobroczynnej akcji mój współudział był znikomy – i ta robota się skończyła.

Tylko naprzeciw, pod narami, wre praca. To pomysłowej i praktycznej pani Adzie robi Kazia z Kulikowa spodnie z kocyka. Szykowne flanelowe spodnie. Pani Ada ma jeszcze naturalnie drugi kocyk i dużo papierosów. Kazia umie szyć – a od tygodni jest na cudzych dymkach. Zatem sprawa jasna: będą spodnie za papierosy. Za papierosy też pierze Raciszewska pani Adzie bieliznę. I znowu zysk obopólny: pani Ada bez wysiłku ze swojej strony ma czystą bieliznę, a tajna trafika Raciszewskiej puchnie.

– Jak ona taka duma, żeby dawać, ja nie taka duma, żeby nie brać – zwierza mi się Raciszewska. – Cóż dla mnie tych parę jedwabnych łaszków przepłukać? A ona tytoniu ma do diabła. Zamiast dusić te (takie a takie) ruble, kupowała w każdej ławoczce machorkę. Nie dla siebie, bo

nie pali, tylko żeby teraz mieć czym płacić. Niech płaci. Ciekawa tylko jestem, ile da Kazi za te majtki?

Ja jakoś wcale nieciekawa – leżę z zamkniętymi oczami i udaję, że śpię. Raciszewska wzdycha i milknie.

Dzień jest nieustannie.

Gdzieś pod koniec naszej jazdy – pewnego takiego niemającego końca dnia – owi mężczyźni chodzący z workami po prowiant przynieśli nam w tajemnicy z brzegu wieść o wybuchu rosyjsko-niemieckiej wojny! Żaden płomień nie objąłby szybciej naszej żywicznej barży, jak ją objęła ta wiadomość. Zagotowało się. I u nas, i u mężczyzn za deskami.

Oto nareszcie państwo Belzebuba rozdzieliło się przeciw sobie. „Jakże się ostoi królestwo jego?”.

Dwunastego lipca wysadzają nas wreszcie na ląd. Nie mamy oczywiście pojęcia, jak się ten kraniec świata nazywa. Moc różnych, różnej wielkości budynków, znowu blaszane kominy i niebotyczne zaspy węglowego miału. Błękitnych czapek coraz mniej. Przechodzimy widocznie spod opiekuńczych skrzydeł NKWD pod zarząd obozów pracy.

Dowiedziałyśmy się później, że cały ten okręg nazywa się Workutstroj i jest dużym, szeroko nad rzeką Ussą i Workutą rozciągającym się przemysłowym ośrodkiem, zgrupowanym przy kopalniach węgla. Pracują tu sami skazańcy. Tak mężczyźni, jak kobiety. Jest to już sam cypel Komi SSSR, gdzie diabeł mówi nareszcie Rosji dobranoc i gdzie mapa zaczyna powoli tracić pigment na rzecz polarnych bezbrzeży. Jesteśmy już więc w kręgu podbiegunowym. O wiele wyżej od Islandii. Cały ten europejski jeszcze cypel Związku zasiany jest łagrami.

A wtedy, wysiadłszy z barży, niczego o tym kącie nie wiemy. Wleczemy się od przystani po czarnej od węgla ziemi, przez tory i nasypy, ku niedużemu budynkowi na górce. Brudno tu wszędzie i ponuro, jakby samo powietrze pełne chmur, jakby październik, nie lipiec.

Z krótkiego tu postoju mam w pamięci kilka tylko oderwanych migawek. Pamiętam ciemną jak piwnica stołówkę, w której po czterech tygodniach pierwszy raz dostajemy gorącą lurę z twardymi cętkami marchwi. Jakiś dobroduszny skazaniec zarządzający stołówką daje kilku z nas, w tajemnicy, po jednym względnie świeżym bałabuchu i mówi z nami jak z równymi. Oczywiście tu, jak na wyspie trędowatych, jesteśmy już wszyscy równi. Pytamy go, czy zostaniemy tu już na stałe? Zaprzecza. Dzisiejszy transport kobiet jest przeznaczony na Loch-Workutę – co pono znaczy Ciężka Workuta czy Zła Workuta – na daleki folwark w tundrze, do tzw. skot-dworu, gdzie się prowadzi mleczne gospodarstwo na wielką skalę. Mówi nam także, że poszło tam już bardzo dużo naszych. Mamy szczęście, że nas przywieźli dopiero teraz, w lecie. Wtedy, kiedy ich piechotą po zamarzniętej rzece przygnali z Kożwy w styczniu 1940 r., nie było tam nic prócz wichru, śniegu i 60 stopni mrozu. Pierwsze ognisko w śniegach rozłożyli tam oni i oni sklecili pierwszy szałas. Zaraz też pierwszej zimy wymarzła ich połowa. Ale ci, co zostali, i ci, co później przyszli, pobudowali baraki, stajnie, ziemianki, piekarnię i banię. Cały łagier jest ich dziełem. Teraz zabrali ich stamtąd do kopalń. „Zostali tylko ci za zoną, pochowani w tundrze, i ci się już nigdzie nie ruszą” – dodaje z uśmiechem, który, gdyby nie był tak bezradnie bolesny, byłby może okrutny. Dlatego właśnie, że jest tam już teraz ta piekarnia i dużo krów, Loch-Workuta należy do najlżejszych i najbogatszych łagrów w okolicy. Każdy się tam chce dostać. Możemy mówić o szczęściu.

Mówimy zatem o szczęściu. Chyłkiem zjedzony bałabuch, a teraz ten miraż chleba i mleka – zrobiły swoje. Czujemy otuchę i ulgę po tych obiecankach. Trzeba jeszcze tylko wytrzymać – ciężkie jak zawsze – dostanie się na miejsce przeznaczenia, a potem to się już jakoś nie najgorzej ułoży.

I pamiętam tam jeszcze ciemną, głuchą od pary banię, w której

myjemy się partiami po kilkanaście. Tusze już się skończyły. Na tej wysokości geograficznej muszą wystarczyć drewniane szafliki. Są więc drewniane szafliki, jest ukrop w kotle i zimna woda w beczkach. Szaflik jest wewnątrz tak ohydnie śliski od cudzych mydeł i brudów, że aż się mdło robi. I cóż z tego, że przed nabraniem wody z kotła próbowałam go opłukać warem? Aby zedrzeć ów stary osad po tysiącu kobiet i mężczyzn, których w tej bani kąpano, trzeba by szczotek i ługu, i piasku, i – sama już nie wiem czego. Ile Lenek myło się w nim przede mną? Ile zaropiałych nóg moczono już w tym szafliku? Chcąc prędko poradzić na coś, na co nie ma rady, powtarzam sobie w kółko, że jestem tak samo obrzydliwa jak wszyscy tamci. Dlaczego mój świerzb ma być smaczniejszy od ich wrzodów? Najwyższy czas wyzbyć się tego przeczulenia na punkcie własnej osoby, własnego ciała, własnej skóry. Jesteś takim samym łachem jak ci wszyscy, którzy się tu myli przed tobą. A może jeszcze obrzydliwszym? Jakim więc prawem ty się ich brzydzisz? O co ci właściwie chodzi?

Nie. O nic mi już nie chodzi. Myję się w zalepionym szafliku, w oślizgłych jego klepkach potulnie i bez buntu, rada nawet, że po miesiącu takiej drogi i nierozbierania mogę się umyć nareszcie! Ze sobą trzeba tylko tak! Powiedzieć sobie w oczy prawdę, po prostu i bez ogródek, jasno postawić sprawę, a potem zaraz wszystko łatwiej. Naprawdę.

I jeszcze jedna nas tam rzecz spotkała, którą należy może zanotować. Po bani kazali nam kolejno podchodzić do okienka i pobierać kazionną bieliznę. Dali nam po jednej męskiej koszuli i jednej parze takichże kalesonów z surówki. Po otrzymaniu ich musiało się podpisać kwit, a potem z miejsca zrobić bardzo dokładną prowierkę, bo było w tym pełno wszy. Nigdy nie zgadnę, jakim cudem. Bielizna ta pochodziła z rządowej szwalni, miała jeszcze karteczkę z nazwiskiem szwaczki i numerem, a przecież łaziły po niej wszy jak bób! Wszy w ogóle strasznie lubią

surówkę.

O niewiadomej godzinie – bo dzień jest ciągle – pognali nas ku wąskotorowej kolejce i załadowali na otwarte wagoniki. Mała jak samowar, niepoważna lokomotywa fuczy i pluje parą przed długim szeregiem lor, wyładowanych kobietami, węglem i deskami. Co parę wagonów jedna błękitna czapka i bagnet.

I tak ruszyłyśmy w tundrę. Kołatały pod nami wagoniki, sapał blaszany samowarek i pociąg sunął po kolana w twardej, nieznajomej gęstwie północnej roślinności. Dziwna jest ta tutejsza roślinność. Jakby w niej wcale nie było pędu ku górze i światłu. Dochodzi do pewnej, bardzo przyziemnej wysokości – i staje. Jakaś taka milcząca, niegwałcona przez żadną roślinę konwencja ograniczająca wzrost. I może dlatego tundra robi z daleka wrażenie futra. Jest gęsta, zbita, jednolita.

Z bliska jednak widać, że ten zbity kożuch pstrzy się od różnorakiej, wielobarwnej hołotki. Nie przypomina mi naszej. Drobne, rozstrzępione, przeważnie gronkami rosnące kwiatki. Dużo białych, dzwonkowatych kieliszków, jakieś niby firletki, ale na ogół – obce. Nad wszystkim zaś górują twarde kępy tych do borówek czy brusznic podobnych jagodowych krzaczków. One to właśnie robią tundrę. Jej zbitą, futrzaną jednolitość i jej pochyły ku rudziźnie odcień.

Czasem pociążek nasz zatrzymuje się w głuchej tundrze, przy jakiejś drewnianej budzie, wokół której złocą się nieodmiennie stosy niedawno tu zwalonych desek. Widocznie w pobliżu tej pierwszej budy mają niebawem rozrosnąć się inne. Osmoleni, wywatowani ludzie snują się wokół stacyjki. Kilku takich samych sterczy przy szynach i wbija leniwym rozmachem dżagan w żwir. Bardzo długo trwa, nim się jeden z drugim zbierze, by go z żwiru wyszarpnąć, dźwignąć i snów opuścić ku ziemi.

Robią to jak przez sen, w podwójnie zwolnionym tempie, jakby powietrze było wodą i stawiało inny opór niż zwykle. Dzióbią ten żwir

i dzióbią z bezmyślną, tępą nudą. Odpoczywają długie chwile, potem ociągliwie plują w jedną garść, potem w drugą i jeszcze wolniej wracają do dżagana. Widocznie w Rosji nie tylko „kto nie pracuje, ten nie je", ale i tak każdy pracuje, jak je.

Dzień jest ponury, zawleczony niskimi chmurami. Na lorach pochłodniało. Dotąd był tylko pęd pociągu, teraz wziął się nie wiadomo skąd przenikliwy, nagły wiatr. Nasz samowarek zaczyna kurzyć drobnym, zjadliwym miałem, tak że już patrzeć trudno. Zbijamy się więc w jeden kąt jak owce, naciągamy koce na głowy i jedziemy na oślep, zmęczone, śpiące i głodne – ze trzy opętane godziny.

Wreszcie Czuma. Dwa drewniane baraki, mały, tętniący telefonem stacyjny budyneczek, stosy na drogę i w rowy zwalonych desek, tundra i my: 350 czterotygodniową podróżą do upadłego zmęczonych kobiet. Na małym jak ren koniku uwija się wokół nas jakiś człowiek w fufajce i czarnej siatce od komarów. Jest też kilku konwojentów w szynelach, którzy wyszli naprzeciw nas z Loch-Workuty.

I nagle, ku obezwładniającemu przerażeniu, dowiadujemy się, że nas popędzą dalej piechotą! Ludzie na świecie! Przecie to najodleglejszy łagier Workut-stroju! W dodatku nie dają żadnej podwody na rzeczy, choć niektóre z nas są chore naprawdę, a inne mają tobołki tak ciężkie, że je ledwie z miejsca mogą przetaszczyć! Na zrozpaczone perswazje i błagania Cesi władze znajdują jedną tylko, złośliwie uśmiechniętą odpowiedź:

– A kto wam każe nieść? Jak za ciężko – można rzucić.

I pognali nas tak tundrą na przełaj, w ostrej, pętającej nogi gęstwie borówczanych krzaków, przez moczary, bagna, wertepy i wrzosowiska, gdzie miejscami tylko przetarte koleiny świadczyły, że nie my przedzieramy się tędy pierwsze.

Drogi tej nie zapomnę póki tchu. Dwa razy w życiu sądzone mi ją było odbywać tam i z powrotem – dwa razy – sama nie wiem, kiedy była

straszniejsza? Nie mam pojęcia, ile to dokładnie kilometrów. Nie więcej chyba nad piętnaście, ale jakość tych piętnastu starczy za pięćdziesiąt innych! Osłabłe z głodu, gnące się pod ciężarem worków, które z każdym krokiem stawały się cięższe, podarte do krwi na krzakach, upaprane po kolana w bagnach i strumieniach, wleczemy się tak, jak gromada potępieńców, ostatkiem sił i tchu.

Co to jednak znaczy – idea! Patrzcie na tę Hindę! Hinda idzie jak na wycieczkę! Hinda zbiera po drodze kwiaty i ma już spory bukiet w ręce. Grzęźnie wprawdzie tak samo jak my po kolana w błocku, tak samo gołe łydki na krzakach do krwi sobie kaleczy – ale objawów zmęczenia, niezadowolenia czy buntu nie doczeka się u niej nikt. Przeciwnie! Próbuje śpiewać. *Katiuszę* oczywiście. Zachwyca się krajobrazem. Mówi po rosyjsku przy każdej sposobności. Uśmiecha się do konwojentów jak do serdecznych przyjaciół. Ma wprawdzie wypieki ze zmęczenia i na pewno pustki w worku na chleb, ale ona – radosna pionierka walki z kapitalizmem i przyszła stachanówka – zbliża się do tego obozu jak do upragnionej, obiecanej ziemi! Tam będzie mogła nareszcie ze wszystkich sił i wedle najlepszego rozumienia pracować dla Sojuzu! Naprawdę budująca wariatka!

My też wzdychamy już do tego łagru, ale z innych nieco pobudek od Hindy. Jak na złość jednak, co się nam Loch-Workuta pojawi na dalekim nadrzecznym cyplu, to znów zapada za płowy grzbiet tundry. Za każdym razem na jej widok nabieramy sił. To już niedaleko! Już ją widać. Jeszcze tylko przejść te dwie falistości i będziemy na miejscu. Nic podobnego! Falistościom tym nie ma końca. Tundra pod palącymi ze zmęczenia stopami garbi się raz po raz nowym fałdem, a białawe plamy dachów na Loch-Workucie srebrzą się ciągle jednako odległe. Ma jak jakiś czy uroki? Nie do uwierzenia. Na płacz nam się już zbiera po prostu. I z rozdrażnienia, i z głodu.

Woda w mijanych bagnach jest brudna i czuć ją żelazem i stęchlizną. Nie każda ma odwagę ją pić, choć są i takie. Kładą się na brzuchu w błocie i chłepczą jak pies z przydrożnego bajora. Potem im błoto zasycha w smugach na brodzie i policzkach.

Rzeka płaskim, szeroko rozlanym lustrem wyłyskująca w wymulonej dolinie jest tak daleko, że tylko widok jej połysku orzeźwia i chłodzi. I to chwilami tylko, bo Workuta wije się jak srebrzysty węgorz przez tundrę, zatacza dalekie łuki, a kiedy podchodzi do nas znowu, to nigdy dość blisko, by można ku niej zboczyć.

I tyle dobrego, że nas już tu nie pędzą. Nareszcie nas nie pędzą! Idziemy noga za nogą, bo doprawdy nie mamy sił iść prędzej. Pochód rozpełzł się tak, że tych kilku konwojujących nas sołdatów straciło panowanie nad całością. Zresztą oni też są pomęczeni. Już drugi raz odbywają dziś tę drogę. Tylko ten jeden w siatce uwija się wokół nas na swoim małym koniku, ale nas nie popędza też. Widziałam, że częstował Walę i Irkę papierosami. Często też pozwalają nam odpocząć.

Padamy wtedy na ziemię jak trupy, gdzie która stoi, a bolesne pulsowanie krwi w całym ciele tłucze się w nas jak coś obcego, większego, rozleglejszego od nas. To bardzo dziwne uczucie. Człowiek leży na wznak z zamkniętymi oczami, rozkrzyżowany szeroko na tundrze, i ma uczucie, że zaściela sobą olbrzymią jej połać, że leży na niej jak pulsujący, bolesny cień chmury. Najwyraźniej czuje się to tętnienie w oczach i w nogach. Złota, mydlanie śliska mora opływa wypukłą próżnię pod powiekami, bije o mózg dotkliwym łopotem, który nie wiadomo kiedy jest boleśniejszy: kiedy idzie czy kiedy wraca? Leżę i zdaje mi się, że się już nigdy nie potrafię ruszyć. Mam też wrażenie, że od goryczy zaschniętego języka zgorzkniałam cała od stóp do głowy. I wtedy, nagle, czuję przy sobie czyjeś ciepło. Nie mam sił otworzyć oczu.

– Kto to? – pytam na ślepo.

– Nikt… – słyszę matowy, uśmiechnięty głos Cesi i czuję równocześnie, że mi się coś chłodnego kołysze przy ustach. Otwieram oczy i widzę na tle chmurnego nieba kilka czarnopurpurowych, przejrzałych jagód na gałązce. I złoty, wiatrem miotany czub Cesi, i jej dobre oczy pod złotymi brwiami. – Proszę skosztować… Koniecznie! Ja ich już mnóstwo miałam… Garściami… – a ja wiem, że to nieprawda, bo drę się przecie od kilku godzin przez tę tundrę przeklętą i nigdzie nie widziałam jagód.

Ale Cesia jest właśnie taka. Choćby ginęła z pragnienia, nie potrafi zjeść sama, nawet takich kilku znalezionych brusznic. Nim pomyśli, że i jej w gardle zaschło, zawróci z przebytej już drogi, by je komuś innemu w słone ze zmęczenia usta wcisnąć. Ot i teraz. Wróciła, uklękła nade mną, powiedziała, że to już niedaleko, że już dachy widać, dała mi te jagody i poleciała dalej po to pewnie, by komuś innemu powiedzieć, że to już blisko, że jeszcze tylko dwie falistości dzielą nas od łagru, że zaraz będziemy… Jest znowu pusto koło mnie. Leżę, zbierając siły do dalszej drogi, i z ulgą rozcieram cierpki kwas przejrzałych jagód na zaschniętym podniebieniu. Bóg ci zapłać, Cesiu.

Ale Cesia nie zadowoliła się tym tylko. Znikły także moje dziadowskie sakwy! Mało jej było swego worka! Wzięła i moje oba! Teraz odbiła się na czoło pochodu, bo wie, że tam nie będę miała sił jej dogonić. Ku wielkiej uldze widziałam potem, że jej Mała Staszka z Lidy pomagała je nieść na zmianę. Ale mnie ich nie oddały już do samego łagru. Nie wiem zresztą, jak bym się była dowlokła, gdyby nie ta ich pomoc poczciwa…

Nareszcie – po nie wiem ilu tam godzinach tego zabójczego marszu – przyciągnęłyśmy wspólnymi siłami oddal ku sobie! Nareszcie przerzuciłyśmy za siebie wszystkie dzielące nas od łagru falistości krajobrazu. Nareszcie dachy na Loch-Workucie stały się bliskie i wyraźne.

Konwojenci zarządzają postój. Kilkadziesiąt metrów przed zoną. Chcą uporządkować pochód i wejść w obręb obozu zwartym szykiem.

Musimy więc czekać, aż reszta nadąży.

Postój ten wypada obok niskiej budy, w której mieszka dyrektor piekarni. Jest nim odsiadujący wyrok skazaniec. Bo tu już sami tacy. Widząc pomęczone do upadłego kobiety, zaprasza nas na odpoczynek. Ale więcej nad trzy osoby wejść tam nie może. Kliteczka jest mała jak taki w parkan wpuszczony stragan z owocami. Dosłownie nie ma się gdzie obrócić. Sufitu można dosięgnąć ręką. Na pryczy – zajmującej całe prawie wnętrze tego pudełka – śpi jakiś rozwalony człowiek w fufajce. Twarz nakrył zatłuszczoną futrzaną czapą i chrapie. Zżółkłe, kruszące się gazety oklejają sufit i ściany, do których szpilkami poprzyczepiano z gazet wycięte Staliny. Zaduch tu straszny. Czuć starą machorkę i kwaskowaty odór niezdejmowanych, często mokrych butów. Okienko mętne od muszych pstrzyn nie otwiera się wcale. Jest na głucho osadzone w ścianie i wszystkie szpary ma pozaklejane paskami gazet. To pewno uszczelnienia jeszcze z czasu zimy. Na stoliczku – którym jest paka z nieheblowanych desek – prócz stosu zatłuszczonych rejestrów, szkolnego kałamarza i zardzewiałego pióra strzępi się na pół zwiędły bukiecik nieznajomych kwiatów, tkwiących w pogiętej puszce po konserwach.

Gospodarz siedzi teraz w nogach chrapiącego na pryczy człowieka i – kręcąc w grubych palcach skrawek gazety ze szczyptą zielonawego śmiecia – opowiada, jak też to tu wszystkiego jest w bród, jaki naczelnik dobry i sprawiedliwy, jakie obfite jedzenie, jaki bogaty sklepik. Nie patrzy jednak przy tym w oczy. Uważnie przygniata palcem machorkę, pieczołowicie zbiera z kolan każdą wysypaną z gazety drzazgę i kładzie ją skrzętnie na tamte. A już za jego plecami, na wycinku z gazety, Stalin mruży chytrze uśmiechnięte oczy. Strasznie tu duszno… Nie… Już lepiej chyba czekać na dworze.

Wzgórek nad urwiskiem, gdzie stoi dyrektorska buda, bieleje od dużych, wytrzeszczonych rumianków. Jakby kto trawę wapnem schlapał.

Ni stąd, ni zowąd – cały wzgórek rumianków! W ponurej szarzyźnie chmurami zawleczonego dnia, nad dalekością dziesiątych planów, które tu widać z urwiska, rażą oczy gwieździstą białością i żółtkiem krągłego oka. Kładę się na wznak na tych otwartych oczach, zamykam własne i odpoczywam, wdychając głęboko gorzką woń rozgniecionej maruny.

Gdybym chciała, mogłabym sobie wyobrazić, że leżę na spadzistej łące gdzieś… pod Horbaniem i że ta szemrząca cicho rzeka tam w dole pode mną – to Opór… Bo przecie mimo wszystko, mimo wojny, bomb, Stalina, Hitlera, świata zanurzonego po serce we krwi i tysiąca mil, które mnie od nich dzielą – spadziste łąki pod Horbaniem kwitną w lipcu na pewno tak samo i tak samo szumi zielony Opór… Gdybym więc chciała, mogłabym sobie teraz łgać w zamknięte oczy, że mam nad sobą – tamto! Ale nie! Za żadne skarby świata! To się na nic nie przyda. To gorzej, to jeszcze gorzej… Najlepiej leżeć bezmyślnie, odpoczywać i czekać po prostu na resztę. W czekaniu mam przecież już wprawę.

Dowlokły się wreszcie wszystkie.

Poznajdywały się też szynele i ten na małym koniku. Zgarnęli nas w ciasną grupę i tak dopiero ruszyliśmy w stronę łagru.

Wiemy, że gdzieś tu, na lewo, przed wejściem do obozu, jest cmentarz naszych. Leżą już poza zoną. Tak. Tylko ten, kto umrze, może bezkarnie przekroczyć jej granice.

Daremnie jednak wzrok ślizga się po kępach borówek i wrzosów, daremnie szuka jakichś tablic, kopczyków bodaj. Gładka, obojętna, na wznak leżąca tundra – i nic.

Wsiąkli w ten bezmiar bezlitosny, pochłonęło ich płowe, szorstkowłose morze, zwarła się nad nimi bezszelestna skorupa tej przyziemnej, północnej roślinności i nie odszuka ich tu już nigdy nikt, chyba wielka, wszechmocna sprawiedliwość Boża, która – z jej tylko wiadomych powodów – nie runęła dotąd ogniem i siarką na ten przeklęty, po trzykroć

przeklęty kraj!

Rozdział V
ŁAGIER POD BIEGUNEM

Pierwszym budynkiem, który nas wita w obrębie łagru, jest kretowina izolatki. Bo w łagrze karcer nazywa się już inaczej. Wygląda to trochę tak, jak u nas na wsi wkopana w zbocze drogi piwniczka na kartofle. Tyle że ma mocno okute drzwi i okienko całe w kratach.

Łagier Loch-Workuta ciągnie się wzdłuż nadrzecznego urwiska mnóstwem bezplanowo rozrzuconych, drewnianych szop, baraków, darnią pokrytych ziemianek i płóciennych pałatek (namiotów). Widać, że wszystko to nowe. Niektóre budynki świecą jeszcze świeżymi deskami. Te nie zaznały dotąd ani długich deszczów, ani długich zim. Na innych – złoto desek zgasło już wprawdzie w popielate srebro, ale spód budynku tkwi jeszcze dotąd w przegniłych kupach trzasek i wiórów z czasu własnej budowy.

Zatrzymują nas przed małym domkiem o drewnianym ganeczku i małych, marlą od wewnątrz zasłoniętych okienkach. W jednej połowie tego domku mieszka naczelnik łagru z liczną rodziną, w drugiej mieści się kancelaria obozu.

I to są właśnie te rzeczy, które najbardziej męczą: takie stanie w stłoczonym szeregu godzinami nie wiadomo po co. W dodatku zaczyna siąpić drobny, powolutki deszcz. Tundra znika w tumanie lotnej, wędrującej mgły, która nadchodzi tu od dalekości, mija łagier i kurzy wyraźnym już deszczem w głębokim jarze rzeki.

Zaczyna się teraz to ich niepoprawne rachowanie. I raz, i drugi, i trzeci. Nikt już nie ma siły stać. Próbujemy siadać na naszych workach. Nie wolno! „Dawaj… padnimajsia”. Znów wielki wysiłek, by się dźwignąć. Zdaje mi się, że mam dwie rany zamiast stóp. Liczą nas dalej. Nie mogę

pojąć, co to z tym było. Żeby kiedy udało im się od razu! Nigdy! Potem sprawdzają jeszcze papiery 350 kobiet!

Deszcz siąpi ciągle i wobec niskiego nieba i mgły od niepamiętnych czasów jest tak mroczno, jakby się światu zbierało wreszcie na noc.

Opętane dwie godziny wytrzymali nas tak przed tym urzędem. W mglistym kapuśniaczku, wymęczone, głodne, ledwo żywe. A potem na spanie pognali nas jak stado krów – do obory. Dosłownie! Tyle że w oborze tej my byłyśmy pierwszym bydłem.

Nic innego tylko być krową w Rosji! Wątpię, czy wielu na wolności miało w tym kraju tyle przestrzeni do spania, co my tej pierwszej nocy. Wykończona właśnie stajnia jest olbrzymia, a długa tak, że się wprost gubi w perspektywie. W nowych żłobach leżą jeszcze sosnowe wióry i całe mroczne wnętrze stajni pachnie kwaskowato lekko przewiędłą już zieleniznę, którą zamiast ściółki zwalono tu dla nas wzdłuż żłobów. Jest i to ta tutejsza ni to wierzba, ni wiklina, zarastająca brzegi i urwiska nadbrzeżne – soczysty, siwozielony chwast, który zamiast słomy ściele się pod bydło. Mniejsza z tym, że to łykowate i twarde i że idzie od tego zielna wilgoć zwalonych w grubej warstwie świeżych witek. Po betonie cel, który znają dobrze nasze kości, nie przestraszy nas chłód liści! Najważniejsze jest to, że za oknami, których tu pełno wzdłuż żłobów, świat ciągle jeszcze udaje, że będzie noc, że w olbrzymiej oborze ginie wrzask i śmiech – podnieconych pobliżem dozorców – Cyl i Zinek, że będzie można na mokrym materacu rozprostować zmęczone stawy i że nareszcie dostaniemy jeść!

Komuś, kto nie był nigdy naprawdę głodny, może się to, co powiem, wyda śmieszne. Kiedy w godzinę później trzymam w obu rękach mój bezcenny, własny, obity z emalii garnuszek z kilkoma łykami gorącego mleka, czuję, że mi do oczu napływają łzy. To śmieszne – prawda? Dziś, kiedy sobie tę chwilę przypomnę, wydaje mi się, że nie sam głód nawet

był powodem tego wzruszenia. Zapach słodkiego, prażonego mleka – to przecie dzieciństwo, to bezpieczeństwo, sytość, dom… Czy możliwe, aby tamto najszczęśliwsze dziecko świata, fuczące ufnie w znajomy garnuszek z obrazkiem, i ta świerzbowata łachmaniarka pod biegunem – to była jedna i ta sama osoba? Nigdy sobie rozmyślnie na żadne rozczulanie się nad sobą nie pozwalałam dotąd… To idiotyzm w naszych warunkach… Ale wtedy słodka para gorącego mleka zaskoczyła mnie tak znienacka, że nie zdążyłam sobie niczego zakazać. Trzymam w brudnych rękach brudny po tiuremnych czajach, darowany mi na celi garnuszek i aż mnie gardło boli od wstrzymywanego płaczu.

Prócz paru łyków mleka i sporej pajki mokrego chleba dostałyśmy wtedy jeszcze – słoninę! Jak to obiecująco brzmi – prawda? Był to skrawek na dwa palce długi oślizłej, szczecinowatej skóry, którą zarastało coś żółtawego, śmierdzącego starym łojem, stęchlizną i myszą. Mimo całego głodu i wyposzczenia, mimo chorobliwego pociągu do tłuszczów, na który cierpimy wszystkie, niepodobna było się przemóc, by tej słoniny tknąć.

Słyszymy właśnie, że jutro mamy wolne… Tak! Zapowiadają nam to uroczyście przed spaniem. Jutro nie będzie *podjom*u i możemy wstać, kiedy się nam podoba.

Ale jutro *podjom* zrobił się sam z siebie wcześniej, niżby kto przypuszczał. Parę z nas zachorowało. Cesia najciężej. Gorączka od niej aż bucha, ma silne kłucia w płucach i ledwie wie, co do niej mówią. Pewnie! Do czasu tylko dzban wodę nosi… Nie można bezkarnie tak harować od świtu do świtu, nie można bezkarnie swojej mizernej porcji podpychać od tygodni innym, nie można bezkarnie cudzych worków dźwigać, w ogóle – nie można być aniołem, gdy się jest tylko szczupłą, po więzieniach wyniszczoną dziewczyną.

Wezwany do stajni obozowy wracz powiedział, że to prawdopodobnie

zapalenie płuc i że ją natychmiast odeśle do sangrodka. Usłyszawszy to, pani Ada, osoba umiejąca łapać okazję nie w lot – bo to byłoby za późno – ale wtedy, kiedy okazja sama jeszcze nie wie, że się zdarzy, zgłasza się też ze swoją chroniczną chorobą. A ponieważ ma na szczęście i lekką gorączkę z przemęczenia, lekarz godzi się, by jechała razem. Gdyby wraczem nie był wtedy na Loch-Workucie ten właśnie opatrznościowy człowiek, przypuszczam, że nie byliby ani Cesi, ani tych kilku innych chorych kobiet odesłali do szpitala. Jestem też pewna, że gdyby nie on, w niespełna trzy tygodnie później zgarbiłby się mną niechybnie świeży kopczyk w tundrze za zoną… Ale widocznie nie był to jeszcze czas na mnie i Opatrzność postawiła na mojej drodze tego niepozornego, rudego człowieczka, którego dobroci nie zapomnę nigdy ani ja, ani tamte wszystkie, które ratował wtedy, jak umiał i jak mógł, sam narażając się władzom.

W godzinę później półprzytomna, pod ręce prowadzona Cesia opuszczała oborę. Za nią, w swych granatowych spodniach z kocyka, drobiła szykowna pani Ada, potem tych kilka innych, wreszcie ogromna Raciszewska, niosąca i swój tobołek, i toboły pani Ady. Cóż to za grzmot z tej Raciszewskiej! Jest przecie chora. Biorą ją do szpitala. A tu – jak gdyby nigdy nic – tobół na plecy i jazda! W drzwiach obory robi się ciemno, gdy przestępuje próg.

Niedługo niestety dano nam panować w tych pałacach!

Ledwie zdążyłyśmy uporządkować nasze legowiska, a potem w bajorze za oborą umyć się trochę i przeprać rzeczy – kazali się nam wynosić ze stajni!

Część poszła do dużych, drewnianych, okropnie pono zapluskwionych baraków, a to, co zostało – do płóciennej pałatki.

Pałatka ta, jak olbrzymia purchawka, bieleje na wysokim nadrzecznym cyplu. Sączy się w nią przez płótno światło mętne i nierealne, takie,

jakie by mogło padać przez mułem zmąconą, płytką wodę. Dwa piętra niziutkich, zieleniną zawalonych nar, żelazny piecyk i stary, cieknący cebrzyk w kącie – to wszystko. Kawały zbutwiałych desek wgnieciono wprawdzie tu i tam w klepisko, ale zyskało się to tylko, że dno pałatki ma dzięki temu różne nieprzewidziane poziomy i zaklęśnięcia, wypełnione trzaskami i śmieciem. Przewiewu tu nie ma żadnego. Nawet wtedy, gdy niskie, z zawiasów wypadające drzwi są otwarte, musi się je szczelnie zatulać dwoma spłachciami brezentu, bo tumany komarów wciskają się szybciej od powietrza. Kwaskowaty zapach przewiędłych witek i lekki swąd tlejących w piecyku trzasek wypełnia cały namiot.

Do tej to pałatki musi się wtłoczyć 60 kobiet. Zdobywam miejsce na dolnym piętrze nar, po prawej, niedaleko wyjścia, obok siostry Józefy, szarytki, i Małej Władzi. W budę naszą można się wczołgać tylko na czworakach. Byłoby w niej całkiem ciemno, gdyby od strony wezgłowia nie wczołgiwał się tu – też na czworakach – lekki poblask od płóciennych ścian. Spokojne na szczęście starsze Żydówki mieszkają tym razem nade mną. Toteż śmiecie, prószące mi stale na głowę i w oczy, jest o wiele mniej dokuczliwe od tego, które sypało się na mnie na barży. Bo człowiek już taki jest. Ta sama rzecz, jeśli pochodzi od jawnego wroga czy wypływa z czyjejś rozmyślnej złośliwości czy chamstwa, jest daleko cięższa do zniesienia. A tu ta poczciwa zezowata Finkiel, gdy tylko wytknę głowę z budy, zaczyna mnie przepraszać.

– Mnie jest tak niewymownie przykro, wierz mi pani. Ja się sama po prostu obawiam poruszyć na kojce… Kto to widział takich szpar w deskach… – więc choć śmieć zostaje śmieciem, niepodobna się już złościć.

Marysia z Heleną mieszkają naprzeciw mnie, na piętrze. Jaśniej tam, ale pochyły dach namiotu leży im już dosłownie na głowach, gdy usiądą. Są tu też Krystyny, Danusia, pani Stefania, jest Zosia z wąsikami, Kazia z

Kulikowa, narwana Wala, warkoczasta Mania, Staszka z Lidy i cała moc innych. Prawy kąt pałatki zajęły węgierskie Żydówki, przetrząśnięte z lekka takimi typami, jak przemytnica Staszka i stara Mielniowa. Toteż ten kąt jest przeważnie zajęty wypominaniem sobie wzajemnie, która ma lepsze miejsce, która ma więcej ściółki, która zdobyła kojkę bliżej pieca, a która bliżej drzwi. Korzystając z ciemności dolnych nar, jedna drugiej smyka witki spod rozesłanych już rzeczy lub przesuwa swój worek na terytorium tamtej – w ogóle miły, domowy nastrój.

Wedle łagiernego porządku zostaje wyznaczona dyżurna. Dniewalna taka odpowiada za porządek w pałatce, za nienaruszalność worków tych, które idą do roboty, za wodę w beczce, za trzaski w kącie, wreszcie do jej obowiązków należy także przyniesienie w porę śniadania, obiadu i kolacji. Do tej ostatniej funkcji jednak musiało się jej dodać z czasem kilka innych do pomocy. Kuchnia obozu jest bardzo daleko – na drugim końcu łagru – a czasu na zjedzenie każdego posiłku zostawiają nam śmiesznie mało. Zresztą baniaki z zupą są tak ciężkie, że je ledwie mogą przytaszczyć.

Drugiego dnia po naszym przyjeździe, po obiedzie – składającym się z chochli lury z łyżką krup i odrobiny kartoflanej papki z czosnkiem – naczelnik łagru urządza przymusowy mityng przed oborą.

Jest to chłopisko ogromne, ciężkie, o twarzy ponurego boksera. Ma czarne, porządnie wyczyszczone, wysokie buty i zwitek gazety z machorką w kąciku ust. Wojskowa czapka, a w ręce trzcinka, którą stale tłucze się po cholewach.

Nareszcie jesteśmy u celu! Po długiej podróży przybyłyśmy na miejsce przeznaczenia. Tu będziemy mogły wykazać się naszą dobrą wolą i lojalnością w stosunku do Sojuzu. Bo chleb jest tylko dla lojalnych, oddanych i szczerych. Inni prędzej czy później zdechną z głodu. Należy się też wyzbyć mniemania, że pobyt w łagrze jest tylko – karą. Nie! To uniwersytet! Tu ludzie wyrabiają się prędzej i lepiej niż w niejednej

uczelni. Pobyt w łagrze jest wstydem tylko dla takiego, który tego nie chce zrozumieć i który nie ma zamiaru się poprawić. On sam przez 10 lat był zakluczonym i wcale tego nie żałuje. Przeciwnie! Zrozumiał, ile się tu można nauczyć, ile zdobyć, jak się wyrobić, jak zmężnieć. Zaś sposobność odpokutowania swoich win, umożliwiająca potem każdemu powrót do normalnego życia i wszystkich praw – jest jednym z największych dobrodziejstw reżymu! Stąd albo się wychodzi człowiekiem – albo nie wychodzi się wcale. Reżym sowiecki jest najdoskonalszym ustrojem, jaki zna historia. I nie spoczną, póki się jego dobrodziejstwami nie podzielą z całym światem – z jego wolą czy bez niej! Potrafią zmiażdżyć kapitalistyczne ustroje, pokonać bandytę Gitlera, a wtedy – wyzwolone spod ucisku burżuazji – czarne robocze masy proletariatu całego świata… itd.

Hinda wysforowała się przed samego naczelnika i pije jego słowa z rozjaśnionym entuzjazmem obliczem. Ukrainki mają zaciśnięte usta i ponury upór w utkwionym w ziemię wzroku. Nam, Polakom, bardzo miło słyszeć o zmiażdżeniu Hitlera – wszystkich jednak bujd o dobrodziejstwach reżymu słuchamy z mniej lub bardziej ironicznym uśmiechem. Znamy się na tym… A naczelnik, nie wyjmując zwitka gazety z grubych warg i tłukąc w zapale trzcinką po cholewach, prorokuje dalej:

Do kraju nie wrócimy już nigdy! Tu jest teraz nasza ojczyzna. Od nas więc samych zależy, czy po odbyciu słusznej, sprawiedliwej kary za zbrodnie i pomyłki staniemy się kiedyś wolnymi grażdankami Sojuzu, czy też przyjdzie nam zdechnąć jak bydłu w karnych punktach łagrów. Na upór mają sposoby. Umieją jednak ocenić lojalność, dobrą wolę i posłuszeństwo. Dotąd żyłyśmy w zakłamaniu. Oni pokażą nam prawdę… Byłyśmy ślepe… Oni otworzą nam oczy. Reżym się wcale nie mści na zasądzonych. Reżym ich wychowuje… Jest ojcowski i sprawiedliwy. Postępuje z nimi łagodnie jak z dziećmi. Daje nam nie tylko doskonałe

warunki pracy, ale w dodatku każdemu pracę po specjalności. Jutro u niego w kancelarii mamy się rejestrować. Każda dostanie zajęcie odpowiadające jej kwalifikacjom. Od wydajności pracy będzie zależało, który kocioł która z nas dostanie, czy wolno jej będzie korzystać ze sklepiku, pisać do rodziny itd. Przy każdym rodzaju pracy są przewidziane normy. Tylko ten, kto swoją normę wyrobi, dostanie jedzenie. Ale też za nadwyżkę w normie przewidziana jest po rozliczeniu dopłata w gotówce. Jedynie sprawka od lekarza zwalnia od obowiązku stanięcia do pracy. Od jutra zaczynamy… Oto wasz brygadier… – kończy, wskazując młodego bandytę w fufajce, który istotnie od naszego przyjazdu kręcił się po oborze, przeważnie jednak mając do czynienia z Cylą. Wreszcie naczelnik spluwa i pyta łaskawiej, czy mamy jakie pytania i prośby.

Pytań było moc! Zwłaszcza Żydówki i Zakarpacie cisnęły się przed obrzękłe oblicze pana i władcy. Jaka będzie praca? Jaka będzie norma? Do czego zostaną przydzielone? Pokazało się, że cały łagier – jego kuchnia, mleczarnia, kancelaria, bania, magazyny, chleborezka itd. – mają być obsadzone przez nas. Te, które się do żadnej z tych prac nie będą nadawały czy dla których nie będzie już zajęcia, będą chodzić na robotę do ogrodu, na witki, na sianokosy, jak wypadnie. Potrzeba mu też i izwozczyków do codziennego odstawiania mleka do Czumy. Potrzeba mu ludzi do porządkowania łagru. Ma się bielić i szorować nową stajnię, zdejmować zagatę z obór, grabić trzaski, rąbać i piłować drzewo dla kuchni i bani, prać worki, zamiatać, szorować… Nie braknie pracy dla nikogo.

Nie! Nie brakło pracy dla nikogo! Zwłaszcza po specjalności.

Dwie nauczycielki i ładna popadia bieliły potem i szorowały stajnię, Marysia – pianistka – piłowała i rąbała drzewo dla całego łagru, Janka – farmaceutka – prała na rzece worki, Danusia – medyczka – chodziła na witki, Zosia – buchalterka – nosiła ze mną gnój na koszarze itd., itd. Nim się która z nas opatrzyła, wszystkie lżejsze posady były już obsadzone

przez sprytne, zaradne Żydówki. Na zarządzającą bani, pralni, do kuchni, do chleborezki poszły więc wszystkie Mewy, Małe, Lenki i Wilmy – dla mniej zaradnych, a zwłaszcza dla nieumiejących się podlizywać władzom czy włóczyć jak Zakarpacie z brygadierami po nocy za stajnie, została sama grubsza, często naprawdę nad siły robota.

Dla ścisłości chcę tylko dodać, że panią Łucję, osobę znającą pierwszorzędnie krój i krawiectwo, odkomenderował naczelnik do przeróbek i szycia swojej i swojej żony garderoby, i że siostra Józefa (po nieudanej próbie z Kazią – kapusiem Marzenki – która mimo swoich rzekomych dwu lat doktoratu wyleciała na twarz z ambulatorium), otóż że siostra Józefa zajęła jej miejsce jako pomocnica wracza. Te więc dwie Polki pracowały naprawdę po specjalności.

Nie umiem zdać sobie sprawy, czy mogę do nich zaliczyć ową różową jak prosię Gigę, o której tak różnie mówiono. Tę wybrał sobie kasjer za dniewalną i kazał się jej przenieść do siebie. Wpadała potem do pałatki uśmiechnięta, z uczernionymi korkiem brwiami, papierosem i białym motylkiem z marli we włosach. Robiła wrażenie kogoś, kto z prawdziwym zadowoleniem pracuje w swojej branży.

I tak nam jakoś powoli zaczęły płynąć dni na Workucie.

Powoli przyzwyczaiłyśmy się do naszej dusznej, od ciągłego wiatru łopocącej pałatki. Przy bliższym poznaniu ów mały, zardzewiały, do beczki podobny piecyk na środku okazał się cudownym wynalazkiem. Nie tylko dlatego, że po powrocie z roboty można było przy nim suszyć mokre skarpety i onuce. I nie dlatego, że umiał się rozgrzewać nieprawdopodobnie szybko. Głównym jego urokiem było to, że można było na jego zardzewiałym blacie suszyć też wilgotne gnieciuchy z gliniastej miękuszki chleba, którego na mokro jeść wprost niepodobna. Zjadało się więc samą skórę, a ośrodkę, wymiętoszoną w palcach i spłaszczoną na kotlecik, kładło się na blasze i przypiekało. Cóż szkodzi,

że tuż nad twoim plackiem wiszą brudne, suszące się onuce całej pałatki? Nad takimi drobiazgami nauczyłyśmy się już dawno przechodzić do porządku.

Przed namiotem, tuż na skraju urwiska, stoją dwie beczki i drewniany ceber. To nasza umywalnia. Wodę do beczki w zasadzie przywozi nam co dzień zakluczony czternastoletni chłopiec, o płaskiej twarzy i skośnych oczach. Ale to tylko w zasadzie. Ten sam wyrostek i ten sam konik obsłużyć muszą kuchnię, banię i pralnię. Jeśli więc chcemy mieć wodę przy pałatce, musimy jej nanieść same. Wertep do rzeki jest kamienisty, zarosły krzakami. Kręta kozia dróżka ścieka spadzisto między popielate bochny wyłażących stokwi spod piątego żebra skał. Gdy patrzeć w dół rzeki, woda wydaje się tak blisko! Ale kiedy wracać z rozchlapującymi się wiadrami pod górę, pałatka bieleje na jakiejś złośliwie niebotycznej wysokości. Strasznie się człowiek zrobił słaby i do niczego.

Banię mamy raz na tydzień. Zupełnie czystą i porządną. Oczywiście nie ma tuszów, tylko szafliki, ale takie, które nie zdążyły jeszcze zarosnąć cudzym brudem. Bieliznę biorą nam też do prania. Z tym więc mamy tu spokój.

Warkoczasta Mania, dwie Staszki i nasz narwaniec Rysia są izwozczykami. Co dzień rano na małych, wywrotnych wózeczkach odwożą mleko do Czumy. Przeważną część drogi odbywać muszą piechotą, bo na wózkach i miejsca brak, i małe koniki ledwie się z ciężarem przez tundrę prują. Nie raz i nie dwa razy trzeba wózek grzbietem podpierać na bagnach, często pod górę go pchać, a na stacji pełne bańki z wózka przetaszczać na lory i puste z lory na wózek. Choć wracają pod wieczór zziajane i zmęczone, do nich należy jeszcze oczyszczenie koni, zadanie im obroku oraz nasmarowanie wózka na jutro. Kolację jedzą z reguły zimną.

Przy krowach zajęte jest Zakarpacie. I słusznie. Wszystkie one

nic innego w życiu nie robiły, tylko pasły i doiły krowy. Toteż i tu odkomenderowano je do stajen. My zatem z krowami nie mamy nic wspólnego. Czasem widujemy tylko, jak się czarną ławą przeprawiają na drugą stronę rzeki i idą w tundrę na paszę. Krówki są małe, kosmate, przeważnie czarno-białe, bardzo pono niewybredne, wytrzymałe na mróz i mleczne. Nigdy nie zgadną, jak to robią. Skubanie tundry nie musi być chyba pożywne. Może prócz witek i mizernego pastwiska dostają jakąś treściwszą paszę do żłobów. My mleko widujemy tylko w zabielałej wodzie, którą czasem dają nam z łaski na kolację.

Cyla za to doi je sobie pono chyłkiem wprost do ust, po trochę od każdej krowy. Pewnie… Dlaczego ma sobie żałować? O tym, co dzieje się u tych półdzikich, rozpasanych dziewcząt, dochodzą nas tylko słuchy. Ładna popadia przychodziła nas pytać ze łzami, czy nie znalazłoby się dla niej miejsce w naszej pałatce, bo w ich barakach już niepodobna wytrzymać. Mówi, że nie śmie po prostu wejść do izby, bo nigdy nie wie, co tam zastanie. Bezwstyd posunięty do rajskiej prostoty w biały dzień i w białe noce. Bez żadnej żenady, z wiedzą i udziałem władz, pełni się tam na każdej prawie kojce Zakarpackich owa wolna, sowiecka „miłość”, dla której reżym jest tak ojcowsko czy przyrodniczo wyrozumiały. Karalna jest tylko miłość za pieniądze. Ta zaś – za cukierki, za fałszywe obliczanie norm, za papierosy, za lżejszą pracę czy za lepszy kocioł – jest traktowana pobłażliwie, rzec by można, jest nawet mile widziana. Łagier ma swoje niepisane prawo i zwyczaje pod tym względem. Wystarcza, aby i mężczyzna pierwszy raz spotkanej kobiecie pomógł rozładować wóz, przyniósł wodę, zapędził krowę czy uciął za nią parę buntów witek, aby się potem zgłosił wieczorem po zapłatę jako po rzecz najnaturalniejszą w świecie i taką, która mu się z prawa już należy. Bardzo też źle jest widziane, jeśli która nie ma czy nie chce mieć opiekuna. I taka nie jest nawet bezpieczna.

Jedną z Zakarpackich, która się opędzała nagabującym ją towarzyszom pracy, napadło w tundrze, gdzie pasła cielęta, czterech brodiagów i dopiero jej wrzask przeraźliwy zwołał inne, które batami i nożami od witek wybroniły swoją. Ale takich, które krzyczą, jest bardzo niewiele. Każda ma już jakiegoś „swego", który po robocie przychodzi do niej na zapluskwioną kojkę i zostaje do *podjom*u.

Połowa naszej pałatki chodzi teraz do siana, a połowa na witki. Te ostatnie muszą ściąć dziennie 80 dwudziestokilowych wiązek, co jest rzeczą prawie niemożliwą. Nożem, którym się ma tego dokonać, jest kawałek ułamanej, szmatą okręconej kosy. Krzaki są łykowate i mokre, noże przeważnie stępione i niewygodne do trzymania. Trzeba się więc dobrze z krzakiem takim natargać, nim mu się witkę odetnie.

Te, które chodzą do siana, mają może jeszcze cięższą robotę. Co dzień rano muszą się przeprawić na drugą stronę rzeki, a potem piechotą pruć się z cztery kilometry do tych mizernych zacieków łąk, wrzynających się zielonymi klinami w rudą tundrę. Owe cztery kilometry nie są wliczane w czas pracy. To jest już osobista przyjemność. Czas na przebycie tej drogi odpada im z godzin przeznaczonych na odpoczynek. Ponieważ na obiad muszą wracać do obozu, robią dziennie – prócz właściwej pracy na łące – szesnaście kilometrów tundrą, w wyfasowanych na czas sianokosów ciężkich, męskich buciorach. W dodatku na łąkach tutejszych żyje pewien gatunek zjadliwej, drobniutkiej muszki, przed którą nie uchroni nikogo żaden nakomarnik ani żadne najszczelniejsze obwiązywanie rękawów w przegubach czy kalesonów nad kostkami. Ten wściekły, żrący mak wciska się pod ubranie całymi rojami i tnie bez miłosierdzia. Wieczorem każda ma purpurowe, swędzące obrączki wokół pasa, szyi, przegubów i kostek. Wracają skonane, pogryzione, z otartymi do krwi nogami, mokre najczęściej, bo deszcz pada tu niemal codziennie, powolutki, uparty, mglisty, przenikający warstwę po warstwie wszystko, co ma się

na sobie. Często w zupełnie jeszcze wilgotne ubranie trzeba się znów wbijać nazajutrz, bo miejsce przy piecyku zdobędzie tylko ta, która umie cudze, rozwieszone już wcześniej do suszenia rzeczy strącić na ziemię, by powiesić swoje.

I jeszcze jedną rozkosz wymyśliły nam tu władze. Nie możemy się wcześnie kłaść spać, bo dopiero o godzinie 11 wieczór jest prowierka całego obozu. Musimy wyjść na podwórze, co do jednej. I gdybyż się to choć odbywało szybko i zaraz po kolacji! Ale gdzie tam… Z tymi dwoma długimi godzinami nie ma absolutnie co robić. Ni kłaść się, ni rozbierać. Najczęściej jednak, zmożone zmęczeniem, wali się wszystko na kojki, jak która stoi, często w przemokłym ubraniu, i zasypia niespokojnym, przeźroczystym snem, który bardziej męczy, niż koi. Trudno opowiedzieć, czym jest potem nagły wrzask brygadiera, który wpada do pałatki i rozespane, rozklejone ciepłem i zmęczeniem kobiety wygania na dwór. Stój potem, dzwoniąc zębami, bez względu na pogodę, nim się reszta zwlecze z innych baraków i nim się nas doliczą. Bezsens tego zabiegu, jego jawny, bezkarny sadyzm w zestawieniu z własną bezsilnością jest czymś, na co brak słów po prostu! Takie biedne, nikomu do niczego niepotrzebne dwie godziny odpoczynku, kradzione – chyba celowo – czeredzie z nóg lecących nędzarzy. Bestialstwo!

Dzień roboczy zaczyna się o piątej rano. Trzeba więc wstać o czwartej, by mieć czas umyć się, ubrać i zjeść śniadanie. Z tym ostatnim przynajmniej niewiele roboty. Dostajemy jednego śledzia i twardą bułeczkę wielkości zraza. O tym pracuje się do południa. Na obiad dwa dania: zupa i chlapowata papka z przemarzłych, słodkawych kartofli. Rzadko kiedy kasza. A wieczór znów śledź z bułeczką albo owa zabielana mlekiem, gorąca woda z kluskami. Te pyszności jednak dają nam bardzo rzadko. Chleb dostajemy dopiero w południe. Ten to wilgotny, ciemny kit jest właściwie podstawą naszej egzystencji.

Zatem o czwartej rano – budzi nas co dzień brygadier. Wpada do pałatki i póty jej nie opuszcza, póki wszystkie z nar się nie zwloką. Raz na uwagę którejś z nas, że nie będziemy wstawać przy mężczyźnie, zwrzeszczał nas, sklął, naprzezywał od „pań" i „burżujek" – a potem, jeśli któraś nie wstawała zaraz na jego wołanie, targał ją za nogi i siłą zwlekał z kojki.

O piątej pałatka jest już zazwyczaj pusta. Czasem na którejś pryczy posypia jeszcze zakutana w szmaty szczęśliwa, której się wczoraj udało uzyskać zwolnienie od wracza. Bo zwolnienie od pracy musi się dostać dzień naprzód. Jeśliby która w nocy zasłabła, nic jej to nie pomoże. Ściągną ją z kojki za nogi i pognają do roboty.

Ponieważ w czasie ostatnich tygodni mój świerzb nieszczęsny tak się rozhulał, że mi wprost życie zmierzło – nie bardzo nawet po starobielskich doświadczeniach wierząc w pomoc – idę nareszcie i ja do wracza.

Wracz urzęduje na samym wstępie do łagru, w kretowinie. Dosłownie. Tego nie można nazwać inaczej. Ziemianka jego jest wkopana w spadziste urwisko nad jarem rzeki. Z zewnątrz nie widać nic prócz spuchniętej w nieduży wzgórek darni, z której sterczy wiecznie dymiący kominek. Wąską ścieżką, wdeptaną na kant w zbocze można się dopiero dostać do tego kreciego ambulatorium. Już od połowy ścieżki czekają chorzy swojej kolejki. Kobiety i mężczyźni razem. Godzinami. Dobrze, gdy nie pada deszcz.

Pokoik jest mały, ciemny – o niskim suficie i jednym małym okienku. Na środku kuchnia, pod którą się stale pali, zatem zaduch tu i upał obłędny! W jednym kącie prycza, na której sypia doktor – ambulatorium jest równocześnie jego mieszkaniem – po drugiej stronie kuchni druga prycza, na której, gdy wypadnie, bada się chorych, a która we dnie służy za ławkę, gdzie czekają rzędem swej kolejki ci, którzy się tu szczęśliwie dognietli. Zamiast szafki na instrumenty i apteczki dwie paczki z nieheblowanych

desek, o drzwiczkach na skórzanych zawiasach, i otwarta półka pełna flaszeczek i słoiczków.

Doktor jest mały, o siwych, głęboko w czaszkę wpadniętych oczach, schowanych prawie zupełnie pod włochatymi gąsienicami spełzłych na rudo brwi. Ma biały fartuch, podwinięte rękawy, a ręce ryże od piegów i złotawego futra. Nos ciężki, mięsisty, cały w sinawych żyłkach. Typowy nos alkoholika. Mówi cicho, cierpliwie i wcale się nie śpieszy. Ma czas. Całych osiem lat czasu. Siedemnaście już odsiedział.

– *Kak familia?*

Mówię mu kak.

– *Gdzie wy rabotali?*

– W teatrze.

– *Artistka?*

– Tak.

– *Wasz paragraf?*

– 54/XIII.

– *Wrah naroda?* – podnosi na mnie jasne, przenikliwe oczy, po czym je znów nakrywa krzaczastymi brwiami. Nie umiem sobie zdać sprawy, czy w pytaniu tym zadźwięczała niechęć, czy współczucie. – *Na czto żałujetieś, madame?*

Madame? Ku własnemu zdumieniu nie słyszę wcale owej kpiącej, zjadliwej nuty, bez której w Rosji nikt tego słowa nie wymawia. Podciągam ostrożnie przywarte do rozranień rękawy swetra i pokazuję zżartą skórę. Aż mu się łysina ruszyła.

– *Kak dawno wy to imiejetie?*

– Cztery miesiące.

– I nie leczyli was?

– Leczyli. Mówili, że to awitaminoza.

– *Duraki!* – sapnął i coś jeszcze, czego nie zrozumiałam. – *Eto*

cziesotka! Kłasiczeskaja cziesotka!

Na skrawek pergaminowego papieru nabiera trzaską ze słoika czarnej dziegciowej maści i każe mi odejść za piec, rozebrać się i wysmarować nią całe ciało prócz twarzy. A w izdebce ani się obrócić, taki ścisk… W dodatku kilkoro brodiagów w czapkach i fufajkach czeka tu też swej kolejki.

– *Niczewo, madame, niczewo… Nikto nie smotrit…* – uspokaja mnie dobrodusznie wracz. Zaszywam się w sam kąt, za buchający gorącem piec, i robię, co mi kazał. Maść szorstka, pełna ostrych jak piasek krupek, z trudem rozprowadza się po rozranionej skórze.

Dostaję trzy dni zwolnienia. Po trzech dniach – druga porcja maści i dalsze trzy dni. Świerzb przygasł widocznie, ale jest tak wkorzeniony, że go od razu wytępić nie sposób.

Mam więc dni wolne od pracy i jestem sama w pałatce. Od niepamiętnych czasów – sama! Te posypiające dwa kłębki w kącie nie liczą się przecież. To obie ogolone Gruenwald. Tak im awitaminoza owrzodziła wszystkie cztery nogi, że butów włożyć nie mogą. Mają zwolnienie jak ja. Piecyk kisi się mokrymi trzaskami, przewiędłe witki zieją kwasem sparzonej zieleniny i tylko płótna namiotu bębnią na wietrze jak oszalałe…

Dziwna jest tutejsza pogoda. Albo siąpi zimny uporczywy deszcz zalepiający oddal watą mokrej mgły, albo gdzieś od krańców świata przez wichrzysko wściekłe, zirytowane, od którego cała pałatka łopocze jak biały, zimny płomień. Kiedy zaś nie ma deszczu ani wichru – są komary. Powietrze dosłownie jest mętne od komarów. Gdziekolwiek się człowiek ruszy, idzie nad nim wysoki słup metalicznego brzęku, gotów każdej chwili spaść czarnym rojem na twarz, ręce, nogi. Nakomarniki dostają tylko te, które idą do pracy. Inne – jeśli nie chcą być żywcem zjedzone – muszą się bez chwili odpoczynku opędzać gałęzią czy szmatą. Nigdzie i

nigdy w życiu nie widziałam takiego ich mnóstwa. Trzeba po prostu mieć się na baczności, bo wpadają do ust razem z oddechem. Dopiero wiatr umie to gdzieś rozpędzić bez śladu…

Ten sam wiatr umie też na krótko rozpędzić i chmury. W pałatce robi się wtedy złociście, bo kremowy brezent, przejęty słońcem na wskroś, rozświetla się tak, że aż w oczy razi. Wyłażę wtedy przed namiot, siadam na pieńku nad samym urwiskiem i patrzę na ostatnią miłość mego życia – na Ural… Przyznaję, że mnie piękno jego zmogło mimo całej nienawiści do wszystkiego, co tutejsze, i że zakochałam się na starość, a bez wzajemności, w tym obcym, dalekim nieznajomym, który zębatym łańcuchem zalega tu cały horyzont, od jednego krańca po drugi…

Uralu nie można opowiedzieć. O każdej porze dnia i o każdej pogodzie jest inny. W deszcz i mgłę leży na oddali straszny i wrogi, cały jakby z czarnego metalu. W popielatej wilgoci powietrza – wieczne śniegi jego poszarpanych szczytów rażą wtedy nieskalaną bielą. Dziwny kontrast. Coś niby żelazo ze śmietaną… A kiedy wyjdzie słońce, przy każdym nachyleniu światła jest znowu inny. Umie się stać fiołkowy jak krokus i tak jak pastel puszysty. Kiedy indziej bywa znów kruchy i różowy jak z weneckiego szkła. Człowiek patrzy i przestaje wierzyć, że to naprawdę – prawda! Ma wrażenie, że mu się w różowych chmurach coś przywiduje tylko. O krótkim zmroku bywa nierealnym, z błękitu i srebra wyczarowanym cudem – zjawą, zwidem, snem, którego piękno obezwładnia, na które po prostu nie ma się sił. Może to dzięki temu, że dźwiga się znad bezmiaru tundry taki niespodziany, taki osobny, taki własny i taki niczyj – robi wyniosłe wrażenie czegoś tak bezgranicznie obojętnego. Nigdy wyraźniej nie czułam wieku świata i nic z tego, co można zobaczyć, nie wydało mi się nigdy takie wieczyste. Nie umiem tego złapać w słowa. Ural jest czymś, co wkracza już w dziedzinę abstrakcji.

Siedzę tak godzinami i patrzę, opędzając się sennie komarom. Jestem

dziwnie ciężka i niemrawa. Właściwie nic mi nie jest, a mam wrażenie, że krwi by się we mnie nie dorżnął. Całe szczęście, że dzięki poczciwości wracza nie muszę chodzić na robotę.

Kiedy po trzech następnych dniach zwolnienia zgłaszam się u niego znowu, trafiam na jakąś wolniejszą chwilę. Prócz siostry Józefy, upału i zapachu jodoformu nie ma u niego nikogo. Siedzi naprzeciw mnie i przygląda mi się uważnie.

– *Czto wam jest, madame?…*

– Nic.

– Ja dobrze wiem, co wam jest… – burczy z niecierpliwą dobroduszności ą, wyciągając z szuflady zapisany arkusz z długą listą nazwisk, które markotnie przegląda. – Chcę was posłać do sangrodka. Co z was za korzyść w łagrze? Mam jeszcze parę wolnych miejsc. Tylko bieda z waszym paragrafem. Nie wiem, czy naczelnik się zgodzi. *Wot czto…*

Sangrodek to coś w rodzaju szpitala i wypoczynkowego domu. Ma się tam pono lepsze warunki mieszkaniowe, dożywianie, wolno spać i do roboty nie pędzą.

– Przy takim wycieńczeniu jak wasze, jeden krok do tuberkulozy. Ano dajcie. Posłucham płuc.

Bardzo dokładnie i bardzo sumiennie zbadał mnie, mruczał, kiwał głową, pytał, coś sobie notował w zeszycie. Potem kazał mi się ubrać i już bez słowa wpisał mnie na listę do sangrodka.

– Zwolnienia już wam dać nie mogę. Więcej jak sześć dni z rzędu mi nie wolno. Musicie pójść jutro do roboty. Ale nie trzeba się przemęczać. Pania bardzo słabeńka… *wot*, jak ten – chlasnął się po rudym przedramieniu, do którego właśnie przyssał się mu komar. – Siostra Józefa! Dać pania digitalis i konfiety witaminowe.

Kiedy chcę odejść, częstuje mnie papierosem i widzę, że ma ochotę

pogadać. Siadam więc znów na zydelku i czekam. Przez cztery mętne szybki widać stąd bezmiar mgłą zawleczonej tundry, a blisko, na dnie jaru, leniwe srebro Workuty.

– Da… da… Siedemnaście lat. Kawał czasu. Z początku żona pisała. Potem się urwało. Pewnie wyszła za mąż. Albo umarła. *Boh znaje…* Ukraina stąd daleko. Złota, słoneczna Ukraina. Żona była blondynką, a dziecko rude – jak on. Tyle pamięta. Nie miało roku, jak go wzięli… *Nawykł – czesnoje słowo… nawykł.* Woli zimę od lata. Kiedy go w jego ziemiance śniegi zasypią, kiedy przyjdą purgi, że i świata nie widać – dobrze mu. Nie myśli. Nie pamięta. Dużo śpi. Dużo pije. Jeszcze osiem – takich zim. Wyjdzie starym człowiekiem. Wyjdzie, ot tak… przed siebie, prosto nosa. Nie będzie szukać rodziny. On dla nich umarł… Sobie umarł też… Żywcem umarł. Nikt na niego nie czeka. I pewnie – 25 lat! Może się jeszcze ożeni – *madame*…

Nazajutrz dostaję robotę w oborze. Tyle dobrego, że razem z Małą Władzią. Wedle rady doktora nie przemęczam się wcale. Zresztą widzę już, jak tu każdy pracuje. Ot tak – byle dzień przepchać. Powolutku, niepełne nosiłki gnoju i witek spod żłobów wynosimy za stajnię i wracamy powolutku z pustymi. Dzień jest wyjątkowo słoneczny. Krowy na pastwisku. Obora jest pusta na przestrzał, a w otwartych jej wrotach stoi – Ural.

Choć się ruszam cały dzień oszczędnie i z braku sił, i na złość Sojuzowi, pod wieczór ledwie na nogach się trzymam. Stopy mam jak w ogniu i krzyże mnie pieką ze zmęczenia. Nieznośny ból przy każdym ruchu. W dodatku już od południa cierpię na jakieś dotkliwe bóle kiszek. Coś, czego nie znam i nie umiem. Wreszcie uświadamiam sobie, że muszę mieć gorączkę. Oczywiście! Te żabie dreszczyki i ta galaretka w kolanach to nic innego, tylko gorączka.

Prosto z roboty idę więc do wracza. Jest dziś zalany na słodko i

sentymentalnie. Białe oczy pod rudymi brwiami pływają mu w śliskim szkliwie rozrzewnienia. Wita mnie serdecznie, jak dawnego przyjaciela. Termometr wręcza mi ruchem szarmanckim, jakby to był kieliszek szampana… Siadam i mierzę. Mam 38 z kreskami. Dostaję coś na uśmierzenie boleści i zwolnienie na jutro. Przerabotałam jeden dzień, więc ma prawo dać mi je znowu.

Kiedy wracam do pałatki – szczęśliwa, że wobec zwolnienia nie muszę czekać prowierki, że mogę się kłaść i spać – dowiaduję się, że był właśnie przed chwilą brygadier i wycofał te wszystkie, które dostały skierowanie do sangrodka. Mamy się zbierać z wieszczami i dziś jeszcze iść piechotą do Czumy!

Człowiek to strasznie silne bydlę! Naprawdę! Dwadzieścia chorych, wycieńczonych kobiet, po całodziennej pracy – rusza w godzinę potem w tundrę. Tylko dzięki awanturze, którą wyciął zalany wracz naczelnikowi, dostałyśmy wózek pod rzeczy. Nie wszystkie jednak się zmieszczą. Część worków musimy nieść same.

Nie wiem, jak zacząć mówić o tej drodze. Po prostu brak mi słów, dziś jeszcze… To, że człowiek nie padł i nie został gdzieś w bagnie – to cud! Chwilami miałam wrażenie, że to nie ja idę, tylko jakieś obce, niewiadome „coś”, do czego by mnie przykuto i co by mnie wlokło za sobą przez tę przeklętą tundrę jak bezwładny, bolący tobół. Pruję się przez krzaki borówek kolanami, bo nie mam sił oderwać stóp od ziemi, by je przestąpić, Pończochy już w strzępach. Teraz kolej na skórę. Nie mogę przeskoczyć z jednej gąbczastej kępy na drugą i walę się co parę kroków w bagno, twarzą i rękami. Długo trwa, nim się zdobędę na to, by się dźwignąć. Całe szczęście, że mam gorączkę! Ona, zdaje się, jest tym motorem, który mnie trzyma i pędzi. Tylko ten słony ból w krzyżach i przy każdym wstrząsie – coraz silniejsze kurcze kiszek!

Po pewnym czasie – w chwili, kiedy mnie mija jeden z konwojentów,

uświadamiam sobie nagle, że już od dawna w głos płaczę. Tak przed siebie. W pustkę. Na oślep. Dziwny rodzaj płaczu, którego nie znam. Płacz nieprzynoszący żadnej ulgi, bo się go nie czuje. Cudzy płacz. Dowiedziałam się o nim dopiero, kiedy ucichł na widok wroga.

– Długo będziemy tak iść? – pytam go ni w pięć, ni w dziewięć.

– Do samej śmierci – odpowiada mi przez ramię, obojętnie, rzeczowo, bez śladu kpin. Dał po prostu wyczerpującą odpowiedź i poszedł dalej.

W Czumie jesteśmy, zdaje się, nad ranem. Ale to trudno poznać. Słońce świeci cały czas. Wpędzają nas do małej izdebki z narami, na których śpi kilkunastu rozwalonych mężczyzn. To nocna – zmieniona właśnie – szychta kolejarzy.

W izdebce upał i smród niewiarygodny: czosnek, pot, cuchnące nogi i wszystko, czym zmęczony, nieodpowiedzialny za siebie, ciężkim chlebem żywiony człowiek śmierdzieć może we śnie. Wprost słabo się robi. Małe, na głucho zabite okno jest w dodatku zastawione narami. I tyle z niego zysku, że nocne słońce leje się strumieniami w ten smród i upał – mętne, niskie, ścigające człowieka w każdym kącie. Oczy mnie pieką i mam ochotę uciec przed tym blaskiem – pod nary choćby – wszystko jedno gdzie, byle w cień.

Dowiadujemy się, że lekarka z sangrodka nie przyjechała jeszcze i nie wiadomo, kiedy przyjedzie. Trzeba więc czekać, i to tu, w tej smrodliwej, rozchrapanej izbie. Nad niektórymi, bardziej chorymi ode mnie, ulitował się zawiadowca stacji. Pozwolił im wejść do swojej klitki i położyć się na pryczy. Reszta jednak musi czekać tu. Nie wiem, jak i kiedy znajduję się w kącie, na podłodze. Wszystko jedno, wszy nie wszy, plwociny nie plwociny, dymiąca mi w słońcu pod czyimiś krokami w samą twarz podłoga. Kulę się ciasno, bo mnie wszystko w środku boli coraz bardziej, i leżę we własnej gorączce jak w tętniącym obłoku. Może nawet śpię. Nie wiem.

Kiedy po iluś tam godzinach zjawiła się lekarka – gruba, utleniona Żydówka o obleśnie słodkich, krótkowzrocznych oczach – oświadczyła, że ma tylko dziesięć wolnych miejsc w sangrodku, wybrała najcięższej chore Żydówki, załadowała je do pociągu i odjechała. Nam zaś kazano wracać na Workutę – piechotą.

Powrotnej drogi już prawie nie pamiętam.

Mam czerwonkę.

Leżę jak zdychający pies w mojej budzie i wiję się z bólu. Namiot łopocze dzień i noc i przemytnica Staszka drze się nade mną na narach. Ma wprawdzie ciężkie zapalenie płuc, ale pozwala sobie na takie awantury i histerie, na jakie tylko takiego typka stać. Miski latają po pałatce, wszyscy mają przy niej pełne ręce roboty, a każdy zastrzyk czy zażycie lekarstwa – to nowe piekło.

Poczciwy wracz jest u nas parę razy dziennie. Włazi do mnie pod nary na czworakach i wiem, że robi wszystko, aby mi ulżyć. Niewiele jednak może. Lekarstw nie ma żadnych. Prócz kleiku i kwaśnego mleka nie wolno mi niczego wziąć do ust. Kleik zdobywa się tu cudem. Poczciwa Długa Krystynka, która z powodu awitaminozy ma teraz często zwolnienia, czuwa nad tą odgrzewaną w kółko łyżką papki w garnuszku. Mleka w ogóle nie ma. Trzeba by je dopiero kupić w sklepiku i postawić na kwaśne. Pozwolenie na zakup raczył mi wprawdzie wydać naczelnik, ale nie mam kopiejki przy duszy. Pragnienie męczy mnie strasznie i marzę o tym mleku jak o szczęściu! Aż pewnego dnia poczciwy doktor, sapiąc i mrucząc coś pod czerwonym nosem, wtaszczył się do mnie pod nary z garnuszkiem przykrytym gazetą. Kupił za własne pieniądze mleko w sklepiku, postawił u siebie na kwaśne i teraz mi je przyniósł w tajemnicy, żeby Staszka nie widziała, bo byłoby nowe piekło. Ciepłe było i zwarzone, i wcale niepodobne do tego wymarzonego, ale po kilku dniach kompletnego postu – smakowało mi jak przysmak jakiś najwymyślniejszy.

Wreszcie jestem już tak osłabiona, że mało co wiem o świecie. Zdaję sobie jeszcze sprawę z tego, jak jestem chora, ale stało mi się to obojętne. Możliwość śmierci – o której wiem – też mnie jakoś nie dotyczy. Jest mętna, rozpłynięta w gorączce i nie wydaje mi się wcale straszna. No więc co? No to zostanę na zawsze w tundrze za zoną. Nie ja jedna. Zresztą to i tak tylko pokrowiec. Czuję to dokładnie. Coś się we mnie rozdwoiło. To bolące, skulone w budzie pod narami „ja" stało mi się dziwnie obce i nieważne. Ważniejsze jest tamto drugie, pomniejszone i nierealnie dalekie, które w szalonym pośpiechu, zdyszane, niecierpliwe, obiega domowe kąty. Widzę jakieś przedpotopowe desenie tapet na ścianach, odwieczne obicia mebli, obrazy i lustra wiszące tak, jak wisiały wieki temu, na samym początku moich lat. Z niesłychanym natężeniem – jakby od tego wszystko zależało – szukam tam czegoś. Nie mam pojęcia, co by to miało być? Nie wiem, czy jest małe, czy duże, czarne czy kolorowe? To tylko wiem, że je muszę znaleźć. Koniecznie! Mijam pokój po pokoju, otwieram przed sobą jedne drzwi po drugich. Nie. To nie tu. I jeszcze nie tu. Wracam. Śmiertelnie nużąca, zdyszana pogoń – za nie wiadomo czym.

– *Nu spakojno, pania, spakojno* – słyszę zabawnie daleki i zabawnie i bliski głos wracza. Z dwóch robię się znowu jedna, wiem już, że leżę chora w budzie pod narami, że jest wojna i że nie ma domu. – Pojedziecie w sangrodek. Słyszycie mnie? Pojedziecie w sangrodek. Z siostrą Józefą. Trza się zbierać, pania. Końmi pojedziecie. Powolutku. Macie siłę wstać? Pewnie, że mam siłę wstać. Muszę mieć siłę wstać. Jak przez mętną i mgłę widzę nad sobą stroskaną twarz Małej Władzi, siostry, wracza. Mówią mi, że trzeba się ciepło ubrać, bo silny wiatr na dworze. Po co ten i zastrzyk? Ważniejsze, żeby mocno brzuch okręcić ręcznikiem. Mam wrażenie, że jestem bukłakiem pełnym płynnego bólu. Czyje to nogi? Moje? Widocznie, bo w moich pończochach. Dobrze. Zaraz włożę drugi sweter, tylko odpocznę chwilę. Czemu Władzia płacze?

Tę właśnie zapłakaną, drobną twarzynę Władzi najlepiej jakoś pamiętam. I wiem jeszcze, że dzień był wietrzny i żelazisty, kiedy mnie wyprowadzono z pałatki. Pamiętam, jak mnie wsadzono na wózek pełen jakichś twardych worków, jak mnie otulano kocem i podparto wieszczami, żebym się nie waliła na boki. To bardzo dziwne uczucie stać się przedmiotem… Przedmiot ten jest wprawdzie pełen wdzięczności i rozczulenia cudzą dobrocią, ale nie ma sił tego okazać. Każde słowo i każdy ruch – to nadludzki wprost wysiłek. Najbardziej męczy mnie to, co chciałabym powiedzieć doktorowi. Okręcił mi nogi kocem, a teraz stoi koło wózka nadęty, nastroszony jak zmokły ptak, z postawionym kołnierzem i rękami w kieszeniach, mały, śmieszny. Bardzo bym mu chciała podziękować. Ale słowa są tak strasznie daleko ode mnie, że nie mogę ich przywołać na czas… Narwana Wala cmoka właśnie na koniki… I nie powiedziałam nic. To pewne, że osłabła do łez, wzruszona wdzięczność dla tego rudego, niepozornego człeczyny była uczuciem, z którym opuszczałam łagier na Loch-Workucie.

A potem była raz jeszcze owa zbyt dobrze mi znajoma, upiorna droga do Czumy. Wózeczek tłukł się po bezdrożach, grzązł w bagnach, kiwał się i skakał, a we mnie, mimo zabandażowania ręcznikiem, przewalał się i chlupotał palący, dotkliwy ból, jak wędrujący po wnętrznościach płomień. Nie wiem, co to był za objaw, ale i to pamiętam, że przy każdym takim napływie bólu równocześnie skurcz kulił mi w butach palce aż pod stopy. Mijało dopiero wtedy, kiedy tamta fala bólu przeszła.

W Czumie duże zmiany. Deski, zwalone trzy tygodnie temu obok drogi, zbiegły się już w duże baraki przy torze. Są też dwie nowe szopy i rozległy magazyn.

A potem małe, roztykotane, pełne smrodu wagoniki… Wciśnięta w kąt posypiam rozgorączkowanym snem i ledwie wiem, co się ze mną dzieje. Przesiadamy się parę razy. Parę razy po parę długich godzin czekać

musimy na małych, drutami dźwięczących stacyjkach. Raz znajduję pustą ławkę, na której się mogę położyć. Pora niewiadoma. Dziś? Jutro? Mniejsza z tym… Poczciwa siostra bada mi ciągle puls. Ma od doktora zastrzyk na wypadek kolapsu.

Wreszcie sangrodek. Przewożą nas na drugi brzeg rzeki.

Na chlupoczącym dnie dziurawej łodzi tańczy mi pod nogami duża, czerwona, zgubiona tu widać przez kogoś – rzodkiewka! Jakby się świat do człowieka uśmiechnął! Od tylu miesięcy nie widziało się świeżych jarzyn… Radość oczywiście czysto platoniczna, bo nie mam ani sił, ani ochoty schylić się po nią, a tym bardziej jej jeść… Tyle że ją pamiętam do dziś…

Na wysokiej skarpie, tuż nad rzeką, szeregi domków i domeczków. Gdzieniegdzie łyse klombiki albo chude, na siłę tu jakby wetknięte drzewka. Na ogół jednak – czysto i porządnie.

Prowadzą nas do ambulatorium i każą czekać. Czuć tu lekarstwa i świeżo wyszorowaną podłogę. Jest ławka w kącie, szafka z instrumentami, kuchenka z mruczącym właśnie saganem, moc słoiczków i flaszeczek. Za małym oknem – różowe wschodem czy zachodem – niebo i Ural.

Na pryczy, pod przeciwległą ścianą, siedzi sanitariusz. Jego wąska, smagła twarz ma wyraz takiej godności, spokoju i dobroci, że wiem od razu, że to nie może być ich człowiek. Składając i rozkładając ciemne, spracowane ręce, opowiada swoje dzieje. To zresztą zwykły objaw u łagierników. Każdy od razu od tego zaczyna. Widocznie przynosi im to ulgę.

Jest Samojedem… Nazywają go tu Iwan. Dziadek jego miał olbrzymie stada renów. Od małego chował się wśród nich, rósł wśród nich, znał je, kochał, rozumiał… To był jego świat – te nieprzeliczone, wędrujące stada mądrych, lotnych oleni. Aż przyszło to, co jest teraz. Wszystkie prywatne stada miały przejść na własność państwa. Jego olenie też. Dziadka zabrali

zaraz i skazali. Za to, że miał te reny… Nigdy już o nim nie słyszał… Ale jak dziadka wzięli, tej samej nocy on zebrał wszystkie stada i ruszył w tundrę. Najgłębszą, najodleglejszą tundrę. Całe dwa lata krył się w jej bezmiarze. Aż go wytropili. Z góry… samolotami. W zimie trudno skryć parotysięczne stado. Na śniegu widać jak na dłoni. Złapali go – odebrali mu reny i skazali na 25 lat łagru. Dziewiętnaście już odsiedział. Kiedy wyjdzie na wolność, będzie miał czterdzieści… Teraz mu nie jest źle, odkąd jest sanitariuszem. Ale w kopalniach było strasznie! Pracował na najniższych piętrach, w wodzie po kolana. Chodniki nie są tam wcale stemplowane i walą się jeden po drugim. Nikt zasypanych nie odkopuje… Po co? Ludzi mają aż za dużo. Ale teraz mu dobrze. Robota nie jest ciężka, jedzenie też tu lepsze i dosyć jest czasu na spanie. Bardzo lubi spać. Śnią mu się wtedy jego mądre, burą ławą po burej tundrze pływające olenie. Czasem śni mu się, że ma znowu piętnaście lat, że jest wolny, że dieduszka żyje i że to wszystko nieprawda… kończy z rozbrajająco łagodnym uśmiechem i powoli splata i rozplata spracowane dłonie…

Jestem tak nieprawdopodobnie zmęczona, że widzę go i słucham jak przez mgłę. Nie… Dziękuję za *czaj*… Kiedyż nareszcie przyjdzie ten wracz? Tak bardzo chciałabym się już położyć…

Później – o wiele później – dowiedziałam się, że nasz poczciwy doktor z Loch-Workuty – albo chcąc wymóc na naczelniku wysłanie mnie do sangrodka, albo przekonany o tym naprawdę – wystawił mi świadectwo stwierdzające, że mam prócz czerwonki – gruźlicę. Jak dalece wygląd mój krył się z tym orzeczeniem, miałam sposobność przekonać się zaraz po przyjeździe.

W czasie załatwiania formalności zeznałam, jak zawsze, że jestem z zawodu aktorką. Nie przypuszczałam, że sangrodek ma swoją trupę, do której wyłapuje skwapliwie wszystkich przywiezionych tu aktorów, śpiewaków i tancerzy. Kiedy po odejściu doktora, półżywa ze zmęczenia,

czekałam skulona na ławce, aby coś ze mną nareszcie zrobili – wpadł do ambulatorium młody, fertyczny reżyser tego tutejszego teatru i – myśląc zapewne, że mu przybywa jakaś gwiazda do zespołu – zapytał, rozglądając się ciekawie po izbie:

– *Gdie eta nowaja artistka? Wy?*

– Nie! – zaprzecza energicznie siostra.

– Wy? – wskazuje, z mniejszym zapałem już, na mnie.

– Ja – odpowiadam i nagle cud doprawdy, że nie parskam śmiechem… Nie potrafię opisać wyrazu niesmaku i rozczarowania, jakim skrzywiła mu się twarz. Podszedł bliżej, popatrzył, a potem – pełen najgłębszego zniechęcenia – machnął beznadziejnie ręką i bez jednego już słowa, trzasnąwszy drzwiami, wyszedł. *Engagement* nie doszło do skutku. I pewnie! Kto by takiego półtrupa do trupy angażował?

Wreszcie, po nie wiem ilu godzinach czekania na tej ławce w kącie, po wytrzymaniu resztą sił kąpieli w bani, dostaję się na izbę chorych. I mam wrażenie, że niebo otworzyło się przede mną.

Izba nie jest duża, ale dziwnie miła i pogodna. Jakaś plebania na wsi czy swojska, biała rządcówka… Piec z głęboką nyżą i szerokim gzymsem, czysto wyszorowana podłoga, przy każdym łóżku sosnowa szafeczka nakryta serwetką i bukiecik obcych, bezwonnych kwiatków. Na oknach, pełnych powietrza i dalekości, zazdrostki z merli. Rozpylone na nich słońce napełnia izbę mleczną, łagodnie rozprowadzoną jasnością… Łóżek jest osiem. Dwa pod prawą ścianą, reszta szeregiem, nogami na izbę. Ogromna jak biały niedźwiedź Cyganka sanitariuszka pływa ciężko w wąskich przesmykach między łóżkami. Musi być chyba noc – słoneczna polarna noc – bo wszystkie chore śpią owinięte kocami.

Leżę wreszcie i ja – na łóżku są prześcieradła! – mam na sobie czystą szpitalną bieliznę, zamknięte oczy i nigdzie już nie jadę! Jest tak cudownie cicho, że słyszę powolne cmokanie zegara ze ściany i

aksamitny furkot ognia. Zmęczenie, gorączka, kurcze – wszystko to nic wobec dobroczynnej ciszy i tego, że będzie można spać – spać – spać!

I ta cisza właśnie, ten sen i wypoczynek były właściwie jedynym lekarstwem, jakie dostawałam w sangrodku. Brałam wprawdzie trzy razy dziennie proszki – o ile mi ich mała, utleniona, rozćwierkana jak stary ptaszek siostra nie zapomniała dać – ale mam wrażenie, że mimo ostatecznego wyczerpania organizm mój, w tych możliwie najlepszych warunkach, wygrzebywał się z choroby sam…

Naczalnicą sangrodka jest Maria Tarafijewna, poważna, smagła, nie pierwszej młodości kobieta, o uważnych, rozumnych oczach. Jest pono żoną, a raczej była żoną jakiegoś wysokiego dygnitarza, rozstrzelanego w czasie owej słynnej czystki w związku z procesem Tuchaczewskiego. Była jednym z najzdolniejszych chirurgów w Moskwie, asystentką jakiegoś profesora, autorką poważnych naukowych dzieł. Taką opłaciło się zamknąć i przez piętnaście lat mieć potem jej bezpłatną pracę do dyspozycji. Gdyby nie sprawa męża, byliby jej wymyślili niechybnie inny powód aresztowania. Winę bardzo łatwo stworzyć, gdy się upatrzy ofiarę.

„Pakaži nam cziełowieka. My dieło najdiom…” – brzmi cyniczny dowcipuszek NKWD.

Maria Tarafijewna jest więc chirurgiem. Choroby wewnętrzne mało ją obchodzą. Operuje natomiast chętnie i pono świetnie. U nas zjawia się raz na tydzień, patrzy na karty z wykresem gorączki, zadaje parę nijakich pytań i odchodzi. A przecie lubiłam ją. Była bezpieczna i mocna. I choć przepływała przez naszą izbę dość pobieżnie i zawsze w pośpiechu, nie umiała patrzeć na człowieka jak na rzecz. Coś w jej ciemnych, inteligentnych oczach mówiło wyraźnie, że współczuje, rozumie i wie… Utrzymywano też ogólnie, że jej energii i staraniom zawdzięczał tutejszy sangrodek to, że go zaliczano do najlepszych w całym okręgu.

Sióstr jest kilka. Wszystkie zasądzone. Jedna ta drobna, siwa,

rozćwierkana jak fertyczna pliszka, druga mocna jak chłop, o lekko wypukłych, błękitnych oczach i przepalonym głosie, trzecia ponura jak noc, zawsze zła, odrabiająca swoje z dokładnością i obojętnością maszyny, wreszcie czwarta, jakaś trochę narwana, której nikt – i ona sama – nie traktował poważnie. Umiała jednak w dobry humor wprowadzić najcięższej chorą. Toteż wszystko przepadało za jej dyżurami, choć nikt nie dostawał wtedy lekarstw w porę, gorączki nie były pomierzone, a kompresy suche. Jedna tylko sanitariuszka nie lubiła jej widocznie. Wodziła za nią oczyma ciężkimi od lekceważenia i ostentacyjnie wychodziła, gdy tamta zaczynała paplać. Ale Anna Andriejewna w ogóle nie ma zmysłu humoru… W jej dużych, cygańskich oczach zastygł wyraz tępej, zrezygnowanej rozpaczy i tak jej ruchy, jak jej głos mają w sobie ociężałość człowieka będącego o sto mil stąd myślami… Z czasem dowiedziałam się od niej, że trzy jej córki, z których najstarsza miała siedemnaście lat, umierały po kolei na gruźlicę, o czym jej donoszono tylko do łagru. Kiedy za dwa lata wyjdzie nareszcie na wolność, nie będzie nawet wiedziała, gdzie grobów ich szukać po świecie… A były jak krew z mlekiem… i dobre, i zdolne, i posłuszne. Trzy ich miała i wszystkie trzy zmarniały tam bez niej jak te pisklęta bez matki. Gdyby była na wolności, nie byłaby im dała umrzeć… Ot… taki jej los nieszczęsny.

Choroby na izbie rozmaite. Jest jeden rak, jedna skomplikowana, nieprawidłowa ciąża, jeden paraliż nóg, jedna gruźlica, jedno ropne zapalenie nerek, no i moja czerwonka. Co jest tamtej Tatarce pod ścianą, nie wiem. Ósma, pod oknem, przeszła właśnie ciężką kobiecą operację.

Aby mieć święty spokój i nie być zmuszona do nikogo mówić, udaję od samego początku, że nie rozumiem po rosyjsku ani słowa. Leżę więc całymi dniami jak niema, ale głucha nie jestem. Słucham i głupieję… Wszystkie siedzą już po łagrach po kilka dobrych lat. Powoli ze strzępków tych rozmów klei się przede mną jedyny w swoim rodzaju, do żadnego

innego niepodobny obraz życia łagiericzek. Osobny, zamknięty świat o własnej moralności, etyce i zwyczajach.

Mała dziennikarka, po operacji, ma wielki kłopot z jakimś Iwanem Wasiliewiczem, który nie chce dopuścić, aby ją przeniesiono na inny strój, choć mogłaby tam mieć daleko lepsze warunki. A wszystko z zazdrości! Tamtejszy kasjer już od dwóch miesięcy przysyła jej papierosy i tłuszcz. Musiała się przed operacją lepiej odżywiać – nie? A ten Iwan – durak – awantury jej robi, sceny, że to miłość! Jaka tam miłość? O papierosy teraz tak ciężko po łagrach… Wszystko idzie dla wojska. Przy tym kasjer obiecał jej także wyrobić w szpitalu sprawkę na wstawienie zębów. Nie może chodzić taka szczerbata… Póki Iwan Wasiliewicz był magazynierem – wszystko było dobrze. Ale odkąd zjechał na brygadiera, nie tylko sam nie ma, ale z niej ciągnie jeszcze. Po co jej takiego? Już od kwietnia z nim nie żyje. Żadnego musu nie ma. Póki po dobrej woli – wszystko w porządku, ale jak już raz jakieś wypominania, szpiegowania i sceny – koniec! Może z inną, ale nie z nią.

– *Prawilno… prawilno…* – przytakuje sparaliżowana, gruba jak krowa morska Katia obok mnie… – Żadnego musu nie ma…

Chuda dziennikarka wyciąga spod poduszki małe lusterko i przegląda się w nim uważnie.

– Jak zęby wstawię, będę jeszcze całkiem ładna – nie?

– U nas po barakach tak ciemno, że każda ładna, z zębami czy bez. Im krótszy dzień, tym dłużej jesteś ładna – oświadcza właścicielka chorych nerek. – Tu, na północy, masz z tym jak znalazł. Jak przyjdzie zima, to się ani opędzić…

– Nawet mnie, nim mi te nogi pokręciło, nie dawał mój brygadier spokoju… – krztusi się Katia piskliwym, mokrym śmiechem, a cała izba śmieje się razem z nią. Katia jest już dobrze niemłoda, opasła i brzydka. Włosy, ścięte równo z karkiem i uszyma, ujmują jej pucułowatą twarz

w tłustą, przylepioną do policzków ramkę, nadając jej wygląd starego, figlarnego dziecka. Uśmiech ma wprost niemowlęcy. Same różowe dziąsła. Oczywiście szkorbut…

– Czesnoje słowo… Nie dawał mi spokoju… Co dzień wieczór przynosił mi cukierki do baraku i w oczach mu się dwoiło, jak mi normy liczył. Aż nos marszczył – tak kochał! A ja nie… Ot co… Nie miałam serca. To się potem i mścił, i donosy na mnie pisał, i na gorszy kocioł przenosił – a wszystko z miłości… Tacy oni i są, lubeńki, tacy oni i są…

– Agłaję Iwanownę to jej brygadier nożem pchnął za to, że nie chciała. Zaczaił się na nią pod barakiem, jak wracała z nocnej zmiany, i mało nie zabił…

– I dobrze jej tak! Po co dwóch za nos wodziła? Od jednego brała i od drugiego. Brygadier jej wyrobił to miejsce w kantorze i machorkę dawał, i konfiety… a ona za jego plecami z drugim żyła. Eto nie charaszo. Co mu się dziwić? Jak go raz i drugi z baraku przegnała, to się z nią nożem porachował. W porządku.

– A co ze wszystkiego najlepsze – dorzuca któraś – że jak wyszła z bolnicy, a on już drugą miał – wiecie, tę grubą Taniuszkę, co to za abort siedziała… – to się z nią do krwi o niego pobiła. Ale… Ledwie je rozerwano! A potem, jak on dostał komandirowkę na inny strój, to póty do naczelnika chodziła, aż i ją tam przeniósł. I lata – mówili mi – za nim jak ta sumaszedsza…

– Głupia! Nic gorszego, jak się jednego trzymać – oświadcza zdecydowanie chuda dziennikarka.

– Toż, lubeńka, kiedy on tam na zawiedujuszczego poszedł! Przy takim zawsze łatwiej wyżyć!

– *Wsio rawno. Ja to zawsze Iwanu Wasiliewiczu gawariu. Nijakiego musu nie ma. Ni dla mnie, ni dla niego.*

– *Prawilno… prawilno…*

– Cóż, kiedy gadaj z durnym! Jemu się zdaje, że dlatego że z nim dziecko miała, to on ma już do niej prawo! Właśnie! Zresztą dziecko umarło, a tamto starsze to wcale nie od niego…

– Nie od niego, lubeńka? Nie od niego? – wytrzeszcza Katia ciekawie swoje małe, błękitne oczka.

– Pewnie, że nie… Tamto przywiozła sobie od Sergiusza Sergiejewicza. Jak się pogniewali, nie wiedziała jeszcze, że jest w ciąży. A potem już nie chciała wracać… Zresztą Iwan Wasiliewicz był wtedy magazynierem…

– Sergiusz Sergiejewicz… Wiem, który… – wtrąca z kąta pod wieszadłem blada, obrzękła dziewczyna w ostatnich dniach nieprawidłowej ciąży. – Wiera Nikołajewna dostała przez niego dobawkę trzech lat za abort. Spolzował ją i rzucił… Co miała robić?

– Rodzić, lubeńka… rodzić… Ot, jak ty… – sapie sparaliżowana Katia. – Twój Kitajec też nie doczekał, co będzie: syn czy córka? I dobrze… Teraz go już i nie nużno tobie… Swoje zrobił… – trzęsie grubym brzuchem pod kocem i aż się zapluwa ze śmiechu… – Urodzisz bez niego i wykarmisz bez niego, a potem wezmą ci dziecko do żłobka i po kłopocie.

Blada, obrzękła dziewczyna dłubie w zamyśleniu igłą w dziurawych zębach i milczy. Jej martwa, gąbczasta twarz ma w sobie tępotę bierną, nieodgadłą, daleką.

– I co? Może źle? – ciągnie Katia swoje. – Wiesz, że dziecku krzywdy tam nie będzie. Dostanie wszystko, czego mu nużno. A jak wyjdziesz i zechcesz, to ci je dadzą…

– Albo oddadzą cudze. Nadia Trofimowna trzy gody swego szukała. I nie znalazła. A obcego brać nie chciała.

– *Kakaja raznica?* Swoje? Jak go sama od małego nie chowasz, to ci wsio rawno. Ty weźmiesz cudze, ktoś weźmie twoje i *w poriadku*. Czego się martwić?

– Mnie dość, że już jedno przepadło. Dwa lata pisali mi z *dietdoma*, że zdrowe i że się chowa, ale potem gdzieś je indziej przenieśli – aż pod Moskwę podobno – i od tego czasu nic. Nie piszą…

– Co mają pisać? Pewnie się dalej chowa. A jak umarło, to i lepiej, że nie wiesz. Co poradzisz? Będzie drugie.

– A ja o moim mam często listy… – wtrąca chuda dziennikarka. – *Oczeń czesnaja żeńszczyna* jest naczelniczką w tym żłobku. Pisała mi, żebym przysłała ruble, to mi fotokartoczkę da zrobić i przyśle, żebym wiedziała, jak *rebionok* wygląda.

– I czy podobny do Sergieja… – rechocze Katia. – A warto! Mnie mówili, że to *oczeń kulturny czełowiek i umnyj*, i przystojny. Szkoda tylko, że chory…

– Ale dzieci od niego *zdorowe*. Anna Wasiliewna, z którą żył przede mną, bliźniaki z nim miała. Jak bałabuszki… *priamo* jak bałabuszki…

– Bo też Anna Wasiliewna ma wprawę! Co roku jedno, a jak dobrze pójdzie, to i dwoje naraz. I co? Źle jej? Sześć tygodni przed porodem, sześć tygodni po porodzie – to już dwanaście tygodni na rok zwolnienia. Ja bym sama chciała! Czekajcie! Niech no wyzdrowieję i niech zęby wstawię, to was jeszcze wszystkie przegonię… Czesnoje słowo!

Słucham, posypiając, tych i podobnych rozmów i mam chwilami dziwne wrażenie. Wydaje mi się, że znalazłam się w zaczarowanej oborze, gdzie krowy mówią do siebie ludzkim językiem. O cielętach… o buhajach… o paszy. Jest w tych opowiadaniach krowie lenistwo i bierność. Nic – co by usprawiedliwiało te różne przelotne związki. Żadnej namiętności, żadnej pasji. Tępe poddanie się instynktowi, który – jak się zdaje – nie jest nawet decydującym bodźcem przy kojarzeniu się tych przypadkowych łagierych stadeł. Swatem bywa najczęściej głód i wyrachowanie. Owe zawsze tak samo upragnione słoniny, cukierki i machorka, lepsze mieszkanie, lepsza posada, lżejsza praca. Resztę robi

już sama sposobność, a tej po łagrach jest dosyć.

Nie mam już gorączki i boleści minęły bez śladu. Jestem tylko tak słaba, że ledwie mam siłę obrócić się na łóżku. Wychudłam też niemożliwie. Bawi mnie to, że między ciasno stulone palce widzę dokładnie całą izbę. Ręka dosłownie szkielecia. Maria Tarafijewna zapisuje mi specjalną dietę. Dostaję codziennie – prócz normalnego jedzenia – garnuszek kwaśnego mleka, sporą kostkę masła i potrójną porcję cukru! Biały chleb dawali mi tu od początku. Krajałam go sobie na cienkie kromki, a Anna Andriejewna suszyła mi je we wnęce pieca na grzanki. W ogóle wikt w porównaniu z lochworkuckim – wspaniały. O piątej rano dostajemy talerz gorącego krupniku, na drugie śniadanie pszenny grysik – prawda, że dwie łyżki tylko, ale dobre i to – na obiad zupę albo mięso z kartoflami i prawdziwą świeżą rzodkiewkę… Kisiel lub kompot bywa na deser, na podwieczorek *czaj* z grzankami, wreszcie na kolację krupnik albo zacierka na cienkim mleku. Żyjemy zatem jak króle! Po zwierzęcej wprost niecierpliwości, z jaką czekam godzin karmienia, poznaję, jak byłam wygłodniała i że zaczynam naprawdę wracać do zdrowia. Tylko potrzeba snu jest we mnie jeszcze wybitnie chorobliwa. Budzę się właściwie po to tylko, aby jeść.

Radość snu i wypoczynek w czystym łóżku i w czystej bieliźnie zostały mi niestety zatrute koniecznością przejścia ponownej kuracji przeciw świerzbowi. Zaleczony tylko na Loch-Workucie, odnowił się tu ze zdwojoną siłą. Osiem dni i osiem nocy przeleżałam w wilkinsonowskiej maści. Świerzb nie jest widocznie w sangrodku rzadkością, bo mają tu specjalny uniform dla takich pacjentów. Jest to koszula i kalesony tak przepojone dziegciem, że są pod światło brunatne i pasiaste jak szylkret. Nazywa się wprawdzie, że są po każdym pacjencie prane, ale trudno w to uwierzyć. Ważą bowiem od wsiąkłych w nie smarów trzy razy więcej od normalnych, są wilgotne, lepkie i zimne. Upaprany w świeżej maści włazisz w to ze wstrętem i przezwyciężeniem i – brzydząc się samego

siebie – leżysz potem w oblepłym, obrzydliwym, ziejącym dziegciem kompresie, dzień i noc i dobę po dobie. Cóż dziwnego, że opasła Katia z największym wstrętem odsuwa swój kocyk, że podwija skwapliwie prześcieradło, a kiedy przeciskam się wąskim przejściem do swojego łóżka, patrzy bacznie małymi, gęsimi oczkami, czy mój szpitalny szlafrok nie muska przypadkiem jej pościeli. Zbieram więc zawsze fałdy ciasno wokół siebie i robię się możliwie najchudsza. Nigdy chyba nie było mi to tak łatwe. Troska o linię, zatruwająca mi całą młodość, przestała mnie obecnie niepokoić. Ważę 39 kg!

Blada dziewczyna o gąbczastej twarzy, po całej dobie wicia się w daremnych bólach, została od nas wzięta na operację. Na jej miejsce przyszła zaraz inna, z gotowym już niemowlęciem. Zawiniątko to skrzeczy bez przerwy i pieluszki suszą się teraz na każdej poręczy łóżka.

Drobna, zbabczała jak stary rodzynek kabaretowa śpiewaczka spod pieca nuci cały dzień jakieś piosenki i z niesłychanym przejęciem w starym zeszycie zapisuje z trudem przypomniane sobie ich teksty. Ma się wrażenie, że nic jej poza tym na całym świecie nie obchodzi. Nie ma pojęcia o beznadziejności swego stanu, o którym wiedzą inne. Rak jej jest tak zaawansowany, że go już operować nie można. Ale ona nie wie o tym. Przygotowuje sobie przyszły repertuar. Ma jeszcze tylko dwa lata łagrów przed sobą. Gdy tylko wyjdzie, dostanie – oczywiście – zaraz *engagement*. Cała Odessa szalała przecie za nią! I chuda, o brunatnej cerze, posiwiałej grzywie prostych włosów i głęboko wpadłych oczach, siedząc skulona na łóżku, jak mała, chora małpeczka, pisze – pisze – pisze… Nieustający krwotok, z którym powoli życie z niej ucieka, nie zdaje się jej przejmować. Ważniejszy jest ten refren, którego właśnie nie może sobie przypomnieć.

O wojnie mamy co dzień świeże wiadomości. To już należy do programu dnia. Siostra, która rano przychodzi mierzyć gorączki, przynosi

nam w dzióbku szczegóły, podane wczoraj przez radio. Tutejszy klub ma bowiem aparat z głośnikiem, przy którym gromadzi się zawsze elita sangrodka. Zwykle, gdy siostra zdaje sprawę z bieżących wypadków, udaję, że śpię, bo mi tak najłatwiej ukryć to czy inne wrażenie, jakie na mnie robią te czy inne polityczne i wojenne wiadomości.

I tak to pewnego dnia – jeśli się nie mylę, 2 sierpnia, w święto Matki Boskiej Anielskiej – jak piorun z nieba buchnęła we mnie wieść o polsko-sowieckim układzie!

Nie zrozumiałam wszystkiego, co mówiły, a nie chciałam i nie śmiałam pytać. Oszołomiona świadomość jedno tylko zdołała wyłowić z tych chaotycznych, bądź jak powtarzanych komunikatów. Oto nasi – te nieszczęsne, wycieńczone niedobitki łagrów i tiurm – będą teraz zmuszeni bić się ramię w ramię z Sowietami. Prawda, że przeciw wspólnemu, znienawidzonemu wrogowi – ale dlaczego razem?! Jakże to możliwe? Po tym wszystkim, czegośmy od nich doznali? Po złamaniu paktu, po zbójeckiej napaści na nasz kraj, po wywozach, katowniach, zbrodniach – jakże to możliwe? Czy jeszcze mało naszej krwi wsiąkło w tę upiorną, wrogą ziemię? Czy jeszcze nie dość naszych grobów wyrosło na jej niezmierzonych obszarach?

Nie mam kogo spytać o szczegóły. Przed nimi boję się zdradzić. Udaję, że śpię, a płaczę w poduszkę, aż mi w skroniach huczy.

Zaczynam już po trochu wstawać. Chodzę, zataczając się, jak po pokładzie kołyszącego się okrętu i nogi mam jak z masła. Wyłażę przed barak i siadam na wąskiej ławeczce pod ścianą. Za drogą, naprzeciw mnie, zasądzeni Polacy budują nową szopę. Znajome „haj-rupp” przy dźwiganiu belek rozczula mnie do łez. Strasznie jestem rozklejona. Płakać chce mi się ciągle i bez powodu.

Złote, takuteńkie jak nasze, suche wióry przychodzą mi z wiatrem pod same nogi. Śliczny jest taki świeży sosnowy wiór! Słoje jedwabistym

połyskiem wyścielają jego, słońcem na wskroś przejętą, pachnącą spiralę. Można ją zwinąć i nadziać na palec jak pierścionek, a rozciągnięta i puszczona kurczy się sama, sprężyście i atłasowo.

Otulona za dużym szpitalnym szlafrokiem koloru turkucia podjadka, w za dużych szpitalnych człapach z wyleniałego renifera siedzę godzinami pod tą ścianą i bawię się wiórami. Każdy mój ruch chucha na mnie zapachem ciepłego dziegciu, a każdy podmuch słonecznego wiatru nadnosi od bliskiej budowy woń żywicy, świeżo rozkopanej ziemi i taru.

Czas, który się o mnie ociera ciepłym, łagodnym podmuchem, nazywa się sierpień 1941 roku.

Trudno mi dziś powiedzieć uczciwie – bo nie pamiętam po prostu – jak przyjęłam wieść, która nadeszła nieco później, że i kobiety mają być zwolnione. Czy nie uwierzyłam od razu, czy po tamtym, pierwszym wstrząsie, nie wydała mi się już dziwna i ważna. Nie pamiętam. Zresztą – może to i śmieszne mówić dziś, kiedy się ten cud nad nami istotnie dopełnił – nigdy jakoś nie wierzyłam w długą u nich niewolę. I nie ja jedna. Większość z nas. Wyroki po pięć, dziesięć, piętnaście i dwadzieścia pięć lat – przyjmowało się bez mrugnięcia powiek, jeśli nie z drwiącym uśmiechem, co do furii doprowadzało władze. Kiedy nam mówili, że zostaniemy u nich na zawsze, nie robiło to na nikim prawie wrażenia. Po prostu nikt nie wierzył. Trudno powiedzieć, dlaczego tak było. A trudno to powiedzieć i dlatego choćby, że nie miało to w nas na pewno żadnej rozumowej podstawy. Przeczucie? Nie… To nie było i przeczucie. Raczej ślepa wiara w miłosierdzie Boże i niezachwiana pewność, że nas Pan Bóg woli od bolszewików. Po prostu.

Pewnego dnia, kiedy odważniej zapędziłam się ku jakiejś dalszej ławce, zostaję niespodzianie zagadnięta po polsku przez jednego z chorych, siedzącego po drugiej stronie mizernego klombiku. Blady jest jak wosk, wychudzony, o głęboko podsiniałych oczach. Cały kark i szyja tkwią mu

w wysokim, białym chomącie bandaża, więc rusza się sztywno i ostrożnie. Ponieważ wiemy oboje, że chorym z innych baraków nie wolno w zasadzie ze sobą rozmawiać, konwersacja nasza odbywa się w dość nieporęczny sposób. Siedzę plecami zwrócona ku jego ławce i odpowiadam przed siebie, nie odwracając głowy. On stosuje tę samą metodę. Na szczęście nie ma nikogo w pobliżu, a nikt, patrząc na nas z daleka, nie domyśliłby się, że rozmawiamy. A my rozmawiamy w najlepsze. Już wiemy oboje, że jesteśmy ze Lwowa. Dowiaduję się, że przeszedł ciężką operację uszu i że czeka go druga. Ale to nic! Wyzdrowieje. Musi wyzdrowieć. Zaraz chce wstąpić do wojska. Nareszcie mam więc kogo zapytać o szczegóły. Mężczyźni o wiele więcej wiedzą o układzie. Słucham – i kamień spada mi z serca. Nie! Nie mamy wcale być wcieleni w ich armię. Ani bić się ramię w ramię. Boże broń! Ze wszystkich wypuszczonych z tiurm i łagrów Polaków ma powstać nasza własna armia, pod naszym dowództwem, jako zupełnie samodzielna formacja. Wylicza mi po kolei punkty układu. Mówi, że generał Anders ma tworzyć tę armię na terenie ZSRR. Słyszał też całkiem na pewno, że kobiety też mają być zwalniane. To pewnie jeszcze trochę potrwa, nim wszystko zorganizują. Przy tych obszarach. Będzie miał właśnie czas wyzdrowieć. Ach! Byle już mieć polski mundur, karabin i orzełka na czapce!

Dobrze, że siedzę plecami do niego zwrócona! Nie może widzieć, że mi się broda trzęsie i że z największym wysiłkiem powstrzymuję łzy. Mam w oczach jego woskową twarz, zapadłe oczy i szyję, tkwiącą bezradnie w białym chomącie bandaża. O byle co chce mi się teraz płakać.

O byle co…

Nie wszystkie jednak rozmowy z Polakami w sangrodku wspominam tak rzewnie jak tę… Nie. Jednej z nich nie mogę nawet przypomnieć sobie bez uśmiechu.

Przekonała mnie, że byli wśród naszych i tacy, co obronną ręką wyszli

z tego wszystkiego.

Raz, w bardzo ciepłe, nagrzaną pogodą pachnące popołudnie wybrałam się na sam skraj zony. To najładniejszy kąt sangrodka. Baraki ma się wtedy za sobą, przed sobą zaś tundrę, przeciętą tylko jarem pełnym zielonej, rozmigotanej rzeki. Opalowozłoty, zadymiony dalekością Ural zalega jak okiem sięgnąć cały horyzont. Cudnie tu. Siadam na zwalonym, na pół ociosanym sosnowym pniu i patrzę.

Pachną trzaski i ciepłe próchno tej lekkiej, torfiastej, północnej ziemi.

Jest jakaś piąta po południu. Mój wydłużony cień nie sięga skraju zony, wytyczonej rzadkimi słupkami z tabliczką. Świerszcz cyka i od rzeki idzie jednostajny poszum płynącej wody.

Opodal, wśród stosu świeżych desek, pracuje chłopisko młode, rosłe, a wesołe jak szpak. Robota idzie mu widać łatwo, bo pogwizduje sobie pod nosem, podczas gdy siekiera zapada w drzewo miękko jak w masło, a drwa odłupuje się gładko – po prostu zabawka nie robota. Aż miło patrzeć. W ciszy powietrza dochodzi mnie wyraźnie opóźniony pogłos tych uderzeń, jak zwykle odgłos rąbania w otwartej przestrzeni.

Od pierwszej chwili mam pewność, że to Polak. Ich ludzie mają ruchy ciężkie i smutne, jakby samo powietrze przygniatało ich ku ziemi, i twarze ich są wklęsłe, obojętne, o daleko zapatrzonych oczach. Ten tu rusza się tak, jak się wesoły, zdrowy człowiek rusza przy muzyce. Lekko, rytmicznie. Przystojna, ogorzała twarz, o ładnie garbatym nosie i wesołych oczach, nie tylko nie jest wynędzniała, ale wprost tryska zdrowiem i młodością. Nie! To nie może być ich człowiek. Tacy tu nie rosną.

Wiem, że od dłuższej chwili i on mnie zauważył. Raz i drugi strzelił niechętnym okiem ku tkwiącemu bez ruchu kłębkowi w szpitalnym szlafroku, wreszcie wbił z rozmachem siekierę w pień i zaczął powoli skręcać papierosa. Jestem pewna, że chce się odezwać, tylko jeszcze nie wie, w jakim języku. W tych turkuciowych szlafrokach łażą tu przeważnie

Ruskie. Już zwinął tubę z gazety, zaślinił, wetknął w usta, a teraz sięga do kieszeni. Ale sowieckie spiczki to nie to, co nasze zapałki. Co dwudziesta się zapala. Odrzucił jedną, drugą, trzecią. Wreszcie pada – rozstrzygające wszelką wątpliwość: – „A do jasnej cholery, psiakrew!”. A co? Nie mówiłam? Polak!

Potem już prędko poszło. Rozgadaliśmy się od razu. To podoficer KOP-u. Morowiec. Gdzie nie był? Czego nie widział? Gęba strasznie niewyparzona, ale to nic. Oby się dziś tacy na kamieniu rodzili.

A jakże. Siedzi. Od 1939 roku. Wozili go po tym psiakrewskim kraju i co mu zrobili? Guzik! Zawsze miał co jeść, zawsze miał gdzie spać, brygadierów za nos wodził, żadnej normy nie wyrabiał – a żył! Ho… ho… Jeszcze jak! Tak się zawsze urządzał, żeby być w brygadzie rozładowującej wagony z żywnością. A jak już raz był blisko pak – nie upilnował go nikt. Dla siebie brał i dla innych. A pewnie. Mało to cholery naszego nakradli. Kto by wyżył na tym, co sami dawali? Trza było brać. Gdzie się dało. Strach, co to za dumy naród. Byle się im postawić. Byle bujać… Toteż wszystkim u nich był… I lek-pomem, i malarzem, i cieślą, i inżynierem, i kucharzem – jak wypadło. Kombinował. I co? Źle? Teraz trumny robi. Pudełka na sowieckie ścierwo. Galantne. Od serca im robi. Byle ich wszystkich prędzej w nie poskładać. Nie żałowałby rąk! Narobiłby im tych trumien stąd do Leningradu. Tylko desek szkoda. I miejsca na ziemi też. A dużo go będzie teraz trzeba… niby tego miejsca w ziemi. Daje im Niemiec łupnia za wszystkie czasy. Dymają, aż portki gubi. Ale będzie jeszcze dymał i Niemiec. Sprawiedliwość jakaś musi być. Inaczej Boga by nie było. A jest! To nawet oni mówią. Jak ta amnestia przyszła, to pobaranieli. Mówią: takiej rzeczy jeszcze nie było, żeby tyle tysięcy ludzi naraz z łagrów puścić. Czary – mówią. Wasze polskie czary… Wymodliliście – mówią. I pewnie…

– Dziadka miałem. Miał dziewięćdziesiąt trzy lata – a jak owdowiał,

to się jeszcze żenić chciał! Przysięgam Bogu. Morowiec był. To mówił mi zawsze tak: „Jędrek – powiada – wbij se to w łeb na zawsze: póty Polski, póki z Bogiem”. Ja tom tam po prawdzie nigdy bardzo po kościołach nie latał. Wolałem za dziewczętami. Wiadomo… „milsze panny od sutanny…”, ale tak to pamiętam jak dziś. Jak miałem lanie brać, to nigdy od ojca. Od dziadka tom wszystko zniósł i jeszczem w rękę potem cmoknął. Sam tylko kukurydziankę jadł – mięsa ani na ząb – ale pociągnąć to lubił. „Jędrek – powiada – jak w miarę, to nie grzech. W Galilejskiej Kanie – powiada – pili też”. Ojejku! Strasznie był nabożny. Tak mnie nauczył, że się do dziś bez pacierza nie położę. Te durne sowieckie juchy śmiali się ze mnie po barakach. Ale jakem raz i drugi tak mordy skuł, że zęby z kątów wymiatali – dali spokój… A teraz mówią – czary! Wasze polskie czary! Lepsze zobaczycie. Poczekajcie! Przestanę trumny strugać, a zacznę wam, cholera, nadzianki do nich dostarczać! Nie bójcie się… Przyjdzie i to! Ojejku! Najgorsze to czekanie!

Musieli nas wypatrzyć. Od strony sangrodka zbliża się rudy brygadier, pewnie żeby nas rozpędzić. Wiadomo – zakluczonym z sobą gadać tu nie wolno. Lepiej nie czekać. Olszewski wstaje, łokciami podciąga briuki, wyszarpuje z łatwością – po sam nos w pień wbitą – siekierę i z leniwym uśmiechem zawodowego pożeracza serc kłania mi się z przesadną szarmanterią.

– Szanowanie pięknej pani. Ja tu zawsze trumny robię. Proszę znowu kiedy przyjść… – i pogwizdując odchodzi do swoich desek.

„Piękna pani” zostaje sama. Jej nadmiernie wydłużony cień minął bezkarnie zonę i ściele się płasko po rozpłonionych niskim zachodem wrzosach. Tundra z burej zrobiła się szkarłatna, a Ural bananowy…

Jestem już na tyle zdrowa, że Maria Tarafijewna wypisuje mnie z izby chorych. Mam być przeniesiona na drugi sangrodek, gdzie odsyła się rekonwalescentów.

Pożegnalną kąpiel w małej, wilgotnej, pełnej młodych karaluchów bani, wspominam bardzo przykro. Okazało się, że łatwiej się maścią okleić, niż ją potem zedrzeć z siebie. Musiałam parę razy trzeć ostrymi pakułami całe ciało, bo dziegieć nie chciał schodzić. Nie było to wcale przyjemne, jako że pod długim działaniem maści świerzb wprawdzie zniknął, ale dostałam za to zapalenia skóry. Czym wobec tego było zmywanie jej ukropem i tarcie pakułami, trudno wprost wysłowić!

W łagodne, ciepłe popołudnie, z workiem na plecach, na niezupełnie jeszcze pewnych nogach opuszczałam pierwszy sangrodek. Pierwszy też raz od niepamiętnych czasów nie było przy mnie strielka z bagnetem. Eskortował mnie na pół oficjalnie jakiś zasądzony cieśla, idący na drugi sangrodek na robotę. Potulne to, białorzęse, nieszkodliwe człowieczysko szło zawsze o kilkadziesiąt kroków przede mną, nie oglądając się prawie za siebie. Miałam cudowne uczucie zupełnej samotności w krajobrazie. Ścieżyna wiła się nad samą rzeką, pruła przez nadbrzeżne zagajniki, brnęła po kamieniach przez płytkie, śpieszące z tundry potoczki, zapadała w jary i wdrapywała się na zbocza, płynnie i giętko, jak umieją takie wąskie, ludzkimi tylko stopami wydeptane ścieżki.

A zaraz za ścieżką jest tundra. Bezbrzeżne szorstkowłose morze, na którego powierzchni zaczynają już płonąć tu i tam, niczym koralowe rafy, okrągłe plisze pierwszych jesiennych czerwoności. Widocznie taki obyczaj mają te niskie, północne krzaczki jagód, że się pod jesień rozpalają na pochyłościach wiankami kwaśnej, jaskrawej purpury. Wysoki słup tętniących muszek idzie pod zachód ze mną, niedokuczliwy i niemający żadnych innych zamiarów nad to dźwięczne, wahające towarzyszenie człowiekowi. Bardzo błogo, mimo dużego zmęczenia, wspominam tę drogę.

Drugi sangrodek to skupisko większych i mniejszych kretowin, rozsypanych znowu na wysokim nadrzecznym cyplu, z grupką niskich,

drewnianych, darnią obłożonych domków po przeciwległym krańcu urwiska. Tam mieszczą się biura, kuchnie, magazyny i władza. Kretowiny przeznaczone są dla nas.

Radość na wstępie, bo z jednej z nich, trzęsąc złotymi gronkami w korkociągi pozwijanych włosów – wybiega ku mnie Cesia! Przebyła szczęśliwie owo zapalenie płuc, a teraz pracuje jako buchalter w kantorze. Odbiera mi worki z rąk, wita się, cieszy… Po pierwszych pytaniach, jak się czuję, gorączkowe dowiadywanie się, czy nie słyszałam czego nowego o amnestii? Czy już zwolnili kogo? Czy wiem co o transportach? Z Us-Ussy rzekomo już kogoś zwolniono. Pono pierwsza partia Polaków z kopalni ruszyła też na południe. Ale to chyba niemożliwe! To by było zbyt szybko! Ona oczywiście idzie do wojska. Na pielęgniarkę. Ale niektórzy ludzie są tacy dziwni. Tak różnie mówią o tej amnestii. Są nawet tacy, którzy w nią wcale nie wierzą. Mówią, że to podstęp, że to diabelska pułapka, aby wybadać nastroje wśród nas. Że potem tych, co się zgłoszą do naszej armii, wcielą na siłę do Czerwonej. To niemożliwe! Prawda, że to niemożliwe? Przecie radio zupełnie oficjalnie mówiło o tym układzie. Boże! Boże! Czy to nie cud? Czy to nie najoczywistszy cud nad nami?

Kretowina, do której mnie Cesia prowadzi, tylko spadzistym, darnią obłożonym dachem wystaje znad ziemi. Reszta tonie w piaszczystym gruncie. Po kilku stromych schodkach schodzimy do małej sionki z beczką i szaflikiem – jakiś worek na drzwiach, pewnie od komarów – i duża, nadspodziewanie duża izba stacjonaru. Tak się bowiem nazywa ten kreci przybytek, w którym przetrzymuje się rekonwalescentki, nim przejdą do słab-komandy, czyli do takiej samej kretowiny obok, skąd już powoli wybiera się silniejsze do pracy.

Mimo że izba po samą brodę zakopana jest w ziemię, dzięki dwom płaskim oknom, umieszczonym w szczytowych, przeciwległych ścianach, jasno tu całkiem. Wszystkie ściany, belki, powała i dwa piętra

kojek wybielone. Na środku pękaty żelazny piecyk. Podłoga drewniana, bez dziur i czysta. Pierwsze wrażenie raczej dodatnie i nieponure wcale. Czuć tylko lekko wilgoć i znajomy smrodek starą plewą wypchanych sienników.

Po kojkach same znajome. Jeśli nie z Loch-Workuty, to z transportów albo jeszcze ze Starobielska. Każda o kogoś pyta, każda chce nowych wiadomości, każda coś słyszała, każda ma jakieś własne domysły i przypuszczenia. Z Polek zastaję tu szykowną panią Adę, olbrzymią Raciszewską, Małą Ziutkę i Cesię – reszta Węgierki, Zakarpacie i Żydówki.

Dostaję kojkę na dolnym piętrze nar, drugą po lewej, obok pani Ady i potulnej, zezowatej Finkiel. Mamy półki obok kojek i gwoździe na worki. W ogóle komfort – aby nie powiedzieć – luksus! W tej chwili jednak, po dużym zmęczeniu długiej, jak na moje marne siły, drogi najważniejsze mi jest to, że się tu wolno zaraz rozebrać i położyć. W stacjonarze nie ma ani pobudki, ani prowierki, ani żadnych obowiązków, prócz utrzymywania we wzorowym porządku własnej kojki i wieszczy.

Nasz sanitariusz Andriej, marynarz, skazany nie wiem za co na dziesięć lat łagru, przynosi nam o świcie śniadanie do łóżek. Chleb, mleko, grudka masła, parę łyżek grysiku. Około jedenastej dostajemy drugie śniadanie, składające się przeważnie z kawałka słonej, pieczonej ryby. Obiad taki sam jak na pierwszym sangrodku, tyle że już bez mięsa i rzodkiewki – wreszcie kolacja: czyli bułka ze śledziem i *czaj* albo śledź z bułką i czajem. Jak kto woli. Co jednak ze wszystkiego najpomyślniejsze, wolno nam kupować sobie mleko! Pieniędzy wprawdzie nie mamy (moja kwitancja na 90 rubli stała się w łagrze bezwartościowym świstkiem…), ale są rzeczy. Zaczynamy więc spławiać nasze wieszczy. Nie wiem tylko, czemu handel ten musi się odbywać w tajemnicy, jakby to wszystko było kradzione. Gruba, krótkowzroczna, utleniona Roza, lekarka, ta sama,

która nas – niech jej tego Pan Bóg nie pamięta – odesłała wtedy z Czumy, antypatyczna naczalnica drugiego sangrodka, Nina Dmitrowna, i siostra Katia kupują od nas, co się da. Naczalnica zawsze przez pośrednika, przez którąś z zaufanych Żydówek, tamte dwie osobiście, ale po kątach, o zmroku, w sionce, za węgłem, w tajemnicy jedna przed drugą. Oczywiście za produkty. Rubli tyle tylko, ile potrzeba na mleko. Reszta to cukier, konserwy, masło, cukierki, herbata, tytoń. Przynoszą nam to cichaczem, dziś garść cukru, jutro paczkę papierosów, pojutrze kilka cukierków. Widać z tego, że im samym trudno zdobyć tę jedyną mającą tu wartość walutę – jedzenie. Ruble – poza tym mlekiem, które kupuje się oficjalnie w zarządzie sangrodka – są tu bezwartościowym brudnym strzępkiem. Pomysłowa pani Ada radzi sobie jeszcze inaczej. Prowadzi handel wymienny na rzeczy także… Zdążyła zebrać w ten sposób wcale zasobne urządzenie domowe. Ma ciepłą kołdrę, czajnik porcelanowy, dwa noże, miednicę. Ciekawa tylko jestem, kto będzie za nią nosić to wszystko? Ale ciekawa jestem także, dlaczego ja się tym martwię, skoro ona się tym nie przejmuje? Leży właśnie pod różową kołdrą od Katii schludna, czyściutka, w gazowym szaliku na ładnie uczesanej głowie, upudrowana, syta. Za jedwabną koszulę sprzedaną dziś Katii ma dostać kilo cukru, trzy puszki konserw, papierosy, ileś tam masła i trochę gotówki. Nie jest tylko pewna, czy to dość.

Ja rujnuję się po prostu na mleko! Piłabym je litrami. Sprzedałam suknię, kilka par reform, jedwabne pończochy i dwie koszule. Chowałam to wszystko jako żelazny kapitał na czarną godzinę, ale gdy przyszła biała od mleka, machnęłam na czarną… Głodna jestem dzień i noc obłędnie, jak zwykle po ciężkiej chorobie, kiedy się zaczyna wracać do sił.

Co dzień rano siostra Katia mierzy nam wszystkim gorączkę, a potem rozdaje lekarstwa. Ambulatorium mamy w kącie, za dwoma rozwieszonymi na drucie kocami. Znikamy za nimi kolejno, ta na

zastrzyk, ta na zmianę opatrunku, inna na wtarcie maści. Mnie na moje zapalenie skóry smaruje mętnym, bezwonnym płynem. Dostaję też krople konwaliowe na serce.

Siostra Katia ma twarz białą jak papier, duże, wilgotne, silnie ukarminowane usta i oczy zielone, o oblepionych tuszem rzęsach. Pachnie świeżo wyprasowanym, białym fartuchem i lichą perfumą. Brwi ma czarne i niskie czoło. Prosty rozdziałek dzieli na środku głowy jej lśniące, kruczoczarne włosy, gładko po uszach przyczesane. Na nich płytka, haftowana, lekko na bakier włożona czapeczka. Spod chrupiącego krochmalem chałata i bardzo ciasnej spódnicy wystającej ciężkie buty z cholewami. Bardzo charakterystyczna sowiecka sylwetka. Uroda jej przypomina mi wszystkie aktorki z „Sinoj Pticy". Siedzi od lat w łagrze, bo jako szesnastoletnia dziewczyna zabiła do spółki z matką i bratem narzeczonego. Nie mam pojęcia, po co to zrobiła, a nawet nie wiem, czy to naprawdę – prawda. W każdym razie to się o niej szepcze po kątach. Po niej samej trudno poznać. Twarz ma doskonale nieruchomą, bez śladu mimiki. Po prostu gładka, ubielona pudrem porcelana o zawsze spuszczonych, tuszem oklejonych rzęsach. Tym większe wrażenie robi czasem jej niespodziane spojrzenie, którym cię umie pchnąć z nagła i wtedy, kiedy się tego najmniej spodziewasz. Duże, mocne, wcale niepłochliwe oczy tkwią wtedy w twoich głęboko i silnie jak dwa zielone ostrza. Nie. Ona chyba naprawdę zabiła tego narzeczonego? Ostatnie, co widział, to musiały być te właśnie zielone, nieruchome oczy. I dziwne pomyśleć także, że te gminne, mięsiste ręce, które tak biegle obchodzą się teraz ze strzykawką, bandażem, watą i maściami – to są te same ręce! I żeby nie wiem ile lat minęło, one będą zawsze te same. Widocznie jednak do wszystkiego można nawyknąć. Siostra Katia czerni sobie nimi rzęsy, pudruje się, karminuje usta i są może nawet całe dnie – może całe tygodnie – kiedy ani pomyśli. Nie można wiedzieć. Ma tak nieruchomą, nieodgadłą

twarz. Choć mówi mało i niechętnie, odnosi się do nas na ogół życzliwie.

W przeciwległym kącie stancjonaru, w budzie, zawieszonej jakimś ohydnie zahaftowanym dywanikiem, mieszka pomylona Karczak. Zagospodarowała się widać w łagrach dawno i dostatnio. Ma swoje poduszki, ów dywanik, rodzinne fotografie, miednicę, własne szachy, garnuszki i kuferek. Mała, o gęstych, krótko ściętych włosach, twarz ma czerstwą, oczy bystre, rozbiegane i rwane, szybkie ruchy. Szkoły kończyła w Polsce, ale po polsku kaleczy już niemożliwie, choć jeszcze zna dużo zwrotów i ma spory zapas słów. Do nas stara się zawsze mówić po polsku, ale w zapale przesiada się zwykle w pół zdania na rosyjski. Gdy się opatrzy, przeprasza i wraca znów do polskiego. Na pierwszy – a nawet dziesiąty – rzut oka robi wrażenie zupełnie normalnej. Ale niech no cię dopadnie na samotnym spacerze u skraju zony, niech no – strzeliwszy w prawo i w lewo spojrzeniem szczwanego spiskowca – zacznie ci bajać niestworzone historie, domyślisz się zaraz, że tam „nie wszyscy w domu". Ma zresztą wybitną manię. Każdy na nią czyha, każdy na nią dybie, każdy na nią nastaje, a zwłaszcza NKWD. Chcą z niej zrobić prostytutkę, aby mogła szpiegować inne, te które pracują w wywiadzie kontrrewolucji. Bo cały wywiad jest – jej zdaniem – w ręku prostytutek. Kiedy odmówiła, zrobili z niej – najzdrowszej na świecie – wariata! Ale ona im dowiedzie, że to łajdackie kłamstwo. Przekona ich. O wszystkim napisze do Stalina.

Tak. Wiemy. Karczak pisze! Pisze do Stalina, do Mołotowa, do Litwinowa, do naczelnika NKWD, do naczelnika Wojen-Komatu, do naczelnika Workut-stroju – do wszystkich władz, jakie są na obszarze Rosji. Niestrudzenie, nieubłaganie – pisze! Jak narkoman w wydostaniu narkotyków, tak ona ma niebywały spryt w zdobywaniu – nie wiadomo skąd – papieru. Wszystko jedno: lewe strony kopert, lewe strony druków, lewe strony nalepek z konserw, stare rejestry, stare kopiały, papier pakunkowy. Byle papier. Zdobywszy go, szuka spokojnego miejsca po

stacjonarze. W dzień to prawie wykluczone. Ale za to w nocy, za kocami ambulatorium, przy małej kopciłce, znajduje nareszcie ciszę i samotność. I wtedy pisze, pisze do rana. Łapie nas potem po kolei, ciągnie w swój kąt i czyta nam na siłę te swoje biedne manifesty! Po każdym bardziej udanym, bardziej druzgocącym zwrocie strzela znad papieru badawczym okiem, chcąc sprawdzić wrażenie. Trzeba więc dobrze uważać, aby współczucie, jakie człowieka ogarnia, nie wypłynęło na powierzchnię twarzy wyrazem politowania i żalu. Wiemy wszystkie, że pisma te nigdy nie bywają wysyłane. Docierają jedynie do Niny Dmitrowny. Przebiegłszy je pewnie pobieżnie żmijowatymi oczyma, naczalnica, w najlepszym razie, do żaru przytkniętym listem biednej Karczak zapali sobie papierosa. Ale nasz siwy maniak nie wie o tym! Skrupulatnie oblicza dni, czy list jej już mógł dotrzeć do Stalina i kiedy przyjdzie odpowiedź. A ponieważ odpowiedź nie przychodzi, zdobywa nowy papier i na nowo pisze.

Poza tym jest zupełnie normalna. Uczynna, koleżeńska, pogodna. Lubi grać w szachy. Lubi szyć. Pyta, czy nie mamy jakichś naprawek. Może nam także wyhaftować bukiecik różyczek na rogu chustki do nosa. Przy całym pomyleniu umysł ma bystry i bardzo cięty język. Nigdy dotąd nie miałyśmy odważniejszego adwokata. Oświadcza nam, że ponieważ wmawiają w nią, że jest *duszewnie bolnaja*, będzie korzystać z bezkarności ludzi nieodpowiedzialnych za swoje czyny. Uważam, że wcale logicznie, jak na wariata. Kiedy nam z urzędu, wieczorem, lek-pom przychodzi głośno czytać gazetę – jakąś odwieczną, bo poczta tu dociera chyba raz na miesiąc – gazetę pełną jeremiad nad bezprzykładnym barbarzyństwem Germańców, wieści o głodzie i nędzy na zajętych przez nich częściach Ukrainy i oburzeń nad nieludzkim wywożeniem ludności cywilnej – komentarze pomylonej Karczak są wprost nieporównane.

– Wywożą ludność! *Nu smatry.* Nic, tylko im ktoś pokazał, jak się to robi. Bo ja już gdzieś słyszałam o wywożeniu na siłę całych obłaści. I to

w zimie, w mróz. Nie pamiętacie, gdzie to było, Borysie Iwanowiczu?

Albo:

– *Wot…* to i stara gazeta. Głód na Ukrainie? Ja o tym głodzie na Ukrainie wiem już ho, ho – od lat. Piszą, że ludność korę je po lasach. Pewnie, że je. Jadła to i je. Nawykła. Trudno żądać, żeby German chleb ze sobą przywoził.

Nikt też tak odważnie nie umie się dobijać o lepsze dla nas jedzenie, o częstszą banię, o należyte traktowanie.

– Oni już teraz nie zakluczeni! Oni są wolni grażdanie! Był d*ogowor. Nielzia* ich teraz szczytać za zakluczonych – krzyczy na cały stacjonar, gdy Nina Dmitrowna, robiąca co jakiś czas przegląd chorych, chce którąś z Polek odesłać na Loch-Workutę. – Wy się nie dajcie nastraszyć – mruga do nas. – Nikt was nie może zmusić teraz do pracy. *Ponimajetie? Wy wolni…* – a jest tak cięta i dowcipna w swoich zaczepkach, że żmijooka Nina, nie znajdując często odpowiedzi, wylatuje jak furia ze stacjonaru. – Tak i widzisz – krzyczy za nią rozogniona Karczak – jak to źle ze zdrowego zrobić wariata! Nawet mnie do izolatki wsadzić nie możesz. A czego się ode mnie nasłuchasz… to moje!

Nasze też – myślimy sobie i lubimy tego narwanego adwokata, byle na nas nie polował wieczorem na deptaku.

Deptak ten to wąski skrawek piasku między dwoma rzędami zeschłych świerczków, na których rozwieszamy zwykle wypraną w rzece bieliznę. Wolno nam chodzić tędy, od stacjonaru, popod słab-komandę do skraju zony – i od skraju zony popod słab-komandę, nasz stancjonar aż do klatki z wariatami. Jest nią duży, gęsto kolczastym drutem omotany czworobok, z taką samą jak nasza ziemianką pośrodku. Mieszka ich tam kilkunastu. Gdy tylko zobaczą którą z nas na dworze, pod drutami robi się zaraz czarno od tych brodatych nędzarzy, z których każdy – na swój mniej lub bardziej drastyczny sposób – objawia nam swe zainteresowanie. Czasem

rzucają na nas kamieniami lub sypią piaskiem. Znamy już wszystkich z widzenia. Niektórzy robią wrażenie tylko schorowanych. Milczą i sennie snują się tam i z powrotem pod druty. Ale są i gadatliwi. Jeden zwłaszcza, niski, zarośnięty jak bandyta Żyd w rozwianym szpitalnym chałacie – gania w kółko po klatce i bez przerwy gada. Przed wielu laty wyjechał pono z Polski do Rosji, uwierzywszy w bolszewicki raj. No i zwariował ze szczęścia. Ten nie zaczepia nigdy nikogo, ma tylko strasznie dużo do powiedzenia, ale samemu sobie. Nie ma takiej dziedziny życia, której by w swoich monologach nie poruszał. Po kawałku wszystkiego. Duże i małe. Wszy, Einstein, spleśniałe suchary, motor Diesla, nieśmiertelność duszy, szczury, złamana igła, analiza spektralna. Ponad wszystkim jednak góruje zaśliniona furia, zachrypła nienawiść do NKWD. Czasem, w pół zdania, wybucha niepowstrzymanym śmiechem. Aż gnie się, aż się po udach bije, aż się zatacza na druty ogrodzenia. Robi wtedy wrażenie kogoś bezgranicznie szczęśliwego, upitego wprost weselem. Tak. Trzeba dopiero zwariować, żeby się w Rosji tak śmiać… Często jednak umie się także zagotować tam za drutami. Zwarty kłąb wariatów tuła się od jednego końca klatki na drugi. Siostra Katia wchodzi tam wtedy sama jedna, bez zmrużenia powiek. Kiedyśmy ją raz spytały, czy się nie boi, podniosła na nas twarde, zielone oczy.

– Bać się? A czegóż? To oni się boją. Mnie dość popatrzeć. Nie krzyczeć, nie rugać – tylko oczami w oczy. To lepsze od wszystkiego.

Wierzę! Trzeba tylko mieć takie oczy!

Chodzimy więc po deptaku. Między owe rude, uschłe świerczki – podobne żywcem do wystawionej na kuchenny ganek, osypanej z igieł miejskiej choinki na wiosnę – wciska się krajobraz daleki, zamknięty w głębi najpiękniejszym chyba pasmem Uralu. Wprost naszej kretowiny bieleje jego wysoki, stożkowaty szczyt, sproszony śniegiem i opylany, zależnie od pory dnia, wszystkimi kolorami tęczy. Dzieli go od nas

szeroko wymulony jar Workuty i bezkresna otchłań tundry.

Mamy tu już przed sobą cały sangrodek jak na patelni. Widać stąd dobrze dalsze, przez mężczyzn zamieszkane ziemianki, pełne takich samych jak my rekonwalescentów. Jest wśród nich wielu Polaków. W zasadzie nie wolno nam z nimi rozmawiać, choć deptak jest wspólny i oni i chodzą tak samo jak my, od klatki z wariatami po zonę. Z początku przestrzegałyśmy tego. Wiedziałyśmy dobrze, że mała jak z bajki, darnią obłożona chatka Rozy nie darmo gapi się w naszą stronę czterema szybkami okienka. Im głośniej jednak mówi się o amnestii, tym śmielej zaczynamy lekceważyć podobne obostrzenia. Pani Ada zwłaszcza – która, gdzie i może, ćwioka teraz władzom w oczy mężem pułkownikiem – nabrała jeszcze bardziej władczych tonów i jak zwykle robi, co chce. Widzi się ją często w towarzystwie chudego majora z piątej kretowiny. Czasem przyłącza się do nich dowcipny sędzia z dziesiątej i smagły, milczący rotmistrz. Snują plany na przyszłość, komentują wiadomości, pocieszają się wzajemnie, a raczej energiczna pani Ada pociesza stetryczałego majora i innych, których tak samo jak nas męczy niepewność i plotki. Opowiadają sobie często, jak to będzie, kiedy się spotkają w sztabie – oczywiście w sztabie – i jak zagrają w brydża.

Ja, ponieważ w brydża nie gram, plączę się raczej na boku i chętnie przyzostaję na drugim krańcu deptaka. Cóż – kiedy i tutaj czyha coś na moją samotność!

Na samym skraju zony garbi się mała kretowina z uczepioną na żerdzi ogromną, czerwoną gwiazdą. Wygląda to z daleka trochę jak betlejemska szopka. Mieszka w niej groźna straż naszego sangrodka, czyli striełok z rodziną. Gdyby nietoperz mógł być blady i gdyby chorował na żołądek, miałby na pewno taką twarz jak ta, którą obnosi między nami ten – ostatni zostawiony nam na pamiątkę – przedstawiciel NKWD. Cherlawy, w za dużym szynelu, z zapadniętą piersią, a naprzód podanym brzuchem, w

czapie nadzianej po same gackowate uszy, obiega z karabinem dookoła tundrę, szukając zbiegów. Zamiast nich jednak przynosi tylko kieszenie pełne jesiennych jagód dla dzieci. Te dzieci właśnie miałam na myśli, mówiąc, że u skraju zony czyha coś na moją samotność.

Dziewczynka ma najwyżej sześć, może siedem lat. Chłopiec jest młodszy. Mizerne to, niewyrośnięte, zabiedzone. Mała chodzi mimo lata okutana w watowy kabat, z głową owiniętą chustką jak baba. W fałdach tej spłowiałej chustki tkwi twarzyna mała, żółta i zła. Ma wiecznie zasmarkane, pełne strupów podnosie i brodę całą w liszajach. Ale nie to jest w niej najprzykrzejsze. Wyraz nienawiści, jakim skrzą się jej małe skośne oczy – jest tak obcy i tak niezwykły u dziecka! I mało tego. Szkut ten nosi się zawsze z batem i gdy tylko zobaczy którąś z nas bliżej swojej kretowiny, leci ku niej z podniesionym patykiem, nachmurzony, groźny. Zatrzymuje się jednak zawsze o parę kroków od nas i z twarzą zmiętą wstrętem i pogardą zaczyna nas lżyć.

– Paszła won… ty bydło zakluczone, ty sobaka, ty szpion… Tak cię zbiję, że się nie ruszysz… Paszła!

– A za co mnie zbijesz?

– *Ty zakluczona!… Tobie nielzia tuda prychadit… Paszła won!… Panimajesz?…*

– Nie. *Nie panimaju.*

– Jak tato wróci, to cię zastrzeli. Powiem jemu, to cię zastrzeli. *Kak sobaku zastrielit tiebia.*

– Ja za zonę nie wychodzę. A tu wolno tak samo mnie, jak tobie…

– *Wriosz! Ty skatina zakluczona – panimajesz? Ty skatina, ty szpion* – powtarza w kółko.

Mimo całej przykrości takiej rozmowy z dzieckiem, wierzę, że może przecie potrafię się z nią dogadać, próbuję pojednawczo.

– Jak ci na imię?

Bat przestaje wprawdzie świstać, ale mała milczy. Nie spodziewała się takiego pytania.

– No powiedz. Jak cię mama woła?

– *Paszła… ty…*

– Ani mi się śni… Nie pójdę. Sonia?

– Czort z toboj… Kakaja Sonia?

– No to Tania… – proponuję.

Chwila ciszy, daremna próba wciągnięcia na powrót mętnego sopla do nosa i bezradne oglądnięcie się dokoła… Widocznie nowy pomysł strzela jej do głowy, bo rzuca bat i w obie garści nabierając piasku, zaczyna nim niezdarnie prószyć w moją stronę.

– Nie umiesz – powiadam rzeczowo, udając, że nie spostrzegam wcale wrogich jej zamiarów. – Wszystko do ciebie wraca. Popatrz… Ja potrafię lepiej…

– *Tobie nielzia do mnie gadać – panimajesz? Ty zakluczona… Jak tato wróci…*

Jednym słowem, nie dogadałyśmy się. Ale widocznie zapamiętała mnie dobrze. Kiedy następnym razem wypatrzyła mnie w pobliżu zony, puściła się w moją stronę, lepiej tym razem uzbrojona. Stary, zardzewiały kikut noża tkwił w jej brudnej łapinie.

– *Udiraj! Słyszysz? Udiraj! Smatri, czto ja imieju! Tiepier ja tiebia ubiju.* Mówiłam ci, że nie chcę, żebyś tu przychodziła…

– Odnieś nóż mamie, bo nie będzie miała czym kartoszek obierać. Nie mam dziś czasu bawić się z tobą… – rzucam przez ramię i udając, że jej od tej chwili w ogóle nie widzę, zaczynam swoją wędrówkę po deptaku. Mała czas jakiś obserwuje mnie spode łba, potem zaprzestaje zaczepek, wreszcie znudzona zaczyna się bawić sama. Zabawa polega na tym, że leżąc na wznak na ziemi i wierzgając z całej siły nogami, obsypuje się piaskiem. Zgarnia go, namiata sobie na głowę, prycha, pluje, zrywa się,

otrząsa – przebiega parę kroków dalej i zaczyna od początku. Bardzo inteligentna zabawa! Jej młodszy braciszek, widząc budujący przykład, rzuca się też na ziemię. Czasem przetaczają się z pleców na brzuch i pływają w piasku, obsypując się nim wzajemnie. Oboje mają już rzęsy i sople pod nosem całkiem żółte od piasku.

To była ich najulubieńsza zabawa. Nie widziałam nigdy innej. O ileż pomysłowiej bawią się czasem młode psiaki! O ileż weselej wróble kąpią się w piasku! Tu, w tym idiotycznym tarzaniu się po ziemi dwojga przedstawicieli najszczęśliwszych pono dzieci świata – nie czuje się ani wesołości, ani zdrowej potrzeby ruchu czy wyładowania się. Nie pamiętam, aby się przy tym śmiało które. Rzecz odbywa się na ponuro z tępą, bezmyślną zajadłością. Jestem pewna, że nawet na najbardziej zapadłej wsi nasze dzieci umiałyby sobie wymyślić jakąś lepszą zabawę aniżeli ta, której z taką pasją oddają się oto te obiecujące latorośle sowieckiego reżymu.

Pewnego sierpniowego popołudnia – najniespodziewaniej – nadciąga z Loch-Workuty dalsza partia chorych, tych, które wtedy odesłano z Czumy. Poczciwy wracz nie ustąpił. Ponieważ na pierwszym sangrodku nie było miejsca, wydębił wysłanie ich przynajmniej na drugi.

Jest więc Marysia, są obie Długie Krystyny, Danusia, pani Stefania, Kazia z Kulikowa, Zosia z wąsikami, rozgrymaszona Trusiowa z Barszczowic, kilka innych, których imion nie pamiętam, parę Ukrainek i cała moc Żydówek. Wszystko przeważnie chore na awitaminozę.

W stacjonarze – jako gorzej chore – lokują tylko Długie Krystyny i obie Gruenwald. Reszta idzie od razu do słab-komandy. Oczywiście lecę tam, choć wiem, że nie wolno. Nina Dmitrowna piekli się zawsze, kiedy która ze stacjonaru zapędzi się do ziemianki obok. Mniejsza z tym. Witają mnie tam jak kogoś, kto by wrócił z tamtego świata. Mówią, że nikt nie wierzył, abym przetrzymała tę chorobę. Ani wracz, ani one. A ja, cudem

Bożym, nie tylko żyję, ale mam się już czym pochwalić. Ważyłam się dziś w magazynie: 42 kg z gramami!

Opowiadaniom nie ma końca. Zatem:

Cała Loch-Workuta została wyprawiona w łąki na sianokosy. Mieszkają w szałasach. Helena jest brygadierem, ale ją Hinda wysadzi pewnie z siodła niedługo. Stara Mielnikowa i duma Józia – wściekły się! Są stachanówkami! Ostatni dech z nich wychodzi – ale normę robią! I są w dodatku dumne z tego! Idiotki! Psują interes wszystkim innym, dla których norma jest nad siły, ale od których wymagającego samego, twierdząc, że jeśli tamte mogą, to te powinny. Nikt się do tych dwóch nie odzywa. Bojkotują je wszystkie. I pewnie! Taki brak koleżeńskości. Ale trudno. Czegóż się można po takiej Mielnikowej spodziewać? Wiadomo…

Zaś praca jest naprawdę nad siły. Te wycieńczone, nienawykłe do fizycznej roboty kobiety muszą skosić dziennie przestrzeń, której by zawodowy kosiarz-chłop z trudem tylko dał radę. Któraż z nich miała kiedy kosę w ręce? Żadna. Chyba Mielnikowa. Warunki poza tym straszne. We dnie muszka tnie bez opamiętania, wieczór komary, a w nocy zimno nie daje im spać. W dodatku deszcz leje teraz prawie bez przerwy w tej tundrze. Szałasy ciekną, worki zamakają, w mokrej odzieży, której nie ma gdzie i kiedy wysuszyć, zmęczone do upadłego, muszą się kłaść spać po dniu pracy. Prócz tego trzeba na całą noc wystawiać spomiędzy siebie wartę przy szałasach. W okolicy grasuje szajka bandytów-zbiegów, która już kilka takich rozrzuconych w tundrze grup obrabowała do koszuli. Mała Władzia jest powarem. Ginie ze strachu, kiedy jej przyjdzie zostać samej na gospodarstwie. W dzień napad też możliwy. Przywożą jej prowiant na cały tydzień i musi dobrze głową kręcić, aby wystarczyło do następnej przesyłki. Głodne są wszystkie ciągle, choć Władzia dokonuje cudów.

Na Loch-Workucie zostało tylko Zakarpacie i krowy. Przedziwne

rzeczy się tam dzieją. Ostatnio zdobywano szturmem mieszkanie kasjera, w którym się zabarykadował z jedną z dziewcząt. Coś się nagle stało naczelnikowi i świętym oburzeniem zdjęty, postanowił złapać ich na gorąco i ukarać dla przykładu. Na naszego poczciwego wracza też przyszła jakaś zła passa. A może dobra właśnie? W tajemniczy sposób zniknął bowiem duży zapas czystego spirytusu, który przyszedł dla ambulatorium, a dziwnym zbiegiem okoliczności siostra Józefa nie mogła się wracza przez dwa dni z rzędu dobudzić, aby go spytać, czy nie wie przypadkiem, co się z tym spirtem stało? Nie wiem, co jej odpowiedział, gdy oprzytomniał, to jedno pewne, że zaraz potem poszedł biedak w samej bieliźnie tylko na tydzień do izolatki.

Oczywiście i na Loch-Workutę dotarła wieść o amnestii. Ukrainki przestały głośno wzdychać do Hitlera. Może im nie wypada teraz, gdy jako polskie obywatelki mają być też zwolnione. Gruba Brussowa topiła się już dwa razy w Workucie. Z rozpaczy. Myśląc bowiem, że lepiej na tym wyjdzie wtedy, gdy z Niemcami Sowiety się jeszcze kochały, łgała zawsze, że jest poddaną niemiecką. I tak ją zapisali w jej papierach, zatem amnestia jej nie obejmie. Jest pono bliska obłędu. Hinda natomiast zwariowała do reszty! Hinda w ogóle nie chce być zwolniona! Jest tak szczęśliwa w łagrze, że choćby ją proszono – nie pójdzie! Charakter czy obłęd?! A niechże ją ta cała Rosja trzyma sobie na zawsze! Polska się na pewno obejdzie!

Na temat amnestii krążą najróżniejsze ploty i domysły wśród tych nowych też. Jedne wierzą, drugie uśmiechają się gorzko i wyniośle. Długa Krystyna ma najczarniejsze przeczucia. Oby ją zawiodły, bardzo zazdrości tym naiwnym, ale sama itd. Przeciwnie druga Krystynka. Ta jest najlepszej myśli i cieszy się na spotkanie z matką i siostrą. W wojsku oczywiście! Słab-komanda – pełna jest gwaru, ruchu, zamieszania, jak zwykle po przybyciu nowego transportu.

Zaczyna się bardzo przykry, nieopisanie męczący okres. Nikt z naszej bezpośredniej władzy nic nam o amnestii nie mówi. Jakby jej w ogóle nie było. Nina Dmitrowna ma dalej tak samo wściekłe oczy i tak samo nieukrywaną ochotę wyprawienia nas jak najprędzej z powrotem na Loch-Workutę. Siostra Katia, kiedy ją pytamy, czy wie coś o naszym zwolnieniu, zaprzecza ruchem głowy, nie podnosząc oczu. Czasem tylko gruba Roza umie – gdy nikt nie słyszy – napomknąć coś z westchnieniem o tym, że nam zazdrości, żeśmy szczęśliwe, że już niedługo – ale wszystko mgliście i w ogólnikach. Czekamy z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień. Nadzieja odbija się w nas między pewnością a zwątpieniem, zależnie od takiej czy innej ploty, przyniesionej przez kogoś z Loch-Workuty, Ussy czy pierwszego sangrodka. Ktoś nam mówi, że z Uhty wyszedł już pierwszy transport mężczyzn. Ktoś drugi twierdzi stanowczo, że to blaga, że dopiero robią spisy. Ktoś trzeci słyszał, że amnestia dotyczy jedynie mężczyzn, ktoś czwarty, że i kobiet także, ale tylko do 25 roku życia. Piąty wreszcie utrzymuje stanowczo, że nikogo nie dotyczy i że wszystko to podstęp i blaga, i nowa forma dręczenia nas nadzieją. Niepodobna opisać, jak jesteśmy zmęczone tym stanem rzeczy. Irytuje człowieka wszystko i człowiek wszystkich irytuje. Przychodzi też nowa fala proroczych snów.

Gdzieś w tym mniej więcej czasie zostaję przeniesiona ze stacjonaru na słab-komandę. Dostaję kojkę na górnym piętrze, pod ścianą, obok Marysi. To cała moja pociecha. Warunki tu o wiele gorsze. Zamiast podłogi parę wygniłych desek, spod których szczury wyłażą bezczelnie w biały dzień i tłuką się nam po kojkach. Po mężczyznach, którzy tu mieszkali przed nami, został zapach wystygłej machorki. Na pierwszy rzut nosa wnętrze słab-komandy czuć kurzym nawozem, szczurzą stęchlizną i wilgocią. Nie mamy tu już sienników. Śpi się przeważnie na deskach i na poskładanym w kilkoro kocu. Jedzenie też o wiele gorsze. Żadnego mleka, żadnych drugich śniadań czy podwieczorków. Ale mniejsza z tym. Mam jeszcze

co sprzedawać na kupowanie sobie mleka, a wolę być bliżej swoich. Z sąsiedztwa Marysi mała wprawdzie korzyść, bo ją zaraz wyznaczono na nocną służbę do kuchni. W kuchni tutejszej robota trwa całą dobę. Jest dwóch powarów, dzienny i nocny. Każdemu z nich wyznacza się ze słab-komandy trzy zdrowsze i mocniejsze do pomocy. Marysia należy do nocnej zmiany. Idzie o zmroku, wraca rano, a w dzień – skulona w kłębek pod kocem – próbuje spać mimo gwaru, kłótni, trzaskania drzwiami, dygotu kojek i tętentu szczurów. Nad samym dopiero wieczorem możemy czasem pogadać.

Powoli zaczynają nas stąd wybierać do pracy. Obie Krystyny i Danusia pomagają Katii. W białych fartuchach, długie i smukłe jak archanioły, krążą od kretowiny do kretowiny i roznoszą lekarstwa, kompresy i termometry. Cesia prowadzi dalej księgi buchalterowi, Nela jest dniewalną u Niny Dmitrowny, Marysia pracuje w kuchni, Wala w bani, a rozgrymaszona Trusiowa w pralni. Tej ostatniej czad żelazka, zdaje się, na mózg uderzył. Maluje się burakiem, na noc zakręca włosy na szmatki i godzinami wygrywa wokół oczu kosmetyczne palcówki. Zaczynają szeptać, że rudy zaw-choz dziwnie żywo interesuje się pralnią. Coś w tym musi być, bo babę nosi i po robocie znika na całe godziny, nikt nie wie gdzie i po co. Pani Adzie oczywiście nikt żadnej roboty nie śmie proponować i szykowna, w swoim ceglastym płaszczu, spaceruje po deptaku z nudzącym ją coraz bardziej majorem. Mnie też jakoś nikt jeszcze do roboty nie ciągnie, bo choć lepiej się czuję i przybieram na wadze, nie robię wcale wrażenia Waligóry.

Bardzo powoli i na bardzo krótko biorą się skądeś noce. Przejrzyste, lekkie, mało do nocy podobne, ale bezsprzecznie – one. Świat umie znowu zbłękitnieć wieczorem, zatoczyć się w mrok i parę godzin poleżeć w tej ciemności. Gwiazdom znów warto wysypać się na niebo. Mokną rozmrugane w bezedni stropu nad tundrą, w błękicie dalekim jeszcze od

szafiru, dość mrocznym jednak, aby im stworzyć twarzowe tło. Ural jest w nocy biało lodowaty, zamglony i jeszcze bardziej martwy niż we dnie. Znalazłam wreszcie kompana moich chorobliwych nad nim zachwytów. Długa Krystynka kocha się w nim tak samo beznadziejnie jak ja i jedna drugą wyciąga czasem z kretowiny, aby się wspólnie cieszyć zmienną, nieporównaną pięknością Nieznajomego.

Ją też właśnie zbudziłam pewnej niezapomnianej nocy, kiedy zobaczyłam pierwszy raz polarną zorzę. Jeśli na opowiedzenie Uralu – czegoś o tyle bardziej konkretnego – nie mogłam nigdy znaleźć słów, jakże mi ich szukać teraz dla tego zwiewnego, nierealnego cudu, jakim jest tamto?

Zaczęło się to od morelowego leja, idącego skosem od horyzontu przez całe niebo. Wąskim końcem oparty o jeden kraniec świata, szerokim wspierał się o drugi. Lej ten, choć trwał w miejscu – płynął, falował, karbował się jakoś od środka, tak właśnie, jak się umie karbować dym nieruchomo w ręce trzymanego papierosa. Leżało to chwilę na niebie jak puszyste, rozwiewne strusie pióro. I znikło. Po prostu przestało być. Zostało tylko puste niebo, skropione zielonymi gwiazdami. Może to po nagłym zniknięciu tamtej świetlistej różowości wydały mi się takie? Przysięgam jednak, że były zielone! Stałam przed kręto winą z zadartą głową, na rozmiękłych z wrażenia kolanach, nie mając jeszcze pojęcia, co to było, wiedząc tylko, że było cudowne!

Kiedy miałam już dawać nurka w naszą jamę – coś niebu stało się znowu. Zaczęło oddychać. Tylko tak mogę to określić. Oddychać kolorami. Po pustym bezmiarze przeszedł oddech mający kształt sfałdowanej jedwabnej zasłony, a raczej dolnego jej brzegu tylko. Miękkie, bezszelestne, różowo-złociste fale przeszły po powietrzu i znikły. Ale trąciły widać inne… Tym razem oddech pustki był długi i zielonawy. Szedł przez całe niebo powolnym, giętkim dreszczem, a za

nim, po tych samych fałdach, drugi, trzeci, czwarty. I wtedy zrozumiałam, że to zorza! Młoda, jesienna, nie tak kolorowa jak te, którymi faluje pono niebo w nieruchomy, polarny mróz, ale niemniej ona – znana mi tylko z opisów, a której sobie nigdy nie mogłam wyobrazić.

Ale bo też to jest coś, czego sobie naprawdę wyobrazić niepodobna! To trzeba zobaczyć. I uwierzyć, że się widzi. I nie stracić głowy. I nie zacząć krzyczeć czy płakać, czy śmiać się – czy sama już nie wiem co! Nie mogąc dłużej być sama z mym zachwytem, na oślep, potykając się na schodkach, wpadłam do kretowiny. Wiedziałam, że tylko Długa Krystynka przebaczy mi, gdy ją zbudzę.

– Krystyna! Na miłość boską! Zorza!

Bez słowa zsunęła się z kojki, zarzuciła futro na koszulę i po chwili stałyśmy już obie przed ziemianką.

Niebo tymczasem rozkołysało się całe, od jednego brzegu po drugi. Szły po nim oddechy faliste, niknące, rzekłbyś, od dotyku spojrzenia. Jakieś zjawy, jakieś błony, biorące się nagle i nie wiadomo skąd, a wlokące na sobie zwiewne, przyśnione kolory: biały jak lód, bananowy, zielony, cytrynowy, błękitnawy. Barwy te są równie nieuchwytne jak to, na czym się zjawiają. Niepodobna bowiem opisać konsystencji polarnej zorzy. To nie jest ani mgła, ani obłok, ani para. Wydaje się, że sam ruch jest jej istotą. Tak. Płynny dreszcz kolorowego ruchu, dyszący faliście w pustce między ziemią a gwiazdami – oto polarna zorza.

Gwiazdy, odleglejsze jakby i bardziej niż zwykle nieruchome, widać wyraźnie poprzez te wędrujące, płynne kotary. Parę razy chuchnęło na niebo czymś, co miało kształt srebrzystych sopli czy fiszbinów. Po tych lodowych frędzlach, od jednego ich końca po drugi, przebiegało drobne, świetliste drżenie, niby dźwięk chromatycznej gamy, idącej po strunach. I nikło. I zaraz, po drugiej stronie nieba, brało się nowe. I znowu nikło.

I tak w zatchniętej ciszy nieba grał bezmiar nocy tę swoją zaczarowaną,

bezszelestną symfonię – wiał i dyszał obrzeżem kotar tajemnych, za którymi już chyba sam Bóg ukrywać się musi przed oczyma śmiertelnych. Nie, nie. Tego to mi już nikt nie wytłumaczy. Polarna zorza jest pograniczem! Tęczową, oddechem Boga żywego dyszącą zasłoną, która dzieli wiadome od Niepojętego.

Takie to rzeczy działy się na niebie, podczas gdy na ziemi – tej obłąkanej, niepoprawnej kulce – wszystko szło zwykłym porządkiem. Noce nocami, zorza zorzą, a NKWD – dalej sobą…

Puszczona w ruch machina działa – mimo wojny – sprawnie i bez wytchnienia. Aż tu, na dalekiej, zamarłej północy, czuje się skutki ciśnienia jej nieubłaganych tłoków. Raz po raz, jakby pod działaniem skurczów olbrzymiego serca, przybywa nam do kretowiny ktoś nowy – niczym nowe czerwone ciałko krwi, które przeszedłszy całą zawiłą gmatwaninę policyjnego systemu, zostało wreszcie wciśnięte we włoskowate jego naczynia: w łagry.

Tym razem są to dwie Rosjanki. Inteligentki. Jedna dobrze już stara, siwa, w okularach, fufajce i wysokich butach, druga młodsza, szczupła, ruda, dziwnie malownicza i interesująca, choć wybitnie antypatyczna. Wygląda jak świetny, znany model jakiegoś świetnego, znanego malarza. Długa, wąska twarz, pełna dziwnych, ciężkich oczu, usta koloru głogu i rude kosmyki włosów wokół bladych policzków. Tak. Stanowczo powierzchowność ta mogłaby zafarbować – puścić, że się tak wyrażę – na jakiś duży, współczesny talent i stworzyć nowy typ, nowy *génie* całej czyjejś twórczości. Coś z Burne-Jonesa, coś z Botticellego, coś z Baksta, coś wreszcie z Malczewskiego. Czyja wiem? Dziwna, martwa maska o wysokim czole i krągłych, gołębiosiwych, dużych paciorach nieruchomo patrzących oczu. Dziwożona ta nosi więzienny kitel o szerokich, silnie marszczonych rękawach, tego samego koloru, co oczy. Cała jej wiotka sylwetka tkwi do tego w czarnych, męskich buciorach. Zupełnie jakby kto

orchideę trzymał w bucie z cholewami.

Z początku obie obchodziły nas z daleka, wyniosłe i wzgardliwe. Nie dowiedziałam się nigdy, za co je posadzono, i nie wiem, czy one wiedziały, za co siedzimy my. Powoli, przekonawszy się widać, że nie z samymi worowkami mają do czynienia, zaczynają z nami rozmawiać. Mają spokojny sposób bycia, interesują się wieloma rzeczami, mają nawet własne książki. Sprawy politycznych zapatrywań omijamy taktownie i z daleka jak kot gorącą kaszę. Zawsze to bezpieczniej. Co mnie zresztą obchodzą ich przekonania polityczne? Wiem, że prawdy nie powiedzą i tak. To nie pomylona Karczak i nie proste baby. Jakkolwiek nigdy żadne słowo przeciw reżymowi ze strony ich nie padło, opowiadaniom ich zawdzięczam szczegóły, które wbiły mi się w pamięć silniej niż niejedno, co przeżyłam sama.

To wprost nie do uwierzenia, w jakich warunkach pracowały dwa ostatnie lata! Obie są ciężko chore na płuca. Ale jakże się dziwić. To lesopował zżarł im tak zdrowie na nic. Niekończące się przestrzenie starego drzewostanu, do którego trzeba się było co dzień przedzierać kilometrami przez chaszcze, bagna, wydmy, a potem obłąkaną ilość godzin suwać piłą lub walić siekierą. W lecie, prócz zmęczenia, nie było jeszcze najgorzej. Ale kiedy przyszła zima, myślały czasem, że trupem padną! Mróz – dech zapierający – żelazista, polarna ciemność, rozświecona tylko tu i tam rzadkimi ogniskami. Las zawalony śniegiem i one – czereda pojmanych kobiet, rozsypana, zgubiona w tym lesie, w śniegu po pas, z rękami lepkimi sączącą się spod paznokci od mrozu krwią. I nic, tylko ta noc bez końca, niemiłosierna, wroga, i te głuche uderzenia siekier, i wystrzały pękającej na mrozie kory. Czasem ze świstem zsuwa się na kogoś ciężki nawis śniegu z gałęzi, dławi na chwilę dech, opada palącymi igłami oczy, twarz, kark, szyję. Czasem z szumem i trzaskiem zwali się gdzieś niedaleko drzewo i chłód biały wionie od rozpylonego śniegu.

Człowiek jest tak nieludzko zmęczony, że nie ma siły brnąć ku któremuś z ognisk, by ogrzać skostniałe ręce. Nie. Niepodobna odtworzyć słowami upiornej grozy takiej polarnej nocy w lesie. Bezdenne, mroźne piekło, szarpane od spodu czerwienią dalekiego ognia, i to własne oślepiające znużenie, i silniejsze od znużenia, tępe, bezmyślne pragnienie śmierci. Palce od mrozu ma się tak zgrabiałe, tak sztywne i bolące, że kiedy przyjdzie oddać ziemi, co ziemskie, o rozpięciu pasa czy guzików – ani marzyć. Watowe briuki godzą się więc na wszystko, tylko sztywnieją potem lodową skorupą. Na skutek tych zamarzniętych kompresów, w których tkwić muszą pół doby, wszystkie chorują na pęcherz. I robi się błędne koło: mają chore pęcherze, bo pracują po pas zamarznięte, i są po pas zamarznięte, bo mają chore pęcherze. I gdybyż choć, wróciwszy do baraku, mogły się ogrzać i oprać! Gdzie tam. W baraku nie ma światła, a jest w nim tak zimno, że śpiąc, przymarzają do ścian. Ciepło oddechów osiada szronem na włosach i przylepia je do desek. Trzeba się nazajutrz siłą odrywać, gdy w zupełnej nocy budzą je znowu do pracy. Śpią ubrane w tym samym, w czym były wczoraj w lesie i w czym do lasu pójdą dziś. Stłoczone ciasno jedna przy drugiej na narach, wdychają cuchnące opary nasiąkłej odchodami, a rozgrzanej teraz własnym ich ciepłem odzieży. Piekielne pieczenie odparzonego ciała nie daje im usnąć z wieczora mimo śmiertelnego znużenia i świadomości, że tych parę krótkich, cuchnących godzin to całe ich pokrzepienie i odpoczynek.

Oparta smukłym grzbietem o żerdź podpierającą daszek kretowiny, z rękami w kieszeniach siwego kitla – dziwna ruda rusałka mówi o tym wszystkim cicho i monotonnie, jakby to nie było ani dziwne, ani straszne. Nie naświetla też niczego tak czy inaczej. Po prostu – głośno pamięta. Na tle pustego krajobrazu pasma włosów pełgają jej wokół wąskiej twarzy jak gięte przeciągiem płomyki. Oczy ma martwe i dalekie, tylko spalone gorączką usta tają w wyrazie bolesno-kpiącą goryczkę, coś, co może jest

uśmiechem, ale uśmiechem, którym by zatruć można wszystką pogodę świata.

Taką twarz właśnie musiała mieć chyba Pandora.

Pewnego dżdżystego ranka gruchnęła po sangrodku wiadomość, że dwóch enkawudzistów zjawiło się u Niny Dmitrowny z jakimiś ważnymi wiadomościami. Żaden kij wetknięty w mrowisko nie spowodowałby takiego poruszenia jak to, które wywołała ta nowina. Około południa wchodzi do naszej ziemianki brygadier z listą i wywołuje kilkanaście z nas – mnie też między innymi – i każe nam stawić się w kancelarii.

Mały, ciemny pokoik jest pełen dymu i zapachu wilgotnych szyneli. Za stołem, tyłem do okna siedzi jeden enkawudzista z czapką zsuniętą na tył głowy, na krześle obok drugi. Ten wyciągnął zabłocone buciory na środek izby, ręce wetknął w kieszenie i ćmi machorkę w gazecie. Przez małe okno widać oddal parującej po deszczu tundry. Na ścianie zapstrzony kalendarz z Leninem i grube pałki dzisiejszej daty.

Takie było tło historycznej chwili, w której mi przedstawiciele porządku i sprawiedliwości w Rosji ogłosili zaoczny wyrok, skazujący „wroga ludu” na pięć lat ciężkich robót w łagrze.

Umotywowanie zamknięto w paru słowach, których nie zrozumiałam czy nawet nie starałam się zrozumieć. Czyż to nie wszystko jedno, co nagryzmolono na tym świstku, który mi kazali podpisać? Papier był lichy i kudłaty. Litery rozpływały się na bibule. Spytałam, czy to wszystko. Drab splunął, kiwnął głową i powiedział: „Następna”.

Wyszłam. Od wilgotnej ziemi szedł zimny, słony zapach schnącego po deszczu piasku, a od rzeki dotkliwy chłód. Mokra, wczesną jesienią zardzewiała tundra ma dziś kolor tasmaniego futra. Uralu nie ma. Przepadł we mgle.

To niespodziane ogłoszenie wyroków osobom objętym rzekomo amnestią dało pochop do nowych plotek, zwątpień i rozpaczy. Nawet

śpiewająca zawsze Ziutka – wesołek i błazen naszej kretowiny – siedzi nadęta i osowiała.

Jedna Trusiowa, jak odaliska rozwalona na kojce, pogryza cukierki od swego zaw-choza i uśmiecha się triumfująco. Ona od razu mówiła, że nic z tej wolności nie będzie. A mówiła nie od siebie, tylko jej zaw-choz powiedział. Śmiał się z nas zawsze do rozpuku – słowo honoru – że aż jej nieraz wstyd za nas było. Niby to inteligentne kobiety… a w takie bajki wierzą! „Poczekaj – mówi – zobaczą tę swoją wolność, jak własne ucho". Toteż ona nieduma sobie tym głowę kręcić. Niech, kto głupi, wicher po polu łapie. Ona wie, że zostanie, i dlatego tak się zawczasu urządzi, żeby jakoś zimę przeżyć. Już jej się znudziło to wieczne gadanie, że się prędko skończy, że znowu będzie Polska, że wrócimy… Figa wrócimy! Trzeba słyszeć, co oni mówią… A oni wiedzą, bo gazety czytają. Amnestia… amnestia… i w kółko amnestia. Mamy naszą amnestię… Wszystko nosy pospuszczało i smarka po kątach.

Nikt z babskiem nie próbuje dyskutować, zwłaszcza że nam argumentów brak jak nigdy. Przy tym każda z nas aż nadto dobrze wie, co się za tym wszystkim kryje… Zaw-choz oczywiście! Oburza nas jej jawna zażyłość z rudzielcem, przyjmowanie od niego prezentów, wysiadywanie z nim w pralni po godzinach pracy, wreszcie częste jego wizyty o zmroku na jej kojce. Baba jednak nie dba o opinię kretowiny. Uderzyło jej do głupiej głowy przypóźne babie lato i chce sobie widać powetować wszystkie barszczowickie rozczarowania.

Coś jednak z tą amnestią naprawdę niedobrze. Jakby dla zdmuchnięcia w nas niklejszej iskierki nadziei, wzywa nas w dwa dni później Nina Dmitrowna wszystkie do ambulatorium. Dotąd badała nas zawsze w stacjonarze, za owym kocem na drucie. Dlaczego więc dziś tam? Speszone i zaniepokojone idziemy ławą o oznaczonej godzinie. Zastajemy tam całą jakby komisję. Jest Nina, jest Roza, Katia, jest Borys, lek-pom i aptekarz,

w ogóle cała generalicja sangrodka. Po bardzo pobieżnym badaniu i zapisaniu czegoś na dużych rubrykowanych arkuszach pytają nas po kolei, do jakiej pracy chciałybyśmy być przeznaczone? Jaka jest nasza specjalność? Co umiemy robić? Bąkamy ni to, ni owo, nie mając pojęcia, do czego to wszystko zmierza i co najbezpieczniej odpowiedzieć. Ale zaczynamy rozumieć jedno: widocznie cała ta amnestia dla kobiet jest istotnie tylko kaczką, bo po cóż by nam ogłaszano wyroki, po co robiliby spisy i pytali o specjalności? Stoimy stłoczone, ogłuszone, z tłukącym sercem, nadrabiając miną. Ciężko dostać taki kubeł zimnej wody na łeb, po którym już się roiła zupełnie – zdawałoby się – usprawiedliwiona nadzieja niedalekich wyzwolin…

Bardzo wyraźnie pamiętam tę chwilę… Małe, ciasne ambulatorium. Krztuszący swąd naftowej lampki bez klosza. Zalepione papierem nadbite jej szkiełko i kopcący jednym bokiem knot… I oczy Niny Dmitrowny, i wyjęte z uszu gumowe rurki słuchawki, zwisające jej po białym fartuchu jak dwa zdechłe padalce. Żółte arkusze zapisane obcymi literami, spuszczone oczy Katii i nagła, zabawnie wyraźnie odczuta ociężałość przepływającego przeze mnie życia.

Powoli wracamy do ziemianki. Nigdy piasek sangrodka nie zdawał mi się tak grząski, a nogi takie do niczego. Nie mówimy do siebie nic, bo cóż tu gadać? Najdziwniejsze jednak, że mimo wszystko gdzieś strasznie głęboko w człowieku tli jeszcze boląca szczypta nadziei. Po co tylko – wbrew tylu oczywistościom – mówić o niej sobie czy komu? Boże! Żebyż nam raz powiedzieli otwarcie i po prostu prawdę! Wiedzą dobrze o krążącej między nami pogłosce. Niechby się raz jeden zdobyli na jakiś ludzki odruch! Ale gdzie tam. Smażą nas na wolnym ogniu, droczą się z nami, jak kot z myszą, dla samej przewrotnej przyjemności pastwienia się nad nami… Skoro istotnie wszystko oparte jest na domysłach tylko, na plotkach czy na fałszywym interpretowaniu wiadomości radiowych – cóż

by im szkodziło powiedzieć nam w końcu takie jasne i uczciwe: nie…

W kretowinie na stole kopci mała lampka. Po ścianach dziwaczne cienie rozwieszonej na sznurach odzieży, a na kojkach – my, milczące i senne ze zgryzoty… Dobrze, że w kącie Trusiowej jest w tej chwili zawchoz i cień. Nie musimy widzieć jej triumfujących oczu. Na jej przecie wyszło…

Otóż właśnie, że nie! Wcale na jej nie wyszło! Widocznie cała ta szarpanina była nam jeszcze do czegoś potrzebna. Może właśnie do tego, abyśmy się raz jeszcze zdobyły na ślepy poryw ufności wbrew wszelkim oczywistościom!

Tego samego wieczoru rozpoczęłyśmy wspólną Nowennę do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, a w dziewięć dni później – dokładnie w dziewięć dni – ogłoszono nam urzędowo amnestię!

Stojąc na zwalonym pniu na łączce za kuchnią, gdzie nam wszystkim kazali się zebrać – widziałam tylko wklęsłe denko błękitnej czapki, taki ścisk był wokół odczytującego nam głośno tekst amnestii enkawudzisty. Przyszły też nasze miejscowe władze i moc Rosjan. Żal mi ich było w tej chwili naprawdę!

Mało słyszałam… Głos wsiąkał w otwartą przestrzeń, odchylał się z wiatrem w przeciwną stronę, ginął w pomrukach rozgorączkowanej ciżby. Sens przemowy był jednak jasny. Oto na mocy układu między generałem Sikorskim a rządem sowieckim wszyscy poddani polscy, tak mężczyźni, jak kobiety, zostaną zwolnieni… (Radosny pomruk). W tych a tych miastach tylko i obłaściach wolno nam przebywać. W Buzułuku formuje się Armia Polska, do której wolno nam wstępować. Kobietom też… (Radosny pomruk). Kto chce, może prosić o przyjęcie do Armii Czerwonej. (Martwa cisza). Nie mogą podać terminu, kiedy się zaczną transporty. Postarają się jednak zorganizować je przed zamarznięciem rzek, abyśmy nie musieli czekać do wiosny. (Wrogi pomruk). Do czasu

transportu mamy jednak zachowywać się tak jak dotąd. Jak dotąd jesteśmy nadal obowiązani do pracy i do przestrzegania wszystkich tutejszych przepisów. Na drogę dostaniemy prowiant i pieniądze. Tyle a tyle dziennie – cyfry nie pamiętam. Ci, którzy nie chcą wstąpić do żadnej armii, muszą do 3 miesięcy znaleźć pracę na terenie ZSRR. Dostaniemy prowizoryczny, miesięczny paszport, który po miesiącu odnowią już władze polskie. To tak jakby wszystko. Coś tam jeszcze było o Stalinie, Sojuzie, o przesławnej Czerwonej Armii – ale kto by tam tego słuchał? Na zakończenie dodał jeszcze, że prosto stąd mamy iść do kancelarii, gdzie do wieczora będą robić spisy, kto dokąd zamierza jechać.

Prócz Żydówek i Ukrainek wszystkie podałyśmy Buzułuk, z tym że chcemy do wojska. Do Armii Czerwonej zgłosiła się tylko jedna. Żydówka.

Wracamy rozgorączkowaną, roześmianą, rozgadaną bandą do naszej kretowiny. Trudno mówić o radości, bo to nie jest właściwe słowo! Rozsadza nas zatchnięta, dygocząca podnieceniem wdzięczność! Ręce mamy zimne jak lód, a głowę w ogniach.

Nagle wybija się przed nas Cesia w swoim błękitnym kubraczku. Wtyka niespodzianie głowę w piasek i zaczyna machać kozły! Jeden – drugi – trzeci – czwarty… Więzienne trepy, w których jedzie od Lwowa, porozlatywały się na boki… Mniejsza o trepy! Mniejsza o piasek we włosach! Mniejsza o wszystko!

Wolne! Wolne! Wolne! Boże miłosierny! Wolne!

Stało się! Ów czekany, przeczuwany, wymodlony cud dopełnił się oto nad nami! Nie śni nam się! To prawda! Prawda! Prawda!

I jeszcze jeden koziołek. I jeszcze jeden…

Zaczyna się znowu okres czekania, lecz jakże inny od poprzedniego! Pierzemy bieliznę, cerujemy pończochy, szyjemy worki. Chcemy być gotowe, bo nie wiemy dnia ni godziny…

Olszewski skończył już widać z trumnami i ma teraz do czynienia z darnią, którą okłada na zimę ziemianki. On to przynosi nam pewnego dnia wiadomość, że duża, pełna mężczyzn barża mijała wczoraj tamten sangrodek. Co żyło, wyległo na brzeg patrzeć. Jechali z odkrytymi głowami, śpiewając *Jeszcze Polska*. Na żerdzi, wysoko w słońcu powiewała biało-czerwona chorągiew.

Polacy na brzegu pozdejmowali czapki i śpiewali też. Nikt się nie wstydził łez. My też, kiedyśmy tego słuchały.

Pomylona Karczak chodzi dumna jak paw. Cieszy się z nami naszą radością. Strzela zwycięskim okiem ku Ninie, ku zaw-chozowi, ku nieszczęsnej, głupiej Trusiowej. Babsko struło się właśnie starą konserwą od swego Parysa, jest nieprzytomne, majaczy, rzuca się, wymiotuje. Poczciwa Katia ratuje ją, jak może, a i nas złość już odeszła, bo triumf nasz kompletny, a chora wygląda jak stwór i nie wiadomo, czy się wykaraska.

Żal nam tylko bardzo tych z naszych towarzyszek niedoli, których amnestia nie dotyczy. Zwłaszcza kilku Rumunek i Węgierek. Są to stworzenia ciche i potulne, tak samo skrzywdzone jak my. Te nie wypominają nam naszego szczęścia, raczej nie mówią o nim, tylko im oczy nabiegają grubymi łzami, ilekroć ktoś przy nich wspomni o naszym bliskim wyjeździe. Stały się także jakieś bardziej ociężałe i bardziej znużone niż przedtem. To musi być naprawdę strasznie rozgoryczające otrzeć się tak blisko o cud, widzieć, jak go doświadczają inne – tuż obok, na kojce – a nie mieć żadnej – żadnej – nadziei dla siebie. Toteż – dziwny, nielogiczny rykoszet uczuć – czujemy się po jakiemuś winne wobec nich.

Nie wiemy jeszcze – i długo nie będziemy jeszcze wiedzieć – że amnestia, ta dziwna amnestia od win nigdy niepopełnionych, uwolni niestety znikomą zaledwie część Polaków, tak że ponad milionowej ich rzeszy w ten czy inny – mniej lub bardziej perfidny – sposób wyjazd zostanie przez tutejsze władze uniemożliwiony i że, nieszczęśni,

rozproszeni po niezmierzonych obszarach Rosji, zostaną tu na niewiadome lata. Na szczęście nie wiemy o tym. Świadomość naszego niezasłużonego szczęścia i ich niezasłużonej krzywdy byłaby nam całą radość wyzwolin zatruła bez ratunku.

Czas płynie bardzo powoli. Wszystko u nas gotowe do drogi. Tyle że nas nie wywołują.

Wreszcie odchodzi z naszego sangrodka pierwsza grupka mężczyzn. Po kilku z każdej kretowiny. Odprowadzamy ich do zony. Chude to, wyniszczone, w łachmanach, niektórzy niezupełnie jeszcze zdrowi. Ale wszystko do wojska! Do Buzułuka!

I znowu czekanie. Łamiemy sobie głowy, by dojść, na jakiej zasadzie ta właśnie grupa została wybrana pierwsza? Czemu właśnie ci? Bo to ni wedle alfabetu, ni wedle wieku, ni wedle wyroków, ni wedle szarż. Chyba na chybił trafił, jak popadło, na los szczęścia – jak to tu przeważnie.

Nie przyznajemy się do tego jedna drugiej, ale niecierpliwość w nas coraz większa. Zbliża się połowa września. Mówią nam, że zima zapowiada się tego roku wczesna i ostra. Częsta polarna zorza jest pono niezawodną zapowiedzią bliskiej zimy. W październiku spada śnieg, w listopadzie rzeka staje. A wtedy koniec! Do wiosny nie ma mowy o żadnym transporcie.

Katia nam mówi, że zimy tu straszne. Śniegi sypią dzień i noc takie, że świata nie widać. W czasie takiej purgi niepodobna kroku zrobić, bo z nóg wali straszny, palący mrozem wiatr. Na krok drogi przed sobą nie rozeznasz. Przeciąga się na całą zimę sznury od kretowiny do kretowiny i tylko tak, trzymając się sznura, można się poruszać po dworze. W czasie żelaznych nocy życie zamiera prawie zupełnie. Wszystko siedzi w jamach ziemianek, najczęściej po ciemku, bo nafty dostaje się znikomą wprost ilość na dobę, i często jedynym oświetleniem jest migotliwy blask rozżarzonego jak diabeł piecyka. I trwa to miesiącami. Niebo bywa w

zimie czarne jak aksamit i w bardzo spokojne, wyiskrzone noce wieje pękami różnobarwnych, falistych wstążek. Bo zimowa zorza jest inna od jesiennej. Kolory jej są intensywne, a kształty bardziej uchwytne.

Choć musi to być istotnie wspaniałe, wolimy już tego nie oglądać.

Wystarcza nam piękno tych jesiennych zjaw, którym przyglądamy się całymi wieczorami gromadą lub samotnie. Siadamy sobie czasem z Cesią na dużej, dnem ku gwiazdom wywróconej łodzi nad rzeką i gapiąc się z zachwytem w to dyszące nad nami niebo, ciasno jednym płaszczem owinięte, mówimy pacierz.

– Niech będzie Bóg uwielbiony…

– Niech będzie Bóg uwielbiony… – odpowiada mi z bliska matowy głos Cesi.

– Niech będzie uwielbione święte Imię Jego…

Dziwne, że niepodobna w takich chwilach o nic Boga prosić, za nic Mu dziękować, za nic Go przepraszać. Zostaje samo zatchnięte uwielbienie, które raz wreszcie niczego nie chce prócz Jego własnej chwały.

Nie chodzę wprawdzie do roboty, ale miewam za to nocne dyżury w naszej kretowinie. Zimno już zaczyna być dokuczliwe, więc ktoś musi czuwać i podtrzymywać ogień w piecyku do rana. Bardzo miło wspominam te moje nocne dyżury.

Po kojkach jest wtedy cicho. Lampka, o delikatnym jak język kocięcia knociku, rzuca żółtawy krąg blasku na wąski stół z dwóch desek, a ty masz ogarek ołówka, cudem zdobyty skrawek papieru i sto tysięcy rzeczy, które chciałoby ci się napisać. Po tylu, tylu miesiącach znowu ołówek, papier i cisza.

Po nogach ciągnie zimno, a od zbitego wysokiego okna zawiewa noc. Czasem tą właśnie zbitą szybą wśliznąć się umie bure kocisko, miauknie pytająco na tle granatowych szybek, a potem daje bezszelestnego nurka pod kojki. Gdy ręce ci zziębną, możesz je ogrzać przy piecyku, do którego

dorzuca się przy tej okazji szuflę miału, pogrzebie chwilę w sypkim żarze i wraca do stołu.

Czasem niespodzianie skrzypną drzwi i w ciemnej głębi, między narami zjawi się blada twarz naszego gackowatego striełka, który z urzędu obchodzi nocą kretowiny. Odkąd zaczęły się transporty naszych, to cherlawe, robaczywe stworzenie stało się w stosunku do nas bardziej przyjacielskie i życzliwe.

Ot i teraz. Podszedł, postawił karabin koło stołu, usiadł naprzeciw mnie, splunął i zaczął kręcić machorkę. Nie wiem nigdy, po co przyłazi i po co siada, bo ani ja jemu, ani on mnie nie mamy nigdy nic do powiedzenia. Może chce w ten sposób zaznaczyć, że teraz wolno mu się już z nami zadawać. Z zakluczonym by nie przestawał, ale dziś…

– Zimna noc… – powiada, zacierając ręce.

– Zimna… – przyznaję.

I znowu nic. Kot musiał pod kojką dopaść czegoś właśnie. Załomotało, zakłębiło się, a potem doszedł nas nikły świst duszonego szczura.

– *A czto eto takoje?* – zaciekawił się bojec.

– Kot…

Uśmiech błogiego zrozumienia zmiął bladą twarz nad stołem. Zupełnie jakby się ser zgliwiały uśmiechał.

– Kot?…

– Kot…

Tak treściwe były przeważnie nasze rozmowy. Ogrzawszy się trochę, striełok kończył papierosa, spluwał, poprawiał czapkę, brał karabin i odchodził.

Kiedy zaczynało dnieć, dokładałam raz jeszcze sporą szuflę do piecyka, zdmuchiwałam lampkę i wdrapywałam się zziębnięta na kojkę.

Nie wiem czemu, bardzo lubiłam te moje nocne dyżury.

W połowie września zostaję pierwszy raz wyznaczona na robotę

do kuchni. Marysi awitaminoza tak dogodziła, że dostała na parę dni zwolnienie. Prócz mnie idzie też Lenka i jedna z tych spokojniejszych, sympatycznych Rumunek.

Kuchnia sangrodka przypomniała mi wszystkie dworskie piekarnie. Izba niska, o drewnianym, na głucho zadymionym pułapie, ogromny piec, długie stoły, kotły nakryte parą obrzękłymi pokrywami, małe okienka i – świerszcze.

Nocnym powarem jest młody Pers, Ashan. Słyszałam już o nim od Marysi. Najweselszy morderca, jakiego ziemia nosi! Nie chodzi – tylko tańczy. Nie mówi – tylko śpiewa. Zgrabny, czarny, o lśniącym zębami uśmiechu, żongluje naleśnikami na patelni, wsuwa blachy w rurę w takt śpiewanej piosenki, w takt kraje makaron i trze zaprażkę w makutrze. Ma się wrażenie, że lotne nogi uciekają mu spod szczupłego tułowia – chore potrzebą tańca, ruchu, rytmu. Czekając na dosmażenie się ryb na blasze, tnie szybkimi stopami jakiś uparty, zacietrzewiony perski taniec w miejscu, strzelając do taktu palcami obu rozlatanych wokół tułowia rąk.

Ciekawa jestem, czy pląsał tak samo owej upalnej perskiej nocy, gdy mszcząc się za odmówienie mu jej ręki, wyrżnął w pień całą rodzinę ukochanej, od dziadka po niemowlę w kołysce? Opowiadał to wszystko Marysi ze szczegółami. Mówił, jak miękko grzęźnie ostrze w brzuchu śpiącego człowieka, i demonstrował nożem kuchennym na powietrzu ów mały, niepozorny skręt przegubu, który wykonać trzeba, aby puginał wycofał się z rany, okręcony jelitami. Wszystko trwało okamgnienie. Aż dziwne! Spali rzędem, jedno przy drugim, więc miał ułatwione zadanie. A sprawił się tak cicho, że nim ostatni w rzędzie się ocknął, tamci byli już gotowi. Najmilszą tylko oszczędził, bo mu była wzajemna.

Po tej masowej rzezi nie mogli się jednak zaraz pobrać. Trzeba się było na jakiś czas stracić, zmylić pogoń, schować. Najbliżej mu było do Rosji. Tu chciał przeczekać, aż sprawa przycichnie, a potem wrócić do

osieroconej, która obiecała czekać. Cóż – kiedy na granicy capnęło go NKWD. Dostał pięć lat, tyle właśnie, ile ja. Niedawno, już tu w łagrze, doszła go wieść, że ukochana, nie doczekawszy się jego powrotu, wyszła za innego. Odtąd nowy cel zaczął przyświecać jego życiu: jeszcze ją musi mieć na rozkładzie. A wszystko to na wesoło, tanecznie, śpiewająco. Po prostu szczygieł, nie morderca!

Dostaję do czyszczenia stosy solonych ryb. Są perłowobiałe, o fioletowym obrzeżu grubej łuski i jasnołososiowym wnętrzu. Bardzo to ładne w kolorze, cóż, kiedy już po półgodzinie sól tak żreć zaczyna pokaleczone ośćmi ręce, że trudno wprost nóż utrzymać. Nóż w dodatku jest tępy i ma złamany trzonek. Nieznośna, dłużąca się w nieskończoność robota.

Noc huczy wokół małego budynku, źle okitowane szybki dźwięczą w oknach i zimno dmie szeroką szparą pod drzwiami, które wychodzą wprost na rzekę. Z drugiej strony żar bucha od czerwonego jak piekło pieca. Nogi mam skostniałe, głowę w ogniach. Kiedy stos na stole zacznie maleć, trzeba iść po nowy zapas ryb.

Beczki stoją na dworze, za kuchnią, nad samym urwiskiem. Noc jest zła i silna od wiatru, który trzyma drzwi i nie chce ich dać otworzyć. Gdy z największym trudem wywalisz je kolanem i wciśniesz się w łopoczącą czarność, wiatr zatrzaskuje je za tobą. Zostajesz sama, w bezbrzeżnej, obcej nocy, na wydmuchu lodowatym, prącym tu Bóg wie z jak daleka. Po ciemku brniesz kamienistą ścieżką ku beczkom, po omacku zsuwasz kamień z pokrywy i na oślep wyłapujesz w lodowatej ropie śliskie, kolące ryby. Dobrą chwilę musisz się za każdą upędzać, bo cofają się na dno ciężkim bezwładem obłych ciał, uciekają na boki, wymigują się zgrabiałym rękom. Wiatr zdaje się zdzierać z ciebie wszystko, co na sobie masz, namiata ci włosy na oczy, tarmosi, szarpie. Musisz się czasem wyprostować znad beczki, żeby te włosy z twarzy precz łokciem

odgarnąć, bo ręce masz mokre i oślizłe. Nad tobą żadnych gwiazd. Bezdeń huczącej ciemności i pustka, wyczuwana całą powierzchnią na wskroś przewianego ciała.

Dziwnie mocno zapamiętałam tę chwilę nad beczkami. Nigdy może nie czułam wyraźniej, że jestem – daleko. Nigdy przyroda nie wydała mi się bardziej bezlitosna dla człowieka, bardziej głucha, obojętna i bardziej odwieczna. Czułam dokładnie bliskość ciemienia globu, od której szła na mnie niesamowita, kosmiczna samotność, coś, czego niepodobna ująć w słowa, ale co zwisa nagle na tobie wagą najpełniejszego odczucia twojej nikłej, wplątanej w istnienie wszechświata osobowości. Nie wiem, czemu właśnie tam to na mnie przyszło? Stan, na którego oddanie daremnie szukam słów. Wymyka się im ślisko i bezwładnie, tak właśnie, jak te wyłapywane wówczas na oślep ryby w beczce.

Między drugą a trzecią w nocy – porą najbardziej grząską od senności i zmęczenia – kuchnia przycicha. Wieczorne roboty już skończone, a ranne nie zaczęły się jeszcze. Ashan stawia przed nami wspólną miskę pełną grysiku i daje nam trzy cynowe łyżki. Siadamy w kącie na pace i jemy. Światło naftowej, do ściany przyczepionej lampki to staje na palcach, to przysiada, zależnie od nasilenia wiatru. Okna dygoczą od szybek, a kąty od świerszczy.

A potem były dwa wory nadgniłych kartofli, z których lepsze musiało się odkładać na bok dla Niny Dmitrowny. A potem były trzy kosze czosnku, który trzeba było przebrać i oczyścić, i dwa cebry cebuli, którą trzeba było obrać i pokrajać. Potem kuchnię napełnia swąd węglowego czadu i słony zapach gorącego, pełnego żużli popiołu. O tej porze bowiem, raz na dobę, wymiata się palenisko. Stary milczący chłop w futrzanej czapie i fufajce dopełnia tego obrzędu i odchodzi. Wtedy musimy mokrymi szmatami zetrzeć wszystkie stoły, półki, ławki, pokrywy na beczkach i pokrywy na kotłach, bo na wszystkim osiadła biała warstwa lotnego popiołu. Wiatr

ucichł. Za małymi okienkami, taką samą lotną warstwą, brzask posypał właśnie świat. Powoli czarna pokrywa nocy rozmaka w nadchodzącym dniu.

O godzinie 8 rano dopiero wracam do stacjonaru.

Nazajutrz w tym samym składzie idziemy znów do kuchni. Jestem zmęczona i śpiąca, bo oka nie mogłam zmrużyć po powrocie na kojkę. Trusiowa jest coraz ciężej chora i cały dzień był u nas ruch, latanie, trzaskanie drzwiami. Zresztą dzienny sen nie zastąpi człowiekowi nocnego. Podziwiam Marysią, która chorą będąc, wytrzymywała ten tryb jednym tchem przez tak długi okres.

Noc jest znów wietrzna, tyle że deszcz wisi nisko nad ziemią, więc powietrze jest gładkie i cieplejsze.

I znów kuchnia, tępy nóż, Ashan, świerszcze. W zalepionym łuską fartuchu siedzę na niskim stołku i skrobię ryby. Pęcherze na rękach bolą mnie dziś gorzej niż wczoraj, próbuję więc trzymać nóż w lewej, ale to na nic. Przekładam go znów do prawej ręki, ufając, że albo pęcherze, albo ja się przyzwyczaję.

Nie wiem, która może być godzina, w każdym razie jest już bliżej północy, gdy nagle wpada do kuchni Edka, młoda, bardzo przez władze wzięta Żydóweczka, zdyszana i rozogniona.

– Rzucaj pani wszystko i idź się zbierać! Wywołali panią do transportu. Joj! Co u nas za ruch! Pani nie masz wyobrażenia. Już! Wszystko pani rzucaj. Ja tylko płaszcz na koszulę wzięłam. Był brygadier i panią wywołał…

– I kogo jeszcze? – rzucam bez tchu.

– Tylko panią i Raciszewską. Chodź pani! Za kwadrans macie być w kancelarii. Z wieszczami. Do transportu… – i poleciała.

Bardzo obcymi rękami rozwiązuję tasiemki fartucha. I nogi mam nagle obce i ledwie wiem, że to prawda. Lenka w przystępie niespodziewanej

czułości rzuca mi się na szyję. Trzyma się mnie oburącz i szlocha. Zapomniała widać, że nas nienawidzi, że nam życie truła, że się odgrażała Polsce i Polkom. Wiem zresztą, że to nie mnie ściska i trzyma w tej chwili, tylko tę oddalającą się od nich na niewiadome lata wolność, którą im od nas powiało. Czepiła się mnie ze wszystkich sił i czuję na ramieniu, przez sweter i ubranie, jej gorący, rwany płaczem oddech.

– Oj, moja pani! Pani idzie na wolność! Jaka pani szczęśliwa! Joj! Ja nie wytrzymam… Pani idzie na wolność… Joj!… Moja pani… moja pani…

Uspokajam ją, jak mogę, poklepuję bezradnie po szlochających plecach, pocieszam, że pewnie niedługo i dla nich przyjdzie amnestia. Wreszcie zdejmuję ją z siebie i sadzam na ławce. Żegnam się jeszcze z Ashanem – ręka mordercy jest w dotknięciu takuteńka jak ręka zwykłego człowieka – i uściskawszy tamtą, cicho rozpłakaną Rumunkę, wypadam z kuchni w noc.

Pędzę pod wiatr, który dmie we mnie jak w żagiel. Na oślep przepycham się przez czarną przestrzeń dzielącą mnie od słab-komandy. Chce mi się płakać, a wiem tylko, że się modlę na cały głos. Czarny wiatr porywa mi słowa sprzed twarzy i dlatego ich wcale nie słyszę. Dlaczego tylko my dwie? Co z tamtymi? Kiedy one? Marysia? Cesia? Krystyny? Dlaczego tylko my?

W kretowinie istotnie ruch i zamieszanie. Wszystko zbudzone siedzi na posłaniach. Niektóre odziały się bądź jak i krążą między kojkami, dzwoniąc zębami z senności i wrażenia. Moje worki gotowe. To Marysia mi je spakowała. Trzęsącymi rękami dokładam jeszcze to i owo. Raciszewska już czeka. Spięła pod brodą białą włóczkową pilotkę, włożyła płaszcz z wysokim futrzanym kołnierzem. Ogromna się zdaje jak nigdy. Co się mogło stać, że my pierwsze? I czemu tylko my? To pytanie tłucze się we mnie razem z sercem poprzez całą radość i podniecenie. Tak,

pewnie… Ktoś musiał być pierwszym, ale czemu nie wszystkie razem? Mam poczucie, że popełniam jakąś nielojalność. Tyle że teraz, kiedy już raz z miejsca ruszyło, wszystko pewnie pójdzie prędzej. Możemy się spotkać w Kożwie, a może nawet jutro, na pierwszym sangrodku. Nie wiadomo nigdy, kiedy taki transport odejdzie. Nie… nie… wcale mi nie będzie zimno. Wiatr dziś ciepły. Tak. Piechotą do tamtego sangrodka. Konwojent ma latarnię. Brygadier mówił, żeby czekać przy kancelarii. Sam poszedł zbudzić wywołanych mężczyzn. Ich pono idzie kilkunastu. To chyba wszystko. Trzeba się zacząć żegnać. No… Marysiu!

W godzinę potem ruszyliśmy sprzed kancelarii. Dwudziestu mężczyzn, my dwie, dwóch konwojentów i jedna latarnia. Noc kompletna. Toteż droga, którą odbyłam wtedy w ciepłe, sierpniowe popołudnie w niespełna godzinę, tej wietrznej, wrześniowej, niezapomnianej nocy trwała chyba ze dwie.

Pierwszy sangrodek śpi. W dwóch czy trzech oknach ledwie dygoce światełko. Dość długo trwa, nim się dobudzono kogo należy i nim – mężczyzn zabrawszy gdzie indziej – zdeponowano nas dwie w ambulatorium pod opieką łagodnie uśmiechniętego Iwana. Tam skulona na ławce posypiam do rana, podczas gdy Raciszewska ceruje do brzasku pończochy na drogę przy świetle małej, tuż do ogromnej twarzy przysuniętej lampki.

Nazajutrz od samego rana szereg formalności. Przegniatamy się z izby do izby, przed jakieś stoliki z papierami, powtarzamy po sto razy te same daty, szczegóły, cyfry. Wreszcie wydają nam ten prowizoryczny, miesięczny paszport ze skierowaniem do Buzułuka i dają kartkę na prowiant.

Z kartką tą chodzi się znowu od magazynu do magazynu, gdzie nam wydają chleb, ser, margarynę, śledzie, konserwy, papierosy i zapałki – wszystkiego na przeciąg dwóch tygodni. Chleb mamy jeszcze gdzieś

dostawać po drodze. Od niepamiętnych czasów nikt z nas nie widział i nie posiadał tyle jedzenia naraz! Aż trudno uwierzyć. Worki okazują się za małe i są tak ciężkie, że je ledwie niosę. Śledzie kapią, margaryna się topi, puszki wyślizgują się spod pachy, zapałki lepią się do sera – a tu ścisk, a tu tłok i zniecierpliwienie, pchających się kilkunastu mężczyzn, zwiezionych tu z okolicznych łagrów.

– Szanowanie pięknej pani… – słyszę za sobą uśmiechnięty głos Olszewskiego. – Ot i pojedziemy razem. Pani do Buzułuka?

– Oczywiście, że do Buzułuka!

– My wszyscy do Buzułuka – odzywa się któryś. – A pani skąd?

– Ze Lwowa.

– Ja też ze Lwowa. A z której pani ulicy?

Nastrój od razu robi się przyjacielski. Ustępują mi miejsca w kolejce, chcą nieść worki, uśmiechają się życzliwie zarośniętymi twarzami…

Wreszcie około trzeciej po południu przeprawa łodzią na drugi brzeg (rzodkiewki już nie było!) i marsz parę kilometrów wzdłuż toru do przystani.

Cała zbocz ku wodzie zawalona żelaziwem, rurami, szynami, częściami maszyn, stosami belek, pakami. Gdzieniegdzie wysokie hałdy węglowego miału. Czasem przechodzić trzeba popod rozpięte i skosem ku wodzie spływające liny, po których jeżdżą naładowane wózki. A wszystko roi się od obszarpanych, brudnych, w szmaty obutych, wynędzniałych skazańców – tego bezimiennego, siwego owadu łagrów, który oblazł węglowe nasypy i rury, wózki i stosy belek, który naciąga jakieś liny, taszczy kłody, pcha kamienie i dźwiga paki…

Oto synowie ustroju, który się tak oburza wyzyskiem siły roboczej w innych krajach! Oto szczypta tej kilkudziesięciomilionowej rzeszy, którą pod byle pretekstem pozbawiono – nawet tej iluzorycznej w tym kraju – wolności i z której pompuje się teraz, za śledzia i wodę, nie pracę

już, ale życie samo! Przezwali ich tylko. Siłą nalepili na nich etykietę, która rzekomo rozgrzesza i usprawiedliwia cały ten nikczemny, perfidny wyzysk. „Wrogowie porządku". „Wrogowie reżymu". „Wrogowie ludu". „Szpiony i kontrrewolucjonery" – zapewne są tu i tacy. Zapewne jest tu tysiące takich, których należało zamknąć i unieszkodliwić, i ukarać. Ale większość – to świadomie i celowo stworzona, spod wszelkich praw wyjęta, wszelkiej kontroli cywilizowanego świata niedostępna, nowa warstwa społeczna: nieopłacanych, głodzonych przymusowych robotników. Komunizm ma jednak szatańsko genialne pomysły w praktyce.

Idąc wzdłuż toru, plączemy się w szynach, wymijamy liny, grzęźniemy w żużlach. Nie gnają nas już teraz i przestali kląć. Nie ma przy nas bagnetów i błękitnych czapek. Nasz rozsypany swobodnie wzdłuż toru pochód musi zwracać uwagę. Wieść zresztą o zwolnieniu Polaków na pewno dotarła już dawno do tych nieszczęśników. Prostują teraz grzbiety, przystają i, opuściwszy ręce ciężko wzdłuż boków, patrzą. Trudno określić wyraz ich twarzy. Najbliższy jest jednak zdumieniu. Tępemu, dziecinnemu zdumieniu… Są wśród nich widać niezwolnieni jeszcze Polacy. Raz po raz ktoś krzyczy ku nam „Szczęśliwej drogi" albo „My jutro…", albo „Do widzenia w Buzułuku!".

Wreszcie jesteśmy w przystani.

Na wodzie pełnej trzasek i śmiecia leży znajomy kształt korabia. Brzegi aż szare od naszych. Zwieziono ich tu widać z całego Workut-stroju, takie ich mnóstwo. Trudno sobie zdać sprawę, czy są wśród nich i młodzi, w każdym razie tu młodo się nie wygląda. Niepodobna też rozeznać, czy są wśród nich inteligenci. Fufajki, watowe briuki, czapki z wiszącymi uchami i szmaty na nogach zmieniły ich wszystkich w jedną miazgę, podobną do tej, którą zalane są wszystkie łagry. Na szczęście tylko nie słychać już rosyjskiego języka! Akcenty ze wszystkich dzielnic

Polski, od góralskiego po wileński. Jest też wielu Ukraińców i Żydów. Razem około 350 mężczyzn i my dwie.

Wnętrze barży nie ma tym razem nar. Pusta, wilgotna głąb, wysokie belkowanie i mdły zapach rozesłanego miejscami na podłodze, przegniłego siana. Światła tyle, ile się wciśnie przez niskie, szerokie drzwi nad pochyłą deską, po której schodzi się w dół, na dno barży. Dno to jest niżej od poziomu wody, której chlupot słyszy się wyraźnie przez deski.

Szara, dudniąca masa w jednym okamgnieniu zalewa szczelnie całą podłogę. Szczęśliwy, kto dopadł garstki siana. Inni moszczą się na gołych deskach. Stoimy z Raciszewską w tym rozsyczanym mrowiu mężczyzn, upatrując jakiegoś możliwego kąta. Wreszcie wzrok nasz zatrzymuje się na wysokim gzymsie w najciemniejszym końcu barży. Prowadzi do niego wąska drabina schodków, łączących tylny dziób korabia z jego wnętrzem. Zagnieżdżamy się więc na tym wąskim gzymsie, rade, że udało się nam znaleźć taki osobny, własny kąt z dala od reszty. Zdajemy sobie bowiem sprawę, że czeka nas długa droga, a ciągłe bezpośrednie pobliże mogłoby być krępujące dla obu stron. W dodatku nie mamy jeszcze pojęcia, co to za element. Miejsca na naszej półce jest tyle, że możemy się obie wygodnie położyć, zostawiając jeszcze wolne przejście do drzwiczek obok nas. Drzwiczki te są w ciągłym ruchu, bo na tym tylnym dziobie mieści się klitka, w której mieszka skiper z rodziną.

Dzisiejsza barża jest trochę inna od poprzednich. Nie ma żadnego pomostu, którym by ją można obejść dookoła. Na oba dzioby wydostać się można z mrocznego jej wnętrza tylko po tych stromych schodkach, zakończonych nieszczelnymi, wiodącymi na pokładzik dzioba drzwiczkami. Pod jednymi z nich właśnie mieści się nasz jaskółczy gzyms. Na drugim dziobie stoi okrągły piecyk do gotowania kipiatku i zwisa przez burtę płytka klitka jedynej na całą barżę uborny.

Taki rozkład miał ów jacht luksusowy, który odbił z nami od brzegu

późnym zmrokiem dnia 18 września 1941 roku.

W zupełnie mrocznym jego wnętrzu stoimy wszyscy na baczność, a wilgotne ściany drżą od *Roty*, śpiewanej ściśniętym ze wzmszenia gardłem.

Choć jest zimno, mokro i ciemno, człowiek jest tak bezgranicznie szczęśliwy! Jedzie do Buzułuka, do naszego wojska, jest nareszcie wolny – i nie wie jeszcze, co znaczy wolność w tym sowieckim „raju”!

CZĘŚĆ DRUGA
NA TAK ZWANEJ WOLNOŚCI

Rozdział I
Z PÓŁNOCY NA POŁUDNIE

Płyniemy więc. My i dnie.

Leżę całymi godzinami na naszym gzymsie, owinięta we wszystkie posiadane ciepłości. Zimno jest nieznośne.

Widzę stąd całą barżę, niczym rozległe wnętrze pustego wieloryba. Sześć długich, ginących w mroku szeregów zalega jej dno. Gniotą się po pięćdziesięciu kilku w jednym rzędzie. Nigdzie żadnego przejścia, bo wszystkie zaległo szczelnie to przedziwne, ruchliwe śmietnisko nóg. Tylko na śmietnisku widywało się takie rzeczy. Resztki rozdziawionych, ledwie nogi trzymających się trzewików, odłamane od buta cholewy ponad stopą okręconą wojłokiem, wydeptane na wylot walonki, albo łagierne czołgi zrobione ze starych opon, wreszcie sznurkami owite – od Bóg wie jak dawna na nogę nakręcane – szmaty. Żałosny, niezapomniany widok!

Ach! Gdybyż tak można zebrać w jedno pasmo całą poniewierkę, zmęczenie i trud tych – i wszystkich innych – polskich stóp, przegnanych siłą po znienawidzonych obszarach Rosji, gdybyż tak można zliczyć, dodać i związać w jedno wszystkie kilometry, które w śniegu, w błocie, po lodzie i tundrze przewędrowały te biedne, tułacze nogi – myślę, że pasmo to byłoby dostatecznie długie, by z głębokości krzywdy i cierpienia ludzkiego sięgnąć po sam tron Bożej sprawiedliwości. Ona też jedna zrobi kiedyś na pewno to zawiłe obliczenie!

Barżę wypełnia monotonny syk półgłosem prowadzonych rozmów. O ileż mężczyźni są cichsi! 350 kobiet o mały włos nie rozsadziło przecież wrzaskiem naszego drewnianego wieloryba w czasie transportu na północ. Ci syczą tylko… Może to skutek ostrzejszego rygoru w ich

barakach? Niektórzy śpią, pozawijani z głowami. Tu i tam szarzeje jakaś brodząca ostrożnie przez to bagno nóg postać, zmierzająca ku schodom w drugim końcu barży. Element tu na ogół bardzo rozmaity. Sowieci nie przebierali przecież. Wywozili wszystko, co im pod miotłę wpadło. Dużo tej zwolnionej teraz szumowiny płynie razem z nami.

Ale na szczęście są i inni. Jakoś tak się samo z siebie zrobiło, że ci najlepsi znęcili się zaraz na nasz gzyms i zachodzą tu często na pogawędki. Wszyscy ci poczuwają się na wyskoki do obowiązku opiekowania się nami. Jesteśmy pierwszymi polskimi kobietami, z jakimi po dwóch latach „mają zaszczyt rozmawiać". Podkreślają to na każdym kroku.

Pierwszy zgłosił swą poczciwą pomoc pan Szczepan. Już od chwili naszego wejścia na barżę zresztą starał się nam pomagać. Jest to krępy, pogodny pan z bródką, w krótkiej tiełogrejce, uszatej czapie i walonkach. Zaradny jest i pomysłowy. Od razu przystąpił do moszczenia nam legowiska. Jakimiś papierami pozalepiał szpary na pokład, wypatrzył w kącie strzępy zakurzonego wojłoku i zamiast go sobie podścielić, przywlókł je do nas, na górkę. Dorobił też z kawałka dykty pokrywkę do mego garnuszka, a Raciszewskiej pożyczył jedyny posiadany koc… Za prawdziwą łaskę Opatrzności uważałam zawsze spotkanie tego człowieka. W czasie długich tygodni, które potem przyszły, był mi najtroskliwszym opiekunem, ostoją i oparciem. Takiej delikatności, takiego taktu, takiej najlepiej pojętej, wrodzonej rycerskości nie zapomina się łatwo!

Pan Szczepan ma jeszcze gołębie serce, dużo sprytnej zaradności, a potrzeba pomagania innym jest w nim tak prosta i naturalna, jak oddychanie. Wszystko zaś z pogodą, jaką daje kryształowa czystość sumienia, dobry sen i apetyt! Pogoda ta jest u niego tym dziwniejsza i tym bardziej budująca, że przeszedł ostatnio strasznie ciężkie koleje w Rosji i że żre go nieustanny niepokój o najbliższych, których nie udało mu się odszukać. Sparaliżowaną od lat żonę, synka i teściową wchłonął bez śladu

ten nienasycony kolos i najlepsze serce pana Szczepana toczy od dwóch lat niepokój, czy wiekowa już teściowa-położna zdoła utrzymać swą pracą siebie, chorą córkę i wnuczka. Jego aresztowano najpierw, a tamtych, jako rodzinę żandarma, wywieźli osobno i później. Aby odegnać posępne myśli – tak obce jego pogodnemu usposobieniu – pan Szczepan jest stale czymś zajęty. Jeśli nie dłubie nad puszką od konserw, która wyjdzie z jego zręcznych rąk wcale przystojnym garnuszkiem – to naprawia komuś buty. Jeśli nie naprawia butów, to odmawia różaniec. Jeśli zaś różańca nie odmawia, to haftuje dla żony serwetkę, na której, prócz najczulszej dedykacji, wyszył – igłą jak kół – wszystkie daty transportów i nazwy miejscowości, przez które go przewlekli. Aż dziw pomyśleć, ile to ludzkiej męki zmieści się w takim prostokącie szarego płótna!

– Będzie miała miłą pamiątkę i dowód, żem o niej myślał – mówi z dumą, pokazując mi ten zwięzły, nitkami z więziennych koców pisany pamiętnik.

Drugi, który mnie często odwiedza, to lotnik, a w wolnych chwilach muzykant. Młode to jeszcze, o twarzy dziecinnie okrągłej, mimo zniszczenia i bladości, i o burych, uczciwych oczach. Opowiada mi całe swe dzieciństwo – ciężkie i trudne, o bogatej ciotce, właścicielce piekarni, która jego i jego siostrę wychowywała od śmierci rodziców, o ukochanej żonie i córeczce, które zostały w Warszawie, o swoich lotach, aparatach i orkiestrze, w której grywał w wolne od latania wieczory. Czasem w zapale, chcąc sobie czy mnie przypomnieć jakąś melodię, zaczyna ją grać na nieistniejących instrumentach. Jest wtedy na naszym gzymsie wszystko: i bębny, i czynele, i puzony, i skrzypce. Mały, dmąc, gwiżdżąc i przytupując do taktu, imituje po kolei wszystkie i wtedy czuje się, że dźwięk i rytm są mu tak potrzebne do życia, jak rybie woda. Obecnie ma tylko dwa marzenia: mieć jakąś wieść od żony i prać Niemca. Muzyka będzie po wojnie!

Trzeci z kolei to pan Stefan. Udało mu się cudem jakimś przechować fotografie i dzięki temu znam od razu całą jego rodzinę z narzeczoną włącznie – śliczną, uśmiechniętą dziewczyną, która na pewno na niego czeka. Opowiada mi ciekawe rzeczy z zakresu naszego więziennictwa, w którego administracji pracował. Kiedyśmy się lepiej poznali, przyniósł mi i pożyczył na pół dnia wyniszczoną książeczkę do nabożeństwa, którą mu dała matka. Inna rzecz, że taki tu mrok na gzymsie, że ledwie co mogłam wyczytać.

Po starej znajomości zagląda do mnie Olszewski, zachodzi – tu dopiero poznany – student Henryk, chudy Wicek, porucznik Ferdynand i cała paczka innych. Znam ich raczej z sylwetki i głosu niż z rysów. Dni są już bardzo krótkie i jak powiadam, oświetlenie naszych salonów dość marne. Siadają na wyciągniętym z kąta, dnem do góry obróconym cebrze, na przejściu do drzwi, i gadają. Rzadko kiedy przychodzą gromadą. Wolą osobno i po kolei. Każdy ze swoim jak na spowiedzi. Teraz zwłaszcza, odkąd Raciszewska przesiaduje całymi dniami w ciepłej kajutce skipera, czuję się chwilami starym proboszczem. Widocznie gnębi ich wszystkich potrzeba zwierzeń, wygadania się przed kimś zupełnie obcym, opowiedzenia komuś swoich tęsknot, przejść, trosk, poskarżenia się, połapania w słowa tego, czego nie warto mówić towarzyszom, bo przeżywali wszystko wspólnie, a co każdego osobno bolało, gnębiło, żarło i za co każdy z nich osobno strzępem własnego życia zapłacił.

Boże! Czego się człowiek nie nasłuchał! Kiedy sobie dziś opowiadania te przypomnę, mam wrażenie, że pędzono mnie z nimi razem zamarzniętą rzeką z Kożwy na Workutę, w wicher, w mróz, obłąkaną ilość mil i dni. Byłam z nimi w kopalniach, w walących się co krok chodnikach, w wodzie po kolana. Byłam przy ładowaniu belek na barże, w mrozie, na którym ręce przymarzały do drzewa, przy kopaniu kanałów, przy budowie linii kolejowych przez tajgę, w izolatkach, na karnych punktach,

skąd cudem tylko wychodzili żywi. Byłam przy strasznych śledztwach – z wykręcaniem stawów, wbijaniem stalówek pod paznokcie, w karcerze o ścianach pokrytych grubą warstwą lodu, bez śladu pryczy – w których trzymano ich tygodniami. W takich dopiero chwilach uświadamia sobie człowiek w całej pełni, w jak cudownie wygodnych, bezpiecznych i dostatnich warunkach sam przeszedł ten czyściec! Jak go na rękach przeniesiono, jak o „żaden ostry kamień nie ugodził nogą". Takiej poniewierki, takiego niedostatku, głodu, opuszczenia w chorobie i takiej nędzy, jakiej zaznali mężczyźni, nie zaznała mimo wszystko żadna z nas. A przecie duch wśród nich panował doskonały i niesłychana solidarność i braterstwo. Wyjątkiem wprost był ktoś, kto by, sam mając, nie podzielił się z drugim. Mówią mi też o różnych nawróconych polskich komunistach, z którymi siedzieli. Twierdzili pono sami, że zamiast ich zamykać, należało ich na parę miesięcy posłać do terminu tu. Byliby wybieleni jak od chlorku. Tych komunistów zresztą prześladowano w Rosji zupełnie specjalnie. Nie wiem, co im mieli do zarzucenia, ale nie ufano im wcale.

Niczym nieumotywowana, uparta wiara, że nas coś zwolni przed odsiedzeniem wyroku, pozwala także mężczyznom przyjmować spokojnie skazania na dziesięć, piętnaście i dwadzieścia pięć lat. Znosili wszystko z zaciśniętymi zębami, wierząc, że to niedługo. Oczywiście, że i w ich kolejach były różnice. Jedni radzili sobie, jak mój Olszewski, kombinowali, markirowali, a nawet kradli władzom żywność bez zająknienia, gdzie się nadarzyła sposobność, inni wyprzedawali się do nitki, o ile ich przedtem, też do nitki, nie okradli sowieccy towarzysze niedoli na jakimś karnym punkcie, gdzie siedziało zwykle to najgorsze, z krwią zmieszane bandyckie błoto, a dokąd za najdrobniejsze przewinienie przenoszono naszych. Kto dostał się raz do takiego karnego punktu, wychodził stamtąd obrany jak kość w mrowisku do czysta – o ile w ogóle żyw wyszedł.

Opowiadaniom tym nie ma końca. Mówią o wszystkim po prostu, bez wielkich słów, bardzo żywo i obrazowo nieraz tak prawie, jak ruda Pandora z sangrodka. Po tym tylko, jak dużo przy tym palą i jak długo płomyk zapałki szukać się musi z końcem każdego nowo zapalonego papierosa, poznaję, jak ręce im drżą i jak każdy z nich wykończony jest nerwowo.

Zawinięta po pachy w koc i fufajkę – którą, mając dwie, pożyczył mi porucznik Ferdynand – w płaszczu i turbanie z ręcznika na głowie, słucham i słucham, z palcami ciasno wetkniętymi w rękawy. Zimno dmie tu od drzwi na pokład, drzwi, które mam tuż pod łokciem, a choć wojłoki pana Szczepana uszczelniły jako tako szpary w podłodze, ta pochmurna druga połowa września na północy w wilgotnej, pełnej przeciągów barży porządnie daje się we znaki. Długo się też namyślam, nim zdecyduję się wyszarpnąć palce z rękawów, by też zapalić papierosa.

Chleb, który z workiem wisi na gwoździu nade mną, jest tak przewiany i zimny, że nie ma wcale smaku. Ser jest lodowaty. Ledwie go można ukroić. Mam już wprawdzie na własność doskonały nożyk – czyli kawałek wyostrzonego żelaza wetkniętego między dwie drutem związane deseczki – który dostałam od porucznika Ferdynanda. Ofiarował mi go, bo, jak mówi – przypomniałam mu jakąś jego dawną flamę. Nigdy nie można wiedzieć, jak dalekie i okrężne skutki mieć będzie czyjeś uczucie i czyjeś podobieństwo! Nóż jest bezcenną rzeczą w naszych warunkach, toteż i teraz, i często później błogosławiłam uczynność porucznika i moje przypadkowe podobieństwo.

I tak płyniemy. My i dnie…

Co dzień rano i co dzień wieczorem pan Szczepan staje pod małą lampką uczepioną belki na środku barży i intonuje *Kiedy ranne* albo *Wszystkie nasze*, a potem *Rotę* lub *Jeszcze Polska*. Jak na tak wielkie skupisko ludzi kompletnie bezczynnych, dość u nas na ogół spokojnie.

Tu i tam kilka w ciasną grupkę zbitych fufajek gra w karty. Głupstwo jeszcze, gdy o pieniądze. Ale już po kilku dniach musimy się wszyscy składać na takiego, który przegrał cały swój prowiant. Mam wrażenie, że grasuje tu zorganizowana szajka kombinatorów spod ciemnej gwiazdy. Hersztem ich jest ten krępy, podejrzanie zasobnie odziany młodzian w krótkim futerku, wysokich butach i szarym kaszkiecie. Gębę ma chytrą i uciekające oko. Drugie kryje mu czarna opaska. Mówi łamaną polszczyzną i łże za każdym razem, że z innego miasta pochodzi. Nie obeszło się bez tego, aby o nim nie szeptano, że jest konfidentem sowieckich władz i że go umyślnie między nas puszczono na przeszpiegi. Jak było naprawdę, nie wiem, to jednak pewne, że miał w zachowaniu arogancką bezczelność kogoś, kto czuje się zupełnie bezkarny. On to wałęsa się zawsze od jednej grupki grających do drugiej, przystaje to za tym, to za owym, zagląda mu przez ramię w brudny wachlarz kart, przy czym z reguły ten zawsze przegrywa, zza czyich pleców dłużej tak pokibicuje. Raz – pamiętam – ograli w ten sposób jakiegoś durnego chudziaka nie tylko z pieniędzy i prowiantu, ale z fufajki i butów. Płakał potem, trzęsąc się z zimna, groził samobójstwem, skargą do władz, ale skończyło się na gorączce i kaszlu, który go szarpał całymi nocami.

Ten kaszel to zwykły zresztą akompaniament naszych nocy. Gdy tylko barża ułoży się do snu, gdy ucichną rozmowy i płaska warstwa okręconych szmatami ciał zalegnie podłogę – zaczyna się koncert. Z każdego kąta, z każdego szeregu, z tego i tamtego końca barży niesie to szarpiące, rozdzierające płuca kaszlanie. Aż strach pomyśleć, ilu z tych ludzi wiezie w sobie gruźlicę. Ilu z nich jest już zdrowotnie zrujnowanych na zawsze! Ilu nie będzie miało siły do życia i ilu w ogóle nie dojedzie nigdy do kraju! Czasem, kiedy mnie kaszel ten zbudzi w nocy i na chwilę wydźwignę się na powierzchnię jawy, nachodzi mnie – jak to się czasem zdarza w półśnie – chwila syntetycznego odczuwania rzeczywistości.

Uświadamiam sobie nagle z przeraźliwą dokładnością bezmiar nocy i bezmiar Rosji, czarną pustkę rzeki i czarną pustkę tajgi, i tę naszą drążoną łupinę, wiozącą ku nieznanej przyszłości szczyptę pozornie uratowanych rozbitków najstraszniejszej katastrofy, jaką zna świat i jego historia. Mała lampka kopci sennie nad tą upiorną, masową trupiarnią, w której żywe ofiary wojny i ludzkiego barbarzyństwa krztuszą się oto pod zawszonymi kocami.

Raz dziennie dostajemy tu kubek gorącej wody. W owym olbrzymim samowarze na przednim pomoście zagotowuje się wodę z rzeki i obdziela nią całą barżę. To cudowna chwila! Albo student Henryk, albo chudy Wicek przynoszą mi ją w menażce, abym nie potrzebowała stać na zimnie w ogonku. Trzymając ostrożnie do pełna nalany garnuszek, można sobie najpierw ogrzać zgrabiałe ręce, a potem – popijając wodę małymi łyczkami – całą na kość zziębniętą istotę. Cudownie ciepło robi się po takim ukropie. Na dwukrotne gotowanie kipiatku nie możemy sobie niestety pozwolić. Straszny kłopot z drzewem. Ku rozpaczy skipera poszły już do samowara wszystkie, drobniutko połupane deski uborny.

Potem, kiedy samowar pochłonął już wszystko, co bez wyraźnego niebezpieczeństwa odłupać się dało z barży, rozwinął się z musu sport wyłapywania płynących rzeką trzasek, belek czy desek. Najobfitsze żniwo trafiało się zwykle przy brzegu, gdy barża podpływała czasem do jakichś nieznanych nam przeważnie nazw na mapie, by załatwić nieznane nam przeważnie formalności. Potem to harpunem wyłowione i na pokładzik wciągnięte drzewo piłowało się i rąbało na drobne polanka. Dla rozgrzewki i z poczucia solidarności piłowałam je nieraz razem. Zwykle dyrygował tym Olszewski, któremu ta drzewna robota szła zawsze tak składnie, tak łatwo i wesoło, że samo patrzenie sprawiało przyjemność. Zupełnie tak, jakby w pniaku takim były już dawno gotowe polana, które on teraz, świstem siekiery i lekkim skrętem ostrza zapadłego w drzewo

odsuwa tylko jedno od drugiego i odkłada na bok. Chłopisko zresztą lubi się tym popisywać i rad jest, że mu w tej robocie nikt nie może sprostać.

Poza tym rąbaniem rzadko kiedy wyłażę na pokład. Krajobraz jest nieciekawy. Zresztą wleczono mnie już raz dwa tygodnie między tymi samymi brzegami. Tajga obecnie jest może trochę inna, wyraźniej złota od jesieni, ale wstające od rzeki mgły zawlekają ją wilgotnym tumanem, robiąc z niej – mlekiem jakby zabielony – mętny, daleki kompot. Woda szarą, ciężka i żelazista zrzuciła już srebrzystą letnią łuskę i chodzi wokół nas grubą, rozkołysaną zimnym wiatrem falą. Kiedy – nocą przeważnie – podpływamy do tych jakichś ważniejszych nadbrzeżnych punktów, czarna toń umie roztańczyć się szeregiem w wodę opacznie powpadanych światełek. Potem słychać, jak wzdłuż boku barży przechlupuje się wiosłami mała, niewidziana w nocy łódeczka, wiozące naszego skipera po nowy przydział chleba dla transportu. Czasem udaje się kilku naszym wprosić się do niej też. Na brzegu można pono dostać papierosy i lekkie, kwaśne wino. Toteż tę po kilku godzinach wracającą łódź słychać już dobrze z daleka. Czarny, obcy wiatr niesie ku nam strzępy śpiewanych w noc na całe gardło swojskich wojskowych piosenek. Nie mieli w łagrach ani wina, ani pieśni. Chcąc widać nadrobić to, co stracili, wydzierają się teraz jeden przez drugiego, na oślep, w rozdrażnionej alkoholem tęsknocie. Biedacy!

Żona skipera, drobna, czarna kobiecina, staje wtedy z latarnią na dziobie barży i patrzy z wytężeniem ponad światło w noc. Może boi się, by przeładowana łódź nie wsiąkła w czarną wodę? Tak dobrze pamiętam jej od spodu podświeconą twarz, pełną ostrych cieni i głębokich bruzd, zasłuchaną, niespokojną. I jej kusą, wiatrem targaną perkalową spódnicę, i w dziób nad samą głębią wparte duże gumowe buty.

Dziwne jest życie takich skiperów. Pierwszy raz z bliska mogę mu się przyglądać. Niekończąca się tułaczka po rzekach, wzdłuż których suną

zawsze równie bliskie, jak dalekie brzegi. Zimą, latem, jesienią i wiosną wlecze ich ta barża z prądem lub pod prąd, jak tam wypadnie. Na lądzie nie zapuszczają wcale korzeni. Są jak wodorosty, żyjące z wody i na wodzie. Całym ich światem jest od lat ta mała, ciepła klitka przy tylnym dziobie i to mroczne, drążone, raz żywym, raz martwym ładunkiem napchane wnętrze barży, wodzonej za nos przez mały parowy stateczek. Żywność pobierają na książeczkę w mijanych kolejno punktach, tak samo jak opał i kirasin do lampy. Ich własność stanowią tylko ciężkie od pakuł kołdrzyska na łóżku, obita miednica, kilka garnuszków na kuchence, parę cynowych łyżek i trzy filiżanki. Reszta – to dobro państwowe, z wiadrem włącznie. Bo tych dwoje małych, pętających im się pod nogami dzieci – tylko pozornie należy do nich. Są własnością państwa na równi z wiadrem.

Kajutka ich – kajutka patrząca tęsknie małym okienkiem zawsze ku odbytej już drodze – jest mała, tak mała, że aż zabawnie! Całą prawie zalega okrągły piec, któremu w jeden bok wgniata się łóżko, a w drugi – kuchenka. Na tym wybrzuszonym kołdrami łóżku, w którym śpi w nocy cała z czterech dusz złożona rodzina, urzęduje w czasie dnia bose, zaślinione, w kusą koszulinę odziane dziecko. Mała ma wzrost dużej lalki, brzydką twarzynę, drobne nóżki i zawsze dobry humor. Trudno zdać sobie sprawę z jej wieku. Nie mówi jeszcze nic, tylko zapluwa się i furczy wiecznie mokrymi wargami. Widocznie ząbkuje. Pogoda tego mizernego, bladego jak wosk dziecka, jest, zdaje się, całym słońcem tych dwojga cichych, zapracowanych wodnych ludzi. Na jego widok tylko oczy im miękną i uśmiech umie rozsunąć tępe, stwardniałe rysy. Poza tym – mimo gościnności okazywanej nam na każdym kroku, mimo życzliwej, uczynnej gotowości pójścia nam zawsze na rękę – są smutni, przeraźliwie smutni i martwi. Nie umiem złapać w słowa tego czegoś, co od nich idzie, tej jakiejś zrezygnowanej, beznadziejnej tępoty, tej bezwładnej bierności istnienia, które zdaje się mieć w nich wagę ołowiu i popielatość mgły.

Na ogół, jak na sowieckie stosunki, nie cierpią przecie niedostatku. Nie potrzebują zdobywać chleba po ogonkach. Mają posadę, mają książeczkę na prowiant, dach nad głową, opał, naftę do lampki. On ma na papierosy, a ona na gumowe wysokie buty. Więc czemu? Wzrok, jakim zapatrzeć się umieją w rzekę, ma w sobie taką rozpaczliwą obojętność, że człowiek sam siebie pyta: co tym ludziom jest? Co ich gnębi? Co w nich wypaliło wszelkie zainteresowanie, wszelką żywotność życia, które – żeby tam nie wiem co – nie jest przecie tylko smutnym, z poddaniem wleczonym ciężarem? Mówi się o ludziach, którzy żyją na wodzie, że nasiąkają jakąś melancholią, tęsknotą, milczeniem. Może to więc ta woda tylko, którą w nich tak obrzękła wrodzona rosyjskiej naturze skuka? Dobrze. Ale gdzież w takim razie podziała się owa – też naturze rosyjskiej wrodzona – rozlewność, śpiewność, ozdobność, potrzeba koloru, tańca, muzyki? Ashan tańczył, piekąc nocami ryby w łagrze. Czemu nie słyszałam nigdy, aby ta wolna obywatelka Radzieckiego Sojuzu śpiewała kiedy dziecku do snu? Kołysać je umiała natomiast sennym, wahadłowym ruchem całego ciała tak, jak się czasem cierpliwy człowiek zamiast jęczeć kołysać tylko umie z bólu. Nie. Nie potrafię ująć w słowa szarzyzny i przygnębienia wiejącego od tych ludzi. Chwilami miałam wrażenie, że to nie ciepło skrapla się tu na szybkach grubymi łzami, tylko ta smutna, popielata, beznadziejna „szczęśliwość”, którą dla swego proletariatu wywalczył i do której go zmusił komunizm.

Do tej ciepłej jak ucho i jak ucho ciasnej kliteczki znęciła się ogromna Raciszewska. Prawie od samego początku. Żona skipera zresztą bardzo gościnnie zapraszała nas zawsze do siebie. Rozumiejąc dobrze dość głupie nasze położenie w tym męskim transporcie, w poczuciu kobiecej solidarności widocznie, starała się nam pomóc, jak mogła. Nieproszona grzała nam wodę do mycia, częstowała kipiatkiem, pożyczała miednicę i zawieszała na czas naszej toalety szmatką okienko kajutki, z której na ten

czas wypraszała męża. Potulne, jasnookie to człowieczysko stało nieraz długo pod drzwiami, zawiązanymi od środka na sparciały sznurek. Ale znosił to cierpliwie, może rad nawet, że żona jego ma wreszcie jakieś babskie towarzystwo.

Zdaje mi się, że choćbym sto lat żyła w Rosji, nie nauczyłabym się ich języka. Mowa jest przejawem mentalności danego kraju, a w mentalności rosyjskiej jest coś, co mi było i pozostanie obce. Pewne rodzinne podobieństwo do polskiego nie tylko mnie nie pociąga, ale przeciwnie – drażni i irytuje. Zatem nie mówię po rosyjsku, ale rozumiem już wszystko dawno i od biedy to i owo wystękam, gdy muszę. Do dłuższej jednak wymiany myśli brak mi i słów, i ochoty. Toteż zwykle, umywszy się, uczesawszy, naciągałam na siebie wszystkie swetry, bluzki, reformy, sowieckie kalesony, płaszcze i ręczniki – i odsiedziawszy przyzwoitą ilość chwil u skiperki, wracałam na mój gzyms. Raciszewska zostawała.

Przypuszczam, że racje miała rozmaite. Przede wszystkim było tam ciepło, po wtóre zawsze gorący sagan z zawarką fuczał na kuchence, po trzecie wreszcie, pomagając chaziajce w przyrządzaniu codziennej strawy, nie raz i nie dwa razy zostawała przez nią zatrzymana na obiedzie. Tłumaczyła mi się potem – choć jej oczywiście nie robiłam nigdy uwag na ten temat – że oddała im cały swój prowiant i że partycypowała we wszystkich kosztach, jeśli się skiperowi udało zdobyć coś ekstra na brzegu. Była zatem w porządku.

Dziwny babsztyl z tej Raciszewskiej. Tak jak w powierzchowności ma motywy bardzo szlachetne i godne poplątane z pospolitością i chamstwem, tak samo wnętrze jej mieni się zależnie od okoliczności. Tym, co w niej zawsze i mimo wszystko musiałam cenić i uznawać, to była jej nieustępliwa polskość, którą odważnie ciskała w oczy władzom i wszystkim najbardziej nieprzejednanym wrogom naszym po celach. Odwagi cywilnej i patriotyzmu można by się od niej uczyć, nie radzę

jednak nikomu uczyć się od niej czegokolwiek więcej! Baba miewa humory i jak sama mówi, umie nią hrymać od rana. Biada wtedy okolicy!

– Będę żyć sto dwadzieścia lat, bo mi się tak podoba, i sto dwadzieścia lat będę ordynarna! – oświadcza przy byle okazji. – Patyczkować się? Właśnie! Daleko kto tym zajechał. Na to mnie Pan Bóg takim grzmotem na świat stworzył, żebym się nie dała zadeptać.

Nie. To jej w żadnym razie nie grozi. Jej spryt życiowy, umiejętność wyłapywania korzyści z powietrza, gdy chodzi o własny zysk – porównać mogę tylko z genialną zręcznością pani Ady, jakkolwiek metody obu tych dam były skrajnie odmienne. Gruboskórna głupota Raciszewskiej miała w sobie całe niezgrabstwo kogoś, kto sam niedowidząc, nie czuje, że go widzą inni. Ale choć makiawelizmy jej bywały ścibane zazwyczaj bardzo białą nicią, nieodmiennie dobrze na nich wychodziła. A to grunt.

Podobnie rzecz miała się ze skiperami. Zbyt gęsto i często napomykała o tym oddaniu im prowiantu, zbyt ostentacyjnie liczyła topniejące rzekomo ruble, abym wierzyła, że jej czegokolwiek naprawdę ubywa. O dziwo jednak nie ubywało też skiperom! Ktoś płacił za to wszystko – tyle że nie Raciszewska!

Od samego prawie początku przypytywał się do niej ów typ, co do którego do dziś nie mam jasnego sądu, może dlatego zresztą, że mu na pewno zależało na tym, by woda wokoło niego była mętna, a pozory mylące. Tak sobie przynajmniej ułożyłam.

Jest to młody Ukrainiec, rosły, przystojny i niebywale uczynny. Nie wiadomo skąd ma duże, jak na nasze warunki, zapasy cukru, machorki, chleba, lekarstw i pieniędzy. Rozdaje to wszystko chętnie i nieproszony, bo raczej prosi o ich przyjęcie, dużo mówiąc o miłości bliźniego i o Bogu. Był długie lata w Ameryce, zna angielski i dużo czytał. Nie jedzie do Buzułuka. Licząc może na naszą niedomyślność, przyznaje się, o jakie skierowanie prosił. Miejscowość ta, jako najdalej wysunięta na zachód,

dawała największe prawdopodobieństwo rychłego jej zajęcia przez Niemców. Jak karp pod prąd wody, tak on pcha się pod włos historii, byle bliżej, byle prędzej do Hitlera. Ukrainiec – wiadomo! Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jeśli jeździł do Ameryki, to też z jakąś robotą. Mówi wprawdzie o studiach, ale dość mgliście i nie umie sprecyzować, jakich mianowicie. Był też w Czechosłowacji. Po co Ukraińcy jeździli do Czechosłowacji, wiedziało się też. W każdym razie cokolwiek bądź robił czy miał zamiar zrobić, zgrywał się na – pełną miłości Boga i bliźniego – ugodowość i słodycz. A może taki był naprawdę? Pod koniec naszej jazdy zwierzył się wreszcie Raciszewskiej, że jest ruskim księdzem, ale to już zataił (albo ona zataiła przede mną), dlaczego się z tym kryje przed ogółem. W łagrach czy tiurmach było to zrozumiałe. Ale tu? Słuchając czasem jego wzniosłych słów o miłości bliźniego i o przebaczeniu w imię Chrystusa, robiłam sobie o to w myśli wyrzuty, że ani na chwilę nie mogę uwierzyć w ich szczerość. To niedowierzanie zresztą nie opuszczało mnie nigdy w stosunku do tego człowieka, jakkolwiek absolutnie nic konkretnego nie mogłam mu zarzucić. Było mi zawsze w jego pobliżu niewygodnie, nieporęcznie i w miarę możności unikałam z nim spotkań. Nie zawsze się jednak dało.

Z takim to dziwnym typem zaprzyjaźniła się Raciszewska na barży.

– Co mnie to obchodzi, że on Ukrainiec? To niezaraźliwe! – tłumaczyła mi czasem, choć i tym razem nie robiłam jej żadnych uwag. – Nie zaczepia mnie nigdy co do polskości. Bardzo delikatny, nie mogę powiedzieć. A jak chce fundować, to czemu Polka nie ma skorzystać na Ukraińcu? Pieniędzy ma jak lodu. Chce – niech płaci. Nawet niegrzecznie byłoby odmówić. To mój krajan zresztą.

Pokazało się, że są z jednego województwa, i stąd zażyłość. Co go ciągnie do niej, nie zgadnę, bo nie żadne amory na pewno. Pod tym względem Raciszewska jest nienaganna. Zachodzę w głowę, o czym on,

bezsprzecznie oczytany i podkształcony, może z nią rozmawiać całymi dniami? Jej rola zupełnie jasna. Je i pali za jego pieniądze, widząc w tym nawet pewien obywatelski obowiązek. Jej życiowa maksyma: „Jak ktoś taki głupi, żeby dawać, ja nie taka durna, żeby nie brać" – została tu wprowadzona w życie w całej rozciągłości. Siedzi więc u skiperów i pompuje krajana.

Nie martwi mnie to zbytnio, bo nie tęsknię za jej towarzystwem. Mam nawet więcej czasu dla moich chłopców, którzy się płoszą jej wrzaskliwą obecnością. Kiedy Raciszewska wraca na nasz wspólny barłóg, ja już zazwyczaj śpię. Czasem budzą mnie na chwilę uginające się wtedy pod nią klawisze desek, a czasem mnie i to nie budzi.

Pewnego wieczoru, po jakimś dłuższym postoju przy brzegu, postoju, który miał być ostatni przed końcem naszej wodnej drogi, przyszła do mnie skiperka, prosząc na pożegnalny poczęstunek. Niepodobna było odmówić.

Zastaję kajutkę pełną dymu i gorąca. Dzieci śpią na rozesłanym łóżku. Jest Raciszewska, jest krajan, oni dwoje i ja. Prócz nas nasze ogromne cienie na ścianach i suficie. Na stole leży świeżo z brzegu przywieziony chleb i papierosy, a obok naftowej lampki trzy filiżanki i dwa blaszane kubki. Nad wszystkim zaś góruje wysmukła flaszka z winem. Skiper ma twarz czerwoną i lśniącą od potu. Widać, że obaj są już dobrze pod gazem. Ta flaszka na stole to zdaje się ostatnia z przywiezionych dziś z brzegu. Nawet skiperka ma wiśniowe wypieki i czarne jej, głęboko zapadłe oczy skrzą się nieswoim podnieceniem. Jedna tylko Raciszewska jest taka sama jak zawsze.

Jest mi bardzo nieznośnie i dużo bym dała, aby być znowu na swoim gzymsie. Trzeba jednak wytrzymać. Przypominam sobie z ulgą, że mam nietkniętą dotąd puszkę z kondensowanym mlekiem, którą będę mogła dać im jutro dla małej. Grzebię też myślą w moich workach za

jakąś szmatką dla skiperki. Trochę mi lżej, odkąd wiem, że mam się czym za ten poczęstunek zrewanżować, ale mi w dalszym ciągu bardzo niewygodnie w tej kompanii, z którą mnie nic nie łączy i której nie mam nic do powiedzenia. W dodatku, zziębnięta i śpiąca, boję się trochę tego sowieckiego wina, czuję jednak, że odmówić nie sposób.

A sposób widocznie był, bo Raciszewska odmówiła! Babsztyl mimo wszystko ma charakter i zdaje sobie sprawę z własnych możliwości. Daremnie skiper, skiperka i krajan namawiali ją na wszystkie tony, daremnie ja sama tłumaczyłam, że parę łyków wina nie zaszkodzi jej na pewno. Założyła olbrzymie łapska po napoleońsku na piersi i prostując małą głowę nad szerokimi jak piec ramionami, patrzyła na nas zimnym od uporu wzrokiem.

– Jak Boga kocham, szkoda mnie było namawiać – mówiła mi potem.

– Mnie dość trudno gębę na trzeźwo utrzymać! Upić mi się potrzeba! Właśnie! Straszna cholera ze mnie, jak mi do łba pójdzie. Wy nie wiecie, a ja wiem i dlatego nie chciałam. Naparstek mi wystarczy!

Ostatni wieczór na barży spędzam na dachu. Dach jest płaski, a dostać się tu można po wąskich schodkach. Rozległy, lekko pochylony grzbiet popielatego wieloryba, pokryty gruboziarnistą papą, rzekłbyś – nie dach.

Wieczór jest cichy, mieniący się mrokiem i purpurą. Ogromna, przepaścista noc narasta od jednej dalekości, podczas gdy druga, tam, precz nad zachodnim horyzontem, żarzy się od bezblaskich już, malinowych rozstępów w zwałach fiołkowych chmur. Najjaśniejsza jest w tej chwili woda. Woda niebiorąca w siebie żadnego koloru, lśniąca tylko w dookolnym mroku biało i świetliście jak bezszelestne, na wznak leżące lustro. Nie czuję wcale, że płyniemy. Szary dach barży zawisł po prostu między gołębiosinym niebem a jaśniejącą wodą. Dobrze jest i spokojnie. Nie myślę, nie czuję, tylko patrzę i nasiąkam tym wieczorem tak samo, jak nim nasiąka niezmierzona przestrzeń pełnej już przyziemnego mroku

tajgi. Złagodniałe niespodzianie powietrze ma w sobie namacalną giętkość roztrącanego twarzą miękkiego szkła.

Pod koniec września w południe jesteśmy wreszcie u kresu naszej wodnej drogi. Znam już ten brzeg. I to rozmlaskane deskami bagno, i te gliniaste wąwozy, którymi szara ława wlecze się oto ku obozowi. Mijamy łączkę, na której trzy miesiące temu paliło nas tak bezkarnie czerwcowe słońce. Tym razem obóz otwiera przed nami kolczaste ramiona bramy. Nie ma już żadnego sprawdzania ani liczenia nas przy wejściu.

Dają nam kilka dużych, osobnych namiotów, w których zajmujemy z Raciszewską kawałek dolnych nar tuż pod płócienną ścianą. Nad nami i koło nas gniotą się mężczyźni.

Dostajemy tu pierwszy raz po dziesięciu dniach gorącą strawę. Chochlę wody z krupami i łyżkę grysiku. Pieniądze i prowiant na dalszą drogę mamy pobierać w biurze, zaraz po kąpieli. Bania jest tylko jedna, więc najpierw idziemy my dwie. Cóż to za komfort! Tylko dwie! Gospodaruje tu siwe jak gołąb dziadzisko, o rozwianej na płóciennej koszuli srebrzystej brodzie, dziad jak z bajki, uśmiechnięty poczciwie przeraźliwie i błękitnymi oczami. Oczywiście zakluczony. Wie skądeś, że idziemy na i wolu. Jest tym wyraźnie wzruszony. Coś fafrze w brodę, coś opowiada i tłumaczy – ale wszystko bezzębnie i bełkotliwie. Niewiele rozumiem, prócz tego, że nam rad. W dowód zaufania nie wydziela nam, jak zwykle i w bani, mydła, tylko zostawia całą paczkę, pełną lepkich, przyciętych na przepisową miarę kostek. Mamy sobie wziąć, ile nam trzeba. Raciszewska bierze rzecz dosłownie i robi zapas do końca życia.

Bania jest rozległa, pełna niskiego, zadymionego słońca. Kotły pełne ukropu, a beczki zimnej wody. Pysznie jest! Po tylu dniach nareszcie kąpiel! Jaka ta Raciszewska jest jednak malownicza! Ogromna, naga, o małej, kształtnej głowie, przecinając sobą raz po raz skośną osnowę słonecznych smug, nosi się z cebrem od kotła do beczek łatwo i prosto,

jakby to nie był pełny wody ceber, ale puste rzeszoto! Żadnego odgięcia wstecz, żadnego wysiłku. Sama moc i pomnikowa okazałość. Jak nic mógłby jej jakiś Malczewski przypiąć do białego grzbietu zielone skrzydła, zapiąć na niej okuty, bacowski pas, obuć w kierpce i puścić w śnieg na obrazie. Baba ma w powierzchowności to samo pozbawione wdzięku, mocarne dostojeństwo, co jego Eloe czy owa wsparta na kosie, poważna śmierć, zamykająca olbrzymią ręką oczy umierającemu Sybirakowi. Byle nie gadała!

Pobieranie prowiantu i pieniędzy zostało mi w pamięci jako kilkugodzinne gniecenie się w małych izdebkach urzędowego baraku, wyrosłego jak grzyb na bagnach koło rzeki. Ścisk tu straszny. Wprost oddychać trudno. W dodatku szaleje tu jeszcze do czerwoności rozpalony piecyk, do którego jakiś cymbał nieustannie dokłada i dokłada węgla. Skonać można!

Gorący jak żużel wygniatasz się wreszcie na dwór. Wieczór już jest zupełny. Od rzeki idzie niski, nadłąkowy chłód i białe błony mgieł wstają od bagien. Cudownie czyste niebo mieni się nad pociemniałą ziemią, jak mydlana bańka, od dymnej purpury poprzez cytrynowe złocistości aż do chłodnego seledynu. Duża, biała gwiazda wzięła się skądeś w tej tęczowej pustce. Sama jedna…

Ja też jestem tu sama jedna. Raciszewska nie załatwiła jeszcze sprawy pieniędzy i przyzostała. Nie ma ze mną nikogo na ciemnej drodze. Worki ciężą mi na grzbiecie i zziajana wdychuję zimne powietrze otwartymi ustami. W wąwozie cieplej. Słyszę tu wyraźnie własne powolne kroki. Własne kroki. Moje kroki… Ja…

I nagle opada mnie najgłupsze na świecie zdumienie: co tu robi to wszędzie ze sobą wleczone, moje śmieszne, własne, maleńkie „ja”? Skąd wzięło się w tej obcej, północnej pustce, samo jedno na spadzistej drodze? Uderza mnie własna tożsamość w zestawieniu z obcością zajmowanego

w tej chwili na globusie miejsca. Cóż to za przedziwne, śmieszne uczucie uświadomić sobie nagle tak wyraźnie, że się jest… „Się”… Kto? Nikt… Ja… Idiotyzm!

W namiocie ciemno kompletnie. Ci, którzy zdążyli wcześniej pobrać prowiant, śpią już, pochrapując, na narach. Inni się jeszcze kłębią i moszczą. Tu i tam jarzy się rudy punkcik dopalanego papierosa. Tu i tam mruczą przyciszone głosy. Po omacku zdążam do mojego kąta. Na szczęście mam miejsce pod samą ścianą, więc jest nadzieja, że nie zabrnę gdzie nie trzeba. No, wreszcie rozpoznaję dotykiem mój poczciwy koc. Ściągam buty i wczołguję się pod nary. Jutro o świcie mamy ruszać dalej. Szkoda każdej chwili. Trzeba prędko spać.

W nocy budzi mnie przejmujące zimno i wicher oddymający płócienną klapę okienka. Przeskok temperatury jest tak nagły, że musi mieć jakąś głębszą przyczynę. Dźwigam się na łokciu. Oczywiście! Z otworu namiotu kurzy mi w twarz mokry, ciężki śnieg, którego już na mnie pełno. Wesoło! Ciemność nocy za namiotem jest sypka i ziarnista od falami nadchodzącego szelestu bijących z wiatrem o płótna płatków. Słyszę, że i Raciszewska nie śpi.

– Śnieg… – powiadam.

– Szlag by go trafił. Śnieg – oddzwania mi zębami spod płaszcza.

Ma rację! Szlag by go trafił! Ten śnieg to istna klęska! Jakże to wszystko pójdzie jutro do kolei? W tych szmatach, dziurach, półbose? Ten głupi chudziak bez fufajki i całe mrowie bezbronnych wobec zimna łachmaniarzy?

Klapy okienka nie ma jak przywiązać. Poodrywano dawno wszystkie tasiemki. Ręka mi zgrabiała od daremnych prób umocowania jakoś tej chlastającej szmaty. Raz się przysysa szczelnie do namiotu, raz znów odlatuje z wiatrem. Ponieważ widzę, że nie ma rady, dochodzę do przekonania, że pozostaje mi jedno: skulić się najciaśniej jak można i

spać! Choć czuję przez koc na grzbiecie lodowate chlusty zimna, usypiam prawie natychmiast. Cóż to za łaska Boska umieć tak spać jak ja!

Nie wiem, o której nad ranem budzi nas nagły gwar i światło w namiocie. Co tam takiego znowu? Podrywamy się obie i nie chcemy wierzyć oczom. Marysia, Helena, Długa Krystyna, Danusia, pani Stefania, pani Ada – i cała moc innych. To druga partia zwolnionych z sangrodka i Workuty! Przyjechały wszystkie razem z dużym transportem mężczyzn. Wszystko to runęło do naszego namiotu zziębnięte, zmęczone i głodne. Pokazuje się, że jest jeszcze moc miejsca na narach, choć wczoraj się zdawało, że szpilki nie wetknie. Marysię, Helenę i Krystynę lokujemy przy sobie. Niechby się choć zagrzały po tej drodze.

I nikt już nie zmrużył oczu do rana. Gadanie, opowiadanie, śmiechy. W budzie pod narami robi się istny *five*. Odnajduję tu niespodzianie mego kuzyna, o którym nie wiedziałam nawet, że był aresztowany. Przedstawiają mi jakichś miłych, młodych i starych, poznanych w tym transporcie panów.

– Pani Mario! Zechce mnie pani przedstawić – prosi jakiś zarośnięty młodzieniec, włażąc na czworakach pod nary.

– Pozwolisz… Pan Andrzej taki a taki…

– Bardzo mi przyjemnie.

Jednym słowem – salon! Krystyna wyciąga swój szkicownik i pokazuje mi nowe rysunki. Helena opowiada o Loch-Workucie, my znów nasze koleje. Hinda odmówiła wyjazdu! Uparła się i została! Niech jej Rosja lekką będzie. Kilkanaście jeszcze z naszej paczki czeka i na Loch-Workucie, i w sangrodku. Ale jest nadzieja, że i one przed zimą wyjadą. Trusiowa żyje, choć ledwie zipie. Wygląda jak własna babka. Od czasu jej choroby zaw-choz się nie pokazał i ma już inną. Ruch, gwar, przegniatanie się w ciasnocie. Suchary trzeszczą i gęsto jarzą się punkciki papierosów w mroku pod narami.

Nie pojechałyśmy jednak razem dalej. Ta druga partia mogła dopiero po południu pobrać prowiant i pieniądze, a nasz transport odchodził rano. Mimo żałości ponownego rozstania wielką ulgą była mi świadomość, że mają już za sobą całą wodną drogę, którą lada dzień mógł teraz lód zakuć aż do wiosny. Na Loch-Workucie i w sangrodku padał już suty, nietający śnieg, kiedy wyjeżdżały.

To, co spadło na obóz tej nocy, trudno nazwać śniegiem. Jest to zimna, grząska kasza, biała, póki jej stopą nie dotkniesz. Przystąpiona zmienia się w śliską, chlapowistą, powoli tającą papkę, w mętne, szare szkło, przez które widać dokładnie mech i opadłe liście. Najgorsze jednak, że pada dalej, kiedy ruszamy sprzed namiotów. Ni deszcz, ni śnieg. Lodowato zimne, kłapciaste coś, co tnie ukośnie w twarz i oczy i co wsiąka ciężką wilgocią w koc, którym osłoniłeś siebie i twoje worki. Ręce grabieją od zimna, a każdy krok w tej śliskiej kaszy to sztuka i wysiłek. Idąc, masz wrażenie, że musisz się stopami kurczowo przysysać do ziemi, jeśli nie chcesz runąć jak długi. Ciężkie od nowego prowiantu worki bardzo utrudniają utrzymywanie równowagi.

Droga wije się spadzistym laskiem, którego rozległe białe dno chrzęści liśćmi i śniegiem. Ludzie ciekną leniwą ławą w dół, jedni grupkami, inni samotnie. Nie wiem, czy zna kto drogę. Mniejsza z tym. Idę owczym pędem za innymi, ślizgam się, potykam. Worki zjeżdżają mi z ramion, a koc z głowy. Droga wlecze się bez końca. To ta sama droga, którą odbywałam już raz na rozklekotanej lorze. Tylko wtedy było ciepło i słonecznie. Dziś jest tu głucho od mokrego śniegu, deszcz siecze i płatki oblepiają rzęsy. Nawoływania nasze tłuką się między pniami daleko i rozlegle. Tak samo tępym echem obija się po lesie nawoływanie nagonki. Jak taka nagonka właśnie przeczesujemy i my las na przełaj. Nikt się nie trzyma kolein. Rozmokłe stały się jednym bagnem. Las syczy. To mokry śnieg w uschniętych resztkach liści na krzakach…

Zmęczeni i ciężcy od wsiąkłej w nas wilgoci, jesteśmy wreszcie w Kożwie. Na torze stoją bydlęce wagony, otwarte na przestrzał, obrzękłe wilgocią, bez półek, bez piecyków. W niektórych biało od nawianego w nie nocą śniegu. Mam palce tak skostniałe, że ich nie mogę rozgiąć. Nogi zachlapane błotem po kolana, a koc aż czarny od wody. Włażę w pierwszy lepszy pusty wagon i siadam na podłodze jak półtora nieszczęścia. Jest mi kompletnie wszystko jedno z zimna i zmęczenia.

Ale Raciszewskiej nie jest wcale wszystko jedno! Trzyma się swego zaradnego Ukraińca, który zgromadził wokół siebie wszystkich mołojców i chce ich mieć w jednym wagonie. Nie wiem, skąd wytrzasnął stary żelazny piecyk, nie wiem, gdzie wyszukał starą rurę, nie wiem, z jakiego baraku powyciągał deski, dość, że nim się kto opatrzył, ukraiński wagon był już jako tako zaopatrzony na drogę.

Na cały transport jest nas znowu tylko dwie. Musimy się trzymać razem. I to jest tragiczne! Ponieważ Raciszewska pcha się tam, gdzie jest krajan i piecyk, muszę i ja pchać się z nią razem, choć wolałabym jechać z tamtymi, których lepiej znam i wolę. Inna rzecz, że baba ma rację. Jedynie ten wagon ma piecyk i półki, jesteśmy zmokłe jak kury i czeka nas długa droga.

Instalujemy się więc ostatecznie na dwóch zsuniętych deskach wysoko pod sufitem tego ukraińskiego wagonu. Pod nami i wokół nas gęsto i szaro od mokrych fufajek i w szmaty obutych nóg. Mam pod łokciem nogi Raciszewskiej, bo leżymy nogami zwrócone ku sobie. Moje nie sięgają jej uda. Od szpar dmie zimny przeciąg, czuć mokre łachy, ciasno jest i brudno nie do pojęcia.

Nie ciasnota jednak, smród, brud i nieustanny śpiew mołojców były w tym transporcie najgorsze. Najgorsza była Raciszewska! Niepodobna opisać, co mnie nerwów kosztowała w ciągu tych ostatnich sześciu razem spędzonych dni. Istotnie. Miała rację. Umie nią hrymać od rana.

Jest wściekła nie wiadomo o co i nie wiadomo za co wydziera się na mnie bezkarnie. Drażliwa jest i przeczulona. Dopatrywać się umie jakichś przytyków i zaczepek w zupełnie niewinnych zdaniach, a wobec tonu, słownika i głupoty, jaką rozporządza, człowiek jest przy niej bezbronny jak związane jagnię! Dosłownie wzięła mnie tu pod kopyta. Nie mogąc nigdy przewidzieć, co mnie od niej spotka, a chcąc za wszelką cenę uniknąć tarć i wybuchów z jej strony, musiałam się liczyć z każdym słowem, z każdym milczeniem, z każdym wyrazem twarzy. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek, w jakichkolwiek międzyludzkich stosunkach, w życiu spotrzebowałam tyle nieustannego wysiłku i uwagi, czy byłam kiedy zmuszona do takiej czujności, lawirowania i dyplomacji, co z tą właśnie kucharką wojskowych kasyn i kąpielową z Krynicy, z którą mnie losy sprzęgły na czas tego transportu!

Jedzie nas tu 40 dusz. Wagon jest o połowę mniejszy od poprzednich. W piecyku pali się dzień i noc. Żar tu u nas pod sufitem nieludzki. W dodatku rozpalona rura przechodzi tuż obok naszych desek. Od szpar wieje w plecy lodowate zimno, a twarz płonie od gorąca. Ale za to mamy ukropu, ile kto chce, a ponieważ dali nam w obozie zawarkę, możemy ją sobie pierwszy raz zaparzyć. Wcale to niezłe. Cierpkie, pachnące malinami. Prowiant otrzymany tym razem na drogę nie był już tak wspaniały jak ten pierwszy, ale wystarczający całkiem. Głodny więc nie jest nikt, a o przysmakach przestaliśmy pamiętać.

Krajan Raciszewskiej jest starostą wagonu. Bardzo dobrym, sprawiedliwym starostą. Wszyscy się z nim liczą, wszyscy go słuchają. On dyryguje śpiewem, ciszą i snem swoich mołojców. Kiedy czasem przy kartach wybuchnie wśród jego kompanów kłótnia, on ją uśmierza wzrokiem, perswazją czy żartem. Nie mogę mu w dalszym ciągu niczego zarzucić, a przecie ma w sobie coś, co mnie – słusznie czy niesłusznie – zmusza do ostrożności i podejrzeń, a co za tym idzie, do poczucia, że

robię mu krzywdę takim bezpodstawnym ustosunkowaniem się do niego. Zresztą jesteśmy dla siebie bardzo grzeczni i przyjemni.

Do dziś więc nie wiem wobec tego, które z nas dwojga było w istocie nieszczere – a to raczej nieprzyjemna wątpliwość!

Pociąg zatrzymuje się, gdzie chce, kiedy chce i nigdy nie wiadomo na jak długo. Ma to zgubne dla nas skutki. W wagonie nie ma tym razem żadnej gramofonowej tuby, zresztą w tym składzie niewiele by nam pomogła. Człowiek jest zdany na własną pomysłowość w tym względzie. Niestety nigdy nie wiemy, czy mamy czas wybrać się w krajobraz, czy należy czekać następnego postoju, który albo będzie za godzinę, albo jutro. Wdarcie się do wysokiego wagonu, bez stopni i bez drabinki, też wcale nie jest łatwe. Jakkolwiek wiem, że sprawa jest skomplikowana, Raciszewska wyprawia o nią takie awantury, że mi się już czasem na płacz zbiera. A wszystko ze wstydliwości, o której drze się na cały wagon.

Z jazdy tej i kilku dłuższych postojów zostało mi w pamięci parę krótkich migawek.

…Oto las, późny, jesienny las, stojący po kolana w lodowatej, zjadliwej od mchów zielonej młace, i my dwie z Raciszewską, przeskakujące z gąbczastej kępy na kępę w poszukiwaniu przemarzłych, lodowatych jagód. Świeże były, cierpkie i cudnie czerwone.

…Oto jakaś większa stacja, nagły ruch i zamieszanie. Przejechało jakąś kobietę z mijającego nas polskiego transportu. Przekradała się popod wagony, jak setki razy i my zmuszoneśmy były się przekradać, pociąg ruszył… Dogorywa teraz w olbrzymiej kałuży świeżej krwi, u stóp grupki bezradnych gapiów. Ratunku żadnego. Po prostu czekają, aż się skrwawi i przestanie ruszać. Mam żołądek ściśnięty do nocy z wrażenia i nie mogę spać. Zostały pono drobne dzieci…

…Raz w czasie nocnego wypadu z wagonu walę się po ciemku w jakiś wykrot głęboki, roluję z pieca na łeb na jego błotniste dno, pełne

zepchniętych weń, wykarczowanych pniaków. Cud, żem sobie oczu w tych koziołkach nie wykłuła. Upaprałam się tylko jak nieboże stworzenie, podarłam pończochy i podrapałam silnie.

…I jeszcze to pamiętam, że u końca tego drugiego etapu naszej drogi, w Kotłasie, do którego dobiliśmy 2 października rano, idąc ławą wzdłuż szyn ku dworcowi, mijamy leżące na nasypie, brudnym płaszczem przyrzucone zwłoki. To ktoś z naszego transportu. Wycieńczenie i krwawy ponos. Spod płaszcza sterczą zdeptane, niepotrzebne już nogi.

Nie umiem sobie zdać sprawy, czy Kotłas to duże, czy małe tutejsze miasto. Fakt jednak, że jest to pierwsze rosyjskie miasto, które mam zaszczyt deptać dziurawymi błotkami. W ogóle pierwszy raz od wyjazdu ze Lwowa idę piechotą przez ulice.

Pora jest bardzo nietwarzowa. Gołe drzewa, błoto po kolana, powietrze brudne jakoś samo w sobie. Jezdnia – to jedna topiel szarego kremu. Płynna, lśniąca tafla, od której zieje znajomy smrodek jesiennych błot. Chodnikiem są dwie oślizłe, uginające się deski biegnące wąskim skrawkiem gruntu nad rowem, popod zmurszałe, mchem obrosłe sztachety umarłych, opustoszałych ogródków. W ogródkach tych, niżej poziomu ulicy, namakają wilgocią nieżywe, brudne domki i domeczki. Okna – o często papierem zalepionych szybach – są martwe, puste i czarne, jak czarne umieją być okna z dawna opuszczonych, na rozbiórkę skazanych domów. A przecie ktoś tu mieszka. Ot… tam, od muru do muru przemyka się jakaś okutana w chustkę kobieta. Tu pies wypadł zza rogu i zaszczekał zdawkowo ku ulicy. Ówdzie mizerne dziecko wisi brzuchem na sztachetach, patrząc tępo ku idącym. A mimo tego domy te robią wrażenie umarłych. Nie widziałam w oknie ani jednej twarzy, ani jednego wazonika. Czasem krzywo, bądź jak zawieszona, pełna rudych zacieków szmata broni wglądu w czarną głąb czyjegoś mieszkania. Nigdzie śladu jakiegokolwiek wysiłku ku ozdobie, zadbaniu, czystości.

Nigdzie śladu przekwitłej już choćby grządki. Nędza, opuszczenie i jakby dążenie właśnie do wtopienia się bez reszty w ogólną popielatość, nijakość, żadność – strach przed zwróceniem na siebie czyjejkolwiek uwagi, czyichkolwiek oczu. Cieniste to wszystko, nasiąkłe wilgocią i smutkiem… Tu i tam owocowe, koszlawe, na pół uschłe drzewo.

Za to nad każdym – często blachą z puszek łatanym – dachem sterczy na żerdzi antena! Druty krzyżują się w brudzie i szarzyźnie powietrza, omotując wszystko niby nitkami zakurzonej pajęczyny. W każdy więc z tych martwych domków sączy się bezustannie jad propagandy, wpycha się w nie słowami i muzyką, nie daje odetchnąć, myśli zebrać, do głosu dojść – budzi i usypia… ogłupia i urabia… Wszędzie też ma się wrażenie, że przepłoszone życie miasteczka cofnęło się trwożnie od zamkniętych na głucho okien, w czarne, nieodgadłe wnętrza, zostawiając na zewnątrz jednolitą nędzę i brzydotę, którą jedynie okupić tu można widocznie jakie takie bezpieczeństwo. Strasznie to przygnębiające! Z dna mijanych skwerków, od opadłych przegniłych liści wieje ku nam chłód i żałosny wiew rozkładającej się jesieni.

W długim szeregu wleczemy się tym błotnistym miastem, po mlaskających deskach chodnika, ku komendzie NKWD. Tym bielszy, tym jaskrawszy, tym bardziej niegustowny i tandetny wydaje się w dookolnej szarzyźnie ten gipsowy Lenin na placyku. Wsadzili go na słupek nie wyższy od człowieka, włożyli mu fatalnie skrojone gipsowe ubranie, kazali zrobić wypad, wyciągnąć prawą pięść i stać tak ni w pięć, ni w dziewięć. Stoi biedaczysko, bo co ma robić? Na tle błotnistego miasta, w ogólnej martwocie i ciszy ten jego bohaterski, porywający tłumy wypad i pięść są takie puste i śmieszne.

Nigdzie żadnej barwy. Wszystkie ze strachu pogasły. Nieliczni przechodnie są nieodmiennie koloru błota. Wypłowiali i zmięci. Kompletna mimikra z tłem. Nigdzie też – zanikowego już choćby –

śladu dawnych, charakterystycznych, narodowych cech w ubiorze. Nic. Wszystko jest podmiejską tandetą, lichotą, wszystko poszło pod sztrychulec. Kobiety noszą rozpaczliwie ciasne czarne spódnice, kuse, grubo watowane, niesięgające rozległych bioder żakiety, białe berety, czarne pończochy i kalosze. Ów krótki żakiet bywa czasem z zajęczego czy króliczego futra i ma nieodmiennie szalowy, wyżej uszu sterczący kołnierz. Czasem zamiast beretu widzi się burą, ciasno głowę i twarz oblepiającą chustkę, omotaną jeszcze końcami wokół szyi. Mężczyzn widuje się przeważnie w siwych fufajkach, w czapce z daszkiem i dość bufiastych spodniach, wyrzuconych lekko znad niskiej cholewki butów. Po ulicach plącze się dużo dzieci z książkami pod pachą. Idzie to do szkoły czy ze szkoły grupkami, po kilkoro, gada dużo i głośno, ale nie widziałam znów wśród nich ani wesołych, ani roześmianych. Robiły raczej wrażenie wracających z wiecu małych, zatroskanych polityków, roztrząsających jeszcze po drodze ważne ogólne zagadnienia. Wszystko, idąc, je siemieczki i pluje.

Gmach NKWD jest chyba największym budynkiem w całym Kotłasie. I tak zresztą powinno być. Trzypiętrowy szary klocek, pełen okien, otoczony dokoła kolczastym odratowaniem, z wartą na każdym rogu. A to już znowu musi być…

Nic nie wiem, po cośmy tu przyszli ani co mamy załatwić, na szczęście jednak inni wiedzą. Ktoś nawet poszedł już na górę do naczelnika. My czekamy.

Tu dowiaduję się, że część naszego transportu oddzielono po drodze. Pół pociągu poszło inną drogą. Ze znajomych jest już tylko pan Szczepan, pan Stefan i poznany przed wyjazdem z Kożwy doktor Włodzimierz. Raciszewska natomiast i krajan znikli jak kamfora. Ostatni raz widziałam jej białą włóczkową pilotkę wysoko nad głowami mężczyzn, kiedyśmy szli ławą ku dworcowi. Teraz powiadają mi, że pojechali dalej osobowym

pociągiem. Krajan miał jej zapłacić bilet i w ten sposób będzie o parę tygodni prędzej w Buzułuku. Nie wiem, czy rzecz była już przez nich dawniej ułożona, czy też pomysł powstał nagle, na widok osobowych pociągów – faktem jest jednak, że mi Raciszewska zrobiła coś, czego ja – choć mi jej towarzystwo dobrze dało się we znaki – nie potrafiłabym zrobić nigdy. Nie uprzedziwszy mnie ani słowem, odbiła się od nas cichaczem i – wiedząc, że zostaję w ten sposób sama jedna w wyłącznie męskim transporcie – dymnęła! Jest mi w pierwszej chwili głupio i nieznośnie. Jakkolwiek nie mogę nie ocenić dodatnich stron tej hedżry, zdaję sobie jasno sprawę, jak mi trudno i kłopotliwie będzie teraz samej. Moi poczciwi towarzysze z barży zapewniają mi dalszą swą opiekę, radzą trzymać się gromady i nie oglądać za babsztylem.

Ktoś wraca z góry z wiadomością, że transport nasz odejdzie dopiero jutro wieczór. Dziś dostaniemy tylko prowiant. Pieniędzy nie wypłacą już żadnych, choć wedle tego, co nam mówiono przy zwolnieniu, należały się nam znowu. Ogółem wypłacono nam owych obiecanych i przyznanych diet za osiemnaście dni. Potem już ani kopiejki.

Spod gmachu NKWD kazano nam teraz przejść na małe, błotniste podwórko obok, gdzie mamy się podzielić na grupy, po 40 osób każda, i wybrać sobie komendanta każdego wagonu. Ci komendanci dopiero z gotowymi listami swoich grup będą na dworcu starać się o te wagony. Naszym komendantem zostaje doktor Włodzimierz. Robi listę swego wagonu. W skład jego wejdzie część ukraińskiego wagonu, który się rozbił po ucieczce wodza, kilku nowych, przyplątanych do nas Ukraińców, kilkunastu Żydów, dwóch czy trzech – na tym podwórzu dopiero poznanych – Polaków, wreszcie my.

Po rozdzieleniu prowiantu, który się składał tym razem tylko z chleba, margaryny i gorzkiej jak piołun bryndzy, zostaję na straży przy rzeczach całej grupy, podczas gdy wszyscy inni rozpełzają się po mieście. Jedni na

rekonesans, gdzie można by przenocować, drudzy na dworzec w sprawie wagonów, najliczniejsi wreszcie na polowanie za chlebem po ogonkach.

Jest już dobrze po zachodzie, wiatr dmie zza węgła i błocko ciamka pod drepczącymi w miejscu nogami. Przyparta grzbietem do drabiny, pod którą leżą powierzone mi rzeczy, stoję tak do późnego wieczora zziębnięta i zła. Pić chce mi się strasznie, a nie mogę się stąd na krok ruszyć. Ktoś zdobył trzy główki kapusty i odsprzedał mi wspaniałomyślnie jedną. Stoję więc pod tą drabiną, jem wiatrem pachnącą surową kapustę i nie śmiem myśleć o nocy.

Ciemno już było całkiem, kiedy wrócili tamci. Pokazało się, że słusznie troszczyłam się noclegiem. Zaledwie dwóch z naszej grupy znalazło prywatne pomieszczenie kątem do rana, i to za grube ruble. Reszta jest bez dachu nad głową do jutra. Ktoś nam mówi, że w przystani stoją na rzece puste barże i że może udałoby się nam cichaczem dostać na jedną z nich. Tyle że to światami za miastem i nikt dokładnie nie wie, jak tam iść. Ostrzegają nas przy tym, że w przystani stoi dużo bardzo rozmaitych barż i że niektóre umyślnie zwabiają ludzi na nocleg, aby ich okraść i obrabować. Barża, o której mowa, ma być pierwsza od końca, zupełnie pusta i dlatego bezpieczna. Wszystko to nie bardzo zachęcające, ale ponieważ nie mamy wyboru, zbieramy zabłocone worki spod drabiny i ruszamy w kompletnej, obcej ciemności przed siebie.

Miasto jest ciemne, ledwie tu i tam skropione światełkami. Widocznie ludzie unikają oświetlenia okien od ulicy i siedzą po kuchniach od podwórza. Błocko straszne. Kiedy wypadnie przejść na drugą stronę ulicy, grzęźnie się w nim jak w zimnym kleju. Nie widać absolutnie nic. Idę za człapiącymi tuż przede mną nie wiadomo czyimi krokami.

Wydostajemy się w końcu z miasta. Jaśniej tu jakoś. Może to poblask od otwartego nieba i wody. Suniemy wzdłuż szyn, wzdłuż nasypów, po przejrzystych belkowaniach niewykończonych mostów. Całe szczęście,

że na tle wody widać zarys tych belek. Robi się coraz bardziej pusto i przestronnie. Zaczyna pachnąć rzeka. Błoto się skończyło. Zostały tylko uparte, nudne, dziwnie nie na miarę moich kroków rozmieszczone progi i progi, i jeszcze progi bez końca.

Cały brzeg czernieje od zsuniętych tu gęsto barż i łodzi, i stateczków. W mętnym poblasku przestrzeni ledwie je można rozeznać. Wygląda to tak, jak przez prąd naniesiona i wodą do brzegu przyparta warstwa gigantycznego śmiecia, takie to poplątane, kostropate i nierówne. Gdzieniegdzie, raz wyżej, raz nisko, raz znów na samym szczycie wysokiej żerdzi, mruga bezblaskie, rude światełeczko.

Z utęsknieniem wypatrujemy skraju tego zwału. Nie zatrzymuje nas jakoś nikt. Z niektórych barż słychać nawoływania. Ostrzeżeni omijamy je śpiesznie, wiedząc, że nasza ma być pusta. Nie bardzo wierzę w zasadzkę, bo kto by się na takich łachmaniarzy łakomił, ale lepiej nie ryzykować.

Wreszcie jest owa pierwsza od końca. Jesteśmy gdzieś kilometrami za miastem. Tak się przynajmniej wydaje mnie i moim nogom. Po nadbrzeżnych wertepach złazimy spadzistym nasypem w dół ku wodzie. Jakkolwiek jesteśmy u celu, nie wiemy jeszcze, czy nie wyskoczy na nas jakiś cerber i nie odegna nas precz od tej upragnionej arki.

Barża jest pusta, ciemna i ogromna. W dodatku rozkład jej jest tak zawiły i inny od poprzednich, że się plączemy w ciemności, nie mając pojęcia, którędy dobrać się do jej dna. Jakieś ziejące nocą i głębią zapadnięte drzwiczki i schodki, korytarze i ganki, a wszystko po omacku. W końcu znajdujemy zejście w dół.

Przedziwne uczucie znaleźć się nagle nie wiadomo gdzie! Oczy nie widzą nic, ale nos rozeznaje słodkawy zapach wilgocią nasiąkłego drzewa i zamknięcia. Czuje się też całą powierzchnią ciała pustkę i przestrzeń. Nic nie wiem, czy nie zgubiłam się moim opiekunom. Nic nie wiem, z kim znajdę się w tej przepastnej, pływającej, odludnej gospodzie, gdy

wreszcie zapali ktoś światło.

Mogłabym się bać, ale właściwie nie warto zaczynać, bo co mi to pomoże? Toczę się przecie od roku przeszło prosto nosa, nie wybierając sobie dróg. Wiem, że mnie spotka tylko to, co musi i co trzeba, aby mnie spotkało. Poczucie najzupełniejszej bezradności, świadomość, że nie ja, tylko Opatrzność kieruje moimi krokami, daje mi cudowną, beztroską obojętność na to, co się ze mną dzieje czy może się stać. Ja mam tylko znieść, wytrzymać najlepiej, jak umiem. Reszta nie do mnie należy.

Kiedy czyjaś zapałka podważyła wreszcie na chwilę dookolną ciemność, zjawiło się nam coś niby płaska, zasunięta drewniana szuflada, pełna rozsyczanego śmiecia. Śmiecie to my. Jest nas tu chyba ponad sto sztuk. Sufit jest tak nisko, że mogłabym go dosięgnąć. Wzdłuż ścian szereg małych, kwadratowych okienek, którymi tuż pod brodą chlupocze za szybkami rzeka. Wszystko to chwytam jednym spojrzeniem, bo zapałka gaśnie. Zalewa nas znowu nieprzejrzana ciemność.

Ktoś w tej ciemności wpada na genialny pomysł. Oto w pustą po konserwach puszkę zbiera się od wszystkich po grudce na oślep wymacanej margaryny, wtyka w nią z kłaków skręcony knot i po chwili mamy już taką zaduszną lampeczkę, kłującą rozskwierczanym płomykiem puszysty brzuch zwisającej tuż nad nią ciemności.

Poznajdowaliśmy się na szczęście wszyscy. Zaraz mi raźniej, skoro wiem, że nie jestem tu sama. Szczęśliwi ze zdobytego na nocleg miejsca, brudni, zmęczeni i po zmęczeniu ziębnący coraz dotkliwiej w tej wilgotnej szufladzie, jemy na podłodze nasz pierwszy dzisiaj posiłek: mokry chleb z gorzką bryndzą i margaryną. Nie ma go czym popić, więc ledwie przez gardło przechodzi.

A zaraz potem, ciasno rzędem zsunięci na podłodze, pozawijani w co kto ma, układamy się do snu. Świetnie! Naprawdę świetnie! Moglibyśmy przecie sterczeć do rana pod drabiną, płotem czy murem. Nasze bezcenne

worki mamy wepchnięte pod głowy nie tyle może dla wygody, ile dla bezpieczeństwa. Zdajemy sobie sprawę, że los namiótł dziś do tej szuflady dużo takiego bezimiennego, ludzkiego szlamu jak ten, który chlupocząc tuż za szybkami zbiera się wokół brzucha naszej opatrznościowej, pływającej gospody.

Był to może najbardziej awanturniczy nocleg ze wszystkich, jakich zaznałam w Rosji. Tło jak z kryminalnej powieści.

Z całego następnego dnia mam tylko okruchy w pamięci.

Widzę się tkwiącą znów godzinami na straży przy cudzych i swoich rzeczach, na zabłoconym jak bezpański pies skwerze w środku miasta. Mizerny ten placyk zawalony jest uchodźcami i ewakuowanymi z Ukrainy, którzy biwakują tu od tygodni pod gołym niebem. Niektórzy zainstalowali się już na dobre. Mają z koców porobione budy, ściany ze spiętrzonych kufrów i pak, prymusy na kilku błotem zlepionych cegłach, leżaki obok kołysek. Całe domostwa po prostu. Przeważnie Żydzi, ale jest wśród nich też pewien procent Rosjan. Brudne, rozczochrane kobiety piorą bieliznę w poobijanych miednicach, wietrzą czy suszą zamoczone przez dzieci piernaty, trzymają na patyku sagany nad ogieńkiem, do którego mężczyźni dokładają z namaszczeniem trzaski cudem zdobytego drzewa. Trącane, łajane i bite przez zaśpieszone matki gromady zaniedbanych dzieci plączą się wszystkim pod nogami, błyndają się, plącząc od spódnicy do spódnicy. Zziębnięte to, zasmarkane, widać od tygodni niemyte, cichnące tylko na tę chwilę, kiedy – z rozpaczliwą nienawiścią prawie – zatka im matka twarz jakąś skórką z chleba czy kaczanem kapusty. Chude, zabłocone psy o podkulonych ogonach przemykają się od grupki do grupki, wykradając spod odkopujących je niecierpliwie nóg odpadki i okruszyny. Dojmujący, przygnębiający widok! Pogorzelcy świata! Rozbitki wojny! Bezdomne, tułacze, na powolną śmierć skazane mrowie! Twarze to wszystko ma ziemiste, złe, tragiczne i postarzałe. Nawet dzieci

mają wygląd starców. Rozpacz i zmęczenie wypaliły – rzekłbyś – w tych nieszczęśnikach wszystkie inne uczucia. Została już tylko sama troska, pośpiech i zniecierpliwienie.

Około południa luzuje mnie pan Szczepan. On zostaje z kolei przy rzeczach, a ja mam iść poszukać jakiejś stołówki, żeby się choć zupy gorącej napić.

I znów wędrówka przez zabłocone, ohydne miasto. Pod sklepami z chlebem ogony bez końca. Stoją w nich ludzie martwi, zrezygnowani, nawykli. Rosja jednak w genialny sposób rozwiązała kwestię bezrobocia! Od starców po małe dzieci wszyscy tu mają zajęcie. Stoją pod sklepami za chlebem. Nawet tym sklepom, które może dopiero wieczorem zostaną otwarte, narasta od rana długi, cierpliwy ogon.

Obijam się od jednej stołówki do drugiej – daremnie. Ta już zamknięta, ta jeszcze nieotwarta, ta otwiera się tylko dwa razy w tygodniu, ta znów tylko dla roboczych. Idę więc na bazar. Może tam, na tych pustych, popielatych straganach znajdę choć jeden lepioszek. Chleb bowiem, który dostaliśmy wczoraj, ma nam wystarczyć na czas podróży, kiedy prawdopodobnie niczego nie będzie można kupić. Trzeba więc próbować zdobyć coś osobno.

Dwa rzędy straganów pilnują wąskiego przejścia, którym przegniata się leniwy, śpiący jakby tłum. Na straganach do pilnowania nie ma prawie nic. Ot – pusta lada z samotną, zaśniedziałą wagą, na której zamiast ciężarków rudzieją kawałki połupanej cegły. Jedynym towarem są tu kupki zielonej, grubo krajanej rzekomo machorki, w istocie zaś słonecznikowych liści. Nad nią zziębnięta, pociągająca nosem, obojętna baba. Dalej parę glinianych misek, garnuszków i grubych, jedna w drugą wstawionych szklanek. I znowu jedna obojętna baba. Przy trzecim straganie za to ścisk. W cieniu niskiego daszka stoi wiklinowy kosz pełen jagód i bieleją gotowe już tutki starej, krwawo poplamionej gazety.

Przy tym straganie ciemno jak od chmury karpi przy szybie w akwarium. Gniotą się, pchają, rugają. Mężczyzna w fufajce i baba w chustce nie mogą nadążyć ze sprzedażą. Następny stragan znów pusty. Na starym worku wzgórek słonecznikowych nasion, mała kwarta i stosik na kwadraty podartej gazety. Siemieczki! Tych wszędzie pełno. Idąc przez tłum, trzeba dobrze uważać, bo wszystko pluje przed siebie i na boki jak najęte. Następny stragan znów bogatszy. Zielenieją tu główki kapusty i złotawe kupki po trzy ułożonych cebul. Ale tyle tego, co kot napłakał. Aż śmiesznie na takim dużym straganie. Kupuję tu dwie główki kapusty, po cztery ruble każda, i pcham się dalej.

Właściwie handel zsunął się ze straganów na ten wąski skrawek przejścia między nimi właśnie. Wszyscy prawie z tych wędrujących tędy ludzi mają sami coś na sprzedaż. Przyszli raczej sprzedawać, niż kupować. Oto mija mnie przewieszona przez czyjąś szyję na sznurku para dość nawet porządnych butów. Właściciel ich patrzy przechodniom w oczy wymownie i pytająco, zwracając ku nim nieznacznie, świeżo podkołkowane podeszwy. Ta siwa, zgarbiona kobiecina też nie przypadkiem przewiesiła sobie przez ramię granatowy wełniany sweter. Ktoś ją właśnie zatrzymał, pogadali chwilę, po czym oboje zawrócili śpiesznie i odeszli. Targu dobije się w jakiejś ciemnej sieni, za węgłem czy za parkanem. Tu sunie ktoś strojny w wianek suszonych grzybów. Zawiało lasem i baranim kożuchem… Tam ktoś inny niesie przed sobą pęk niewyprawionych króliczych skórek. Ówdzie ktoś potrząsa niby od niechcenia parą dziecinnych kaloszy. Handel ten, choć jawny przecie, musi być czymś źle widzianym przez władze, bo każdy ze sprzedających ma minę przepłoszoną i dla ubicia targu odciąga też przepłoszonego nabywcę w jakiś zaułek.

Moja wyprawa po łup w Kotłasie skończyła się dość mizernie. Kupiłam owe główki kapusty, tutkę brusznic i szklankę zielonej siekaniny

do palenia. Palenie nawet takiego paskudztwa umie zagłuszyć trochę głód. Bibułek oczywiście nie ma, ale może dostanę gdzieś gazetę.

Szkoda, że gips nie jest jadalny! Mniej głodnych byłoby w Rosji! Na każdym prawie placyku bieleje ów bohaterski Lenin na słupku. Muszą więc mieć gipsu dość – gipsu czy tego czegoś białego, z czego lepią te swoje propagandowe kukły. Gdzie spojrzysz, jarzą się też nad szarzyzną i martwotą ulicy rozkrzyczane napisy: „Proletariusze wszystkich krajów – łączcie się!”. Szmata jest zawsze czerwona jak wsyp na pierze, litery musiały być kiedyś białe, dziś jednak pełne już są plam i zacieków rozmokłej na deszczach czerwieni. Niektóre z tych szarf wiatr pozawijał i tak zaplątał, że stały się brudnym, zwilgłym rulonem.

W pustych witrynach sklepów, opasany girlandami czerwonej bibułki, króluje nieodmiennie chytrze podśmiechujący się Stalin. Jedynym, co w każdym sklepie dostać możesz na pewno, to będzie jego życiorys. Szukałam zapałek. Nie dostałam ich. Ale za te kopiejki, które kosztowałoby jedno ich pudełko, mogłam była, jak nic, kupić książkę. Propagandową oczywiście! Pozbawione towaru sklepowe półki bieleją nieuleczalnie od stosów taniej – bezprzykładnie taniej w Rosji – książki. Bije się je w milionach egzemplarzy i sprzedaje za kopiejki. Widocznie głód wiedzy rozpiera masy! Sowiecki reżym pokonał wreszcie osławiony rosyjski analfabetyzm! Krzyczy się o tym na cały świat. Tak. Istotnie pokonał. I to jest imponujące. Imponująca też jest chytrość tego gigantycznego wyczynu. O cóż bo właściwie chodziło? O umysłowe podniesienie warstw?

O rozwój, o wykształcenie, o rozszerzanie horyzontów? Jeżeli tak, to w minimalnym chyba stopniu. Pokonanie analfabetyzmu, owo budujące udostępnienie książki wszystkim, miało się stać przede wszystkim jeszcze jednym tłokiem, którym, na równi z radiem, można pompować i pompować w społeczeństwo – propagandę. W Chersoniu jeszcze miałam

sposobność przerzucenia antologii współczesnych pisarzy Związku. Książka gruba jak cegła, w której reprezentowani byli pisarze wszystkich republik. Paręset nowel, a każda jak propagandowy afisz. Nic i nic, tylko to samo aż do ogłupienia. Fałszowanie historii, tendencyjne przekręcanie faktów, przy konsekwentnym przemilczaniu różnych niewygodnych prawd – oto wszystko. Komuż książki takie rozszerzają horyzonty? Kogo uczą samodzielnego myślenia? Nikogo! Naprawdę nikogo! Pod pokrywką postępu i cywilizacji nabijają umysły jak but na prawidło, odbierając im kompletnie możność swobodnego rozwoju. A o to właśnie chodzi.

Ciekawa jestem bardzo, jak wyglądają tutejsze duże miasta? Choć katają mnie po tej Rosji od roku przeszło, nie widziałam dotąd żadnego. Naczytałam się jednak o nich dość w owych ilustrowanych czasopismach w Chersoniu. Zdaję sobie zatem jasno sprawę, że jeżeli chodzi o „wielkie życie" Rosji, ja – z perspektywy zwolnionego z łagru więźnia, pętającego się oto po takiej zabłoconej, prowincjonalnej dziurze – nie mogę mieć o wielkich centrach ani sądu, ani zdania. Próbuję więc wierzyć na ślepo, że gdzieś tam, w tej dalekiej, wspaniałej Moskwie jest i dobrobyt, i kultura, i wolność, i radość. Jest nawet przepych. Kolejkę podziemną zamiast kafli wyłożono płytami malachitu! Moskwa ma teatry, place, ogrody, pomniki, nowe rządowe gmachy, uczelnie. Kreml to bajka! Aktorzy nieporównani! Balet jedno cudo! Dobrze. Ale podobne rzeczy bywały już za carskich czasów. Wiadomo. Wielkie rosyjskie miasta iskrzyły się od kawioru i musowały od szampana. Cóż się zmieniło? Tyle chyba, że kto inny korzysta dziś z tych cudów. Że – o tyle szczuplejszej, a już znikomej wprost w stosunku do ogółu – garstce tych, którzy doszli do władzy, jest dzisiaj równie dobrze, jak było przedtem – tamtej. A masy? A czarnorobocze masy? Te, w imię których rzekomo walczy komunizm? Tym chyba nigdy – i mimo wszystko – nie było tak źle, tak głodno, tak smutno i tak beznadziejnie! I chyba nigdy mniej się z nimi liczono.

Dlaczego np. zamiast okładać malachitem kolejkę w Moskwie, nie położono najzwyklejszego chodnika w Kotłasie?

Nie śni mi się przecie, że po takich dziurach gnieździ się właśnie gromadnie sam proletariat, podczas gdy Moskwę zamieszkuje elita – komunistyczni burżuje posiadający chyba drugą parę butów na zmianę. Ci tu mają płytkie kalosze przeważnie i pławią się w błocie po kostki. Albo dlaczego zaczęły władze od wznoszenia wspaniałych rządowych gmachów po wielkich miastach, a nie od pobudowania masom czystych, jasnych domków w miejsce czarnych i wilgotnych, jakie się widzi tu? Przecie na zdrowy rozum tak by należało, choćby dla przyzwoitości. Tyle że przyzwoitość tak głęboko w kraju nie obowiązuje już ani nie opłaca się w Rosji. Tu nie przyjeżdżają ani wycieczki z zagranicy, ani dyplomaci, tego się nie filmuje, nie rozgłasza. Ciekawa jestem bardzo, czy który z zachwycających się Rosją obecnych dziennikarzy błąkał się kiedy tak swobodnie jak my po tych niereprezentacyjnych kątach Związku? Czy pozwolono któremu jeździć sobie, gdzie by chciał, bez właściwie nastawionego przewodnika? Wątpię. Może byli tacy, którym się zdawało, że to robią, ale to było tylko złudzenie. W Rosji – jak już mówiłam – obcokrajowiec może zobaczyć to jedynie, co władze chcą, by zobaczył. Mają przygotowane stoiska, całe obłaście, całe wystawy urządzone na pokaz dla zagranicy. I tylko tam dopuszczają gości. Toteż oni widzieli na pewno mnóstwo rzeczy, których ja nie widziałam wcale. Jestem jednak głęboko przekonana, że ja dla odmiany widziałam rzeczy, których by nigdy nie pozwolono oglądać im! Oni rozmawiali z – wyuczonymi jak papugi właściwych odpowiedzi – robotnikami, stypendystami, uczniami i dziećmi, ja – z bezimienną szarą masą nie samych bandytów i nie zbrodniarzy, jakich by się może należało spodziewać po tiurmach, ale także ludzi tylko bezbronnych, tylko nieszczęśliwych, tylko zastraszonych, którzy się w tej tiurmie nareszcie przestali bać i zaczęli szczerze mówić

prawdę.

Ośmielam się zatem twierdzić, że ten, kto nie widział tej mojej Rosji, a zachwyca się tą od frontu, tą na pokaz, tą malachitową, rozreklamowaną, zakłamaną, propagandową, czy ten, kto wierzy, że komunizm dba w istocie o tę najszerszą, proletariacką czarną masę – ten błądzi, fatalnie, naiwnie i niebezpiecznie.

Cóż z tego jednak, że ta stojąca przed pustą witryną, w kocu na grzbiecie i ręczniku na głowie, zabłocona łachmaniarka, którą widzę w szybie, ośmiela się to twierdzić?! Omotany czerwoną bibułką gipsowy Stalin drwi sobie z niej kpiąco i zwycięsko… A może nie tylko z niej? Może z całego naiwnego świata? I pewnie.

Późnym popołudniem jesteśmy wreszcie na dworcu. Doktor zdobył dla naszej grupy pół wagonu, ma już jego numer i teraz trzeba tylko odszukać ten wagon na torach.

Musieliśmy wczoraj dochodzić do dworca od przeciwnej strony. Nie widziałam bowiem tego, co zobaczyłam dziś. Wszystkie przejścia, wszystkie skwery, wszystkie sady, ogródki i perony zawalone są uchodźcami. Leży to na gołej ziemi, na mokrych kamieniach razem z tobołami, piernatami, dziećmi. Wzdłuż płotów, wzdłuż murów, wzdłuż dojazdowej ulicy. Wrzask, płacz, krzyki dzieci. Od tygodni i miesięcy czyhają tu na pociągi. Nie wiem, co lepszego czeka tych biedaków gdzie indziej i dlaczego płot, beton czy błoto innego dworca miałyby być lepsze od tego. Coś ich widocznie gna, coś zmusza do pchania się dalej, coś sobie obiecują po tej wabiącej ich smugami szyn dalekości.

W chwili, kiedy dochodzimy do dworca, musi chyba taki upragniony pociąg odjeżdżać właśnie. Wszystko w obłędnym pośpiechu i wrzasku ładuje na grzbiet zabłocone tobołki, bety, dzieci, naczynie i rusza ślepą od rozpaczy i determinacji ławą ku peronowi. I tam dopiero rozpoczyna się walka, tratowanie, obłęd. Znika człowiek, zostaje masa – najstraszliwszy,

stugłowy potwór! Mam w pamięci czyjąś spoconą twarz o wyduszonych na wierzch wysiłkiem oczach, bezradny, pełen śmiertelnego lęku wzrok zgubionej w tłumie staruszki i blade, wytrzeszczone zdumieniem, jak u konających, oczy niesionego na kocach paralityka. Nikt na nikogo nie ma tu względu. Każdy walczy jak o życie. Tu rozsadzona ciążą kobieta, blada, o twarzy posiekanej kosmykami rozlatanych na wietrze włosów, taszczy resztką sił nożną maszynę do szycia. Ówdzie dziewczyna wątła i wynędzniała gnie się pod ciężarem drutami omotanej paki. Jakiś wysoki mężczyzna spycha ją z drogi. Odtrącona paka wali się na idących obok. Krzyk, płacz. I pakę, i dziewczynę zalewa bez śladu tłum. Piekło – istne piekło! W dodatku pociąg rusza. Wolno, ale niewątpliwie. Szara masa wisi jeszcze u jego niemiłosiernych, nabierających rozpędu członów, jeszcze się wlecze za nim parę chwil. Jakieś chude ręce wybuchają z czarnej głębi rozsuniętych drzwi, czyjś wrzask przeraźliwy wyszarpuje się nad tłum. To kogoś rozdzielono. Część rodziny zdołała wepchnąć się do pociągu, reszta została. Pociąg zaczyna tykotać i robi się coraz groźniejszy. Biegnący jeszcze wzdłuż peronu ludzie nie mogą już nadążyć. Odpadają, zostają. Zostali. Tłum się rozpełza powoli. Przy szynach, twarzą w błocie, leży jakaś kobieta i wyje.

Ruszamy teraz my przez opustoszały właśnie, cichnący tor na przełaj, ku tamtej czarnej, wydłużonej masie wagonów. To gdzieś tam podobno. Pociąg ma swój numer, który doktor zna, ale ponieważ tych czekających tu eszelonów mnóstwo po torach, nie bardzo wiemy, gdzie szukać naszego. Plącząc się więc tędy i tędy, zaczepiamy po drodze kolejarzy, pytając o kierunek.

Widzę tu pierwszy raz sowieckie kobiety zajęte na kolei. Gdyby nie czerwona chorągiewka, gwizdek w ustach i opaska na ramieniu, nikomu by pewnie do głowy nie przyszło, że to wszystko państwowe funkcjonariuszki. Wyglądają dosłownie jak nasze straganiarki z małego

miasteczka. Chustka omotana ciasno wokół głowy i szyi, spełzły płaszcz czy fufajka, perkalowa spódnica i kalosze. Lata to po torach, przełazi popod wagony, gwiżdże, macha chorągiewką, a zapytane, umie tylko ramionami rzucać. Widząc ich potem pełno na wszystkich dworcach, zastanawiałam się nieraz, czy brak jakiegokolwiek uniformu wypływa z braku materiału na jednolite umundurowanie, czy jest znowu chytrym manewrem – optycznej tym razem – propagandy? Szary tłum, owo ogłupione hasłami dno narodu – widząc te nieróżniące się niczym innym od nich samych sylwetki funkcjonariuszek państwowych po dworcach – nasiąka może podświadomie przekonaniem, że Rosja naprawdę jest rajem dla proletariatu, że on nią rządzi i kieruje, że go komunizm wydźwignął i równouprawnił, że upaństwowił niejako – z samego szacunku dla swych pracujących warstw – ogólny szubrawy ich wygląd. Taka tania, naiwna satysfakcja za wszystko inne! Mundur, guziki i czapka, w połączeniu z dającą władzę nad szybującymi pociągami chorągiewką i gwizdkiem, mogłyby budzić zazdrość, stwarzać przedział, podjudzać do goryczy, zestawień, myślenia. A tak – trzy pieczenie przy jednym ogniu: żadnych kosztów jednolitego umundurowania, wspaniały atut propagandowy i zamydlenie naiwnych oczu.

Znajdujemy wreszcie nasz wagon. Doktor raz jeszcze sprawdza numer. W porządku. Wagon jest tak samo duży jak ten, którym jechałyśmy ze Starobielska. Otwarty oboma drzwiami na przestrzał, nie robi już wrażenia grobu. Ale ponieważ jest równie duży, na 40 dusz dostajemy do dyspozycji tylko jedną jego połowę. Drugą zajęły zwolnione z zesłania polskie rodziny wysiedleńców.

Noc jest prawie zupełna. Wysoka łukowa lampa przecina skośną smugą nasz wagon na pół. Tym czarniejsze, tym bardziej nieprzeniknione stały się jego boczne, pełne ludzi kieszenie. Na szczęście słyszę dużo kobiecych głosów. Nie będę więc tak zagubiona i sama w naszej męskiej

grupie. Obejdzie się bez Raciszewskiej! Musi tu być dużo dzieci. Ciemność jest pełna ich popłakiwań, tłumionych przez przyciszone głosy starszych.

We względnym spokoju i porządku rozkładamy się po naszej stronie. Wszystkie trzy półki w głębi zajmują Żydzi. Podłogę i środkowe dolne półki Ukraińcy. Nas dziewięcioro pakuje się na najwyższą, pod sufitem. Dostać się tu można po chwiejnej, rozlatującej się drabince, a wczołgać tylko na czworakach. Pierwsza od ściany kładę się ja, obok doktor, dalej pan Stefan, pan Szczepan i kapitan L. Nazwisk ani imion czterech pozostałych nie pamiętam. Ciasno jest tak, że leżymy wszyscy kantem, wyprężeni jak struny. Nie ma mowy o jakimkolwiek zgięciu kolan czy podkuleniu nóg. W dodatku ja, leżąc pod samą ścianą, rozpłaszczam sobie dosłownie profil o deski. Deski te są stale wilgotne od skroplonego na nich oddechu. Siąść tu – ani sposobu. Tuż nad nami jest sufit.

I tak – dnia 3 października, około godziny 9 wieczorem, wyruszamy z niezapomnianego Kotłasu. Wagony kołaczą, koła huczą, dzieci z przeciwka popłakują na wszystkie tony, ale to nic. Wierzę naiwnie, że jest to ostatni etap przed dostaniem się do wojska i że na pewno droga nie potrwa długo.

Trwała trzy tygodnie. Dokładnie: trzy bez jednego dnia. Dwadzieścia dni gniecenia się w tej ciasnocie pod sufitem, dwadzieścia dni niemycia się, nierozbierania, wszy, głodu, zimna, zmęczenia, poniewierki.

Vis-à-vis nasze to przeważnie rodziny osadników kresowych i leśników. Pierwszy raz stykam się więc z przedstawicielami tej milionowej rzeszy, która w zimie 1940 roku została siłą wywieziona w głąb Rosji. Włosy dębem stają na głowie, kiedy się słucha, co ci biedacy przeżyli. Każda prawie rodzina przeszła inne koleje, toteż słuchając ich teraz, łatwo sobie odtworzyć całość ich gehenny.

Siedzieli sobie – Bogu ducha winni – spokojnie po gajówkach czy

małych gospodarstwach rolnych, kiedy weszli Sowieci. Nie należąc wcale do zamożnej warstwy społeczeństwa, nie mając za sobą żadnej działalności politycznej, pewni byli, że im od tych nieproszonych „przyjaciół" nie grozi nic. Poddali się wszystkim nakazom okupacyjnych władz, uczęszczali na mityngi, płacili podatki. Co sobie myśleli, co czuli, czego pragnęli – tego oczywiście nie było poznać na zewnątrz. Jedyna rzecz, której nie ukrywali, to było przywiązanie do religii. Konstytucja, z którą siłą zaznajomić się musieli na mityngach, głosiła zresztą wolność wyznaniową. Nie przeczuli, że Sowieci zdają sobie jednak dobrze sprawę z wrogiego ich nastawienia i nieprzejednanej nienawiści do najeźdźcy. Wiedzieli, że jedynym sposobem „odpolszczenia Polski" będzie pozbawienie jej Polaków. Z diabelską perfidią umyślili więc nie ludziom odebrać kraj, ale krajowi – ludzi.

Plan swój przeprowadzili nagle, podstępnie, jednej nocy na całym okupowanym terenie. Była to ta noc właśnie, którą odchorował prawie Habicha. Dziś – słucham opowiadań o tej zbrodni widzianej od tamtej, dotkniętej tym nieszczęściem strony.

Znienacka, nocą zaskoczonej wsi dano pół godziny czasu na zebranie się, po czym cała jej ludność, załadowana na sanie, w trzaskający mróz milami wieziona do kolei, zapakowana została do pociągów. Nie przepuszczono nikomu. Brano starców i niemowlęta, kaleki i matołków. Spędzano z łóżek rodzące kobiety i kazano im włazić na sanie. Ciągnięto obłożnie chorych i sparaliżowanych. W takiej skazanej na zagładę wsi czy osadzie nie miała prawa zostać żywa dusza. Bydło i inwentarz przechodziły automatycznie na własność państwa, by stać się zawiązkiem przyszłych kolektywnych gospodarstw. Ofiarą padały przede wszystkim czysto polskie wsie i kolonie – oraz żołnierskie, kresowe osady.

Wywieziono też wtedy wszystkie rodziny leśników, gajowych i resztki kryjącej się po wsiach i leśniczówkach, wyrzuconej z dworów i folwarków

polskiej inteligencji. Milicja, która została użyta do tej czystki, składała się przeważnie z miejscowych Żydów, Ukraińców komunistów oraz nawiezionej chyłkiem na ten właśnie okres sowieckiej milicji z Kijowa. Ludzie ci musieli mieć bardzo różne instrukcje albo też rzecz zależała w zupełności od tego, na kogo się trafiło. Jedni nie pozwalali nawet włożyć na siebie cieplejszego ubrania, inni znów dawali zabierać wszystko, do sprzętów domowych włącznie. Nie każdemu jednak udało się dowieźć na miejsce zesłania zabrane z kraju mienie. Niektóre pociągi zostawały na granicy polsko-sowieckiej poddawane urzędowemu rabunkowi. Może chodziło też i o to, aby się ludność sowiecka nie miała okazji przekonać, jak wygląda owa osławiona nędza chłopów pańskiej Polski w zestawieniu z dobrobytem sowieckiego „raju". Każda pierzyna, każdy worek ze zbożem robiły przecie niewłaściwą propagandę. Dość, że pod pretekstem rewizji kazano się niektórym transportom przesiąść do innego eszelonu, bez rzeczy oczywiście, których już nigdy nie zobaczyli.

Wieziono ich tygodniami i miesiącami, w zaplombowanych wagonach. Wody nie dostawali prawie wcale, jedzenia również. Żyli tym, co przygodnym towarzyszom niedoli pozwolono zabrać z sobą. W niektórych wagonach stały wprawdzie piecyki – była przecie zima – ale opału zabrakło już po kilku dniach. Paliło się więc wszystko, co z posiadanych w wagonie rzeczy dało się spalić: skrzynie, paki, stołki… Ale potem i to się skończyło. O piekle tej drogi trudno dać pojęcie. Dzieci zamarzały po kilkoro jednej nocy. Sine, zesztywniałe trupki wypychało się przez zakratowane okienka i wyrzucało w śnieg. Zdarzały się i porody – w mrozie, na gołej podłodze. Byle sznurek, byle scyzoryk musiały przy tym wystarczyć. Nie było wody, aby te dzieci chrzcić.

I szły te upiorne pociągi, jeden za drugim, aż poczerniały od nich wszystkie linie kolejowe, wszystkie arterie łączące cywilizowany świat z tym złowrogim, azjatyckim kolosem. Potem rozpełzły się po niezliczonych

obłaściach, od Archangielska po Kołymę, by rozsiać zrabowanych ludzi małymi grupkami po lasach, tajgach i stepach. I wtedy, kiedy już mieli ich w ręku, gdy wszystko było zdane na ich łaskę i niełaskę, zaczęto z nich pompować siły i życie. Starzy i młodzi, chorzy i małe dzieci zmuszone tam były pracować. Kto nie pracował, ten nie miał prawa korzystania nawet z tych – pożal się Boże jak zaopatrzonych – posiołkowych sklepów i kantorów. Póki były jeszcze rzeczy z domu, ludzie ratowali się sprzedawaniem ich. Każde prześcieradło, ręcznik, poduszka, para butów, pończochy, ubranie czy suknia to tam – majątek! Od miejscowej ludności można było za to kupować mleko, jaja, grzyby czy miód. Ale potem i to się skończyło. Ratowały ich jeszcze żywnościowe paczki, które nadchodziły z kraju. Znikoma jednak ilość tych masowych wysiedleńców zostawiła kogokolwiek w Polsce.

Warunki mieszkaniowe mieli straszne. Robactwo żywcem ich jadło. Pchły, kleszcze, pluskwy i zatrzęsienie nieznanego w Europie owadziego paskudztwa. Po kilkanaście dusz gniotło się czasem w jednej – z błota i nawozu ulepionej – klitce. Wymieszany przez nich samych i z błotem w lecie ubity wielbłądzi nawóz, czyli tzw. kiziak, był jedynym opałem tych, których los pchnął w bezkresne, bezdrzewne stepy. Z niektórych stepowych osad jechać trzeba było do kolei sto i sto kilkadziesiąt wiorst.

Zwłaszcza w pierwszym roku śmierć dziesiątkowała ich po prostu. Małe dzieci i starzy ludzie marli jak muchy z głodu i wycieńczenia. Z posiołków do szpitala było zawsze za daleko. Albo nie można było dostać koni, albo wiedziało się, że chory tej drogi nie zniesie. Na szczęście szkorbut nie dawał się im tak we znaki jak nam po więzieniach. Gdy przyszła pora jagód, dosłownie żyli nimi. Tych, którzy pracowali w lesie, ratowały znów grzyby. Nieraz jednak całe rodziny potruły się nimi. Małe dzieci zbierać musiały żywicę, jagody i te grzyby właśnie. Musiały odrabiać normy jak dorośli, by dostać swój przydział chleba. Matki, w

mrozy zwłaszcza, nie puszczały dzieci do lasu na zbieranie gałęzi, co było znów obowiązującą robotą w okresie zimowym. Ale wtedy musiały swoją pajką chleba obdzielić całą rodzinę. Miejscowa ludność odnosiła się do nich na ogół życzliwie, o ile któraś z tych grup nie dostała się między półdzikie, stepowe szczepy. Ci umieli nie tylko rabować, ale zdarzały się też wypadki mordu. Jak zawsze najgorsze jednak były władze. Karano bezwzględnie najdrobniejsze niedociągnięcie, spóźnienie się, odkażanie od roboty z powodu choroby czy wycieńczenia. Duży procent tych zesłańców, zwłaszcza młodzi, nadający się do pracy w łagrach chłopcy i dziewczęta – bywali aresztowani pod byle pozorem i na byle czyj donos. Rzadko kiedy udało się już potem rodzinie trafić na ich ślad. Wsypani w miażdżącą maszynerię sowieckiej sprawiedliwości, przepadali jak kamień w wodę…

Jakkolwiek na ogół los wszystkich tych ludzi był do siebie podobny, bywały i tu różnice. Wszystko zależało od tego, ile kto rzeczy zdążył zabrać z domu i na jaki posiołek i w jaką okolicę się dostał. Im wyżej na północ, im dalej na wschód – tym bywało gorzej. Najlepiej jeszcze było tym, którzy nie minęli Uralu, a nie zostali też wywiezieni daleko na północ. W europejskiej części Rosji, w pobliżu lasów i nie tak daleko od świata, komuś zwłaszcza, kto miał jakiś fach w ręce, stanowczo łatwiej było wyżyć.

Ot – tacy Pacheccy na przykład. Ich dwoje i dwóch chłopców. Czternastoletni Zygmunt i siedmioletni Zbyszek. Jakkolwiek i im było bardzo ciężko, jakkolwiek warunki w porównaniu z tymi, w jakich żyli u siebie na kolonii, były straszne – przecie udało im się ocalić trochę zabranych z Polski rzeczy, poduszek, naczyń i ubrań. Ona – ujmująco miła, łagodna kobieta, zaradna i zapobiegliwa jak mrówka. Od brzasku krząta się wokół swego małego gospodarstwa, rozstawionego na pace w kącie wagonu. On – chłopisko czarne, chude, w baraniej, rzadko kiedy

zdejmowanej czapie, trochę tetryk, nudziara, a przede wszystkim egoista – siedzi na pace obok i dogaduje żonie. Pracował w Rosji w tartaku i musiał sporo zarabiać, bo nie sprzedał ani butów, ani futrzanej czapy, ani nie kazał żonie posprzedawać pierzyn. Widzę też, że kupują na stacjach pomidory i owoce dla dzieci, zatem muszą mieć też trochę zaoszczędzonych rubli. Pachecka ma w skrzyni parę wianków suszonych grzybów i kilka butelek czarnych jagód w cukrze. Nie musiało im zatem być najgorzej.

Na pewno jednak źle było Galikowej. Skulona na zabłoconej pierzynie, otoczona czworgiem wiecznie głodnych dzieci, siedzi martwo, zgarbionym grzbietem oparta o ścianę wagonu. Choć jej duże, cygańskie oczy żarzą się od stałej gorączki, wyraz twarzy ma zrezygnowany, bierny, tępy. Zabili jej męża, a ją z czterema córkami, z których najmłodsza ma dopiero teraz trzy lata, wywieźli z osady jak tylu innych. Pracowała w lesie przy ścinaniu drzewa, światami od kolei. I nie na próżno. Jej suchotniczy kaszel przedziera się nocami przez łoskot kół i desek, głuchy, typowy… Miała niedawno wybuch krwi. Jest żółta i przejrzysta jak wosk. Prócz brudnej pierzyny bez poszwy, na której gnieżdżą się wszystkie razem z zabłoconymi nogami, prócz czterech podartych sweterków i chustki na głowę nie ocaliła z rzeczy nic. Wysprzedała się do koszuli. Z naczynia została jej jedna obita miska, żelazny garnek, czajnik bez rączki i parę łyżek. Wie, że ma gruźlicę. Wie, że to zaraźliwe. Niemniej tka w wiecznie głodne dzioby małych nadgryziony przez siebie chleb czy kartofel i wszystkie piją z jednego garnuszka. Kiedy jej któraś z tamtych kobiet zrobiła raz rozsądną uwagę na ten temat, wzruszyła ramionami.

– Im prędzej pomrą, tym dla nich lepiej. Skończy się ich męka…

Robi wrażenie osoby, w której nieszczęścia wypaliły już nie ochotę do życia, ale po prostu instynkt samozachowawczy. Ona chce umrzeć. Chce! Chciałaby tylko, by dzieci pomarły przed nią. Spokojniej byłoby jej umierać. Co pocznie na świecie ten biedny drobiazg sam? Śmierć

to dla nich jedyne wybawienie. Mała Tereska ma od miesięcy zjadliwy katar kiszek, płacze dzień i noc, karmiona w dodatku surową kapustą, pomidorami i ciężkim chlebem. Na każdą uwagę Galikowa wzrusza chudymi ramionami i pyta z bezgraniczną obojętnością, co ma dziecku dawać, skoro nie ma zapasów, a po drodze w najlepszym razie dostać można tylko jarzyny? Argument dość przekonywający. Na niektórych stacjach sprzedają po parę łyżek kaszki manny, ale i to prawda, że zdrowemu trudno się do takiego bufetu dopchać. Parę razy poczciwy pan Szczepan, zziajany i wymaglowany, przyniósł małej trochę tej kaszki. Pachecka dała dla niej garść suszonych borówek. Galikowa nawet nie dziękuje i pyta, skąd ma wziąć drzewo, aby te jagody zaparzyć. Gdyby nie przeświadczenie, że jest to istota zupełnie zmiażdżona, i to tak fizycznie, jak moralnie, bezradność jej i apatia mogłyby irytować. Myśl jednak, co musiała przejść matka, aby się zdobyć na pragnienie śmierci czworga własnych dzieci, zatyka człowiekowi usta i tylko w gardle dławi. A małe, jak na złość, są śliczne. Jedna ładniejsza od drugiej. Może najstarsza Marysia, ta, na której jedenastoletnich barkach ciężył na pewno współtrud zesłania, niczym – prócz wychudzenia – nie zwraca uwagi. Ale tamte trzy wyjątkowo wprost ładne. W życiu nie widziałam oczu, które by miały ten kolor, co oczy siedmioletniej Zosi. Mahoń – jarzący się, złocisty mahoń pod gęstą grzywą równo z brwiami uciętych włosów mających ten sam mahoniowy odcień. Pięcioletnia Janka odziedziczyła oczy matki, czarne i smutne, tak samo jak wiecznie zapłakana Tereska. Nie wiem, czy to dzięki tym łzom właśnie oczy jej są podobne do mokrych, czarnych czeremch. Jedno z nich zmętniało młodym, narastającym bielmem. Zupełnie jak taka psująca się na świętojańskim deszczu przejrzała kleparówka.

Nie mam nic do roboty i całymi dniami obserwuję tamtą połowę wagonu. Uderza mnie odmienność naszych dzieci od tych, które widywałam w Rosji. Kiedy sobie przypomnę zmiętą, złą twarz szkuta

z sangrodka, płaskie gębusie dzieci skipera czy te różne w przelocie spotykane w Kotłasie, muszę stwierdzić z prawdziwą satysfakcją, że polskie dzieci – choć wynędzniałe teraz, brudne i schorowane – różnią się wybitnie od tutejszych, w których – żeby tam nie wiem co – czuje się i poznaje Azję. Mongolskie naloty przysiadły już zbyt grubą warstwą słowiańskie podłoże. Wystające kości policzkowe, skośne oczy, płaskie twarze, drobny wzrost, przede wszystkim zaś wyraz biernej, wschodniej tępoty. Nasze dzieci mają oczy rozbudzone, inteligentne, a zachowanie się ich – mimo łachów, wszy i obecnej nędzy – nacechowane jest delikatnością i wdziękiem. Uderza mnie to naocznie i bezstronnie, kiedy tak leżę na mojej półce i patrzę na Zbyszka Pacheckich. Mieszka wprost mnie na takiej samej desce pod sufitem, po tamtej stronie wagonu. Chłopczyna jest nad wiek rozwinięty i duży. Ze wszystkich też dzieci w wagonie on jeden nie wygląda źle. Przeciwnie. Twarz ma dziecinnie okrągłą i świeżą. Nie darmo poczciwe matczysko o niczym innym nie myśli, jak o tym, by miał wszystko, co trzeba. Oczy ma duże, zielone i uśmiechnięte. Jest też oczkiem w głowie obojga rodziców i robi z nimi, co chce. Nawet stetryczałego ojca zawojował kompletnie. Bojąc się pewnie, aby nie wypadł z otwartego na przestrzał wagonu, zabrała mu matka buty i mały całe dnie spędza, jak jaskółka w gnieździe, wtulony w zwały pierzyn pod sufitem. Nudzi się tam sam jeden i gada głośno ze sobą całymi dniami. Przysłuchuję się tym monologom i zdumiewa mnie inteligencja tego dziecka. Jego pytania, którymi z góry zasypuje cały wagon, choć śmieszne czasem i dziecinne, świadczą jednak zawsze o bystrości i samodzielnym myśleniu.

Zbyszek ma w swoim gnieździe dużą mapę świata i podróżuje po niej palcem i gadaniem całymi godzinami. Czasem znów, na grzbiecie leżąc, nuci cichutko i przebiera w powietrzu nogami w skarpetkach, nogami, z których każda jest oczywiście na ten czas żołnierzem. Ale tak jego

nudy, jak zabawy cechuje zawsze pewna ogłada i delikatność, której na lekarstwo nie mają dzieci sowieckie. Rzecz jest tak oczywista, że nie ma tu mowy o zaślepieniu z mojej strony. Spostrzeżenie to narzuciło mi się samo, toteż je z przyjemnością notuję. Dodać jeszcze należy, że jest to dziecko ludzi prostych i niezamożnych wcale, które rosło i chowało się w małej, kresowej osadzie. Chwała Bogu, że ocalało!

Komendantem tamtej strony wagonu jest Makowski, energiczny – trochę zgorzkniały niski blondyn, jadący z całą rodziną z zesłania. Widuje się go często z białym zawiniątkiem na rękach. Zawiniątko to pełne jest chorego Jasia, a raczej jego nieprawdopodobnie wielkich, pisklęco zastraszonych oczu. Dziecko to urodziło się już w Rosji. Choruje od urodzenia i tak jak mała Tereska Galikowej cierpi na brzusio. Płacze też dzień i noc. Makowscy mają jeszcze dziewczynkę. Uproszeni przez Zbyszka, wtykają mu czasem na górę tę trzyletnią, białą i milczącą Stefcię, a wtedy cały wagon ma zabawę. Zbyszek, galant i szarmant, zabawia swego małego gościa, jak umie i może. Opowiada bajki, recytuje wierszyki, śpiewa. Wyciąga swoje skarby: gwizdek, polskie znaczki pocztowe, guziki z orzełkiem. Mała patrzy na wszystko z należytym skupieniem, szczęśliwa i po swojemu zalotna.

Prócz Pacheckich, Makowskich i Galikowej jadą z nami cztery jeszcze inne rodziny zesłańców. W każdej z nich pęta się jakaś stara ciotka, czy matka i po kilka sióstr żony czy męża. Razem jest ich, tak jak nas, czterdzieścioro. Rodzina Grzybowskich składa się tylko z ojca, matki i dwóch dorosłych córek. To osadnicy z kresów. Bardzo mili, poczciwi ludzie. Uderza w nich przede wszystkim niezmącona pogoda i niespotykany zmysł humoru. Każde ich odezwanie się – zwłaszcza Grzybowskiej do męża – to żart i dowcip. Bawią się ze sobą doskonale. Wszystko biorą od zabawnej strony, siebie, innych i te – wcale niezabawne zresztą – okoliczności. Wszystką nędzę dnia powszedniego, wszelkie

udręki chwili obecnej, niedostatek, ciasnotę i braki umieją przetopić na uśmiech. Cudowne, błogosławione sobie i innym usposobienie! Są przy tym uczynni, dobrzy i rozumni. Lubię ich bardzo. Obie dziewczęta, nasiąknięte stałą pogodą rodziców, życzliwe są światu i obcym. Jedna z nich jest lunatyczką.

Mamy tu zresztą także jedno bezdzietne stadło. To ten młody garbus i jego wesoła żona. Kobieta ta jest zaradna za dwoje, sprytna za troje, a przedsiębiorcza za dziesięcioro. Na każdej stacji musi wylecieć z wagonu, aby coś zdobyć do jedzenia i – co najważniejsze – najczęściej się jej udaje. To główkę kapusty, to kilo kartofli, to szklankę koziego mleka. Parę razy pociąg ruszył, nim zdążyła dopaść swego wagonu. Czepiła się w biegu innego i na następnej dopiero stacji wróciła rozgadana do swego stroskanego niedojdy. Mąż jej ma usposobienie cechujące często ludzi ułomnych. Jest zgryźliwy, kapryśny i bardzo pewny siebie. Mieszkają obok Pacheckich na półce naprzeciw mnie i często nieruchawy garbus zostaje na całe dni na górze, podczas gdy ona upędza się za żywnością dla obojga. Słyszą często, jak obaj ze Zbyszkiem roztrząsają zagadnienia wojenne lub bają dość bezradnie i na oślep o tankach, bombach, motorach.

Tak by mniej więcej wyglądała tamta połowa wagonu.

U nas o wiele gorzej. Zbieranina tu bardzo rozmaita i właściwie prócz naszej półki nie ma się do kogo odezwać. Najgorsze jednak, że odzywają się sami. Soczystość wyrażeń, określeń i tematów, roztrząsanych głośno z jednego końca wagonu na drugi, żarty, dowcipy i kłótnie wprowadzają mnie czasem w duże zakłopotanie, mimo rocznej więziennej rutyny. Tyle że tam były same kobiety. Tu towarzystwo jest mieszane, zatem sytuacja nieraz więcej niż niemiła. Ci ukraińscy mołojcy to przeważnie fornale i podmiejska ćwierćinteligencja. Nie bardzo więc można się dziwić. Kto by się tam liczył z taką jedynaczką, zaplątaną w męską grupę. Moi poczciwi opiekunowie i sąsiedzi zagadują jak mogą, chrząkają, wszczynają

umyślnie głośne rozmowy, aby zagłuszyć tamte. Nie zawsze się jednak da.

Z prowiantem coraz gorzej. Parę tylko razy w ciągu tych trzech tygodni dostaliśmy na większych stacjach przydział żywności, ale zamiast chleba są już tylko suchary. Raz czy dwa razy dali nam po kawałku kiełbasy i zupełnie dobrą rybną konserwę. Sporą puszkę na 10 osób. Jeden jedyny raz tylko czekała na nas na którejś stacji zupa i kasza. Ale to były ostatnie podrygi dobrobytu. Po pewnym czasie nie dają nam nic. Jedna stacja przekazuje nas następnej, następna twierdzi, że to właśnie poprzednia miała obowiązek nas zaopatrzyć. Nie mamy pojęcia, kto jaki obowiązek miał, fakt jednak, że przestali się nami zajmować. Coraz większe rozgoryczenie i coraz większy głód. Mamy już tylko kipiatok, nałapywany z rur po stacjach i po jednym sucharze dziennie. Urzędy po dworcach tłumaczą się tym, że nikt ich nie uprzedził o nadchodzącym eszelonie. Zbieramy zatem po wagonach pieniądze na wspólny telegram do następnego Wojen-Komatu z zawiadomieniem, że transport złożony z tylu a tylu dusz – o ile dobrze pamiętam, było nas 2500 ludzi razem – będzie przejeżdżać o tej a tej godzinie przez tę a tę stację. Nie wiem, czy przypadkiem, czy umyślnie pociąg z reguły nie stawał na takiej uprzednio podanej nam stacji. Przejeżdżaliśmy przez nią z hukiem i fukiem po to, by o parę kilometrów od dworca spędzić długi postój w szczerym polu. Wysłaliśmy z drogi ze cztery takie telegramy. Wszystkie z jednakowym skutkiem.

Zdobycie jakiegokolwiek pożywienia w kolejowych bufetach staje się teraz wprost niemożliwe. Nim pociąg stanie, popielata szarańcza rzuca się w stronę dworca i zatarasowuje sobą wszystkie wejścia, drzwi, korytarzyki i tylko ten się tam dopcha, kto umie deptać i odpychać innych. Zresztą to, co tam sprzedają, nie jest warte takiej walki na śmierć i życie. Talerz gorącej wody z kilkoma plasterkami marchwi albo – w bardzo

wyjątkowych wypadkach – na pół surowy lepioszek czy kawałek chleba.

Na kilku tylko stacjach sprzedawali gorącą kaszkę i wtedy to właśnie udało się panu Szczepanowi zdobyć jej trochę dla mnie i dla małej Tereski. Często też zdarzało się tak, że ci, którzy dopadli bufetu pierwsi, zapłacili za zupę i czekali tylko, by ruszająca się jak mucha w mazi towarzyszka bufetowa wydała im tę upragnioną chochlę lury – musieli nagle wszystko rzucać i, nie doczekawszy się swego, pędzić na złamanie karku, bo pociąg ruszał o zupełnie innej godzinie, niż nam poprzednio podano.

Jesteśmy więc zdani na samych siebie i na zupełny przypadek. Ten to przypadek pomógł na szczęście panu Stefanowi kupić nieduży woreczek kartofli, kiedy – ryzykując ucieczkę pociągu – wybrał się w czasie postoju na pobliski kołchoz. Na kupno ich złożyliśmy się wszyscy troje, tzn. on, doktor i ja, i jedliśmy je potem wspólnie, wydziobując nożem wprost z zasmolonego kociołka.

Niech nikt nie myśli, że zgotowanie w naszych warunkach takiego kociołka kartofli było łatwe! Najpierw musiało się zdobyć wodę. Jeśli to było możliwe, płukało się kartofle wprost pod pompą, najczęściej jednak taki tłum rzucał się z wagonów do studni i tak się każdy bał ucieczki pociągu, że się płukania nie ryzykowało. Dobrze, jeśli udało ci się nabrać wtedy wody do kociołka. Następnie trzeba było uważać, aby się ta bezcenna woda nie rozchlapała w czasie jazdy. Wagony trzęsą bowiem i zataczają się na boki jak pijane. Ale największą sztuką było już samo ugotowanie kartofli! Nie wiemy nigdy na pewno, na jak długo pociąg staje. Zawsze i zawsze ten obłędny strach, że ruszy, nim się człowiek wgramoli na powrót do wagonu. W miarę jazdy jednak wyrabia się jakiś instynkt i wyczucie. Ludzie po czymś poznają, gdzie zatrzymamy się dłużej. I wtedy, w jednej chwili, szara masa wypadłych z wagonów ludzi zalewa cały nasyp. Każdy stara się rozniecić ognisko. Ci targają suche trawy, tamci łamią bodiaki i chwasty, trzeci zbierają trzaski i patyki. Po

pewnym czasie cały nasyp jeży się płomyczkami i wieje smugami dymu.

Z nieprawdopodobną już potem wprawą umiano – kilkoma trzaskami, na wietrze i mgle czy nawet mżącym deszczu – rozpalić taki ogieniek. Na każdy, ledwie wykwitły z dymu, pcha się po kilka czajników i kociołków. Kociołki są przeważnie zrobione z puszek po konserwach, więc blacha jest cienka i woda prędko się grzeje. Aby się jednak nad takim wahającym się na wietrze pazurkiem płomyka ugotowały kartofle, trzeba je trzymać długo nad ogniskiem. A tu iskry pieką, a tu dym gryzie w oczy i ręka trzymająca na patyku kociołek zaczyna ci więdnąć. A zdarza się czasem i tak, że te same kartofle gotuje się za dwoma i trzema nawrotami, na dwóch czy trzech – o dobre kilka godzin jazdy odległych od siebie – postojach, bo pociąg z pierwszego niespodziewanie ruszył. Ale za to apetyt i głód są też potrójne, kiedy się na naszą górkę wtacza pan Stefan, uwędzony żywcem, z osmalonymi często rzęsami i zasmolony tak prawie jak jego kociołek. Bo on ma kociołek, ja mam nóż, a doktor sól. Nigdy tych uczt nie zapomnę!

Nie wiem, jak bym była wyżyła w tej drodze, gdyby nie poczciwość moich sąsiadów. Każde pożywienie musiało być zdobyte siłą i zaradnością. Nie grzeszę ani jednym, ani drugim, więc byłam zdana prawie zupełnie na korzystanie z ich uczynności. Partycypowanie w kosztach było w tych warunkach czymś zgoła symbolicznym, bo nie te głupie ruble decydowały. Przy całej niezdarności jestem też trochę skrępowana tą półką pod sufitem. Zejście z niej na dół było kłopotliwe, nie tyle może ze względu na rozlatującą się drabinę, ile z powodu mojej rozlatującej się garderoby! Wszystko, co mam na sobie, jest jednym łachem. Spódnica w strzępach, reformy w strzępach, w pończochach dziury na dłoń! Wszystkie półki pode mną są pełne mężczyzn, którym muszę dosłownie po głowach deptać, tak schodząc w dół, jak wdrapując się na górę. Robię to więc tylko wtedy, kiedy już naprawdę muszę, i staram się zawsze, żeby

to było o zmroku lub nocą. Niestety zejście z półki to dopiero połowa drogi. Czekało jeszcze człowieka wydostanie się z wagonu, a potem – co straszniejsze – powrót. Na każdym prawie postoju wszystko korzysta łapczywie z okazji. Pod wagonami pełno dzieci. Matki nie pozwalają im odejść w rów czy w krzaki, bo to za daleko. Uważają, że między kołami bezpieczniej. Wszystko kwestia umowy z nerwami. Niepodobna wprost opisać, co się dzieje w chwili, kiedy pociąg przeciągłym gwizdnięciem daje oto znak, że rusza. Poziom wagonu jest zawsze prawie na wysokości twarzy (przystanki w szczerym polu nie mają peronów), a przyparta do wagonu drabinka ledwie się jeszcze trzyma szczeblami. Ku tej drabince zresztą rusza w takich chwilach stado płaczących ze strachu dzieci. Reszta musi wdrapywać się po jakimś łańcuchu albo po bocznych sztabach. W dodatku cały brzeg wagonu jest bardzo wątpliwej czystości. Wszystkie prawie dzieci chorują na żołądki i muszą sobie radzić w czasie jazdy, jak mogą i umieją. Zatem wdarcie się do ruszającego pociągu jest nie tylko niebezpieczne, trudne, ale i brudne w dodatku! Umyć zaś ręce w najlepszym razie będzie można dopiero na następnej stacji, to znaczy za godzinę, dwie lub pięć.

Rzadko kiedy stajemy na samych dworcach. Zwykle wywożą nas daleko poza stację. Rzadko też dlatego wiemy, co to za miejscowość, przez którą nas właśnie wiozą. Najczęściej dzieli nas od dworca i bufetu opętany szmat drogi przez tory i popod całe szeregi innych, ludźmi przeładowanych transportów. Coraz częściej mijamy sanitarne pociągi z wojskiem. Przeważnie jednak bieżeńcy ewakuowani z Ukrainy. Transporty ich są o wiele lepiej zadbane od tych, którymi przewożą Polaków. Przede wszystkim dano im do dyspozycji co najmniej 50 procent wagonów osobowych, po wtóre każdy taki eszelon ma swój osobny wagon-chłodnię. Lodownia taka jest chyba trzy razy większa od naszego bydlęcego wagonu, jest biało pomalowana i ma wysoko sklepiony dach.

Bieleje w czarnym szeregu wagonów jak bąbel mrówczego jaja wleczony przez mrówki. W przepaścistej głębi takiej chłodni urzęduje biało odziana baba, która rozdziela jadącym żywność. Dostają wędzone ryby, kiszoną kapustę, pomidory i ogórki, mięso i chleb. Tyle widziałam, ale sądząc z rozmiarów owych chłodni, przypuszczam, że były tam jeszcze inne artykuły spożywcze.

Parę razy zdarzyło się, że kiedy wracałam od bufetu z pustą miską popod taki jadalny wagon właśnie, owa baba w białym fartuchu, gruba i dobroduszna, nałożyła mi do niej parę garści surowej kapusty i ogórków. Był to jedyny ludzki odruch ze strony tych mijających nas transportów, a i tego nie wiem, czy baba nie wzięła mnie za kogoś należącego do jej eszelonu. Na ogół bowiem wszyscy sowieccy bieżeńcy odnoszą się do nas z nieukrywaną wcale niechęcią. Nie zdają sobie chyba sprawy że żadne z nas nie znalazło się na ich ziemiach dobrowolnie. Może to złość o ten kawałek chleba, który im odbieramy, może jeszcze cień tiurm i łagrów wlokących się za nami – dość, że traktują nas jak trędowatych, obchodzą z daleka i z daleka obserwują pełnymi odrazy oczami. I może trudno się dziwić. Przypuszczam, że widok takiego transportu oberwańców musi być naprawdę bardzo obrzydliwy. Ja już tego nie czuję, bo sama do jego obrzydliwości się przyczyniam. Ale oni – ta jakaś sowiecka inteligencja – na każdym kroku unikają ostentacyjnie wszelkiego zetknięcia się z nami. To pewne, że i my nie szukamy ich towarzystwa, obserwujemy ich jednak tak samo, jak oni obserwują nas, gdy pociągi nasze stoją czasem długo bok w bok koło siebie. Nie wiem, co to może być za warstwa? Nie wieś, to pewne. I nie całkiem małe miasteczka. Kobiety mają malowane usta i paznokcie. Choć zmięte teraz i wymęczone drogą, choć owe czerwone paznokcie miewają często bardzo czarne obwódki, odziane są z pewną pretensją, z pewnym mozolnie pomysłowym brakiem smaku. Urzędniczki? Nauczycielki? Studentki? Nie wiem. Gromadom wiszących

u okien dzieci mówią często o higienie, krzyczą, żeby nie brały do ust brudnych palców – raz było coś o witaminach. Są to zatem osoby mające jakie takie pojęcie o niejednym. A przecież ruchy ich, mimika, intonacja głosu, sposób mówienia, wszystko w nich i wszystko na nich ma w sobie jakąś tak antypatyczną, nieuleczalną wulgarność – i to tę typową, tutejszą kulturną wulgarność, że się otrząsam na ich widok tak prawie, jak one otrząsają się na mój. Sama wulgarność nie zawsze jest winą, ale zdaje mi się, że wina zaczyna się już chyba tam, gdzie się kończy samokrytyka, a rozpucha niczym nie umotywowana, wyniosła zadufałość chamstwa, przeświadczonego, że osiągnęło szczyty. Czy może być coś bardziej irytującego jak niedorozwinięty prymityw powleczony pokostem pseudokultury i pseudocywilizacji?

Ów niewczesny, tani, sowiecki pokost, którym posmarowano tu ludzi – po uprzednim wmówieniu w nich oczywiście, że są gotowi, cywilizowani i kulturalni – odebrał im rozpęd w dążeniu do rzeczywistej kultury, oswoił z łatwizną przez szybkie a rzekome osiągnięcie celu, zmylił ich, zbałamucił, tanio nakarmił ambicję i pozwolił poprzestać z dumą na nieporozumieniu…

Takie właśnie są te mijające nas w osobnych wagonach, wzgardliwe, kulturne Sowietki o brudnych, czerwono lakierowanych paznokciach.

Owe sowieckie transporty prócz chłodni mają jeszcze czasem swoją własną, jadącą z nimi wagon-aptekę. Można w niej kupić aspirynę, hipermangan, krople Inoziemcowa, borową wazelinę, maść na świerzb, sabadylę na wszy, puder i podłe perfumy. Wszystko bezprzykładnie tanio.

15 października mijamy Buzułuk!

Pociąg się nawet nie zatrzymał! Nikt nie wie, co to znaczy i dlaczego tak? Prawie wszyscy mamy skierowanie do Buzułuka! Jakby nam pałką dano po łbie… Żałość i rozczarowanie. Zdumienie przede wszystkim. Dlaczego?

Potem ktoś przynosi wiadomość, że Buzułuk jest tak przepełniony Polakami, że ich już tam nie puszczają więcej. Nie wiemy kto. Nasze władze czy sowieckie? Niepodobna opisać wrażenia, jakie to na nas robi. Nie mamy wobec tego pojęcia, dokąd nas dalej wiozą? Nie mamy kogo spytać, bo każdy tyle samo wie, co my. Komendantowi naszego transportu ktoś pono powiedział, że w Buzułuku brak pomieszczeń i że musimy przeczekać, aż ci, którzy przyjechali pierwsi, wyjadą. Wszystko to jednak mgliste i niepewne. I gdzie mianowicie mamy czekać? Wyglądaliśmy tego Buzułuka jak Ziemi Obiecanej, znosząc wszystkie dolegliwości takiego bydlęcego transportu – a teraz – wloką nas oto dalej, bez żadnych dyrektyw, wyjaśnień czy poleceń. Wielka ogólna konsternacja. W dodatku głód już zupełny. Pamiętam jeden taki dzień, kiedy sobie kaczan kapusty dzieliłam na pół, by mieć coś w zapasie na jutro!

Mijamy Orenburg, mijamy Ural. Zaczyna się Azja.

Pociąg wlecze się przez Kazachstan noga za nogą. Stoi godzinami w dzień i stoi godzinami w nocy. Tak nawykłam do huku i kołatania wagonów, że póki ich nie słyszę, nie mogę w nocy spać. Leżę w ciasnocie i duszności rozpłaszczona o ścianę. Najczarniejsze myśli nałażą na człowieka razem z wędrującymi po nim wszami. Jest tak ciasno, że nawet podrapać się nie ma jak. Wszy rozlazły się po wagonie znowu, a o tępieniu ich w tym mieszanym towarzystwie nie ma zupełnie mowy. Nie rozbierałam się i nie myłam od kajutki skipera ani razu! Czasem pod pompą opłukałam ledwie twarz i ręce. Głód skręca kiszki, a po głowie plączą się natrętne pytania: Co będzie z nami dalej? Dokąd jedziemy? Co z nami zrobią? Kto o nas wie i kto się nami zajmie? Przeczekuję te przystanki, jak się przeczekuje napływy dotkliwego bólu. Dopiero gdy po gwałtownym szarpnięciu wagony rozkołyszą się i rozdudnią znowu, usypiam momentalnie i przestaję wiedzieć o wszystkim.

Dni w wagonie robią się coraz bardziej duszne i gorące. Oblewa nas

piaszczysty step bez końca, suchy, płowy, monotonny. Jak okiem sięgnąć nic i nic, tylko piach i niebo. Od czasu do czasu bure stado wielbłądów, pasących się na nie wiadomo czym. Bo roślinności tu żadnej. Jedyne, za czym oczy pójść mogą chwilę, to owe toczące się z wiatrem duże, złotawe kule pustynnych bodiaków. Nazywa się to perykatypola. Dziwne, uduchowione, złośliwe, piekielnie kolące – nie wiadomo co. Wygląda to i jak kłąb zastygłej, złotawej pary czy dymu. Toczy się przed siebie na oślep, całymi ławami, by zatrzymać się na byle nierówności, chwilą odpocząć i potoczyć znów. Całe zwały takich kul – często wielkości sporego arbuza – widuje się przyparte bezradnie do kolejowego nasypu, przeszkody, której nie mogą widocznie w tym miejscu pokonać, podczas gdy nowe, zaśpieszone, ślepe, nadchodzą i nadchodzą w tę pułapkę od dalekości.

Osobliwe, suche, niegasnące piany jakby, idące od bezmiaru piaszczystego oceanu, pełne tego samego wędrującego niepokoju i wiecznego szukania sobie innego miejsca, co tamte, białe, na wodzie… Raz na nasze nieszczęście ktoś przyniósł do wagonu takiego lotnego jeża. Z bliska jest to jeszcze dziwniejsze: lekkie, dęte, utworzone z misternie wplątanych w siebie, kolących gwiazdeczek, tak czepliwych i zuchwałych, tak zjadliwie pomysłowych w chwytaniu się, czego dopadną, że mieliśmy potem przez tydzień robotę z iskaniem tych mikroskopijnych gwiazd z naszych koców, pończoch, swetrów i włosów.

Siedzę teraz całymi dniami w otwartych drzwiach wagonu, mam nogi wywieszone w krajobraz – i patrzę. Nie. Nie patrzę właściwie. Wlokę po prostu luzem puszczone oczy po monotonnym, wypłowiałym, spalonym słońcem stepie. Niebo nie ma tu żadnego koloru. Jest spełzłe, blade, nijakie. Krztusząca piaskiem i gorącem pustka, nuda i nic.

Czasem przysiada się tu do mnie Wasylenko, cudowny typ chłopka-roztropka z bajki, z którym najlepiej jeszcze lubię rozmawiać.

Jak taką perykatypolę zaniósł go wicher wielkiej wojny z Kaukazu do Polski, tam się ożenił i osiadł w tej samej małej, podkarpackiej, rzeką i lasem pachnącej miejscowości, w której ujrzałam światło dzienne. Zna mój zielony, migotliwy Opór, którym szemrało najcudowniejsze dzieciństwo świata – moje dzieciństwo – zna po imieniu pasma tamtych gór, gorącą ciszę malinowych zrębów i echem rozklaskane, wilgotne, gencjanowe jary. Zna je, pamięta i mówi mi o nich tak, jakby je widział na tle sunącego przed nami stepu. Stąd może nasza zażyłość. Mam teraz i ja swojego krajana.

Pracował w kamieniołomach, gdy weszli Sowieci. Ktoś doniósł, że pochodzi z Kaukazu. Choć miał już od lat polskie obywatelstwo, aresztowali go i wywieźli. Za to tylko, że nie wrócił po wojnie i że śmiał woleć żyć w innym kraju. Przeszedł bardzo ciężkie koleje. Pracował w kopalniach węgla, chorował, głodował, czekał. Nienawidzi ich tak prawie jak my – i gorzej może. Choć kocha swój błękitny Kaukaz, choć twierdzi, że nie ma na świecie piękniejszego zakątka, póki oni będą tam rządzić, nigdy dobrowolnie nie wróci.

Stacyjki, przez które teraz suniemy, są podobne do siebie jak dwie krople wody. Rozróżnić ich nie sposób. Płaski, mały budyneczek i wieża wodna. Wieża wodna i płaski, mały budyneczek. To wszystko.

Pewnego świtu mijamy klinem w piasek wcięty szpic Aralskiego Morza. Tor kolejowy przechodzi bardzo blisko brzegu. Zabłękitniało coś, zasrebrzyło się, powiało wodnym chłodem i zostało za nami. Krajobraz jednak zmienia się tu widocznie. Zupełnie tak, jakby suche dotąd, jałowe piaski zwęszyły pobliże Syr-darii. Pustka zaczyna podmakać znów zielenią. Krzaki, krzewy i nieznajome drzewka otaczają teraz stacyjki. Dużo warzywnych ogrodów przy torze. Pomidory, melony, kawony, ogórki, winniczki. Wschód już zupełny. Ludzie w turbanach i szarawarach, pstrzy, malowniczy. Dzieci noszą płytkie, haftowane czapeczki, dziewczęta po

kilkanaście długich, drobno splecionych warkoczyków, przedłużonych czarnymi chwastami jedwabnych frędzli. Wszystko aż razi kolorami. Tak, jakby ludzie chcieli sobie powetować suchość i monotonię tła – pstre tu wszystko, jaskrawe, soczyste. Po brudzie, szarzyźnie i tandecie Rosji, wypranej chemicznie ze wszystkich naleciałości narodowego charakteru w ubiorze, oczy wyłapują skwapliwie tę kolorowość i lokalną barwę, cieszą się nią – wygłodniałe i spragnione ładnego. Głód skręca kiszki, ale przynajmniej oczy się pasą!

Inna rzecz, że na każdej stacji czy przystanku kupić można teraz owoce, orzeszki, suszone winogrona, suszone morele. Bardzo nas to ratuje. Mamy jeszcze parę rubli i łapiemy, gdzie się co da. W życiu nie jadłam tak słodkich i tak pachnących melonów jak te, które nam pod sam wagon przynoszą smagłe, wielkookie, czarnowłose dzieci. Tutejsze kawony są też o wiele słodsze od naszych, bardziej opite słońcem, dojrzalsze i mocniej w środku różowe. Kupujemy je na wyścigi, bo nie tylko gaszą pragnienie, ale służą nam jeszcze do mycia! Dosłownie! Myjemy się łupami z kawonów. Cała podłoga trzeszczy nam pod stopami od łup tłuczonych pestek i lśni gdzie spojrzeć mokrą czarnością kawonowych ziarnek. Mały Zbyszek obiecuje zrobić z nich matce różaniec, na razie wgryza się tylko od ucha do ucha w różowe półksiężyce.

Na półce naszej kłopot i zmartwienie. Pan Stefan bardzo źle się czuje. Ma silny ból gardła i głowy i kłuje go pod łopatką. Leży nakryty kurtką i posypia niespokojnym snem. Jestem pewna, że ma też gorączkę, ale on twierdzi uparcie, że nie.

Kartofle już się skończyły. Żyjemy kupowanymi na przystankach owocami. Nieraz, w czasie dłuższego postoju, wypadam na targ – na bazar, jak to i tu się nazywa – który rozłożyć się umie w byle gaiku przy dworcu.

Gaiki te są cieniste, przetrzęsione gęsto złotymi cętkami słońca.

Przekupnie w turbanach i kolorowych chałatach, kobiety omotane w zwiewne, dmące się na nich w chodzie zasłony, czarnookie, pstre dzieci, popielate osiołki, owoce i jarzyny – wszystko to mrowi się przed oczyma jak ożyły nagle, zgiełkliwy, nieznany obraz Brangwyna. Pachną dojrzałe owoce, więdnące jarzyny, wyschły w słońcu nawóz i szmaragdowy cień. Człowiek pcha się w pośpiechu między rozłożony na ziemi towar i przekupniów, chwyta błyskiem spojrzenia to czyjś ruch, to jakąś jaskrawszą grupę barw, to znów uczepiony brzegu turkusowo polewanego dzbana kolczaty rozprysk słońca przez liście. Cień maże się po niskich, glinianych misach pełnych oślego mleka, po plaskankach zielonawego w półcieniu sera, po rękach i zasłonie siedzącej w kucki kobiety, która nakłada właśnie w liść kapusty wilgotną, białą grudę. Brunatne przeguby tych rąk zakuły srebrne kleszcze bransolet. Tuż obok, siedzący przy kopcu czarno-zielonych kawonów, śpiewnie wrzaskliwy przekupień rozpłatał oto jeden z nich, by przekonać kogoś, że dojrzały. Srebrzystomalinowe wnętrze, skropione czarnymi pestkami, skrzy się w słońcu soczyście i świeżo. Nad melonami osy. Twarde, rozżarte, nieustępliwe. Wszystko to gra, tańczy barwą, cieniem i blaskiem – blaskiem o takim nasileniu, że masz wrażenie, że wzrok ci się zaostrzył i że lepiej widzisz.

Na naszej półce nowe zmartwienie. Pan Stefan zgubił się nam po drodze. Nie zdążył dopaść pociągu i został. Gryziemy się tym bardzo, bo był chory i sam się już nawet nie wypierał, że ma gorączkę. W dodatku zostawił swoją czapkę. Nie wiemy też, czy miał przy sobie jakie kopiejki, jako że doktor ma naszą wspólną kasę. Z tymi rublami w ogóle bardzo jest krucho. Zaczynamy znów sprzedawać rzeczy. Na każdym przystanku gromada wrzaskliwych tubylców ciśnie się do drzwi wagonu i gotowa by kupować wszystko. Doktor sprzedaje płaszcz, ja ręcznik, prześcieradło i jedwabny szlafrok. Musimy mieć na owoce – nasze jedyne pożywienie.

Nie wiemy w dalszym ciągu, dokąd nas wiozą. Coraz częściej zaczyna

się przebąkiwać, że wobec tego, że nas wojsko nie przyjęło, roześlą nas po kołchozach do pracy. Im głośniej się o tym mówi, tym więcej ludzi zaczyna znikać z transportu. Nasz wagon pustoszeje. Przede wszystkim znikli wszyscy Żydzi. Znikł też na jakiejś większej stacji kapitan L. i jego trzech znajomych. Jeden z nich zostawił mi w spadku pusty siennik. Podarty, stary siennik. Nie przeczułam, że siennik ten będzie bezcennym skarbem, czymś po prostu opatrznościowym w ciągu długich miesięcy, które miały nadejść. Dość obojętnie rozesłałam go sobie na deskach, może nawet trochę przepłoszona możliwością nałapania cudzych wszy. Człowiek często nie umie należycie ocenić pomyślności, która go spotyka!

Na półce robi się coraz przestronniej. Można już podkulić nogi i na wznak się obrócić. Zostało nas tylko pięcioro, licząc w tym nieobecnego ciągle pana Stefana. Jego czapka i worek czeka żałośnie na dawnym miejscu.

Nie wiem, skąd bierze się wreszcie wiadomość, że mają nas zawrócić w jakąś bardzo złą, głodną okolicę, na północ, ku Uralskiemu Morzu. Wszyscy ci, którzy odłączają się teraz od transportu, robią to w nadziei, że może pojedynczo uda im się przecie dostać do wojska, a gdyby to zawiodło, wolą szukać pracy na własną rękę i być bliżej kolei, niż biedować w gromadzie, w zapadłych, odciętych od świata przestrzeniach Karakałpackiej Republiki. Najgorsze, że wszystko oparte jest na gadaniu, na domysłach, na przypuszczeniach. Wyjaśnień nie dano nam żadnych i wiozą nas jak barany, nie wiadomo gdzie i po co. Komendantowi naszego transportu, choć dotarł parę razy do jakichś wyższych urzędników w Wojen-Komacie, odpowiedziano jak zwykle mgliście i wykrętnie. Nie wiemy zatem nic.

Zdajemy sobie jasno sprawę, że formujące się dopiero na terenach Rosji placówki nasze i władze – tak wojskowe, jak cywilne – mają zasięg bardzo ograniczony. Kto wie, czy wiedzą nawet o tych ściekających tu

z północy i przeganianych z kąta w kąt transportach? Domyślamy się też, na jakie przeciwności napotykają i z jakimi trudnościami muszą walczyć. Świadomość ta jednak, choć chroni nas może od rozgoryczenia pod ich adresem, nie ułatwia nam w niczym naszej bezpańskiej sytuacji. Wpadliśmy w jakąś złośliwą historyczną szparę. Jedne władze już się nas wyrzekły, drugie nie miały możności nas przejąć. Jedziemy przed siebie, w niewiadomym kierunku, głodni, zmęczeni, niepewni jutra, bez pieniędzy, z wysprzedanymi na płasko workami.

Gorąco zaczyna być nieznośne. W dzień niepodobna wprost wytrzymać na półce pod sufitem. Schodzę więc na dół, siadam w drzwiach i patrzę. A czasem zamykam oczy i tylko oddycham tym obcym – przez pęd pociągu w ciepły przeciąg roztartym – powietrzem. Strasznie jestem osłabiona. Tak, że czasem trudno wprost znów oczy otworzyć. Pewnie z głodu. A może z gorąca. Głupie jest także to bolące poczucie krzywdy, które od tego miniętego Buzułuka wpięło się człowiekowi w serce i wisi na nim jak śpiący nietoperz na belce. Bo właściwie co? Do kogo ten żal? Kto winien? Chyba nikt. A przecie – pewnie ze zmęczenia i głodu – nie mam siły wydźwignąć się, przejść mimo, nie czuć tej goryczy. Wiem. To idiotyczne. Ale człowiek już taki jest. Choć tego wcale nie chce, ma pod zamkniętymi powiekami coraz częściej łzy. Ale że resztki rozsądku jeszcze się w nim kołaczą, otwiera prędko oczy i studzi je w chłodzie zbliżającego się wieczoru. Zachody bywają tu nagłe, zmroki krótkie i fiołkowe. Potem rozdyma się nad światłem wysoka, gwieździsta noc. Nigdzie nie widziałam, żeby jej było tyle! Nie wiem, czemu tak. Dołem trochę białego piasku, a nad tą płasko bielejącą smugą – kopuła granatowa, usiana ogromnymi gwiazdami. Powietrze pachnie Azją. Jest strasznie daleko i obco.

Gdzieś między Taszkientem a Samarkandą, ku wielkiej naszej uldze i radości – zjawia się na jakimś przystanku pan Stefan. Gonił swój transport

bez wytchnienia, jechał dniami i nocami na buforach, na schodkach, jak się dało, aż oto dopadł go wreszcie. Jest jednak naprawdę poważnie chory i tak zmieniony, że aż żal patrzeć. Dociębił się porządnie w czasie tych awanturniczych jazd, nie jadł nic i ledwie na nogach się trzyma. Toteż wdrapuje się zaraz na półkę i leży odtąd jak zestrzelony, to w gorączce, to w dreszczach, do końca naszej jazdy. Nocami kaszle, aż wagon się trzęsie.

Jest nas już tylko troje na górze. On, pan Szczepan i ja. Doktor odstał. Uznał – i słusznie – że mając fach w ręce, łatwiej znajdzie pracę w pobliżu miast niż gdzieś za światami, na kołchozie. Ja, nie mając żadnego fachu w ręce, nie snuję żadnych samodzielnych planów. Ostatecznie im nas będzie więcej w jednym miejscu, tym nas łatwiej odnajdą, tym łatwiej trafią na nasz ślad, tym prędzej będzie musiał ktoś zająć się nami. Nie jestem dość zaradna ani dość odważna, aby się odbić od transportu i ruszyć samej prosto nosa w Rosję, bez pieniędzy i nie znając języka. Trudno. Nie pierwszy raz poddaję się ślepo i bezwładnie temu, co mnie czeka, nie próbując przechytrzać losu.

Cała nasza strona wagonu jest już prawie pusta. Kilku Ukraińców na dole, nas troje na półkach. To wszystko. Ci z przeciwka, obarczeni dziećmi i rzeczami, nie mogą ryzykować bezplanowej wędrówki narodów. Jadą tak jak ja, gdzie ich pociąg powlecze, coraz bardziej tylko zgryzieni i niespokojni.

23 października dobijamy wreszcie do Faraby, rzecznego portu Amudarii.

Pierwsze wrażenie – straszne! Drugie jeszcze gorsze.

Ogromna, zawalona ludźmi, słoneczna płaszczyzna, rażąca blaskiem i upałem. Uchodźcy z Ukrainy, amnestionowani Polacy, Żydzi, Rosjanie, Ukraińcy, na pół zdechłe konie, parszywe osły, drób w kojkach – co kto chce. Obozowisko rozściela się na piasku, daleko od rzeki. W zamglonym powietrzu rysuje się tylko ogromny szkielet żelaznego mostu, który spina

ze sobą oba brzegi niewidzianej stąd wcale Amu-darii. Właściwie to nie widziałoby się jej znikąd tutaj, bo niepodobna otworzyć oczu. Tak wściekłego wichru, jak ten, który dął bez przerwy cały dzień w Farabie, nie pamiętam po prostu. I głupstwo jeszcze, gdyby sam wiatr. Skośna, boleśnie siekąca chmura piasku, śmiecia i papierów rzuca się z furią na człowieka i nie pozwala mu tchu złapać. Nie wiadomo, w którą stronę się obrócić, aby się od niego uchronić. Wszyscy są wściekli, zirytowani, nikt niczego nie wie, nikt nikogo na wietrze tym nie słyszy, choć każdy drze się jak za rzekę. Tysiące ludzi biwakuje tu pod gołym niebem od tygodni. Meble, pościel, kufry, kołyski, maszyny do szycia, prymusy, drób, chorzy, zdrowi.

W takie to piaskiem nieustannie zasypywane mrowisko wyrzucił nas pociąg i odjechał. Wagon nasz rozpełzł się na różne strony. Na nasypie został tylko ciężko chory pan Stefan, pan Szczepan, ja i wicher. To nie do opisania wprost, co za wicher! Na płacz się zbiera z bezsilnej złości i irytacji. Ogólne rozdrażnienie obozujących tu od tygodni tłumów jest wobec tego aż nadto zrozumiałe. Wszyscy się kłócą, wrzeszczą, rozpychają, jeden drugiego zadeptać by gotów. Ale jakże się dziwić? My przyjechaliśmy w tej chwili dopiero, a już skóra na nas skacze z podrażnienia i złości. To przeklęte wichrzysko, ta niemożność otwarcia oczu, ten piach w zębach i brudne papiery bijące o ciebie jak ptaki. Oszaleć można!

Pchając się rakiem pod brudny tuman, mrużąc oczy i zaciskając szczelnie usta, znajdujemy wreszcie skrawek miejsca w kotlinie pod nasypem.

Przede wszystkim trzeba ułożyć pana Stefana, który ledwie stoi. Żółty, rozdygotany, kaszlący, nie może głębiej odetchnąć, tak go w płucach kole. Zostaję przy nim i przy rzeczach, podczas gdy pan Szczepan idzie na rekonesans i na polowanie za chlebem względnie po kartki na zupę, którą tym nieszczęsnym, głodnym, zsypanym tu rzeszom raz na dzień wydają

bezpłatnie sowieckie władze. Ma się też dowiedzieć o doktora, bo pono jest tu taki.

Trwa to wszystko godzinami. Słońce praży, wicher dmie, piasek w zębach zgrzyta. Nigdzie skraweczka cienia. Upałem tym rozmarzone wszy zaczynają dokuczać nieznośnie. O rozebraniu się i wybiciu ich – ani marzyć. Bo jak? Jestem wtopiona w tłum mężczyzn, dzieci i kobiet na płaskich piaskach, gdzie sobie wszyscy w nosie siedzą. Żadnego krzaka, żadnego węgła, żadnej wyniosłości. Wprawdzie rozpacz doprowadziła tu ludzi do kompletnego bezwstydu, zwłaszcza mężczyzn i dzieci. Rozdziani do naga, tłuką robactwo i bez zająknienia załatwiają się o parę kroków od własnych legowisk. Człowiek jest tak zmęczony, że zobojętniał zupełnie. Nie oburza się już i nie dziwi, tyle że nie zdobył się jeszcze na podobne przekreślenie w sobie wszystkich nabytych czy wrodzonych „przesądów". Jest mu tylko nad wyraz ciężko i okropnie. Głód, wszy, zmęczenie, niepewność, a przede wszystkim to obłąkane, przeklęte wichrzysko! Słońce sunie powoli nad tą gwiżdżącą śmieciem patelnią, pan Stefan kaszle i jęczy, doktora ani śladu.

Nad wieczorem zjawia się wreszcie pan Szczepan, dumny i zadowolony, bo udało mu się zdobyć dla nas chleb. Mamy jeszcze parę cebul w worku i zgłodniali, brudni, zasypani piaskiem, zabieramy się do jedzenia. Ręce z osłabienia trzęsą mi się jak po ciężkiej chorobie i na karton zaschnięte gardło ledwie wie, jak się łyka. Doktora pan Szczepan nie zastał, ale zostawił wiadomość i wskazówki, gdzie nas szukać. Obiecano przysłać go przed nocą i jeśli uzna za konieczne, zabiorą chorego pod jakiś dach. Tak. To byłoby może najważniejsze. Z chwilą bowiem zachodu słońca wiatr ustał jak zaczarowany, ale za to od rzeki idącą wilgocią w oczach po prostu ciemnieje otaczający nas piasek. Nigdzie czegoś podobnego nie widziałam. Dosłownie w oczach! I mało tego. Gruboziarnista rosa obsiada nas wszystkich momentalnie. Robimy się lepcy i kropliści. W

miarę jak zorze gasną, niski, wnikliwy chłód przeć też zaczyna od rzeki.

Czekamy tak na tego doktora do nocy. Nie zjawił się wcale. Czy nie mógł przyjść, czy nie mógł nas odnaleźć, czy ktoś go w drodze zatrzymał, czy w ogóle nie próbował przychodzić – nie wiem. Dość, że nie przyszedł. Musimy więc sami zabezpieczyć jakoś chorego i ułożyć na noc na piasku. Podścielamy mu rzędem wszystkie nasze worki, pusty mój siennik, a potem obtykamy go szczelnie kurtką. Ledwie wie, co się z nim dzieje. Gorączka od niego aż bucha. Sapie krótkim, ostrożnym oddechem, bo każdy głębszy przekłuwa go bólem na wylot.

Przychodzi noc. Zimna, gwieździsta, granatowa otchłań nad piaskami. Obozowisko nasze jarzy się teraz od ognisk. Otwarta, lekko falista, nieogarniona wzrokiem przestrzeń migocze jak cmentarz na Zaduszki. Dokoła każdej pliszy światła zbity wianek do naga rozebranych ludzi. Nie opłaca się bić wszy, zresztą za ciemno na tę finezyjną robotę. Wytrząsa się je wprost w płomienie, a gnidy opala nad ogniem.

Z daleka wygląda to tak, jakby kto za skrzydła trzymaną, rozpostartą gęsią trzepotał nieustannie nad ogniskiem.

Nocy tej nie zapomnę nigdy. Przechodziłam ją całą do świtu. Mieliśmy wprawdzie czuwać przy chorym na zmianę, ja pierwsza, pan Szczepan od północy, ale potem – czy nie mogłam go po ciemku odszukać wśród śpiących kłębków, czy mi go żal było budzić, czy wreszcie nie mając wieszczy, na których mogłabym się położyć, wiedziałam, że i tak nie będę spać – przebłyndałam się na nogach do rana.

Dziwna, niezapomniana noc. Ze zmęczenia i senności wszystko zlewało mi się w oczach i myśli w jedną miazgę. Te wieńce chudych, owrzodzonych awitaminozą golców dookoła ognisk, te opalone, zawszone gęsi, te śpiące na mokrym piasku pokulone postacie, o które potykam się co krok… Dziwnie myląca bywa taka przestrzeń i ciemność rozepchnięta tylko tu i tam pomarańczowymi kręgami ognia. Bardzo łatwo w niej

zabłądzić. Dzięki rozrzuconym w falistym terenie ogniskom, noc poza ich zasięgiem staje się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Czasem błąkam się długo między światłami, nim mi się uda trafić z powrotem do pana Stefana. Śpi, postękując, ale nie potrzebuje niczego. Zatem wracam znów między ogniska, aby się przy którym pogrzać chwilę. Płaszcz na mnie mokrzuteńki od rosy.

Ludzie są jacyś życzliwsi dla siebie, odkąd wiatr ustał. Po całodziennej przymusowej irytacji złagodnieli i nie chce im się widocznie spać. Ten skraj obozowiska to sami Polacy. Przeważnie rodziny wysiedleńców.

Wynędzniałe, chude kobiety trzymają na kolanach do szkieletów podobne dzieci i kołyszą je monotonnym, bezwiednym jakby ruchem, patrząc tępo w płomienie. Wydaje mi się, że na ogół kobiety ciężej przeszły zesłanie. Na ich barkach zresztą spoczywała cała troska i cały niepokój o wykarmienie rodziny. One musiały ubijać się za chlebem. Mężczyźni pracowali, a one nie tylko zmuszone były pracować, ale jeszcze cudem zdobywały to pożywienie, szukały kupców na resztki posiadanych rzeczy, nosiły wodę, spod ziemi wygrzebywały opał. Znać też to na nich aż nadto dobrze. Każda robi wrażenie staruszki… Mężczyźni, choć chudzi, łykowaci i zarośnięci, nie mają w wyrazie tej tępoty, tego osłupienia, tego nadmiernego zdumienia jakby, które w podkrążonych, zawiędłych oczach zostawiło kobietom zmęczenie nad siły i żrąca je miesiącami troska. Są rzeźwiejsi i rozmowni. Palą z namaszczeniem zwitki gazety i gadają. Każdy o tym, co przeszedł, gdzie był, jak mu się wiodło, w jakich warunkach pracował, jakich niesprawiedliwości doznał, co myśli o Rosji. Dużo też o kraju. Wspominają jesienne roboty. Siewy. Kopanie kartofli. Swoje konie. Swoje krowy. Każdy o domu, czy go kto słucha, czy nie. Coś w tych ludziach rozmiękło jakby w pobliżu ognia, złagodniało od późnej pory i ciszy obozowiska. W dzień będą pewnie na powrót źli, zniecierpliwieni, rozdrażnieni wiatrem, słońcem, bezwzględni w walce

o miejsce, o chleb, o pierwszeństwo w ogonku po zupę. Teraz są znowu tacy trochę, jacy pewno byli u siebie, w domu, wieczorem, po robocie. Gościnni i uprzejmi dla obcych. Robią mi miejsce między sobą, proszą, żeby podejść i ogrzać się przy ich ogniu. Pytają, gdzie byłam w Rosji. Mówią mi, gdzie byli sami. Przysiadam się więc i słucham.

A w miarę jak słucham, uświadamiam sobie ze zdziwieniem jedno: więzienie i łagier nie są najgorsze w Rosji. Daleko gorsza jest „wolność”! Ta jej ustawiczna pogoń za chlebem, ta wieczna niepewność jutra, borykanie się z każdym dniem o kęs jakiego bądź pożywienia, walka z życiem nie o życie – bo to do życia nie jest wcale podobne – ale o to przytomne, powolne, na lata rozłożone konanie. W więzieniu, żeby tam nie wiem co, dostawałyśmy tę pajkę chleba i chochlę zupy, i to dostawałyśmy ją za darmo, bez pracy, bez norm, bez ganiania kilometrami do sklepiku, bez wystawania w ogonku. I nie bałyśmy się już. Nie czułyśmy się już tą szczwaną zwierzyną, na którą ciągle coś czyha. Aby jednak zrozumieć w całej pełni, ile nam zostało oszczędzone, trzeba posłuchać, co przeszli ci – co wytrzymały te do tępoty umęczone kobiety, te śpiące na kolanach, owrzodzone, woskowe półtrupki…

Ognisko przygasa. Ludzie milkną. Noc nałazi na człowieka od pleców jak wilgotny, ciężki płaz. Wstaję i zaczynam znów krążyć. Długo nie mogę trafić do naszego kąta pod nasypem.

Nie ja jedna błądzę tak w tej przyziemnej, mylącej ciemności. Raz, szukając drogi między ogniskami, natykam się na małe, w głos rozpłakane dziecko. Chłopczyna ma może sześć, może siedem lat. Jest bosy, w dziurawej koszulinie. Idzie przed siebie i płacze. Zatrzymuję go i pytam, o co mu chodzi? Chce do Anieli! Długo trwa, nim wyłapuję z jego chlipań, że ta Aniela to jego najstarsza siostra. Biorę go więc za rękę i zaczynamy razem wędrować od ogniska do ogniska, rozpytując o tę Anielę. Mały się uspokoił i odpowiada mi na pytania wcale rozsądnie

jak na swój wiek, noc i niezwykłe okoliczności. Przy jednym z ognisk mówią nam, że była przed chwilą jakaś dziewczynina i pytała o brata. Dziecko wstało, żeby się załatwić, i nie wróciło dotąd. To na pewno ona! Wobec tego najrozsądniej będzie siąść tu, w świetle, i czekać. Lepsze to i skuteczniejsze niż wzajemne szukanie się po ciemku. Robią nam miejsce przy ognisku. Sadzam małego przy sobie i zaczynamy czekać. Teraz dopiero mogę mu się przyjrzeć. Nie! Piękny to on już nie jest! Ma bardzo długie podnosie, niskie czoło i małą, okrągłą jak kula głowę. Krótko strzyżone włosy ciemnieją od strupów i jestem pewna, że ruszać się muszą od wszy. Patrzy w ogień i milczy. Rozmowę z nim zaczynam od podstawowego pytania:

– A gdzie twoja mama?

– Nie ma… Umarła.

– Dawno?

– Nie wiem. Zima była i śnieg… Dawno.

– W Polsce jeszcze?

– Nie! – oburza się mały, jakby w Polsce nikt nie umierał. – Na naszym posiołku…

– A gdzie to było?

– No tam, gdzie my byli… Nie wiem…

– I tylko was dwoje zostało? Ty i Aniela?

– Nie. I babcia, i Zosia, i Józek, i Marysia…

– Tyś najmłodszy?

– Nie. Marysia. My mieszkali w jednej stancji na ziemi, jak mama umarła.

– A co mamie było?

– Nie wiem… Leżała i umarła. Mama na łóżku umarła.

– Jak to? Mieliście tam łóżka?

– Józek zrobił. Jedno, żeby mama miała. A jak mama umarła, to babcia

kazała mnie iść spać do tego łóżka – bo straszny był mróz – to ja się bał. Tom ja krzyczał i nie chciał, i nie poszedł. To babcia Marysię i Zosię położyła tam spać. A jak był pogrzeb, to tylko babcia i Józek poszli – bo straszny był mróz. My zostali w domu. Ale było ciepło.

– Jak to było ciepło? Przecie mówisz, że był mróz?

– Ja mówię, że w stancji było ciepło, bo on był bardzo dobry…

– Kto?

– No ten… jak się nazywa… że był nad nami w posiołku… Powiedział, że szkoda desek na trumnę. To babcia bardzo płakała. To on pozwolił zrobić choć krzyżyk, żeby było poznać, gdzie mama zakopana. Sam nawet pomagał Józkowi strugać. To nam było ciepło tego wieczora, bo nam pozwolił pozbierać trzaski, co zostały z tego krzyża, i my sobie zapalili w piecyku, i siedli blisko, i tak się grzali – podnosi na mnie uśmiechnięte niespodzianie oczy na samo wspomnienie tego dobroczynnego, dalekiego ognia…

Znalazła się wreszcie Aniela. Skrzyczała małego za własny strach i za to swoje ganianie za nim po nocy, po czym rozryczanego na nowo powlokła niecierpliwie między przygasające ogniska.

Z wielkim utęsknieniem czekałam tej nocy świtu. Gapiłam się bezradnie w nieznajomą kopułę gwiazd, nie mając pojęcia, od której strony nieba należy się spodziewać upragnionego dnia. Zziębnięte, śpiące, mokre od rosy, ogłupiałe, rozległe czekanie – oto moja pierwsza noc w Farabie.

Wreszcie świt. Nagły, cytrynowy, od razu na całej połowie horyzontu. Niebo jaśnieje wprost w oczach. Z opalowych oparów wytacza się bez zwłoki olbrzymie, pomarańczowe słońce. Ciężka, bezblaska, lekko spłaszczona, jak o zachodzie, żarząca się kula. Teraz dopiero widać, jak mokra była noc. Piasek jest ciemny od wsiąkłej weń wilgoci i ziarnista rosa srebrzy się na gmerających się leniwie ludzkich kłębkach. Cóż –

kiedy równocześnie z pierwszą drzazgą cieplejszego promienia podrywa się też ów przeklęty wczorajszy wicher! Z miejsca. Bez wstępu, bez ostrzeżenia.

Dmie, urywa głowę, rozmiata popioły, gwiżdże w uszach. Za chwilę osuszy piasek i zacznie mieść nim w oczy.

Drugi dzień w Farabie zszedł mi pod znakiem uganiania się po szpitalach za umieszczeniem coraz poważniej chorego pana Stefana. Niepodobna bowiem taszczyć go dalej tygodniami wodą, na Bóg wie jakie losy. Odsyłają mnie od władzy do władzy, od biurka do biurka. Od ósmej rano do dwunastej w południe czekam w ogonie pod okienkiem, gdzie sowiecka wraczka przyjmuje zgłoszenia.

Szpital – to mały ceglany budynek, utopiony w piaskach i upale, precz, daleko za naszym obozowiskiem. Mały hall jest zawalony chorymi, którzy czekają swej kolejki. Smród tu i zaduch niemożliwy. Drzwi na dwór muszą być zamknięte, bo inaczej twardy, łopoczący przeciąg wymiótłby nas stąd niechybnie! Szparami popod drzwi miecie piaskiem, gdzieś aż na środek hallu. Długi, w ślimaka zawinięty ogon chorych pod ścianami, na środku zaś, na kocach, trzech ludzi kona na podłodze. Dwóch na krwawy ponos, jeden na serce. Jego blade jak popiół oczy patrzą w sufit z niesłychanym skupieniem, uwagą, napięciem, podczas gdy wychudłe ręce plączą się po włochatej piersi, same z siebie, bezpańskie, nienależące już jakby do nikogo. Kona tak, dosłownie jak groch przy drodze, omijany niecierpliwie przez dziesiątki zaśpieszonych nóg.

I widziałam tam jeszcze coś, czego do dziś nie umiem sobie wytłumaczyć, ale co przywarło mi do pamięci na zawsze. Zobaczyłam dwóch sowieckich towarzyszy – takich w fufajkach i wysokich butach – wciągających coś po betonowych szpitalnych schodach. Wyglądało to jak dziwacznie oplątany korzeń wykarczowanego starego jałowca. Z początku wleczone po stopniach, tłukło i kołatało tylko o beton, ale

potem – ku dławiącemu przerażeniu – zaczęło jęczeć! Straszny, głuchy, drążony odgłos, jakby jęczał wypróchniały pień. Bo to był człowiek! Nie! Nie człowiek, tylko żywy, straszliwy szkielet, o patrzących oczach i rozdymanych rwanym oddechem żebrach. Wleczono go po ziemi bokiem, za jedną rękę i za jedną nogę, nie dbając wcale o to, że reszta tych zżółkłym pergaminem powleczonych kości nie mieści się w drzwi, że zahacza o ławki, obija się o kanty. Czułam, że robi mi się słabo. W życiu nie widziałam czegoś równie potwornego! Szkielet ten był prawie kompletnie nagi, obciągnięty pełną strupów skórą. Do dziś zachodzę w głowę, co mogło człowieka doprowadzić do takiego stanu? Kto to mógł być? Ktoś żywcem na miesiące zamurowany? Ktoś po tygodniach odnaleziony w pustyni? Ktoś umyślnie głodzony przez niegodziwą rodziną? Zmora! Upiór! Straszydło! Rzucony na podłogę, kulił się powoli jak rozgnieciony pająk, straszliwą pustą miednicą i ziarnistym grzbietem zwrócony ku tamtym, konającym na podłodze. To było straszne! I to bestialstwo obchodzenia się z nim! To traktowanie żywego jeszcze człowieka, jak nie godziłoby się traktować niczyjego trupa. Wszystko jedno, kto to był. Matołek, zbrodniarz, dziad, przybłęda. Dyszał jeszcze – wiedział – rozumiał! Przytomne spojrzenie głową po betonie wleczonego trupa prześladowało mnie potem miesiącami. Co musiał czuć, patrząc tak na świat od spodu, do góry nogami? Co musiał myśleć, mając bezbronną głowę na poziomie tych – tuż obok twarzy szurających – butów?

Wystawienie na widok publiczny tego wolnego obywatela radzieckiego Sojuzu nie było widać po myśli władzom. Uczuli sami, że to dość wątpliwa propaganda. Zjawiła się siostra. Znów po podłodze przewlekli nieszczęśnika na małą, oszkloną werandę obok hallu i zastawili parawanem. Nie zdaje mi się jednak, aby można parawanem zasłonić zbrodnię przed oczyma sprawiedliwości Bożej!

O dwunastej docieram wreszcie i ja pod okienko. Proszę o przysłanie

lekarza. Wykluczone. Chory musi sam przyjść, a jeśli uznają, że to konieczne, przyjmą go do szpitala. Tłumaczę, jak umiem, że chodzi o kogoś, kto jest ledwie przytomny, i że szpital oddalony jest od naszego obozowiska dwa do trzech kilometrów. Wzruszenie ramion i zatrzaśnięcie mi okienka przed nosem.

Gnam więc z powrotem przez grząskie, rozświstane piaski, drę się przez płoty i rowy, by skrócić sobie drogę, a wszystko w obłędnym pośpiechu, bo nikt z nas nie wie, gdzie i kiedy ładować nas będą dalej. Na szczęście zastaję „w domu" pana Szczepana, który, dumny ze znów zdobytego na dziś chleba, zostaje przy rzeczach, podczas gdy ja z poczciwym Wasylenką bierzemy pod łokcie chorego i krok za krokiem, po kostki w gorącym piasku, odprowadzamy go do szpitala.

W hallu nie ma już tamtych trzech na kocach, ale złowrogi parawan na werandzie stoi. Wszystkie ławki zajęte. Sadzamy więc pana Stefana na ziemi pod wieszadłem i czekamy. Kolejka bez końca zatem i to czekanie trwa godzinami, a musimy czekać i my, bo a nuż go nie przyjmą i trzeba go będzie prowadzić z powrotem. Wreszcie idzie na badanie. Stwierdzają zapalenie opłucnej z wysiękiem, anginę i malarię. Dość jak na jednego. Wezmą go do szpitala, ale dopiero o ósmej wieczór, bo dopiero wtedy łóżko się zwolni. Widocznie chorzy umierają tu o oznaczonych godzinach. Wyprowadzamy więc biedaka na ławkę przed szpital. W hallu powietrze wprost zabójcze. Będzie musiał czekać tutaj do ósmej wieczór. Lecę jeszcze do apteki. Receptę mu wprawdzie dali, ale lekarstwo ma sobie zapłacić sam.

Ze ściśniętym sercem żegnamy go z Wasylenką. Zostaje tu taki sam, z pięcioma rublami w kieszeni, wysiękiem, anginą i malarią! Nie mogę nie myśleć o jego matce i narzeczonej… Próbuje nam dziękować, chce się uśmiechnąć, ale nie ma sił. Tyle dobrego, że przed wiatrem kryje go tu cegielny węgieł szpitala. Niczego więcej nie możemy dla niego zrobić.

W obozowisku ruch i zamieszanie. Kazano się naszemu transportowi jeszcze dziś przenieść do przystani. Pan Szczepan czeka niecierpliwie nad kupką naszych worków. Kupił zapas cebuli – ślicznej, białej jak śnieg, słodkiej tutejszej cebuli w lśniącej jak atłas łupce. Nigdzie tak ładnej nie widziałam. Nasza wspólna kasa, którą on teraz ma u siebie, jest zbyt mizerna, abyśmy sobie mogli pozwolić na kupienie melonów. A te melony, cebula i lekarstwa to jedyne, co można kupić w Farabie.

Droga nas pono czeka długa. Wiozą nas rzeką na północ, do kołchozów pod Nukusem. Nie mam pojęcia, co to jest Nukus, ale nie mam też czasu zastanawiać się teraz nad tym. Zbieramy rzeczy i wbijamy się w szarą ławę wlokącą się piachem ku rzece. Słońce prześwietla tumany złotawego piasku. Arby – czyli wysokie małe wózki na dwóch tylko nieprawdopodobnie olbrzymich kołach – wloką się razem z tłumem, garbate od spiętrzonych tobołków, pak, kufrów i niemogących iść piechotą ludzi. Jestem strasznie zmęczona. Po nieprzespanej nocy cały dzień na nogach, w pośpiechu i niepokoju, a teraz pod zachód ta wędrówka narodów!

Amu-daria – co pono znaczy Szalona Rzeka – rozlewa się tu szeroko między piaszczystymi brzegami. Żelazny most, łączący oba te brzegi, rysuje się ostro w złotawobłękitnym powietrzu jak przerzucony przez rzekę szkielet olbrzyma o wydętej wysoko piersiowej klatce z poplątanych żeber. Kilka otwartych barż, podchlupywanych przez pełną śmiecia wodę, ciemnieje przy brzegu. Mają trochę inny kształt od dotychczasowych. To już nie korab, tylko olbrzymia łódź bez dachu.

Sam brzeg rzeki zawalony ludźmi. Rozłożyli się nad wodą, gdzie namokły nią piasek ledwie potrafił obeschnąć nieco na wietrze i słońcu. Odnajduję tu całą prawie tamtą połowę wagonu. Są Pacheccy, Makowscy, Galikowa, Grzybkowscy, zawszona rodzina gajowego, garbus z żoną. Robią nam miejsce między sobą. My – to znaczy teraz już tylko pan

Szczepan i ja, bo z całej naszej grupy zostało nas tylko dwoje. Reszta się gdzieś rozpełzła.

Dowiadujemy się, że dziś nie jedziemy jeszcze dalej. Nawet nie będą nas teraz ładować. Cudownie! Zachód jest ciepły i błękitny, wybieram więc z worka wszystkie brudy, bezcenny kawałek mydła i idę się kąpać i prać nad rzekę.

Rozlana szeroko wśród piaszczystych brzegów, szalona pono w swym biegu Amu-daria wymuliła tu sobie różne łagodne i zrównoważone zatoczki, kanały i odnogi. Wszystko to teraz pełne paplających dzieci, kąpiących się lub piorących swoje łachy ludzi. Woda jest ciepła i błękitna nawet z bliska. Wynajduję mniej zmąconą, odludną zatokę i oto po tygodniach nierozbierania się i niemycia mogę się wreszcie wykąpać! Woda w dotknięciu jest gładka i śliska jak deszczówka. Piorę w niej rzeczy i myję głowę. Na ciepłym wietrze włosy wysychają mi pod rękami. Bardzo błogo wspominam tę chwilę. Nie potrzebuję się nigdzie śpieszyć. Nikt na mnie nie czeka. Nigdzie mnie nie pędzą. Jestem też sama, co czasem bardzo przyjemnie.

Nad brzegiem mojej zatoczki kłębi się wężowisko suchych korzeni, zwiezionych tu rzeką Bóg wie z jak daleka, jako jedyny w tych stronach opał. Spiętrzone tu w wysokie, poplątane zwały, w miarę potrzeby ładowane bywają na arby i rozwożone po bezdrzewnej okolicy. Teraz, w złotawej godzinie zachodu, gładkie a zagmatwane, robią wrażenie gigantycznych, pousychanych ośmiornic, alg czy pająków. I najdziwniejsze, że pachną. Idzie od tych korzeni przyśniony, nieuchwytny zapach, coś niby cynamon czy sandałowe drzewo. Zawiewa, kiedy chce, i mija, nim się go zdoła rozeznać – ciepły, korzenny, egzotyczny. Wyłapując go chciwie z powietrza, uświadamiam sobie nagle, że wącham oto głęboki, nieznajomy Wschód.

Włosy i wyprana bielizna były już suche jak pieprz, gdy dochodziłam

do naszego obozowiska. Osobną radość sprawia w tych warunkach myśl, że ma się w worku pod głową – miast brudów – wyprane, słońcem i wiatrem nasiąknięte rzeczy. Nie będzie to wcale przesadą, gdy powiem, że świadomość taka wpływa wprost na psychikę, że może zdecydować o moralnym samopoczuciu człowieka! Wybite wszy, umyta głowa, wyprana bielizna… Jest wprost cudownie!

„W domu" czeka mnie miła niespodzianka. Oto najpoczciwszy pan Szczepan wypchał mi trawą pusty dotąd siennik. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnął te badyle, dość, że podarty worek spuchł jak bania, trzeszczy i kłuje wyłażącymi z rzadkiej juty kolcami. Nic to jednak! Nie będę musiała spać wprost na mokrym piasku, a wobec tego, że wszyscy śpimy ubrani, mogę przeciągle gwizdać na kolce. W ogóle same pomyślności. Uśmiechnięta łagodnie Pachecka częstuje mnie paroma łykami gorącej herbaty z borówek, które zaparzyli sobie na kolację, mam chleb, mam cebulę – więc dzieje mi się jak królowej!

Mrok spada tu na ziemię cicho i znienacka jak olbrzymi, bezszelestny nietoperz. Nagle ostygły świat klęka w zimną, od rzeki wstającą mgłę i robi się ciężki od rosy, tak jak ja od senności. Rozkładam swój kolący siennik, owijam się kocem pod szyję… Boże! Jak świetnie! Trochę mnie wprawdzie niepokoi bezpośrednie pobliże zawszonych chłopców gajowego, zwłaszcza że leżymy wszyscy ciasno, jedno przy drugim. Ale to trudno. Wesz jest najwierniejszym, nieodstępnym towarzyszem człowieka we wszystkich tych transportach. Sentymentalna, łagodna, flegmatyczna wesz. W porządku. Mnie obłażą wszy, a gwiazdy niebo. Tak widać musi być. Ostatecznie do wszystkiego można nawyknąć.

To moja pierwsza w życiu noc pod gołym niebem. Wczorajsza się nie liczy, bo nie spałam przecie. Marzyłam zawsze, by mieć nad łóżkiem szklany dach i móc usypiać pod gwiazdami. Ot… i mam gwiazdy, tyle że bez dachu… Coś się tak czasem człowiekowi spełni boczkiem na mniej

więcej… Ale to nic. Leżę i szkoda mi usypiać. Puszczona samopas myśl zaczyna mi rozmakać w głowie na słodko i głupio. Nie szkodzi… Jest strasznie dobrze. Cudowny, nieruchomy spokój wszechświata nakrył mnie i garbi się nade mną jak kaboszon indyjskiego szafiru. Niepojęte… Wszystko tam przecie trzyma się ruchem i rozpędem – skądże więc ta zatchnięta, bezszelestna, mroźna cisza? Jest mi powoli tak, jakby dno własnej czaszki zlewało się z tą przepaścistą, wiszącą nade mną głębią i jakbym była tak samo jak ona cała w środku zasypana gwiazdami. Nie wyczuwam już wcale, gdzie kończę się ja, a zaczyna tamto… Powoli robię się ogromna, rozległa i aksamitnie czarna…

I tak to – obsiędziona przez rosę i wszy, jak noc wyścielona gwiazdami – usypiam nad Amu-darią….

Rozdział II
Z południa znów na północ

Nazajutrz, wcześnie rano, każą się nam ładować.

Na kładkę szerokości pół metra rusza ława zdeterminowanych, obładowanych, złych, bezwzględnych ludzi. Pchają się kufry, kołyski, tłumoki z pościelą, rozkrzyczane wniebogłosy dzieci, starzy, chorzy, kaleki. Od razu dwoje spada w wodę. Nic to nikogo nie obchodzi. Na szczęście woda przy brzegu płytka.

Kiedy dopycham się wreszcie ja, moje worki i mój siennik – barża jest już szczelnie wysłana ludźmi. Dopiero z bliska widać, ile się nas tu mieści. Barża jest duża, o czterech otwartych, oddzielnych lukach. Do każdej z nich schodzi się po drabinie stromych stopni. Schodzi się – o ile naturalnie można zejść! Dno tych luk jest tak zapchane, że nie ma gdzie nogi postawić, nie mówiąc już o dwóch! Każdy patrzy na ciebie jak na ciężkiego wroga – i może trudno się dziwić. Kto by lubił, aby po nim deptały czyjeś szmatławe, obce nogi? Dzikie warunki, w jakie nas pchnięto, stanowczo psują charakter.

Staram się przepchać ku Pacheckim, są jednak zbyt daleko. To znaczy są bardzo blisko, ale dognieść się tam niepodobna. Wreszcie pan Szczepan wywalcza dla nas obojga miejsce w lewym kącie jednej z luk. Jest go tyle, że skuleni na naszych workach możemy siąść. Dobre i to na początek. Wiemy z doświadczenia, że kiedy transport rusza, zawartość jego uspokaja się jakoś, rozsuwa, otrząsa i wtedy, zdobywając powoli centymetr po centymetrze, można w końcu zawładnąć przestrzenią konieczną do wyciągnięcia nóg. Człowiek przestał być wymagający. Wystarczy mu tyle miejsca, co w trumnie.

Jedną pomyślność stwierdzam od razu. Skrawek, który zajmuję,

przytyka jedną stroną do czyjegoś dużego kufra. Stąd zatem nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo od cudzych kolan, nóg czy wszy. Nie przewidziałam tylko możliwości ataku z góry – o czym zresztą później… Na razie siedzimy na workach zziajani, zmęczeni i dziękujemy Bogu, że okropieństwo ładowania się jest już za nami!

Brzegów nie widać stąd wcale. Jesteśmy za głęboko na dnie. Nad sobą mamy tylko niebo przekreślone żelaznym trawersem i wysokie obrzeża barży. Między lukami nie ma bezpośredniego połączenia. Musisz się dopiero po schodach wdrapać na lekko spadzisty skrawek blachą obitej burty, która obiega barżę dookoła. Poręczy nie ma tu żadnej. Nic. Po prostu skośna półka i Amu-daria. Tym to chodniczkiem dopiero, drobiąc ostrożnie krokami, dojść możesz do schodków następnej luki. Gorzej, gdy wypadnie przeprawiać się na tamten koniec chodnika do wiadomego drewnianego kojca, wiszącego, jak zwykle, nad głębią…

Barża podzielona jest na dwie połowy wysoką, wznoszącą się z jej dna wieżyczką, z opasanym galeryjką gankiem na szczycie. Pewnie dla nadania sobie powagi ganeczek ten obwiesił się białymi obwarzankami ratunkowych pasów. Sam trzon tej wieży ma w sobie już na poziomie pokładu cztery kliteczki, w których mieszka skiper i obsługa barży. Mijając otwierające się na zewnątrz drzwi, musisz bardzo uważać, by ich nagle od środka nie otwarto. Automatycznie zostałbyś wtedy zgarnięty z wąskiego chodnika w wodę. Na przednim dziobie stoi jeszcze blaszana buda z kuchenką, dostępna niestety tylko rodzinie skipera i obsłudze. Nam wara!

Kiedy pod wieczór barża ruszyła w drogę, luki były już ciche i spokojne. Wszystko zziajane odpoczywało pokotem na ich dnie. Graty, meble i kufry spiętrzono w jedną wysoką piramidę na środku każdej luki, toboły z pościelą rozesłano pod siebie. Zrobiło się zatem przestronniej. Mnie też udaje się teraz rozścielić siennik w całej jego przykrótkiej

rozciągłości. To już ogromna pomyślność. Wprawdzie łażą po mnie jak najęci, ale pocieszam się, że w nocy te promenady ustaną.

Moja druga w życiu noc pod gołym niebem nie wydała mi się już taka błoga! Grzbietem wparta w cudzy kufer, a nosem w grzbiet pana Szczepana, kuliłam się z zimna i, jak parszywy pies, czochrałam do świtu. Wszy bowiem oblazły nas tu z miejsca straszliwie! Czy były zaczajone w deskach i szparach po poprzednich transportach, czy naniesiono je teraz z ludźmi i betami – nie wiem, dość, że wszystko aż chodzi na nas od tego paskudztwa! Mówi się trudno i drapie się dalej…

We dnie słońce pali bez miłosierdzia. Nigdzie ani skrawka cienia. Cała barża rozbiera się do naga i tłucze wszy. Wszyscy mają paznokcie obu wielkich palców zalepione krwią. Matki grzebią dzieciom we włosach wprawnie i bezmyślnie jak małpy. Dawniej, rozmawiając z sąsiadką, robiły pewnie na drutach lub przędły… Dziś iskają dzieci albo jedna drugą. Po prostu przyjacielska usługa.

Choć jej mamy tyle dokoła nas, wodę do mycia i picia zdobywa się z wielkim trudem. Na całej barży jest tylko jedno wiadro, które właściciel pożycza bardzo niechętnie, odkąd dwa inne utopiono w rzece. Sznur jest wprawdzie długi, ale prąd tak podstępny i silny, że musisz dobrze uważać, by wstecz nagle szarpnięte wiadro nie zerwało cię z pomostu. Trzeba też dlatego wody nabierać po trochę i po trochę windować ją na górę. Chodzi mianowicie o to, aby wybitnie człowiekowi nieżyczliwa rzeka nie spostrzegła, że się ją podkrada. Nie można też dlatego wiadra zapuszczać głębiej w nurt, tylko płytko i płochliwie ścinać z powierzchni pobielałe wióry pian. Manewr ten powtarzać trzeba niezliczoną ilość razy, nim kilkanaście stłoczonych na pomoście osób dostanie choć po pół garnuszka wody. Jeśli uda mi się zatem wyprosić jej dziennie tyle, ile wejdzie do puszki po konserwach, uważam się za szczęśliwą i przez los wybraną.

Noce są zimne i coraz zimniejsze. Płyniemy przecież wprost na

północ. Czarny zarys wieży nad nami pruje się przez gwiazdy ogromne, mlecznobiałe, które, choć jedziemy z prądem szybko i nieustannie, są nieustannie w tym samym miejscu nad nami. Ranki bywają mgliste i mokre. Koc i rzeczy, w których śpimy, robią się do rana ciężkie od wilgoci i tylko w załamaniach mają swój normalny kolor. Grzbiety fałdów są siwe od rosy. Za to w dzień upał i takie słońce, że aż wszy oczy mrużą!

Z chlebem krucho. Wydano go nam w Farabie na całą drogę i cały zapas zamknięto w luce pod kuchenką. Nie wiem, czemu połowa tego chleba tam zamokła. Ludzie się burzą i awanturują. Chudy, wąsaty pan w cywilnej czapce, do którego się mówi „kapitanie" – jest komendantem całego transportu. Jedni uważają go za niedojdę, drudzy – za nieuczciwego niedojdę w dodatku. Krzyczą, że sam je suchy chleb, a ludziom daje mokry. Nie mam pojęcia, jaki chleb w istocie jada, to tylko wiem, że my dostajemy taki, który stał się rozmiękłą, zardzewiałą gąbką. Luka, w której go przechowywano, musiała mieć widocznie żelazne dno. Na szczęście mamy jeszcze trochę tego chleba, który pan Szczepan zdobył w Farabie, i parę cebul. Kipiatku nie dostajemy żadnego. Z kuchenki korzysta tylko obsługa barży i sprzedaje nam po 20 kopiejek garnuszek lekko podgrzanej wody. Ostrzegają nas, że to na żołądek najgorsze i że lepiej – jeśli kto musi – pić surową.

Tym razem obsługa barży – to Karakałpaki. Tego jeszcze nie było. Twarze to ma żółte jak szafran, oczy skośne, rozciągnięte na boki szpiczastymi kośćmi policzkowymi, kłapcie cienkich bród i sznureczki wąsów dokoła bladych, szerokowargich ust. Na głowach noszą czapy z czarnego barana. Od nich to właśnie ich nazwa: czarne kołpaki. Ale bo też czap takich nikt jak świat światem nie widział! Dokoła małego jak piuska denka z lamy czy z brokatu stroszy się czarne baranie futro kłakami rozwichrzonymi na boki. Cała jedna skóra z barana idzie na takie straszydło, które ma chyba – licząc te kłaki właśnie – z pół metra średnicy.

Jakaś czarna aureola czy przedziwny, opaczny słonecznik o żółtej twarzy i czarnych, futrzanych płatkach! Straszne to trochę, ale bardzo malownicze. Odzienie noszą pstre i inne od kazachstańskiego. Wcięte żupany szerokim pasem ściśnięte w gibkim stanie i bufiaste hajdawery wpuszczone w wysokie, najczęściej z jasnożółtego safianu zrobione buty. Pstra, trójkątna, spod pasa wystająca chustka zwisa im na jedno biodro albo siedzenie. Nie wiem, po co ta chustka i co ma oznaczać, ponieważ jednak noszą ją wszyscy – i to tak właśnie, trójkątem w dół – musi być ważnym, obowiązującym szczegółem ich ubioru. Porozumieć się z nimi nie można żadnym językiem. Są wściekli z zasady i postanowienia. Spojrzenia, jakie nam rzucają spod półprzymkniętych powiek, mają wyraz nienawiści i lekceważenia. Przecie my jesteśmy w ich oczach niczyim, bezpańskim, nieużytecznym bydłem. A może także wziętymi w jasyr „niewiernymi psami”? Nie mam najmniejszej wątpliwości, że gdyby tylko mogli, pozarzynaliby nas wszystkich i potopili w rzece. Strasznie to dzikie i złe. I swoje własne jakieś i niedocieczone. Obcy, jadowity, wrogi owad, nie ludzie. Kobiet ich nie widuje się nigdy. Raz tylko mignął mi w głębi kajutki pokorny, kolorowy kłębek.

Leżę całymi dniami na moim sienniku i biję wszy.

Na kufrze, o który wspieram się plecami, tuż nad samą głową, dmie mi się pasiaty, brudny piernat. Na piernacie tym odbywa ropną anginę piętnastoletni syn wysiedleńców. Biedaczysko prócz anginy ma jeszcze łajdaczkę matkę – matkę jak z przesadzonej powieści, jak z niezgrabnej bajki, jak z nieprawdziwego zdarzenia – która mu mówi ciągle, żeby już raz zdechł, żeby go zadusiło, beszta, przeklina, odmawia wody. Potwór nie matka! Chłopiec jest półprzytomny z gorączki, jęczy, bredzi, skarży się i popłakuje na jawie i we śnie jak małe dziecko. Cały dzień i całą noc kaszle przy tym z wyżyn swego kufra wprost na mnie. Dosłownie. Zwiesza rozczochraną, pełną wszy głowę poprzez zwały pierzyn i kaszle

mi w twarz. Uchylić się ani uciec nie ma gdzie. Bardzo to przykre. W dodatku chłopczysko śmierdzi jak dudek, bo robi pod siebie. Sam nie ma siły zwlec się z kufra, a matka nie chce mu pomóc, tym mniej zaś wyprowadzić na górę, co by wystarczyło.

Przeprawa na drugi koniec barży do kojca nad głębią jest tak niebezpieczna, że jej – w nocy zwłaszcza – nikt nie ryzykuje. Blachą obity gzyms chodniczka zmienia się w nocy w jeden klozet. Wszyscy załatwiają się, gdzie komu bliżej. Tworzą się osobne ekipy dyżurnych, którzy na zmianę oczyszczają po każdej nocy ten blaszany gzyms. Inaczej przejść by niepodobna. Wszystko choruje na żołądki, bo poi się surową wodą. Cały dzień widuje się bose, półgołe dzieci, siedzące tuż nad skrajem barży. Zabieg ten jest tym bardziej niebezpieczny, że barża nasza raz po raz obija się bokiem o piaszczyste łachy, które czyhają tu wszędzie na zdradliwym dnie Amu-darii. I wtedy nawet starsi tracą równowagę i walą się, gdzie kto stoi.

Czasem, kiedy mi się znudzi bicie wszy, wyłażę z luki na górę. Krajobrazu tu nie ma. Są wydmy, niebo i woda. Dwa tylko kolory zostały na świecie: złotopłowy piasku i błękitny nieba. Woda zaś jest płowa i błękitna równocześnie. Wysokie, gniewne fale, które jeżą się wokół nas, mają nieodmiennie jeden bok płowy, drugi niebieski. Górną połowę świata pod gładkim, turkusowym niebem zalegają więc tylko zwały suchej, sproszkowanej złotości – dolna połowa to ta złotość i ten turkus, tyle że zmieszane z sobą i rozpuszczone w wodzie. Czasem piasek brzegów zbiec się umie w wysokie wydmy, spiętrzyć nad samą wodą, zgarbić, nasrożyć – ale potem się cofa, łagodnieje i rozgładza w równień pustynną, rażącą słońcem i upałem. Sama rzeka rozlewa się wszędzie szeroko i płasko. Dno ma widać bardzo nierówne i płytkie miejscami, bo całą powierzchnię plamią matowe smugi łach, o które z sykiem i świstem ocieramy się na zakrętach. Łachy te są czasem wąskie i krótkie. Zarosłe suchą trzciną,

wyglądają jak ciemię pogrążonego w wodzie olbrzyma o zjeżonej resztką włosów łysinie. Miejscami jednak piaszczyste wyspy stają się tak długie i szerokie, że dzielą rzekę na dwa, trzy i cztery koryta. Kapryśna i zmienna jest pono ta nasza Szalona Rzeka! Łachy biorą się, wiją i nikną, zmieniają kierunek, jak im się chce, tak że niepodobna wytyczyć statkom stałej drogi. Muszą za każdym razem szukać sobie nowej. Czujemy to dobrze, odtrącani gniewnie to przez jeden, to przez drugi brzeg takiego świeżo wymulonego koryta. Barża stale chodzi w zakosy jak pijana. Od stateczku, który nas holuje, dzieli ją długa, stalowa linka, tak że pozostając za nim daleko w tyle barża wyprawia z nami, co jej się żywnie podoba. Od mijanych wysepek zawiewa zgniły smród trzcin, tkwiących czasem w suchym już piasku, a czasem w takim, który, cały popękany, podsycha dopiero na wietrze i słońcu.

Na dnie jednej z luk ustawiono ołtarz. Jest obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, jest jakaś kapa z łóżka jako tło, są dwie świece. Wysiedleńcy poznosili, co kto mógł, żeby ten ołtarz trochę przybrać. Mamy też księdza. Co dzień w białej, po brudnej fufajce spływającej stule klęka przed ołtarzem i rozpoczyna z całą barżą głośne modlitwy. Mszy świętej jednak nie odprawia. Może nie ma przyborów, może sowieckie władze zabroniły – nie wiem. Widuję go jednak często w jakimś kącie barży, obok skulonej na klęczkach postaci penitenta. Spowiadają się przeważnie kobiety, choć widziałam też mężczyzn i chłopców.

Lekarza nie mamy żadnego, a bardzo by się przydał. W każdym prawie kącie każdej luki leżą chorzy. Angina, grypa, odra. Rozstroju żołądka nikt tu za chorobę nie uważa. Długa Krystyna i Mała Staszka z Lidy, które w ostatniej chwili przystały do naszego transportu – są samozwańczymi siostrami. Chodzą od chorego do chorego, robią kompresy i rozdają aspirynę. To wszystko. Innych lekarstw nie mamy. Ponieważ wsiadły, kiedy barża była już zapchana, nie było dla nich miejsca w żadnej z luk.

Śpią przykryte jednym płaszczem na żelaznym dziobie. Rano są tak skostniałe, że nóg rozprostować nie mogą. Krystyna ma twarz jeszcze mniejszą niż zwykle, a Staszce został tylko uśmiech.

Pewnego dnia spostrzegam u któregoś z wysiedleńców brudną, wytłuszczoną książkę. Pytam, co to. *Trylogia*! Pierwszy, zdekompletowany tom *Pana Wołodyjowskiego.* Wpraszam się do kolejki czekających na ten rarytas ludzi – i oto pewnego dnia wojna, Sowiety, Amu-daria, wszy, głód – wszystko to znika bez śladu, a obejmuje mnie dobroczynnym chłodem szmaragdowa zieleń letniczka Imć Państwa Andrzejów, sapania Zagłoby i brzęki pszczół nad dzbanem. Najdroższa, nieporównana, niezawodna *Trylogia*! Umie się ją przecie na pamięć, zna dosłownie dialogi, wie, jaki będzie koniec każdego zdania – a przecie czyta się ją zawsze jak nową.

Toteż kiedy wieczorem wypływam po drugiej stronie tomu, mam wrażenie, żem się zbudziła ze snu. Znalazła się znów wojna i Sowiety, i wszy, i głód, kaszlący na mnie chłopiec, kolący siennik – wszystko! Głowę mam ciężką jak dynia i oczy mnie pieką od blasku, w którym czytałam. Najlepiej będzie zwinąć się w kłębek i przespać parę kartek tej powieści, którą pisze oto los naszym życiem po wodach Amu-darii.

Pokazało się jednak, że to nie samo czytanie tak mnie rozkleiło. Czy to ta angina nade mną, czy zimne już bardzo noce – nie wiem. Dość, że zaczyna mnie rozbierać grypsko zjadliwe a bezkarne. Pod wieczór gardło boli mnie tak, że już przełknąć trudno, kości mnie łamią i głowa pęka. Poczciwy pan Szczepan wydostał gdzieś parę ziarnek hipermanganu i zrobił mi płukanie. Nie chcę płukania, nie chcę niczego. Dajcie mi święty spokój! W nocy mam taką gorączkę, że wszy przestępują na mnie z nogi na nogę jak niedźwiedzie na gorącej blasze.

Właściwie… to lubię mieć gorączkę, byleby niczego ode mnie nie chciano! Leżę pod kocem i głowa mi kipi. Bardzo zabawne być pod kocem z taką własną roztykotaną bezkrytycznie głową, w której dzieją

się niestworzone rzeczy łatwo i płynnie. Wszystko mi jedno, czy to dzień, czy noc… Jeść nie mogę i tak, zwłaszcza że nie ma nic dojedzenia. To niesłychanie upraszcza sprawę… Świat zbiegł mi się do tej własnej, rozłopotanej pod kocem głowy. Gdzieś strasznie daleko ode mnie są jeszcze czyjeś bolące kolana, ale chyba nie moje, bo skądże by się wzięły aż tam? Jest mi całkiem dobrze, byle nikt niczego ode mnie nie chciał…

Aha! Właśnie!

Drugiego dnia mojej grypy, a raczej o drugim, gwieździstym jej wieczorze, kiedy skulona pod kocem, to w dreszczach, to w gorączce, mało co wiedziałam o świecie – całą barżę podrywa nagły rozkaz.

Wysiadać!

Co się stało? Dlaczego? Ano nic się nie stało, tylko jesteśmy u celu. Gwiazdy zawirowały mi w oczach, kiedy z największym wysiłkiem dźwignęłam się na sienniku. Boże dobry! Jakże ja pójdę, kiedy nie mam nawet siły wstać?! Jakże poniosę swoje worki, a zwłaszcza mój bezcenny siennik? I gdzie nas poprowadzą? Jak długo wypadnie nam iść piechotą po nocy? Na myśl o tłoczeniu się, o staniu w ogonie pchających się ludzi robi mi się słabo. Wszystko dobrze, ale co za dużo, to i niezdrowo! Najlepszy pan Szczepan prosi, żebym się nie martwiła, zapewnia, że uniesie swoje i moje rzeczy, i radzi nie wstawać jeszcze teraz, dopiero gdy się wszystko z barży wyładuje. W ten sposób uniknę tłoku, pchania się i zmęczenia.

Parę tylko okruchów zostało mi w pamięci z tego wieczoru. Wiem, że najpierw przesadzili nas na olbrzymią, zapchaną już ludźmi łódź. Stoję na jednej zdrętwiałej nodze i jestem przez kogoś przyparta całym ciężarem do niskiej burty. Mam chwilami wrażenie, że mi kręgosłup przełamią, taki nieopisany ścisk. Potem łódź, ku ogólnemu zdumieniu zaczyna się oddalać od rozmigotanego światełkami brzegu i sunąć ku dużej łasze na środku rzeki. I tam nas wysypują. Jak śmiecie. Pod gołe niebo. Pamiętam nawilgły, sprężysty jak guma piasek pod stopami i ziąb idący po nogach

od jego wilgoci.

W zupełnej ciemności rozległa płaszczyzna ledwie się śni moim ogłupiałym od gorączki oczom. Plamią ją rozrzucone toboły, kufry, grupki zrozpaczonych ludzi. Jak zwykle nikt niczego nie wie prócz tego, że na pewno dziś tu będziemy nocować.

Na lewo, za czarną, szeroką rzeką – parę światełek. Mówią nam, że to Hadżilla. Dobrze. Nukus ma być po drugiej stronie łachy, na tamtym brzegu wideł Amu-darii. Zgadzam się. Czy to nie wszystko jedno, jak się nazywają te miejscowości, do których nas nie chcą puścić? Rozścielam na mokrym piasku mój – naprawdę opatrznościowy – siennik, kładę się, zawijam w koc i mam dalej grypę.

Jest 1 listopada.

I przeleżałam tak wtedy trzy dni i trzy noce we mgle, nałażącej tu na nas od rzeki, w wilgoci, w rosie, pod gołym niebem na piasku.

Pokazało się, że nas umyślnie unieszkodliwiono na tej wyspie, żebyśmy jak zgłodniała szarańcza nie runęli na okoliczne kołchozy i osiedla.

Raz na dzień dowożą nam z Hadżilli chleb stateczkiem. Ileś tam gramów na osobę. Tyle może co po tiurmach, a może jeszcze mniej. Ognia nie ma jak rozłożyć, bo nawet trzcina tu nie rośnie. Piasek jest tak mokry, że leżąc przy nim tuż twarzą, widzę dokładnie, jak bieleje wokół przeczłapujących mimo mnie stóp. Tak samo umie bieleć pod naciskiem kroków piasek zaraz po odpływie. Ma się wrażenie, że stopa rzuca wokół siebie białawe światło. Obserwuję to z bliska całymi godzinami… i staram się nie myśleć o tych, którzy muszą spać wprost na tej mokrej ziemi. Osobiście mogę mówić o szczęściu, bo prócz grypy mam jeszcze siennik! Inni, jeśli chcą się nakryć płaszczem przed rosą i mgłą, muszą od spodu namakać wilgocią. Mało kto ma co podścielić pod siebie. Toteż ludzie są coraz bardziej zrozpaczeni, zdeterminowani – i co za tym idzie, mają coraz

mniej względów na drugiego. Ponieważ leżę bez ruchu, z głową nakrytą kocem, biorą mnie czasem za bezpański tobół, trącają, kopią, przełażą przeze mnie jak przez rzecz. Najgorzej jednak w nocy, kiedy nikt na krok niczego przed sobą nie widzi. Parę razy zbudziło mnie niedwuznaczne bełkotanie piasku tuż przy głowie. Ktoś się po nocy załatwiał bądź gdzie, przed siebie, jak popadło. Walczę więc z sennością i gorączką, ostrzegam zbliżające się kroki, że tu ktoś leży, żeby szły dalej, i boję się zasnąć głębiej… Nie można wiedzieć, co człowieka zbudzić gotowe! Zaczyna mi się z tego męczącego czuwania we łbie mącić. Nie wiem, czy myślę, czy śpię. Wydaje mi się, że cały świat roi się od chodzących na dwóch nogach, zbyt pełno nalanych czajników, że nacierają na mnie z wszystkich stron, że muszę uciekać, bronić się… chować. Nad ranem dopiero usypiam.

Trzy doby takie. Przyjechaliśmy tu na Wszystkich Świętych, a teraz jest już czwarty. Datę tę dobrze pamiętam. Niespodzianie poznaję bowiem, wśród rozsypanych na łasze grup, idącą przed siebie jak we śnie – Marysię! Skądże Marysia?! Przecie zostawiłam je obie z Heleną w Kożwie! Zwiduje mi się chyba… Wygląda istotnie jak stwór. Zostały z niej tylko oczy.

Trudno mówić o radości powitania w tych warunkach. Przyklękła przy moim sienniku, bo z głodu nie ma siły stać. Dowiaduję się, że przyjechały tu zaraz po nas, następnym transportem, i że je wysypano tak samo jak nas, tyle że po drugiej stronie łachy, naprzeciw Nukusa. Są tak wygłodniałe, że ledwie żyją. Od dziewięciu dni dostawały tylko po kawałku chleba, po kromeczce grubości małego palca, i nic ponadto! Helena została przy rzeczach, a Marysia wybrała się szukać znajomych, usłyszawszy, że po drugiej stronie wyspy są nasi. Może uda jej się dostać od kogoś kawałek chleba. Niestety nie mogę jej poratować. Mój chleb wymańciła ode mnie przed chwilą Staszka, przemytnica z Katowic – która pierwsza z tamtej nowej grupy ruszyła na poszukiwania. Nie wiedziałam, że przyjdzie po

niej Marysia, i dałam, co było w worku. Trudno… Musi iść dalej. Może kto inny ma i da… Strasznie mi przykro, ale wiem, że musi iść. Tam Helena czeka jej powrotu, nie może się ruszyć od rzeczy i pewnie jej także słabo z głodu.

I poszła. Wyglądałam jej potem daremnie do wieczora. Może nie mogła mnie odszukać wśród rozłożonych tu, mrowiących się grup, a może, zdobywszy chleb, śpieszyła do Heleny.

Ponieważ ani Hadżilla, ani Nukus nie chciały nas przyjąć, głodni, niemający nic do stracenia ludzie zaczęli się brać na sposoby. Zebrało się kilku zuchów-ryzykantów, wślizgnęli się chyłkiem na stateczek, który przywozi tu chleb, i przedostali się tak na tamtą stronę. Tam ukradli dużą, kazionną łódź i wrócili do nas. Zaczyna się teraz dzika, niebezpieczna przeprawa, partiami, na własną rękę. Rzeka jest szeroka i zła. Nurt pełen wirów i prądów. Mniejsza z tym. Ludzie pchają się do łodzi, gotowi płacić, co by kto chciał, byle wydostać się z tego mokrego, głodnego więzienia na środku rzeki. Obozowisko nasze powoli pustoszeje. Widocznie tamtejsze władze nie połapały się jeszcze. A chłopcy wożą i wożą, rankami, zmrokami, nocą. Nie mają wioseł, bo nie zdążyli ich ukraść, tylko długą, wykręconą żerdź. Istne szaleństwo – ale trudno! Wreszcie czwartego dnia tego manewru – pamiętam jak dziś – późną nocą wracają z Hadżilli z wiadomością, że władze już wiedzą i że po tamtej stronie rzeki czeka przy pomoście zaczajona milicja. Wobec tego przewodnicy nasi umówili się naprzód z całą grupą przewiezionych przez nich Polaków, że w chwili, gdy wracająca ku Hadżilli łódź dobijać będzie do brzegu, oni, niby przypadkiem, zatarasują milicji drogę na wąski pomost. Pustą łódź puści się potem z prądem, a wtedy nikt w ciemności i ścisku nie dojdzie, kto z nas był już na tym brzegu przedtem, a kto teraz dopiero z wyspy się przeprawił. Cały spisek, jednym słowem. To jedno pewne, że ukradziona łódź ostatni raz przeprawiać się będzie za rzekę. Kto nie chce

zginąć śmiercią głodową na wyspie, ten musi siadać i jechać. Zgłasza się nas 20 osób, a łódź obliczona jest na osiem, dziesięć w najlepszym razie (!) i – jak się pokazało – przecieka. Trudno. Niech się dzieje, co chce. Zwlekam się z siennika, przywiązuję sobie worki do szyi, jeden z przodu, drugi z tyłu, siennik biorę na ręce jak dziecko i zaczynam się ładować.

Przeprawy tej nie zapomnę do śmierci. Zdaje mi się zresztą, że śmierć ta była wtedy bardzo bliska nas. Nigdy w życiu nie bałam się też tak, jak wówczas. Ohydne, dławiące, upokarzające uczucie. Dziurawa łódź jest równo z brzegami pogrążona w czarnej, rozkołysanej wodzie. Ciemno – choć oko wykol. Prócz świateł na tamtym, niemiłosiernie dalekim brzegu, nie widać absolutnie nic. Słyszy się tylko bezradne pluskanie żerdzi po wodzie i ciągły, zdradliwy szelest nasączającej się przez burtę wody.

Mężczyźni nieustannie wyczerpują ją z dna. Muszą to robić ostrożnie, bo każdy szybszy ruch waży nadmiernie obciążoną łódź na boki, co połączone jest zawsze z chlupotem wlewającej się w nią na nowo wody. Na dnie mamy jej stale po kostki.

Zdaję sobie jasno sprawę, że mając dwa worki uwiązane u szyi, pójdę – w razie czego – na dno jak kamień. Siedzę więc bez ruchu, wstrzymując nawet dech i bojąc się okiem mrugnąć, podkulam nogi pod ławkę i modlę się jak chyba nigdy w życiu. Silny prąd znosi nas ciągle w niewłaściwym kierunku. Bezradna żerdź nie może ani rusz wytłumaczyć rzece, o co jej chodzi. Mam skórę ścierpniętą ze strachu i wydaje mi się, że jestem od tego o połowę mniejsza. Palce wpięły mi się same w worek tak silnie, że ich wcale nie czuję w zdrętwieniu. Staram się sobie uświadomić, że za jaki kwadrans wszystko się rozstrzygnie i albo dobijemy szczęśliwie do brzegu, albo nas połknie Amu-daria i wtedy będzie już też spokój! Nie mam czasu myśleć o czekającej na nas milicji. To, co jest teraz, jest chyba gorsze od wszystkiego. Ta czarna, oblizująca się na nas tak łakomie woda, to jej niecierpliwe, zachłanne obmlaskiwanie łodzi

dokoła, to wdzieranie się przez burtę – robią z niej coś żywego, złego, coś, co rozdygotane gorączką i osłabieniem nerwy wyolbrzymiają do niesamowitych rozmiarów. To już nie jest rzeka, to już nie jest woda, to już nie jest noc, tylko jakaś czarna, nienawistna siła, która się droczy z naszą bezsilnością, zanim nas wreszcie pochłonie.

Manewr z zablokowaniem pomostu udał się wedle planu. Póki wszyscy nie wysiedli i nie wmieszali się między tamtych, nie dopuszczono do brzegu ani milicji, ani latarni. Podczas gdy przedstawiciele władzy łapali rozpaczliwie puszczoną samopas kazionną łódź – my zbitą, bezkarną w ciemności gromadą gnamy po omacku przed siebie, byle najdalej od brzegu. Zresztą, jak ćmy do światła, ciągniemy do roznieconego w tej i nocy ogniska. Pierwszy ogień od tylu dni! Rozłożyli go tu nasi i biwakują wokół płomieni w gliniastej, zasłoniętej od wiatru kotlince pod urwiskiem.

Człowiekowi naprawdę bardzo mało potrzeba do szczęścia! Wynajduję skrawek miejsca, rozkładam zwilgły na przestrzał siennik, wtykam worek pod głowę i oto leżę jak na puchach. Od ognia bije blask i ciepło, iskry tryskają w czarną, bezgwiezdną noc, za chwilę będę spać. Pan Szczepan, zwiedziawszy się od innych, że są tu gdzieś w pobliżu kopice w polu, zostawia mi oba swoje worki, bierze tylko koc i idzie spać w to siano.

Zapewnia mnie, że kiedy się w nie z głową zakopie, to – żeby pioruny biły – nie zbudzi się do rana. Miałam się o tym przekonać – niestety!

Ogień przygasa. Obozowisko cichnie. Zaczynam spać. Kości łamią mnie jeszcze i osłabiona jestem do ogłupienia, ale to wszystko nic. Mam przed sobą kilka cudownie spokojnych godzin, w czasie których zapomnieć można o wszystkim, a – co najważniejsze – nie jestem już na wyspie!

Musiałam zasnąć, bo po pewnym czasie coś mnie zbudziło. Leżę z nakrytą głową i nasłuchuję. Powolne bębnienie po kocu. Niemożliwe! Deszcz? Jeszcze uszom nie wierzę, ale tak! Na pewno deszcz! Coraz

silniejszy. Słyszę równocześnie, że całe obozowisko podrywa się spłoszone. Ludzie krzyczą, pakują manatki, klną. Istotnie nie ma na co czekać. Kiedy dźwigam się wreszcie i ja, deszcz leje już jak z cebra. Ognisko zgasło. Jest nieprzejrzana noc w zupełnie obcej okolicy. Powietrze szumi już jednolicie i pośpiesznie. Ogarnia mnie rozpacz. Nie mam pojęcia, gdzie uciekać. Prócz swoich dwóch worków i siennika mam jeszcze dwa podrzutki pana Szczepana, w których ukrył wszystkie swoje skarby: serwetkę dla żony, ciepłą bieliznę, naczynie. Nie mogę ich zostawić. Mam takie długi wdzięczności wobec niego, że prędzej siebie odbiegnę niż to jego mienie! To istotnie bardzo szlachetne – ale jak się do tego wziąć?

Słyszę w ciemności chlupot uciekających w różne strony nóg. Trudno nawet prosić kogo o pomoc. Każdy ma siebie jednego dość w takiej chwili. Borykam się więc po ciemku z tobołami. Swoje znam, więc zawieszam je na szyi, jak zawsze, ale te pana Szczepana są obce, oporne i krnąbrne. Nie wiem, jak je chwycić. Nie wiem, za co je nieść. Rozwiązują mi się po ciemku. Nie mogę domacać się sznurków. Mam jeszcze złudną nadzieję, że deszcz wypłoszy z kopicy śpiącego w niej ich właściciela – ale czekać niepodobna. Deszcz leje już tak gwałtownie, że czuję na ramionach napór prażących strug. Gdybym miała więcej siły, jestem pewna, że wpadłabym w furię. Nie da rady jednak. Z samego osłabienia. Glinka pod nogami rozmaka i zaczyna ciężyć na stopach. Jeszcze siennik! Nie! Za nic na świecie nie zostawię mego najdroższego siennika. Zarzucam go więc na plecy, tak że stwarzam sobie rodzaj ciężkiej, na głowie niesionej budy, i jak juczny, ślepy wielbłąd ruszam przed siebie w noc.

Lezę na oślep, nie mając w dodatku pojęcia – dokąd mianowicie. Nie mam żadnego celu przed sobą. Nie słyszę już niczyich kroków. Zostałam widocznie w tyle za wszystkimi. Taszczone w obu rękach worki pana Szczepana strasznie utrudniają mi utrzymywanie równowagi na

niewidzianej, śliskiej drodze. Natykam się na krzaki. Źle. Nie tędy widać. Po chwili nałażę na wysoką skarpę. Znowu niedobrze.

Wreszcie zjeżdżam niespodzianie z jakiejś pochyłości i walę się płasko w rozkisłą, glinianą papkę.

Mam w tej chwili dwie rzeczy do wyboru: albo się roześmiać, albo rozpłakać. Innego wyjścia nie widzę. Nim zdążyłam wybrać – nie bardzo pytając mnie o zgodę, płacz nagle wybrał sam siebie. Leżę w tej glinie i ryczę, aż mnie skronie bolą. Czuję dobrze idiotyzm tego zabiegu, ale naprawdę nie mogę inaczej. Siennik cięży mi na głowie, worek ciągnie ku ziemi i zdaje mi się, że się już nigdy nie potrafię dźwignąć.

Na całe szczęście deszcz się opamiętał. Po krótkiej, szalonej zlewie i jemu widać tchu brakło. Siąpi już tylko drobniutki i wygląda tak, jakby niebu też zlewa ta trochę ulżyła. Zrzuciło z deszczem masywną czarność nieprzeniknionej dotąd nocy i świat rozjaśnił się nieco dokoła mnie. Widzę już granicę między ziemią a niebem, której dotąd nie było.

Jak się wygrzebałam z tej gliny, jak nadziałam znów na głowę upaprany błotem siennik, jak pozbierałam worki – nie pamiętam. Dość, że i po pewnym czasie ruszyłam dalej drogą, kierując się teraz ku mgławym zarysom czegoś czarnego, jak las czy wieś, co się zjawiło daleko, po mojej lewej.

Ku nieopisanej radości, doczłapawszy tam wreszcie, słyszę przyciszone głosy naszych. Dopadli w czasie ulewy chaty na skraju wsi i schronili się pod trzcinowy daszek otwartej stajenki. Jest tu ich tylu, że znajduję miejsce pod samym okapem, tam właśnie, gdzie spływająca z dachu woda ciapie w wybity w glinie rowek. Chwila jednak nie nadaje się do grymasów. Spiętrzam worki możliwie najdalej od tego tuszu, sadowię się na szczycie zabłoconej piramidy i – mokra jak szczur od deszczu, a jak mysz spocona z osłabienia i wysiłku – stygnę na wilgotnym przeciągu, prącym tu zza węgła.

Jestem głęboko przekonana, że gdyby ktoś w normalnych warunkach w ten sposób pielęgnował swoje grypy, dopytałby sobie Bóg wie jakich komplikacji usznych, gardlanych, sercowych czy innych. A ja nic! Jak ręką odjął! Kiedy nazajutrz dobrnęliśmy całą bandą do Hadżilli i rozlokowali się w pustej kuźni, gdzie schroniło się już przed nami mnóstwo rodzin wysiedleńców – jestem jeszcze bardzo osłabiona, ale zdrowa już całkiem.

Wypoczęty, uśmiechnięty, różowy odszukał nas tu pan Szczepan. Składał się, tłumaczył, przepraszał – ale spał jak zabity i do rana nic nie wiedział o zlewie. Nie może pojąć, jak mogłam dotaszczyć sama nasze rzeczy. Mnie też zresztą wydaje się to trudne do pojęcia. Najważniejsze jednak, że je doniosłam wszystkie, że nie zgubiłam niczego i że mam już tę noc za sobą.

Trzeba się teraz rozejrzeć, co dalej. Ktoś nam mówił, że w Hadżilli jest nasza placówka, która rozdaje bezpłatne obiady, i że ma swój lokal, w którym będzie można dostać nocleg. W Nukusie rezyduje nasz Delegat. Gdyby tak dobrnąć do niego! Może by się człowiek czegoś konkretnego o przyszłych losach dowiedział? Na razie trzeba jednak pomyśleć o jedzeniu, bo z głodu mam wrażenie, że jestem cała wydrążona w środku jak wypróchniały pień. Worek na chleb pusty, tylko garść okruchów przesypuje się w nim z jednego rogu na drugi. Okruszki wcale nie są złe, tylko ich zawsze mało i pełno w nich kłaków z worka. Musimy o czymś pomyśleć. Tyle że moje myślenie jest dość jałowe. Pan Szczepan miał już sposobność przekonać się o tym. Sadza mnie więc na rzeczach w możliwie najzaciszniejszym kącie przewiewnej kuźni, a sam rusza po łup. Nakryta z głową posypiam pod kocem, czołem oparta o czyjś kufer. To najlepszy sposób na głód. Mamy jeszcze parę wspólnych rubli, więc ufam, że pan Szczepan przecie coś zdobędzie.

Zdobył! I to nie byle co! Parę garści makaronu! Białego, prawdziwego makaronu! Dwa tylko razy widziałam w Rosji makaron. W Chersoniu i tu.

Zgotowaliśmy go sobie w pożyczonym od Pacheckiej garnku i urządzili ucztę, jakiej od niepamiętnych czasów żadne z nas nie miało.

Hadżilla – to dwa rzędy domków, rozsypanych wzdłuż szerokiej, młodymi osikami obsadzonej drogi. Domki podobne do siebie jak klocek do klocka. Daszek, okienko, ganek i płot. Płot, ganek, okienko i daszek. Oczywiście osiki – bo bez nich żaden z tych domków nie czułby się widocznie kompletny.

Na końcu tej drogi bazar. Bez niego znów głupio czułoby się każde tutejsze miasto. Brudny, błotnisty, z pustymi straganami. Znikł cały przepych owych południowych bazarów. Czasem zazłocą się jeszcze melony, zbyt drogie na naszą kieszeń, zabieleją cebule, zaróżowi marchew, ale to już nie to! Czuć błoto zamiast owoców i ludzi zamiast rozgrzanej zieleniny. Cały egzotyzm Wschodu przepadł bez śladu. Są znów fufajki, chustki na głowach, berety, kalosze. Przede wszystkim jednak szaro tu od Polaków. Nie mając się gdzie podziać, zawalili sobą puste stragany. Dosłownie. Mieszkają na nich całe rodziny. Serce się kraje, co to za nędza! Głodne to wszystko, obdarte, złe, zrozpaczone, bez pieniędzy, bez opieki. Mnóstwo chorych, popłakujących z głodu dzieci.

Za przejazd do Nukusa na drugi brzeg Amu-darii trzeba zapłacić ileś tam rubli, a i tak dobicie się do Delegata jest więcej niż wątpliwe. Ktoś jeździł, wydał ostatnie ruble i z niczym wrócił.

Idąc bazarem, natykam się tu i tam na znajome twarze. Czasem nie umiem sobie przypomnieć, kto to i gdzie go spotkałam. Wychudłą, tragiczną twarz Galikowej poznaję jednak od razu. Powiada mi, kiedy przechodzę mimo, że Tereska już umarła. Niepodobna określić wyrazu jej twarzy, gdy to mówi. Teraz jej Zosia choruje. Ta z herbacianymi oczami i miedzianą grzywą. Idę dalej. Na drugim straganie osiedli Makowscy. Mizerni, bladzi, zmęczeni. Mają coraz większe zmartwienie ze swym wielkookim pisklakiem. Już nawet nie może jeść. Mieszkają na straganie

i nie chcą iść na kołchoz.

Na kołchozy bowiem wybierają stąd ludzi do pracy. Istny targ niewolnikami. Zarządzający okolicznymi kołchozami Karakałpacy zjeżdżają się tu co dzień – straszni, dzicy, w rozwichrzonych futrem czapach – przeglądają ludzi jak bydło, szacują na oko roboczą siłę tych nędzarzy, rachują rodzinom starców i dzieci, zdrowszym macają mięśnie, przebierają jak w ulęgałkach, targują się, kłócą. Rozgadane gardłową, obcą mową te straszne, szafranowe diabły licytują się nawzajem, chcąc pozyskać dla swego kołchozu zdrowszy ludzki materiał. Obiecują lepszy wikt, niedzielny wypoczynek, porządne mieszkanie, mniejsze normy. Choć każdy wie, że to tylko przynęta, raz po raz jakaś grupka ładuje się na arbę, między dwa czarne, wysoko na niebie rysujące się koła, i rusza w nieznane, na głód, wyzysk, poniewierkę. Czarny słonecznik futrzanej czapy trzęsie się truchtem obok konika popędzanego nie batem, tylko przenikliwym piskiem, od którego ptaki się płoszą. Przygnębiający widok! Dziki Wschód, który się oto stał panem cywilizowanego Zachodu. Wśród ludzi wziętych tu w jasyr są przecie profesorowie, nauczyciele, urzędnicy, studenci. Poganiający konika Azjata, nie wiem, czy umie czytać, potrafi za to za kawałek chleba czy miskę gorącej zupy ostatnią krew z nich wydusić. Co chwila taka naładowana ludźmi arba wsiąka w oddal, suchą i żółtą od piasku i przydrożnych bodiaków. Nic się nie dziwię Makowskim, że nie chcą jechać. Mają widać jeszcze trochę rubli i rzeczy i bronią się tej poniżającej, dzikiej niewoli. Niestety niewielu tu takich, których na to stać. Z głodu i rozpaczy muszą się godzić na wszystko.

Mijam ten targ białymi niewolnikami i wedle dość mglistych wskazówek szukam owej Przystani – naszej placówki, gdzie można pono dostać lokum.

Przystań ta albo Sztab – bo i tak to nazywają – to mały parterowy domeczek, cofnięty nieco od głównej drogi i tak jak ona, obsadzony

dokoła osiką. Nie wiem, dlaczego cała Hadżilla pocięta jest siecią głębokich rowów, oddanych tym właśnie drzewkom pod opiekę. Gdzie spojrzysz – rów i osiki. Gdzie spojrzysz – błoto, zasypane twardymi jej cętkami. Pręty już prawie nagie, ale jeszcze tu i tam dygocze na tle nieba płochliwa pozłótka liści.

Wnętrze domku to betonowy korytarz i cały szereg drzwi do większych i mniejszych pokoików. Wszystko pełne takich samych bezdomnych rozbitków jak ja. Nie orientuję się, jakie uprawnienia i możliwości ma ta nasza placówka. W tej chwili jest mi najważniejsze, że w ogóle jakaś jest, że pierwszy raz widzę nad drzwiami biało-czerwoną chorągiew i że będzie się można czegoś o naszych przyszłych losach dowiedzieć.

To zawsze tak bywa. Po bardzo ciężkim, nad siły ciężkim okresie – jakby kto kartę obrócił – przychodzi lżejszy.

W zawalonej ludźmi Przystani zastaję nie tylko Marysię z Heleną, Długą Krystynę ze Staszką i kilka innych z Workuty, ale pokazuje się w dodatku, że komendantem tej placówki jest znajomy mego męża, który w imię tej znajomości – mimo że domek pełniusieńki – bierze nie tylko mnie pod opiekę, ale wszystkie tamte, bliższe mi i dalsze dusze.

Wzięcie kogoś pod opiekę znaczy w tych warunkach wyznaczenie mu skrawka miejsca na podłodze, danie raz na dzień kartki na gorącą zupę i wydębienie u sowieckich władz, aby go puszczono do bani. Na banię tę bowiem czeka się tu tygodniami, bo albo jest zepsuta, albo nieczynna, albo pierwszeństwo ma zawsze ludność miejscowa.

Dzięki osobnym względom komendanta dostałyśmy wcale możliwy kąt między ścianą a piecem w jednym z pokoików Przystani. Mieści się nas tu pięć w rzędzie: Marysia, Helena, ja, Zosia z wąsikami i Kazia z Kulikowa. Ta ostatnia zaręczyła się niedawno. Nigdy nie zgadnę, po co się w tych okolicznościach robi takie rzeczy, ale ona widocznie wie. Duży, zwalisty pan Janek przystał do naszej piątki. Długa Krystyna ze swoją

paczką mieszka w pokoiku obok. Nie wie, że pod tym samym dachem, o dwie ściany dalej, sypia w ścisku na podłodze jej przyszły mąż. Nie zna go jeszcze. Ślub wezmą w kilka tygodni później w pociągu. Matrymonialny bakcyl zdaje się w ogóle unosić w powietrzu. Tydzień temu odbyło się jedno wesele, za parę dni ma być drugie. Popod wszystkim strasznym, co się dzieje na świecie, życie uparcie wymula sobie swoje dróżki. Wszelkiego romantyzmu pozbawione tło naszej egzystencji nie zniechęca go widać wcale, a wyjęcie z zawiasów i odstawienie na bok wszelkich form ułatwia mu tylko zadanie.

Nasz pokój pełen ludzi jak puszka sardynek. W dzień można się jeszcze jako tako przedostać do drzwi, ale kiedy nocą rozłożą się wszyscy do spania, przypominają mi się najlepsze czasy w charkowskiej celi. Niemniej zdajemy sobie sprawę, że los nas wyróżnił. Zabłocony korytarz Przystani zalega w nocy warstwa śpiących mężczyzn. Leżą pokotem na mokrym betonie zziębnięci, kaszlący, głodni, niczyi. Cała Hadżilla roi się od tych nieszczęsnych tułaczy, których zamiast do Buzułuka zwieziono i rzucono tutaj. Garną się do pierwszej polskiej placówki jak ćmy do światła, w nadziei otrzymania jakichś instrukcji, pomocy, opieki.

Placówka jednak mało może. Rano wydaje kipiatok i chleb, wieczór kartki na zupę, wywalcza banię i pozwala – zamiast na straganach – każdemu, kto się zmieści, nocować pod dachem. Poza tym sporządzają jeszcze listy zwiezionych tu mężczyzn. Cały dzień pod kancelarią ścisk i czekanie. Zapisują nazwiska, stopień wojskowy, wykształcenie, wiek. Nikt nie wie, co dalej z tymi listami, w każdym razie ma się uczucie, że coś się przecie robi.

Toteż ruch u nas od rana do późnej nocy. Natykam się tu niespodzianie na wielu przedwojennych znajomych. Niektórym udało się gdzieś zaczepić i już pracują. I tak np. dowiaduję się od spotkanego tu pana Aleksandra, że jest zajęty w sanitarnym naszym ośrodku w Nukusie. Widocznie więc

nie tylko fachowe ręce mogą się w tych warunkach przydać naszym. Piszemy zatem podanie do Delegata, zgłaszając się do pracy. Wprawdzie pan Aleksander z góry nam mówi, że dostać się tam bardzo trudno, cóż jednak szkodzi spróbować?

Mimo całej gościnności komendant placówki uprzedza nas po paru dniach, że musi nas odesłać na kołchoz. Przystań nie ma prawa przetrzymywać ludzi dłużej nad dwa tygodnie. Obiecuje tylko wybadać, na którym z okolicznych kołchozów warunki są możliwie najlepsze, i zapewnia, że nas na zły nie puści.

Chcąc się odwdzięczyć placówce za pomoc, chodzimy prawie wszystkie do kuchni. Ugotowanie choćby zupy tylko dla tyluset ludzi to nie w kij dmuchał! Całymi dniami obieramy więc kartofle i krajemy jarzynę. Olbrzymie kotły pełne w plasterki pokrajanej marchwi podobne są, gdy się silnie zmruży oczy, do mokrych grządek kwitnących nagietków – takie to świeże, soczyste i kolorowe. Te z nas, które chodzą do pracy, dostają nadprogramowy kawałek chleba, czasem kociołek kartofli z cebulą, a przy robocie wolno nam jeść surową marchew. Ile same chcemy. Raz, w nagrodę pilności, dostałyśmy od zarządu placówki po kawałku mydła, innym razem po szklance jagód, wreszcie – jako najwyższą premię – pół szklanki od miesięcy niewidzianego cukru! Inna rzecz, że z cukru tego było więcej kwasu niż słodyczy. Te, którym nie chciało się chodzić do kuchni, zobaczywszy u nas ten nieszczęsny cukier, tygodniami potem wypominały nam zjadliwie to wyróżnienie jako osobistą krzywdę. Cukru zaś było za mało, by się nim z wszystkimi podzielić.

Dzięki ruchliwej zaradności Heleny udaje mi się spławić świetnie na bazarze moje jasne pantofelki na wysokim korku. Wiozę je od Chersonia i wcale nie zanosi się na to, abym je miała sposobność sama jeszcze kiedy włożyć. Helena sprzedaje też swoją suknię – mamy zatem znowu ruble! Kupujemy sobie co dzień po czarce mleka, które – znowu Helena

– umie cudem wytrzasnąć od karakałpackich czy uzbeckich bab łapanych świtem po zapłotkach lub po chałupach. Nie wiem, czy im nie wolno tego mleka sprzedawać, czy go mają za mało dla siebie, dość, że rzecz wcale nie jest łatwa, nawet za pieniądze. Ale Helena zdobędzie zawsze wszystko, co postanowi zdobyć! Zachodzimy z Marysią w głowę, w jakim języku porozumiewa się z tymi babami. Żadna z nich po rosyjsku właściwie nie umie i są raczej w stosunku do nas podejrzliwe i nieufne. Helena jednak po wszystkich trudnościach przechodzi górą jak wiatr po drzewach. Pokumała się już nawet z jedną z Uzbeczek i wraca co dzień z tych rannych gonów z rozwianym włosem, różowa od wiatru, z oczyma zieleńszymi niż zwykle, niosąc na dnie zasmolonego kociołka cudownie białe, tłuste mleko. W przeddzień odjazdu owa pozyskana Uzbeczka po długiej, poważnej przemowie wręczyła Helenie kolorową chustkę – ciemnowiśniową, sporą szmatkę w olbrzymie błękitne gwoździki – na szczęście. Tak przynajmniej zrozumiała Helena i wierzyła święcie, że jej ten talizman przyniesie je naprawdę… Dwa czy trzy razy kupiłyśmy sobie tu melony, a raz popełniamy po prostu szaleństwo! Idziemy do stołówki! Człowiek doprawdy głowę traci, kiedy poczuje pełną kabzę!

Taka sowiecka stołówka – to lokal jedyny w swoim rodzaju. Coś niby dworcowa hala, pełna małych, ciemną ceratą nakrytych stolików. Ściany po sufit zawieszone propagandą: wojenne afisze, napisy na czerwonych szmatach, slogany, hasła, wreszcie obrazy, niektóre wielkości prawie ekranów kinowych. W głębi bufet o pustych szklanych szafkach, brunatna butla ze zwietrzałym piwem, parę szklanek, kilka lepów na muchy i towarzyszka bufetowa. W bufecie tym prócz piwa dostać można jeszcze jaja na twardo. Ceny nie pamiętam, ale nie musiała być bardzo przystępna, skoro – tak spragnione odmiany w pożywieniu – zdobyłyśmy się na kupno czterech tylko! Zamówiłyśmy sobie za to jajecznicę! Jak szaleć, to szaleć. Oddawszy bon we właściwym okienku, siadamy przy jednym z

ceratowych stolików i czekamy, rozglądając się po tej ponurej hali.

Nie. Te obraziska na ścianach mogą człowiekowi naprawdę apetyt odebrać. Cóż to za gruba, bezczelna blaga! Tu – ojcowsko uśmiechnięty Stalin ściska rękę jakiejś wypasionej, strojnej stachanówce. Tam różowe, dorodne dzieci – dzieci, jakich na oczy nikt w Rosji nie widział – wieńczą kwiatami portret Lenina. Indziej błogo uśmiechnięta staruszka w schludnym, jasnym pokoju słucha radia. Tu komsomolec w skórzanej kurtce jeździ na traktorze. Szczęście proletariatu w pracy, w domu, w szkole, dobrobyt, pogoda, radość, zapał, wdzięczność dla reżymu. Jednym słowem wrzaskliwa, tania, ordynarna blaga, i to – wbrew wszelkiej oczywistości – tak białą nicią szyta, że już nawet nie irytuje. Człowiek najwyżej wzrusza ramionami.

Zastanawia się tylko zdumiony, gdzie się podziała rosyjska sztuka. Nie śni się przecie nikomu, że była. Gdzie są malarze i artyści? Wiadomo, że wszelkie talenty i wszystkie sztuki w Rosji wprzężono w rydwan propagandy. Sztuka dla sztuki – to burżujski wymysł przecież! Reżym uznaje i popiera tylko taką, która się bez reszty sprzedała sprawie. Dobrze więc – ale gdzie ona jest?! Bohomazy, które widuje się po dworcach, stołówkach i oknach sklepowych, to jedna obraza boska. Same knoty, gwazdrony, kicze! Przyjmijmy, że wielka sztuka nie dociera wszędzie, że znaleźć ją można w istocie po wielkich miastach, w stolicy. Ale afisze? Afisz jak mucha dolatuje wszędzie i obsiada wszystko. Nie widziałam ani jednego, który by – prócz wiadomo jakiej treści – zawierał coś ponadto, miał jakąkolwiek wartość artystyczną, kompozycyjną, inwencyjną, kolorystyczną. Kto je komponuje? Jakim pacykarzom powierza się ich wykonanie? Kto je zatwierdza? Kto się na nie godzi, nim odbite w milionach egzemplarzy oblepią całą Rosję, wszystkie jej mury, kioski i parkany? Tyle dobrego, że afisz się zjawia i niknie, spłowiały, spłukany przez deszcz, zdarty przez wiatr, zarośnięty przez inne. Takie jednak

olejne, nadnaturalnej wielkości kicze trwają – są – i to są i trwają wszędzie! W takiej małej, głupiej Hadżilli, w stołówce, gdzie można dostać tylko talerz zupy, jajecznicę i kompot ze śliwek – panoszy się oto na pół ściany ta trywialna, chamska tandeta, którą sowiecka Rosja karmi swoich obywateli, którą znieczula w nich poczucie piękna, tępi jego potrzebę, zagłusza jego głód, propaguje brak smaku i gustu, oswaja masy na siłę z brzydotą, tak jak je już dawno – i też na siłę – oswoiła z kłamstwem w żywe oczy!

Kto się wybierze do takiej sowieckiej stołówki, musi być z góry przygotowany na czekanie. I na to, że będzie tu traktowany niecierpliwie jak przybłęda i że ten zapłacony talerz zupy czy jajecznicę na słonecznikowym oleju szumie mu wreszcie pod nos towarzyszka – dziwczur w kaloszach i chustce na głowie. Dobrze, jeśli jej imponująco brudny paznokieć wielkiego palca nie skosztuje przed tobą twojej zupy i jeśli brudną mytką rozmaże bądź jak na ceracie zastygłe chlasty plam.

Noży ani widelców w stołówkach się nie używa. Są tylko łyżki, których nigdy nie wystarcza dla wszystkich równocześnie. Trzeba czasem długo czekać, nim się jaka zwolni. Widziałam na własne oczy, jak przy sąsiednim stoliku jakiś galant, skończywszy jeść, oblizał sumiennie swoją i węczył ją czekającej nad pełnym talerzem przygodnej sąsiadce. Wzięła i bez zająknienia zanurzyła ją we własnym talerzu. Na każdym stoliku stoi też sól i każdy swoją, z ust właśnie wyjętą łyżką nabiera jej ze wspólnego talerzyka. I pewnie. Jak komuna, to komuna. Higiena – tak jak sztuka – to tylko burżujski wymysł! Toteż sól ta jest stale podziobana łyżkami, porozlepiana w grudki wilgocią cudzych zup i ślin i często leżą w niej skrawki z cudzych łyżek ześliźniętych jarzyn.

Siedzimy zatem i jemy. Ludzi tu teraz już pełno. Są wojskowi, cywile, kobiety, młodzież, dzieci. Stołówka jest czynna tylko dwie, trzy godziny dziennie, więc długo przed jej otwarciem tłum czeka już na schodkach.

Teraz runął do hali i obsiadł gęsto stoliki. Do każdego z nich przysiada się kto chce i ile osób się zmieści. Mam więc sposobność przyjrzeć im się z bliska. I mam też sposobność upewnić się po raz nie wiem już który, że chamstwo dzisiejszej Rosji to nie moje przywidzenie – tylko najoczywistsza, obiektywna, niezaprzeczona prawda! Każdy ruch tych ludzi, ich mimika, sposób odzywania się do siebie, sposób jedzenia, chód, wyraz twarzy – wszystko to nacechowane jest ciężką, gminną pospolitością! Ale niechby – przy stole choć – nie pluł, nie czkał, nie wycierał nosa palcami! Każda warstwa społeczna każdego kraju, każda najbardziej nawet prymitywna cywilizacja stwarza jakieś swoje przepisy, jakiś *savoir vivre*, którego przestrzega czy bodaj stara się przestrzegać. W sowieckiej Rosji *savoir vivre'em* jest chamstwo. Chamstwo, które unosić tu się zdaje w powietrzu jak bakcyl, a które musi być w dodatku uważane za cechę dodatnią, będącą niejako wyrazem tężyzny i lojalności wobec reżymu. Kto nie pluje, nie klnie, nie siąka nosa w palce, ten jest od razu wrogiem ludu. Co jednak ze wszystkiego najosobliwsze – samo słowo „kultura" zatrzymali! Czepili się go kurczowo i między jednym splunięciem a drugim szastają nim na prawo i lewo. Chcą widać wmówić w siebie i innych, że dostali ją w spadku gotową po wytępionej bez śladu warstwie dawnej rosyjskiej inteligencji. Nie wiedzą, że kultura – to trochę tak jak angielski trawnik. Trzeba go latami strzyc i wałować, by stał się naprawdę sobą. Nie. Im wystarcza słowo – dźwięk. Zawiewa od niego coś, co ich we własnych oczach podnosi, co im osładza gorycz rzeczywistości, zakłamują się nim bezkrytycznie, dziecinnie, pewni widać, że zakłamią i innych.

Zestawienie tego pojęcia z rzeczywistością jest jednak tak rażące, że o żadnej pomyłce nie może być mowy.

Aby więc sprawę uprościć, a nieporozumień uniknąć, należałoby się jasno umówić: słowo „kultura" w języku rosyjskim powinno być dziś

tłumaczone w słownikach cywilizowanego świata jako „chamstwo". W ten sposób Rosja zostałaby ze swoim błogim złudzeniem, a świat wiedziałby, o czym mowa.

W połowie listopada, o pochmurnym, wietrznym zmroku ładują nas na otwartą lorę. Kołchoz, na który jedziemy, nazywa się Nowyj Mir i jest pono najlepszym, najbogatszym w okolicy. Uprawiają tam cukrowe buraki, bawełnę, a przede wszystkim ryż. Kołchoz jest pod zarządem Koreańczyków, którzy z tych czy innych powodów przesiedleni ze swej ryżowej ojczyzny, zaczepili się tu. Ponieważ jest to właśnie pora młócenia ryżu, rąk im potrzeba gwałtownie i obiecują dobry wikt i dobre lokum, byle zdobyć robotnika. Nowyj Mir oddalony jest od Hadżilli o 25 km. Pognano tam już piechotą wiele partii naszych mężczyzn, między innymi pana Szczepana i Wasylenkę. Teraz jedziemy tam my. Nas pięć, pan Janek i starsza, siwa pani Żytowa z dwoma siostrzeńcami. Na aucie moc pak i worków, a między nimi my, powtykani na siłę, jak kto siadł i czego się uczepił.

Można by znowu opowiadać godzinami o tej jeździe, ale to już nudne. Temu, kto musiał ją wytrzymać, każda minuta była ważna, każdy szczegół dotkliwy. Ciasnota, wicher, zimno, wreszcie nagły deszcz ze śniegiem, który w połowie drogi napadł nas po nocy – to były w danej chwili klęski i nieszczęścia. Dziś – w perspektywie – zmalało jednak wszystko. Po prostu nie ma o czym mówić. Był śnieg, było zepsute w szczerym polu auto, było znów błądzenie po ciemku, w mokrej zawiei, z workami i siennikiem na grzbiecie, był nocleg w kancelarii kołchozu, czyli męczenie się do rana na ławce… (Ktoś miał szczęście, bo wlazł pod stół i mógł się tam zdrzemnąć wygodnie…). Potem świt za małym, zapoconym okienkiem, a w drzwiach płaska, oliwą jakby natarta, twarz Korejca, który się rano zjawił w biurze, by nas pouczyć o nowych obowiązkach.

Obowiązkiem zwiezionych tu Polaków było pokrótce: pracować nad

siły i nie zdechnąć z głodu. Nic więcej.

Dzień wyglądał tak: o świcie tłumy przez brygadierów budzonych oberwańców szły do stołówki na śniadanie. Stołówka kołchozu to mała, ciemna izba z klepiskiem zamiast podłogi, z kilkoma deskami na kozłach i okienkiem do kuchni. Przy okienku – o ile przedłożysz kartę brygadiera, żeś wyrabotał swoje – wydają ci kronikę chleba grubości dwóch palców i czarę kwaśnej kapuścianej wody. Musisz to wysiorbać, stojąc w ścisku i pośpiechu, bo inni czekają na naczynie. W oddaną przy okienku, nieumytą czarkę nalewa się zaraz zupę dla kogoś drugiego. Ty także po kimś dostałeś swoją…

Po takim śniadaniu całodzienna robota w polu.

Jak to się krótko da napisać! Całodzienna robota w polu… Wytrzymać jednak taki dzień nawet mężczyznom nie było łatwo! W nieustannym, lodowatym, a jak płomień palącym wichrze – w wichrze zapierającym dech i miotącym plewy w oczy, usta, w rękawy i za kołnierze – taszczyli od maszyny wory tak pełne, że ciężar wpół ich dosłownie łamał. I nic – tylko tak cały dzień te wory, wory… Wracali o zupełnej nocy, zziajani, zakurzeni, obsypani plewą, znów do stołówki na kapuścianą wodę i taką samą kronikę chleba. Jeżeli ktoś nie odrobił swego, brygadier nie mówił mu nic, tylko nie dawał kartki na śniadanie. Mają nas w ręce i wiedzą o tym. O tym tylko zdają się nie wiedzieć, że głód i rozpacz na niejedno znajduje sposoby!

Nowyj Mir to kołchoz o kilkudziesięciu podobnych do siebie domkach. Mieszkają w nich należący do kołchozu Korejcy i tacy napływowi niewolnicy jak my. Okolica jest płaska, pusta i ruda od pożółkłych ostów i traw. Może w lecie bywa tu zielono. Teraz krajobraz składa się z rozkłębionego chmurami nieba, zjeżonej suchą, ostrowłosą płowością ziemi i palącego stepowego wichru, który smali skośnie, silnie, bez wytchnienia. Gdzieniegdzie – zwarzony pierwszymi mrozami łan

niewykopanych dotąd buraków albo żółty kwadrat pola po kukurydzy. Poza tym pustka, wicher i beznadziejność.

Dziwnie beznadziejne też wrażenie robią te cudaczne, jawiące się tu i tam w dookolnej pustce bramy. Stanęła ci taka, sama jedna w szczerym polu, i stoi. Dwa proste, wysokie słupy i podkręcony po obu końcach w górę, pagodowaty daszek. Światami od niej – druga taka sama… Nie zamykają nic, nie otwierają niczego. Po prostu są… To Koreańczycy zawlekli ze sobą aż tu poddarty rysunek tych torii[11], potrzebny widać ich tęsknocie czy religii. Nie wsiąkły jednak w tło. Rysują się na chmurnym niebie obco, smutno, bezsensownie. Przewleka się przez nie z gwizdem stepowy wiatr i pustka…

Obsadzana znowu osikami droga przecina kołchoz od jednego do drugiego końca. Po obu stronach drogi stoją parterowe, blachą okryte domki. Prócz dużej szkoły – która czerwienią odróżnia się od reszty – wszystkie są takie same. Każdy z nich mieści w sobie cztery tylko oddzielne izby, do których wchodzi się od czterech stron, wprost z dworu. Na dziesięć domków – jedna studnia, czyli jama z obłożonym deskami otworem. W otwór ten wpuszcza się własne wiadro na sznurze – o ile kto oczywiście wiadro i sznur posiada.

Na grupę naszą, złożoną z dziewięciu osób – w tym sześć kobiet i trzech mężczyzn – dostaliśmy w jednym z tych domków wspólną izbę.

Zabawne są te tutejsze izby. Podłoga ich ma zawsze dwa poziomy. Pierwsza część – ta przy drzwiach – jest zwykłym klepiskiem i ma poziom równy z gruntem. Za to cały głąb izby jest rozległym podmurowaniem,

[11] Torii (jap. dosł. miejsce dla ptaków, grzęda) – brama o charakterystycznym kształcie, prowadząca do chramów i miejsc świętych shintō (w shintō ptaki są uważane za posłańców bogów). Torii jest także powszechnie rozpoznawalnym elementem architektury japońskiej. Jest to konstrukcja, której podstawowy kształt tworzą dwa słupy złączone u góry dwiema poprzecznymi belkami.

a właściwie jednym rozległym, matą wysłanym przypieckiem. Pod tym wzniesieniem bowiem przebiegają kunsztownie zbudowane kanały, które – póki się w piecu pali – podgrzewają od spodu całą powierzchnię przypiecka, a potem długo jeszcze trzymać umieją ciepło. W palenisko, wkopane głęboko w ziemię i nakryte budą rozlatujących się, gliną zamazanych cegieł, wpuszczono ogromny czarny kocioł. Tak więc przy jednym ogniu grzeje się tu człowiek i – o ile ma co gotować – gotuje.

Opał zdobywać musimy sobie wszyscy sami. Po robocie brygady rozpełzają się po polach, łamią trzciny, bodiaki i kukurydziane badyle. Innego opału ani na lekarstwo! Sionki ani komórki nie ma przy tych domkach żadnej, toteż całe nazbierane śmiecie wali się w kąt przy piecu i zużywa w miarę potrzeby. Na dobrą sprawę palić należałoby tu bez przerwy, bo zimno dogryza nam zjadliwie. W oknach brak kilku szyb i szpara pod drzwiami na dwa palce. Wiatr wymiata nią z izby całe ciepło. Cóż – kiedy rzecz jest skomplikowana nie tylko ze względu na brak opału. Ów czarny, na stałe w palenisko wmurowany satil musi być oczywiście pełny wody, kiedy się pod nim rozkłada ogień. Póki woda nie kipi – wszystko jeszcze w porządku. Gdy tylko zaczyna wrzeć, zwały mokrej pary buchają bezkarnie w powietrze i cała izba zmienia się w jedną parownię. Popielaty, lepki obłok zasłania wszystko i wszystkich. Na krok przed sobą nie dojrzysz nikogo. Mętno rozpylone światło przeciera się ledwie od strony okna, ściany zaczynają płynąć, szyby płakać, ubranie na nas wilgnie, głosy stają się głuche i matowe jak w pralni. Czujesz po prostu, że ci kości rdzewieją!

Przypiecek nasz za to rozgrzewa się tak, że kiedy podgiąć róg maty – ręki do gliny przyłożyć niepodobna. Raz o mały włos nie było z tego pożaru. Pościel pani Żytowej zaczęła ukradkiem tlić się pod nią. Dopiero niewątpliwy smród palonego pierza ostrzegł nas, co się święci… Gnieździmy się wszyscy na przypiecku, na którym ja rozesłałam mój

siennik, a pani Żytowa – swoje cudem z zesłania dowiezione tu pierzyny. Od góry dławieni parą, od spodu zaś przypiekani żywcem, ciśniemy się tak pokotem na tej macie.

Ani Marysia, ani ja nie chodzimy do roboty. Zresztą i tak żadna z nas nie podołałaby normie, więc kapuściana lura i tak by nas minęła. Marysia nabawiła się na barży jakiejś biedy w nodze. Póki siedzi na ciepłym przypiecku, jeszcze jej znośnie, w nocy jednak, gdy po wystygłej izbie hulać zaczyna wiatr, a nawilgłe ubranie i koc stają się na nas zimnym okładem – biedactwo aż wije się z bólu. Szarpiący, przenikliwy ból drze jej nogę od biodra po stopę. Czasem do rana nie może zmrużyć oka. Ja, dla odmiany, mam coś z nerkami…

Nie chodzimy zatem do roboty i dlatego, że nie możemy, i dlatego, że nam Helena nie pozwala. Twierdzi, że z nas trzech ona jedna ma dość siły, aby wory te dźwigać, i że owa ranna i wieczorna lura nie jest warta resztek zdrowia. Dostałam od wraczki Korejki – prócz hipermanganu na moje dolegliwości – formalne zwolnienie z pracy na parę dni, zatem mimo wszystko przysługuje mi prawo zgłoszenia się co dzień w stołówce po zupę i chleb. Ale Helena ma rację, mówiąc Marysi, że zabijać się dla tego nie warto. Mamy jeszcze trochę rubli i możemy czasem dostać u tutejszych bab mleko. Poza tym od czegóż Helena? Co dzień wieczór, wróciwszy z pola, rozwiązuje z radosną miną sznurki, związujące jej w kostkach – na Workucie jeszcze otrzymane – spodnie i wtedy, jak złoty deszcz, lunąć umie na matę strumień niełuszczonego ryżu. Cały dzień wpuszcza go sobie w spodnie garstkę po garstce, tak że do wieczora ma już wcale zasobną spiżarnię w nogawicach. Robią to zresztą wszyscy, bo nikt przy tak forsownej pracy nie wyżyłby o tym, co dają sami. Łajdacki wyzysk sił i zdrowia, który stosują tu władze, rozgrzeszył ludzi zupełnie. Kradną, aby żyć. Kradną temu, kto ich pozbawił najcenniejszej własności człowieka: wolności! Nikt z nas się tu do niczego nie zobowiązywał.

Nikt nie przyjechał dobrowolnie. Krzywda i przemoc rodzą sprzeciw i samoobronę. Zrabowali nam kraj, zrabowali nam ludzi, niechże nas teraz karmią – chcą czy nie!

Wyzbierany do ostatniego ziarnka ryż rozścielamy pod matą, by dobrze wyschnął do rana. Jest go zawsze tyle, by wystarczyło na raz dla nas trzech. Zapasów robić nie można, bo brygadierzy chodzą po ludziach z rewizją. Kiedy Helena idzie do pracy, my, zawiązawszy sznurkiem drzwi od pola, pichamy z Marysią ten ryż na gwałt, żeby na wieczór był gotów. Bardzo to żmudna robota – takie łuszczenie świeżego ryżu. Nie mogąc tego zrobić jawnie w pierwszej lepszej stępie, których tu pełno na kołchozie, musimy trzeć go w dłoniach godzinami, przesypywać z ręki do ręki, wałkować flaszką na desce, a potem do zawrotu głowy wydmuchiwać zeń lotne, czepliwe łuski.

Zagotowanie go potem – to także sztuka nie lada! Opatrznościowy kociołek Heleny – ten sam, z którym się chodzi do studni – zanurza się na patyku w kipiącą w kotle wodę i trzyma, póki się i on – tak z drugiej ręki – nie zagotuje. Trwa to zawsze bez końca!

Ważną rolę w tym naszym okresie odgrywały też buraki cukrowe. Każdy wracający z pola prócz ryżu w nogawicach przynosił pod wzdętą na piersi fufajką kilka cukrowych buraków. Buraki są słodkie i soczyste. Można je jeść na surowo, ale lepsze są gotowane. Krajemy je więc na plasterki i gotujemy w kotle, aż się z nich zrobi gęsta, ciemnobrunatna papka. Mdłe to trochę i nijakie, ale umie tą mdłą, nijaką słodyczą zabałamucić jakoś głód, który stale skręca nam kiszki. Okres gotowania tych buraków został mi w pamięci jako jedna chmura pary. Od wczesnego świtu do późnej nocy pływałyśmy w jej słodkawym, leniwym obłoku, który każde otwarcie drzwi na dwór płoszyło znienacka, darło na strzępy, przewracało do góry nogami… Gotowała je bowiem dla swego Janka i Kazia z Kulikowa, i pani Żytowa dla swoich chłopców, i my dla siebie,

tak że kocioł dymił i bełkotał jak dzień długi. Wtedy to właśnie przepaliła się ta mata pod nami.

Poczciwy pan Szczepan, choć nie mieszka tu z nami, opiekuje się mną w dalszym ciągu. To mi kilka buraków przyniesie za pazuchą, to zjawi się w drzwiach jak chochoł, nakryty snopem trzcin, traw czy kukurydzianych badyli. Zagląda też czasem Wasylenko. Chłopisko zmizerniał, schudł z głodu i wyczerpania, ale jakoś sobie radzi. Opowiada, że nasze brygady wyjadły już wszystkie psy w okolicy. To mówi samo za siebie. Gdyby ludzie nie byli sami głodni jak psy, gdyby w tym zapowietrzonym kołchozie można było kupić cokolwiek – nikomu by pewnie nie przyszedł apetyt na psie pieczone mięso! Trudno. Ludzie z głodu jedli już pono szczury. Ostatecznie cóż pies gorszego?

Raz Wasylenko przynosi mi woreczek niewyłuszczonej bawełny. Pierwszy raz mam ją w rękach – taką. Makówka jakby czy brunatny kasztan w łupie bez kolców, kryjący w sobie zbitą, wilgotną watę. Kiedy ją wysuszyć i rozskubać – trudno wprost uwierzyć, ile się tego białego puchu mieści w takim małym bodiaku! Skubiemy zatem bawełnę i oczyszczamy ją z twardych jak kamyki pestek, których w niej pełno. Marysia robi sobie wcale przystojną poduszeczkę. Mój domowy jasiek trzyma się jeszcze nieźle, skubię więc bawełnę na zapas, ani wiedząc, jak bardzo mi się kiedyś przyda. Podobnie było z siennikiem. Tu też nie doceniłam w pierwszej chwili tych niepozornych szyszek…

Patrząc wstecz na ten nowomirski okres dziś, kiedy się wszystko zsyntetyzowało w oddali, nie rozumiem, dlaczego był taki ciężki w praktyce. Nie pierwszy raz byłyśmy głodne. Nie pierwszy raz było brudno, ciasno, nie pierwszy raz musiałyśmy mieszkać w jednej izbie z obcymi mężczyznami. Moje zdrowie też nie pierwszy raz nawalało. Więc?

Czemu wspomnienie Nowego Miru wbiło mi się w pamięć boleśniej od tylu innych?

Ciążył na tym okresie jakiś dotkliwy ucisk, nieuchwytny, a ciągle obecny, jak ta popielata para, którą oddychało się tu całymi dniami… Czy to jeszcze ten Buzułuk, ta nasza bezpańskość, niczyjość, zawód… Nie wiem. Mętno było dokoła nas i mętno było w nas samych. Gdybym szukała porównań, powiedziałabym, że wspomnienie Nowego Miru stało się we mnie z czasem podobne do owych samotnych bram w pustym polu, czymś tak jak one bezsensownym i niepotrzebnym, czymś, co równocześnie wiodło i wywodziło człowieka z próżnego w puste i z żadnego w nijakie…

I pamiętam tam jeszcze niskie, purpurowo-złociste zachody, rozwleczone na niebie szeroko między gładkimi pieńkami zaróżowionych dookolną łuną osikowych drzewek, i noce szkliste, granatowe, o gwiazdach białych jak ryż, o gwiazdach rozdygotanych w lodowatym powietrzu tym samym nieukojonym dygotem, co te młodziutkie – srebrzyste po nocy – osiki.

Aż wszystko to pewnego dnia skończyło się nagłe, jak nagle skończyć się umie tak zły, jak dobry sen.

W mglisty, niesamowicie bezwietrzny ranek zajazd przed kancelarią kołchozu poczerniał od zaprzężonych w woły arb, fur i wozów. Bez słowa uprzedzenia, zostawiając nam ledwie pół godziny na spakowanie rzeczy, wszystkich, ile nas tu było, wpakowano na arby i odstawiono do Nukusa. Nas i innych Polaków z okolicznych kołchozów.

W Nukusie cały szereg otwartych barż czeka już na nas na wodzie. Dokąd nas tym razem powiezie Amu-daria, nie mówi nam oczywiście nikt. Wyżej na północ – czy niżej na południe? Ludzie pytają jedni drugich, snują domysły, jedni się boją, drudzy się cieszą… Nigdzie chyba nie będzie gorzej niż tu! To pewne… Dobrze, że nas stąd ruszyli.

I było znowu ładowanie się i ścisk, i wrzask, i szukanie sobie miejsca na mokrych deskach luk. A potem był rozkaz opróżnienia tej barży i

przeniesienia się na inną. A gdy się to przeżyło, kazano nam znowu wracać na poprzednią. Nie wiadomo za jakie grzechy i nie wiadomo z czyjego rozkazu przeganiali nas tak kilka razy. Wreszcie ludzie mają dość. Jak osaczone, krzywdzone zwierzęta zaczynają się bronić zębami. Nie! Nie będziemy się przenosić! Niech z nami robią, co chcą – nie odstąpimy już tym razem cudem w tłoku zdobytego miejsca na podłodze. Zostaniemy tu, gdzie jesteśmy! Nie będziemy nikogo słuchać. Nie damy się tak przeganiać z kąta w kąt jak to ślepe bydło. I więcej! Zaczynamy stawiać warunki. Nie wyjdziemy stąd, póki nam nie rozwieszą brezentów nad lukami. Przecie to koniec listopada! Droga przed nami długa – i po rzece. Deszcz, który mży wieczorami, zmienia się w ciągu nocy w lód na blasze burty. Od wody wali wilgoć kłębami mgły, a na żelazie przęseł i trawersów skrapla się rdzawa rosa, która nam stale kapie na głowy. Musimy dostać brezenty!

Pertraktacje trwają całe cztery dni. Nie wiem, czy sprawa oparła się wreszcie o naszego Delegata, ktoś jednak musiał się za nami ująć. Piątego dnia rano zaczynają oklapłe od rosy czarne słoneczniki Karakałpaków uwijać się nad burtą. Rozpinają brezenty! Nareszcie! Dziurawe, bo dziurawe, ale w każdym razie będą pewną osłoną przed wiatrem i deszczem. W lukach robi się wprawdzie ciemno, z dwojga złego lepsze jednak to.

Niepodobna opisać wyglądu takiej luki. Jak rozsyczane, brudne, zgniecione ciasno robactwo, mrowią się ludzie na jej dnie. Dzieci chorują, nie czekając wyruszenia w drogę. Już to czterodniowe stanie na wodzie zrobiło swoje, mimo że na noc większość ludzi wyłaziła na brzeg, rozniecała z traw i trzcin ogieńki i siedziała tak w kucki do rana.

Barże pojadą tym razem sczepione łańcuchami po trzy, jedna tuż za drugą. Spięto je tak ciasno, że dziób drugiej przytyka do ogona pierwszej, a ogon drugiej – do dzioba ostatniej. Pociągnie je wszystkie razem pod

prąd mały parowy stateczek. Ciekawam, jak też sobie da radę?

Na każdej barży gniecie się po paręset osób. Mniej więcej 150 w każdej luce. Luk jest cztery. Każda barża ma wybranego spośród nas własnego komendanta, poszczególne luki – swoich starostów, a każda z 40 dusz złożona grupa – swego naczelnika. Naczelnicy ci w asyście danego starosty pobierają co dzień w ogólnym składzie na barży żywność i obdzielają nią swoją grupę. Organizacja możliwie najprostsza i nieskomplikowana. Prócz chleba mamy tym razem mąkę, słonecznikowy olej i wędzone ryby. Wszystko w aptekarskich dozach i wszystkiego na tydzień. Tyle ma trwać nasza jazda. Dla dzieci i chorych jest nawet trochę cukru, który wydaje się wyłącznie na zaświadczenie lekarza.

Korzystając z kilkudniowej zwłoki, Helena wypada co dzień w okolicę po łup. Zbyt dotkliwie dał się nam we znaki głód w czasie ostatniego transportu wodą. Ściągamy się więc z ostatniego na jakie takie zapasy. Niewiele tego było: woreczek cebuli, trochę suszonych melonów, dwie flaszki tranu, kilka krup, trzy kolby kawowej zawarki i – co najważniejsze – woreczek razowej mąki.

Zostajemy wprawdzie bez grosza prawie, ale tamto ważniejsze!

Największa jednak pomyślność spotyka nas w przeddzień wyruszenia w drogę. Natykam się przypadkiem na pana Aleksandra, który, należąc do sanitarnej obsługi naszego transportu, werbuje po barżach ochotniczą ekipę sióstr-sanitariuszek. Ponieważ jeszcze w Hadżilli zgłosiłyśmy się do pracy, proponuje nam trzem objęcie ich obowiązków na jednej z barż. Chwytamy nasze rzeczy i szczęśliwe pędzimy za nim do przeznaczonej na ambulatorium kajutki, w której w zamian za bezinteresowną pracę w czasie transportu będziemy miały prawo nocować na podłodze.

Klitka jest mała i ciemna. Ma okieneczko na wysokości brzucha, dwoje drzwi, z których jedne wychodzą wprost na dwór, stoliczek, piec i lampę na haku. Drugich drzwi właściwie nie ma. Są tylko puste

odrzwia prowadzące do trochę większej kliteczki, przeznaczonej na izbę chorych. Szefem naszym mianowane zostaje człowieczysko prostoduszne i dobrotliwe, wojskowy felczer Łopatko. Lekarzy na wszystkich barżach jest razem wziętych dwóch, zatem naszej barży wystarczyć musi felczer. Dostajemy mizerną apteczkę, którą rozpakowujemy i układamy na stoliczku w kącie. Zawieszamy prześcieradłem wejście do przyszłej izby chorych, myjemy obie ohydnie brudne podłogi, zapstrzone okienka – w ogóle staramy się wszystko doprowadzić do możliwego ładu i porządku.

Nocy tej śpimy wszyscy czworo w poprzek na moim sienniku. Jakby kto wymierzył! Mieścimy się doskonale. Leżące na podłodze nogi kostnieją wprawdzie od zimna dmącego tu szparami, po wszystkich jednak poprzednich noclegach w lukach czujemy, że nas los zupełnie szczególnie wyróżnił.

Zupełnie też szczególnie wyróżnił los tej nocy moją biedną brązową spódnicę i ręcznik – w których od Lwowa przejeździłam w zygzak pół Europy i spory kawałek Azji! Ktoś zakradł się do kajutki i zwędził mi – na szczęście tylko te dwa – brudne, łatane strzępy, pozostawiając wspaniałomyślnie płaszcz i swetry. Inna rzecz, że bardzo się biedak musiał czuć skrzywdzony, kiedy zobaczył w świetle swoją zdobycz. Za to mnie – gdy spostrzegłam kradzież – było trochę tak, jakbym straciła wiernego przyjaciela, z którym się wiele przeżyło i przecierpiało. Na szczęście mam drugą spódnicę, przysłaną mi z domu jeszcze do Chersonia. Chowałam ją na lepsze czasy, gdy jednak taki srogi termin na mnie przyszedł, nie wypadało nic innego, jak wyciągnąć ją z worka. Tyle że umyśliłam sobie na co dzień nosić ją na lewą stronę, na prawą zaś od święta. Helena daje mi swój wspaniały, włochaty ręcznik, mam zatem znów nieodzowny przy newralgii turban, nową spódnicę i mogę dalej jechać w świat.

Dosłownie na parę minut przed wyruszeniem w drogę zjawia się niespodzianie, przydzielony nam z Nukusa, doktor. Wysoki, młody pan z

jasną bródką, w błękitnej maciejówce, futrze i wysokich butach. Kobiałkę niesie w jednej ręce, worek w drugiej.

W pierwszej chwili zlękłyśmy się bardzo, że jako niefachowe siły zostaniemy z miejsca wylane z ambulatorium, ale ponieważ na nasze szczęście fachowych sił na barży nie było, doktor, po krótkiej indagacji, pogodził się z naszą przepłoszoną obecnością.

W takich to warunkach i w takim składzie ruszyliśmy wreszcie Amudarią dnia 29 listopada, w samą wigilię Andrzeja.

Trudno… Fortuna kołem się toczy… Zwykle dnia tego za dawnych dziecinnych lat puszczaliśmy łupinki orzecha z kolorowymi świeczkami na wodę. Dziś Los – schylony nad Szaloną Rzeką jak ongiś my nad pełną pływających światełek miednicą – wypuszczał oto trzy łańcuchem spięte łupiny w drogę, która miała mi zostać w pamięci jako moralnie najcięższy odcinek mego czyśćca i która dla wielu jadących tu ludzi miała być niestety – ostatnią.

Rozdział III
BARŻE ŚMIERCI

Nasza malutka izba chorych od razu zapełniła się tak szczelnie, że zostaje tylko wąskie przejście środkiem, od drzwi z dworu do naszego ambulatorium. Prycza jest tu tylko jedna i na tej pryczy kładziemy w poprzek kilkoro chorych dzieci. Doktor wydębił ze składu parę ryżowych mat i polecił zasłać nimi kajutkę. Maty te są jedynym posłaniem leżących tu pokotem na podłodze ludzi.

Izba chorych jest również poczekalnią. Od wczesnego rana do późnej nocy tymi wprost z dworu wiodącymi do niej drzwiami napływają tłumy potrzebujących pomocy i ratunku. Czekają, stojąc w ciasnym ogonku, tuż nad tymi, którzy leżą na ziemi. Przeważnie matki z dziećmi. Doktor ordynuje w naszym maleńkim ambulatorium odgrodzonym od izby moim prześcieradłem. Bada chorych na czymś w rodzaju pryczy, którą tu kazał wstawić, by mieć na czym w dzień położyć i opatrywać ludzi, a w nocy spać.

Pierwszy raz mam sposobność z tak bliska przypatrzeć się całej tej rozdzierającej nędzy ludzkiej. Po prostu w gardle dławi. Te owrzodzone, białe jak wosk, niemające siły nawet jęczeć dzieci, których wychudłe ciała wyłaniają się z przesiąkniętych ropą, zawszonych łachmanów, ta materia lejąca się z uszu i ran, te rwane, ostrożne oddechy, rozdymające szkielecie klatki piersiowe, te pełne zepsutych zębów, szeroko rozdziawione usta, pokazujące nalotami anginy wybielone gardła o rozpuchłych gruczołach – wreszcie świadomość, że tylko nieliczna garstka tych ginących piskląt będzie mogła być zatrzymana na izbie chorych, a że reszta musi wrócić pod mokry brezent na dno luki – to było coś, od czego samemu można się było rozchorować.

Lekarstw mamy tyle co nic. Wprawdzie doktor ma jakieś własne zapasy, narzędzia i zastrzyki, ale to kropla w morzu. Na dobrą sprawę wszystko prawie, co tu jedzie z nami – zwłaszcza dzieci – w normalnych warunkach byłoby już dawno w szpitalu. Cała barża choruje na rozstrój żołądka. Cała barża kaszle i gorączkuje, cała barża cierpi na zjadliwe owrzodzenia. Każde najmniejsze zadraśnięcie rozpucha, ropi i nie chce się goić. Gdyby tak policzyć wszystkie brudne, zesztywniałe bandaże, które przyszło rozwijać i nawijać z powrotem – nowych jest tak mało, że nie możemy przy opatrunkach zawsze dawać czystych – zebrałby się chyba kilometr dziennie. Co dzień wieczór obie z Heleną wylewamy do Amudarii kubeł pełen cuchnących wat i gazy. Aż trudno wierzyć, ile się tego dziennie zbiera. Doktor nic tylko przecina i przecina wrzody i ropienie, oczyszcza wyżarte kanały, wycina strzępy wygniłej skóry, a Łopatko nic tylko bandażuje te biedne piszczele, szyje, palce i głowy.

Marysia ma pod opieką izbę chorych, Helena pacjentów rozsianych po lukach. Trzeba im nosić o oznaczonych porach lekarstwa, mierzyć gorączkę i zmieniać kompresy. W poczekalni taki ścisk, że ci, którzy mogą być opatrzeni w lukach, lepiej, żeby nie zajmowali miejsca w poczekalni. Ludzie jednak pchają się tu na siłę, bo jest to jedyne miejsce na barży, gdzie można się ogrzać trochę i schować przed wiatrem.

Mamy przecież początek grudnia. Na świecie ziąb taki i taki wicher, że sama rzeka dostała gęsiej skóry. Szorstką, białawą krupą jeży się cała jej powierzchnia. W lukach za to parno od dusznej wilgoci, wyziewów gniotących się ciał i zapachu gnijącego siana. Niektórym udało się przed wyjazdem nanieść z brzegu parę wiązek podeschłej trawy. Musiano też niedawno przewozić w tej barży konie, bo deski zioną ostro amoniakiem. Pod nawilgłym brezentem trwa więc stajenny półmrok, zaduch i parnota. Dla wielu ludzi brak nawet tych cuchnących desek. Leżą w żelaznych wgłębieniach podłogi, niczym w zimnych, zardzewiałych trumnach. Ci,

którzy nie chcą się w nie kłaść, spiętrzają sobie kufry i toboły w wysoką piramidę, na której dopiero rozkładają zwilgłe pierzyny. Ale wtedy ciężki brzuch brezentu wspiera im się dosłownie na głowach.

Nie mamy tym razem – nawet takiej opanowanej przez Karakałpaków – kuchenki. Żelazny dziób barży jest jedynym miejscem, gdzie można od biedy rozniecić ogień. Nie dbając o sprzeciwy obsługi, robią to wszyscy i wtedy wszystko, co żyje, pcha się nad taki bezcenny, dobroczynny stosik badyli, by w ledwie podgrzanej wodzie rozbełtać parę łyżek otrzymywanej tu co dzień mąki. Z początku były jeszcze trzaski i patyki. Potem przyszła kolej na deski uborny. Wreszcie – rozpaczą do ostateczności doprowadzeni ludzie – zaczęli łupać na szczapy i palić deski podłogi. Wandalizm – prawda? A przecie, jeśli się kto potrafi wmyślić w rozpaczliwe położenie kilkuset zmarzniętych, głodnych, bezbronnych ludzi, puszczanych w grudniu na taką krupą pokrytą już rzekę, w determinację matek, nie mogących dać choremu dziecku łyżki ciepłej strawy, w kurcze chorych kiszek i żołądków, wreszcie w te dłużące się w nieskończoność noce i dnie – ten nie tylko zrozumie, rozgrzeszy, ale uzna w dodatku, że zrobiłby wtedy to samo!

Ów brak opału i ognia nie był niestety szczytem wszystkich dopustów tego upiornego transportu. Zaczynają się deszcze. Drobne, przemieszane z tumanem wędrującej razem z rzeką mgły. Rzeka znika w mętnym oparze i widać już tylko jej żelaziste, kotłujące się wściekle tuż pod nami piany. Brezenty, obciążone zbierającą się w ich zagłębieniach wodą, rwą sznury i razem z jeziorami zebranej w nich wody obsuwają się ludziom na głowy. Wydźwignięcie na górę i umocowanie na nowo takiej olbrzymiej, ciężkiej płachty, jest robotą na pół dnia. W dodatku nie obeszło się bez tego, by, sparciała i łatana, nie popękała przy tym w kilku nowych miejscach. Ze szpar tych cieknie więc teraz stale spływająca po brezencie deszczówka. Ludzie żyją jak pod tuszem, przemokli, nie mający ani gdzie, ani przy

czym szmat wysuszyć.

W izbie chorych ścisk coraz większy. Czekający w kolejce na badanie mdleją czasem, waląc się na tamtych na podłodze. Dzieci płaczą dzień i noc, chorzy jęczą w gorączce i kaszlą. Powietrze tu straszne, mimo że przeciąg dmący spod drzwi wymiata smród razem z ciepłem. Mamy tu tylko poważnie chorych, takich, którzy muszą załatwiać się w izbie. Jedno dziecko ma koklusz i wymiotuje na inne, leżące z anginą obok.

Pod pryczą dogorywa Marysia W-ska. Leży dosłownie pod łóżkiem. Nie było dla niej miejsca gdzie indziej. Przydźwigała ją tu z dna barży na plecach Helena, bo ona sama nie miała siły iść. Jeszcze w Starobielsku dziewczyna ta była zdrowa i tęga jak dąb. Dziś kończy się na rozpadową gruźlicę płuc i po prostu gnije za życia. W sowieckim szpitalu przeszła dwie bardzo ciężkie operacje, ale rany nie chciały się już goić. Kiedy ją Helena z Marysią przytaszczą na opatrunek do ambulatorium, kiedy doktor rozmota kilometry zaropiałego bandaża i zacznie przemywać te rany, trudno wprost pojąć, jakim cudem życie kołacze się jeszcze w tym nieszczęśliwym stworzeniu! Cierpliwa jest przy tym i cicha. Ostrzyżone po tyfusie włosy jeżą się wokół małej, smutnej głowy, zmieniając ją w czarny, rozwichrzony bodiak. Siląc się na uśmiech, pyta doktora, czy coś z niej jeszcze będzie. Zostawiła w kraju matkę i bardzo by chciała wrócić. Doktor, pakując ostrożnie kłapcie gazy w purpurowe jamy ran, odpowiada jej, że ma jeszcze zamiar hulać na jej weselu. Odprowadzona na izbę chorych, wczołgać się musi pod pryczę, spod której sterczy jej potem tylko ten biedny, czarny bodiak o piec opartej głowy. Nie mamy pojęcia, czym żyje. Każdy łyk pożywienia przelatuje przez nią jak przez lejek, co połączone jest zawsze z koniecznością ponownego wyczołgania się spod łóżka. Basenu oczywiście nie mamy, tylko jedną dużą puszkę po konserwach.

Pod przeciwległą ścianą leży pokotem cała rodzina pana Arona

Mufki. On, ona, dwie córeczki i jego siostra z dzieckiem. Pan Mufka jest ciężko chory na serce, starsza córeczka ma gruźlicę, młodsza krwawą biegunkę, a dziecko jego siostry koklusz. Co było tamtym, nie pamiętam, to tylko wiem, że pani Mufka miała duże, jasnobłękitne oczy, krewnych w Palestynie oraz skaranie boże z histerykiem mężem i diablątkiem córką. Dziewczynka ma może dziesięć, może jedenaście lat, czarne jak smoła, pałające oczy i ostatnie stadium gruźlicy płuc. Awanturuje się dzień i noc, jakby ona jedna tylko była chora na świecie. Ludzie to widać kiedyś zamożni. Nie zostawiają zresztą czasu na wątpliwości w tym względzie. Opowiadają ciągle o wszystkim, co mieli, jak nie są przyzwyczajeni do takich warunków i że gdyby rodzina ich wiedziała, w jakim są położeniu, sprowadziłaby ich samolotem do Palestyny. Ta daleka, złota od pomarańcz Palestyna przewija się w ich opowiadaniach jak miraż jakiś zaczarowany, tym świetlistszy, tym bardziej uroczy, im ohydniejsza jest jawa. Wszyscy mówią poprawną, warszawską polszczyzną bez śladu żydowskiego akcentu, za to składnia i mozolny patos stylu świadczą lepiej od typu o ich pochodzeniu.

– Steniusiu… – słyszymy ciągle przez rozwieszone na drzwiach prześcieradło konająco słodki głos pana Mufki. – Steniusiu! Ojciec ciebie błaga!… Wypij to lekarstwo… Wszak kochasz twego tatusia, nieprawdaż?…

– Idź do diabła!… – przerywa mu zdyszany, syczący głos małej i słyszymy, że odkopuje go z furią od siebie. – Nienawidzę cię, ojcze!… Mówię ci, że cię nienawidzę!… Odejdź ode mnie…

– Steniusiu… – z tą samą uległą słodyczą modli się dalej pan Mufka. – Możesz mnie nienawidzić… owszem… spójrz, że się z tym godzę spokojnie… ale cię błagam – jako ojciec cię błagam – wypij to lekarstwo, ty moje słodkie, ukochane dziecko…

– Przestań!… Nie cierpię, kiedy tak do mnie mówisz!… Jesteś wtedy

śmieszny i nudny… Odejdź… Przysięgam, że nie wypiję lekarstwa…

– Steniusiu… ojciec cię błaga…

– Idź do diabła… słyszysz?… – i całymi godzinami tak.

Za to młodsza z panien Mufek, trzyletnia Klara, ma daleko bardziej realne pragnienia.

– Chcę bułki z kiełbasą… chcę bułki z kiełbasą… chcę bułki z kiełbasą… – powtarza z płaczem w kółko. Jest jednak na ostrej diecie, zresztą i bułka z kiełbasą stała się tu pojęciem czysto abstrakcyjnym.

– Ma-mu-siuuu… Ma-mu-siuuu… – poćwierkuje cichutko i sennie mały Józio na pryczy, skandując i przeciągając ostatnią literę tego słowa, słodko i okrągło, jak przeciągać umieją ostatnią nutę młode kosy o wiosennym zmierzchu. Nie potrzebuje od matki niczego, a nawet nie bardzo ją poznaje. Słowo to jednak poszło za nim w gorączkę, spłynęło w jego podświadomość jak rosa po źdźble i teraz, ani wiedząc, że je wymawia, słodzi nim sobie półprzytomne leżenie obok innych chorych dzieci na pryczy.

Porządek dnia w naszym ambulatorium jest zawsze jednakowy. Pierwszy wstaje Łopatko. Śpi mi dosłownie pod łopatką, więc prosta rzecz, że budzę się wtedy i ja. Ostrożnie wyłazi spod pryczy, na której sypia doktor, a pod którą on zjeżdża we śnie ze wspólnego siennika. Śpimy bowiem dalej wszyscy czworo w poprzek na moim kłującym worku. Każde z nas ma w ten sposób od zimnej podłogi przynajmniej grzbiet zabezpieczony. Siennik rozściela się na noc wzdłuż drzwi do izby chorych, bo się inaczej nijak nie mieści. Pierwsza od okna śpi Helena, potem Marysia, potem ja, wreszcie Łopatko, tuż u stóp pryczy doktora. Doktor góruje nad okolicą i trzeszczy trzcinami, których natargał sobie na którejś z mijanych łach. Kiedy mu przyjdzie wstać w nocy do chorego, brodzi po naszych nogach jak bocian po bagnie…

Otóż Łopatko budzi się pierwszy. Idzie boso do drzwi i tam dopiero

włożywszy buty, wychodzi z kajutki do znajomków na śniadanie. Wtedy ruszamy się my. Na mocy milczącego układu doktor leży sumiennie twarzą ku ścianie i albo śpi naprawdę, albo udaje, że śpi. Toaleta nasza jest z musu niesłychanie uproszczona. Jedna drugiej nalewa po trochę wody na dłonie i tak, nad tym samym kubłem, w który rzuca się gazy, waty i bandaże – myjemy się jak kot łapą. Nie mamy ani miednicy, ani dzbanka, tylko to zardzewiałe wiadro pod stołem. Przyniesienie w nim kilka razy dziennie wody do ambulatorium to robota Heleny lub moja. Znamy już obie pewien hak, którego można się trzymać, i wiemy, jak wiadro zanurzać, aby nas prąd nie zerwał z pomostu. Ręce tylko grabieją od tego, bo sznur jest mokry, a woda pełna lodu, który dobrą chwilę kołacze i chrobocze jeszcze w tym wiadrze pod stołem. Po umyciu się w takim lodzie ubieramy się galopkiem, zwijamy siennik i wychodzimy na dwór, żeby się doktor mógł ubrać.

Wtedy też zwykle Helena pcha się ze swoim kociołkiem do ognia albo go sama roznieca, jako że ma pod pryczą w ambulatorium schowane na czarną godzinę trzaski. Tylko dzięki niespożytej energii i zaradności Heleny mieliśmy wtedy na barży ciepłe śniadanie i tak szumnie zwane obiady. Jaką to było sztuką, zrozumie ten tylko, kto był tam wtedy z nami. Na dziobie wicher, deszcz albo mgła i stado przegniatających się ludzi. Wiatr gasi zapałki, deszcz zalewa drwa, ludzie depczą sobie po głowach. Wszyscy są źli i zmarznięci, ślepi od gryzącego dymu, zawistni ze zmęczenia i udręki i bezwzględni z rozpaczy. Toteż podejmując się wtedy owego gotowania dla nas i dla doktora, wzięła Helena na siebie najcięższe, najtrudniejsze zadanie. W swoim zniszczonym kożuszku, parcianych spodniach i sznurkami do nóg przywiązanych buciorach, pełna żywiołowego poświęcenia i życiowego impetu – boryka się z chwilą obecną jak z górą Waligóra i jak Wyrwidąb z dębem. Jej zielone, żbicze oczy jarzą się gotowością natychmiastowej walki z każdą przeciwnością

i nieugiętą wolą przezwyciężenia każdej z nich, tak wielkiej, jak małej. Helena jest wspaniała!

Kiedy doktor umyty, ubrany, czyściutki jak z igły wychodzi na ranny obchód chorych po lukach, ja sprzątam ambulatorium, a Marysia krząta się przy swoich pacjentach na izbie. Potem następuje czarowna chwila, kiedy osmolona, o oczach czerwonych od dymu, wpada Helena z dymiącym kociołkiem kawy i wszyscy czworo zasiadamy, gdzie kto może, do śniadania. Każda z nas trzech ma wtedy prawo do jednej łyżki wspólnego tranu. Maczamy w nim sobie chleb i zjadamy jak największy przysmak. Boże! Gdzie te dziecinne czasy, kiedy za każdą wypitą flaszkę tranu musiałam dostać książkę!? I co to były za komedie! Zatkany nos, miętowe cukierki, gorąca herbata do popicia. Dziś najstaranniej wycieram skórką drewnianą łyżkę dookoła, aby się ani kropla tego nektaru nie zmarnowała!

Po śniadaniu chowamy śpiesznie naczynia, zawieszamy worki na hakach, żeby nie zajmowały miejsca – niepodobna bowiem opisać, co to za maleństwo to nasze ambulatorium – i doktor podnosi prześcieradło kryjące drzwi izby chorych, gdzie już czarno od czekających. I zaczyna się codzienny korowód zziębniętych, wyczerpanych, nieszczęsnych oberwańców. Podczas gdy jednych doktor bada na pryczy, drugim i dziesiątym Łopatko zmienia opatrunki, a ja tnę gazę i bandaże, podaję flaszki i nożyczki, dezynfekuję lancet, rachuję krople, rozdaję proszki i lekarstwa, a wszystko w pośpiechu i zdenerwowaniu.

Niestety nie umiem się śpieszyć powoli i spokojnie, jak to robi na przykład Marysia. Choć ma o tyle więcej na głowie ode mnie, choć wszystko zrobione jest zawsze dokładnie i na czas, nie widziałam u niej jednego nerwowego czy niepotrzebnego ruchu, jakkolwiek w czasie ordynacji odrywają ją jeszcze stale żałosne głosy zza prześcieradła. Bardzo porządnie notuje w zeszycie nazwiska pacjentów, diagnozę, temperaturę i

leczenie, wydaje dzieciom łyżeczkami cukier – co też musi być zapisane – a mimo tego jest zawsze tak samo spokojna i cierpliwa. Mnie ręce się trzęsą i robię stale sto niepotrzebnych rzeczy naraz. Stłukłam już jeden termometr, utopiłam w kuble nożyczki, a wszystko z najlepszej woli. Doktor ma ze mną tak świętą cierpliwość, że chwilami spostrzegam w jego spojrzeniu rozbawione prawie politowanie. Męczy mnie ta własna niezdarność i pośpiech na równi chyba z bezsilnym współczuciem, do którego zmusza człowieka nędza, na którą patrzy od rana do wieczora.

Mimo zmęczenia, współczucia i ucisku – jakiś aparat działa w człowieku niezależnie od jego woli. Ocierającą mu się o oczy jawę widzi jasno, zimno, obiektywnie; i, w miarę jak płynie, utrwala na wrażliwej błonie pamięci. Toteż teraz, pisząc, mam wrażenie, że wywołuję tylko słowami wyraźny, dawno naświetlony film.

I widzę ich wszystkich znowu. I starą Strączek, i Olesia Szymańskiego, i eks-ułana z Wielkiej Wojny, i Romcia Wikła, i kowala z Baranowicz, i pretensjonalną majorową (…moja matka, hrabianka z domu…), i tamtą w ostatnich dniach ciąży, którą doktor błaga zawsze, by doczekała do Faraby – wreszcie całe szeregi bladych, chorych dzieci, wnoszonych i wynoszonych na rękach przez zapłakane, wymęczone matki.

Bywają ludzie, którzy w nieszczęściu budzą szacunek, sympatię i współczucie. Lecz są i tacy, którzy się stają wtedy nieznośni i niecierpliwiący. Taka właśnie była stara Strączek, kreatura niewiadomej kondycji, której nachalność, nałaźliwość, obleśność i niewiarygodne niechlujstwo doprowadzały nas wszystkich do rozpaczy. Po sto razy dziennie wgniatała się do ambulatorium, to przez poczekalnię, to drzwiami z dworu, pukała w okno, targała klamką, łapała nas po lukach, zawsze tak samo rozsklamrzona i żebrząca. Umiała zdjąć sobie umyślnie wszystkie dopiero co nałożone opatrunki, aby mieć pretekst dostania się tutaj znowu. Cuchnący ludzki łach, patrzący na świat jednym tylko okiem, jako

że drugie zawlokło jej gęste bielmo. Nie to wszakże, że cuchnęła, było w niej najprzykrzejsze. Śmierdzieli oni wszyscy, brudni byli wszyscy, po wszystkich łaziły wszy. Ale stara Strączek miała ponadto w obejściu tak dotkliwą obłudę, było w niej coś tak fałszywego, odrażającego wprost, że baliśmy się jej wszyscy, z doktorem włącznie. Od czasu, gdy raz – naprawdę czy na niby – zemdlała w poczekalni i kiedy, cucąc ją, dał jej doktor łyk własnej bezcennej w naszych warunkach wódki, Strączek zaczęła mdleć zawodowo i na poczekaniu. Istny dopust Boży mieliśmy z tym stworzeniem. Umiała siłą zwalić się na pryczę w ambulatorium i nie chcieć wstać godzinami. Innych chorych musiał wtedy doktor badać na stojąco, podczas gdy ona, niezdarnie udając omdlenie, strzelała jedynym, znów szybko mrużonym okiem, ku kobiałce doktora na ścianie, skąd wyglądała wiadoma flaszczyna. Ponieważ wszystko, co miała na sobie, było jednym zawszonym, zapaskudzonym łachem, doktor urządził składkę na jej rzecz i zdobył dla niej watowane spodnie, kubrak i koszulę. Przyjęła to ze zjadliwie ironiczną wdzięcznością i nie włożyła nigdy. Niechlujstwo jej przechodziło wszelkie wyobrażenie, a stopień jego nie tłumaczył się nawet ówczesnymi warunkami na barży. Pamiętam, że kiedy mi przyszło zmieniać jej opatrunek – pies na kołchozie wyrwał jej zraz mięsa na udzie (podziwiam psa!) – myślałam, że trupem padnę od smrodu. Żaden bezpański, w ścierwie wytarzany pies nie cuchnął chyba gorzej od niej! Współczucie dla tego nieszczęsnego stworzenia tak mi się wreszcie zmieszało z hamowaną irytacją, zniecierpliwieniem i odrazą, że może już potem – przyznaję to ze skruchą – nie umiałam odróżnić, co w niej było naprawdę chorobą i nędzą, a co nachalstwem i udawaniem. Toteż kiedy pewnego ranka znaleziono ją martwą na dnie luki, dławiące poczucie winy skoczyło mi do gardła, jakby to moja odraza i niedowierzanie było wyłączną przyczyną jej śmierci. Na co umarła, nie wiem, dość, że umarła naprawdę i bez udawania tym razem i że niespodziana powaga

śmierci narzuciła na jej cuchnące wspomnienie cień tak groźny, złowrogi i niesamowity, że go nie mogę odgarnąć do dziś.

Oleś Szymański był jednym z owych kilkorga drobnych dzieci, którym między Kożwą a Kotłasem wagony zmiażdżyły matkę. Pamiętam dobrze olbrzymią, czerwoną kałużę między szynami. Chłopczyna ma może 9 lat, ropienie podszczękowych gruczołów, wysokie ojcowskie buty i własną zawszoną czapczynę. Umie wchodząc do ambulatorium szurnąć tymi buciorami grzecznie i układnie, wychodząc po opatrunku odwrócić się jeszcze u samych drzwi, znów szurnąć i powiedzieć: dziękuję. Za drzwiami też dopiero nasadza ostrożnie czapkę na bielejący mu na ciemieniu węzeł bandaża.

Ten węzeł i tę czapczynę widziało się najdłużej, kiedy pewnego żelazistego zmroku przeraźliwy wrzask ludzi wyrwał nas wszystkich na pokład. A tam, daleko już od barży, w spienionych, nieubłaganych nurtach Amu-darii, w straszliwej, ołowianej pustce, borykało się samotnie – dziecko i śmierć. Czy wychodząc z ambulatorium pośliznął się na blasze burty, czy pchnął go w wodę wiatr, czy wreszcie strząsnęło go owo podstępne szarpnięcie barży – nie wiadomo. Nikt tego dokładnie nie widział. Teraz jednak widzieliśmy już wszyscy, jak czarny punkcik jego głowy – z owym przed chwilą przez nas zawiązanym bandażem – jawił się w falach i niknął, wydźwigiwał i zapadał znów, coraz rzadziej, coraz daremniej… aż zniknął. Najdłużej widziało się czapkę. Znoszona szybkim prądem, tonęła sobie wolniej i osobno. – Łódź ratunkowa wypłynęła na rzekę, kiedy już było po wszystkim.

Śmierć ta została we mnie na długo jakimś skrzepłym od grozy uciskiem i stała się zmorą bezsennych nocy na barży. Doktor pocieszał nas potem, że dziecko nie musiało być do ostatka przytomne, że lodowata woda i wstrząs mogły wywołać natychmiastowe porażenie serca – któż jednak wie, jak było naprawdę? Kto może się wmyślić w moment choćby

takiej potwornej samotności dziecka z wodą i śmiercią? Znienawidziłam wtedy Amu-darię tak samo chyba, jak ona nienawidziła nas!

Eks-ułan, zabawna figura w za długim kożuchu, zemdlał w poczekalni, kiedy się pierwszy raz zgłosił do doktora. Przydźwigany na pryczę, oprzytomniał jednak szybko i jakże nam zaczął z miejsca opowiadać swoje wspomnienia z Wielkiej Wojny, demonstrować szarże, odtwarzać bitwy, udawać dowódców i kolegów – oszołomiony doktor nie mógł go wprost dopaść słuchawką! Chłopisko miotało się po klitce w rozwianym, długim do ziemi kożuchu, jak wiatrak cały rozmachany rękami, i wszędzie go było pełno, tylko nie na pryczy! Mimo ułańskiej werwy pokazało się niestety, że jest naprawdę i poważnie chory na serce i że ma prócz tego zjadliwe karbunkuły po całym ciele… Umarł też pewnej nocy nagle i niespodzianie. Spadł z życia jak z konia. Szarża poszła dalej, a on został sztywny w swym baranim kożuchu, tak jak się pewnie po wojskowemu meldował śmierci na baczność. Złożono go w jednej z ratunkowych łodzi, w które kładło się zmarłych na barży i w miarę postojów grzebało na zmiennych a bezimiennych łachach Amu-darii.

Romcio Wikiel to było znów najcierpliwsze dziecko świata! Siedmioletni męczennik, któremu w biednej, wrzodami okrytej głowie chlupotała wprost ropa, lała się z nosa i uszu, wędrowała po całym wychudłym ciele, wybijając sobie ujścia to pod wklęsłąjak dziupla pachą, to w kolanie, to na szyi. Dziecko stale dygotało z bólu jak liść, z bólu nie mogło spać, z bólu nie jadło i z bólu nie miało siły płakać. Każdy ruch, każde nachylenie ciała i każda zmiana pozycji sprawiały mu oślepiającą mękę, którą znosił cicho i delikatnie pod roziskrzonym łzami wzrokiem zagryzającej usta matki. Podczas dotkliwie ciężkich opatrunków syczał tylko cichutko, trzymając się kurczowo jej dużej, spracowanej ręki. Czasem – nie wiem, czy po to, by ulżyć sobie, czy jej – znajdował jeszcze siłę, aby tę rękę całować. Bardzo też grzecznie i układnie dziękował

doktorowi za każdy opatrunek. Mam w oczach ruch jego chudej jak badyl łapiny, którą ostrożnie i niezależnie jakby od całego ciała próbował dźwignąć znów na powietrze tę swoją biedną, obandażowaną głowę. Było w tym dziecku takie dostojeństwo, taka godność i powaga po bohatersku znoszonego cierpienia, że mnie do dziś w gardle dławi, kiedy go sobie przypomnę.

Za osobną łaskę Opatrzności uważałyśmy zawsze z Marysią i Heleną przypadek, dzięki któremu dostał się naszej barży ten właśnie, a nie inny doktor. Na myśl, że mogłyśmy zostać w tym nieprzejrzanym morzu męki i nędzy ludzkiej tylko z felczerem Łopatką, robiło się nam gorąco! Łopatko ma duże doświadczenie, spryt i jest w gruncie rzeczy na pewno poczciwym człowiekiem. Ma jednak tępą, chłopską obojętność na niedolę ludzką, potrafi biegle opatrzyć rękę czy nogę, psychika chorego jest mu jednak doskonale obojętna. Z natury leniwy i wygodny, uważa każdego chorego za zawalidrogę w ambulatorium. Obejście jego w stosunku do nich cechuje owa charakterystyczna szorstkość, którą zazwyczaj człowiek prosty okazuje równym sobie, gdy go okoliczności ponad nich wydźwigną. Może być zresztą, że jako eks-wojskowy felczer nawykł do markirantów z pokojowych czasów, do ludzi chcących po prostu uzyskać zwolnienie z koszar czy ćwiczeń – do młodych, wesołych, beztroskich pacjentów, których dolegliwości rzadko bywały naprawdę poważne. Toteż ci zawszeni, cuchnący, nieszczęśliwi pacjenci, pochodzący w dodatku przeważnie tak jak on sam ze wsi – niecierpliwią go raczej i drażnią. Próbował zatem podsunąć doktorowi myśl wyznaczenia godzin przyjęć i puszczania do poczekalni określonej tylko liczby chorych dziennie, bo „pcha się ten naród, że coś strasznego”. Spojrzenie, jakim mu doktor odpowiedział, było jednak tak wymowne, że nasz Łopatko westchnął tylko zrezygnowany. Odtąd chyłkiem, około pierwszej w południe, zawiązywał od środka drzwi poczekalni, wstrzymując tym dopływ nowych chorych i

stwarzając – niby to samorzutną – przerwę w ordynowaniu.

Bo doktor byłby ordynował jednym tchem od rana do nocy. Podziwiałyśmy zawsze jego ofiarną, bezgraniczną cierpliwość i spokój, z jakim traktował chorych. Przede wszystkim kazał zawsze każdemu siąść na swojej pryczy, a potem nie śpieszył, nie poganiał, nie zbywał nikogo, choć poczekalnia pękała. Czekał cierpliwie, aż każda z matek zwlecze ze swego dziecka strzępy nadzianych jeden na drugi kaftaniczków, sweterków i chustek – czasem upomniał nawet, żeby to robiła ostrożniej – wypytywał, gdzie była na zesłaniu, jak się im wiodło – w ogóle umiał od pierwszej chwili nawiązać między sobą a pacjentem nić życzliwości i zaufania. Dawał się przy tym kobietom wygadać i wypłakać, póki im nie ulżyło, pocieszał je, dodawał odwagi, mówił, że najgorsze już za nami. Nie ograniczał się, jak Łopatko, do opatrzenia tylko fizycznych ran. Z mężczyznami żartował czasem soczyście i po wojskowemu – jest przecie kapitanem – skrzyczał, gdy wypadło, lub – gdy wypadło – przemawiał po ojcowsku do rozsądku. Lubiłam też jego sposób patrzenia na dzieci. Może myślał wtedy o swoich, które zostawił w kraju. Jestem pewna, że to jego dobre spojrzenie, uśmiech czy łagodne słowo dawały tym małym męczennikom więcej nieraz od rozdawanych przeze mnie z jego polecenia anyżkowych czy miętowych kropli. Gdy nastał formalny głód na barży – ku furii Heleny, która widząc jego wyczerpującą pracę, uważała to za szaleństwo – rozdawał nieraz dzieciom swój chleb. Pamiętam też, że kiedy w Turkulu barża nasza zatrzymała się na dłuższy postój, doktor wypadł nocą do miasta, cudem i awanturami wywalczył w szpitalu nowy zapas kończących się lekarstw i – co najważniejsze – kilka flaszek tranu dla dzieci. Aby odciążyć poczekalnię, dzieci te przychodziły potem jak wróble pod okno i Marysia tkała im w chciwie otwarte dzioby łyżeczkę tego cudownego płynu. Tran był dla nich w tych okolicznościach naprawdę błogosławieństwem!

W czasie południowej, sztucznie przez Łopatkę stworzonej przerwy – nim Helena wpadnie z dymiącym kociołkiem zupy – myjemy z Marysią wypukłą znów od brudu podłogę i ścieramy karbolem zasypaną wszami pryczę. Robiło się to trzy razy dziennie, aby utrzymać ambulatorium w jakiej takiej czystości. Doktor tymczasem obchodzi chorych po lukach, daje zastrzyki i zmienia cięższe opatrunki.

Pacheccy znów jadą na tej samej barży. Zwaliła się na biedaków ciężka zgryzota. Zygmunt i Zbyszek mają dyfterię. Pachecka wygląda jak stwór, a on zasadził czapę jeszcze głębiej na oczy, twarz wsparł na pięści i tkwi kołkiem przy Zbyszku. Chłopczyk jest przytomny mimo wysokiej gorączki, ładny i miły jak zawsze. Leży wtopiony w zwały matczynych pierzyn, nieodstępowany przez rodziców na krok. Zygmunt właściwie kończy już dyfterię i chodzi tylko o to, żeby się nie przyplątało zapalenie płuc. Dyfteria na barży ma bowiem z reguły ten epilog. Doktor chce usunąć z izby chorych zdrowszych już rodziców Mufków i zabrać tam Zbyszka, Pacheccy jednak dziękują. Wolą go mieć tu, przy sobie. Nie chcą ani na chwilę spuścić go z oczu. Zresztą w ich luce najmniej jeszcze przecieka. Dowiaduję się też od Pacheckiej, że herbacianooka Zosia Galikowej umarła na kołchozie. Nieszczęsne kobiecisko wsiadło w Farabie na jedną z barż z ciężko chorą tym razem Janką. Tak więc powoli odwiązuje jej los kolejno ciążące u szyi kamienie. Niedługo będzie mogła spokojnie sama pomyśleć o umieraniu… Doktor poleca Pacheckim trzymać Zbyszka ciepło, jak się tylko da, daje jakieś proszki i idzie dalej…

W następnej luce – też w zwałach wysiedleńczych pierzyn – leży dwudziestoletni jedyny syn wdowy. Ów wskrzeszony ongiś w Naim na pewno podobnie wyglądał po śmierci. Szlachetna, poważna twarz i lekki zarost robią go zresztą podobnym do młodocianego Chrystusa. Zapalenie płuc po dyfterii i zapalenie wyrostka. Doktor jest przy nim parę razy na dobę. Stan bardzo poważny. Biedne matczysko ginie z rozpaczy i

wyczerpania. Nie śpi już od tygodnia. Teraz patrzy na doktora oczyma szklistymi bezsennością i łzami – jakby z wyrazu jego twarzy odgadnąć chciała prawdę. Doktor daje zastrzyk na serce i idzie dalej…

Tu w jednej rodzinie wysiedleńców aż trzy zapalenia stawów. Dwie dziewczynki i jeden chłopiec. Salicyl i okłady. I doktor idzie dalej…

Przestępując z trudem wszędzie leżących ludzi, przełażąc przez żelazne progi ogołoconego z desek dna barży – wędruje tak od jednego kłębka szmat do drugiego, od jednej zwilgłej pierzyny do drugiej. Niepodobna wprost opisać warunków, na jakie skazano tych ludzi! Niepodobna odtworzyć słowami ich nędzy i poniewierki, ich ucisku i zmęczenia. Człowiek chodzi między nimi ze ściśniętym gardłem, bezradny, przygnieciony, chory wprost tą ogólną, o pomstę do nieba wołającą krzywdą.

Po powrocie z obchodu doktor czyścił się od stóp do głowy, mył ręce w lizolu i oznajmiał, że jest głodny! Tego nie trzeba było Helenie dwa razy powtarzać! Nic nie mogło jej zrobić większej przyjemności jak natychmiastowe zabranie się do tego – cudem codziennie zgotowanego przez nią – obiadu. Tak się namęczyła, kłując trzaski, tak się zziajała, dmuchając w ogień, tak się spłakała w dymie i tak ją wicher zsiekł na dziobie, że uważała każdą chwilę zwłoki za osobistą obrazę. Zupa była pyszna, gorąca i mieliśmy jej wszyscy czworo po pełnym garnuszku. Pływały w niej popielate grudki razowych klusek i pętały się białawe chmurki krup. Czasem potrafiła też Helena przysmażyć nad tym samym ogniem trochę cebuli na oleju. Helena w ogóle jest nieprawdopodobna! Tylko ten, kto był tam wtedy z nami, oceni i zrozumie, ile trudu, energii, uporu i zaparcia się siebie wymagała na przykład niespodzianka, urządzona nam na imieniny Marysi. Od rana już oczy iskrzyły się jej jakimś szalonym pomysłem, grzebała skrycie w naszych nukuskich zapasach, wetknęła chyłkiem w kieszeń kożucha flaszkę z olejem, zabrała

większą niż zwykle naręcz trzasek spod pryczy, wreszcie nad wieczorem znikła z kajutki na długo. A kiedy po skończonej ordynacji ambulatorium było już znowu wyszorowane, prycza umyta, apteczka poskładana i kiedy – nie spodziewając się niczego ponad codzienną kawową lurę – czekaliśmy grzecznie jej powrotu – wpadła jak zwycięsko uśmiechnięty wicher, niosąc kilka gorących blinów! Usmażyła je na oleju, na pożyczonej patelni, nad mizernym ogieńkiem, w ścisku i dymie na dziobie barży! A po tej królewskiej imieninowej uczcie wyciągnęła jeszcze ze swego worka paczkę zatajonych przed nami papierosów! Nie! Trzeba było tam być z nami, aby ocenić, czym był taki poczęstunek! Prócz owej gorącej wody z kluskami i kawowej lury nie jadamy przecie nic gorącego. Nasze wędzone ryby też z reguły dostaje Łopatko. Po słonych, łykowatych ich wiórach chciało się tylko strasznie pić, a woda była jedynie surowa z i rzeki, przed którą doktor ostrzegał tak nas, jak wszystkich.

Kojec nad głębią znikł u nas dawno, na drugiej jednak barży ocalał. Ten więc, kto nie wyzbył się jeszcze przesądów, musi się po łańcuchach spinających barże przedostać na tamtą burtę. To wcale nie jest łatwe. Łańcuch jest śliski od deszczu, a nawet często pokryty lodem. Prąd rwie obie barże tak, że raz odchodzą, raz znowu walą się na siebie. W dole lodowata, ołowiana woda pieni się i przelewa, wroga i straszna… Jedno nieostrożne postawienie nogi, jedno szarpnięcie barży, jeden źle obliczony chwyt zgrabiałych rąk – i koniec. A potem taki sam powrót po grzechoczących łańcuchach, czekanie, aż barże się zbliżą, strach, że zbliżając się, rozkwaszą cię jak orzech między drzwiami, i wyszukiwanie z trudem niezanieczyszczonych z nocy uchwytów na burcie. To bardzo łatwo napisać, a napisane przeczytać. Ryzykowanie jednak w ten sposób życia przez przeszło dwa tygodnie – to naprawdę nie było słodkie!

Nie! W ogóle słodko nie jest! Ludzie są u kresu wytrzymałości moralnej i fizycznej. Deszcz pada już teraz nieustannie. W lukach

woda. Spalono wszystkie deski… W dodatku jazda nasza przewlekła się nadprogramowo. Barże chodzące w zakosy po wściekłej, nieobliczalnej rzece nie tylko obijają się o łachy, ale raz po raz wjeżdżają na mieliznę.

Mały stateczek daremnie szarpie się, pieni i ryczy, nie mogąc zwlec nas z piasku. Czekamy czasem wiele godzin, czasem cały dzień i całą dobę, nim jakiś inny, przygodnie nas mijający, nie przyjdzie nam z pomocą. Spinają się wtedy oba i po godzinnym manewrowaniu zwlekają nas znów na wodę. Parę razy tak się szczęśliwie złożyło, że wpadliśmy w mieliznę w pobliżu jakiejś krzakami zarosłej wysepki. Nim barże ruszyły dalej, burta i wszystkie przejścia jeżyły się stosami nałamanych i zwalonych gdzie popadło patyków. Zapewniało nam to opał znów na parę dni. W dodatku patyki te miały na sobie jagody. Małe, woskowożółte owocki z włochatą pestką w środku, okoloną pomarszczonym, zeschłym miąższem. Żuło się tę słodkawą skórę długo i pracowicie, co wprawdzie nie mogło nasycić, niemniej udawało, że ma coś wspólnego zjedzeniem… Mam tak dokładnie w pamięci te czarne, wilgotne patyki, spryskane rudymi kroplami jagód. Jakiś japoński, kolorowy sztych, wyraźny a zamglony, i twardy a puszysty od kolących patyków i tumanów popielatej mgły. A w tym tylko jeden kolor: ów woskoworyży zbabczałych, obcych owocków…

Trzcina i patyki… Tym tylko częstowały nas nieprzeliczone łachy Amu-darii. Chlebowe drzewo niestety nie rosło na żadnej z nich! A głód na barży coraz większy. Prowiant wydali nam tylko na tydzień, który dawno minął. Ludzie chorują i mrą jak muchy. W czasie przymusowych postojów grzebie się ich w mokrym piasku. Z każdej barży po kilkoro naraz. Kilka majaczących we mgle fufajek i sztywny, za rogi niesiony koc. Czasem za kocem idzie ktoś dorosły, czasem kilkoro dzieci, czasem – nikt… Zmokły ksiądz, koc i przygodni grabarze. Parę sztychów łopatą, krótki pacierz i koniec. Na łasze zostają ślady stóp, mały kopczyk bez krzyża, bez napisu. Nikt nigdy nie odszuka już tych grobów. Zliże je i

rozgładzi wiosenny zalew rzeki, zamuli czy rozmuli prąd, może porosną trzciną.

Dokładnej liczby zmarłych w tym transporcie ludzi nie pamiętam. A może jej nigdy nie znałam. Na naszej barży – Helena mówi, że to dzięki naszemu doktorowi – stosunkowo najmniejsza śmiertelność. A mimo to co dzień rano leży ktoś nowy w ratunkowej łodzi pod płachtą. Strach powiedzieć – ale zaglądanie pod nią staje się jedyną rozrywką i przyjemnością do żywych trupków podobnych dzieci na barży. Wspinają się na palce i patrzą z lękliwą, przepłoszoną ciekawością, daremnie odganiane przez starszych…

O kilku naszych pacjentach wiem na pewno, że umarli, ale dopiero w Farabie. Marysia W-ska, Stenia Mufka i Romcio Wikiel. Z tych, którzy zostali na mijanych łachach, pamiętam po nazwisku tylko starą Strączek, eks-ułana, roczną Marysię Głowacką – zmarłą z wycieńczenia matce na rękach, tak cichutko, że do rana nie wiedziała, że piastuje trupa pod chustką kowala z Baranowicz, Olesia Szymańskiego, wreszcie Zbyszka Pacheckich.

Mimo najtroskliwszej opieki rodziców, mimo że doktor robił, co było w jego mocy, dostał przecie zapalenia płuc, którego nie przetrzymał. Umierał przytomnie, prosząc matkę, aby się bardzo nie martwiła. Nie. Nie martwiła się bardzo. Była półprzytomna, zdrętwiała, sztywna jak automat. Jak automat ubrała potem małego w białe – z Polski jeszcze – ubranie Zygmunta do Pierwszej Komunii Świętej, włożyła mu w ręce książkę do nabożeństwa, na której się uczył czytać, a potem – klęcząc nad jamką na łasze – bardzo starannie układała go sama na jej dnie. „Żeby mu było wygodnie…”. Zawijała oto w najlepsze z uratowanych prześcieradeł tyle swego kochania, tyle troski, wysiłku, tyle nieprzespanych nocy, tyle łez i tyle uśmiechów – że musiała to zrobić starannie i sama, jak zresztą wszystko starannie i sama robiła zawsze przy Zbyszku. Nie zapomnę nigdy

jej gwałtownego płaczu, z jakim po powrocie rzuciła mi się na szyję, ani jej kurczowo napiętego łkaniem grzbietu, ani jej krwią nabiegłych oczu, wreszcie ledwie zrozumiałych słów, powtarzanych w kółko, w jakimś nadludzkim wysiłku przemożenia buntu i rozpaczy.

– Tak Bóg chciał… tak chciał… tak widać chciał…

Śmierć tego zdolnego, obiecującego, takim wysiłkiem rodziców z zesłania uratowanego chłopczyny, dogodziła nam wszystkim. Doktor chodził jak struty, my nerwy mamy w strzępach. Wieczorem, kiedy rozścielimy już siennik na podłodze, kiedy stajenna lampa o aksamitnie zakopconym szkiełku napełni naszą kajutę tłustym swędem, kiedy, rozebrawszy się znów na raty, ułożymy się w końcu wszyscy, żadne z nas – prócz Łopatki oczywiście – nie może spać. Ten drobny, siekący w szybki deszcz, wicher gwiżdżący szparami, myśl o setkach zalanych wodą ludzi w lukach i półtora milionie innych Polaków, błąkających się w tej chwili, tak samo jak my może, po całej Rosji – dławiące ataki kokluszowego kaszlu wreszcie, tuż dosłownie ciemię w ciemię za prześcieradłem – wszystko to stwarzało w nas stan takiego nerwowego napięcia, ucisku i przygnębienia, że człowiek gapił się godzinami w plamy światła na niskim suficie, przytomny i rozbudzony. Po ołowianej powierzchni tych męczących godzin pływał mi nieuleczalnie mały, czarny punkcik… Niknął i zjawiał się znów, malał i olbrzymiał… Czapka tonęła sobie wolniej i osobno, tak samo jak wtedy…

Dotkliwym dodatkiem tych godzin były mi jeszcze owe z musu zza prześcieradła podsłuchiwane, ponocne rozmowy ojca Mufki z chorą Stenią. Małej jest wszystko jedno, czy jest noc, czy dzień, czy jest ciemno, czy jasno, czy inni chcą spać… Mówi z manierą lichej aktorki, zgrywającej się pod publiczność. A przede wszystkim pastwi się nad tym nieszczęsnym ojcem z jakąś szatańską perfidią i furią przeplataną histerycznymi atakami czułości.

– Tata! Tata! Tata! – rwie się po ciemku jej zdyszany, gardłowy głos. – Tata! Ja umrę! Ja umieram… Aj, tata! Ratuj! Przytul mnie… pocałuj… Ja umieram…

– Steniusiu! Opanuj się! Na klęczkach cię błagam. Opanuj się. Czy nie widzisz, jak ja cierpię?

– Ja cierpię gorzej od ciebie! Ty tylko o sobie myślisz. To ja umieram-wiesz-ja-nie-ty!

– Steniusiu! Dziecko moje ukochane! Nie wmawiaj tego w siebie… – żebrze naprawdę umierającym głosem nieszczęśliwy ojciec. – I owszem… Mów sobie, że ci lepiej, że jutro będzie znowu lepiej… Wszak sama czujesz, że ci lżej cokolwiek…

– Głupi jesteś! Mówisz jak do dziecka. Zawsze mnie musisz głupotą swoją zirytować…

– Steniusiu! Wszak kocham cię nad życie!

– Idź do diabła z takim kochaniem… Nudny jesteś. Nie chcę już. Nie przysuwaj się do mnie! Męczysz mnie. Daj mi pić… Aj, tata! Tata! Tata! Duszę się. Daj mi pić!

– Nie wolno ci surowej wody, kochanie. Sama słyszałaś, że pan doktor zakazał. A herbaty nie mam… Poczekaj do rana. Steniusiu! Błagam cię, bądź rozsądna…

– Nie! Nie chcę być rozsądna! I nie chcę czekać do rana! Ja jutro umrę. Ja może już dzisiaj umrę. Podły jesteś! Żałować konającemu dziecku wody…

– Steniusiu! Miej litość nade mną… – szlocha już prawie pan Mufka. – Wszak wiesz, że krwi bym ci z serca utoczył! Skądże ci wezmę herbaty?

– Zbudź matkę! Dlaczego ona śpi? Jak ona może spać, kiedy jej dziecko umiera? Zbudź matkę, natychmiast! Niech ona także się męczy… Słyszysz! Zbudź matkę!

– Ja nie śpię, Steniu… – odzywa się martwy, tragicznie obojętny głos

pani Mufki. – Możesz być spokojna. Nikt przy tobie nie śpi i wszyscy się męczą. Umiesz się o to postarać…

– Ojcze! Każ jej milczeć! Nienawidzę jej! Ona podsłuchuje, co my mówimy… Ona z nas drwi! Każ jej wyjść. Każ jej wyjść! Każ jej wyjść! – i nagły, histeryczny wrzask, tłumiony widać przez tulącego ją do piersi ojca, przewierca izbę chorych przenikliwie, na wylot… Dzieci budzą się przestraszone i płaczą. Ptaszęce: „ma-mu-siuuu” chorego Józia, pomstowania innych chorych, szelesty maty na podłodze – wreszcie drewniany, powolny szloch pani Mufki, wszystko to miesza się w jakąś upiorną niewiarygodną całość, w jakiś zły sen na jawie, od którego nie ma ucieczki… nie ma ratunku… nie ma wybawienia!

Po naszej stronie prześcieradła także ruszyło się już wszystko. Męczennica spod pryczy prosi właśnie nieśmiało o podanie jej puszki z konserw. Marysia z Heleną biorą latarnię i idą ją wywlec spod łóżka. Doktor szeleści trzciną i wzdycha. Jeden tylko Łopatko, pogrążony w błogim śnie, przewala się ciężko na drugi bok i spycha mnie na puste po Marysi miejsce.

I całe noce takie. Takie dwa przeszło tygodnie w połowie grudnia, późną nocą, dobijamy wreszcie do Faraby.

Omija nas tym razem ścisk i pośpiech przy rozładowywaniu barży, bo obie z Marysią zostajemy do ostatka, póki ze szpitala sprowadzony doktor nie przejmie od naszego chorych i umierających.

Zostajemy więc z Marysią same. Helena, zabrawszy część naszych rzeczy, pognała w teren na rekonesans. Doktor poszedł do szpitalnych władz z raportem. Łopatko też się stracił. Jesteśmy same….

Przygnębiający nastrój tych godzin okopcał mi powoli serce od środka jak nasza lampka – szkło. Ta opustoszała, niesamowicie cicha nagle barża, ogołocone z rzeczy i worków ściany, pusty stół po apteczce i czarna – po zdjęciu z drzwi prześcieradła – ziejąca nocą głąb izby

chorych. Są tam oni wszyscy… I rodzina Mufki, i Marysia W…ska pod pryczą, i Romcio Wikiel z matką, i mały Józio z matką, i wielu tamtych, których nie pamiętam ani oczami, ani po nazwisku. Jak ołów cięży mi na sercu poczucie winy i nielojalności wobec tych nieszczęśliwych, którzy, nie mogąc dalej jechać, muszą być przez nas zostawieni w Farabie, na łasce sowieckiego szpitala. Wiedzą o tym i milczą. Wymowne milczenie bezbronnych, przytomnych straceńców. Dławi mnie w gardle płacz, jak tampon kolącej waty. Rozdygotane nerwy robią, co chcą, z człowiekiem. Zmęczonym oczom zwiduje się też, co chce… Czarny prostokąt drzwi do izby chorych jest mi w tej chwili wejściem do niezamurowanego jeszcze grobowca. Za chwilę go jednak zamurują…

Człowiek jest fizycznie i moralnie wyczerpany do ostateczności. W dodatku sam nie ma pojęcia, co z nim teraz zrobią. Gdzie go popędzą? Dokąd powloką? Wie już, że nie czuwa nad nim żadna ludzka opieka, że wzięła go w siebie ślepa przemoc okoliczności, tak jak Olesia rzeka. Tyle że może jeszcze iść… Tyle że nie gnije, nie ropieje żywcem, ni drąży go żadna nieuleczalna choroba. Wszystkie dolegliwości, jakie mu przypadły w udziale, może jeszcze znieść. Ci tam – w tym niezamurowanym grobie – nie mają już nawet siły mówić, nawet bronić się, nawet prosić… To ich finisz. Czarny, upiorny finisz życiowego wyścigu…

A potem? Cóż? To samo co zwykle.

Gnanie po nocy przez piaski i tory, przełażenie popod pociągi, plątanie się po szynach. Oślepiające zmęczenie i zasypianie między jednym słowem a drugim, bądź gdzie, na stojąco.

Wreszcie właściwy rzekomo wagon. Walisz się na podłogę jak tobół i śpisz. Niedługo wszakże. Ktoś cię z tej czarnej, gęstej mazi wywleka znów na powierzchnię. Źle nas skierowano. To nie ten pociąg. Pakuj manatki po ciemku i gnaj dalej. Gnasz, bo jeszcze żyjesz, a póki żyjesz, będziesz widocznie przeganiany tak z kąta w kąt – do upadłego.

Wagon, który nas wreszcie połknął i zatrzymał, był mały i tak nabity, jak chyba żaden dotąd. Każdy zresztą wydawał się w pierwszej chwili najgorszy. Jest to znowu coś w rodzaju ambulatorium. Razem ze zdrowymi zwalono tu także tych chorych z barż, których nie chciała przyjąć Faraba. Powiedzieli, że może Buchara ich przyjmie. Nasz doktor, choć zdał już transport innemu, ratuje ich jak może, ale nie może właściwie nic. Rozdaje resztki lekarstw, bandaże, watę. W wagonie jest ciemno i okropnie. Ze zmęczenia i głodu w głowie się kręci.

Transport ten zresztą pamiętam jak przez sen.

Wiem, że spałam między dwoma łachmaniarzami. Pamiętam, że jeden podarte rękawy fufajki, śpiąc, stale mi na twarz zarzucał, i to, że drugi był ongiś agentem wielkiej zamorskiej firmy, dostarczającej przez Gdynię do Polski bakalie. Mówi o daktylach. Mówi o mandarynkach. O skrzyniach z rodzynkami, o wiankach fig. Chleba nie mamy już drugi dzień ani okruszka.

Po przeciwległej stronie wagonu ktoś dogorywa na ławce. Na jednej stacji kradną Marysi torebkę, w której chowała fotografie rodziców, ostatnią ich kartkę otrzymaną w Starobielsku i szalik na szyję jej matki. Doktor spotyka niespodzianie znajomego, który jedzie do Buzułuka. Decyduje się jechać z nim razem. Chwyta worek, kobiałkę i wyskakuje. Obiecuje nas odszukać, gdy się gdzieś sam zahaczy.

Jakaś staruszka, uczepiona dygocącymi rękami za drzwi wagonu, załatwia się w czasie jazdy, płacząc jak dziecko ze wstydu. Ma krwawą biegunkę. Wszy gryzą jak opętane. Głód skręca kiszki. Szumi w uszach i w oczach czarno…

W Bucharze jesteśmy nazajutrz. Jesteśmy – to znaczy stoimy na szynach daleko za dworcem, przetoczeni na jakiś ślepy tor. Nikt nie ma pojęcia, co dalej? Chorzy ostatkiem sił wypatrują, czy przyjdzie kto po nich, czy się kto nimi zajmie, proszą, płaczą, chcą do szpitala.

Ktoś poszedł szukać naszej placówki, bo jest tu pono taka. Po paru godzinach dostajemy, nie wiem przez kogo wydębiony, chleb. Pierwszy po trzech dniach. Zdaje mi się, że nocujemy w wagonie. Nie pamiętam dokładnie… Wiem tylko, że mnie budzi czyjś znajomy głos pytający o mnie na oślep w głąb zapchanego wagonu. Dozia! Patrzcie ludzie! Dozia! Nie widziałam jej od Brygidek! Przywieźli ją tu innym transportem, aż z Kołymy. Dosłownie! Była w obozach pracy na tamtym krańcu Azji, naprzeciw Kamczatki. Przyjechała już tydzień temu. Dowiedziała się o nowym transporcie i przyszła na chybił trafił pytać o znajomych. Znalazłszy mnie, stoi oto na nasypie, w swoim aksamitnym kapturku i zniszczonych karakułach, namawiając mnie na wypad do miasta. Idzie właśnie do naszej placówki. Zna osobiście Delegata. Polecił się jej zgłosić. Może dostanie zajęcie. To dobrze się składa! Będzie można powiedzieć mu o konieczności przysłania noszy czy sanitarki, a w każdym razie lekarza. W ogóle wymóc na kimś zajęcie się tymi niedobitkami Barż Śmierci.

I powlokłam się za Dozią, słuchając jej dziejów jak z bajki z tysiąca i jednej, najczarniejszej nocy. Myślę, że kiedyś sama to wszystko opowie. Mnie został w pamięci ponury odcinek jej drogi przez Azję, gdy sama jedna Polka w tłumie sowieckich złodziejek, prostytutek i morderczyń, półślepa od awitaminozy, plecami przyparta do ściany, broniła się tej rozbestwionej zgrai, chcącej ją odrzeć z futra i ograbić z rzeczy. Awitaminoza jej objawiała się tym, że miała stale przed oczyma kłęby purpurowej mgły.

Buchary prawie z tej włóczęgi nie pamiętam. Jasnokawowa glinka pod nogami, jakiś strumyk czy rzeczułka wijąca się kręto pod wymulonym nasypem, gromady pstro odzianych, wianuszkiem w kurzu przycupniętych dzieci i pochyłe nad wodą drzewka.

Delegata spotkałyśmy przypadkiem na małym placyku z gipsowym

Leninem. Obiecuje przysłać natychmiast lekarza i żywność. Nie powiadomiono go wcale o tym nowym, wczoraj jeszcze przybyłym transporcie! Zapytany o nasze dalsze losy odpowiada, że musimy być rozesłane po kołchozach do pracy. Na razie wojsko przyjmuje tylko mężczyzn.

Po południu każą nam istotnie opuścić wagony i przenieść się na pożółkłą, wydeptaną łączkę koło dworca. Tu bowiem odbywa się taki sam targ niewolnikami jak ten, który znam z Hadżilli. Tyle że znikły już czarne słoneczniki czap, znikły arby o rysujących się na tle nieba kołach. Są za to wielbłądy. Całe karawany płowych, wzgardliwych wielbłądów. Ludzie odziani kolorowo, ale inaczej niż Karakałpaki. Noszą długie, wolne, lekko podwatowane sarafany – dżouma się to nazywa – i okrągłe, nieduże, futrem obrzeżone, podobne do podpieniek czapki. Twarze łagodniejsze od tamtych. Nie ma już skośnych oczu ani wystających kości policzkowych. Przeważnie Uzbeki i Tadżyki. Gdyby nie strój i złotawa cera, anibyś poznał, że to Azjaci. Ludzie ci tylko nie umieją stać. Póki chodzą, wszystko w porządku. Ale zatrzymawszy się na moment choćby, spadają natychmiast z wysoka w niski przysiad, zupełnie jakby zawiasy ich kolan w bezruchu same się tak załamywały. Dziwnie nietwarzowa pozycja! Trwać w niej umieją godzinami, siedzeniem wcale nie tykając ziemi, oba stulone łokcie wetknąwszy między szeroko rozstawione kolana. Mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy tak samo. Arby ich mają też po dwa tylko koła, ale nie tak już olbrzymie, jak tamte pod Nukusem.

O późnym, purpurowym zachodzie, przychodzi kolej i na nas. Z kobiet zostałyśmy tylko trzy: Marysia, Helena i ja. Arby odjechały, są jeszcze tylko wielbłądy. Dobrze. Mogą być wielbłądy. Tego jeszcze nie było.

Klęka ci taka mlamlająca chlapowitym pyskiem, mchem ciepłym porosła ohyda, a ty gramolisz się na przedziwną drewnianą kulbakę i

po gwałtownym kołatnięciu nosem w przód, a potem grzbietem wstecz znajdujesz się nagle nad okolicą. Głowę Uzbeka, który stał przed chwilą przy tobie, masz raptem gdzieś poniżej dziurawego kalosza. Nie miałam pojęcia, że na wielbłądzie to tak wysoko! I nigdy nie myślałam, że chód jego ma taki długi, zrywający, poziomo w tył i naprzód tłukący się rytm. Zaskoczony, nie mogąc w żaden sposób schwycić tego rytmu, kołaczesz się na tym siodle jak manekin, to od krzyżów pchnięty gwałtownie w przód, to – nie dojechawszy w porę na drugi koniec tego wstrząsu – nowym pchnięciem zawrócony ku tyłowi! Po prostu duszę wytrząść może z człowieka!

Długim, kołyszącym się szeregiem, związane ze sobą wielbłądy suną jeden za drugim przez ulice Buchary. Prócz nas trzech jedzie też wielu mężczyzn, po dwóch na jednym siodle. Winszuję! Dojedzie z nich chyba marmolada! Wszystko to ma na sobie łagierne jeszcze fufajki i kłapciate czapy z uchami. Zalepione błotem łupy czegoś, co zastępuje im buty, kołaczą się desperacko na tle mszystych, kawowych, sprężyście pochlapujących wielbłądzich boków. Tu i tam podskakuje jakiś worek, tu i tam pobrzękuje czyjś zasmolony kociołek. Nie! Choć jedziemy na wielbłądach, nie jesteśmy na pewno podobni do orszaku Trzech Króli! Może jeszcze ja, w moim białym turbanie z ręcznika, cała okręcona kocem, mam w sylwetce pewne motywy wschodnie. Widzę to zresztą sama, we własnym, nadmiernie wydłużonym cieniu. Mam w tej chwili strasznie długie cztery obco pętające się wielbłądzie nogi i małą, gładką od turbana głowę. Każdy z Trzech Mędrców – mógł rzucać podobny cień na piasek.

Nie mamy pojęcia, dokąd nas wiozą, ale już dawno wyzbyliśmy się zuchwałego mniemania, że człowiekowi przysługuje prawo stanowienia o własnym losie. Ot – nie spaść teraz z kulbaki, nie pogubić worków, dobrze zagarnąć się kocem i z dobrą wolą wyłapywać oczyma okruchy

dawnego piękna Buchary, którego mimo wszystko nie zdołano tu wytępić doszczętnie.

Buchara, a zwłaszcza jej śródmieście, robi wrażenie rozbitej, szlachetnej w kształcie wschodniej czary, którą czyjeś bezduszne ręce popodklejały zżynkami tandetnych afiszów, zdrutowały pasmami telefonicznych przewodów i pochlapały białym gipsem.

Odarte, ograbione, rozebrane do naga przez obecny reżym z całego przepychu emalii frontony mijanych meczetów tają jeszcze czasem na jaskółczej wysokości okien i portyków parę kropli wilgotnego szafiru, zieleni czy złota, tak jak wysoko wzdęte kopuły plami jeszcze gdzieniegdzie zzieleniały turkus czy zbłękitniały grynszpan zdartej z nich powłoki. I dlatego wszystko jest tu tylko zwietrzałym jakby szkieletem – cieniem – wspomnieniem – dawnego przepychu, bujności i bogactwa, podczas gdy na pierwszy plan wybija się zwycięsko tandeta i brud.

Rozpięte między wąskimi uliczkami czerwone szmaty wrzeszczą znów do proletariatu wszystkich krajów, zachęcając do walki z kapitalizmem, do zrzucenia jarzma burżujów. Białe porcelanowe papużki obsiadły telefoniczne słupy i przewlekają pasma drutów popod niskie, cudownie sklepione przechodnie bramy, których ciosane, okopcone przez czas kamienne bloki oblepiły czarno-czerwone wojenne afisze.

W miarę jednak jak oddalamy się od śródmieścia, wypłoszona stamtąd piękność Wschodu zaczyna coraz śmielej wypływać na powierzchnię. Oczywiście już nie ta złota, emaliowana, turkusowa, bogata i przelewna, ale przynajmniej wolna od ohydy, własna, miejscowa, taka sama, jaka mogła być w tych zaułkach i paręset lat temu…

Uliczki są wąskie, kręte, wbite ciasno między gładkie, bezokie ściany. Cudowna bajkowość idzie z każdego załamania nietynkowanych murów. Wszędzie tu mógł mieszkać jakiś ubogi Ali Baba, wszędzie mógł się tu pętać Aladyn z lampą czy bez niej. W niczym – metalu, betonu, gipsu,

szkła. Glina, kamień i drzewo. W zwietrzałym, srebrnym od starości drzewie bogato rzeźbione, a na głucho zamknięte bramy – mają w jednym skrzydle półokrągło wycięte, też rzeźbione drzwiczki, w które co chwilę wsiąka jakaś bezszelestna, zasłoną omotana kobieca postać. Widne dopiero z wyżyn wielbłądziego grzbietu ponad wysoki mur ogrodzenia różne zaczarowane dziedzińczyki, pospinane gęsto to wznoszącymi się, to opadającymi schodkami, które umiejątym swoim skośnym glinianym zaśpieszeniem jakby – przeszyć na wylot i połączyć ze sobą kilka glinianych przebudówek na kilku nieprzewidzianych poziomach. Wszędzie wykusze i okienka. Te okienka zwłaszcza – to cudo! Wybijają się na zewnątrz domów bądź jak, bez śladu symetrii, nisko i wysoko, daleko od siebie lub zupełnie blisko, czasem zapadłe we wgłębienie muru, czasem znów wzdęte poza jego płaszczyznę niczym drewniane, na pustej ścianie wysoko zawieszone klatki. Szyb oczywiście żadnych. Sama matowa drzewna koronka. W całej tej glinianej szarzyźnie czuje się zawściągnięty przepych Wschodu, przygasły może i zmatowiały, niemniej ten sam, niedobity przez czas i okoliczności, którego bujność i żywiołowa potrzeba piękna i ozdoby wyciska się ze ścian na zewnątrz bajkowatym czarem tych haremowych okienek.

W dodatku wszystko zalane jest teraz różanym sorbetem zachodzącego słońca. Glina ma tysiące puszystych odcieni, smug i plam, coś niby lewa strona ćmich skrzydeł. I może dlatego Buchara zaschła mi w pamięci taką właśnie malinowoburą, głuchą od pyłu ćmą.

Zostawiliśmy ją powoli za sobą, skąpaną w niskim zachodzie. Na tle płomiennej łuny rysowały się czarno i wyraźnie ozdobne, wykruszone miejscami zęby okalającego miasto muru. Mur ten rozpływał się stopniowo w mroku i oddali, aż stał się znów podobny do tragicznego czerepu rozbitej przez barbarzyńców szlachetnej w kształcie misy, z której tęczowa bajka wschodu wysączyła się i wsiąkła w dookolną pustkę

krajobrazu.

W pustce tej zaczynają właśnie płaczliwie poszczekiwać szakale.

A potem – sama właściwie nie wiem, jak mam mówić o „potem”, bo było i cudownie, i okropnie równocześnie.

Nigdy w życiu nie prułam jeszcze twarzą takiej grudniowej nocy, tak wysoko nad ziemią i tak blisko pod gwiazdami! Nigdy jeszcze świat nie wydawał mi się tak doskonale okrągłą, kryształową kulą, w której by wszelka czarność opadła jak muł na dno, a w której by cały granat wypłynął pod kopułę i stężał, i znieruchomiał w niepojętej ciszy i spokoju gwiazd. I to było cudowne!

Ale też nigdy jeszcze w życiu nie czułam się takim roztrzęsionym, bezsilnym tłumokiem, trzymającym się zgrabiałymi z zimna rękami wielbłądziej kulbaki, i nigdy nie było mi tak słabo z głodu. Na długie chwile straciłam jakby przytomność, nie wiedziałam, czy to prawda, czy to sen – a jeżeli nie waliłam się z siodła, to tylko dlatego, że kurczowo zaciśnięte palce nie rozginały się ze zdrętwienia same. Wiatr rozmotał mnie dawno z koca, odwiał go w tył, więc czułam na całym ciele lodowaty, prący dech. Płaszcz skłębił się wokół mnie, spódnica uciekła pod pachy, zostały tylko nieszczęśliwe, półgołe nogi, błyndające się bezwładnie po obu stronach kulbaki. Daremnie wytrzeszczone i wichrem załzawione oczy starały się rozeznać coś wokół siebie. Wielbłąd stał się nikłą, ledwie wzrokiem odgadywaną zjawą, której rytmiczne, złowrogie kołysanie przestało być dawno kołysaniem idącego zwierzęcia, a stało się nieubłaganą machiną, od której nie ma widać wybawienia.

W połowie drogi Helena dostaje ataku kamieni nerkowych i kuląc się z bólu, woli biec truchtem przy karawanie, niż dać się tak dalej wytrząsać. Marysia prawie już płacze z zimna i wyczerpania. Z drepczącym obok nas Uzbekiem nie można się nijak dogadać. Nie wiemy, czy to daleko jeszcze. Naprawdę, że nie możemy dłużej! Wytrząsa nas tak przecie dobrych parę

godzin. Jest środek grudnia! Noce są lodowate, a wicher pali jak płomień.

Wreszcie wielbłąd zbacza z gościńca i zapada w piaszczyste polne drogi. Wtedy dopiero Uzbek zwalnia tempo. Raz po raz na czas niedostrzeżone przydrożne drzewa przemiatają nam zziębnięte policzki piekącymi prętami. Ból dochodzi nas wprawdzie z dużym opóźnieniem, ale mija tak samo – ociągliwie.

Suniemy już teraz bezszelestnie stępa w mroźnym atramencie tej uzbeckiej nocy. Jest tak nie do wytrzymania ciężko i męcząco, jesteśmy tak wyczerpane i bezsilne, że zaczynamy się głośno modlić wszystkie trzy. Nie wiemy, co sobie myśli Uzbek – mnie natomiast przychodzi dziś do głowy, że to chyba pierwszy raz od stworzenia świata – w tym właśnie miejscu po powietrzu – wlókł ktoś za sobą, tak wysoko nad tą pogańską ziemią, prośbę o ratunek i wsparcie u Wspomożenia Wiernych.

Jest późna noc, gdy docieramy wreszcie do kołchozu. Nie widać nic prócz jednego światełka w oknie. To Klub. Zwlekamy się z kulbaki i obie z Marysią przewracamy od razu na ziemię. Jesteśmy od pasa sparaliżowane jakby. Przedziwne, nigdy jeszcze nieznane uczucie, że jest nas tylko – pół. Od pasa ani śladu nikogo. Helena, choć sama skulona z bólu, chce nas dźwignąć jak popsute lalki, rozciera, pociesza, zapewnia, że to chwilowe, że to z zimna, z tego obłędnego tłuczenia się na siodle, a my grzebiemy się w piasku i nie możemy w żaden sposób nawiązać kontaktu między naszą wolą a tymi popsutymi nogami.

Klub to długa, płaska izba z klepiskiem, popodpierana bielonymi słupkami. Dwie od ściany ku środkowi pochyłe płaszczyzny prowizorycznych nar, pełne znajomych w kształcie i kolorze śpiących, zwiniętych kłębków. To nasi. Ci, którzy przyjechali tu dziś przed nami. Naftowa, na ziemi stojąca lampa podświetla izbę od spodu i wyżera nawykłe do ciemności oczy.

Raissa – czyli zarządzająca kołchozem Uzbeczka, baba młoda, w

białej, jedwabnej podwice, pluszowym tułupie i wysokich butach, rozdaje nam po garści suszonych morelek i po pół lepioszka… Gada coś, czego nie rozumiemy, i szczerzy w uśmiechu drobne zęby. Stoi tuż nad lampą, więc jej dziąsła lśnią wilgotnie jak białoróżowa emalia.

To było ostatnie, co zapamiętałam z tej nocy.

Wbite ciasno między tamte śpiące już na deskach łachmany, zamykamy kamiennym snem bezsprzecznie najcięższy z przeżytych w Rosji okresów: pogoni za wojskiem i wolnością.

Rozdział IV
KOŁCHOZ POD BUCHARĄ

Nim zacznę mówić o Stalininie, chciałabym najpierw odgarnąć w pamięci wszystkie brudy, ohydy i okropności, w których nurzałam się dotąd, odcedzić z pamięci całe to bezbarwne, posępne śmiecie, z którego składały się poprzednie miesiące – bo wspomnienie tego czarownego zakątka waży się we mnie osobno i tęczowo – jak wnętrze dużej, odciętej od reszty świata bańki.

Dawniej miejscowość ta nazywała się inaczej. Dziś przezwali ją Stalinin – jeszcze jeden Stalinin – bo na nowe pomysły nie stać już nawet ich lizuństwa. Stalininów w samej bucharskiej obłaści jest pono kilkanaście.

Ale mniejsza z tym… Niech się to nazywa, jak chce! Żadne przewroty świata nie zdołają tu zetrzeć z powietrza świateł, a z ziemi barw. Nieporównany czar tej uzbeckiej wioszczyny zaczął się w nas sączyć od pierwszej chwili, kiedy z polecenia zarządu kołchozu, czyli tzw. kantoru, obarczone workami, ruszyłyśmy ku wyznaczonej nam kwaterze.

Wieś podzielona jest na dwie jakby połowy: żywą i umarłą. Nie umiem sobie zdać sprawy, dlaczego jedna jej część jest już tylko wspomnieniem samej siebie, podczas gdy druga żyje. Czy ludzi zabrakło, czy z musu i nędzy ściskali się w jednym krańcu wsi? Nie wiem. To jedno wiem, że wszystko tu rozsuwa się powoli w gliniany pył. Szczątki lepianek, zarysy zagród, parę samotnych ścian i niebo. Niebo, parę samotnych ścian, kilka zarysów zagród i znowu nic. Nie wiem, czy co na świecie kończyło się słoneczniej, pogodniej, ciszej. Bez śladu buntu czy goryczy. Cudownie prosta konieczność przemijania, powolny mądry powrót z „jest” do „nie ma”, uległe wsiąkanie, rozpadanie, osuwanie się w niebyt.

Ktoś, zda się, wyrzekł nad tą glinianą wioską owo popielcowe „z prochuś powstał i w proch się obrócisz”. I oto obróciła się w proch.

A nad tym wszystkim jest powietrze. Powietrze jak żadne inne. Powietrze, które widać, choć jest czyste, przejrzyste i słoneczne. Nie wiem, jak to określić? Powietrze puszyste jak pastel, jak pył motylich skrzydeł, powietrze sypkie, mieniące się światłem, cieniem, kolorami. Nigdy i nigdzie nie widziałam takiego! Człowiek brodzi w rozpylonej wokół niego tęczy, oddycha nią i widzi świat jak przez miałki, przejrzysty opar.

Drogę zastępuje nam teraz sunący głęboko między piaszczystymi brzegami bury strumyk. I ta woda właśnie zdaje się być granicą między żywą a umarłą częścią wsi… Gliniane czworoboki zagród stają się od razu zamieszkane. Każda jest jakby małą glinianą twierdzą, zjeżoną zwalonymi tu na dachy i przymurki suchymi badylami bawełny. Dudniące trzciną mostki przeskakują wodę na wprost drewnianych, szeroko rozsiadłych bram. Każda więc brama po tamtej stronie wody ma swój mostek, każdy mostek swoją bramę. Żeby nikomu nie było krzywdy.

Nie wiemy, czy ustrój uszanował tu prawo własności. Nie wiemy, czy ludzie są właścicielami tych ulepionych przez siebie glinianych zagród. W każdym razie nazywa się, że w takim zamkniętym czworoboku są u siebie. A mimo to zarząd kołchozu rządzi się u nich jak szara gęś. Helena – która wszystko musi spenetrować i wybadać pierwsza – wie już, że kantor wyznaczył nam kwaterę u jednego z Uzbeków. Na siłę. Nikt się go nie pytał, czy chce, dostał rozkaz i musi. Helena mówi, że przyszła nasza klitka jest strasznie przyjemna! Oczywiście, już ją rano oglądała!

Zagroda naszego Uzbeka jest ostatnia na tym skraju wsi. W złotobury mur ogrodzenia wpiera się brama ogromna, rzeźbiona, srebrzysta od starości. Cudownie spatynowane drzewo grubych belek, popodpierany krokształtnymi okap, wysoki próg, wreszcie duże, zardzewiałe koła antab

– wszystko to tchnie tak nieskazitelną, archaiczną dawnością, że nagle – nigdy nie zgadnę, jakim cudem – zawiało ku mnie wyraźnie Helladą i Homerem! Czas wahnął się raptem o parę tysięcy lat wstecz, zrobiło się zupełnie „gdzie indziej", nie teraz i nie tu. Nie umiem tego zanalizować, rozebrać na style, motywy, podobieństwa, nie mam pojęcia, dlaczego tak i skąd – dość, że wrażenie to zaskoczyło mnie samą i narzuciło mi się tak nieodparcie, że nie otrzepałam się z niego do końca.

Z bramy wychodzi naprzeciw nas niesłychanie malownicze dziadzisko, Uzbek stary jak świat, o brązowozłotej, zsiekanej zmarszczkami twarzy, cienkim paśmie białej brody i olbrzymim, staroświeckim turbanie, jakich tu już nikt nie nosi. Dżouma na nim wypłowiała, pełna łat i pełna dziur, z których wyłazi brudna wata. To nasz gospodarz. Łzawiące ze starości, kaprawe oczy skaczą po nas bystro i przebiegle, porachowały już nasze worki, zlustrowały ubranie. Choć wie chyba, że nie rozumiemy słowa po uzbecku, gada jak najęty i, gestykulując szeroko, wschodnim, czołobitnym ruchem zaprasza nas do wnętrza. Przestępujemy wysoki jak kłoda próg i dostajemy się w to małe, gliniane królestwo, jakim jest każda taka uzbecka zagroda.

Planu to nie ma żadnego. Są ściany i podwórka, daszki i wnęki, są gładko lepione zakosy glinianych murków, przez które zaglądają umaczane w błękicie bezlistne teraz morelo we drzewka. Izby nie mają tu żadnych okien. Światło pada do wnętrza od niskich, stale otwartych drzwi. Izby są prawie puste, wyścielone całe matą i wojłokami, a nazywają się z rosyjska kibitkami.

Przeznaczona dla nas kibitka mieści się przy bramie, tuż za jej szerokim skrzydłem, a wiodą do niej małe jak do szafy, niemające żadnego zamka drzwiczki. Komórka ma może dwa i pół metra w kwadrat, klepisko i cztery chropawe ściany. Oknem – bo jest tu okno, o dziwo! – jest kawałek krzywo zbitej szybki, z pełnym uwzględnieniem jej

przypadkowego kształtu, wmulonej po prostu w ścianę. W klitce panuje bury, puszysty mrok. Jedynym sprzętem pod ścianą w głębi jest łóżko. Nie. Nie łóżko wcale, tylko prycza. I nie prycza właściwie, tylko szeroka, długa ława, opasana wokoło misternie rzeźbioną listwą, podobną żywcem do starogóralskich łyżników. Drzewo jest stare, zjedzone przez robaki i robi wrażenie lekkiego jak korek. Poza tym kibitka jest pusta.

Cóż nas to jednak może obchodzić?! Pierwszy raz od niepamiętnych czasów jesteśmy wreszcie – same! Same! Bez mężczyzn, bez obcego czy wrogiego elementu! Tylko my trzy. Zgrane, rozumiejące się, zżyte. Cóż to za cudowne uczucie! Mamy ochotę całować ściany, głaskać drzwi, śpiewać, śmiać się. Człowiek nauczył się być tak łatwo szczęśliwy, tak bezgranicznie wdzięczny za każdą najdrobniejszą pomyślność! Helena miała rację! Nasza kibitka jest cudowna!

I to wrażenie zostało mi do dziś. Choć przyszło nam w niej przeżyć trzy bardzo ciężkie, bardzo zimne i bardzo głodne miesiące, wspomnienie Stalinina trwa we mnie jako najmiłosierniejszy, najznośniejszy okres naszej tułaczki po Rosji.

Przede wszystkim to, że było nas tylko trzy i to właśnie te trzy – a nie inne. Trudno sobie wyobrazić bardziej dobraną, bardziej różną, a doskonalej uzupełniającą się trójkę. Siła, energia, zaradność, ofiarność i dobroć – to Helena. Cisza, rozsądek, pracowitość, zrównoważenie, pogoda, cierpliwość i uśmiech – to Marysia. A ja – to niepoprawne, stare *enfant terrible*, panikarz, gderacz i niedojda, ale za to gaduła i bajczarz, w którym niedobity okolicznościami zmysł humoru pomaga sobie i innym zapomnieć na długie nieraz chwile o całej nędzy dnia powszedniego. Bawimy się ze sobą doskonale. Twarz nam się nie zamyka. Wszystko jest zabawne i ciekawe. Wszystkie mamy najlepszą wolę i uczciwą chęć robienia tego tylko, co może się przyczyniać do utrzymania pełnej harmonii wewnątrz nas samych, wśród nas i między nami a światem.

Los sprzyja nam wyraźnie. Już to samo uważałyśmy za łaskę i opiekę boską, że ludzie, wśród których nam teraz żyć wypadło, byli właśnie tacy, jacy byli! Doświadczyłyśmy od nich tyle serca, tyle gościnności, tyle bezinteresownej dobroci, że mi do dziś skałką w sercu siedzi niemożność odwdzięczenia się im za to wszystko. Przeklęty rosyjski jucht wywietrzał tu z powietrza bez śladu. Podziało się z nim razem całe chamstwo. Godny, pogodny, szlachetny charakter i sposób bycia tych prostych ludzi, ich dziecinna wprost naiwność i chęć pomożenia drugiemu miały taki urok, taki wdzięk i tak rozbrajającą bezpośredniość, że ani wiedzieć kiedy przywiązałyśmy się do nich naprawdę.

Takimi zwłaszcza byli ci z przeciwka. Szczęśliwy traf sprawił, że tylko piaszczysta droga i dudniący mostek dzielił nas od ich zagrody. Wyszukała ich Helena i zawojowała z miejsca. Nieznajomość języka nie stanęła jej wcale na przeszkodzie. Od czegóż gest, mimika, uśmiech? Gadała do nich po polsku, wplatając czasem rosyjskie lub ruskie słowa, a oni do niej po swojemu – i dobrze! Doskonale nawet! Mniejsza z tym, czy to, co zrozumiała Helena, było naprawdę tym, co jej oni mieli właśnie zamiar powiedzieć – i odwrotnie. Najważniejsze, że obie strony były głęboko przekonane, że się wzajemnie rozumieją. Przypuszczam też, że tym cichym wschodnim kobietom, nawykłym do biernej uległości i posłuszeństwa, taki huragan energii, woli i przedsiębiorczości jak Helena imponował po prostu. Patrzyły w nią jak w tęczę, trochę może zaskoczone, trochę rozbawione – kiedy w swoim krótkim kożuszku, parcianych spodniach i włóczkowym kapturku uwijała się po ich obejściu jak u siebie po folwarku. Ci najpoczciwsi, gościnni ludzie pozwolili jej bowiem gotować u siebie naszą codzienną zupę, jako że w naszej kibitce nie było niczego, co by przypominało nawet piec czy palenisko.

Dziwna jest ta tutejsza zima. Ma jakby dwie zupełnie różne twarze. Jedna niska, skrzepła od przyziemnego mrozu, paląca wichrem i siekąca

piaskiem – druga wysoka, słoneczna, brylantowa, szeleszcząca tylko jedwabistym powiewem, jak szeleścić umie na wietrze duży, twardo napięty powój. Powiew ten czuje się jedynie w otwartej przestrzeni. W zacisznych zakosach glinianych uliczek, na słonecznych wydmach pod murkami czy w czworobokach morelowych sadów – lęgnie się ciepło leniwe, morzące i nieruchome. A zaraz po drugiej stronie tej samej uliczki czy za tym samym murkiem, tylko od północy, jeży się gruboziarnista sól nocnego szronu. Bo noce bywają tu granatowe, mroźne, wyiskrzone, o szeroko rozwianym zwidzie Mlecznej Drogi i twardo napiętym czworoboku Wielkiego Wozu, który nam wjeżdża w ciszę zamkniętego podwórka swojski, znajomy, ten sam, którym turkotało bezszelestnie nasze własne, dalekie, zrabowane niebo.

Marzniemy na potęgę! Nasza mysia norka aż gwiżdże od przeciągów. Prócz jednej ściany – tej, pod którą stoi prycza – trzy tamte podziurawione są drzwiczkami. Małymi, rzeźbionymi drzwiczkami, z których dwoje, na znak, że się nie liczą, obetkano gazetami i zamazano gliną. Niewiele to jednak pomaga. Wiatr chodzi sobie po kibitce, jak mu się podoba, a ponieważ między ścianą a sufitem świecą szerokie szpary, zwiewa nam w dodatku stale pył i piasek na głowy. Nawet w południe, kiedy na świecie rozgrzane w słońcu powietrze chucha od piasku, u nas panuje przykry, piwniczny chłód.

Marysia z Heleną śpią na pryczy. Jedynym ich okryciem jest kusy kożuszek Heleny i aresztancka kurteczka Marysi. Choć leżą ciasno jedna koło drugiej, marzną w nocy na kość, bo prycza ma szerokie szpary między deskami, których nie ma czym zaścielić. Ja rozłożyłam sobie siennik na ziemi pod ścianą, wzdłuż owych małych, zalepionych drzwiczek na dwór i choć zimno dmie mi prosto w krzyże i nogi, jestem przynajmniej od spodu zabezpieczona, nie tak jak one, na przewiewnej pryczy. Od czego

zresztą pomysłowość i bawełna mojego krajana Wasylenki? Tu dopiero zrozumiałam, po co taszczyłam ją ze sobą od Nowego Miru. Oto cały worek przywiązuję sobie jak tiumiurę do krzyżów, a potem, aby mi się we śnie nie obsuwał, naciągam na to wszystko resztki moich reform. Nic mnie to nie obchodzi, że one obie giną ze śmiechu na widok wspaniałej odsady, którą rozkwita pod noc moja – żałośnie we dnie deskowata – sylwetka. Nie wiem, jak by się było skończyło to zatykanie grzbietem szpar na dwór, gdyby nie opatrznościowa bawełna Wasylenki.

O rozebraniu się w ogóle ani marzyć! Przeciwnie. Naciągamy na siebie wszystko, co która ma, i jeszcze dzwonimy zębami do rana. Znosimy to jednak pogodnie, uważając, że dodatnie strony naszego lokum przewyższają stanowczo jego dotkliwe i niewątpliwe braki…

Zagospodarowałyśmy się już na dobre. W ściany powtykane kołki zastępują nam wieszadła. Wiszą na nich nasze szykowne przybory toaletowe. Więc woreczek ze szczoteczką do zębów, woreczek z resztką mydła, woreczek z grzebieniem i rękawica do mycia. Skrawek marli zmarszczony na nitce zasłonił szybkę i rozpyla teraz światło równomiernie po całej kibitce. Kilka znalezionych cegieł i kawałek deszczułki, wygrzebanej przez Helenę w komórce obok, ustawiłyśmy sobie jako niski stoliczek pod ścianą, zaś na kant postawiona paczka po lekarstwach zastępuje nam z powodzeniem szafkę na naczynie. Jakim cudem zardzewiałe wiadro z ambulatorium na barży znalazło się razem z nami w Stalininie – to już pozostanie na zawsze tajemnicą Heleny. Zresztą – mój Boże! Tak ono, jak my jesteśmy przecież kazionnym dobrem. Rządowy majątek nie uszczuplał się wcale, jeśli jedna jego własność przywłaszczała sobie drugą. Bez śladu wyrzutów sumienia smykało się więc takie konieczne nam do przetrwania naczynie. Wiadro zresztą okazało się tu niezbędne. Helena to przeczuła. Woda w strumyku jest tak błotnista, że musimy mieć jakieś większe naczynie, w którym

mogłaby się przez noc osiadać. Trzeba mieć przecie w czym zagotować mąkę i trzeba mieć się w czym umyć.

Inna rzecz, że całe to mycie – to istna komedia! Jedną z dwóch posiadanych miseczek przeznaczyłyśmy na miednicę. Wody mieści się w niej tyle, co w głębokim talerzu. Wobec mrozu w kibitce i braku większego naczynia musimy się jednak zadowolić tą zanikową formą mycia. Zresztą przekonałyśmy się już dawno, że z brudu się nie umiera. Jest to jedna z tych rewelacyjnych prawd, które nam odkryła Rosja. Wiemy już, że można się nie rozbierać miesiącami – i żyć. Że można spać w tym samym, w czym się chodzi od miesięcy, że można równie dobrze jak łyżką – gdy jej nie ma – prętem z przydrożnego drzewa wydziobywać pętające się po gorącej wodzie kluski – o ile takie są – że można zamiast tytoniu palić kruszone w palcach bodiaki, wreszcie że można się do snu układać przy świetle pomysłowo zrobionego kaganka. Noc zapada tu teraz wczesna, więc w braku lampy – musiałyśmy sobie jakoś poradzić. W pusty słoiczek z maści nalało się parę naparstków tranu, skręciło z bawełny knot i oto przy maleńkim jak pestka pomarańczy płomyczku kładziemy się co wieczór spać. Mysz wprawdzie zjada nam z reguły tłuszczem nasiąknięty knot, ale nie możemy jej brać tego za złe. Zbyt dobrze wiemy same, co to znaczy głód, a ponieważ *„tout comprendre c'est tout pardonner"*[12], przebaczamy tej biednej uzbeckiej myszy jej bawełniane apetyty.

Nie wiem, czemu to przypisać, że od samego początku byłyśmy w kołchozie na wyjątkowych jakby prawach. Czy dlatego, że nie miałyśmy tu zostać na zawsze, czy dlatego, że Helena była taka odważna, zadziorna i nieustępliwa? Nie wiem. To pewne jednak, że patrzono tu na naszą pracę przez palce i że wymagana od nas norma była o wiele niższa od normy obowiązującej ludność tutejszą.

[12] *tout comprendre c'est tout pardonner* fr., dosł. ‚wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć'.

Wiemy, że prócz nas są tu jeszcze jacyś mężczyźni, ale nie mamy z nimi żadnej styczności. Jedna Helena widuje ich czasem w kantorze czy w magazynie. Jest kilku Polaków, czekających tu zmiłowania bożego – czyli dostania się do wojska – i kilkudziesięciu Węgrów, Rumunów, przywiezionych tu do pracy z łagrów.

Aha! Prawda! Jest jeszcze Zawadzki z Manią. Dość podejrzane małżeńskie stadło, jako że ona nazywa się jakoś całkiem inaczej. Mieszkają jednak razem i twierdzą, że wszystko w porządku. Niech im będzie. Tych widujemy czasem w polu, ale nie bywamy u siebie. Ot, tyle że się kilka zdawkowych zdań zamieni krzykiem z grobli na groblę. On chory na płuca, zgarbiony, młody starzec, ona rosła, wyszczekana, mówiąca klasycznie czystym łyczakowskim akcentem, bimbająca sobie z całej Rosji, kantoru, norm.

– Pani wie… – krzyczy do Heleny na całe gardło, ponad głowę przycupniętego na grobli brygadiera – ten osioł straszy nas, że jak będziemy dalej tak pracować, to nam zboża nie wyda! Właśnie! Pracować im będę! Jeszczem na głowę nie upadła… W kibitce ziąb, to i wychodzimy na słońce. Ale zabijać się dla nich – guzik! A zboże – żeby ich wszystkich mór wydusił – takij muszą dać. I dają…

I to jest prawda. Mimo jawnej niewydajności naszej pracy, nie odmawiają nam tego zboża, po które co dzień rano albo wieczór gna do kantoru Hil-Hila, jak z niewiadomych nam powodów nazywają tu wszyscy Helenę.

Włączono nas do brygady tego samego Uzbeka, który nas eskortował z Buchary. Uzbek ten – ku jej furii, a naszej zabawie – zapłonął z miejsca ku Helenie afektem, o ile to można tak nazwać. Zdechlak to był wyjątkowy, o wklęsłej, tępej twarzy, zapadłej piersi i naprzód podanym brzuchu. Spłowiała dżouma wisiała na nim jak na haku, a futrzany tirpak okalał zwiędłą twarz niskim, na oczy nasuniętym grzybem.

Widocznie sprawy takie załatwia się po kołchozach po prostu i rzeczowo. Zaraz na wstępie oświadczył Helenie, że swoją *marżon*, czyli żonę, odprawił do jej rodziny na drugi kołchoz, że ma dobrą kibitkę, kilka watowanych kołder i dużo własnego urugu. Urug – to te małe, dzikie, suszone morelki… Nie rozumiejąc jeszcze, do czego to zmierza, słuchała dość obojętnie tych wiele mówiących zwierzeń i wracała ciągle do tego, że nam strasznie zimno w kibitce, że muszą nam wstawić piecyk itd. Mimo wrodzonej tępoty i prawdziwego językowego galimatiasu, jakim posługiwała się Helena, musiał zrozumieć, o co jej chodzi, bo nazajutrz późnym wieczorem przyniósł naręcz suchych trzasek i płaską żelazną misę na trzech nóżkach. Nim się która z nas opatrzyła, na postawionej na środku kibitki misie zaczął po prostu rozniecać ognisko. Białe zwały dymu buchnęły pod sufit, zaczęły nas dławić, wyżerać oczy… By nie uwędzić się żywcem, otworzyłyśmy na oścież drzwi, nie bacząc na lodowaty powiew nocy, który nam tknął po nogach. Zaś Uzbek, dumny ze swego dzieła, wisząc w kucki przy ogniu, dokładał z namaszczeniem trzaskę po trzasce i strzelał wyczekującym spojrzeniem ku krztuszącej się dymem Helenie. Skulone na pryczy czekamy cierpliwie, co też to z tej wędzarni będzie. Na razie jest dym i zimno…

Po pewnym czasie, kiedy się trzaski wypaliły i w misie został sam tylko żar i popiół, zrobiło się istotnie trochę cieplej. Zamknęło się znowu drzwi i mroczny pomarańczowy blask wyścielił całą kibitkę. Ach! Żebyż to chłopisko precz sobie poszło. Jak by to było przyjemnie ułożyć się do snu, nim wiatr wydmucha ciepło! Ale gdzie tam… Bezmyślna twarz wisi nieruchomo nad tlejącą misą i ani myśli znikać…

Nagle małe, blisko osadzone oczy naszego brygadiera wznoszą się ponad żar ku Helenie.

– Hil-Hila! Kibitka maja pajdiosz?

– Nie. Nie pajdu.

– *U menia niet marżon…*

– Nic dziwnego… Kto by cię chciał, idioto! – wtrąca Helena szybko po polsku, a potem oświadcza nagle, ku najwyższemu naszemu zdumieniu: – *U was niet marżon, a u menia boboj – da!*

Nie śmiemy na nią popatrzeć, by nie parsknąć śmiechem. Co jej do głowy strzeliło z tym rzekomym mężem? Uzbeka widocznie też zamurowało to wyznanie… Trąca palcem kilka węgli w popiele, pociąga nosem i milczy.

– *A gdie twój boboj?* – pyta wreszcie, nie patrząc w jej stronę.

– *U Germana w pienie…* – blaguje Helena bez zająknienia. – *I try barańczyki u menia – da. Try pacany.* Kasper, Melchior i Baltazar – sypie teraz synami jak z rękawa. – Jednemu dziewięć, drugiemu siedem, a najmłodszemu pięć.

– *Gdie ty ich potyrała?*

– A w domu… czekają na mnie. Mąż w niewoli także na mnie czeka…

– *Idź… idź… żdiot on… On u Germana nawiemo padoch. Puskaj, Hil-Hila, w kantor. Dam try rubla i spiszymsia…*

– Kiedy u nas takie prawo, że nie wolno iść za mąż, póki pierwszy mąż żyje.

– *Tut nie takoj zakon…*

– Mnie wasz zakon nie obchodzi. Mam swój…

– *U menia urugu mnogo… I kirasin w lampie. I kurapcza z pachty… Paszła so mnoj… U menia niet marżon…*

– *A u menia boboj, da* – i innego nie chcę. *Ponimajesz?*

Pojął widocznie, bo zły poderwał się z kucek i jąkając się ze złości, zaczął jej wyliczać swoje dobrodziejstwa.

– *A za co ja tobie drzewo przyniósł? Za co ja olau zapalił. Co? Nie chcesz? Uwidim! Nie szap, to paga…* – coś niby uzbeckie: „Nie dziś, to jutro, dziewczyno, będziesz moja…”. I splunąwszy z pasją na podłogę,

wyniósł się z kibitki. Krążył potem długo jeszcze pod naszym okienkiem, rzucając od czasu do czasu gardłowe, wilcze okrzyki, mające Helenę wywabić na dwór, aż wreszcie, znudzony widać, poszedł.

Ale *boboj* – ów legendarny mąż Heleny – został! I zostały trzy, z palca wyssane, barańczyki, o których opowiadać umiała ad hoc wymyślane, wstrząsające historie, nad którymi użalały się potem wszystkie baby kołchozu i które – razem z nieszczęsnym, tęskniącym wiernie w niemieckiej niewoli mężem – stanęły obronnym murem między nagabywaną Penelopą a właścicielem ciepłych kibitek i kirasinu…

Jak się więc rzekło, do brygady owego cherlawego Parysa włączono trzy obdarte, wynędzniałe boginie…

Pierwszą robotą, którą nam dano, było łuszczenie bawełny. Spędzono całą brygadę bab w jedno ciasne podwórko i tam od rana do nocy wydłubywałyśmy z zaschniętych bodiaków wilgotną, twardą, ubitą watę. Robota lekka, tylko nudna i bezmyślna. Za to słoneczne podwórze, drewniane jego podcienia i przymurki, zawalone kolorowo odzianymi kobietami, robiły wrażenie głębokiego kosza pełnego bądź jak pourywanych i narzucanych w ten kosz przewiędłych w słońcu dalii…

Potem kazano nam trzem wywindować na płaski dach stajni kilkanaście cetnarów półzgniłej bawełny. Miała tam wyschnąć przed łuszczeniem… Robota to była wściekła i nad siły, po której chodziłyśmy wszystkie jak połamane. Jedna z nas stała na dachu, a druga przywiązywała jej do spuszczonego sznura nawilgły, ciężki wór, który trzeba było wywlec na górę i rozesłać w słońcu. Helena, jako najsilniejsza, taszczyła wory po prostu na grzbiecie, donosiła je po drabinie pod sam dach, skąd już ta, która urzędowała na szczycie, zwlekała go jej z pleców i rozsypywała cienką warstwą po nagrzanej glinie.

Potem kazano nam oczyszczać pola z badyli po bawełnie. Gdyby nie wiatr i przejmujące zimno tych właśnie tygodni, robota nie byłaby zbyt

ciężka. Helena ścinała motyką krzaki – a my z Marysią układałyśmy je w wysokie kupy na polu. Przy tym umiałyśmy już wtedy blagować w robocie. Badyle kładło się na sobie lekko i przejrzyście, tak aby kupa wyglądała przepisowo wysoka i okazała. W ten sposób można było prędzej odwalić normę. Nie pamiętam już dziś, ile ich dziennie musiałyśmy ułożyć.

A potem wreszcie przeznaczono nas do ziemnych robót przy kanałach.

Nie mam pojęcia, jak wygląda w Stalininie praca na wiosnę, w lecie czy w jesieni. Widziałam tylko zimową.

Stalinin uprawia wyłącznie prawie bawełnę. Bo taka tu moda w Rosji. W danym okręgu wolno uprawiać to tylko, co któremu ogólny plan gospodarki rolnej całego kraju przeznaczy i narzuci. Wszystkie południowe republiki mają rozkaz uprawiania tego, co się w północnych uprawiać nie da. Nie można zaprzeczyć, że ma to na pewno pewien sens. Ale dlaczego nie wolno im – dla własnego użytku tylko – uprawiać po trochu i tego także, co by im zapewniło wyżywienie? Dlaczego sztucznie uzależniać całe południe od dostaw zboża z północy? I przy tych obłąkanych odległościach zwłaszcza! Dlaczego? Potem już zrozumiałam dlaczego… To bardzo chytrze i celowo pomyślane – wszystko. Gdyby każda rodzina miała tutaj prawo zasiać sobie obok chaty łanik choćby jakiegokolwiek zboża – któż by ją potem zmusił do tak forsownej pracy, do jakiej zmusić ją może głód i świadomość, że tylko codzienne odwalenie normy zapewni jej tych parę garści otrzymanego z kantoru ziarna? Grządka melonów, cebuli czy rzepy, tych parę krzaków winogron pod murkiem i parę drzew dzikiej moreli – nie wyżywi rodziny. A jest to jedyne, co im wolno mieć tu dla siebie, z tym że pewną część tych ubogich zbiorów muszą oddać bezpłatnie do kantoru. W ten sposób zarząd kołchozu ma ich w ręce, a o to przecie chodzi.

Zależnie od wyrobionej czy niewyrobionej normy kantor wydaje dziennie po ćwierć kilo zboża na osobę. Czasem jest to jęczmień, czasem

owies lub dżugara – nieznany u nas gatunek gruboziarnistego, białego prosa, rosnącego w suchych, szklistych kiściach – kiedy indziej zwykłe proso, najrzadziej pszenica. Prócz tego w czasie, kiedyśmy tam były, wydawali jeszcze po jednej rzepie dziennie. Mięso jest na kołchozie taką rzadkością, że mówi się potem: „To było wtedy, kiedy wydawali gusz", albo: „To było właśnie po wydaniu guszu". Epokowe wprost zdarzenie! Coś jeszcze działo się w związku z mlekiem. Jakichś kusych parę litrów rozdzielał kantor dziennie między ludzi, ale nie co dzień i nie wszystkim. Zdaje mi się, że pierwszeństwo miały te chaty, w których skwierczał noworodek, ale mówię to raczej na własny domysł, bo się nam nigdy nie udało wypenetrować dokładnie, jak się w istocie przedstawia rozdział tego mleka. My dostałyśmy je dwa razy w ciągu trzech miesięcy. Po szklance na każdą.

To jedno pewne, że ludzie są tu stale głodni. Zagadnienie: co będziemy dziś jeść i co kantor wyda – arpahon, burdoj czy arzak – jest jedynym tematem, roztrząsanym na wszystkie tony w czasie pracy, po pracy i przed pracą. W zasadzie temu, kto wypracował więcej niż nakazana norma, należało się jeszcze wynagrodzenie w pieniądzach… Mówiono nam jednak, że teraz, w czasie wojny, kantor winien jest ludziom z tytułu tych nadwyżek po paręset rubli, o które nikt upominać się nie śmie, a których nikomu nie przychodzi nawet na myśl płacić. W dodatku obrabowano ich ostatnio z jednego dnia odpoczynku, do którego mieli dotąd prawo raz na dziesięć dni!

Ale tutaj z kronikarskiej uczciwości wypada mi dodać w nawiasach, że my byłyśmy znowu na wyjątkowych jakichś prawach. Nie tylko nie zmuszali nas w niedzielę do pracy, uznając, że nasz zakon nam tego zabrania, ale ponadto kantor wypłacił nam łącznie jakichś kilkadziesiąt rubli z tytułu tych nadwyżek właśnie! Za co – skoro nie wyrabiałyśmy i tak normy – pojęcia nie mam! Chyba dla potwierdzenia faktu, że w

Rosji nie ma na nic żadnej reguły, że wszystko jest płynne, przypadkowe, nieobliczalne…

Takich kilkadziesiąt rubli to żaden majątek zresztą. *Piost, szalham* czy *sabzi* – ową cebulę, rzepę czy marchew – płaci się na bazarze od 5 do 8 rubli za kilo. Niemniej chcę podkreślić i dla sprawiedliwości stwierdzić, że z niewiadomych powodów zostałyśmy tą wypłatą wyróżnione.

Na ogół bowiem kantor nie przejmuje się byle czym… Jeśli z tych czy innych powodów nie nadejdzie na czas transport zboża dla kołchoźników, magazynier zamyka po prostu magazyn na klucz i odchodzi do swojej kibitki. Ludzie mogą palce z głodu gryźć – nie ma i koniec. Do roboty jednak muszą chodzić dalej i dalej wyrabiać normy. W czasie naszego tam pobytu trzy czy cztery razy zdarzył się taki fading w magazynie, z których jeden trwał całe cztery dni. Kto miał szczęście i przyszedł wtedy pierwszy, dostał jeszcze parę garści wymiecin z podłogi i kątów albo mu młynarz wygrzebał miotłą otręby spomiędzy desek. Inni i tego nie dostali. Dodać należy, że nikomu potem nie wyrównywali takich – nie z ich winy powstałych – zaległości, wobec czego takie cztery czy ileś tam dni rabotali o głodzie za darmo. Jedynym ich pożywieniem były dwie suszone morelki i świadomość, że pracują dla Sojuzu! A to ogromnie sycące!

Zatem Stalinin uprawia wyłącznie pachtę, czyli bawełnę. Przywieźli nas tu już po jej zbiorze. Wszystkie rowami w kwadrat pocięte poletka jeżą się rdzawymi jej badylami. Badyle te ma prawo brać sobie z pola każdy. Ile chce, ile wyszarpnie, ile zwiezie czy ile na grzbiecie do domu przydźwiga. To jedyny w tych okolicach opał. Drzewo jest luksusem, którego zresztą prawie nie ma. Stąd te brązowe zwały na daszkach i przy murkach każdej zagrody. Nie wszystkie jednak poletka udaje się kantorowi w ten bezpłatny sposób oczyścić z niepotrzebnych już badyli. Do najlżejszej zimowej roboty w polu należy więc wyrywanie ze skamieniałej ziemi czy wycinanie tych zbędnych patyków.

Cięższą i ważniejszą pracą są roboty przy kanałach, którymi cały Stalinin zsiekany jest na kostkę. Zawiły system nawadniania pól wymaga wiecznej dłubaniny przy rowach, tamach, groblach i kanałach, których dnem sączy się leniwie nasz błotnisty sąsiad – strumyk. Wyrabiają z nim tutaj, co im się żywnie podoba. Zmieniają mu bieg, każą zawracać co trzy kroki, okrążać to czy inne pole, tu go spiętrzą, tam obniżą, wreszcie walą mu przed nos glinianą tamę, która go wysadza z rowu i zmusza do zalania tego czy owego skrawka na kość zeschniętej z lata ziemi. Robią to niesłychanie sprytnie i pomysłowo. Chwilami ma się wrażenie, że cały teren kołchozu jest trzymaną na ręce płaską, glinianą zabawką i że gra polega na tym, aby przez nieznaczne nachylanie jej w różne strony zmusić burą wodę do wędrowania w kółko. Aby ją jednak w rzeczywistości do tego nakłonić, trzeba, jak rok długi, sypać albo rozkopywać rowy. Rozkopany, wypoczęty – więc żyźniejszy – nasyp bywa bardzo starannie rozplantowany, rozgładzony, rozniesiony wiadrami czy nosiłkami po pobliskim polu. To więc właśnie: nawożenie ziemi ziemią jest jedną z najważniejszych, najuciążliwszych zimowych robót w Stalininie.

W czasie trzech miesięcy, któreśmy tam spędziły, miałam sposobność przyjrzenia się z bliska i dokładnie życiu takiej uszczęśliwionej przez obecny ustrój, bezbronnej uzbeckiej wsi.

Ludzie są tu własnością kołchozu. Najstraszliwsza pańszczyzna, jaką zna świat, wyciska z nich ostatnie siły w ogólnej przymusowej pracy dla Sojuzu, w bezwzględnej, niewolniczej uległości i nieustannym lęku. Wszyscy – prócz małych dzieci i zupełnie zniedołężniałych już starców – pracują tu tak, jak nie wyobrażałam sobie, że człowiek może w ogóle pracować. Rzecz staje się tym mniej zrozumiała, kiedy sobie człowiek przypomni, jak taki kołchoz żywi swoich niewolników!

O wczesnym, mgłą jeszcze zawleczonym świcie, śpiewny zew brygadierów wzywa ludzi, by wychodzili na robotę. W zasadzie nie ma

tu określonych godzin pracy i wyjść możesz w pole, kiedy chcesz, byłeś odrobił swoje. Na znak jednak, że nowy dzień radosnej pracy dla Sojuzu zaczął się oto znowu i że brygadier będzie wyznaczać brygadom miejsce ich dzisiejszych robót, idzie ci taki środkiem wsi, ręce ma założone na plecach, głowę odrzuconą w tył i pieje niczym jakiś nieznany gatunek smutnego ptaka. A zarazem potem od szarych bram odrywają się smukłe, kolorowe sylwetki z motykami na ramieniu i ciągną leniwie w złotawą pustkę rowami pociętych pól. Przeważnie kobiety. Prawie wszystkich młodych mężczyzn zabrano już do wojska. Zostali tylko ci z kantoru, brygadierzy i kilku jeszcze młodych, którzy z dnia na dzień czekają wezwania. Małe, do pstrych grzybków podobne dzieci ciągną za matkami rozdreptaną w piasku czeredą. Nie ma ich z kim zostawić w domu, więc mimo zimna muszą być zabierane razem.

Niepojęta jest wytrzymałość tutejszej ludności na zimno i wiatr! Kobiety noszą na gołym ciele perkalowe szarawary – *izor* się to nazywa – perkalową, sznurkiem w pasie przewiązaną koszulę, a na bosych nogach kalosze. Tylko u starych ludzi widuje się jeszcze resztki ozdobnych, safianowych patynek. Dżouma jest jedynym cieplejszym ich odzieniem, które zresztą kobiety – z niewiadomych mi bliżej przyczyn – noszą często zarzucone na głowę, tak że puste oklapłe rękawy wiszą im wtedy po obu stronach twarzy. Dzieci są dosłownie gołe od spodu, ale za to na głowie każde, nawet najmniejsze – musi mieć okrągły futrzany tirpak! Bardzo to zabawnie wygląda. Grzybki te, zsiniałe z zimna, rozkaszlane i zasmarkane z reguły, obsiadają na całe dnie rowy i miedze, plączą się w pożółkłych trawach i trzcinach kanałów albo nałażą całą gromadą pod sam ogień rozkładanych tu i tam, huczących nagłym płomieniem bodiaczanych ognisk… Czasem któraś z kobiet przysiada zziajana na miedzy i wtedy popłakujący z głodu, właściwy grzybek przypina się łapczywie do jej cynamonowej, szparą w perkalu wypuszczonej piersi… i ssie bez tchu,

zziębniętymi łapiętami poskrobując kwiecisty perkal jej koszuli. Matki mają tu zwyczaj karmić dobrze już nawet podchowane dzieci, takie, które gadają, biegają i umieją się już bawić motyką. Widocznie łatwiej tu o matkę niż o krowę. Od krowy płaci się ogromny podatek, trzeba jej dawać jeść i mogą ją każdej chwili zabrać za darmo na „dobrowolny fundusz wojenny". Zatem wyniszczone pracą i głodem kobiety, jak długo mogą, radzą sobie bez krowy same. Niemowlęta zabiera się czasem w pole też i zostawia na pobliskiej miedzy, pod opieką wiatru i bodiaków. Ciąża nie zwalnia z obowiązku wychodzenia na roboty. Widziałam parę takich kobiet, jak na równi z innymi nosiły wiadra ziemi lub rąbały kitmanem nasyp. Kitman ten to nadnaturalnej wielkości motyka, tak ciężka, że samo jej podniesienie wymaga osobnego nabrania oddechu.

Normą dla tutejszych kobiet jest 400 kopców, którymi muszą obsadzić wyznaczony im odcinek pola. W kopiec taki wchodzą mniej więcej dwa normalne wiadra ziemi. Nie mam pojęcia, ile tego mogło być na kubiki, tyle wiem, że raz, do spółki z Heleną, pracując tego dnia naprawdę do upadłego, zdołałyśmy nabrać na nosiłki i usadzić w rzędzie 270 kopców. To znaczy, że wypadło tylko po 270 wiader mniej więcej na każdą z nas – a i tak zdawało się nam, że nam krzyż pęknie. Dożywotnie tutejsze niewolnice jednak, ażeby wieczór dostać jeść, muszą wynieść 800 wiader! Nigdy nie pojmę, jak się to działo, że mogły! Prawda, że pracowały od świtu do nocy, że umiały już wiadra napełniać i opróżniać z niepojętą szybkością, że zawsze nosiły po dwa równocześnie i że kopce sypało się blisko, jeden obok drugiego. Ale i tak, gdyby przyjąć 12-godzinny dzień pracy, dawało to w sumie po jednym kopcu ziemi na niespełna dwie minuty! Gdybym tego nie była widziała, nie byłabym dała wiary. Jak mieściły to w czasie, skąd brały siły – nie wiem. Rano przed wyjściem piły tylko gorącą wodę z rozgotowanym w niej urugiem, a w czasie całodziennej pracy parę garści suchego urugu będzie znów całym ich pożywieniem! Czasem

któraś z kobiet bierze z domu miedziany dzbanek z czajem, z jasnożółtą, niecukrzoną, cierpkawą wodą, którą się potem podgrzewa przy kupach palonego perzu i bodiaków. To wszystko na cały dzień do wieczora. I to od lat tak. Od całych długich lat. Niewiarogodny, o pomstę do nieba wołający wyzysk pełni się tu nad ludźmi, terroryzowanymi głodem i widmem tiurmy grożącej każdemu, kto by się odkażał od roboty.

Nie odkazuje się jednak nikt. Nikt nie śmie. Nikt nie śmie pary z ust puścić. Od nikogo nie słyszałyśmy tu ani słowa buntu czy sprzeciwu. Jednego słowa skargi. Boją się. Boją się własnego cienia. Boją się własnych myśli. Boją się własnych słów. To już nie tiurma i nie łagier, gdzie wolno szczerze mówić, bo nic gorszego nikomu tam nie grozi. Całym ich sprzeciwem jest milczenie, są te uparcie ku ziemi spuszczone oczy i wyraz twarzy zakrzepły, tragiczny a zaprzysięgły czemuś, co gdyby śmiało być sobą, nazywałoby się chyba: zemsta i nienawiść. Odrabiają jednak swoje, jak maszyny, w zapamiętaniu, w transie jakby, nie patrząc na boki i nie podnosząc głów.

Taka Muslima na przykład. Siedemnastoletnia córka naszych sąsiadów z przeciwka. Choćby już było dawno po zachodzie, ta wątła, cicha, pracowita jak koń dziewczyna, nie zeszła nigdy z pola, póki nie wysypała swojej ostatniej putni. Mam w oczach jej smukłą, dziecinnie drobną sylwetkę – obciążoną dwoma wiadrami ziemi. Oba ważą chyba więcej od niej samej. Toteż kręgosłup od tego napięcia i ciężaru zdaje się w niej dygotać jak struna. Z oczyma wbitymi w ziemię z tą samą uwagą, z jaką linoskoczek patrzy w linę, po której idzie – biega zdyszana po bruzdach tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak małe, zaczarowane tkackie czółenko. Kalosze człapią jej na zziębniętych nogach, wiatr nadyma perkalowe izory i czuje się, że jej po prostu ramiona wyłażą ze stawów. Ale za to wzdłuż jej drogi wyrastają wysokie, sypkie kretowiny, wszystkie takie same, zawsze tak samo w równych odstępach sadzane

między bruzdami, póki ich wreszcie nie wyrośnie czterysta. I wtedy dopiero Muslima podnosi oczy. Śliczne, czarne, o kolczato podwiniętych rzęsach, i uśmiecha się do ojca, krępego jak żuk *bobo*, który od wczesnego rana rąbał kitmanem skamieniałą glinę nasypu. *Bobo* – co znaczy dziadzio – ma lat 67 i pracuje jak maszyna, bez wytchnienia, bez słowa, z jakąś maniacką, tępą zajadłością. Jednym uderzeniem odłupać umie bryłę ziemi, większą od niego samego. Rozkraczony na krótkich nogach, grzmoci i grzmoci w ten wał, aż mu kark czerwienieje i świszczący oddech znaczy każde opuszczenie kitmana. Nosi się inaczej niż wszyscy. Trochę tak, jak pastuszkowie ze średniowiecznych szopek: wypłowiały na siwo i błękitnie, kusy, marszczony kabat z kwadratowym wycięciem, z którego wyrasta szyja spękana jak glina i opalona na miedź. Na nogach skórzane łapcie, łydki aż po kolną okręcone rzemieniami i szeroki skórzany pas. Na głowie zamiast tirpaka czapisko czubate z rdzawo-tabaczkowego, jak mech zbitego futerka. W całej jego żukowatej sylwetce jest coś z owych grubołydych, kusych, kwadratowych człowieczków, którymi mrowią się obrazy Bruegla. *Bobo* stanowczo jest z jakiejś innej epoki. W zdrewniałych fałdach jego ciemnej twarzy mieszkają oczy małe, poczciwe, z którymi zresztą rzadko kiedy spotkać się możesz spojrzeniem. A mimo to *bobo* wie doskonale, co się wokół dzieje. Niby nie patrzy – a wie. Kiedy jego mała Muslima zaczyna ze zmęczenia wolniej uderzać kitmanem, odchodzi bez słowa od swego wrębu i kilkoma walnięciami w nasyp odwala jej tyle ziemi, że przez godzinę może teraz tylko nabierać i nosić, nabierać i nosić – co niesłychanie ułatwia i przyśpiesza pracę. Nieraz też, widząc, jak obie z Heleną borykałyśmy się z łupaniem takiego nasypu, nie tylko odwalał nam kilka potężnych brył z pochyłości, ale narzucał je jeszcze sam na nosiłki. Nie mając wiader, nabieramy ziemię na zambar, płytkie drewniane taczki jakby, o czterech wyślizganych drążkach.

– *Rachmat bobo! Rachmat!* – dziękowała mu Helena z wylaniem, a

on uśmiechał się z trudem twarzą stężałą od miedzianych zmarszczek i wracał do swego przekopu.

I tak pracowali oni wszyscy, jednym tchem, do wieczora. Przez cały czas naszego tam pobytu nie zdarzyło się nigdy, aby ten stary, spracowany człowiek usiadł na chwilę w czasie dnia, by odpocząć. Muslimę dwa czy trzy razy pamiętam gryzącą urugi na miedzy. Żonaty syn *bobo*, jeden z niewielu młodych, niewziętych do wojska mężczyzn na kołchozie, pracował też opodal, tak samo jak ojciec, żona i siostra, tyle że nie roznosił ziemi, tylko ją arbą rozwoził po polach. Piękny, smukły Sali, o wąskich, rasowych rękach, smutnych oczach i łagodnym głosie jeździł na arbie, stojąc jak na bojowym rydwanie, a jego bławatkowa dżouma jaśnieje na tle złotego od gliny krajobrazu jak kropla wilgotnej emalii. Jeśli chodzi o pracowitość i siłę – bo nie o urodę na szczęście – Sali wdał się w ojca. Wparty smukłymi nogami w nasyp, narzuca kitmanem bryły ziemi, jedna za drugą, tak lekko, tak składnie, tak zręcznie, że ma się wrażenie, że to ziemia sama rudawą, mętną fontanną wybija mu się wysoko nad głowę i spada głucho na arbę. I tak całymi dniami. Do wieczora.

A kiedy już słońce rozpłynęło się w niskim, ognistym pyle za kołchozem, na dalekich groblach i przekopach jawił się mały purpurowy punkt. To Hosjata. Biegała po polach, od brygady do brygady, i zapisywała ludziom normy. Nazwałyśmy ją sobie Purpurowy Skorpion, bo jej zniszczona aksamitna dżouma miała cudownie cierpką barwę czerwonego atramentu. Hosjata była siostrą kasjera i urzędniczką kołchozu. Nie lubił jej nikt. Umiała się pieklić, że kopce za małe, że zbyt gęsto sypane albo że krzywo sadzone w bruździe, w ogóle była strasznie ważna i dokuczliwa. Mała, o szczurzej, obleśnej twarzy i chorych, purpurowo obrzeżonych oczach, chodziła między rządkami świeżo usypanych kretowin i liczyła je półgłosem:

– *Bir, ikie, usz, tort, biesz, olti, jeti, sakis…* – póki nie dojechała do

czterystu. Nie wierzyła nikomu i musiała zawsze sama sprawdzić, czy każdy odrobi swoje.

Niech nikt nie myśli, że na tych 400 kopcach kończył się roboczy dzień takiej małej Muslimy na przykład! Wracała do domu piechotą, a potem do późna zwoziła burym osiołkiem pachtę na opał dla domu. Już samo dźwignięcie i przymocowanie snopa tych badyli wymagało dużego wysiłku. A potem – dreptajże piechotą obok obładowanego osła, zwal pachtę na dach czy przymurek i trząś się znów na oklep w zmierzchłe, ostygłe pola po nowy ładunek. I tak kilkanaście razy pod rząd.

W czasie, kiedy Muslima jeździ z tą pachtą, bratowa jej, Husnija, czeka pod magazynem na wydanie im dzisiejszego zboża. Zboże to późnym już wieczorem, w zimnej komórce w głębi zagrody u naszego Uzbeka mełła też zawsze Muslima, mełła ostatkiem sił, rozkiwana rytmicznie nad olbrzymim, szorstkim kamieniem, którego głuchy, monotonny bełkot słyszało się w naszej kibitce do później nocy nieraz. Kołchoz ma wprawdzie obracany wielbłądami młyn, ale rzadko kiedy wydaje ludziom gotową mąkę. Przeważnie mleć ziarno muszą sami na prymitywnych, ciężkich żarnach, których w kołchozie jest tylko kilkanaście. Toteż często po kilkanaście całodzienną pracą zmęczonych kobiet czeka rzędem z pełnymi miseczkami dżugary czy prosa pod komórką naszego Uzbeka.

Nie wyobrażałam sobie nigdy, że mielenie na żarnach jest tak strasznie ciężką, żmudną i dłużącą się robotą! W otwór kamienia wsypywać można na raz szczypteczkę tylko ziarna, którą się potem miażdży bez końca pchaniem w kółko wypukłego, kamiennego bochna. Drążek, który go obraca, wetknięty w wyskrobaną na jego obrzeżu dziurę, jest śliski jak szkło i raz po raz wyskakuje ze swego płytkiego wgłębienia. Wprawienie w ruch tego bochna i zatoczenie nim koła to wysiłek wszystkich mięśni szyi, ramion, brzucha, a nawet nóg – wytężone, zdyszane kiwanie się nad wysokim, w ścianę wpuszczonym, kamiennym blatem, na którego

środku, na czop drewniany nabite, krąży i krąży to olbrzymie żujące ziarna kamienisko! Obrotami spod niego wymiatana nikła warstewka mąki narasta białym pierścionkiem wokół chodzącego w kółko obrzeża, ale narasta ociągliwie, nieznacznie, niemiłosiernie wprost wolno. W komórce panuje w dodatku piwniczny ziąb. Kurczowo na drążku zaciśnięte palce grabieją z zimna i bolą. Warkot kamienia i monotonne kołatanie drążka w drewnianych widłach nad głową usypia i męczy równocześnie. Człowiek zachodzi się tym krążkiem jak dziecko płaczem. Przestaje wiedzieć, że naprawdę jest, wszystko w nim i dookoła niego rozciera się w jedną upartą, zapamiętałą, kołującą miazgę, w bełkot, dygot i w zawrót głowy. Wreszcie nie zostaje w tobie nic prócz ślepego zmęczenia i świadomości, że tylko tym zmęczeniem okupić możesz parę wieczornych łyków gorącej wody z mąką, która ci przed spaniem napełni przyschnięte wprost do kręgosłupa kiszki. Aby zemleć dla nas trzech owe trzy ćwierci kila ziarna, które dostajemy dziennie, musimy z Heleną przetoczyć ten chropawy bochen dobrych parę tysięcy razy w kółko.

A mała Muslima – po 400 kopcach ziemi i iluś tam snopach wytaszczonej na daszek pachty – tacza go co dzień od lat, niezliczoną ilość razy, mieląc po całodziennej robocie ziarno dla siebie i rodziny!

Przynosiła do komórki naftową lampkę, stawiała ją we wgłębieniu ściany i godzinami cierpliwie, garstką po garstce, karmiła wolno żujący je kamień. Dzięki tej lampce właśnie mogłyśmy także i my zemleć sobie czasem ziarno z wieczora. Zwykle bowiem robiłyśmy to rano przed robotą, a skutek był ten, że wychodząc w pole, nie czułyśmy już rąk ze zmęczenia. Czasem przychodził pomagać tu Muslimie *bobo*, ale chyłkiem, bo uzbeckim mężczyznom nie przystoi widać taka babska robota, czasem Husnija, a czasem my, tak zresztą, jak często Muslima poczciwie pomagała nam. Robiła to pewnie i dlatego także, aby się prędzej dopchać do kamienia. Nie umiałyśmy mleć tak równo i tak spokojnie jak ona.

Patrzyłam zawsze z podziwem i współczuciem na tę obrotami kamienia rytmicznie rozkiwaną dziewczynę, na jej wątłe plecy i małą, śniadą rękę chodzącą bez wytchnienia w kółko za śliskim, rozkołatanym drążkiem.

Nie zapomnę nigdy tych męczących, uparcie rozkrążonych, ponocnych godzin przy żarnach. Przymykam oczy i widzę. Malinowa dżouma Muslimy, kupa rudych liści w kącie i niski garbaty rozwór drzwi wychodzących wprost na zasypane zielonawym pyłem księżycowej poświaty podwórko. Zakrzepła, nieruchoma, lodowata noc, porysowana martwymi cieniami gałęzi na glinie. A tu złoto. Złoto od suchych liści, złoto od dygoczącego na przeciągu światła, złote proso w zielonej misce, tykot wideł nad głową i ta smutna, cicha dziewczyna, wklęta bez ratunku w miażdżące żarna pełniącego się tu nad nimi wszystkimi wyzysku i przemocy.

I znowu niech nikt nie myśli, że na tych żarnach kończyły się zawsze codzienne obowiązki Muslimy! Parę razy w tygodniu, po przełknięciu w pośpiechu rozbełtanej w gorącej wodzie mąki, musiała gnać do klubu na mityng! A jakże! Musiała tam słuchać – półprzytomna ze zmęczenia – jak bardzo jest szczęśliwa. Jak ojcowski jest dla niej reżym. Jak pożałowania godne są kraje, które go nie mają. Z jakiego ucisku i z jakiej niewoli wydobył ich komunizm, jakimi dobrodziejstwami ich otoczył – i jak bezgranicznie wdzięczni winni być ukochanemu Stalinowi!

Co się dzieje w sercach tych siłą do klubów zagnanych, głodnych, śpiących, bezbronnych ludzi, kiedy tego wszystkiego słuchają, to pozostanie ich tajemnicą. Milczą. Słuchają i milczą. Tak jak pracują i milczą. To jedyny ich sprzeciw i obrona.

My za to nie milczymy. Ani nam się śni! Przy byle sposobności opowiadamy tym zakłamanym ludziom, jak wygląda życie w innych krajach. Zawartość naszych worków, choć dobrze już uszczuplona, jest zawsze najlepszym argumentem. Helena mówi o swoim gospodarstwie

na wsi, o swoich krowach, koniach, wagonach własnego zboża. My znów opowiadamy o pełnych sklepach, braku ogonków, o wyjazdach za granicę. Nie wierzą. Jesteśmy pewne, że nie wierzą. Może jeszcze starzy, którzy pamiętają dawne czasy. Młodzi jednak są już tak spreparowani, że podobne rzeczy w głowach im się nie mieszczą.

Owa poglądowa propaganda skończyła się dla mnie dość żałośnie zresztą. Podejrzanej konduity, pętająca się po kołchozach dziewczyna – Guldona jej było na imię – wpadała do nas często – wpadała, jak to tu jest we zwyczaju, kiedy chciała, o każdej porze, bez pukania, bez pytania, siadała na pryczy i strzelając oczyma po kątach, siedziała znowu tak długo, jak jej się podobało. Umiała lepiej od innych po rosyjsku, więc łatwiej mogłyśmy się z nią porozumieć. Spryciara to była kuta na wszystkie cztery nogi, ładna, wygadana i bezczelna, od której zalatywał już wyraźnie rosyjski jucht, jako że miała przeważnie do czynienia z sowieckimi komandirami, czym bardzo zresztą lubiła się chwalić. Helena – jako że Helena ma nosa do ludzi – raczej kosym okiem patrzyła na te wizyty i radziła nam się jej wystrzegać. Ja jednak, w swojej przypóźnej naiwności, brałam ten zły szeląg za dobrą monetę, a Guldona – od razu zwietrzywszy durnia – tak zwykle manewrowała, aby mnie w domu zastać samą. Toteż pewnego dnia – obiecawszy mi ją odnieść nazajutrz – wymańciła ode mnie, niby to na wzór do skopiowania, jedyną suknię, którą miałam jeszcze w worku. I jakże ją zaczęła kopiować, tak ją kopiuje do dziś. Nie bywa się głupim bezkarnie. To trudno.

Na szczęście owej niesławnej pamięci Guldona była wyjątkiem. Nikt nam tu niczego nie ukradł, przeciwnie, kto mógł, podtykał, co się dało, z bezinteresownej dobroci płynącej z prostej potrzeby serca. Zjednać ich sobie można byle czym. Wystarczy uśmiech czy żart, wystarczy odruch najzwyklejszej uprzejmości, życzliwość okazana dziecku czy szacunek starszym.

I tak nasza znajomość ze starą *bibi* (babką) zaczęła się od tego, że jej Helena odebrała z rąk zbyt ciężkie dla starowiny wiadro z wodą i zaniosła za nią do kibitki. *Bibi* mieszka w jednej z glinianych norek, w tej samej co i my zagrodzie. Nie wiem, jak to tu jest urządzone z tymi mieszkaniami, dość, że kibitki w królestwie naszego Uzbeka z brodą i turbanem zajęte są przez różnych, takich jak my, bezdomnych lokatorów.

Ułożyłyśmy sobie, że *bibi* była ongiś piękna i zamożna. Dziś jest to kłębuszek wypłowiałych jedwabi z tkwiącą w nich brunatną garsteczką skóry i kości. Babina ma w obejściu dużo godności i obycia i – co najzabawniej sze – nie wyzbywa się dotąd pretensji! Czerni sobie węglem dawno wyleniałe brwi i lubi się widać stroić. Pamiętam, że wstąpiła do nas, idąc na wesele jakiejś swojej krewnej. Mam w oczach do dziś jej fularowy rumol okalający ciemną, zdrewniałą od zmarszczek twarz wszystkimi odcieniami fioletu, od bladego jak leśny fiołek po ciemnoametystowy. Helena postanowiła, że *bibi* nie dożyje lata. Postanowiła też, że staruszka miała dziesięcioro dzieci, które jej wszystkie w kołysce pomarły. Babina istotnie pokazuje często szeroko rozczapierzone, gruzłowate od artretyzmów palce obu rąk, ale czy to znaczy to, co zrozumiała Helena – to tylko Bogu wiadome.

– Dziesięcioro! – wzdycha jednak na wszelki wypadek Hil-Hila.

– *Haj, haj* – potakuje na wszelki wypadek tamta i rozcierając białe krople łez w kątach zmęczonych oczu, sięga w zanadrze po małą, szmatką zatkaną tykwę. Kobiety tu nie palą tytoniu, tylko go żują. Biorą pod język szczyptę brunatnego proszku, milkną na długą chwilę, a potem zaczyna się plucie na podłogę, plucie bez końca, plucie, które jest tu widocznie w zupełnie dobrym tonie, skoro je z taką swobodą uprawia także nasza wykwintna *bibi*.

Nie mam pojęcia, z czego żyją po kołchozach takie biedne, samotne staruszki. Może być, że kantor ma obowiązek utrzymywania ich do

śmierci. To pewne, że *bibi*, choć nie pracuje, ma mieszkanie, pachtę i urug. Urugu musi mieć nawet sporo. Każdą najdrobniejszą sąsiedzką przysługę opłaca nim sowicie. Czasem zdyszana – a zażenowana jakby własną uczynnością – umie nam przynieść rano do kibitki czarkę pełną gorącej wody z rozgotowaną cebulą i morelami, przysmak, na który same nie mogłybyśmy sobie pozwolić. Wygłaskuje nas przy tym po twarzy i z oczami pełnymi starczych, łatwo napływających łez, prawi nam z wylaniem jakieś uzbeckie, macierzyńskie czułości.

Drugim naszym sąsiadem jest Czarny Kogut. Tak nazwałyśmy sobie ogromnego, półślepego Uzbeka, który gnieździ się też w głębi naszego obejścia. Kiedyśmy się tu sprowadzały, przyjął nas dosłownie z otwartymi ramionami, Helenę wyściskał oburącz i, zaśmiewając się z zadowolenia, wetknął jej zaraz garść urugów w kieszeń. Nazwa jego wzięła się stąd, że człowieczysko to miało w krzyżach jakieś koszlawe a dziarskie kogucie wypięcie, podkreślone jeszcze przez wyłażącą mu całymi kłapciami na siedzeniu watę. Dżouma jego miała być kiedyś błękitna, dziś dziurawa – od lat bądź jak i bądź czym łatana – parę już tylko płatków dawnego błękitu zdołała na sobie ocalić. Toteż nasz Uzbek ma w kolorycie coś ze starego, obitego z emalii czerepa. Taki biedny, owdowiały, półślepy, ludzki czerep – sam i niczyj – żyjący po to tylko, aby żyć, i mimo kalectwa ciężką fizyczną pracą zmuszony zarabiać na to życie. Kiedy wchodzi do naszej malutkiej kibitki, robi się w niej ciemno – tak jest ogromny.

Dzięki ślepocie jednak zdziecinniał jakoś na bezradnie i rozbrajająco. Nosi wyleniały tirpak i żadnej koszuli. Wiecznie rozchełstana dżouma odsłania szyję ciemną jak pień sandałowego drzewa, po której jeździ w górę i w dół nigdy nieprzełknięty ogryzek adamowego jabłka. Lubiłyśmy bardzo naszego Koguta. Był śmieszny i rozczulający. Miewał też zabawne napady wesołości i wtedy tańczył. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy go to u nas pierwszy raz napadło.

Raz, kiedy skulone na ziemi grzałyśmy sobie ręce nad ogniem owej trójnogiej misy, zjawiła się nad nami ogromna postać naszego sąsiada. Coś zabełkotał, coś nam tłumaczył, a potem nagle, bez żadnej oczywistej przyczyny – zaczął tańczyć. Przy rwanym rytmie obcej, dzikiej melodii, te jego twarde, kogucie przytupywania, dygoty i zwroty, suche trzaski w takt strzelających palów, rozchełstana dżouma i w tanecznym zapamiętaniu ekstatycznie poddarta, capia broda – wszystko to wirowało nam przed zaskoczonymi oczami strasznie i komicznie równocześnie. Blask podmiatał go od spodu, podczas gdy za nim, po ścianie i suficie pląsał jego olbrzymi, rozmachany cień. Półślepy, samotny cietrzew, wtupujący w glinę niedobite porywy samczej buty, zadzierzysty, zdobywczy tok, potrząsający żałośnie kłapciami brudnej waty! A potem, równie nagle jak zaczął, urwał swój tan i jak zawstydzone stare dziecko – uciekł z kibitki. Nie doszłyśmy nigdy, co to było i po co, ale ponieważ potem powtórzyło się jeszcze parę razy, przestałyśmy się dziwić. Jedna Helena umiała go zrozumieć, to znaczy umiała dość prędko własnymi domysłami zapełnić jego niekończące się tyrady, którymi nas raczył, nie dbając wcale, że nie znamy języka. Jedno tylko wyrozumiałyśmy na pewno, i to wszystkie trzy tym razem: oto poczciwe Kogucisko nienawidzi naszego wspólnego gospodarza, drze z nim koty i od świtu kłócić się umie ząb za ząb. Przysiadając i aż tupiąc z oburzenia, pokazywał na migi, jak to ten stary *boboj* tłucze swoją biedną *marżon*, małą, kaprawą, strupieszałą babinę, którą widywałyśmy zawsze w głębi obejścia, zapracowaną do upadłego, podczas gdy pan jej i władca wygrzewał się w słońcu przed bramą i żuł urugi. Nie to jednak przede wszystkim miało mu do zarzucenia nasze ślepe Kogucisko. Chodziło o rzeczy ważniejsze niż bicie żony. Pewnego dnia wśliznął się nam do kibitki – cicho jak spiskowiec zamknął za sobą drzwi i w prześmiesznych, wypiętych przysiadach podszedłszy całkiem blisko, zwierzył nam tajemniczym szeptem:

– *Boboj karapczyk! Jamon karapczyk!*

Karapczyk to znaczy złodziej, a *jamon*: zły, brzydki, niedobry. Wyszło na jaw, że podczas gdy nasz Kogut dziugał na oślep glinę w polu, by odrobić swoją biedną normę, to podłe, łakome dziadzisko zakradło mu się do niezamkniętej kibitki i podjadało zostawione tam niebacznie zapasy! Złapawszy go dziś na gorącym uczynku, przyszedł się nam na gorąco poskarżyć. Od tego dnia przed wyjściem w pole przynosił nam chyłkiem na przechowanie parę łyżek słonecznikowego oleju w dzbanie, woreczek dżugary i woreczek urugu. Wyklepywał nas przy tym z reguły po ramionach i zapewniał z najgłębszym przekonaniem, że tamten jest *jamon*, ale my za to *jakszi*!

A nasza kibitka jest naprawdę bezpieczna. I to nie tylko dlatego, że żona *bobo* z przeciwka – babusia, jak ją z czułością nazywa Helena – pożyczyła nam *kulf*, czyli kłódkę, na którą zamykamy w razie potrzeby drzwi, wychodząc. Kibitka nigdy teraz nie zostaje sama. Na robotę chodzimy tylko my dwie z Heleną, podczas gdy Marysia zostaje w domu. Owo zapalenie nerwu w nodze unieruchomiło ją na dobre. Przypuszczam, że pogorszyło się jej przede wszystkim z powodu wściekłego zimna w kibitce. Całymi nocami nie śpi, a w dzień nie może sobie znaleźć znośnej pozycji na deskach. Zgłosiliśmy zaraz w kantorze, że jedna z nas jest *bolnaja* i że do roboty chodzić nie będzie. Nie robili nam o to żadnych wstrętów, a co dziwniejsze, nie przestali wydawać i dla niej także owych 25 dkg ziarna dziennie. Utwierdziło nas to w przekonaniu, że jesteśmy tu na jakichś wyjątkowych prawach. Aby nam było przyjemniej, opowiadamy sobie, że to pewnie nasze władze zastrzegły sobie u tutejszych, że nie będziemy traktowani jak zwykli kołchoźnicy, że nas przysłano tu na przetrzymanie jedynie i że wobec tego mamy pracować tylko wtedy i tylko tyle, ile możemy.

Zresztą tutejsi ludzie są naprawdę dla nas poczciwi. Nawet ci z

kantoru, którzy najbardziej jeszcze trącą Rosją. Mówią już nieźle po rosyjsku, nie noszą szarawarów, tylko fufajki i wysokie buty. Jeden tirpak został im jeszcze z dawnego, miejscowego ubioru. Z urzędu gadają też często o Sojuzie i Stalinie. A mimo tego nie wyczuwamy wcale owej niechęci – wzajemnej zresztą – z którą spotykaliśmy się stale ze strony rdzennych Rosjan.

Prawda i to, że choć w zasadzie nie odmawiają nam dziennej porcji ziarna, trzeba ją co dzień na nowo wydębiać. Bo dębić trzeba. To trudno. Taki już tu obyczaj. Magazynier mówi zawsze, że nie ma, a kantor zawsze, że się nie należy. Toteż wydobycie tych paru garści ziarna zabierało Helenie moc czasu i kosztowało ją dużo zdrowia i irytacji.

Czasem jednak – niespodzianie – umieli sami ruszyć konceptem! Ni stąd, ni zowąd.

Pewnego mroźnego, styczniowego dnia, zjawił się u nas sam *predsiedatiel* – stary, poczciwy Uzbek, w ciemnym, nisko na odstające uszy nasuniętym tirpaku. Przyszedł się przekonać z urzędu, czy mamy w kibitce wszystko, co się nam należy. Ujrzawszy mizerię naszej egzystencji, brak pieca mimo mrozów, siennik na klepisku, gołą pryczę i szpary na dłoń popod drzwiami – zmył porządnie łeb naszemu wyprzałemu Parysowi za to, że nie dba o swoją brygadę, i kazał natychmiast wstawić drugą pryczę, dać parę watowanych kołder i – co najważniejsze – piec! Cóż to był za wielki dzień w naszym życiu! Nie wiedziałyśmy, jak temu poczciwcowi dziękować. Znając widocznie swoich ludzi, *predsiedatiel* nie tylko wydał wszystkie te zarządzenia, ale jeszcze osobiście dopilnował ich wykonania. Odczekał, aż przyniosą z kantoru parę rur i cegieł, a potem sam pomagał lepić mały jak dla lalek, zabawny piecyk. Maleństwo to stanęło tuż przy drzwiach, obok wstawionej teraz dla mnie w kąt wąskiej pryczy, na której rozciągał się wygodnie zbutwiały już od spodu siennik. Kilka ciężkich, pstrych, grubo watowanych kołder zaległo obie prycze, a jako zupełnie

nadprogramowy dodatek poczciwe Uzbeczysko, dowiedziawszy się, żem *kuriaszczaja*, dało mi jeszcze spory woreczek zielonej, grubo krajanej machorki.

Od tego pamiętnego dnia do zwykłych naszych zajęć dołączyło się jeszcze codzienne przynoszenie z pola pachty na grzbiecie. Nie zapomnę ja tego palenia! Piecyk nasz to po prostu zwykła, rdzą przeżarta, na kilku cegłach ustawiona bratrura, połączona zgniecionym, blaszanym kolanem z wybitą w ścianie dziurą. Dymi jak diabli! Coś okropnego, jak dymi! Biała wata krztuszących kłębów wygniata się z niego drzwiczkami i każdą szparą, tak że w kibitce robi się z miejsca ciemno i nie do wytrzymania! Puszczamy w ruch rozpaczliwe szmaciane wiatraki, staramy się na wszystkie możliwe sposoby wyprosić dym z kibitki, krztusimy się, płaczemy, piec nic – dymi jak zwariowany!

Rzecz była ściśle zresztą zależna od pogody. W wilgotny, pochmurny dzień nie było warto nawet zaczynać. W pogodę jednak – po krótkim stosunkowo okresie przymusowej wędzarni – umiał jakiś miłosierny przeciąg wywabić z rury przeklęty, dobrze uzbeckim oczom znajomy dut i za białe, skudlone włosy powlec go za sobą w górę. A wtedy nasz piecyk szaleje! Huczy, trzeszczy, furgocze, zachłystuje się płomieniem i rozgrzewa do czerwoności w mgnieniu oka. Jest tak niebywale żarłoczny, że mu nigdy nastarczyć nie można tej pachty. Pcha mu się w drzwiczki i pcha bez końca szeleszczące szyszkami badyle, a płomień łyka je i topi tak szybko, że nie wiadomo, jak uciekać z rękami. Popiół pachty jest ciężki, lepki i ma się wrażenie, że się go robi więcej, niż było samych patyków. Sadza też jest inna od zwykłej. Z otworu rury wycieka gęsta, lśniąca jak lakier, kleista maź koloru bladych powideł. Zalepia nam rurę bez ratunku i co najmniej dwa razy w tygodniu musimy ją czyścić i przebijać. Całą nieszczelną powierzchnię pieca zasypałyśmy grubą warstwą piasku i po to, aby na złość zrobić dymowi, i po to, aby rozgrzany, dłużej trochę

trzymał ciepło. Sam piecyk bowiem stygnie momentalnie, równie prędko, jak umie się rozgrzać. Czasem stawiamy sobie w ten piach miseczkę z wodą do mycia. Dotąd myłyśmy się w lodowatej wodzie. O wiele później dopiero wpadła Helena na genialny pomysł gotowania wieczornego posiłku we własnym zarządzie. Na razie korzystamy z gościnności babusi i naszą codzienną lurę przyrządzamy w zagrodzie naprzeciw.

Zagroda to rozległa i schludna. Duża, rzeźbiona brama wiedzie w pierwszy, kwadratowy dziedziniec, cały bury od gliny i pachty. Zaraz za bramą, w otwartej stajence – mieszka żywiciel całej rodziny, krówka czarna, chuda i kosmata. Bardzo wdzięcznie wspominam tę małą *motgau*. Udawało się nam nieraz kupić u babusi czarkę świeżego mleka, które dolane do wody z mąką umiało smak owej zupy podnieść do doskonałości. Potem jest drugie podwórko, skąd szereg niziutkich drzwi wiedzie do glinianych komórek, w których śpią po ciemku różne gospodarskie statki. Z tego też podwórka wchodzi się dopiero do mieszkalnej izby. Gnieździ się w niej cała z siedmiu dusz złożona rodzina.

Izba jest chłodna, ciemnawa i pusta. Na środku nieodzowne *sandali* – ognisko domowe, czyli głęboki dół, nakryty stołem i watowaną kołdrą.

W dole tym stoi podobna do naszej trójnożna misa pełna dzień i noc tlejącego żaru. Tu, dokoła tego znicza, skupia się z reguły rodzinne życie Uzbeków. Wróciwszy z pola, strzepują kalosze i wtykają zziębnięte nogi pod stół i kołdrę. Z nogami pod kołdrą spożywają swoje posiłki, a w nocy, znów ze stopami nad żarem, śpią w szeroko na podłodze rozpryśniętej gwieździe. Izba ma kilkoro nieszczelnych drzwi, toteż zimno dmie z dworu nisko i zjadliwie. Ludzie ci mają zatem stale żar pod piętami, a grzbiet w lodowatym przeciągu. Tyle że, widać, nawykli. Muszą też od dziecka mieć nogi tak zapieczone, że już chyba nie czują gorąca. Żadna z nas jednak – ku śmiechowi gospodarzy – nie mogła długo wytrzymać pod tą wspólną kołdrą, zwłaszcza że nogi wtykać tam należy bez obuwia. Wchodząc,

zostawia się je pod drzwiami, pewnie i dlatego także, by nie nanieść błota. Całą podłogę zaściela śliska mata z ryżowej słomy i duże płachty kolorowego wojłoku. Izba ma ściany ciemne i chropowate, a jedyną ich – przypadkową pewnie – ozdobę stanowią szkliste, perłowobiałe kiście niewymłóconej dżugary, która się aż tam schroniła przed myszami. W kącie – niczym posłanie dla królewny na grochu z bajki Andersena – garbi się malowaną blachą obita skrzynia, a na niej, wysoko aż pod sufit prawie, kolorowy stos kołder. Na noc kołdry te zostaną rozesłane dokoła sandali. Prócz półki z kilkoma czarkami i kołowrotka, jedynym sprzętem w tej izbie jest roztykotana, wyślizgana kołyska, pełna watowanej pstrokacizny i małego Osiwa, kołyska, która trącana od czasu do czasu przez babunię, wybija się na boki spod niskiego, bogato rzeźbionego kabłąka.

A babusia przędzie. Siedzi w kucki obok przedziwnego kołowrotka, niepodobnego wcale do naszych i, naskubując kawową wełnę, skręca grubą, gruzłowatą nić, zwijającą się na rozmruczaną szpulę. Staruszka ma twarz brunatną, zrytą bruzdami, oczy ciemne, ciężkie, z trudem jakby i niechętnie wznoszone od wszelkiej roboty. Babusia mówi Helenie, że to od dymu tylko oczy jej są często takie zaczerwienione, ale Helena wie, że to nieprawda. Syn ich – ich ukochany, mądry Ramazon – przepadł bez śladu, odkąd wchłonął go bezlitosny potwór, któremu na imię wojna. Szarifa nie chodzi już do roboty, ale za to od świtu do nocy krząta się po swoim glinianym królestwie.

Ze wszystkich spotkanych tu kobiet babusia jest bezsprzecznie najdostojniejsza. Nie stroi się, nie maluje węglem brwi, nie zażywa tabaki. Ubiera się zawsze biało, a jest tak czysta i schludna, jakby się nigdy żadnej gospodarskiej roboty nie imała. Czy wtedy, kiedy czerpie wodę, czy wtedy, kiedy doi krowę, czy wtedy, kiedy szeleści pachtą przy dymnym palenisku, ma w sobie dostojeństwo kapłanki. Patrząc na nią, nie mogłam się nigdy opędzić wrażeniu, że wszystkie te najcodzienniejsze

czynności stają się dzięki jej osobie jakimś obrzędem, rytuałem, czymś o wiele więcej niż zwykłą koniecznością dnia. Uderzało mnie to zwłaszcza w czasie, kiedy miała do czynienia z mąką. Z początku, póki nukuski jej zapas pętał się jeszcze na dnie naszego woreczka, Szarifa parę razy piekła dla nas placki. To trzeba było widzieć, by zrozumieć.

Mała, ciemnawa komórka, gliniany dzban z wodą, płachta rozesłana na ziemi, a obok niej ona – prosta, biała i skupiona jak przy modlitwie. Niepodobna opisać czci i nabożeństwa, z jaką te brunatne, spracowane ręce dotykały mąki, z jaką miesiły ciasto i z jakim pietyzmem taczały z niego potem krągłe kule, rozplaskiwane z kolei na cienkie, okrągłe placki. Każdy ruch był tutaj obliczony i celowy. Każdy ruch oddawał po jakiemuś cześć tej lotnej, żywicielskiej substancji, otrząsanej z rąk i zmiatanej z brzegów płachty ku jej środkowi pieczołowicie, skrupulatnie, do ostatniego pyłka. Patrząc, próbowałam już wtedy znaleźć właściwe słowo, którym by można określić namaszczenie i dostojeństwo tego powściągliwego skupienia, z jakim ręce te pełniły oto przede mną ów święty mączny rytuał wedle jakiejś białej, odwiecznej liturgii zboża, mąki i chleba. I znalazłam tylko słowo: „mądre”. Ręce mądre do mąki czy ręce od mąki mądre. To trzeba było widzieć i odczuć. Napisane, nie znaczy chyba nic.

Potem wodą skroplone placki niosło się na deszczułce w ostatnie, ciasne podwórko, gdzie pod daszkiem z trzcin bąblił się czarny, w glinę wpuszczony satil i przedziwny gliniany piec, żywcem podobny do olbrzymiego, skosem na ziemi postawionego jaja. Jajo to miało krągły otwór u góry i u dołu. Pod dolnym otworem buzowała już od dłuższego czasu pachta tak sprytnie jakoś podłożona, że cały dut wchodził bokiem, a całe ciepło, wsysane przeciągiem w jajo, rozpalało wewnętrzne jego ścianki do właściwej temperatury. Babusia skrapiała teraz suto wodą to właśnie rozpalone podniebienie wewnątrz pieca, po czym szybkim,

niespodzianie zwinnym ruchem przez górny, krągły otwór wsuniętą ręką przylepiała płasko wilgotny placek do prychającej jeszcze i plującej kroplami gliny. Cała rzecz w tym właśnie, aby go przylepić, nim woda wyparuje. Przysysał się natychmiast, a potem już tylko pęczniał w gorącu, twardniał i rumienił się brzegami. Odklejenie go potem w porę od gorącej paszczy było taką samą sztuką, jak włożenie go w piec. Nie zapomnę nigdy ruchu, jakim babusia składała wreszcie w rozpostarty na rękach Heleny skrawek płótna te gorące, bezcenne, upragnione lepioszki! Ostrożnie, czule, jakby każdy z nich był co najmniej nowo narodzonym dzieckiem. Oczywiście, że jeden – bo było ich cztery – zostawał mimo protestów dla niej. Czymże innym mogłyśmy się odwdzięczyć? Wiedziałyśmy, że oni są chyba równie głodni jak my. I to głodni od lat. Głodni kładą się spać po pracy i głodni wstają do pracy przed świtem. Każdy ich dzień kończy się i zaczyna tym samym.

Nasz dzień w Stalininie zaczynał się też przed świtem.

Budziły nas zawsze rozczłapane kroki starego Karapczyka idącego otwierać bramę. Zawsze w tym samym miejscu, tuż pod naszymi drzwiami, zaczynał kaszlać. Potem słyszało się chrobotanie łańcucha, brzęk ogniw puszczonych ciężko po deskach i długi, drewniany miauk obu skrzydeł bramy, odchodzących wolno na boki.

Helena zrywała się pierwsza. Po ciemku owijała nogi niezliczoną ilością szmat, wtykała je w olbrzymie, podarte buciory i przywiązywała sznurkami do kostek. Kiedy obie z Marysią wytykałyśmy głowy spod okrycia, Helena zazwyczaj już się czesała, zaś mętny, morelowy medalion wstającego słońca lśnił się na glinie nad pryczą. Kosa szybka okienka była z nocy zapocona na matowo, a powietrze w kibitce tak lodowate, że para oddechu bielała jak na silnym mrozie. Budziłyśmy się skostniałe. Wnętrze moich trzewików było wprost piekąco zimne i zawsze osobno bałam się chwili wetknięcia w nie zlodowaciałych nóg. Toteż każdorazowe wstanie

w tych warunkach było przezwyciężeniem, jeśli nie bohaterstwem! Zwlekałam też, jak długo mogłam, z odwiązaniem owej bawełnianej tiumiury, bo dziwnie żałośnie i samotnie robiło się mojemu grzbietowi po zdjęciu tego ciepłego worka. Czasem więc, ku radości otoczenia, łaziłam jeszcze dobrą chwilę z tym postiszem na siedzeniu.

Potem następowało mycie. Rzecz robiona raczej z nawyku i dla spokoju sumienia niż dla skutku, który musiał w tych warunkach być znikomy. W czasie trzymiesięcznego pobytu w Stalininie raz tylko jeden umyłyśmy się naprawdę.

To było na Sylwestra. Pamiętam jak dziś. Helena pożyczyła od babusi olbrzymią glinianą tacharę – misę, którą przytaszczyłyśmy do kibitki we dwie, bo jedna by jej nie uniosła. Na migi dogadawszy się z Karapczykiem, uzyskała od niego pozwolenie rozpalenia ognia pod jego czarnym satilem i zagrzawszy parę wiader wody, urządziła nam bal za wszystkie czasy! Nie miałyśmy jeszcze wtedy owego piecyka, więc mróz w kibitce był taki, że skóra dymiła jak łąka po deszczu. Stojący na ziemi tranowy kaganek podświetlał izdebkę chybotliwym blaskiem i przypomniały mi się wszystkie chlapiące się przy ogniu i ponad niskie światło śmiejące się do widza mokre dziewczyny z obrazów Zorna. Urządziłyśmy też sobie pranie monstre, ale nam łachy, zamiast wyschnąć na sznurkach, pozamarzały w twarde, brzęczące łupy, które dopiero nazajutrz, rozwieszone w morelowym sadzie, odeszły i skruszały w słońcu.

Od czasu, gdy nastał ów piecyk, rozpoczął się między mną a Heleną wyścig szlachetnych: która potrafi zerwać się rano pierwsza i rozdmuchać ogień. Marysia od samego początku opowiedziała się zdecydowanie przeciw piecykowi i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Kiedy dym wypełnił kibitkę, kiedy walił pod sufit rdzawy, mętny i krztuszący, owijała głowę swoją aresztancką kurteczką i leżała pod nią cierpliwie, czekając,

aż się ten dopust boży skończy. Każdorazowe palenie musiała opłakać słonymi łzami. Z nas trzech ona najgorzej znosiła ten pachciany dut.

Zawsze nam tłumaczyła głucho spod okrycia, że woli najgorsze zimno od tej wędzarni.

Kiedy Helena z miseczką zmielonej wczoraj mąki, z kociołkiem i wiadrem pozostałej przez noc wody wynosiła się z kibitki, by u babusi naprzeciw zgotować nam śniadanie, my dwie ścieliłyśmy prycze, zamiatały klepisko, a potem właziły z powrotem ja pod mój koc, Marysia pod uzbecką kołdrę i zaczynałyśmy czekać powrotu Heleny.

O tej też zwykle porze, w nadziei odwrócenia myśli w inną stronę, urządzałyśmy sobie z Marysią lekcje angielskiego. Rzadko kiedy udało mi się spotkać kogoś, kto by go gorzej znał ode mnie. Dorwawszy się więc Marysi – która na moje szczęście nie zna go wcale – zrobiłam się strasznie wykształcona i ważna! Nie wzrusza mnie bynajmniej to, że mieszają mi się ciągle nowe tu połapane uzbeckie słówka i że czasem wpieram w mego bezbronnego pupila, że zapałki po angielsku *gugert*, a naparstek na pewno *anguszpona*. Zabawne! W miarę jak los tuła i tuła człowieka po coraz to nowych nazwach na mapie, jedne naleciałości językowe wykruszają się i gubią po drodze, a narastają drugie. Cała więzienno-rosyjska terminologia, nad którą łamała kościste ręce generałowa Iza, odpadła tu z naszej pamięci jak strup, a za to oblepiły nas te kolorowe, obce, uzbeckie słówka, pełne osobliwego wdzięku i niespodzianych, greckawych jakby nalotów. Czy słowo „kaltakalos” np., ze swymi dwoma akcentami na pierwszej i ostatniej sylabie, nie brzmi z grecka? Kto by powiedział, że to tylko po uzbecku jaszczurka? Zdarzają się też słowa prawie nie do wymówienia. Skorpion na przykład, których tu zresztą mnóstwo wykopujemy na groblach, nazywa się „gżdm”. Wymówże to bez potknięcia się.

Tak więc językowymi studiami skracamy sobie z Marysią czas

oczekiwania. Medalion słońca przewędrował tymczasem z bocznej ściany na środkową i nocna rosa znikła z kosej szybki.

W Stalininie dopiero zrozumiałam słowo – „głód”!

W zasadzie głodne byłyśmy prawie zawsze od wyjazdu z domu, ale to nie było jeszcze to! Owa wilgotna pajka otrzymywanego co dzień chleba umiała przecie jakoś zapchać żołądek i kiszki. W Stalininie chleb zniknął bez śladu i prócz owych kilku lepioszków upieczonych przez babusię nie widziałyśmy go przez trzy miesiące. Jedynym naszym pożywieniem była mąka rozbełtana w wodzie.

Trudno komuś opowiedzieć głód. Trudno odtworzyć słowami tę zimną, ssącą, dotkliwą pustkę, którą się nosi w sobie. W sobie? Nie. Źle mówię. Siebie wtedy nie ma. Jest tylko głód, a dokoła niego jakieś zziębnięte, bezsilne, śpiące coś, które strasznie trudno zmusić do jakiegokolwiek wysiłku, słowa, myśli. Człowiek zwinąłby się w kłębek i spał. A kiedy naprawdę zaśnie, śni mu się jedzenie. Samo jedzenie. Nieodmiennie jedzenie. I żebyż choć śnił, że je. Gdzie tam! Widzi tylko całe stosy przeróżnych pyszności, lady sklepowe zawalone pieczywem i słodyczami, filiżanki pełne dymiącej kawy czy czekolady, owoce, cukierki, ciastka. I tyle tego, że ma potem o czym mówić rano. Zatem znowu mówimy o jedzeniu. Łapiemy się wreszcie na tym, że każda z nas tylko o jedzeniu myśli. Wszystko dokoła nas wydaje się nam podobne do czegoś, co by można zjeść. Kostka mydła przypomina nam miękisz chleba. Badyle pachty mają kolor czekolady. Zbrązowiała od dymu i starości mata, podtrzymująca wraz z belkami gliniany sufit naszej kibitki, jest zabójczo podobna do słonych precelków Gurgula, tych chrupkich, powleczonych szkliwem ciemnego wypieczenia. Mydliny – to bita śmietana. Szron – to cukier. Świeże ślady osła – to szpinak! Istna obsesja! Gdzie spojrzysz, nic i nic tylko to jedzenie.

Raz w nocy staczam bohaterską walkę. Łamią się we mnie głód i

sumienie. Marysia z Heleną już śpią, ja leżę pod moim kocem i wiem – dotkliwie, męcząco, nieuleczalnie – że w woreczku na ścianie jest jeszcze pół lepioszka. Co by się stało, gdybym odłamała kawałeczek – malutki kawałeczek – tyle właśnie, ile i tak zje dziś w nocy niepoprawna uzbecka mysz? Sto razy myślą jestem już przy ścianie. Sto razy z największym trudem zmuszam się, by zostać na pryczy. Próbuję zagadać samą siebie, zabałamucić uwagę, zwabić ją w inny kąt mózgu. Daremnie! Jest tylko ciemność, a w niej rozległa, wklęsła od głodu pustka własnego wnętrza i nic – tylko ów odłamany kawałek zimnego ciasta w woreczku.

Czyż można się dziwić, że w tych warunkach czekamy rano powrotu Heleny z niecierpliwością, która nas we własnych oczach wprost poniża? Nic na to nie poradzę, ale na odgłos jej szybkich kroków za drzwiami coś ma ochotę kwiczeć we mnie tak samo, jak kwiczeć umieją prosięta na odgłos chlustu pomyj, wlewanych w koryto sąsiedniej kuczy. To się nie da opowiedzieć, to się nie da wysłowić, jak jesteśmy głodne i jak bardzo upragniona jest nam zawsze ta ranna, gorąca siorba.

Bo nazwałyśmy to siorbą. Od siorbania oczywiście. Łyżkę mamy tylko jedną, a raczej jeden żałosny kikut po drewnianej łyżce, więc chłepczemy tę paciarę wprost z naczynia.

Stawiało się na brzegu pryczy nasze dwie miseczki, w które z nachylanego przez Helenę kociołka zstępowała ociągliwie szara, gruzłowata masa, już naprzód pożerana przez nas oczyma. Marysi miseczka jest mniejsza od mojej, więc aby było sprawiedliwie, odlewa się jeszcze trochę siorby w jej mały, gliniany garnuszek. Ale sprawiedliwie nie jest i tak! Ja zawsze dostaję najwięcej. Może dlatego, że jestem najchudsza, może dlatego, że jestem najstarsza, a może dlatego tylko, że Helena jest już taka. Ponieważ nie mamy trzeciej miseczki, Helena jada wprost z kociołka, w którym powinna zostać jedna trzecia naszej wspólnej porcji. Nie zostaje jednak nigdy. Część Heleny jest z reguły najmniejsza.

Wobec głębokości kociołka nie możemy nigdy sprawdzić, do jakiego stopnia posuwa swoją ofiarność. Aby nie skończyć wcześniej od nas, jada umyślnie w potrójnie zwolnionym tempie – że to niby ma co najmniej tyle samo, co każda z nas. I mało tego. Opowiadając nam bzdury o braku apetytu, umie dochlupnąć znienacka w nasze miski jeszcze trochę z tej swojej – i tak już uszczuplonej – porcji. A człowiek jest taki nikczemny!

Broni się niby, prosi, tłumaczy, a przecie podstawia tę dziadowską miskę zachłannie i skwapliwie, rad z tych jeszcze kilku ciepłych łyków, i tylko patrzy ze strachem, czy plama obitej emalii nie prześwieca jeszcze z dna. Mój Boże! Jak to jedna i ta sama rzecz zależnie od okoliczności umie się stać upragniona lub nienawistna! W tej samej miseczce nosimy zawsze ziarno do mielenia. Z jakimże utęsknieniem wypatruję wtedy tej szczerby na dnie jako widomego znaku, że to obłędne taczanie w kółko kamiennego bochna dobiega wreszcie końca. Kiedy zaś owinięta kocem po pachy, grzejąc skostniałe ręce na bokach miseczki, całuję małymi łyczkami mączną sałamachę, o tym tylko marzę, by mi się plama ta zjawiła jak najpóźniej.

Nie jesteśmy wcale syte po takim śniadaniu, tyle że się nam robi na chwilę cieplej. Zwykle też o tej porze, ku rozpaczy otoczenia, sięgam po woreczek z machorką i zaczynam kręcić papierosa. Zapałek nie możemy kupić, bo ich i na lekarstwo nie dostaniesz w naszym sklepiku, więc aby ich oszczędzać, wygrzebuję z popiołu ostatni tlejący jeszcze węgielek i od niego rozżarzam śmiecie w tutce. Ohyda, jakich mało, od której krztuszę się ja i one obie, ale nałóg jest nałogiem, a przy tym wydaje mi się zawsze, że to w jakiś sposób przytępia głód. Słońce zsunęło się już przez ten czas na małe, rzeźbione drzwi, wiemy, że za chwilę brzękną w bramie wiadra Muslimy i że ona sama z kitmanem na ramieniu wsunie się do kibitki i zapyta śpiewnie od progu:

– *Apa! Jobon meroem* – czyli w tłumaczeniu: „Siostro! Czy idziesz

pracować?”.

Owo „apa”, choć znaczy: „siostro”, jest tu używane jako zawołanie, jako coś w rodzaju francuskiego „*madame*”, przy zwracaniu się do kogoś starszego, komu się chce okazać szacunek.

– Haj, haj, Muslimka – odpowiada jej Helena. – *Meroem*, ale nie zaraz. Nie czekaj na nas.

Po wyjściu Muslimy zagląda do nas czasem żona starego Karapczyka. Małe to, półgołe w swoich podartych izorach, brudne, wynędzniałe. Ma w sobie coś z pieczonego jabłka, coś ze skrzywdzonego dziecka, matołka, niewolnicy. Kaprawe, przez dym wyżarte oczy, płaczą jej stale same z siebie i wtedy nawet, kiedy się babina zaśmiewa idiotycznie, do rozpuku. Do tego śmiechu zresztą ograniczały się zazwyczaj jej wizyty. Windowała się z trudem na wysoką pryczę, drobna, zbabczona jak te ich tutejsze morelki, zwieszała na powietrze nożyny w łachmanach perkalu i siedziała tak bez słowa, uśmiechając się tylko od ucha do ucha. Helena, rozbawiona tym jej niemym uśmiechem, zaczyna się uśmiechać też. Wtedy tamta, bez żadnej oczywistej przyczyny, wybuchała piskliwym, matołkowatym śmiechem, co Helenę z kolei tak umiało rozśmieszyć, że śmiała się teraz i ona już na dobre. A skutek był ten, że im się głupiej śmiała pierwsza, tym jej serdeczniej wtórowała druga – im zaś serdeczniej wtórowała druga, tym się idiotyczniej zaśmiewała pierwsza. I siedziały tak naprzeciw siebie jak dwie wariatki, zapłakane, zdyszane, chore wprost z tego obezwładniającego śmiechu! Po każdej wizycie naszego wesołka-matołka, Helena musiała odpocząć dobrą chwilę, nim się ten rozkołysany w niej śmiech z niczego osiadł i uspokoił.

Codziennym naszym rannym gościem jest jednak z reguły już Mafi. Wpadnie, siądzie na brzeżku pryczy i machając nogami, na których kłapią spadające z pięt kalosze, zacznie pleść jakieś uzbeckie androny, choć wie, że ani połowy nie zrozumiemy. Mafi jest śliczna. Ma cerę o wiele

bielszą od tutejszych dziewcząt i oczy czarne, szklące, a roztargnione jak u ptaka. Że zaś w dodatku ruchy jej mają w sobie rwany, ptasi niepokój, nazwałyśmy ją sobie Sroczka. Srok zresztą mnóstwo w Stalininie. Rozskrzeczanych, roześmianych, tak właśnie jak Mafi. Dżouma naszej Sroczki, dżouma w wielkie różowe i czarne kwiaty, ma dwie głębokie kieszenie, wyładowane urugami. Gadając, Mafi żuje je bez przerwy i bez przerwy częstuje nas całymi garściami. Pestek nie chowa na potem, aby je roztłuc między dwoma kamykami, jak to robimy my, tylko je miażdży na poczekaniu w olśniewająco białych zębach, wesoło i po prostu, jakby Pan Bóg po to zęby stworzył, by tłukły pestki. Łupki wypluwa na środek kibitki – wesoło i daleko – jakby środek kibitki na to był stworzony, by go zapluwać łupami. Nie wiemy nigdy, po co wpada i co chce powiedzieć, a co gorsza, mamy głębokie przekonanie, że ona sama nie wie. Mieszka prawie na drugim końcu wsi, więc jej nasza brama wcale nie jest po drodze. Ale sroki już takie są. Nie przewidzisz nigdy, na jaki płot która spadnie, z jakiego murka się zaśmieje. Mafi upatrzyła sobie naszą kibitkę tak właśnie jak sroka płot. Posiedzi, pomacha nogami, narobi śmiecia na podłodze, da nam parę garści urugu i tak jak przyszła, poderwie się nagle, rzuci od drzwi to tutejsze sakramentalne: *„Apa! Jobom meroem?”* – i poleci.

Czas już i na nas niestety. Jeśli na świecie pogoda, raźniej się jakoś zbierać. Gorzej, gdy dzień jest pochmurny i lodowaty wicher tnie nas po nogach już tu, w kibitce. W takie dnie mój worek z pachtą idzie też ze mną na robotę. Przywiązuję go sobie dla odmiany płasko do pleców, nadziewam na to płaszcz, a na płaszcz zarzucam jeszcze we dwoje złożony koc. To wszystko związuję w pasie starym bandażem, najciaśniej, jak mogę, zaś oba rękawy ściskam w przegubach kawałkiem sznurka. To ostatnie ma na celu utrudnienie wichrowi okrężnych spacerów po ciele. Głowę z powodu newralgii zabezpieczam najwymyślniej: najpierw wiążę na niej strzęp

wełnianej apaszki, na to wbijam beret, głęboko, aż po uszy, a wszystko razem okręcam turbanem z włochatego ręcznika. Z rękawiczek zachowała się już jedynie nazwa. Cała dłoń i wszystkie palce są jedną zawiłą dziurą, ale ponieważ wierzchy dłoni nie rozleciały się jeszcze, wydaje mi się, że mi w tych strzępach przecie trochę cieplej w polu.

Zarząd kołchozu nie wydaje tu robotnikom żadnych narzędzi do pracy i wszystkie kitmany, wiadra, okse i nosiłki są prywatną własnością kołchoźników. Gdyby więc sąsiedzi nie byli nas poratowali, nie miałybyśmy czym wyrabiać normy. Nosiłki dali nam ci z przeciwka, a Czarny Kogut pożyczył nam kitman. Motyczysko to stoi zawsze w kącie przy drzwiach obok miotły, zrobionej z przydrożnych bodiaków. Bierzemy jeszcze z haka sznur, który podobnie jak wiadro przywędrował tu za Heleną z barży. Rjespon ten będzie nam potrzebny do obwiązania wiązki pachty, którą Helena przytaszczy wieczorem na grzbiecie. I tak – gotowe do drogi – żegnamy z żalem Marysię, która na stosie kołder zostaje na cały dzień – sama.

Może się dziwne wyda to, co powiem, ale w Rosji nie należy się niczemu dziwić. Właśnie Marysia, która nie chodziła do pracy, zarabiała z nas trzech najwięcej. Zaczęło się to tak, że postanowiła przerobić sobie na drutach podarty sweter. Drutów oczywiście nie miała, ale od czegóż więzienna praktyka i przydrożne drzewa? Zrobiła sobie druty z prętów, spruła sweter i przystąpiła do dzieła. Muslima czy Mafi zobaczyły pierwszy narastający na patyczkach ładny, pomysłowy wzór nowego swetra, a że nikt z nich na drutach tu robić nie umie, w okamgnieniu rozniosło się po kołchozie, że jedna z nas umie wyczyniać cuda z włóczki. No i tak się to zaczęło. Posypały się zamówienia, którym Marysia nie mogła wprost nadążyć. Na swetry nie mieli widocznie dość tej swojej grubej, gruzłowato przędzionej wełny, ale rękawiczki czy skarpetki nie pochłaniały jej znowu tyle. Najpierw ruszyła elita: Raissa, *predsiedatiel*,

kasjer, buchalter, brygadierzy. Ci zamawiali sobie rękawice po łokieć i płacili po królewsku: kilo zboża na każdą parę! Inni, którzy nie mieli dostępu do magazynu, przynosili urug, kwaśne mleko albo bezcenne trzaski na rozpałkę. Pieniędzy nie przyjmowała Marysia nigdy, żądając zawsze zapłaty w naturze. I tak to, dzięki Marysi, miałyśmy czasem gęściejszą siorbę, czasem po kawałku suchego sera, czarce mleka czy garści urugu.

I jeszcze inną pomyślność pociągnęło za sobą powstanie tej pokątnej fabryczki rękawiczek. Oto w okresie, kiedy robiła owe *daspuszak* dla kantoru, podjudzona przez Helenę, zażądała Marysia lampy, by móc pracować wieczorami. No i lampa ta została już u nas do końca. Szkiełko wprawdzie było nadbite, knot lichy, a każdą kroplę kirasinu trzeba było wywalczać w kantorze na nowo, niemniej od tej pory, zamiast rozmruganego na chwilę kaganka, kibitkę naszą nadymało pod noc spokojne światło lampki. Wielka to była pomyślność! Stawiało się ją na rogu pryczy i wisząc tuż prawie nad szkiełkiem, cerowało wieczorami garderobę. Marysia pracowała niezmordowanie. Od twardej włóczki narastały jej bąble i odciski na palcach, ale za to co drugi, trzeci dzień ktoś zgłaszał się po swoje wspaniałe, palczate rękawice, które niebawem stały się *dernier cri*[13] stalinińskiej mody.

Nie mam pojęcia, dlaczego kantor nie zakwestionował całego tego wełnianego procederu? Ostatecznie, wszystkie trzy zostałyśmy tu przywiezione po to, by pracować dla Sojuzu. Prawda i to, że z początku ów ból w nodze uniemożliwiał Marysi naprawdę wychodzenie w pole. Potem jednak, choć jej to na szczęście przeszło, przekonawszy się, że rękawiczki to lepszy interes, podtrzymywałyśmy mit o tej chorobie, nawet przed tymi poczciwcami z przeciwka. Nie pojmę, dlaczego nie zażądano od nas świadectwa lekarskiego, dlaczego przy obliczaniu norm nie pytano

[13] dernier cri – ostatni krzyk mody.

nas nigdy o tę trzecią i czemu magazynier nie odmawiał trzeciej garstki zboża? Dość, że tak było i że się nam tak już udawało do końca. Rzecz jednak stanowczo nie była w porządku i wiedząc o tym, zamykałyśmy Marysię na cały dzień w kibitce, aby w razie kontroli zastano nasze drzwi zamknięte z zewnątrz – że to niby wszystko w polu. Po długiej więziennej praktyce owo zamknięcie nie było Marysi nowością, a nawet wolała je od możliwej wizyty *predsiedatiela*. Nieraz bowiem zdarzało się, że pod naszą nieobecność ktoś tu przychodził, pukał, szarpał kulfem i wołał, ale ponieważ Marysia siedziała jak mysz pod miotłą, przekonany widać, że nikogo w domu nie ma, odchodził.

A my tymczasem szłyśmy w pole. Powietrze o tej wczesnej porze było jeszcze lodowate i kruchy lukier lodu szczerbił się biało po obu stronach wody. Cień pod chatami błękitniał grubym szronem, który niknął jak nożem uciął wszędzie tam, gdzie podczołgało się słońce. Tutejsze słońce jest od pierwszej chwili tak gorące, a mróz do ostatka tak nieustępliwy, że nieraz zastępował nam drogę przejrzysty cień bodiaka wypisany na dobrze ciepłym już piasku igłami szronu. Kiedy się nogą oset taki odgięło na bok, zostawał na ścieżce jego najdokładniejszy rysunek, srebrzystym filigranem mroźnych kolców wpięty w lotną wydmę. Nigdy nie widziałam, aby kompetencje mrozu, cienia i słońca tak ściśle były rozgraniczone i przestrzegane jak tu. Po prostu co do igły!

Wieś już zazwyczaj jest pusta o tej porze, bramy pozamykane i tylko lśniące, biało-czarne sroki urzędują wrzaskliwie w pobliżu opustoszałych zagród i uwięzionych w glinianych murkach morelowych drzew. Dziwnie wyraźnie pamiętam te uzbeckie *aka-szirak* takie właśnie, zostawione same na gospodarstwie. Górą powietrze kryształowe i błękitne od pogody, a dołem – bezruch wyludnionej wsi, nic tylko piasek i glina, pocięta pręgowatą plątaniną cieni owocowych drzew, a w tej słonecznej miałkości, pustce i ciszy roześmiany niepokój przelatujących z drzewa na

drzewo i z murku na murek srok.

Helena z kitmanem na ramieniu idzie tuż przede mną i widzę, jak jej buciory grzęzną w piaszczystej drodze. Piasek jest drobny, szklisty i ciężki jak w klepsydrze. Nie ma też płowozłotego koloru zwykłego piasku. Wszędzie, tam zwłaszcza, gdzie się na nim łamie cień i światło, ma naloty wyraźnie fioletowe. W słońcu jest zaś dosłownie koloru *bois de rose*.

Czasem mija nas stare Uzbeczysko i jego kłapouchy *iszak*, któremu po obu stronach szarych boków kołyszą się kosze z pieczołowicie po stajenkach wyzbieranym nawozem.

– *Salem alejkum…* – pozdrawia nas w przechodzie.

– *Alejkum a salam…* – odpowiadamy mu wedle zwyczaju.

Znamy ich dobrze. I Uzbek, i osioł odrabiają tak codziennie swoją normę. Od brzasku do późnego wieczora przedreptują niezliczoną ilość razy pustą wieś, wynosząc w pole bezcenny w tych okolicach nawóz. Jest go tak mało, że dostają go tylko grządki pod melony. W całym kołchozie jest zaledwie kilka prywatnych koni i krów.

Za to zarząd kołchozu ma i krowy, i konie, i wielbłądy. Windując ową mokrą pachtę na dach stajni, widziałyśmy te mizeraki na koszarze. Wszystko źle utrzymane, kosmate i wiecznie widać głodne. Taka tu już moda. Tak konie, jak krowy skubią wokół siebie wszystko, co się da uskubnąć, w wiecznej pogoni za paszą. Jedne tylko wielbłądy są obojętne, wzgardliwe i wyższe ponad nędzę obecnej chwili. Patrząc, masz wrażenie, że nic bestii takiej nie potrafi dotknąć ani wzruszyć. Nosi ci ten ohydny pysk po powietrzu z taką bezosobową, wyniosłą wzgardą, w linii kabłąkowato wygiętej szyi ma tyle lekceważenia i obraźliwego wprost zarozumialstwa, że aż człowieka złość bierze! Bo niby co? Co sobie takie paskudztwo myśli właściwie?… Co sobie myśli, nie wiem, w każdym razie widziałam tam jednego, któremu to myślenie tak widać do głupiego

łba uderzyło, że się wściekł. To wcale nie było zabawne. Wielbłądzisko było stare, wyleniałe i ogromne. Trzymali go osobno, przywiązanego łańcuchem do koła wbitego w ziemię, w małym, pustym sadzie, popod którym musiałyśmy co dzień przechodzić, idąc w pole. Spod zadartej w górę, malinowej od spodu wargi szczerzył w bezsilnej furii żółte, na wpół starte zęby, targał się na łańcuchu, tupał, wierzgał, charcząc przy tym jakimś głębinowym, do niczego niepodobnym, drążonym dudnieniem, ział i skrzypiał tak niesamowicie, że z prawdziwą ulgą zostawiałyśmy za sobą ów wielbłądzi sadek. Nie my zresztą jedne bałyśmy się tego wściekłego *usztura*. Bała się go cała wieś, a brygadierzy zawsze ostrzegali, by nie podchodzić bliżej, bo bydlę jest naprawdę niepoczytalne… No i raz to właśnie niepoczytalne bydlę wyrwało kół, do którego było przywiązane, i razem z tym kołem i łańcuchem pętającym mu się pod nogami – ruszyło w kołchoz! Strach blady padł na okolicę! Dzieci furknęły w głąb zagród, w okamgnieniu pozamykano wszystkie bramy, a wielbłąd – gubiąc płaty piany z rozwartego na oścież pyska i rycząc jak syrena straży pożarnej, jak dziki osioł, jak wściekły wielbłąd po prostu – w ogromnych, rozkołysanych susach sadził wąskimi uliczkami, wyższy od murków, wyższy od daszków z pachtą, wyższy od morelowych drzew, straszny, zwycięski i obłędnie wolny! Zmobilizowano wszystkich mężczyzn, sznury, kitmany, widły, polowano na to straszydło dobrych parę godzin, nim je nareszcie obezwładniono w jakimś zaułku i zatłuczono na śmierć. A potem przyszedł wielki dzień dla kołchozu! Kantor – w bezprzykładnej szczodrobliwości – rozdał ludziom to łykowate, wciekłe wielbłądzie mięso, każdemu po kawałku, żeby nikomu nie było krzywdy.

Jesteśmy zatem w polu. Brygada nasza pracuje zawsze w tym samym miejscu, opodal starego, rozeschłego młyna, którego przejrzysty szkielet szarzeje nad kanałem w wysokich, pożółkłych trawach. Nie wiem zresztą do dziś, czy to był młyn, czy wodna pompa. Nie widziałam tego nigdy

w ruchu. Widocznie o tej porze roku jest nieczynny i tylko odpoczywa, rozsychając się na słońcu i wietrze.

W wysokim ziemnym garbie, poniżej tego młyna, urzęduje od świtu *bobo*. Wpiął się w nasyp jak twardy, błękitny żuk i wali kitmanem w ziemię. Właściwie to on przewodzi naszej brygadzie na tym odcinku wału. Brygadier gania cały dzień po polach, dozorując kilku brygad równocześnie. Tylko od czasu do czasu zjawia się nad nami na nasypie. Zatem robotą kieruje właściwie *bobo*. Praca tu co dzień ta sama. Trzeba rozwalać nasyp, a ziemię roznosić po pobliskim polu wiadrami albo nosiłkami. Kiedy całą wyznaczoną przestrzeń obsiądą niezliczone rządki wysoko usypanych kręto win, przyjdzie inna brygada, by te kopce rozgarnąć równo po całym polu. Obłąkana, ciężka praca, powtarzająca się co roku, od lat. Ta sama rozniesiona tu z takim trudem glina zbiegnie się kiedyś znów w wysokie wały, między które potoczy się potulnie wytresowany strumyk. Po roku – czy dwóch, bo nie wiem – odciągną wodę gdzie indziej, a niepotrzebne już wtedy nasypy rozgładzą w równinę. I tak – *da capo*, bez *fine*[14]. A wszystko wiadrami i ludźmi! Zmęczonymi, głodnymi ludźmi!

Kiedy my przychodzimy, płaskie pole pod nasypem pstrzy się już od pracujących kobiet. Poznajemy je z daleka wszystkie. Ten malinowy słupek, drobiący tak szybko między rzędami – to Muslima. Ta chuda, wysoka, o za długim stanie i nisko w biodrach przepasana sznurkiem – to żona Sali, Husnija. Ta krępa, w poważnym stanie, która z czternastoletnią córką roznosi ziemię zambarem, to sąsiadka Mafi, Bodom. Bachman – to tamta o spadzistych ramionach i za dużej głowie. Tamta wreszcie to żona kasjera. Szmaragdowy rumol okolił ciasno jej smagłą twarz i jaśnieje na burym tle soczystą zielenią. Bardzo nie lubimy tej kasjerzychy, jak ją nazywamy. Ku furii Heleny miesza się nam zawsze do roboty i

[14] da capo (al fine) wł., muz. od początku (do końca) powtórzyć; repetycja.

nieproszona robi nam ciągle uwagi, to że kopce nasze za małe, to że rządki za bliskie, to że za gęsto sypane, małpując w tym Hosjatę. Może dlatego, że mąż jej piastuje wysoki urząd w kantorze, babsko to jest takie pewne siebie i tak się szarogęsi. – Ale patrząc na nią, żałuję zawsze, że nie jestem malarzem. Ładna jest, aż oczy rwie. W dodatku ruchy jej mają taneczną prawie giętkość i wdzięk. Smukłe nogi noszą ją po bruzdach bez śladu wysiłku, podczas gdy gibkie, ciasno owiązane biodra, kołyszą się rytmicznie za ciężarem wiader. Wie dobrze, że jest ładna i powabna. I lubi taka być. Czuje się to dobrze w owych zalotnych przegibach jej młodego ciała. Cóż – kiedy widać nie zawsze jej to na dobre wychodzi. Kasjerzycha przylatuje czasem w pole skuta przez zazdrosnego męża na kwaśne jabłko, z twarzą w tęczowych sińcach, gorąca jeszcze od płaczu i rozgdakana jak kura. Nie rozumiemy oczywiście ani połowy tego, co gada. Wlecze po powietrzu wzdłuż rządków ten swój zjadliwie wysoki, zirytowany gdak, gdacząc zsypuje ziemię w kopce, gdacząc wraca z pustymi wiadrami i gdacząc wali potem kitmanem w nasyp, silnie i z wysoka, tak jak ją pewnie – silnie i z wysoka – prał przed chwilą kasjer za niewiadome nam przewiny. Chętnie jednak, na ślepo, gotowe jesteśmy przyznać mu rację. Babsko, przy całej urodzie, ma w ognistych oczach błyski nigdy niedogasłej złości i rozdrażnienia… Ziółko to widać, jakich mało!

W wysokich trawach na nasypie, wśród pętających się tu licznie dzieci, pasie się parę kóz i baranów. Widocznie zarząd kołchozu pozwala ludziom brać je ze sobą w pole, aby się na kępach traw czy na wyłupanych razem z ziemią korzonkach popasły trochę w czasie dnia. Najlepiej znamy barana i owce Muslimy. Baran ma na sobie takie zwały wełny, że mu ledwie kopyta spod nich widać, a owce odznaczają się – wyjątkowym jak na owce – wdziękiem. Obie mają na czole wicherki morelowych kudełków, co przy jasnokawowym ich futrze jest niesłychanie twarzowe, zwłaszcza

że ta zalotnie fryzowana grzywka spada im nisko na oczy. Mordki mają wąskie, ruchliwe i zawsze jakby lekko podśmiechnięte małym, wykwintnym uśmiechem Marii Ludwiki. Białe sznurki korzonków nikną w nich chrupko i soczyście, podczas gdy roztargnione, złote oczy, patrzą z aroganckim nieco, pytającym zdumieniem. Guaspany te są własnością Muslimy. Ona je wychowała, ona je czesze, strzyże i głaska. Jak psy chodzą za nią krok w krok, a zawołane przychodzą do ręki. Nie można Muslimie zrobić większej przyjemności, jak je głośno, przy wszystkich pochwalić. Widujemy ją czasem, przycupniętą na grobli, gładzącą wiecznie rozmrugany, wąski pyszczek jednej z nich i przemawiającą do niej jak do dziecka. Owce te są na pewno jedyną radością Muslimy.

Prócz kobiet, owiec i *bobo* do brygady naszej należy też kilku dobrze już podrośniętych chłopców. Toteż okrągłe tirpaki plączą się teraz gęsto między pstrymi ramolami bab. Chłopcy ci są smukli, zgrabni i uderzająco ładni. Taki Tilau na przykład! Oczy ma jak czarne gwiazdy. Albo Jori.

Śniada, dziewczęco jeszcze gładka twarz pod każdym dotknięciem spojrzenia zakwita ujmującym uśmiechem, za ładnym prawie jak na chłopca. Szkoda tylko, że prawie wszyscy – pewnie dzięki tym od dziecka ustawicznie noszonym tirpakom – mają głowy całe w liszajach. Dlatego też rzadko który zdejmuje z głowy ów futrzany grzyb, a kalpusza – małej, okrągłej, haftowanej czapeczki, którą noszą pod tirpakiem – z reguły już nigdy. Toteż pamiętam, jaką sensację w brygadzie wywołało raz zrzucenie przeze mnie – w jakiś bardzo ciepły dzień w polu – mego wiecznego turbana z ręcznika. Baby zleciały się nade mnie zaskoczone, rozgadane, przywoływały jedna drugą i dotykały mi włosów, jakby sprawdzając jeszcze, czy im się nie zwidują tylko… Myślały pewnie, że i ja – skoro mam zawsze zawiniętą głowę – muszę być półłysa jak Jori, Tilau czy Czuli… Chłopcy ci są dla nas bardzo mili i uprzejmi. Starają się zawsze choć parę kitmanów ziemi narzucić nam na nosiłki. Jest to zresztą potoczna forma

uprzejmości w brygadzie. Robią to czasem i kobiety między sobą. Ot… dwa, trzy kitmany i życzliwy uśmiech. Od razu lżej robi się człowiekowi, kiedy się spotka z takim przyjaznym objawem. W ogóle czujemy, że wszyscy oni – prócz kasjerzychy może – odnoszą się do nas z sympatią. Ja w stosunku do siebie wyczuwam ponadto pewną dozę pobłażliwego politowania. Tu, gdzie siła i wydajność pracy jest jedynym sprawdzianem wartości człowieka, taki stary wrak jak ja może budzić w najlepszym razie wyrozumiałość… Za to Hil-Hila jest po prostu ulubienicą publiczności! Najpierw owe legendarne barańczyki i mąż w germańskim pienie, potem jej siła i energia, a wreszcie jej nieustępliwa postawa wobec magazyniera – to, że nigdy o nic nie prosiła, tylko wszystkiego kategorycznie żądała – sprawiły, że patrzono tu na nią z szacunkiem, liczono się z jej zdaniem, a gdy wypadło, bano się jej jak ognia, o czym zresztą będzie później…

Na razie jest słoneczna pustka, wiatr gwiżdżący w uszach i monotonne, bezmyślne, a bardzo wytężające noszenie ziemi zambarem. Mamy wyznaczony odcinek pola, który musimy do wieczora obsadzić kopcami. Helena oczywiście pracuje za dwie. Nie pozwala mi nigdy rąbać gliny, tylko sama nagarnia ziemię na nosiłki, a mnie wolno nieść potem z nią wyładowany zambar. W dodatku ja idę zawsze między przednimi drążkami, dzięki czemu widzę przed sobą drogę, podczas gdy ona plącze się i potyka po grudach i bruzdach na oślep.

Później dopiero, kiedy częste ataki kamieni nerkowych i zrost w opłucnej zaczęły się jej dawać we znaki, zgodziła się łaskawie, abym co dziesiąty zambar kopała i nagarniała ja. Ale wtedy, prócz owego kopania, spadało na mnie inne jeszcze, nadprogramowe a dość niespodziane zadanie: ponieważ wiedziałyśmy obie, że wszyscy mają tu do sił Heleny bezwzględne, podziwu pełne zaufanie i że nikt nie uwierzy, aby Hil-Hila mogła być kiedykolwiek chora – kiedy ją w polu atak taki tak przycisnął, że się naprawdę ruszać już nie mogła – musiałam przed brygadą udawać,

że to ja mam boleści! Rzecz, jako prawdopodobna, była daleko łatwiej usprawiedliwiana… Zambar nosić można było tylko we dwie, więc gdy jedna zaniemogła, druga automatycznie musiała też przestać pracować. A o to właśnie chodziło, by Helenie dać wytchnąć. Schodziłyśmy więc obie z pola, siadały na grobli i podczas gdy ja wiłam się w kunsztownych skrętach i jęczałam, budząc powszechne współczucie, Helena, nadrabiając miną, zaciskając zęby i mieniąc się z bólu, siedziała obok mnie, jakby jej nic nie było. Nie bez tego, że chwilami krztusiłyśmy się obie tajonym śmiechem z tego dość oryginalnego podziału ataku między siebie. Najzabawniejsze jednak były mi czasem przerażone, pytające oczy Heleny, która wobec moich przejmujących jęków i bolesnej mimiki zdawała się w końcu sama tracić rozeznanie, której z nas właściwie coś brakuje i która mianowicie ten atak naprawdę ma? Owe stalinińskie gościnne występy były chyba szczytem mojej aktorskiej kariery. Nigdy przedtem nie potrafiłam tak wzruszyć i tak nabrać widzów! Myślę też, że to był jedyny wypadek, kiedy się moje komedianctwo konkretnie do czegoś przydało!

Ludzi tych zresztą naprawdę bardzo łatwo nabrać. Są tacy dziecinni i naiwni! Cieszą się byle czym i nawet starzy byle czym umieją się bawić. Do ulubionej rozrywki należały w czasie pracy takie np. – niemające końca – zabawy: któraś z bab, wiedząc dobrze, w jakiej przyjaźni żyjemy z naszymi sąsiadami z przeciwka, prostuje grzbiet znad roboty i krzyczy ku Helenie z żartobliwą, przekorną zaczepką:

– Hil-Hila! Muslima *jamon* – że to niby Muslima zła i brzydka.

– O, nieprawda! – odkrzykuje Helena – Muslima *jakszi*!

– *Jamon*!

– *Jakszi*…

– *Jamon*.

Wszyscy w lot podchwytują ten żartobliwy spór i zaczyna się teraz żonglowanie tymi dwoma słowami, odrzucanie ich sobie ponad rządki

i kolejne zestawianie ich z imionami wszystkich obecnych. Wreszcie Helena ma dość i postanawia rzecz załatwić hurtem.

– Ty sama *jamon*! I magazynier *jamon*! I kasjer *jamon*, i Hosjata *jamon*… – wylicza jednym tchem, podczas gdy wszystko aż się pokłada na grobli ze śmiechu. Bardzo niewiele wystarcza im do szczęścia.

Raz jednak Helena przeholowała. Inna rzecz, że trudno człowiekowi Zachodu wmyślić się w prymitywnie naiwną mentalność tych starych, kolorowych uzbeckich dzieci. Wszystko biorą dosłownie i nie zawsze wiedzą, gdzie się kończy prawda, a zaczyna żart.

Pewnego razu Purpurowy Skorpion, Hosjata, podjudzona pewnie przez szwagierkę-kasjerzychę, zakwestionowała naszą normę. Czepiła się tego, że kopce są małe i że wyniosłyśmy ziemi o połowę mniej, niż należało. Nawykła widać do tego, że się tu nikt za sobą nie śmiał nigdy ująć, dufna w powagę swojego urzędu, przysiadła w kucki na grobli i łypiąc kaprawymi oczyma w brudny zeszyt, oświadczyła, że nam normy nie zapisze, bośmy nie wyrabotały swego. Nie wiedziała, kogo zaczepiła. Helena to nie to, co tutejsze potulne, zastraszone baby. Może nawet bardziej udając gniew, niż rozgniewana naprawdę, przypadła do nasypu i wpiąwszy się w Hosjatę żbiczymi oczyma, zaczęła bronić naszych kopców i jak umiała wymyślać jej i całemu kantorowi. Tak ją widocznie własna swada i oniemiałe ze zdumienia audytorium podniecało, że wreszcie – do dziś nie wiem, co ją wtedy podleciało, ale u Heleny takich pomysłów nie kupić – zagroziła nagle Hosjacie, że jeśli nas będzie dalej prześladować, to ją zabije – tak – tym kitmanem – wszystko jedno gdzie i kiedy – ale ją zabije.

– Hil-Hila kuszjet Hosjata! Panimajesz? Kuszjet! Pójdę za to do tiurmy – to pójdę. Mnie tam wasza tiurma nie pierwszyzna! Ale ty będziesz miała za swoje – to pewne!

W dodatku krwawe swe obietnice popierała tak wymowną gestykulacją,

tak niedwuznacznie jeździła palcem po gardle, że wszyscy nie tylko zrozumieli, ale – co dziwniejsze – uwierzyli w dodatku! Nazajutrz cały kołchoz już wiedział, że Hil-Hila obiecała zabić Hosjatę! Nasz Purpurowy Skorpion dwa dni w polu się nie pokazał, ale za to trzeciego wieczorem wśliznęła się do naszej kibitki jakaś obca, stara Uzbeczka i po dość niejasnych kluczeniach dokoła sprawy zaczęła Helenie tłumaczyć, że Hosjata mimo wszystko *jakszi* i że lepiej jej nie zabijać. Pokazało się, że to matka pięknej kasjerzychy, którą rodzina wydelegowała jako mediatora w tej drażliwej kwestii. A nasza Hil-Hila, z rękami wbitymi w kieszenie kożuszka, siedziała na skraju pryczy i, dzwoniąc olbrzymimi buciorami, z nonszalancją i cynizmem zawodowego mordercy, z całą powagą dała jej sklamrzyć, prosić i tłumaczyć.

– Trzymajcie mnie… bo skonam… – syczała do nas po polsku, nie zmieniając wyrazu twarzy… – Zlitujcie się! Oni uwierzyli!

Wreszcie, po długiej przemowie w ten deseń, żeby się to więcej nie powtórzyło, żeby to było ostatni raz, że się nie damy prześladować i potrafimy bronić – wyściskała zdumioną babinę i przyznała, że Hosjata ostatecznie *jakszi*. Fakt jednak, że od tej pory niedoszła ofiara Heleny była dla nas uprzedzająco grzeczna, zapisywała nam takie normy, jakie jej podała Helena, i przy lada sposobności przesyłała nam lękliwe, pojednawcze uśmiechy, czyli coś w rodzaju okupu za darowane życie…

I tak akcje Heleny szły w górę, bo do ogólnego uznania dołączył się jeszcze pełen podziwu strach. Niewiele kobiet w kołchozie mogło się tym poszczycić! Kiedy w dodatku rozniosło się jeszcze, że Hil-Hila, prócz zabijania, umie także leczyć ludzi, sława jej doszła do zenitu. Nie było prawie dnia, aby jej ktoś nie wezwał do chorego dziecka albo żeby jakaś babina z chorym dzieckiem na ręce nie zapukała wieczorem do kibitki. Prócz morgancówki, resztek ichtiolowej maści i aspiryny nie mamy oczywiście żadnych lekarstw.

Te biedne wschodnie kobiety nie mają bladego pojęcia o jakichkolwiek domowych nawet sposobach leczenia, więc najzwyklejszy kompres czy kataplazm z gorącego piasku wydawał się im jakimś cudotwórczym zabiegiem. Prawda i to, że nasz tran, stosowany przez Helenę na zadawnione nawet rany, działał cuda naprawdę. Czyż można się więc dziwić, że fama Heleny rosła z dnia na dzień i z godziny na godzinę?

Każde niemal pojawienie się jej w kantorze pociągało za sobą jedną co najmniej propozycję małżeństwa czy to ze strony urzędników kołchozu, czy przygodnych, czekających tam zawsze tłumnie Uzbeków. Raz, o mały włos, nie wróciła do nas mężatką! Ów niepoprawny karygodnie wprost wolny przekład na polskie wszystkiego, co kto do niej mówił po uzbecku, owo wypełnianie własnymi domysłami nierozumianych pytań i – co ze wszystkiego najgorsze – twierdzące najczęściej odpowiedzi sprawiły, że raz, podczas gdy ona zrozumiała, że jej ktoś proponuje naftę, tamten miał na myśli – małżeństwo. I dopiero kiedy, przyprowadzona do kantoru, zobaczyła kładzione na stole sakramentalne trzy ruble taksy, pojęła z przerażeniem, że wszystko to zamiast kirasinem, pachnie niedwuznacznie tym ich tutejszym, bolszewickim ślubem! I jakże dała nogę, tak nie oparła się aż w naszej kibitce, bardzo rozśmieszona, ale i naprawdę zła!

Kiedy ogromna złota kula zapadała wolno w puszysty opar za kołchozem, kończył się nareszcie dzień radosnej pracy dla Sojuzu. Ludzie schodzili z pola, wsiąkając kolejno w pociętą groblami pustkę krajobrazu.

Co dzień tak samo bolał nas grzbiet i ramiona. Co dzień tak samo sforsowane nogi przy ostatnich zambarach wykręcały nam się w kostkach, jak same chciały, i dłonie piekły nas niemożliwie. Od ciągłej styczności z ziemią, od drążków i kitmana coś nam się porobiło z rękami. Skóra nam pęka na każdym załamaniu, wszystkie zgięcia jątrzą się i ani myślą goić. Biedna Helena ma skórę na obu rękach tak popękaną, że przed wyjściem w pole wiążę jej białą lalusię z bandaża na każdym palcu. Mnie tylko

prawa ręka doskwiera, ale za to okropnie. Wieczorem jestem tak skonana, że ledwie zipię. Pamiętam takie dnie, kiedy na myśl o powrotnej drodze do domu miałam ochotę siąść na grobli i płakać. A tu najczęściej trzeba było jeszcze zbaczać w zmrokiem zasnute już pola i zbierać opał. Wiązka takiej pachty to ciężar, pod którym nawet Helena się gięła. I skaczże potem z takim ciężarem przez rowy i nasypy, wdrapuj się na groble i złaź na dno przekopów niezliczoną ilość razy, póki się z tej ziemnej gry cierpliwości nie wyplączesz wreszcie na grząską od piachu drogę…

Nie zapomnę nigdy oczu Marysi, jakimi nas witała po powrocie! Zamknięta w tej lodowatej, mrocznej kibitce przez calutki dzień, zziębnięta, ścierpnięta i głodna, o rękach zdrętwiałych z przepracowania, czekała na nas cierpliwie i cichutko, z nową narastającą na patyczkach rękawiczką. Zegarem, który jej liczył te milczące, samotne godziny, był ten sam morelowy medalion słońca, który się pod zachód jawił znów, tyle że na innej ścianie. Wiedziała, że kiedy plama minie rurę pieca i zacznie napływać purpurą, usłyszy niebawem nasze głosy pod drzwiami, szelest zrzuconej na ziemię pachty i chrobot owej z zewnątrz zatrzaśniętej kłódki.

Aby wyjaśnić, dlaczego to, co zaczynało się dziać u nas następnie, było takie a nie inne, muszę jeszcze wrócić pokrótce do ogólnych stosunków na kołchozie.

Sprytny, genialnie wrażliwy nos Heleny wyłapał już dawno nutę pewnego naiwnego zdziwienia – aby nie powiedzieć goryczy – z jakim nasi przyjaciele z przeciwka obserwowali różnicę w traktowaniu przez kantor ich i nas. Pracując o tyle lżej niż oni, dostawałyśmy przecież tę samą ilość ziarna na osobę. Pracując o tyle ciężej od nas, oni mogli sobie pozwolić tylko na jeden okot dziennie, na jeden posiłek, spożywany późną nocą, przed samym udaniem się na spoczynek. My wolałyśmy otrzymywane zboże dzielić sobie na dwa razy, to znaczy mieć siorbę rzadszą, ale ją mieć rano i wieczór. A tego właśnie nie mogli jakoś zrozumieć. Wiedzieli tylko,

że my jemy dwa razy dziennie, podczas gdy oni raz tylko… Przy całej życzliwości fakt ten psuł krew tym głodnym, poczciwym niewolnikom, a tego chciała Helena za wszelką cenę uniknąć.

Długo myślała – aż wymyśliła! Wieczorną siorbę będziemy sobie gotować same, u siebie, w tajemnicy – nie na piecu, bo to niemożliwe, ale w środku pieca po prostu. I tak się też odtąd działo. Inna rzecz, że żadna fabryczka fałszywych banknotów, żadna tajna drukarnia nie miała chyba tyle kłopotu z uprawianiem swego nielegalnego procederu, co my z tą naszą wieczorną siorbą! Najpierw samo rozpalenie w piecu i przymusowa wędzarnia, potem trudności z kociołkiem, który się ani rusz nie mieścił w ciasną rurę, z wodą, która się ani rusz nie chciała zagotować, z Muslimą, która z Osiwem czy Tolipem na ręce o tej właśnie porze lubiła do nas zachodzić na pokłapkę – w ogóle – zziajane, przepłoszone, pomysłowe wykłamywanie się, nasłuchiwanie, podstępy… Zwykle Marysia ze swoim nieodstępnym daspuszakiem na patyczkach siadała w bramie na czatach, podczas gdy my dwie szalałyśmy w kibitce. Ja wyganiałam ręcznikiem dym, a w przerwach łamałam pachtę na drobne patyczki, którymi dałby się obłożyć w piecu nasz pękaty kociołek, Helena zaś piekła sobie chore palce i wypłakiwała oczy, manewrując w głębi rozlatującej się bratrury. Jeśliby – nie daj Boże – po drugiej stronie drogi pojawił się malinowy słupek z dzieckiem na ręku albo gdyby ktoś z głębi zagrody nadchodził, miała Marysia zacząć głośno śpiewać. Wtedy w popłochu zahaczałyśmy drzwi od środka, a Marysia czarującą konwersacją starała się zatrzymać przy sobie nieporęcznego gościa. A potem, po nie wiem ilu kwadransach takich łamańców trzeba było w dodatku tę upragnioną, cudowną, niezapomnianą siorbę łykać bez należytego skupienia, parzyć nią sobie usta i gardło, pić prawie na stojąco, aby nas nikt przypadkiem przy tym nadużyciu nie wypatrzył, aby nas nikt nie przyłapał na tej bezprawnej, grzesznej kulinarnej orgii! Chodziło przecie nie o co bądź! O drugą już

dziś porcję gorącej wody z mąką!

A potem przychodził wieczór, cały umoczony w tęczy mieniącego się, jak nigdzie na świecie, powietrza, wieczór dołem puszysty od piasków i glin, a górą skropiony młodymi jeszcze, białymi gwiazdami. Siadałyśmy sobie czasem przed bramą. Helena tłukła pestki z urugu i wiodła niesłychanie treściwe rozmowy ze starym Karapczykiem. Dziadzisko, w sześcioro poskładane, sadowi się zazwyczaj o tej porze w płytkiej wnęce koło bramy, brudne, fałdziste, malownicze, i uczy Helenę po uzbecku.

– *Sitora…* – ciężką, sękatą ręką wskazuje lekką, migotliwą gwiazdę. – *Sitora…*

– *Sitora* – powtarza z przekonaniem Helena.

Czasem, kiedy nie ma przy bramie starego – aż dziw, jak go tu wszyscy nie lubią – przysiada się do nas Muslima. Uczymy się słówek i od niej, pytamy ją o najróżniejsze różności, tak zresztą, jak ona wypytuje nas. Pamiętam, jak pewnego wieczoru, po dość długim jakby wahaniu, zwróciła się do nas niespodzianie:

– *Wy… wierujuszcze – da?*

Było to zresztą jedno z pierwszych pytań, zadawanych nam szeptem po celach przez sowieckie kobiety. Zagadnienie wiary i religii muliło ich tu wszystkich tak samo. Pytanie to czekało już od dawna i w Muslimie.

– *Da… U nas wsie wierujuszcze…*

– *I cerkwie i meczety macie toże?* I modlicie się Bogu, jak chcecie?

Nie umiem sobie zdać sprawy, co kryje się w tym pytaniu. Ironia? Niedowierzanie? Zazdrość?

– Pewnie, że się modlimy. A co? U was się modlić nie wolno?

– *Boga niet…* – pada zwięzła, natychmiastowa odpowiedź. W głosie jej pierwszy i jedyny raz – wtedy właśnie – usłyszałam nutę pewnej twardości, uporu, buntu…

Biedna mała Muslima! Myślę, że ten Bóg, który mimo całej

komunistycznej propagandy przecież jakoś potrafił ostać się na niebie, nie ją winił w tej chwili za tę twardość, upór i bunt, z jakim Mu odmawiała istnienia…

A sitory mrugały sobie świetliście i wyrozumiale na coraz ciemniejszym bezmiarze. Niebo miewa tu długo niesłychany kolor zzieleniałego turkusu czy grynszpanu, jak owe resztki emalii na kopułach Buchary, póki w bezszelestnej ciszy nie zejdzie nań owa uzbecka, wyiskrzona, namoszona – noc mroźna i nieruchoma…

Codziennie przed udaniem się na spoczynek musiałyśmy jeszcze zabezpieczyć nasze worki przed myszami. Przerzucało się przez belkę sznur, przywiązywało doń wszystkie nasze skarby i windowało pod sufit. Ale ponieważ myszy umiały po ścianie wdrapać się i tam, wpadłyśmy na pomysł obsypywania całego tłumoka sproszkowaną papryką. Paczkę tej papryki kupiła Helena jeszcze w Nukusie. W Rosji kupowało się zawsze wszystko, co można było kupić – potrzebne czy nie – dla samej rzadkiej przyjemności kupowania! Nie wiem, kto bardziej kichał od tej papryki – my czy myszy, w każdym razie nic nam już odtąd nie wygryzało dziur w naszym pikantnym wisielcu na belce.

A potem było jeszcze kunsztowne podpieranie kitmanem drzwi, aby szczelniej przystawały do ochełtanej futryny, dość jałowe plombowanie watą szpar, wreszcie obtykanie całych drzwiczek jedną – od ust po prostu odjętą – kołdrą. Ten inżynierski dział należał z reguły do mnie. Skutek był raczej optyczny, ale sugestia robiła swoje. Owinięte w płaszcze, koce i kołdry, mościłyśmy się jeszcze długo na pryczach, Helena zdmuchiwała lampę i po wspólnie, głośno odmówionym pacierzu dawałyśmy nurka w sen.

Tak to przeciętnie wyglądał każdy dzień nasz w Stalininie. I z takich dni lepiły się nam powoli tygodnie i miesiące.

Minął grudzień, styczeń, zaczął się luty. Ludzie mówią, że ma się ku

wiośnie. Łamane dla Marysi pręty z kruchych stały się giętkie i oddzierają się z długimi pasmami łyka. Zalatuje od nich wyraźnie goryczką wiosennych soków.

Spadają krótkie, gliną płynące deszcze. Mamy ciemne zacieki na wszystkich ścianach kibitki, a krople ciapiące z sufitu powybijały sobie śliskie dołki w klepisku.

A potem znów pogoda i wiatr szeroki, rozległy, nakrywający sobą całą oddal, ów uzbecki, szeleszczący, jedwabisty szamol o długim, tęsknym podmuchu. Wicher ten ma na pewno ogromny, staroświecki turban, rozdęte poły jedwabnego chałata i pooraną bruzdami twarz starego Uzbeka. Tak przynajmniej opowiadamy sobie z Marysią, słuchając tych długich, ssących furkotów, które wchłeptują chciwie wszystkie szpary kibitki, którymi gwiżdżą morelowe sady i tęczowa oddal nad kołchozem. W powiewie tym tai się nadto jakaś nasenna, morząca trutka, coś, od czego człowiek robi się ciężki i niemrawy jak po chorobie. Nic innego, tylko ma się ku wiośnie.

Zaczyna się przednówek.

Na bazarze, na który gania czasem Helena, nie można już dostać niczego. Ceny zawrotne, a towaru brak. Chyba te owce i barany, których ludzie próbują się wyzbyć pod wiosnę. O nabywcę jednak równie trudno jak o paszę… Wałęsanie się między pstrymi kłębkami siedzących w kucki Uzbeków jest tu jednak uważane za przyjemność i rozrywkę. Nasz stary Karapczyk na przykład za nic bazaru nie opuści. Stroi się też wtedy jak na święto. Pamiętam go raz w rdzawym chałacie. Nad dostojną twarzą mędrca bąblił mu się turban ogromny, na staroświecką modłę widać namotany, z cudownie rezedowego tyflika. Wszedł, kucnął pod ścianą i siedział bez słowa, a my wiedziałyśmy, że wedle tutejszego *savoir vivre'u* oznacza to gotowość towarzyszenia Helenie na bazar. Wiedziałyśmy jednak także, że ten czcigodny, wyniośle obojętny starzec myszkuje oczyma po kątach i

że zwłaszcza wiśniowy worek Heleny na ścianie pociąga jego złodziejską uwagę. Pozornie jednak – prorok, myśliciel, dostojnik.

– Hil-Hila – podnosi się w końcu z trudnością. – *Bazar meroem?*

– *Meroem… Meroem…* – przytakuje Helena skwapliwie i wiąże pod brodą czerwono-żółte kraty swego włóczkowego kapturka. Z nas trzech ona jedna ma dość siły, energii i poświęcenia, by ganiać na cały ten bazar w nadziei kupienia jakiejś surowizny. Prócz jarzyn można tam jeszcze dostać olej słonecznikowy, owczy ser i urugi. Olej był nam z powodu ceny niedostępny, ale kilka cebul i marchwi rozpychało zawsze kieszenie kożuszka Heleny, gdy wracała do kibitki.

Pewnego dnia, pod sam koniec stycznia, Hil-Hila przypędziła z kantoru z wiadomością (zdobytą od spotkanych tam Polaków), że w rejonie urzęduje nasza placówka, że podobno wydaje wojskowe przepustki, bilety, nawet ruble na drogę… Poderwało nas! A nuż to prawda? Kobiety teraz też biorą do wojska. Spróbujmy! Chodźmy! Nawet Marysia, mimo chorej nogi, chce pójść razem. To zbyt ważne. Może to ostatnia szansa wydobycia się spod ich władzy i dostania się nareszcie pod naszą? Niech się dzieje, co chce – pójdziemy!

Wybrałyśmy na nasz awanturniczy wypad dzień 2 lutego, święto Matki Boskiej Gromnicznej, i – wyjaśniwszy w kantorze, że nam nasz zakon zabrania pracy w tym dniu – mszyłyśmy cienkim świtkiem, przezornie całe nasze mienie przeniósłszy uprzednio do zagrody naprzeciw, pod opiekę babusi. (Karapczyk! Wiadomo…).

Droga, której się nie zna, jest zawsze najdłuższa, a ta do rejonu – to i tak opętany szmat świata! Idziemy przeważnie bezdrożem, orientując się wedle kierunku słońca, a mimo to – nie raz i nie dwa razy – plączemy się bezradnie wśród rowów, wertepów, twardowłosych łączek czy ostami zarosłych grobli, błądzimy… wracamy… Mylą nas ciągle krzyżujące się koleiny. Nie wiadomo, dokąd która wiedzie… a zapytać nie ma

kogo, chyba wierzb. Ale one też pewnie nie wiedzą. Dla dodania sobie otuchy, idąc gęsiego, odmawiamy głośno różaniec. Jest przecież święto… Po cichutku, prawie nie przyznając się sobie do tego, wierzymy w pomyślny wynik naszej eskapady. Właśnie dlatego, że to dziś. Wiadomo! Gromniczna odpędza wilki… Jeżeli zechce, może i nas wyzwolić z wilczych pazurów… Ach! Do wojska! Byle do wojska!

Głodne i zmęczone docieramy do rejonu dopiero w południe. A docieramy tylko po to, żeby się dowiedzieć, że żadnej naszej placówki nikt tam na oczy nie widział i nikt o żadnej nie wie… To trochę tak, jakby się ziemia pod nogami zapadła. Zatem wszystko nieprawda i wszystko na próżno. I ten nasz zryw – i zmęczenie, i nadzieja, i te żmudnie a niepotrzebnie przebrnięte kilometry… No cóż? Trudno… Przeżyjemy i to, tylko nam strasznie ciężko. Do tego zmęczenie i głód… Marysi najgorzej. Nadrabia miną, aby nie pokazać, że ledwie idzie. Tyle tygodni przesiedziała w kibitce na pryczy, nie ruszając się prawie z miejsca, aż tu nagle – taki marsz! I tyle godzin. I po takich bezdrożach. Ale uśmiecha się i mówi, że jeżeli będziemy z powrotem iść powolutku… Oczywiście! Będziemy iść powolutku…

Cienie nasze już o wiele dłuższe i słońce w innej stronie nieba. Na jakimś wyboistym placyku natykamy się jeszcze na jedną z naszych! Patrzcie! Staszka – przemytnica z Katowic! Nie miałyśmy pojęcia, że ją los także zagnał w te uzbeckie piaski… Ale nie ma czasu na rozmówki… Jej pilno, a i nam każda chwila droga. W lutym dzień jeszcze krótki, a my daleko od domu. Więc tylko – ot – machnięcie ręką, uśmiech i parę pytań… Ona mówi, że rzuciła pracę i idzie szukać wojska – my jej mówimy, że tkwimy wszystkie trzy na kołchozie pod Bucharą – i tyle wszystkiego. Dosłownie parę słów…

Do kibitki dowlokłyśmy się dobrze po północy. Marysię pod koniec trzeba było prowadzić pod ręce. Gdyby nie żbiczy węch Heleny, która,

mimo kompletnej nocy, czuła kierunek i wiodła nas na przełaj tą obcą, grząską, wertepiastą dalekością potykając się, głodne, ledwo żywe – w domu byłybyśmy się znalazły chyba o białym dniu dopiero.

W klateczce naszej ziąb i pustka. Rzeczy w przechowalni. Helena próbuje rozdmuchać parę badyli pachty pod blachą. Jest nam nad wyraz ciężko i – co najgorsze – gorzko. Po głupiemu, dziecinnie… Coś jakby na samym dnie serca zatajona pretensja do Gromnicznej! Że tego to już naprawdę można nam było oszczędzić! Bo właściwie po co? Po co nas było gnać tyli świat – na darmo? Co komu z tego przyszło?

Co komu z tego przyszło?

Dopiero za parę tygodni miałyśmy się tego dowiedzieć i wtedy – za tę naszą niewczesną, krótkowzroczną gorycz – bardzo pokornie przeprosić Tę, która na wszystko, z wilkami włącznie, ma swoje litościwe sposoby…

Jest zatem luty… Wietrzny, błękitny luty nad piaskami. Umiemy już sporo po uzbecku. Zrobiłam sobie słowniczek. Mam już około trzystu słów, którymi operujemy wcale zaradnie.

Poza tym nic nowego. Nasz cherlawy brygadier konkuruje o rękę Heleny w dalszym ciągu. Nie zraża go ani mąż w germańskim pienie, ani nieukrywający wcale swego lekceważenia i irytacji ideał… Ma to jednak i swoje dobre strony. Ponieważ przyłazi do nas często, ponieważ często zwinięty w kolorowy kłębek pod ścianą bywa bardzo rozmownie usposobiony, możemy niekiedy wyciągnąć z niego jakie takie wieści o wojnie.

Toczy się to wojnisko gdzieś tak strasznie daleko stąd, tak niczego o nim nie wiemy, że chwilami wydaje się nam prawie – nieprawdą. Najdziwniejsze jednak, że wnosząc z dość głupawych zresztą biuletynów naszego Uzbeka – prawdą jest i ona sama, i to nawet, że się Rosja trzyma i jakoś nie chce wywracać. Przecie miała się rozlecieć do kilku miesięcy! A tu – choć Niemiec lezie w nią jak w masło, choć zajął już setki tysięcy

kwadratowych mil – ani śladu tego przewrotu, ani śladu rewolucji, która – opierając się na tym, czego się człowiek nasłuchał po celach od własnych ich ludzi – powinna była wybuchnąć z żywiołową siłą po pierwszych sukcesach Hitlera.

Ale z Rosją zawsze tak… Nikt jeszcze nigdy nie przewidział, nie obliczył, nie wywnioskował, jak ten grząski, zatajony, azjatycki kolos zareaguje na te czy inne wahnięcia dziejów. Rosja była zawsze i będzie – tak sobie, jak światu – ponurą, niedocieczoną, mylącą zagadką, jedną wielką niewiadomą, o zupełnie przypadkowych, nieobliczalnych odruchach. A przecie, jakkolwiek wiedziałyśmy o tym dawno, słuchając naszego Parysa, pytamy same siebie: czemu te uciśnione, głodne rosyjskie masy biją się jeszcze w obronie reżymu, którego nienawidzą? Gdzie logika? Gdzie powód? Co się stało? Dlaczego?

I odpowiedź znajdujemy tylko jedną: widocznie nienawiść do Germanca okazała się jeszcze silniejsza od tamtej! Oto potrafiła to, czego nie dokonał ani terror, ani propaganda dwudziestu kilku lat… Pierwszy raz między bezbronną ofiarą a krwawym jej katem nastąpiło zbliżenie w imię wspólnej obrony i wspólnej nienawiści do najeźdźcy.

Już to tego nie można Niemcom odmówić! Umieją sobie jednać nienawiść żadnej innej nierówną! Z daleka, na niewidziane mogli się może tym nieszczęśliwym ludziom zdawać ową przyzywaną od lat, opatrznościową siłą, tym „choćby diabłem”, za którym tyle westchnień słyszało się po celach – jakimś zbawiennym kataklizmem, który jeden mógł jeszcze wyrwać Rosję z ojcowskich szponów komunizmu. Roili biedacy, że im ten ktoś przyniesie chleb i swobodę, że da im poczuć znowu zapomniany już prawie legendarny smak wolności i człowieczeństwa. Tymczasem…

Wieść o niemieckich okrucieństwach na zajętych terenach, o paleniu wsi i mordowaniu cywilnej ludności rozeszła się już szerokim echem

po całej Rosji. W zmęczonych, ratunku wypatrujących sercach mas całe czekanie, cała – mglista zresztą – nadzieja odmiany i wyzwolin zmieniła się nagle w skurcz bladego strachu, który obronnym odruchem rzucił ich wstecz, prosto w mocne, żelazne ramiona dotychczasowego reżymu, który dlatego, że znajomy, wydał im się nagle swojski i mniej straszny od niewiadomego… I tak wilk, tym może, że nie zadał sobie trudu włożenia – na początek bodaj – owczej skóry, scalił, stopił, zgniótł Rosję znowu w jedną bryłę i nadział się niespodziewanie na jej opór i zajadłą obronę. Tylko tym możemy sobie to tłumaczyć.

A może stało się coś jeszcze więcej? Może w obliczu nagłego niebezpieczeństwa ocknął się w nich ze sztucznego letargu od lat konsekwentnie przez komunizm dławiony nacjonalizm i poczuli nagle, i nagle zrozumieli, że nie są żadnym Związkiem – tylko narodem?

To wszystko mówię oczywiście na własny domysł… Zgubione wśród Uzbeków, odcięte od świata, niewidujące ani gazet, ani rdzennych Rosjan, nie mamy możności przekonać się, co i jak naprawdę myślą i czują. Gdybym zaś chciała oprzeć się na tym tylko, co widziałam w Stalininie, miałabym prawo szukać wytłumaczenia tego fenomenu gdzie indziej… u daleko prostszych, prozaicznych źródeł…

Pewnego razu wpadł do nas mały Dżumard, wnuk Karapczyka, roziskrzony dumą i radością. Oto przyjechał na urlop brat jego, Namos, mądry, wykształcony Namos, którego szkolne zeszyty, wywlekane przez Helenę z komórki obok, służyły nam najczęściej za podpałkę. Był to wielki dzień dla kołchozu. Wszystko zleciało się do naszej zagrody oglądać bojca, a biedna babusia, myśląc pewnie o swoim zaginionym Ramazonie, miała oczy czerwieńsze niż zazwyczaj. Wieczorem stary Karapczyk, chcąc się nim zapewne pochwalić, przyprowadził nam wnuka do kibitki.

Zawiało juchtem i Rosją. Namos mówił już tylko po rosyjsku,

skrzypiał skórzanym pasem i palił wojskowe papierosy. Zdrowy jak rydz, przystojny i ważny, siedział na brzegu pryczy i opowiadał. Cóż – kiedy dość jednostronne były te jego wiadomości o wojnie. Sup bywa najczęściej z miasom, chleba dostają aż za dużo, mają ileś tam posiłków dziennie, a wszystko gorące i bez czekania. Dużo też było o nowych butach i mundurach, o tym, jak to wojsko ma wszędzie pierwszeństwo, i na kolejach, i w kinach – słowem, że mu nigdy tak dobrze nie było jak teraz. A potem wracał znów do supu z miasom, chleba i machorki. Zdawało się nam przy tym, że z pewną wyższością – jeśli nie lekceważeniem – patrzy na spełzły kłębek żującego urugi dziadka pod ścianą, na różowego z podniecenia Dżumarda w haftowanym, dzięciołowym kapeluszu i na zmęczoną, zasłuchaną Muslimę. Coś stało już między nim a środowiskiem, z którego wyszedł. On był syty i odziany, oni głodni i bosi. Za nim stała cała Krasnaja Armia – za nimi nie stał nikt. On miał prawa i przywileje – oni mieli tylko obowiązki. Wojna, wróg, Rosja, walka, śmierć – to wszystko było takie dalekie i nieistotne wobec supu z miasom, całych butów i machorki. Nie bez tego, że wplatał czasem martwe, oświechtane zwroty o bat'ku Stalinie i przesławnej Czerwonej Armii, ale gorąca żołnierska zupa miała w opowiadaniach tego wojaka stanowczo więcej kalorii niż jego bojowy entuzjazm.

To zresztą zdaje się nie ulegać kwestii. Do syta jada w Rosji tylko wojsko. Stąd może to garnięcie się do szeregów, te tysiące pono ochotników – mężczyzn i kobiet – o których się tu opowiada po mityngach. Na tyłach zaś coraz gorzej.

Przednówek już w całej pełni. Zamiast zboża wydają ludziom tylko makuch. Przeklęty, twardy jak kamień, jałowy makuch, który w stępie, zrobionej ze starego pnia, tłuczemy całymi godzinami, do upadłego, póki się go nie pokruszy na takie kawałki, aby je żarna mogły przyjąć.

W kołchozie wybuchła epidemia czerwonki. Raz po raz słyszymy, że

któryś z owej grupy przysłanych tu na roboty skazańców został zabrany do rejonu do szpitala. Nie na czerwonkę, ale na zakażenie krwi umiera jeden z Polaków. Nie dostał na czas zwolnienia, by pójść do doktora ze skaleczoną ręką, i umarł po dwóch dniach półprzytomnej męki.

Mania z mężem opuściła kołchoz. Miała dość! Zbuntowała się. Po sprzedaniu ostatnich rzeczy ruszyli po prostu pewnego dnia przed siebie, w nadziei dostania się do wojska. Bo ona też chce do wojska. Jak Staszka przemytnica. Słyszała, że tworzą się już polskie kobiece formacje i to nie tylko w Buzułuku. Nie wie tylko jeszcze gdzie… Obiecała dać nam znać, gdyby się jej udało do nich dotrzeć.

W zagrodzie naprzeciw – żałoba, bo tylko tak można to nazwać. Kantor kazał im oddać na „dobrowolny fundusz wojenny" albo krowę, albo barany Muslimy. Kiedy zgłosili gotowość zrzeczenia się na konto wszystkich rubli, które im kantor był winien, odpowiedziano, że to zupełnie dwie inne sprawy i że muszą dać albo motgau albo guaspany.

Poszły więc „dobrowolnie" barany. Muslima milczy i nie podnosi od pracy zlepionych łzami rzęs. *Bobo* wali z furią w nasyp, aż ziemia jęczy, babusia zaś chodzi po obejściu jak błędna.

Helena miewa z magazynierem coraz gwałtowniejsze utarczki. Codzienna nasza siorba jest teraz opłacana dosłownie jej własnym zdrowiem. Irytacja, zmęczenie, wieczna szarpanina, głód i zimno zaczynają dawać radę nawet jej żelaznemu organizmowi. Dolegliwości nerkowe i zlekceważone zapalenie opłucnej, którego napytała sobie zaraz na początku, przy owym windowaniu bawełny na dach stajni, czekały długo, aż wreszcie wystawiły jej wspólny, słony rachunek.

Pewnego dnia po powrocie z kantoru po jakiejś wyjątkowo ciężkiej przeprawie z magazynierem dostaje takiego ataku kamieni nerkowych, że dwie doby leży nieprzytomna, krzycząc z bólu i tarzając się po pryczy. Ja – nietaktowna jak zawsze – nie mam nic lepszego do roboty,

jak zaziębiwszy się pierwszej nocy czuwania przy Helenie dostać grypy z ostrym zapaleniem ucha. Na barki biednej Marysi zsuwa się teraz cały ciężar naszego bytowania. Tyle że kantor ma dla Heleny osobne względy. Sprowadzają do niej wraczkę z rejonu. Przyjechała na małym koniku *en coupé*, trzymając się wpół starego Uzbeka, kołaczącego się przed nią na wysokim, uzbeckim jegar – siodle z drzewa i poduszek. W ręce piastowała ceratową torbę, w której chrobotało kilka flaszeczek i kilkanaście baniek. Tymi bańkami, dość nieporadnie zresztą, obstawiła Helenę, zmierzyła jej gorączkę i nabazgrawszy receptę, poleciła nam zgłosić się z tym świstkiem w rejonie w rządowej aptece. Toteż biorąc z jej rąk ów bibulasty strzępek, wiedziałyśmy, że to na nic. Wyprawa do rejonu to podróż, na którą żadna z nas nie ma teraz siły. To jednak wraczki już nie obchodzi. Ona miała napisać receptę i wydać kartkę, zwalniającą na trzy dni z pracy. Na ogół robiła wrażenie dobrodusznej i bezradnej. Ubrana z uzbecka, wolała już jednak mówić po rosyjsku. Na ceratowej jej torbie jarzy się ostentacyjnie ogromna czerwona gwiazda, pod nią zaś sierp i młot. Ostrzegłszy nas jeszcze, że lepiej zdechnąć z głodu niż jeść kondżolę (ów makuch przemierzły) – bo to murowana czerwonka, wdrapała się na konika, objęła Uzbeka wpół i pojechała.

Po tygodniu Helena zwlokła się z pryczy, do siebie niepodobna, słaba, rozdrażniona i bezradna. Ja też ledwie łażę, ból w uchu tykocze mi dotkliwie przy każdym szybszym ruchu, a zwłaszcza przy schylaniu się. A tu trzeba i w pole chodzić, i makuch tłuc, i pachtę nosić na opał…

Ostatni akt tej stalinińskiej tragikomedii rozegrał się właśnie przy kupie tych bawełnianych badyli. Nie skleję już dziś dokładnie, jak się to zaczęło, wiem tylko dobrze, jak wyglądał koniec.

Pewnego wieczoru, kiedy Helena, spocona z osłabienia, związała już sznurem bunt pachty, a ja miałam właśnie zadać jej go na plecy, nadleciał nasz cherlawy brygadier. Furia jego na Helenę była aż nadto

usprawiedliwiona. Tyle tygodni daremnych konkurów! Od dawna już szukał zaczepki, od dawna całe jego odniesienie się do nas nacechowane było wybitną niechęcią… Teraz widocznie nadarzyła się sposobność. Nadleciał zziajany i zaczął – jąkając się i plącząc z irytacji – tłumaczyć, że z jakichś tam powodów nie wolno z tego miejsca brać pachty, że mamy zaraz bunt rozwiązać i iść zbierać gdzie indziej. Helena – chora jeszcze, więc rozdrażniona – czując zresztą, że nie ma sił zaczynać wszystkiego na nowo, z miejsca stanęła mu okoniem. Zasłoniła sobą naszą wiązkę, którą chciał już siłą rozwiązywać, i zaczęła krzyczeć, wymyślać, stawiać się, że ani się jej śni, że pachty nie zostawi, że on nie ma nic do gadania itd. Wywiązała się bardzo ostra wymiana słów, a skutek był ten, że nagle zzieleniały ze złości Uzbek, nawykły widać do wschodniego traktowania kobiet, porwał z ziemi jakiś patyk i uderzył – czy chciał uderzyć nim – Helenę, nie wiem, bom nie schwyciła wzrokiem tego mgnienia. Ale to wystarczyło. Tym razem Hil-Hila nie udawała już niczego, jak wtedy z Hosjatą! Wściekłość dodała jej nagle sił. Zobaczyłam tylko wiatrak jej rozmachanych rąk, najpierw śmignął przez powietrze tirpak, potem poleciał kalpusz, a potem została już tylko wklęsła gęba naszego osłupiałego do bezruchu brygadiera. Nie próbując się ze zdziwienia bronić nawet, pozował do tego mordobicia, z rękami zwisłymi wzdłuż ciała jak bezwładne skrzydła. A potem, kiedy Helenie tchu brakło, nie powiedział ani słowa, tylko potulnie podniósł z ziemi kalpusz, potem poszedł po tirpak, nadział go głęboko na uszy i zszedł sromotnie z pola walki, wklęsły, zgarbiony, nie oglądając się za siebie.

Jeżeli kto myśli, że po całej tej awanturze Helena nie przytaszczyła owej zakazanej pachty na grzbiecie do kibitki, to jest w błędzie. Która jak która, ale ta właśnie była naprawdę zdobyczna!

Nie mamy pojęcia, co z tego będzie i jakie konsekwencje pociągnie za sobą czynne znieważenie urzędnika kołchozu. Helena wprawdzie

twierdzi, że się chłopisko nikomu nie przyzna, bo to zbyt wielki dyshonor – mnie jednak siedzący na ramieniu strach szepcze w ucho tysiące najstraszliwszych rozwiązań i epilogów tego zajścia. Nie pozostaje nam jednak nic, jak czekać, co jutro przyniesie.

To „jutro" nazywało się w kalendarzu 26 lutego 1942. Historyczna data, którą zapamiętałam dobrze.

Dzień szedł sobie do południa razem z cieniami drzew na piasku – jak gdyby nigdy nic. Wróciłyśmy z pola wcześnie, stwierdziwszy z ulgą, że nikt widocznie o niczym nie słyszał. *Bobo* rąbał nasyp jak co dzień, Muslima jak co dzień nosiła bez wytchnienia wiadra. Po prostu dzień jak każdy inny.

Korzystając z ciepłej pogody, wyszłyśmy sobie z Marysią przed bramę. Ona kończyła – pamiętam jak dziś – parę małych dżilop, skarpetek dla jakiegoś dziecka, ja prułam moje stare rękawiczki, które Marysia obiecała mi przerobić na nowe. Zaś w głębi kibitki, za nami, Helena przybijała właśnie kamieniem obcas u swoich buciorów. Znalazła w magazynie na ziemi jeden bezcenny gulmiech, a że gwoździe są tu czymś wprost niespotykanym, postanowiła użyć go do ratowania podstawy swej egzystencji – butów.

Zdarzało się często, że kiedyśmy tak siedziały pod bramą, ludzie przechodzący mimo drogą przysiadali się na przyjacielską pogawędkę. Toteż i wtedy, zobaczywszy urzędnika kołchozu zmierzającego w naszą stronę, nie zwróciłyśmy na to uwagi. Przykucnął zresztą przy nas jak każdy z nich, gadał coś o pogodzie, kręcił machorkę, oglądał skarpetki na patyczkach, milczał, pluł, a potem zmrużonymi oczyma patrzył długo w słoneczny opar nad kołchozem.

– A gdzie Hil-Hila? – zapytał w końcu.

– W kibitce…

– *Puskaj – haj prydiot… Ja tu imieju bumażku…* – sięgnął w zanadrze,

a potem zaczął rozprostowywać na kolanie jakiś pomięty papier.

Zawirowało mi w głowie! Masz babo placek! Zatem stało się! Przyszedł widocznie po Helenę w związku z wczorajszym zajściem… Nie mam wprost siły ruszyć się z miejsca, podczas gdy nasz urzędnik, jeżdżąc dla ułatwienia palcem po literach, zaczyna dukać kolejno nasze nazwiska.

Pokrótce: był to rozkaz odstawienia nas wszystkich trzech natychmiast do rejonu. Podpis NKWD. Pieczęć i data.

Wesoło!

Dużo by gadać, a właśnie szkoda słów. Tego niepodobna opowiedzieć. Zaskoczone, niemogące się od nikogo doprosić żadnych wyjaśnień, prócz tych kilku słów na papierku, gubimy się w domysłach, które nie są bynajmniej różowe i na które w dodatku nie ma czasu. Już w chwilę potem jest u nas drugi urzędnik z kantoru. Był urgens telefoniczny z rejonu, żeby natychmiast, bez chwili zwłoki… I znów ani słowa wyjaśnienia.

Jeśli chodzi o mnie, nie mam najmniejszych wątpliwości. Pakują nas znowu do tiurmy! To jasne. Ledwie wiem, co się wokoło dzieje…

Kibitka już pełna ludzi. Jedni przyszli się pożegnać, drudzy patrzeć, jak się pierwsi żegnają, trzeci odebrać pożyczone wówczas na rozkaz prycze i kołdry, jeszcze inni po zwrot kłębków sardos, przyniesionej na rękawiczki włóczki…

W pół godziny później zajeżdża przed bramę rozklekotana arba i siedzący na niej Uzbek popędza nas, niecierpliwi się, woła… Jest! Zaczyna się znowu to przeklęte „pabystrej”, „paskorej”, od którego odwykłyśmy już trochę… Łapię się znowu na tym, że myślę dawnymi kategoriami: gdzie ukryć igłę, żeby jej przy rewizji nie znaleziono? Co zrobić z uzbeckim słowniczkiem? nitkami, ołówkiem? Boże dobry! Więc będzie znowu zamknięcie, ścisk, smród, transporty! Byle razem! Już tylko to jedno zastrzeżenie i prośba tłucze się we mnie na pół przytomnie poprzez

cały zamęt pakowania, pośpiechu, rozpaczy. Byle nas nie rozdzielili w więzieniu!

Wylegli na drogę wszyscy nasi przyjaciele… Zapłakana Muslima, babusia, *bobo*, Husnija z Osiwem na ręce… Wypełzła z głębi zagrody *bibi*, zadyszana wzruszeniem i astmą. Kaprawa żona Karapczyka krztusi się głupkowato za skrzydłem bramy, a on, pięknym wschodnim ruchem, przykłada raz po raz dłoń do piersi i czoła… Inna rzecz, że musi być wściekły, że mu się nie udało smyknąć czegoś w zamieszaniu. Jest już i Czarny Kogut, i Mafi-Sroczka, i piękny Sali, i cały tłum innych, ledwie z widzenia znanych nam ludzi. Dziw – jak się to prędko rozniosło po kołchozie! Dołem, w piasku, furka stado dzieci, niecąc pod niskie światło zwały mętnego kurzu. Słońce stoczyło się już między pręty przydrożnych drzew i zachodzi, jak na silny wiatr, ogromne i purpurowe.

A potem kolejne ściskanie wyciągających się do nas wielu par chropawych, zacnych rąk, bezładne słowa pożegnania i bezradne, łzami popłynięte uśmiechy. Płaczącą Muslimę ściskamy wszystkie trzy, długo i serdecznie. Jej żal nam najwięcej… Takie to ciche, pracowite i bezbronne… Nie mogąc jej pomóc niczym więcej, kreślę szybki krzyżyk na czole tej małej pogańskiej męczenniczki, której komunizm odebrał wszystko. Wszystko: od Boga – po barany!

Jeszcze jedno pożegnalne spojrzenie na cudowną, srebrzystą bramę o rzeźbionych skrzydłach, na wyzierający ponad murek bury, cynamonowy o zachodzie sad, na ślepą szybkę naszej poczciwej kibitki…

No a potem… skrzypnęła arba, wahnęło nas wstecz i wprzód, po czym grzęznącym w piasku stępem ruszamy wolno przed siebie…

Bardzo dziwnie jest człowiekowi, który znów skosztował wolności, jechać taką cudownie otwartą przestrzenią na powrót do więzienia…

Strachu już we mnie ani krzty, tylko zmęczenie i rezygnacja. Gapiąc się w mierzchnący powoli świat, mam wrażenie, że go gromadzę, że go

nagarniam w siebie na zapas – na potem – na te niewiadome miesiące czy lata zamknięcia, które mają znowu przyjść ze wszystką znajomą już ich udręką…

Helena z Marysią mówią coś wprawdzie koło mnie, że ta tiurma to jeszcze nie takie całkiem pewne, że gdyby to o tę historię z brygadierem, to dlaczegóż by nas zabierano wszystkie trzy – nie umieją jednak podać ani sobie, ani mnie żadnego wytłumaczenia tego, co się stało. Próbują się nawet ze mnie śmiać, wymyślają mi od strachoputa i panikarza, ja jednak wiem swoje i zazdroszczę im po cichu bezcelowych złudzeń. No trudno. I tak przez te ostatnie trzy miesiące było nam tu przecie cudownie! Normalny wykres naszych losów w Rosji miał z reguły rysunek zębaty – w górę i w dół – jak gorączka przy malarii. Po dobrym okresie musiał przyjść zły. Wiadomo… Cała rzecz w tym, żeby się przygotować, żeby nic na człowieka nie spadło zbyt nagle, żeby miał czas siły zebrać, zaciągnąć się dobrą wolą przyjęcia i pogodzenia się ze wszystkim, co mu sądzone, żeby się po prostu nie dać zaskoczyć – ot co – żeby się nie dać zaskoczyć…

A to, co nas zaskoczyło, było właśnie ze wszystkiego na całym świecie najbardziej nieprzewidziane!

Kiedy późną nocą arba nasza wtoczyła się na uliczki rejonu, na bielejącym w mroku moście zamajaczyła przed nami jakaś drobna, biegnąca postać, pętająca się w za długim wojskowym płaszczu, i głos czyjś znajomy zawołał do nas po polsku:

– Zlitujcie się! Nareszcie! Trzy dni czekam tu na was i trzy dni rozbijam się po wszystkich urzędach. O mało nie rozniosłam całego NKWD! Latało wszystko jak z pieprzem… Nareszcie! Moje złote! Złaźcie. To ja. Staszka.

Na miłosierdzie boskie! Staszka z Lidy?! W mundurze?! W czapce, w pasie?! Stoi przy arbie i krzyczy zadyszana:

– Komendantka Przystajko przysłała mnie po was z Guzaru. Tam

nasz Ośrodek. Idziecie do wojska! Mam papiery, bilety, pieniądze… Już myślałam, że was po tych kołchozach nie odszukam. Dziś jeszcze jedziemy do Buchary!

EPILOG

A… potem już tylko okruchy. Krótkie, wyraźne, te i takie, które same chciały mi się przylepić do pamięci.

Noc. Gościniec. Gwiazdy. Skrzyp arby i konik, który ustaje… Od połowy drogi idziemy piechotą. Idziemy jak w transie, nie czując wcale, że nas nogi niosą…

Zimno. Wiatr… Mała Staszka pożycza mi ciepłe wojskowe rękawice. Po obu stronach drogi, w pustce niewidzianej i obcej, kaszlą szakale…

Bardzo mi niewygodnie w tych grubych, nieznajomych rękawicach odmawiać na palcach różaniec.

Mimo zimna powietrze pachnie wiosną i radością…

Buchara.

Czekamy do świtu w jakimś zaułku, pchając się nad sam rozłożony w załamaniu muru ogieniek. Przytupując z zimna, wałęsamy się od węgła do węgła… Wąski pas nieba nad uliczką jest pełen gwiazd i nocy. Wracamy do ognia i dymu. Siadamy na workach. Ściany zaułku czuć zmarzłą gliną i zwietrzałymi ludzkimi odchodami.

A potem dzień. Wietrzny, pochmurny, bezdomny.

W Bucharze szaleje tyfus.

Mamy tu pono załatwić jakieś formalności. Składamy worki u nieznajomej pani, Polki, której mąż jest urzędnikiem naszej placówki. Lezie się do nich po rozlecianej drabinie schodków, przez jakieś rozwalone płaskie dachy…

Mieszkanie składa się z dwóch małych pokoików. W pierwszym na stole śpi młoda dziewczyna. Wróciła właśnie z dyżuru w szpitalu, gdzie pielęgnuje naszych tyfusowych. Obok stołu na ziemi klęczy pani domu w jedwabnej, purpurowej piżamie i szarpie pompkę zepsutego prymusa.

Prymus dymi i śmierdzi. W drugim pokoju dogorywa na zapalenie płuc polski oficer. Jest nieprzytomny. Przez niedomknięte drzwi słychać jęki. Doktora nie można się doprosić. Pani w purpurowej piżamie sama robi mu zastrzyki. Chce właśnie wygotować igłę. Odstąpiła mu jedyne łóżko. Sama sypia na kocach pod ścianą. O ile w ogóle sypia…

Nasza placówka.

Dwie ciemne nory od podwórza, jeden stół, trochę papierów.

Szaro tu i ciasno od Polaków. Przeważnie takich, którzy po tyfusie wyszli właśnie z sowieckiej bolnicy.

Jednego z nich nie zapomnę póki życia… Wychudły, ściany się czepiający, ze szpitala wydalony trup – który nie umarł. Całą noc błąkał się po ulicach. Resztką sił dowlókł się do placówki. Dygocze z zimna i płacze. Jest półbosy, nie ma koszuli, tylko zniszczony oficerski płaszcz i podarte spodnie. Przyjechał aż z Workuty. Do wojska! Dostał tyfusu… Wczoraj pod noc kazali mu się wynosić ze szpitala… Prosi, żeby mu dać jeść. Nikt nie ma ani czasu, ani chleba…

Teraz bania i – obowiązująca przed wpuszczeniem do pociągu – dezynfekcja naszych rzeczy.

A potem wyjście z bani i nagła zjawa z góry jakoś widzianej Buchary, całej wzdętej baniami turkusowych kopuł, wybijających się ponad morelowy, gliniany, przejęty słońcem kurz…

I znowu uliczki brudne, miałkie, cuchnące… Na rogu natykam się niespodzianie na spełzłe od płaczu oczy pani Mufki… Tak… Stenia umarła. W Farabie. Mąż ją porzucił… Klarcia ma właśnie tyfus. Jest w szpitalu. Z Palestyny w dalszym ciągu nic… Chce się uśmiechnąć… Płacze…

Droga koleją to obłędny ścisk, smród machorki i śpiące po wagonowych półkach ludzkie, półżywe ze zmęczenia kłębki…

Przesiadamy się parę razy. Śpimy raz na dworcu pokotem, na

kafelkowej podłodze, ciasno między leżącymi tu sołdatami. Pamiętam nogę ławki, o którą opartą mam głowę, i przełażące przeze mnie całą noc ciężkie sowieckie buciory.

Plączą mi się po głowie takie nazwy jak Kagan i Karsza, ale nie przysięgnę…

Na jednej stacji zatrzymuje nas kapitan w polskim mundurze. W pełnym polskim mundurze. Orzełek na czapce i odznaki. Czeka na dworcu na przejeżdżających do wojska Polaków. Ma dla nich pieniądze. Dostajemy po 30 rubli każda.

Targana wiatrem lista, przyparta do ściany dworca, atramentowy ołówek i podpis… Od trzech lat pierwszy podpis złożony nie na sowieckim dokumencie!

Dworcowa stołówka.

Zapłaciłyśmy za zupę z kaszą i czekamy. Jest brudna cerata, zapluta sól, afisze…

Za krzesłami siedzących, za ich plecami, ramionami, głowami – niczym głodna zgraja czatujących na odpadki psów – ludzie… nie ludzie? Zziębnięte, półgołe, wynędzniałe sowieckie dzieci i starcy, którzy żerują na przejeżdżających wojskowych transportach… Zachłanne, uważne oczy odprowadzają ci do ust każdą łyżkę, każdy kawałek chleba. Chude ręce trącają cię niecierpliwie, byś nie dojadał do końca. To, co zostanie na talerzu, może być zlane w przyniesiony pod chustką garnuszek, zgarnięte w gazetę albo wychłeptane na miejscu, nim dziwczur kelnerka wyszarpnie talerz… Wszystko to z głodu jest nałaźliwe, z głodu odważne i z głodu bezwzględne dla głodnych. Wyłapują sobie spod rąk kawałki chleba, zmiatają okruszki, odtrącają słabszych, biją się, rugają. Widziałam dorosłych wyrywających broniącym się dzieciom takie zdobyte czy odstąpione resztki. Niezapomniany, koszmarny widok! Każdy kęs tkwi człowiekowi ością w gardle, każda łyżka strawy, zjedzona na oczach tych

głodomorów, staje się przestępstwem, grzechem, winą…

Mała Staszka jest niesłychana! Stawia się wszystkim, jak fajka za grajcar, wali na każdej stacji wprost do naczelników, wymaga, żąda, zdobywa… Rżnie przy tym każdemu w oczy, odgryza się na odlew, a wszystko po rosyjsku. Wspaniały szkut w za długim płaszczu i furażerce włożonej z fantazją na bakier!

Wreszcie Guzar.

Brudny budyneczek stacyjny, przewleczony przeciągiem na wylot. W oddali śnieżyste pasmo wysokich gór. Idzie od nich oddech mroźny i szeroki… Ktoś mówi, że to może być Pamir. Może i Pamir…

Suniemy piechotą ku miastu. To dość daleko. Na razie jest pusty gościniec i nasze cienie na wybojach. Czujemy się zbyt szczęśliwe, by wiedzieć, jak jesteśmy głodne i zmęczone. Przejeżdżający na osiołku Uzbek sprzedaje nam mleko.

Jemy śniadanie nad przydrożnym rowem. Schowany wczoraj „na jutro” kawałek chleba pachnie dziś kieszenią i wiatrem.

Najdziwniejsze jednak, że nie umiemy już gryźć! Po kilku kęsach skurcz chwyta nam szczęki. Trzy miesiące piłyśmy tylko siorbę… Łamiemy chleb na kawałki i moczymy je w mleku…

W słońcu dopiero widzę, jaki mój garnuszek brudny…

Miasteczko.

Niskie domki zbiegły się ciasno po obu stronach drogi. Ślepe, pozbawione często szyb okienka, mury schlastane zaschłym błotem… Drewniane ganki lgnące płasko do ścian nad samym chodnikiem… Brud, nędza, tumany kurzu. Tyfus tu pono gorszy niż w Bucharze…

A potem – nagle – zza zakrętu wypada na nas zawierucha barw szarpanych wiatrem sztandarów. Wiszą szeregiem na odrapanym budynku nad bramą, przy której stoi nieruchoma warta.

To sztab! To nasze Dowództwo!

Rozfurkotane, jaskrawe, płuczą się w popielatym powietrzu, chcąc jakby zmyć z siebie cały ten nielicujący z tłem przepych błękitu, czerwieni i bieli… Pierwszy raz łopocze oto nad nami nowy, niespodziany akord alianckich barw. Ameryka, Anglia, my – i Sowiety!

Obóz kobiecy daleko za miastem. Jeszcze godzina drogi.

Trzęsący, pusty wojskowy wóz podbiera nas z gościńca.

Miasto zostaje w tyle… Jeszcze tylko olbrzymi, bielejący na zakręcie meczet – przybytek nie Allacha, ale zarazy, bo mieści w sobie szpital tyfusowych – a potem powoli gliniane szkarpy rozgładzają się znów w otwartą przestrzeń.

Żołnierz batem wskazuje nam dalekie, lekko zieleniejące już wzgórze i białe grzyby kilkudziesięciu namiotów. To tam! Czy to możliwe? Boże miłosierny! Czy to możliwe? Nasz obóz! Nasze wojsko!

Człowiek jest strasznie wytrzymały na radość!

Pierwsze, co pamiętam – gdy wóz się zatrzymał – to nagłe odrzucenie klapy namiotu i smukłą sylwetkę Komendantki Ośrodka – naszego starobielskiego Księcia – i jej szeroko otwarte ramiona! I rachowanie nas, i radość, że wszystkie trzy, że nas odszukała, sprowadziła, ocaliła!

– To przemytnica Staszka przyniosła mi do Ośrodka wiadomość, gdzie jesteście… Mówiła, że was widziała gdzieś pod Bucharą… A tam jak na złość kołchoz przy kołchozie… Chwała Bogu, że się udało! Mała! Należy ci się order – brylantowy order!

– Ku chwale Ojczyzny, pani Komendantko… – prężу się różowy od wiatru, uśmiechnięty szkut w za długim wojskowym płaszczu…

Cóż z tego, że namioty ciekną? Cóż z tego, że słoma w siennikach jest mokra i gnijąca? Cóż z tego, że nocami umie jeszcze padać śnieg i zmienić klapę namiotu w twardą, grzechocącą łupę? Cóż nas to wszystko obchodzi! Jesteśmy tak szczęśliwe! Tak niewypowiedzianie szczęśliwe!

Dostaję mundur. Męski, za duży, o tysiącu metalowych, nieznanych

guzików, których raniące się jeszcze ciągle palce nie mają nigdy siły przepchać przez za ciasne, nowe dziurki. Dostaję wysokie, sołdackie, używane buty, w które mieszczę się z resztkami własnych trzewików, a na głowę – zamiast sławnego turbana – furażerkę! Ludzie na świecie! Czy widział kto co podobnego? Żołnierz!

Salutuję teraz, wchodząc do namiotu Komendantki. Nie wiem czemu, wszystko pęka ze śmiechu. Oczywiście! Znowu guziki! Jeszcze się nie nauczyłam, ile ich jest i że wszystkie trzeba pozapinać. Kobiece mundury jeszcze nie nadeszły. Spodnie są za długie i wiszą mi po cholewach, nad same kostki.

Mniejsza z tym… Mniejsza z tym… Mniejsza z tym!

Deszcze leją wieczorami ciężkie, zimne, pławiące się w błocie. Przez dziurawe płótna kapie jak z sita i glina spływa z pochyłych ścianek głębokiego wkopu. Worki zwilgły nam na nic. Koce – bo mamy teraz aż po trzy koce! – są rano dwa razy cięższe niż z wieczora.

Budzę się w nocy i jem. Budzę się rano i jem. Kładę się wieczór i jem. Pracowite żucie wojskowych sucharów o każdej porze dnia i nocy. Obłęd. Zboczenie. Mania… Szczęki mi więdną, dziąsła krwawią, gojące się palce rozraniają się na nowo na ostrych okruchach, które łupię na drobne kawałki i międlę potem w ustach do upadłego. Chwilami mam już ochotę brodę dociskać ręką, bo mi szczęki ciągle jeszcze odmawiają posłuszeństwa. Prześmieszne, obce uczucie.

Obiady pobieramy w menażki, w ogonku przy glinianej budzie kuchni. Zupa, kasza i trochę cukru. Mleko możemy kupować u Uzbeków. Co dzień rano rozkładają się kolorowym wiankiem u wejścia do obozu. Cudowny, cierpki katyk, po cztery ruble czarka. Cztery czarki to dopiero jeden mój garnuszek…

Co dzień napływają do Ośrodka nowe ochotniczki. Codziennie po parę znajomych, wynędzniałych twarzy. Często poznaję je dopiero po

uśmiechu. Mnie zresztą nie poznają też.

Wiele z nich zaraz po przyjeździe idzie z tyfusem do szpitala. Wiele z nich wraca do obozu po przebytym właśnie tyfusie. A wiele w ogóle nie wraca.

Mała dzielna Staszka zgłasza się na ochotnika jako pielęgniarka. Po 60 pogrzebów mają tam dziennie. Trumien brak. Muszą wystarczać prześcieradła. Chorzy leżą przed meczetem na ulicy, w błocie, na deszczu, całymi dniami. Czekają, aż łóżko się zwolni. Na cmentarzu o miejsce łatwiej. Często zatem kierują niektórych wprost tam. W kocu czy w prześcieradle. Nasze wojskowe wozy, zamiast broni i amunicji dla oddziałów, wożą przeważnie trupy. Sowieckie władze uważają widocznie, że to bezpieczniejszy ładunek. I tańszy.

Człapiące w błocie kroki, droga i kilka kobiet zgubionych w pustce świtu.

To pierwsza niedziela w Guzarze.

Na dziesiątą pójdzie cały obóz – długie oddziały kobiet w męskich mundurach, wiedzione po błocie i kałużach przez szefa kompanii, małą, szykowną Nelkę.

My idziemy na siódmą. Na pierwszą mszę świętą w Dowództwie. I na naszą pierwszą mszę świętą po dwóch latach prawie!

Musztra.

Na zielonych skłonach wzgórz obok obozu szeregi dziwacznie odzianych kobiet. Niektóre już w mundurach, inne jeszcze tak, jak przyjechały z kołchozów. Fufajka albo łach miejskiego płaszcza. Futrzana papacha, kolorowa chustka albo beret. Na nogach kalosze, walonki lub pantofelki o odłupanych korkach. W porządku.

Przed każdym szeregiem instruktor. Prawdziwy instruktor, przysłany do Ośrodka z męskiego obozu na tamtej zboczy wzgórza.

– W prawo zwrrrot! W lewo zwrrrot! Spocznij! Baczność!

Mokra łąka ciapie pod buciorami, nogi rozjeżdżają się w śliskiej darni, wiatr rozmazuje po powietrzu nieznane jeszcze dobrze słowa komendy.

Opodal wykłady. Stojące pod otwartym niebem zbite w półkole grupki słuchających kobiet. Biedny instruktor drze się na całe gardło, bo wiatr i nic nie słychać. Teoria strzału. Terenoznawstwo. Łączność. Nieznane dziedziny. Nieznana terminologia. Zamęt w przewianej na wylot głowie.

Noc. Może wieczór. Deszcz siąpi drobny, uparty. Ciemno choć oko wykol. Jedyna pora, kiedy Książę ma nareszcie czas.

Namiot Komendantki jaśnieje w dookolnej nocy jak niski, w błocie umoczony lampion. Są tylko trzy lampy na terenie obozu. W kuchni, w magazynie i u niej.

Namiot ten jest i kancelarią, i sypialnią, i jadalnią. Jest połowy stół, dwie ławki, sienniki. Jest czarny krucyfiks przypięty do płótna i Biały Orzeł na czerwonym tle.

Dobrze tu i przytulnie. Deszcz bębni o namiot i nasze duże cienie lgną od spodu do pochyłych płaszczyzn napiętego płótna. Zawinięte w wilgotne płaszcze, zsunięte ciasno na ławce, siedzimy przytulone do siebie, a Książę opowiada. Żywo, barwnie, obrazowo jak zwykle. Tyle się przecie nadziało od dnia, kiedy nas rozłączyli w Starobielsku. Tyle się jeszcze może nadziać, zanim się wojna skończy. Byle już jak najprędzej wyjechać z tego strasznego kraju! Nie wiemy zupełnie, co z nami będzie. Mamy się szkolić – a potem? Więc plany, domysły, marzenia. Czasem brydż. Nie gram w brydża, więc siedzę tylko po to, by być bliżej nich.

Od czasu do czasu wpada z meldunkiem oficer inspekcyjny, czyli w zabłocony płaszcz wbita dziewczyna o twarzy mokrej od deszczu i roześmianych oczach. Czasem kwatermistrz nasz, pani Wanda, przewróci się na drugi bok na sienniku i spyta sennie spod koców, czy nie mamy dziś zamiaru w ogóle iść spać?

Nie. Nie mamy. Szkoda nam. Jest tak strasznie, strasznie przyjemnie

i swojsko.

Kochane, niezapomniane, guzarskie wieczory!

Tydzień – drugi – trzeci…

Deszcze miękną i ziemia zaczyna pachnąć. Oddal staje się zjadliwie szmaragdowa.

Obóz nasz przylepił się do wzgórza, opadającego stromo nad błotnisty, wymulony w dolinie jar strumyka. A dolina jest płaska jak powierzchnia rzęsą zarośniętego stawu. Z bardzo wysoka widać stąd czworobok jakiejś uzbeckiej zagrody i całe mnóstwo rozsianych po dolinie owocowych drzew.

O pewnym ciepłym, nawilgłym świcie słyszę tu pierwszego od lat – skowronka.

Po pewnej ciepłej, nawilgłej nocy wstają z dna doliny opary kwitnących morelowych sadów. Różowe obłoki jaśnieją na tle gładkiej zieleni, jak nierozpływające się przed oczyma zjawy w niskim locie zastygłych – Aniołów.

W ciszy strumyk bełkocze po kamieniach.

Jest druga połowa marca.

Aż pewnej niezapomnianej nocy budzi nas przyciszony głos Komendantki. Z wieczora została wezwana nagle do sztabu po jakieś rozkazy. Nie doczekawszy się jej powrotu, poszłyśmy spać.

Teraz jawi się nam na tle gwieździstego nieba jej szczupła, wpółzgięta sylwetka, wpychająca się pod uniesioną klapę namiotu. Siedzimy już wszystkie słupka na siennikach.

– Pojutrze wyjeżdżamy do Persji! Bóg łaskaw! Jutro dostajemy kobiece mundury. Nie mogłam! Musiałam wam to dziś jeszcze powiedzieć!

W ulewny deszcz 24 marca opuszczamy obóz pod Guzarem. Rzeczy i słabsze z nas jadą na otwartych lorach, zdrowe i młode idą piechotą, w szeregu.

Śpiewają i zdrowe, i słabe. Deszcz pada w otwarte pieśnią usta, deszcz zalewa śmiejące się oczy.

Wyjeżdżamy! Wyjeżdżamy! Wyjeżdżamy!

Dwa dni i dwie noce w pociągu.

O późnym zmroku jesteśmy w Krasnowodsku. Zmęczenie nieprzytomne i obłędna radość. Stanie. Czekanie. Przegniatanie z miejsca w miejsce. Nic to! Wszystko to nic!

W porcie już każą nam władze sowieckie zdać posiadane ruble. Szmat tych nie wolno wywozić z Rosji. Dobrze. Oddamy wam wszystko, co wasze! Z rozkazu Komendantki jestem jedną z wyznaczonych ochotniczek, które zbierają te szpargały. Klęczę na mokrym piasku, a przede mną rośnie i rośnie kupa różnokolorowych świstków. Trzymam je rękami, łokciami, kolanami, czapką, bo wiatr je rozmiata. Nikt tego nie liczy, nikt o to nie dba. Mówi się, że ma to pójść na dożywianie naszych w Rosji. Pełne poły płaszcza i pełną czapkę odnoszę na wspólną kupę.

Ruble te odebrał od Komendantki polski oficer. Nazywał się Berling.

Ładują nas na statek. Niepodobna opisać tłoku. Garstka naszej kobiecej formacji topi się w morzu żołnierskich, męskich oddziałów. Z jakąż radością znosimy dziś ten ścisk! Wszyscy ci ludzie to uratowani cudem! To wypuszczone oto z czyśćca dusze! Obyż było więcej i coraz więcej!

Śpimy na pokładzie, a jest tak ciasno, że mnie między pręty burty wyduszono dosłownie grzbietem nad Kaspijskie Morze!

Płyniemy dwa dni i dwie noce. Morze jest spokojne jak ciężka, seledynowa oliwa. Niebo jest gładkie jak kopuła popielato-błękitnej emalii. O zachodzie dopiero pęka czasem na horyzoncie malinowo-złocistą szczeliną.

A statek śpiewa. Syczy, mrowi się i śpiewa. Śpiewa na całe gardło.

Drugą noc śpię w jakiejś luce, wbita tym razem plecami w pakę po

mydle. Nie pamiętam, czy dostajemy jeść. Pewnie tak.

Aż drugiego dnia pod wieczór – Pahlevi.

Stoimy wszyscy na pokładzie, patrząc, jak ta obiecana, perska ziemia podjeżdża do nas powoli bielą wysokich domów, zielenią czystych skwerów, normalnym ruchem ulicznym.

Mówią nam, że rządy w tym mieście sprawują jeszcze na cztery ręce władze sowieckie i perskie.

Dopiero w połowie tego długiego mostu – granica.

I wolność!

Jest już zupełnie ciemno, tylko niebo jaśnieje jeszcze na zachodzie mroczną, przyziemną łuną.

Ruszamy trójkami, w zwartym szeregu, na most.

Dudnią buty o asfalt równo, spokojnie, poważnie.

To coś o wiele więcej niż zwykły wojskowy marsz. To wspólna, mocna modlitwa – modlitwa, dla której próżno by szukać słów.

Wdeptujemy oto każdym krokiem w ten obcy, perski asfalt ułamek historii Polski. Wiemy, że każdy z tych właśnie kroków nie oddala nas już nareszcie od Kraju, że zaczął się oto bardzo jeszcze okrężny, bardzo uciążliwy i bardzo trudny – powrót.

Nie ma w człowieku żadnej przytomnej myśli. Nie ma w nim prawie świadomości, że jest. W grzmocie wojskowych butów słyszy rytm jakiś poważny, prawieczny. Napływa na niego z biblijnej wprost odległości coś – co gdyby miało siłę skrzepnąć w ciasnotę słów, powiałoby mocą i świętością tamtych, z góry Synaj:

„Jam jest Pan Bóg twój, Którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Nie będziesz miał Bogów cudzych przede Mną”.

WIERSZE Z ŁAGRÓW

OSTATNIA JESIEŃ (1939)

…Noc narasta od wschodu, wielka i kosmata.
Noc zadławi niebawem precz, u krańców świata łun
ostatek, co w drzew się nagiej czerni żarzy.

Usnął park, w chłód przyziemny grążąc się pomału, w
sen, nad którym wieczornie osiadł już na straży wron
okrężnie w gałęzie naniesiony namuł…

Usnął park, jak znużony po wyroku więzień, co
śmierci się na jawie rozważać nie waży, za to snem się
zawczasu z jej bezwładem brata…

…Kiedy żar łun ostatnich między pnie się wgniata,
noc narasta od wschodu…

CELA

Cela – to nie jak w bajce: cisza i błysk wysokiego w
kratach okienka.

Cela ta upał, wrzask i ścisk, brak wody i stęchły pęcak.

Cela – to nie samotność: słoma, dzban i szczura tętenty jedwabne.

Cela to ciągła świadomość, że tam szynel pod drzwiami i bagnet.

Nad zwałem śpiących na podłodze ciał, – by noc nie mogła być sobą – oślepiający bąbel szkła: żarówka tuż nad tobą…

I ta litosna obleśność snów, co cię podziemnym kanałem na parę godzin wypuszcza – by znów lojalnie odstawić nad ranem…

I te uporem zwarte kły i wola, jak pięść ściśnięta, żeby – na przekór tym spod drzwi – przetrzymać i – zapamiętać!

PECZORA

Ssie nas północ powoli z tą rzeką, jak bezkarna tu zbrodnia rozległą, przelewając podstępnie dalekość w

zaumarłe, bezimienne piekło.

Prze ta woda po cichu, bezodnią ślepej siły, zaprzedanej pustce… Pokumany z martwotą i zbrodnią gad niewolny o ścierpniętej łusce…

Tajgą z brzegów opłynięty obu, zapatrzony w północ jak w upiora, pełznie z nami pochyłością globu śmiercią spławne rzeczysko – Peczora.

Uciekajcie… uciekajcie – szemrze – uciekajcie, tak jak ja uciekam…

Znam ja grozę północy – i wiem, że nie zniesiecie jej… – bełkocze rzeka.

Czemu tniecie nurt mój wbrew prądowi? Przecz w martwoty pchacie się bezbrzeża? Nikt wam inny prawdy tu nie powie, tedy woda w pośpiechu ją zwierza…

Tam pustkowie. Cisza tak żelazna, że się nawet czas nią nie przewleka.

Nikt nie pojmie, kto tego nie zaznał, nikt nie zniesie… – mówi pluskiem rzeka.

Od praczasów rwę się z tundry siłą, wód ciężarem ostygłym i mrocznym… Nawet rzece zbyt straszno tu było i uchodzi – uchodzi z północy…

Rzeko Usso! Ty żałosny zbiegu!

Wiem, co tobie tajne do ostatka: bieg Peczora ci przetnie – i śniegom ta przemocy odstawi gamratka!

TAJGA

Tajga… Wilgocią obrzękły mech i krzaki uklękłe w moczarze…

Nie wiem, za jaką winę i grzech Bóg im tu rosnąć każe…

Nie wiem, pod wagą jakich win ci ludzie zmięci
i szarzy znad smugi świeżo kładzionych szyn nie wznoszą ziemistych twarzy…

Tuż obok, wbity w mokry chaszcz, ogieniek rudo pełga…

…Gdzieniegdzie jeszcze wojskowy płaszcz i czapka.

Już bez orzełka.

Dym mija gnaty chudych pni i brzózki podkurza nagie…

…Dźwięczące – mętne – chciwe krwi komary idą od bagien.

Trudno tu poznać: noc czy dzień pełznie przez grząski moczar…

Noc się tu teraz nie wtacza w cień, dniom za to czarno w oczach.

Tajga… Jak w bagnie gnijący trup.

Głusza na wieki wieków.

Otchłań, gdzie zda się – nawet Bóg – zapomniał o człowieku.

URAL

Mroczy się futro tundry, rdzawej jak tasmany.

Nad nią pustki błękitnej bezmiar wniebowzięty, a w głębi on – samotny, odwieczny, nieznany.

Ural – grzmot w żelazisty pomruk zastygnięty.

Obce, wrogie, śmiertelnie obojętne – cudo!

Jaszczur grzbietem zębatym wparty w nieboskłony, ciężar cielska na tundrę położywszy rudą, wschód i zachód rozgarnął w dwie przeciwne strony.

Fiolet wieków różowo lodem w nim się mieni, chłodniej coraz, wynioślej i coraz wieczyściej…

On – który się w tej wrogiej, przeklętej przestrzeni jeden – mojej bezsilnej oparł nienawiści!

WORKUTA

Pomnę cię, wodo obca, martwa, lodowata…

Szłaś – szeroko w dolinie wymulonym jarem, obojętna na wszystko, co w tamtego świata wrogą otchłań zaklęto – na zgubę i karę…

Niskim świtem opary kurzyłaś pobladłe, za włosy je za sobą ciągnąc precz – nieznane…

Wlec się dały bezwolnie, ślepo, na przepadłe, mgły o brzasku zrodzone, a mrące przed ranem.

Nie umiałaś – a może nie było ci warto brać w siebie powtórzenia brzegów, co szły z tobą łóz i gliny szarzyzną, płową i upartą – ty północna, bezbarwna, bezradosna wodo!

I dopiero gdy zachód łunę morelową o Uralu śnieżnego wspierał grozę lutą – urzeczona i płaska z uległego strachu, śmiertelne jego piękno dwoiłaś – Workuto!

WSCHÓD SŁOŃCA ZZA URALU

Widziałam pożar lodów! O żelaznym brzasku spoza twardych, mrożonych pasm odległych szczytów wstawał ogień i w grzbiety skrzepłego błękitu wsiąkał dymną purpurą ponurego blasku.

Nad pustkowiem obronnie zjeżonym martwotą niski szkarłat podważał mrok polarnej nocy, parł na

oślep – potężniał w jednym tchu – by oto rubinowym zarzewiem śniegom bluznąć w oczy!

Lód się żarzy! Lód tli się! Nie ma gór. Są żagwie! Pełną ognia przeręblą – pod krwawym naporem – pęka zamróz łańcuchów – jeden dech – i nagle wszystko staje w płomieniach! Gore! Ural gore!!

URAL O PEŁNI

Księżyc bywał tam mały i twardy jak lód.

Burą tundrę poświaty oprószoną kurzem w noc zieloną jak w wodę powoli zanurzał, póki własnym ciężarem nie poszła na spód…

I wtedy sen zwykł morzyć każdą ziemi piędź lunatyczną miłością na śmierć – nie na życie – sen, który w niskiej rzeki rozlewnym korycie lśnił umarłe jak zimna, księżycowa rtęć.

A w oddali, gdzie zda się, zwietrzał czas i byt, gdzie się w błękit wieczności przestrzeń już roztarła, jawił się – jak oddechu zamarzłego para – jego w srebrnym letargu pogrążony zwid…

GWIAZDA POLARNA

Nieruchoma wśród mroźnych światów osypiska, ty – o karku stężałym samico wychudła!

Lód w pazurach ci brzęczał i para szła z pyska i zamróz ci kosmiczny szronem bielał w kudłach…

Ani czując, że żywą tykam cię źrenicą – z zaspy gwiazd, gdzie ustrzęgłaś w roziskrzonych pyłach – sierścią w przestwór wmarznięta, Polarna Wilczyco, ku wieczności łeb smutny zadarłaś – i wyłaś…

W BYDLĘCYM WAGONIE

Przeciągnęli go potem pod ścianę, do kąta, przyrzucili płaszczem bez guzików, leżał sztywny i stygł…

Kto by sobie w transporcie trupem głowę zaprzątał?

Nikt.

Jeszcze wczoraj wieczorem mówił komuś po cichu, że chory, jeszcze rano dyszał…

Teraz spokój.

W tułaczych nóg zdeptane stępory sztywność śmierci nacieka i cisza.

Nikt już więcej po świecie

wlec ni ganiać nie będzie

tych sznurkami okręconych szmat.

Tak.

W pośmiertnej wygodzie zdobył kąt na podłodze

i wyciągnął się wreszcie na wznak.

Czyjś?

Na pewno… Ktoś czeka, ktoś się modli nocami, żeby wrócił, przetrzymał to wszystko…

Ot i przepadł.

Jak dojdą, gdy nie wiemy my sami, jakie imię miał,

jakie nazwisko?

Znowu jedna śmierć taka…

Kto odbolał, opłakał, kto ją odczuł? Nikt.

Bo któż? Nie my…

…Chyba – one. Te w strachu od stygnących już łachów po wagonie rozłażące się – wszy.

NOC W UZBECKIM KOŁCHOZIE

Noc, jak namiot napięty twardym płótnem szelepie, noc, jak rzeka w zakręty namuliła gwiazd a tu klitka gliniana, ścierpły ziąb w czterech ścianach, przeciąg szparą w polepie namiata w nią piach…

Klitka zwilgła i pusta, świszcz – łupina orzecha – wiatr do niej twarde usta przypina i dmie

albo ją jedwabiście, w rozwleczonym poświście, na wpół śpiącą – morząco nalatuje w śnie…

A za kruchą przegrodą Azja! Obcość i ogrom!

Z gwiazd i piasku narosłe sypkie wydmy mił Azja!
– Wschód cichołapy, co pod wiatr rozdął chrapy,
skośnooki i chwostem podkulony – wilk.

Wiatr dmie nocy w rękawy, w jej szarafan jedwabny,
Zodiak turban wyiskrzą pyłem Mlecznych Dróg a tu
– w tej klitce z gliny, w tym robaku z łupiny, od nocy
przepaścistsza otchłań ciszy – Bóg.

SUPLIKACJE

Od głodu, od pochodów, od deszczu, od wszy, od powietrza na wietrze wskos prutego twarzą, od ognia – kiedy nocą odejść ci go każą, od tajgi, co do kolan moczarem namaka, od urwanej podeszwy, od skradzionego chlebaka

– wybaw nas, Panie!

Od tundry, twarzą w niebo leżącej na wznak, od zmory białych nocy, od komarzych młak, od nagłych a niespodzianych wymarszów ponocnych, od świtów ołowianych

i zmroków popielnych

– Święty Boże, – Święty Mocny, – Święty a Nieśmiertelny

– wybaw nas, Panie!

My grzeszni, my zmęczeni, my obszarom wydani, my zamarłej przestrzeni na żer żywcem rzuceni, my wyjęci spod prawa, z człowieczeństwa wyzuci, my deptani jak trawa, zaganiani i szczuci my nędzarze zawszeni, my, co głód nas ogłupia, my rzesza bezimienna

do dna krzywdą otruta, my brudni, my obdarci, my aż śmieszni chwilami, my pocieszni, my grzeszni Ciebie Boga błagamy, coś jest Wiemy i Żywy, Jeden i Niepodzielny

– Święty Boże, – Święty Mocny, – Święty a Nieśmiertelny zmiłuj się nad nami!

Przez ostatnią, pośmiertną Syna Twego ranę, przez Jego Krew i Mękę amen – amen – amen.

POSŁOWIE AUTORKI DO DRUGIEGO WYDANIA

Książkę moją zaczęłam pisać w roku 1942 w Palestynie, kiedy wszyscy, którzy wyszli z Rosji, wezwani zostali do spisywania swoich wspomnień, ale lwia jej część powstała dopiero w Południowej Afryce, w Johannesburgu, skończyłam ją w Londynie, jeszcze pod bombami, a wyszła z druku w roku 1946 we Włoszech.

W ciągu 23 lat książka miała czas rozejść się, a nakład wyczerpać. Miała nawet czas ukazać się w przekładach: niemieckim, szwedzkim i holenderskim. Dla angielskiego przekładu, zrobionego przez panią Eileen O'Rourke, nie udało mi się dotąd znaleźć wydawcy.

O ponownym jej polskim wydaniu własnym kosztem nie było w moich warunkach mowy. Mogłam tylko próbować zabiegać o pomoc ze strony emigracyjnych czy polonijnych instytucji lub poszczególnych osób.

Sprężyną, która ruszyła z miejsca sprawę drugiego wydania *W domu niewoli*, był zapał i optymizm Władysława Tyszkiewicza, który sam wierzył i starał się mnie przekonać o możliwości wydania książki na zasadzie subskrypcji. Pierwszą też sumą, która wpłynęła jako zalążek przyszłego Funduszu Wydawniczego, było $ 200 ofiarowanych na ten cel przez niego.

Zapał bywa zaraźliwy, stara przyjaźń nie rdzewieje, a nowe mają tę cudowną właściwość, że wykwitają „gdzie ich nie posiał"… I tak też – niespodziewanie – na terenie Chicago grono dawnych i nowych przyjaciół – moich i książki – podjęło samorzutnie inicjatywę drugiego wydania *W domu niewoli* w wyjątkowo niekorzystnej koniunkturze na rynku wydawniczym.

Po roku żmudnych prób i zabiegów, bezinteresownych i sprawie

oddanych, udało się dr. Wacławowi Gawrońskiemu, b. Konsulowi Generalnemu RP w Chicago, doprowadzić do skutku niniejsze drugie wydanie.

Toteż – podobnie jak od pierwszej chwili swego istnienia – książka ta stale coś komuś zawdzięcza, także to, że obecnie mogła ponownie ukazać się w druku, winna jest wyłącznie wysiłkom niewielkiego grona osób, pełnych bezprzykładnej na jej rzecz ofiarności.

I dlatego najgoręcej dziękuję za cały trud i związane z wydaniem książki starania gronu mych przyjaciół, którzy współpracowali w ramach Komitetu Wydawniczego.

Dziękuję też wszystkim łaskawym Subskrybentom, czyli właściwym wydawcom, a osobne podziękowanie składam Donatorom, szczególnie za pierwsze wpłaty, które uiścili wtedy, kiedy możliwość ponownego wydania *W domu niewoli* wydawała się optymistyczną mrzonką.

Wdzięczność moją wyrażam organizatorom, wykonawcom i uczestnikom „Wieczorku przy Mikrofonie", z którego dochód zwiększył Fundusz Wydawniczy.

Poczuwam się także do miłego obowiązku złożenia gorącego podziękowania organizacjom oraz stowarzyszeniom polonijnym za życzliwe ustosunkowanie się do prac Komitetu, jak również prasie polskiej w całym świecie, a specjalnie wydawnictwom polskim w Chicago, za hojną reklamę książki.

Gdyby chodziło o inną moją książkę, korzystanie z „dobroczynności prywatnej" byłoby mi raczej kłopotliwe. Ale ta książka nie jest „moja". Pisała ją historia. Pisała ją krzywda i cierpienie ponad milionowej rzeszy Polaków, rzuconych „na przemiał" w zatajoną głąb rosyjskiej ziemi, skąd część z nas zaledwie wyszła z życiem.

Ja złożyłam jedynie o tym, co widziałam, szczegółowy „raport", zawierający prawdę – prawdę i nic tylko prawdę.

Beata Obertyńska

Londyn, 1968 roku

RAPORT Z DOMU NIEWOLI

Niemal sześćdziesiąt lat od pierwodruku opublikowanego we Włoszech, staraniem wydawnictwa „Czytelnik" ukazuje się wznowienie jednej z najważniejszych polskich książek opisujących los, jaki zgotowała swym ofiarom stalinowska Rosja – *W domu niewoli* Beaty Obertyńskiej. Tak się złożyło, że ten zarazem wstrząsający i zachwycający literacki dokument otrzymujemy w czasie, kiedy historia znów stała się gorąca, a w naszych narodowych dyskusjach wraca temat zmagań o pamięć i zderzenia różnych pamięci. Mimo że dzieło Obertyńskiej i inne wspomnieniowe książki o doli Polaków wyrwanych z ojczystych stron w głąb ZSRR są od lat dostępne, nasza wiedza o tej gehennie wciąż jest mniej obecna i w pewien sposób naznaczona – tak jakby ten fragment polskiej historii, to cierpienie było mniej oczywiste czy istotne od doświadczeń Polaków poddanych opresji nazistowskiej.

Przez długie lata Polski Ludowej ten rozdział naszej historii był tematem tabu, bo nie dawał się pogodzić z celami oficjalnej polityki państwa komunistycznego. Mieliśmy przecież budować braterstwo polsko-radzieckie i nawet po chruszczowowskiej odwilży późnych lat pięćdziesiątych i naszym gomułkowskim Październiku 1956 r. nic się w zasadzie nie zmieniło. Dopiero powstanie podziemnego obiegu informacji przełamało tę blokadę. Moje pokolenie – środowisko demokratycznej opozycji późnych lat siedemdziesiątych i przyszłej „Solidarności" – miało ten poznawczy luksus, że już wtedy mogło czytać publikacje wydawane w kraju poza cenzurą i przemycane z wolnego świata, przede wszystkim z Paryża i Londynu, a wśród nich wspomnienia i opracowania historyczne dotyczące Polaków prześladowanych przez reżim sowiecki. W ten sposób dowiedziałem się o książce Beaty Obertyńskiej. Nazwisko nie było mi

obce. Jako student polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego wiedziałem, że była autorką kilku dobrze przyjętych tomów wierszy inspirowanych poezją matki, znanej poetki Maryli Wolskiej, i liryką Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej; że była aktorką teatrów lwowskich i że po wojnie osiadła w Londynie, gdzie dalej tworzyła i współpracowała z prasą emigracyjną. Ale o *W domu niewoli* nie wiedziałem. I kiedy wreszcie książka do mnie dotarła, zupełnie mnie zaskoczyła i zafascynowała.

Dwa są co najmniej tego powody. Po pierwsze – przedwojenny życiorys Obertyńskiej tak bardzo nie przystawał do jej losu po wybuchu wojny i aresztowaniu przez Rosjan w lipcu 1940 r. we Lwowie. Oto rasowa przedstawicielka artystycznego odłamu polskiej inteligencji, arcywrażliwa i niezbyt życiowo zaradna – „panikarz, gderacz i niedojda", jak się sama autoironicznie przedstawia – z rozwiniętym poczuciem patriotycznym, trafia w tryby „nowego, wspaniałego świata" sowieckiego komunizmu. Trudno o większy kontrast, ale i o większą pokusę, by w geście buntu i rozpaczy wyłączyć wszelkie władze poznawcze, otorbić się w sobie i walczyć o przeżycie, zamykając oczy na straszne widoki i przeżycia – własne i innych nieszczęsnych istot ludzkich poddanych tym samym okrutnym młynom historii.

Tymczasem Obertyńska przyjmuje strategię całkowicie przeciwną: szeroko otwartymi oczami chłonie tę nową dla siebie i przerażającą rzeczywistość, aby po odzyskaniu wolności dać świadectwo temu, co widziała, przeżyła i zrozumiała. Przyjmuje formułę – jak to sama nazwała w posłowiu do drugiego emigracyjnego wydania – „raportu, zawierającego prawdę – prawdę i nic tylko prawdę". I ta formuła pod jej piórem – pod piórem subtelnej lirycznej poetki i baśniopisarki! – wydaje owoc, jakiego nie powstydziłby się niejeden dzisiejszy korespondent z miejsc nawiedzonych szaleństwem wojny i nienawiści, lecz także będących sceną najgłębiej ludzkiej ofiarności i poświęcenia. Te dwie

rzeczy – zdolność do przekroczenia własnego osobistego dramatu w imię „dania świadectwa" oraz frapująca plastyką narracji reportażowo-literacka warstwa książki – czynią z niej dzieło fascynujące.

Przykładem empatii niech będą słowa o jednej ze współwięźniarek, napotkanej w Kijowie Rosjance: „Jedyny okaz dawnej inteligencji, z jakim się w tiurmach zetknęłam. Takiej delikatności, takiej dobroci, takiej słodyczy i takiej uczynności nie spotyka się często nawet w normalnych warunkach. Siwiutka jak gołąb, chuda, drobna, a schludna wyjątkowo, myślała tylko o tym, jak by której z nas usłużyć, co by której odstąpić, którą by nakryć swoim pledem, której by swój koc podścielić. Miałyśmy wrażenie, że chce nam nagrodzić choć w części to, co nas ze strony Rosji spotkało. Bo ona kocha Rosję, ale tę dawną, prawdziwą, którą dobrze pamięta – nie tę dzisiejszą, związaną, zbezczeszczoną, cierpiącą tak samo w niewoli, jak ona sama i my!". Obertyńska nienawidzi Rosji sowieckiej, ten „potwór przestrzeni" ją przeraża, „brud, szarzyzna i tandeta" – odrzuca, ale mimo to nie zaślepia się w nienawiści, nie zastyga w geście odmowy.

Dzięki temu potrafi dostrzec różnice postaw i charakterów u ludzi różnych narodów, ras i religii – od Ukrainek przez Żydówki po Uzbeczki – z którymi styka się na swej drodze przez mękę od Lwowa przez Workutę do kołchozów w sowieckiej Azji, gdzie już tylko „pustka, nuda i nic". A jednocześnie z orwellowską przenikliwością chwyta istotę sowieckiego systemu opresji: „więzienie i łagier nie są najgorsze w Rosji. Daleko gorsza jest »wolność«! Ta jej ustawiczna pogoń za chlebem, ta wieczna niepewność jutra, borykanie się z każdym dniem o kęs jakiego bądź pożywienia, walka z życiem nie o życie – bo to do życia nie jest wcale podobne – ale o to przytomne, powolne, na lata rozłożone konanie". Obertyńska bez żadnych specjalistycznych studiów lepiej wyczuła i opisała mechanikę społeczną stalinizmu niż niejeden z zachodnich sowietologów, nie wspominając już o tuzinach tak zwanych „towarzyszy drogi", którzy

przez długie lata szerzyli na Zachodzie wiarę w ustrój radziecki jako przyszłość postępowej ludzkości. Jest więc coś przygnębiającego w tym, że jej książka – tłumaczona zresztą na kilka języków zachodnich, w tym angielski – wciąż jest tak mało znana, iż nawet w skądinąd bardzo cennej i poniekąd pionierskiej monografii *Gułag* pióra Anne Appelbaum (pierwodruk w r. 2003) brak wzmianki o Obertyńskiej i jej „raporcie".

Nie ma jednak sensu urabiać Obertyńskiej na modłę naszego dzisiejszego podejścia do konfliktów i tarć we współczesnej „globalnej wiosce". Obertyńska nie zna pojęcia „politycznej poprawności", zachęcającego do unikania generalizujących sądów o obcych narodach czy kulturach i do krytycznego dystansu wobec własnej tożsamości narodowej. Pisała *W domu niewoli* jeszcze w latach wojny – w Palestynie (dokąd dotarła z Rosji z pomocniczymi formacjami kobiecymi armii gen. Andersa, powstałej w ZSRR z amnestionowanych jak ona obywateli polskich), na urlopie w Afryce Południowej i w Londynie. Klisza pamięci przechowywała nietknięte obrazy, słowa, doznania i myśli – całe tworzywo „raportu". Jak projektor w sali kinowej pamięć wyrzucała bezbłędnie sekwencję za sekwencją, portret za portretem, dialog za dialogiem, opis za opisem. „Mimo zmęczenia, współczucia i ucisku – jakiś aparat działa w człowieku niezależnie od jego woli. Ocierającą mu się o oczy jawę widzi jasno, zimno, obiektywnie i w miarę jak płynie, utrwala na wrażliwej błonie pamięci. Toteż teraz, pisząc, mam wrażenie, że wywołuję tylko słowami wyraźny, dawno naświetlony film".

Z tego niesamowitego „filmu" – a książka Obertyńskiej aż się prosi o ekranizację – zapamiętam zwłaszcza mistrzowsko nakreśloną galerię postaci – przede wszystkim kobiet-współtowarzyszek niedoli, ale także mężczyzn i dzieci – i dantejski rozdział o „barżach śmierci" – opis ponad dwutygodniowej przeprawy rzeką Amu-darią w barkach sczepionych łańcuchami i nakrytych dziurawym brezentem: „drogę, która miała mi

zostać w pamięci jako moralnie najcięższy odcinek mego czyśćca i która dla wielu jadących tu ludzi miała być niestety – ostatnią".

„Najcięższy odcinek mego czyśćca"… zastanawiające słowa. Czym był „raport" dla jego autorki? Bo czym jest dla nas, kolejnych pokoleń czytelników – to mniej więcej jasne: świadectwem historii i pomnikiem wystawionym ofiarom. Obertyńska tak też sama tłumaczy sens swej książki: „Pisała ją historia. Pisała ją krzywda i cierpienie ponad milionowej rzeszy Polaków, rzuconych »na przemiał« w zatajoną głąb rosyjskiej ziemi, skąd część nas zaledwie wyszła z życiem". Prawda, ale skąd nagle ten „czyściec"? Mówi się czasem, że pisanie takich wspomnień ma moc prywatnego oczyszczenia. Z czego? – tego się nie dowiemy, możemy tylko zgadywać, że z jakichś złudzeń i zaniedbań życiowych. Ten wyraz z religijnego słownika odsyła zapewne do jeszcze głębszej tajemnicy. Obertyńska unika wszelkiej egzaltacji – także dewocyjnej – ale jej książkę przenika duch religijny.

Nie mówi wprost, skąd czerpie siłę do przetrwania, ale domyślamy się, że z wiary, nadziei i miłości – do Boga, piękna i dobroci ludzkiej. Może trochę tak, jak owe prawosławne mniszki z więzienia w Charkowie: „Ich monotonny, woskiem i kadzidłem pachnący śpiew budził nas przed brzaskiem i usypiał o północy. Coś tak dziwnego szło od tego śpiewu, coś tak mocnego w swej bezsile, że nawet czasem – korząc się przed tym Czymś, nieznanym wielu z nich, a wielu ledwie pamiętanym – cela cichła onieśmielona i spoważniała. A śpiew dymił ciężkimi zwałami melodii monotonnej, ponurej i mrocznej, powagą słów zdeptanych w tym nieszczęsnym kraju, modlitwą, którą chyba tak jawnie, tak odważnie, tak uparcie i tak wytrwale jedynie w tiurmie jeszcze te półobłąkane, niedobite monaszki wołać umiały o ratunek do zapomnianego Boga. Przedziwne, dojmujące wrażenie!".

Wiara Obertyńskiej nie jest czułostkowa i konwencjonalna – ma

w sobie coś z surowej, wymagającej, lecz także zdolnej do miłości i przebaczenia religii biblijnej. W końcu tytuł książki – *W domu niewoli* – jest wzięty z Dekalogu. I bez niej – tak samo jak bez zrozumienia jej przywiązania do polskości i patriotyzmu ukształtowanego w latach międzywojennych – przesłanie *W domu niewoli* nie dotrze do nas w pełni.

Adam Szostkiewicz

ANEKS

Aneks jest kopią kserograficzną polskiego tłumaczenia dokumentów dotyczących okoliczności aresztowania i zesłania Beaty Obertyńskiej do obozu pracy w ASRS Komi. Dokumenty te zostały zaczerpnięte z publikacji *Polska i Ukraina w latach trzydziestych – czterdziestych XX wieku. Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych: polskie podziemie 1939-1941*, t. 1: *Lwów – Kołomyja – Stryj – Złoczów*, Warszawa – Kijów 1998, s. 227-261. Dokumenty te były też wykorzystane w pracy magisterskiej Justyny Wierzgoń *Motywy i tematy zesłańcze w twórczości Beaty Obertyńskiej*, napisanej pod kierunkiem prof. dr hab. Adeli Pryszczewskiej-Kozołub, Opole 2000.

syna Nikołaja k.s. [a]21–22[a], BANOWSKIEGO Josifa syna Aleksego k.s. [a]23–25[a], MICHAJLENKO Michaiła syna Andricja k.s. [a]26–33[a], MANCZUK M. k.s. [a]40[a].

Na podstawie powyższego:

OBERTYŃSKA Beata córka Wacława, ur. w 1898 roku w mieście Lwowie, Polka, wykształcenie wyższe, obszarniczka, do aresztowania pracowała w Szkole Średniej Nr 20 jako pom[ocnica] bibliotekarza, zamieszkała w mieście Lwowie przy ulicy Kalecza 24

[zostaje oskarżona] o to, że będąc obszarniczką wyzyskiwała chłopów, swą wrogą działalnością sprzyjała rozbiciu kołchozu imienia Szewczenki we wsi Widniw rejonu kulikowskiego. Zataiła przed organami Władzy Sowieckiej swe pochodzenie społeczne i uzyskała posługując się kłamstwem paszport, to znaczy o przestępstwa przewidziane art. 54-13 KK USRS.

Na podstawie powyższego:

UWAŻAŁBYM:

Sprawę śledczą Nr 39711 z oskarżenia OBERTYŃSKIEJ Beaty córki Wacława z art. 54-13 KK USRS przekazać do Prokuratora w celu skierowania na Kolegium Specjalne NKWD ZSRS.

ST[ARSZY] OFICER OPERACYJNY 2 WYD[ZIAłU] EKO
SIERŻANT BEZPIECZEŃSTWA PAŃST[WOWEGO]
(—) (SZMIDT)

„WYRAŻAM ZGODĘ" NACZELNIK EKO UNKWD LO
STARSZY LEJTENANT BEZPIECZEŃSTWA PAŃST[WOWEGO]
(GINZBURGSKI)

INFORMACJA:

Oskarżona OBERTYŃSKA B.W. znajduje się w areszcie w Więzieniu Nr 1 w mieś[cie] Lwowie.

Dowody rzeczowe: plany lokalizacji majątku OBERTYŃSKIEJ.

Starszy Oficer Operacyjny 2 Wyd[ziału] EKO
Sierżant Bezpieczeństwa Państ[wowego]
(—) (SZMIDT)

Sporządzono:
21/IX-40 roku

„ZATWIERDZAM"
ZASTĘPCA NACZELNIKA UNKWD LO
KAPITAN BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO
(—) (MICHAJŁOW)
„22" IX 1940 r.

WNIOSEK OSKARŻAJĄCY

Do sprawy śledczej Nr 39711 z oskarżenia OBERTYŃSKIEJ Beaty córki Wacława z art. 54-13 KK USRS.

Do lwowskiego Zarządu NKWD wpłynęły informacje, iż w mieście Lwowie przy ulicy Kalecza Nr 24 mieszka obszarniczka OBERTYŃSKA Beata córka Wacława, która zataiła przed organami Władzy Sowieckiej swoje pochodzenie społeczne i uzyskała drogą kłamstwa sowiecki paszport.

Na podstawie wymienionych faktów OBERTYŃSKA została aresztowana i pociągnięta do odpowiedzialności.

W wyniku przeprowadzonych czynności śledczych ustalono, że OBERTYŃSKA do ustanowienia Władzy Sowieckiej na Zachodniej Ukrainie była obszarniczką i miała swój majątek we wsi Widniew rejonu kulikowskiego obwodu lwowskiego. Osobiście użytkowała: 570 hektarów ziemi uprawnej, 95 ha lasu, 50 krów, 50 koni, gorzelnię, młyn parowy, 19 ha zarybionych jezior. W majątku OBERTYŃSKIEJ pracowało zatrudnionych na stałe 30 parobków, a w okresie prac polowych liczba parobków wzrastała do 60 ludzi (k.s. a-8, 10, 12, 31, 32-a).

W śledztwie ustalono również, że wroga działalność OBERTYŃSKIEJ sprzyjała rozbiciu kołchozu we wsi Widniw rejonu kulikowskiego, który powstawał na bazie jej majątku. Potwierdza to fakt, że mieszkającą w mieście Lwowie OBERTYŃSKĄ odwiedzali mieszkańcy wsi Widniw, których działalność antykołchozowa została zdemaskowana (ŁOPATYŃSKI Stefan, RZEPKA Jan) (k.s. a-20, 12, 13, 15, 16, 19, 20-a).

W śledztwie oskarżona OBERTYŃSKA przyznała się, że zataiła swe pochodzenie społeczne i potwierdziła, że jest obszarniczką. Zaprzecza faktom mówiącym o jej antysowieckiej działalności ukierunkowanej na rozbicie kołchozu, przyznała się jednak do tego, że odwiedzali ją niektórzy chłopi ze wsi Widniew (k.s. a-10, 13-a).

Demaskują ją zeznania świadków: WOŁOSZKO M.S. k.s. a-14–17-a, ROMANOWSKIEJ Anastazji córki Wasyla k.s. a-18–20-a. MALICKIEGO Piotra

jechała z Widniewa do mias[ta] Lwowa, a ja nadal pracowałam w jéj folwarku u Josifa Kaspera,

Podpis XX
za niepiśmienną (—)

który był rządcą w jej majątku.

Pytanie: Jak długo rządca Kasper mieszkał w majątku Obertyńskiej i gdzie przebywa obecnie?

Odpowiedź: Do wiosny 1940 r. Kasper mieszkał we w[si] Widniewie, wiosną wyjechał do w[si] Mokrotyn rejonu żołkiewskiego i tam pracował jako agronom.

Pytanie: Czy byliście u obszarniczki Obertyńskiej w mieś[cie] Lwowie, kiedy i ile razy?

Odpowiedź: Nigdy nie byłam u Obertyńskiej we Lwowie i nie wiem gdzie ona mieszka.

Pytanie: Kto był stajennym u obszarniczki Obertyńskiej i gdzie on obecnie mieszka?

Odpowiedź: Stajennym był Radomanski Stach, obecnie jest członkiem kołchozu, mieszka we w[si] Widniewie, pracuje w kołchozie jako starszy stajenny.

Pytanie: Podajcie nazwiska mieszkańców w[si] Widniew, którzy wozili do Lwowa do Obertyńskiej mleko i drwa.

Odpowiedź: Słyszałam o tym, że wozili jej mleko i drwa, ale nie wiem kto. Wiem, ze Radomanski był jej wiernym sługą, więc możliwe że woził jej mleko i drzewo.

Podpis XX
za niepiśmienną (—)

Pytanie: Kto jeszcze z pracowników obszarniczki Obertyńskiej woził mleko do Lwowa?

Odpowiedź: W jej majątku pracował również parobek ze w[si] Widniew, Rzepka Iwan, który jej tzn. obszarniczce woził mleko i inną żywność.

Pytanie: Skąd wam wiadomo, że Rzepka Iwan woził mleko i kiedy to było?

Odpowiedź: Wiem to osobiście od Rzepki I., ponieważ zimą 1940 r. kilka razy zachodził do nas i mówił, że jedzie do Lwowa i zawiezie Obertyńskiej mleko.

Pytanie: Co wam wiadomo o obszarniczce Obertyńskiej?

Odpowiedź: Wiem tylko, że mieszka we Lwowie, ale nie wiem gdzie i co robi.

Protokół sporządzono na podstawie moich słów prawidłowo i został mi przeczytany.

XX
za niepiśmienną (—)

Przesłuchał: St[arszy] oficer operacyjny
Sierżant Bez[pieczeństwa] Pań[stwowego]
(—) Razumow

10. **Pochodzenie społeczne (rodzaj zajęcia i status majątkowy)**
    a) **przed rewolucją** rodzice do 1917 r. pracowali jako najemni, bezrolni
    b) **po rewolucji** bezrolni, pracowali jako najemni
11. **Skład rodziny** Mąż Josif, pracuje w gorzelni jako robotnik niewykwalifikowany.
    (bliscy krewni i ich imiona, nazwiska, adresy i rodzaj zajęcia)

XX
za niepiśmienną (—)

12. **Wykształcenie (ogólne, zawodowe)** niepiśmienna
13. **Przynależność partyjna (w przeszłości i obecnie)** b/p.
14. **Jakim represjom podlegał, sąd, areszt i inne (kiedy, przez jakie organa i za co)**
    a) **przed rewolucją** nie karana
    b) **po rewolucji** nie karana.
15. **Jakie posiada odznaczenia (ordery, listy pochwalne, broń i in.) za władzy sowieckiej** nie posiada
16. **Kategoria wojskowa rezerwy i gdzie jest zewidencjonowany** nie jest w ewidencji
17. **Służba w Armii Czerwonej (w czerwonej gwardii, w oddziałach partyzanckich) kiedy i w jakim charakterze** nie służyła
18. **Służba w białych i w in. armiach k-r (kiedy i w jakim charakterze)** nie służyła
19. **Udział w bandach, organizacjach k-r i powstaniach** nie brała udziału
20. **Informacje o działalności społeczno-politycznej** nie ma

UWAGA: Każda strona protokołu musi być poświadczona podpisem przesłuchiwanego, a ostatnia również przesłuchującego.

XX
za niepiśmienną (—)

[a-a]Świadek został uprzedzony o odpowiedzialności przewidzianej art. 89 KK USRS.[a-a]

Zeznania oskarżonego (świadka) Romanowska Anastazja córka Iwana
„20" lipca 1940 r.

Pytanie: Czy wy, obywatelka Romanowska Anastazja, dawno mieszkacie we w[si] Widniewie?

Odpowiedź: Do sierpnia 1939 roku mieszkałam we w[si] Krechowie rejonu żołkiewskiego, w sierpniu wyszłam za mąż za Romanowskiego Josifa i zamieszkałam we w[si] Widniewie rejonu kulikowskiego obwodu lwowskiego.

Pytanie: Jakie mieliście gospodarstwo do nadejścia Armii Czerwonej i czym zajmowaliście się z mężem?

Odpowiedź: Zarówno mój mąż Romanowski Josif jak i ja niczego nie mieliśmy w swoim gospodarstwie, pracowaliśmy u obszarniczki Obertyńskiej i mieszkaliśmy w jej w folwarku.

Pytanie: Do kiedy obszarniczka Obertyńska mieszkała we w[si] Widniewie i jak długo pracowaliście u niej wraz z mężem.

Odpowiedź: Pracowaliśmy z mężem u obszarniczki Obertyńskiej do przyjścia Armii Czerwonej, po nadejściu Armii Czerwonej Obertyńska wy-

Fiodor i jej była służąca, której nazwiska nie znam. Nie pamiętam adresu, wiem że to ul. Kalecza.

(—) Mychajło Wołoszko

Pytanie: Co wam powiedział Radomanski i dokąd z nim pojechaliście po tym, jak dowiedzieliście się kto do niej przyjechał?

Odpowiedź: Po tym jak powiedziałem mu że sanie, które stoją pod domem obszarniczki wskazują iż byli u niej z folwarku i że przyjechał nimi Romanowski Fiodor, pojechaliśmy do domu do w[si] Widniew.

Pytanie: Jak długo Radomanski był stajennym i jaki miał stosunek do tej pracy?

Odpowiedź: Radomanski Stach pracował ostatnio jako starszy stajenny, to znaczy był stajennym przez około jeden miesiąc.

Pytanie: Opowiedzcie o znanych wam faktach dotyczących jego agitacji antysowieckiej skierowanej przeciwko kołchozom i na czym to polegało?

Odpowiedź: Nie znam faktów dotyczących antysowieckiej działalności Radomanskiego.

Pytanie: Kto jeszcze może potwierdzić, że Radomanski woził mleko do Lwowa obszarniczce Obertyńskiej?

Odpowiedź: Nie mogę powiedzieć kto o tym wie, ponieważ sam nie wiem.

Protokół sporządzono na podstawie moich słów prawidłowo i został mi odczytany, co poświadczam podpisem (—) Wołoszko Mychajło

---

Forma Nr 24

USRS
LUDOWY KOMISARIAT SPRAW WEWNĘTRZNYCH
ZARZĄD BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA

Do sprawy Nr _____

1940 r. lipca **miesiąca** 20 **dnia. Ja,** St[arszy] oficer operacyjny kulikowskiego [...] Razumow **przesłuchałem w charakterze**
(funkcja, nazwa organizacji, nazwisko)

1. **Nazwisko** Romanowska
2. **Imię i imię ojca** Anastazja c. Wasyla
3. **Data urodzenia** ur. 1918 r.
4. **Miejsce urodzenia** w[ieś] Krechów rejon żołkiewski obwodu lwow[skiego]
5. **Miejsce zamieszkania** w[ieś] Widniew rejon kulikowski obw[ód] lwow[ski]
6. **Narodowość i obywatelstwo (poddaństwo)** Ukrainka
7. **Paszport**
(kiedy i przez jaki organ wydany, numer, kategoria, miejsce wystawienia)
8. **Rodzaj zajęcia** członek kolchozu im. Szewczenki, w[ieś] Widniew
(miejsce pracy i funkcja)
9. **Pochodzenie społeczne** z chłopów biedniaków
(rodzaj zajęcia rodziców i ich status majątkowy)

łe ziemi i gospodarstwa przez Armię Czerwoną otrzymał jednego konia, wóz, krowę, uprząż końską i 6 morgów ziemi. Do marca br. Radomanski pracował na swoim gospodarstwie, które otrzymał od Władzy Sowieckiej w dniu nadejścia Armii Czer[wonej].

Podpis (—) Mychajło Wołoszko

Pytanie: Jak Radomanski Stach reagował na utworzenie kołchozu w waszej wsi i kiedy do niego wstąpił?

Odpowiedź: Z początku, gdy organizowano kołchoz, Radomanski kategorycznie nie chciał do niego wstępować i mówił, że chce być gospodarzem indywidualnym, ale po pewnym czasie Radomanski Stach wstąpił do kołchozu, gdzie początkowo był woźnicą, a ostatnio stajennym.

Pytanie: Radomanski Stach był członkiem rady wiejskiej, dlaczego go zwolniono?

Odpowiedź: Radomanski Stach był członkiem komitetu przez jeden miesiąc, ale gdy powstała u nas rada wiejska został zwolniony, ponieważ nie radził sobie.

Pytanie: Wiadomo nam, że Radomanski stojąc na czele komitetu rzekomo woził mleko do m. Lwowa obszarniczce, u której pracował za czasów Polski. Co możecie powiedzieć na ten temat?

Odpowiedź: Nie mogę powiedzieć na pewno, że Radomanski Stach woził mleko do Lwowa obszarniczce Obertyńskiej, u której pracował za czasów Polski, ponieważ osobiście tego nie widziałem, jedynie słyszałem jak mówili o tym

Podpis (—) Wołoszko Mychajło

we wsi Widniewie niektórzy chłopi, ich nazwisk nie mogę teraz podać, bo nie pamiętam. Wiem, że rzeczywiście przez pewien czas stał na czele komitetu, ale nie wiem, czy woził wówczas mleko obszarniczce Obertyńskiej.

Pytanie: Wiadomo nam, że wy pewnego razu razem z Radomanskim jeździliście z nawozem do Lwowa, żeby go tam sprzedać i byliście u obszarniczki Obertyńskiej. Powiedzcie, po co u niej byliście i [jaki jest] jej adres?

Odpowiedź: Jeździłem z Radomanskim do Lwowa, żeby sprzedać nawóz, kiedy to było nie pamiętam teraz. Pamiętam, że było to wtedy, gdy organizowały się rady wiejskie, ale nie byliśmy u obszarniczki Obertyńskiej. Radomanski powiedział mi tylko gdzie ona mieszka i prosił dowiedzieć się, czy jest u niej ktoś z przyjezdnych czy nie.

Pytanie: A więc dowiedzieliście się jej adresu i sprawdziliście kto tego dnia przyjechał do niej ze w[si] Widniewa?

Odpowiedź: Poszedłem zobaczyć kto tam przyjechał, ale tylko domyśliłem się z wyglądu sań, że w mieszkaniu obszarniczki byli Romanowski

3. **Data urodzenia** 1902 rok
4. **Miejsce urodzenia** wieś Widniew rejonu kulikowskiego ob[wodu] lwow[skiego]
5. **Miejsce zamieszkania** – " –
6. **Narodowość i obywatelstwo (poddaństwo)** Ukrainiec
7. **Paszport**
   (kiedy i przez jaki organ wydany, numer, kategoria i miejsce wystawienia)
8. **Rodzaj zajęcia** pracuje w kołchozie im. Szewczenki jako kowal.
   (miejsce pracy i funkcja)
9. **Pochodzenie społeczne** Ojciec i matka do 1914 r. zajmowali się rolnictwem, a ojciec
   (rodzaj zajęcia rodziców i ich status majątkowy)
   również był kowalem. Ojciec zmarł w 1915 r.
10. **Pochodzenie społeczne (rodzaj zajęcia i status majątkowy)**
    a) **przed rewolucją** zajmowali się rolnictwem
    b) **po rewolucji** matka zajmowała się gospodarstwem w domu
11. **Skład rodziny** Matka Sofia, żona Kateryna Kuszpit, syn Władysław, syn Stefan,
    (bliscy krewni i ich imiona, nazwiska, adresy i rodzaj zajęcia)
    syn Roman.

(—) Wołoszko Mychajło

12. **Wykształcenie (ogólne, zawodowe)** dwie klasy
13. **Przynależność partyjna (w przeszłości i obecnie)** b.p.
14. **Jakim represjom podlegał, sąd, areszt i inne (kiedy, przez jakie organa i za co)**
    a) **przed rewolucją** nie karany
    b) **po rewolucji** nie karany
15. **Jakie posiada odznaczenia (ordery, listy pochwalne, broń i in.) za władzy sowieckiej** nie posiada
16. **Kategoria wojskowa rezerwy i gdzie jest zewidencjonowany** Skreślony z ewidencji z powodu wzroku
17. **Służba w Armii Czerwonej (w czerwonej gwardii, w oddziałach partyzanckich) kiedy i w jakim charakterze** nie ma
18. **Służba w białych i w in. armiach k-r (kiedy, w jakim charakterze)** nie służył
19. **Udział w bandach, organizacjach k-r i powstaniach** nie uczestniczył
20. **Informacje o działalności społeczno-politycznej** nie ma

UWAGA: **Każda strona protokołu musi być poświadczona podpisem przesłuchiwanego, a ostatnia również przesłuchującego.**

(—) Wołoszko Mychajło

Zeznania [f]**oskarżonego**[f] **(świadka)** Wołoszki Mychajła Semenowicza

„20" lipca 1940 r.

Pytanie: Obywatelu Wołoszko, opowiedzcie jak dalece znacie chłopa z waszej wsi Widniew, Radomanskiego Stacha syna Piotra?

Odpowiedź: Radomanskiego Stacha znam od dzieciństwa, jako że pochodzi z tej samej wsi. Za czasów Polski jego rodzice pracowali jako najemni u obszarnika Obertyńskiego, sam Radomanski Stach do przyjścia Ar[mii] Czer[wonej] również pracował u obszarnika Obertyńskiego we w[si] Widniew, pracował przy koniach obszarnika i najczęściej woził mleko do m. Lwowa. Z chwilą przyjścia Armii Czer[wonej], kiedy obszarniczka Obertyńska była zmuszona zostawić swoje gospodarstwo, Radomanski Stach przy podzia-

Pytanie: Śledztwo dysponuje danymi, z których wynika, że swą antysowiecką działalnością przyczyniłyście się do rozbicia kołchozu we wsi Widijew rejonu kulikowskiego, gdzie poprzednio był wasz majątek. Czy potwierdzacie to?

(—) Beata Obertyńska

Odpowiedź: Kategorycznie temu zaprzeczam, ponieważ nigdy nie zajmowałam się żadną działalnością antysowiecką.

Pytanie: To nieprawda. Ukrywacie przed śledztwem swe kontakty z osobami, przy pomocy których prowadziłyście działalność antykołchozową. Nalegamy, abyście złożyła prawdziwe zeznania co do istoty sprawy.

Odpowiedź: Niczego przed śledztwem nie ukrywam, mówię jedynie prawdę, że nigdy nie zajmowałam się działalnością antykołchozową. O żadnych osobach nic nie wiem.

Pytanie: A czy znacie Łopatyńskiego Stefana i Rzepkę Jana?

Odpowiedź: Tak, znam. Wymienione osoby pracowały u mnie w majątku.

Pytanie: Czy Łopatyński i Rzepka odwiedzili was?

Podpis (—) Beata Obertyńska

Odpowiedź: Osobiście nie odwiedzali mnie Łopatyński i Rzepka, ale gdy przyjechali oni w swoich sprawach ze wsi Widiw do m. Lwowa, wstąpili do mnie. Rozmawiałam z nimi, interesowałam się jak żyją i co w ogóle słychać we wsi. Innych rozmów z nimi nie prowadziłam.

Protokół sporządzono prawidłowo na podstawie moich słów i został mi odczytany, co poświadczam podpisem.

(—) Beata Obertyńska

Przesłuchał: St[arszy] Oficer Operacyjny II Wydziału EKO
Sierżant Bezp[ieczeństwa] Państ[wowego]
(—) (Szmidt)

Przesłuchanie zakończono o godzinie 24^{00}.

Forma Nr 24

USRS
LUDOWY KOMISARIAT SPRAW WEWNĘTRZNYCH
ZARZĄD BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA
Do sprawy Nr _____

1940 r. lipca **miesiąca** 20 **dnia. Ja,** St[arszy] oficer operacyjny kulikowskiego RO NKWD Razumow **przesłuchałem w charakterze** świadka
(funkcja, nazwa organizacji, nazwisko)

1. **Nazwisko** Wołoszko
2. **Imię i imię ojca** Mychajło s. Semena

Zeznania oskarżonego (świadka) Obertyńskiej Beaty córki Wacława
„3" sierpnia **1940 r.**

Pytanie: Wnosi się przeciwko wam oskarżenie z art. 54-13 KK USRS o to, że byłyście obszarniczką, wyzyskiwałyście chłopów i ukrywałyście przed organami Władzy Sowieckiej swoje pochodzenie społeczne. Czy potwierdzacie to oskarżenie?

Odpowiedź: Tak, przyznaję, że byłam obszarniczką i że w naszym majątku rzeczywiście pracowali parobcy. Swoje pochodzenie społeczne ukrywałam do dnia aresztowania. Potwierdzam to wszystko.

Pytanie: Gdzie przebywają wasi krewni i bliscy?

Odpowiedź: Ojciec zmarł w 1922 roku, a matka w 1926 roku. Do wybuchu wojny w m. Warszawie mieszkał mój brat, Wolski Kazimierz, z zawodu lekarz. Nie wiem czy nadal tam żyje.

Podpis (—) Beata Obertyńska

W m. Zakopane (Niemcy) mieszkała moja siostra, Pawlikowska Aniela, która była żoną obszarnika Pawlikowskiego Michała.
Nie mam więcej bliskich krewnych.

Pytanie: Do jakich partii politycznych należałyście?

Odpowiedź: Do żadnej partii politycznej, które istniały w byłej Polsce nie należałam.

Protokół sporządzono prawidłowo na podstawie moich słów i został mi odczytany, co poświadczam podpisem.

(—) Beata Obertyńska

Przesłuchał: St[arszy] Oficer Operacyjny II Wydziału EKO
Sierżant Bezpiecz[eństwa] Państ[wowego]
(—) (Szmidt)

Zeznania oskarżonego (świadka) Obertyńskiej Beaty córki Wacława
„29" sierpnia **1940 r.**

Przesłuchanie rozpoczęto o godzinie 21.

Pytanie: Czy potwierdzacie, że ukrywałyście swoje pochodzenie społeczne przed organami Władzy Sowieckiej?

Odpowiedź: Tak, przyznałam się, że od momentu ustanowienia Władzy Sowieckiej do dnia mego aresztowania ukrywałam, że jestem obszarniczką.

Pytanie: Jak możecie to wytłumaczyć?

Odpowiedź: Mogę to wytłumaczyć tym, że jestem z zawodu aktorką, ukończyłam szkołę aktorską w m. Warszawie i pracowałam w teatrze w m. Lwowie do 1936 roku. Rozwiodłam się z mężem i dlatego postanowiłam nie uważać siebie za obszarniczkę.

Zeznania oskarżonego (świadka) Obertyńskiej

„22" lipca **1940 r.**

Pytanie: Opowiedzcie, czym zajmowaliście się do 1 września 1939 roku?

Odpowiedź: Do 1918 r. mieszkałam z rodzicami i chodziłam do szkoły. W 1918 roku wyszłam za mąż za Józefa Obertyńskiego, który posiadał majątek w rejonie kulikowskim, we wsi Odniw[2] obwodu lwowskiego liczący około 700–800 morgów razem z lasem, pastwiskiem i ziemią uprawną. Całe to gospodarstwo było uprawiane przez najemną siłę roboczą. Żyliśmy z dochodu, który dawał majątek. Rodzice mego męża również mieli majątek w rejonie kraśniańskim koło w[si] Krasne, mniej więcej takiej samej wielkości. W 1927 roku rozwiodłam się z mężem, po czym wkrótce zmarł i przypadło mi tylko 180 hektarów ziemi uprawnej, pozostała ziemia znalazła się w dyspozycji matki mego męża.

Pytanie: Kim są wasi krewni i gdzie obecnie przebywają?

Odpowiedź: Miałam trzech braci i jedną siostrę. Starszy brat, Ludwik Wolski, mieszkał w m. Złoczowie, miał we wsi Pieriepielczyki[3] swój majątek i jednocześnie pracował w złoczowskim starostwie, zmarł w 1919 roku[4]. Drugi brat Juliusz Wolski uczył się na agronoma i zmarł w 1926 roku. Trzeci brat Kazimierz

Podpis (—) Beata Obertyńska

Wolski obecnie mieszka w m. Warszawie, pracuje jako lekarz chirurg. Siostra, Aniela Pawlikowska, mieszka w mieś[cie] Zakopane, województwa krakowskiego, zajmuje się malarstwem. Brat Kazimierz i siostra Aniela obecnie znajdują się na terenach zajętych przez Niemcy.

Pytanie: Kto z chłopów odwiedzał was po nacjonalizacji waszego majątku?

Odpowiedź: W końcu 1939 roku w grudniu przyjeżdżali do m. Lwowa byli parobkowie z naszego majątku, Łopatyński Stefan i Rzepka, nie znam jego imienia, którzy pojawili się na 10–15 minut, więc nie miałam możliwości z nimi porozmawiać.

Pytanie: Jakie jeszcze mienie macie oprócz majątku?

Odpowiedź: Obecnie mam w m. Lwowie przy ul. Kalecza 24 murowany, dwupiętrowy dom, który składa się z 9 pokoi i kuchni oraz jeszcze jeden dom w miasteczku Skole powiatu stryjskiego, jednopiętrowy, drewniany składający się z pięciu pokoi.
Więcej nic nie mam do dodania.

Protokół został mi przeczytany na głos i jest dla mnie zrozumiały.

(—) Beata Obertyńska

Przesłuchał: Nacz[elnik] 2 Wydziału EKO
Lejtenant Bezpiecz[eństwa] Państ[wowego] (—) Spiridonow

Forma Nr 24

USRS
LUDOWY KOMISARIAT SPRAW WEWNĘTRZNYCH
ZARZĄD BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA

Do sprawy Nr _____

1940 r. lipca **miesiąca** 22 **dnia. Ja,** Nacz[elnik] 2 Wydziału EKO UNKWD
(funkcja, nazwa organizacji, nazwisko)

Spiridonow **przesłuchałem w charakterze**

1. **Nazwisko** Obertyńska
2. **Imię i imię ojca** Beata c. Wacława
3. **Data urodzenia** 1898 rok
4. **Miejsce urodzenia** m. Lwów
5. **Miejsce zamieszkania** m. Lwów, Kalecza 24 m. 1
6. **Narodowość i obywatelstwo (poddaństwo)** Polka, obywatelstwo ZSRS
7. **Paszport**
(kiedy i przez jaki organ wydany, numer, kategoria i miejsce wystawienia)
8. **Rodzaj zajęcia** p[omocnica] bibliotekarza Szkoły Nr 20
(miejsce pracy i funkcja)
9. **Pochodzenie społeczne** ojciec inżynier, posiadał własny dom w m. Lwowie, Kalecza 24
(rodzaj zajęcia rodziców i ich status majątkowy)
10. **Pochodzenie społeczne (rodzaj zajęcia i status majątkowy)**
    a) **przed rewolucją** aktorka i literatka
    b) **po rewolucji** urzędniczka
11. **Skład rodziny** siostra Aniela Pawlikowska, lat 49, mieszka w m. Zakopane
(bliscy krewni i ich imiona, nazwiska, adresy i rodzaj zajęcia)
województwa krakowskiego. Brat Kazimierz Wolski, lat 44, mieszka w m. Warszawa — na terytorium Niemiec.

(—) Beata Obertyńska

12. **Wykształcenie (ogólne, zawodowe)** Średnie i szkoła artystyczna.
13. **Przynależność partyjna (w przeszłości i obecnie)** b/p.
14. **Jakim represjom podlegał, sąd, areszt i inne (kiedy, przez jakie organa i za co)**
    a) **przed rewolucją** Nie
    b) **po rewolucji** Nie
15. **Jakie posiada odznaczenia (ordery, listy pochwalne, broń i in.) za władzy sowieckiej** Nie
16. **Kategoria wojskowa rezerwy i gdzie jest zewidencjonowany** Nie podlega obowiązkowi służby wojskowej
17. **Służba w Armii Czerwonej (w czerwonej gwardii, w oddziałach partyzanckich) kiedy i w jakim charakterze** Nie
18. **Służba w białych i w in. armiach k-r (kiedy, w jakim charakterze)** Nie
19. **Udział w bandach, organizacjach k-r i powstaniach** Nie
20. **Informacje o działalności społeczno-politycznej**

UWAGA: **Każda strona protokołu musi być poświadczona podpisem przesłuchiwanego, a ostatnia również przesłuchującego.**

(—) Beata Obertyńska

20. **Czy przyłączał się do antysowieckich partii i organizacji (mienszewicy, s[ocjaliści]-r[ewolucjóniści], anarchiści, trockiści, prawicowcy, nacjonaliści itd.) gdzie i kiedy** Nie
21. **Skład rodziny (przy każdym podać nazwisko, imię, imię ojca, wiek, miejsce pracy i funkcję, adres)**
ojciec zmarł w 1922 roku
matka zmarła w 1930 roku
mąż zmarł w 1937 roku
żona
dzieci nie ma
bracia (siostry) Brat Kazimierz Wolski syn Wacława, ur. w 1896 r., lekarz – chirurg, m. Warszawa, Niemcy, siostra Aniela Pawlikowska córka Wacława, ur. 1901 r., malarka, m. Zakopane województwo krakowskie, Niemcy

Własnoręczny podpis aresztowanego (—) Beata Obertyńska

1. **Zewnętrzne znaki szczególne aresztowanego** wzrost średni
2. **Przez kogo i kiedy został aresztowany lub skąd przybył (numer nakazu)** aresztowana przez 2 Wydział EKO UNKWD obwodu lwowskiego 23/VII-40 r.
3. **Został wysłany do lwowskiego Więzienia** Nr 1
4. **Inne uwagi**

Funkcja, stanowisko i nazwisko pracownika, który przesłuchał aresztowanego i wypełnił ankietę Nacz[elnik] 2 Wydziału EKO UNKWD Lejtenant Bezpieczeństwa Państ[wowego] Spiridonow

Podpis (—) Spiridonow

„24" lipca **1940 r.**

1. **Pochodzenie społeczne**
2. **Gałąź gospodarki, aparatu państwowego, kultury**
3. **Zarząd oddział**
4. **Polityczne zabarwienie**
5. **Rodzaj przestępstwa**

Nazwisko i podpis pracownika
1 Oddziału Specjalnego

„ " **19 r.**

NKWD USRS

ANKIETA ARESZTOWANEGO

1. **Nazwisko** Obertyńska
2. **Imię i imię ojca** Beata c. Wacława
3. **Rok i miejsce urodzenia Urodził się** w 1898 **roku** w m. Lwowie
   obwód (kraj) rejon wieś miasto
4. **Stałe miejsce zamieszkania (adres)** m. Lwów, Kalecza 24
5. **Zawód i specjalizacja** urzędniczka
6. **Ostatnie miejsce pracy i funkcja lub rodzaj wykonywanej pracy**
   a) **urząd** Szkoła Średnia Nr 20
   przedsiębiorstwo
   b) **funkcja** pom[ocnica] bibliotekarza
   c) **stanowisko**
   d) **jakiemu** *Narkomatowi* **lub innemu kierowniczemu organowi podlega urząd (przedsiębiorstwo)** *Narkompros*
   e) **jeżeli nie pracuje – kiedy został zwolniony „ ” 19 r.**
7. **Przynależność partyjna**
   a) **w przeszłości** b/p
   b) **obecnie** b/p **legitymacja Nr**
8. **Narodowość** Polka
9. **Obywatelstwo (w przypadku braku paszportu podać rodzaj dokumentu, który poświadcza obywatelstwo)**
   a) **obyw[atel] (podd[any])** ZSRS
   b) **paszport Nr przez kogo wydany**
10. **Wykształcenie (podkreślić i podać co ukończył) wyższe, „średnie”, podstawowe**
11. **Do jakiej grupy społecznej zalicza siebie (podkreślić) robotników, urzędników, kołchoźników, pracujących indywidualnie, rzemieślników, wolnych zawodów, duchownych, pozostających na utrzymaniu, inne.** obszarniczka
12. **Pochodzenie społeczne (kim byli ojciec i matka)** urzędnicy
13. **Status majątkowy i czym zajmował się do 1929 roku**
    a) **status majątkowy** obszarniczka
    b) **rodzaj zajęcia**
14. **To samo do 1917 roku**
    a) **status majątkowy** na utrzymaniu rodziców
    b) **zajęcie**
15. **Służba w armii carskiej i stopień** Nie służyła
16. **Służba w białej armii (jakiej) i stopień** Nie służyła
17. **Kategoria ewidencji wojskowej (rezerwy)** Nie podlega obowiązkowi służby wojskowej
18. **Udział w powstaniach k-r i bandach (kiedy i gdzie)** Nie
19. **Karalność (czy był sądzony lub w śledztwie, gdzie, kiedy, za co, wyrok)** Nie karana

Nr 6

23 VII–18 XII 1940 Lwów

Sprawa polskiej poetki i pisarki Beaty Obertyńskiej zesłanej do poprawczego obozu pracy w ASRS Komi

PA SBU (Lwów), sygn. arch. P-13620

„ZATWIERDZAM"
Zas[tępca] **Nacz[elnika] UNKWD**
obwodu lwowskiego
Kapitan Bezpieczeństwa Państ[wowego]
(—) (Krimjan)
„23" VII **1940 r.**

Areszt Obertyńskiej
sankcjonuję
Prokurator obw[odowy] (—)
„23" VII **1940 r.**

POSTANOWIENIE
(o aresztowaniu)
m. Lwów „ " lipca 1940 r.

Ja, Śledczy Jednostki Śledczej UNKWD obwodu lwowskiego Lejtenant Bezpieczeństwa Państwowego Spiridonow **po rozpatrzeniu w dniu dzisiejszym posiadanych materiałów dotyczących** Obertyńskiej Beaty córki Wacława[1], ur. w 1898 r. w m. Lwowie, pochodzenie społeczne obszarniczka, narodowość Polka, zamieszkałej w m. Lwowie przy ul. Kalecza 24 m. 1.

STWIERDZIŁEM:

że Obertyńska B.W., obszarniczka, posiadała duży majątek w rejonie kulikowskim obwodu lwowskiego oraz własne kamienice w m.m. Lwowie i Stryju, Obertyńska będąc obszarniczką znęcała się nad chłopami stosując wobec nich przemoc fizyczną i nieludzi wyzysk.

Na podstawie powyższego:

POSTANOWIŁEM:

Ob[ywate]ſ-la-ſlkę Obertyńską Beatę córkę Wacława **aresztować, w jego mieszkaniu przeprowadzić rewizję.**

ŚLEDCZY:
Przyłączam się: ST[ARSZY] ŚLEDCZY:
„Wyrażam zgodę": NACZELNIK
JEDNOSTKI ŚLED[CZEJ] UNKWD:

Nacz[elnik] 2 Wydziału EKO UNKWD
Lejtenant Bezpieczeństwa Państ[wowego]
(—) (Spiridonow)

Wyrażam zgodę: Nacz[elnik] EKO UNKWD LO
St[arszy] Lejtenant Bezpieczeństwa Państ[wowego]
(—) (Ginzburgski)

USRS
LUDOWY KOMISARIAT SPRAW WEWNĘTRZNYCH
ZARZĄD BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO

NAKAZ Nr _____

„23" lipca **1940 r.**

Wydany przez Lwowski **Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego NKWD USRS tow. _____ na dokonanie** rewizji i aresztowania ob[ywatel]ki Obertyńskiej Beaty c. Wacława
Adres m. Lwów, Kalecza 24 m 1.

Zast[ępca] **Naczelnik[a] NKWD (—)**
_____ obwodu

ZAŚWIADCZENIE _____

_____

„ZATWIERDZAM"
Zas[tępca] **Nacz[elnika] UNKWD**
obwodu lwowskiego
Kapitan Bezpieczeństwa Państ[wowego]
(—) (MICHAJŁOW)
„23" lipca **1940 r.**

Forma **Nr 2**

Areszt sankcjonuję
(—)
„23" VII **1940 r.**

POSTANOWIENIE
(o zastosowaniu środka prewencyjnego)

Mias[to] Lwów „23" lipca **1940 r. Ja,** Naczelnik 2 Wydziału EKO
(oddział. organ)
UNKWD obwodu lwowskiego Lejtenant Bezpieczeństwa Państ[wowego]
(stopień i nazwisko)
SPIRIDONOW **rozpatrzywszy materiały, które wpłynęły do UNKWD o przestępczej działalności:**
Nazwisko OBERTYŃSKA
Imię i imię ojca Beata c. Wacława
Rok urodzenia 1898 **miejsce urodzenia** m. Lwów
Zawód i specjalizacja obszarniczka
Miejsce pracy i funkcja pom[ocnica] bibliotekarza w Szkole Nr 20
Przynależność part[yjna] b/p
Wykształcenie średnie **nar[odowość]** Polka **obywatelstwo** ZSRS
Stan rodzinny wdowa
Adres m. Lwów, ul. Kalecza Nr 24 m. 1

STWIERDZIŁEM: że OBERTYŃSKA (nazwisko) **jest podejrzana o przestępstwo przewidziane** 54 p. 13 **art. KK USRS i biorąc pod uwagę, że** OBERTYŃSKA (nazwisko) **pozostając na wolności może** uchylić się od śledztwa i sądu, **kierując się art. art. 143, 145 i 156 KPK USRS**

POSTANOWIŁEM:

Za środek prewencyjny zabezpieczający przed uchyleniem się od śledztwa i sądu OBERTYŃSKIEJ Beaty córki Wacława **wybrać areszt, o czym powiadomić** (nazwisko, imię i imię ojca) **aresztowaną za pokwitowaniem w niniejszym postanowieniu.**

Zgodnie z art. 144 KPK USRS kopię postanowienia skierować do Prokuratora oraz przekazać naczelnikowi więzienia w celu załączenia do więziennych akt personalnych.

Śledczy Nacz[elnik] 2 Wyd[ziału] EKO
Lejtenant Bezpieczeństwa Państwowego
(—) (SPIRIDONOW)

„WYRAŻAM ZGODĘ" Naczelnik EKO UNKWD LO
Starszy Lejtenant Bezpieczeństwa Państ[wowego]
(—) (GINZBURGSKI)

Niniejsze postanowienie zostało mi przedstawione „ " 194 r.
(podpis)

Protokół rewizji

My, pracownicy lwowskiego UNKWD Szmidt, Annochwierdow, na podstawie nakazu Nr z lipca 1940 roku, w obecności świadka Troszczyńskiej Kazimiery córki Antoniego przeprowadziliśmy rewizję u obywatelki Obertyńskiej Beaty córki Wacława zamieszkałej przy ul. Kalecza 24, w czasie rewizji skonfiskowano następujące przedmioty:

1) Paszport Nr 566395 seria I-ŻP.
2) Różnego rodzaju korespondencja.

Obertyńska nie złożyła skargi na nieprawidłowo przeprowadzoną rewizję.
Podpis osoby, u której przeprowadzono rewizję (—) Beata Obertyńska
Świadek (—) K. Troszczyńska
Przeprowadzili rewizję: (—)
21/VII-1940 roku. (—)